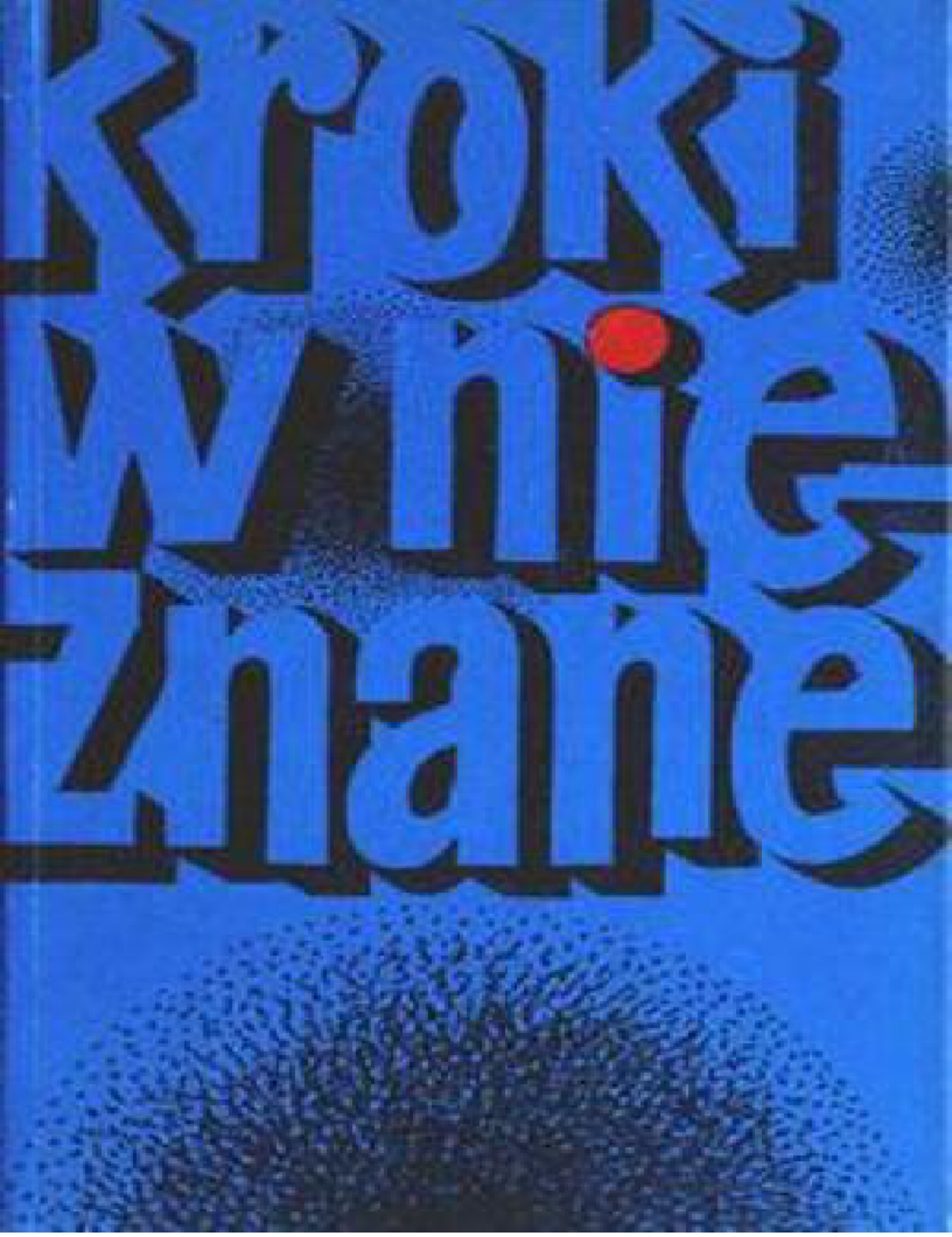
Krok
w nie
znane

SHOUT
SHARE
IT

Annotation

Wiele opowiadań tego tomu reprezentuje ten właśnie, tak trafnie scharakteryzowany przez Vonneguta, nurt science-fiction. Większość z nich to utwory nowe, dające pojęcie o aktualnym stanie światowej fantastyki; jedynie opowiadania Bradbury'ego, Asimova, Wyndhama i Tunel pod światem Pohla pochodzą z lat wcześniejszych. Ogromna większość światowej literatury fantastyczno-naukowej pochodzi z angielskiego obszaru językowego. W obrębie tego wielkiego „wspólnego rynku" fantastyki przyznawane są dwie najpoważniejsze nagrody literackie. Nagroda „Hugo", nazwana tak na cześć amerykańskiego autora i wydawcy Hugo Gernsbacka, przyznawana jest od 1953 roku na dorocznych konwencjach miłośników fantastyki. Nagradza się nią zresztą nie tylko utwory literackie. W roku 1969 na przykład nagrodę specjalną otrzymali kosmonauci Armstrong, Aldrin i Collins „za najlepsze lądowanie na Księżycu". Nagrodę „Nebula" przyznaje stowarzyszenie amerykańskich autorów fantastyki w czterech kategoriach w zależności od rozmiarów utworu.

Wielu spośród autorów tego tomu to nazwiska nowe dla polskiego czytelnika. Brian W. Aldiss (ur. 1925) uważany jest powszechnie za postać numer jeden w brytyjskiej fantastyce naukowej. Zdobył już nagrody „Hugo" i „Nebula". Amerykanin Keith Laumer (ur. 1925) architekt, lotnik i dyplomata pisze opowiadania-alegorie o świecie, w którym żyjemy. Jego opowiadanie W kolejce, zamieszczone w kilku antologiach, było jednym z najpoważniejszych kandydatów do nagrody „Nebula" w 1970 roku. Henry Slesar przejął od Fredricka Browna berło w dziedzinie krótkich opowiadań, jednak najkrótszy z utworów zamieszczonych w tym tomie wyszedł spod pióra Tuli Kupferberga, amerykańskiego satyryka, autora dwóch poradników: 1001 sposobów, jak żyć bez pieniędzy, i 1001 sposobów, jak umknąć poboru do wojska. Niezwykle ciekawe w pomyśle i kunsztownie skonstruowane opowiadanie D. I. Massona jest pierwszym i bodajże jedynym dziełem niemłodego angielskiego profesora-językoznawcy.

W Związku Radzieckim literatura fantastyczno-naukowa cieszy się ogromną popularnością, ale większość wydawanych książek z tej dziedziny stanowią przekłady. Wśród autorów radzieckich palmą pierwszeństwa w dziedzinie powieści fantastycznych dzierżą niezmiennie bracia Strugaccy. W krótkich formach uznanie czytelników zdobyli Ilja Warszawski, Dymitr Bilenkin i Kirył Bułyczow. Władlen Bachnow wydał dotychczas jeden tom opowiadań fantastycznych, w których dał się poznać jako wytrawny humorysta i satyryk. Żartobliwe opowiadanie Aleksandra Szalimowa jest raczej nietypowe dla twórczości tego pisarza, którego opowiadania są zwykle

mocno osadzone w realiach naukowych.

Polską fantastykę reprezentują dwaj autorzy młodzi wiekiem, ale mający już na swoim koncie samodzielne zbiory opowiadań: Andrzej Czechowski i Janusz A. Zajdel, którego nowy tom ukaże się w serii „Fantastyka-Przygoda”, oraz trzej debiutanci.

Tom zamyka artykuł Andrzeja Trepki rozważający teoretyczne możliwości istnienia różnych form życia w Kosmosie oraz ciekawy materiał o Księżycu z prasy radzieckiej.

- Kroki w nieznane 4
- OD REDAKCJI
- KROKI W NIEZNANE
- Brian W. Aldiss
- I
- II
- III
- Isaac Asimov
- Ray Bradbury
- Langdon Jones
- Damon Knight
- Tuli Kupferberg
- Keith Laumer
- David I. Masson
- Frederik Pohl
- Frederik Pohl
- I
- II
- III
- IV
- V
- VI
- Bob Shaw
- Robert Sheckley
- Henry Slesar
- John Wyndham
- Władlen Bachnow
- Władlen Bachnow
- Dymitr Bilenkin
- Dymitr Bilenkin
- Dymitr Bilenkin
- Dymitr Bilenkin
- Dymitr Bilenkin
- Kirył Bułyczow
- Kir Bułyczow

- Aleksander Szalimow
- Andrzej Czechowski
- Tadeusz Gosk
- Krzysztof W. Malinowski
- Janusz A. Zajdel
- Wiktor Żwikiewicz
- FAKTY, HIPOTEZY. ZAGADKI
- Bolesław Baranowski
- Andrzej Trepka
- notes
    - 1
    - 2
    - 3

Kroki w nieznane 4

Almanach fantastyczno-naukowy

Wybór Lech Jęczmyk

OD REDAKCJI

„— Kocham was, wy sucze syny! — mówi bohater jednej z powieści Kurta Vonneguta, ekscentryczny milioner nazwiskiem Rosewater, który wdziera się na zjazd pisarzy fantastyczno-naukowych, żeby dać upust swoim uczuciom. — Poza wami nikogo już więcej nie czytam. Tylko wy macie odwagę mówić o tych naprawdę ogromnych przemianach, jakie wokół nas zachodzą, tylko wy jesteście na tyle szaleni, żeby wiedzieć, że życie jest podróżą kosmiczną i to nie krótką, ale taką, która trwać ma miliardy lat. Tylko wy macie odwagę rzeczywiście troszczyć się o przyszłość, tylko wy rzeczywiście wiecie, co wyrabiają z nami maszyny, wielkie miasta, wszystkie te wielkie, proste idee, kolosalne błędy, wypadki i katastrofy. Tylko wy jesteście na tyle śmieszni, żeby zadręczać się bez końca czasem i przestrzenią, tajemnicami, które nigdy nie umrą, oraz tym, że właśnie teraz decydujemy, czy w tej zakrojonej na miliard lat podróży kosmicznej zajedziemy do raju czy do piekła".

Wiele opowiadań tego tomu reprezentuje ten właśnie, tak trafnie scharakteryzowany przez Vonneguta, nurt science-fiction. Większość z nich to utwory nowe, dające pojęcie o aktualnym stanie światowej fantastyki; jedynie opowiadania Bradbury'ego, Asimova, Wyndhama i Tunel pod światem Pohla pochodzą z lat wcześniejszych. Ogromna większość światowej literatury fantastyczno-naukowej pochodzi z angielskiego obszaru językowego. W obrębie tego wielkiego „wspólnego rynku" fantastyki przyznawane są dwie najpoważniejsze nagrody literackie. Nagroda „Hugo", nazwana tak na cześć amerykańskiego autora i wydawcy Hugo Gernsbacka, przyznawana jest od 1953 roku na dorocznych konwencjach miłośników fantastyki. Nagradza się nią zresztą nie tylko utwory literackie. W roku 1969 na przykład nagrodę specjalną otrzymali kosmonauci Armstrong, Aldrin i Collins „za najlepsze lądowanie na Księżycu". Nagrodę „Nebula" przyznaje stowarzyszenie amerykańskich autorów fantastyki w czterech kategoriach w zależności od rozmiarów utworu.

Wielu spośród autorów tego tomu to nazwiska nowe dla polskiego czytelnika. Brian W. Aldiss (ur. 1925) uważany jest powszechnie za postać numer jeden w brytyjskiej fantastyce naukowej. Zdobył już nagrody „Hugo" i „Nebula". Amerykanin Keith Laumer (ur. 1925) architekt, lotnik i dyplomata pisze opowiadania-alegorie o świecie, w którym żyjemy. Jego opowiadanie W kolejce, zamieszczone w kilku antologiach, było jednym z najpoważniejszych kandydatów do nagrody „Nebula" w 1970 roku. Henry Slesar przejął od Fredricka Browna berło w dziedzinie krótkich opowiadań, jednak najkrótszy z utworów zamieszczonych w tym tomie wyszedł spod pióra Tuli

Kupferberga, amerykańskiego satyryka, autora dwóch poradników: 1001 sposobów, jak żyć bez pieniędzy, i 1001 sposobów, jak umknąć poboru do wojska. Niezwykle ciekawe w pomyśle i kunsztownie skonstruowane opowiadanie D. I. Massona jest pierwszym i bodajże jedynym dziełem niemłodego angielskiego profesora-językoznawcy.

W Związku Radzieckim literatura fantastyczno-naukowa cieszy się ogromną popularnością, ale większość wydawanych książek z tej dziedziny stanowią przekłady. Wśród autorów radzieckich palmą pierwszeństwa w dziedzinie powieści fantastycznych dzierżą niezmiennie bracia Strugaccy. W krótkich formach uznanie czytelników zdobyli Ilja Warszawski, Dymitr Bilenkin i Kirył Bułyczow. Władlen Bachnow wydał dotychczas jeden tom opowiadań fantastycznych, w których dał się poznać jako wytrawny humorysta i satyryk. Żartobliwe opowiadanie Aleksandra Szalimowa jest raczej nietypowe dla twórczości tego pisarza, którego opowiadania są zwykle mocno osadzone w realiach naukowych.

Polską fantastykę reprezentują dwaj autorzy młodzi wiekiem, ale mający już na swoim koncie samodzielne zbiory opowiadań: Andrzej Czechowski i Janusz A. Zajdel, którego nowy tom ukaże się w serii „Fantastyka-Przygoda”, oraz trzej debiutanci.

Tom zamyka artykuł Andrzeja Trepki rozważający teoretyczne możliwości istnienia różnych form życia w Kosmosie oraz ciekawy materiał o Księżycu z prasy radzieckiej.

KROKI W NIEZNANE

Brian W. Aldiss
ŚWIAT SCARFE'A

Scarfes World

I

Młody Dyak i Utliff stali zdyszani na poszczerbionym grzbiecie wzgórza. Był piękny, upalny dzień, a miliony cykad grały wkoło nich zawzięcie. W zamglonym od upału powietrzu odległe góry ledwo były widoczne, tak że wijąca się w dół rzeka miała kolor szarego ołowiu i przejaśniała się dopiero u stóp wzgórza.

W dole rozlewała się w mokradła, szczególnie tam dalej, gdzie bagnisty teren całkowicie rozpływał się we mgle. Przy brzegu rzeki skrzeczały i trajkotały iguanodony: ich garbate kształty były dobrze widoczne. Nie sprawiały one ludziom kłopotu.

— Co z tobą, Utliff? Czy zejdziesz ze mną ze wzgórza? — spytał Dyak.

Po twarzy przyjaciela poznał, że jest z nim niedobrze. Utliff miał rysy zmienione — a nawet zniekształcone. Dyakowi się to nie podobało. Nawet jego krzaczasta broda była jakby inna. Utliff wzruszył szerokimi ramionami.

— Nie pozwolę, abyś sam polował, przyjacielu — odrzekł.

Zdecydowany okazać swą niewrażliwość na cierpienie, ruszył pierwszy piaszczystym zboczem w dół, prześlizgując się krzakami, jak to zwykle razem robili. Udawał obojętność na chorobę, wobec której żaden człowiek nie mógł pozostać obojętny. W przebłysku współczucia Dyak doszedł do wniosku, że Utliff długo już nie pożyje.

Spojrzawszy za siebie Utliff spostrzegł wyraz twarzy przyjaciela.

— Jeszcze jednego biegusa do garnka, Dyak, zanim odejdę — powiedział i odwrócił wzrok.

Gdy kierowali się w stronę rzeki, z krzaków śmignęły jakieś włochate stworzenia, zbyt szybkie, aby je można było złowić, i przebiegła gromadka gadów, które zwali biegusami — zwinne jaszczurki, sięgające im prawie do pasa, szybko biegające na tylnych łapach.

Utliff z worka przytroczonego do pasa wyjmował kamienie i ciskał nimi w biegusy; jednego nawet trafił, ale nie powalił. Obaj mężczyźni wybuchnęli śmiechem. Nie zależało im na zdobyciu pożywienia. Było go pod dostatkiem; poza tym polowanie na biegusy dawało zawsze lepsze rezultaty u stóp wzgórza, o czym wiedzieli z praktyki.

Śmiejąc się bez przerwy stoczyli się w dół w kłębach kurzu. O tej porze dnia, w samo południe, nie było żadnych powodów do obaw. Tak naprawdę to tylko chrupaczy należało się bać, ale chrupacze w taki upał leniwie wylegiwały się w cieniu. Skrzekacze z moczarów nikogo nie napastowały, o ile nie były same zaczepione. Życie było łatwe.

I tylko wtedy, kiedy Dyak patrzył na zniekształconą twarz Utliffa, przeżywał chwile strachu — strach pełzał pod czaszką jak małe zwierzątko. Ale wtedy mógł po prostu odbiec, na coś zapolować i znów poczuć się dobrze.

Dyak nie lubił myśleć. To, co pochodziło z głowy, było zawsze złe, a to co z ciała — zwykle dobre. Wielkimi susami pognał przez wysoką trawę i ze stromego brzegu rzucił się łukiem w wodę. Rzeka połknęła go śpiewając słodko. Wypłynął na powierzchnię krztusząc się i strząsając wodę z oczu. Woda pod nim była głęboka i w zakręcie koryta płynęła ciepła, czysta i przyjemna w dotknięciu. Przy drugim brzegu, gdzie skrzekacze na jego widok wpadły w popłoch, woda była stęchła i zbyt ciepła.

Wydając okrzyk rozkoszy Dyak walczył z jedwabistym prądem otulającym jego ciało. Zawołał towarzysza. Utliff stał milcząc na miniaturowym urwisku. Z drugiego brzegu patrzył na przyjaciela.

— Wskakuj! Poczujesz się lepiej!

Zanim Utliff posłusznie skoczył, Dyak wchłaniał oczami całą panoramę. Później utrwaliła mu się w mózgu na zawsze.

Z tyłu za przyjacielem wyrastało zbocze. Żaden z nich jeszcze się na nie nie wspinał, chociaż u jego podnóża znajdowały się pieczary, które zamieszkiwali. Dyak spostrzegł, że stały tam trzy kobiety z osady obejmując się w sposób, w jaki kobiety zwykły się obejmować. Śmiały się, ale w ciężkim powietrzu ich śmiechu nie było prawie słychać. Wieczorem zejdą do rzeki i będą się kąpać, ochlapywać wzajemnie i zanosić śmiechem, ponieważ zapomniały (lub może ponieważ pamiętały), że zbliża się zmrok. Ich śmiech sprawił Dyakowi przyjemność. Znaczyło to, że brzuchy miały pełne, a głowy puste. Były zadowolone.

Z drugiej strony, za Utliffem, Dyak spostrzegł Semary. Stanęła dyskretnie za drzewem w taki sposób, że mogła obserwować obydwu mężczyzn. Semary uśmiechała się, choć nigdy nie śmiała się tak często jak inne kobiety. Widocznie gwar wywabił ją z osady. Mimo że Dyak i Utliff mało o niej wiedzieli, to jednak wiadome im było, że dziewczynę z jakichś powodów traktowano jak wyrzutka w społeczności złożonej z trzech mężczyzn i trzech kobiet mieszkających w okolicy poprzedniego legowiska chrupacza.

Dyak przestał się uśmiechać, kiedy ją zobaczył. Jej widok sprawiał mu cierpienie.

Była mniej pulchna i mniej zgarbiona niż inne kobiety. Na jej twarzy nie było tego meszku, który porastał twarze innych kobiet. Nie miała również włosów między piersiami. To wszystko było dziwne, ale ta dziwność była pociągająca. A jednak… przebywanie z nią sprawiało cierpienie. Wiedział o tym, gdyż on i Utliff kiedyś byli z nią razem; od tego czasu wiedział również, że zachowywała się biernie; nie biła, nie

gryzła i nie śmiała się tak, jak to robiły inne kobiety, kiedy już cię dostały w swoje ręce.

Przebywanie z nią i jej bierność przyprawiały go o bóle głowy.

Dyak patrzał i myślał o tym wszystkim słuchając zawziętego grania cykad. Naraz spostrzegł, jak Utliff skoczył do rzeki.

Nie przypominało to w niczym jego płynnego skoku w wodę. Gdy tylko Utliff wychynął nieco nad powierzchnię, zawołał głośno:

— Dyak! Pomóż mi, odchodzę!

Przerażony Dyak trzema mocnymi ruchami ramion był już przy nim, ciągle jednak myślał, że jest to chyba tylko żart ze strony przyjaciela. Pewnie, zanim zdąży dopłynąć, Utliff da nurka. Ale ciało Utliffa było bezwładne i ciężkie, miał zamknięte oczy i rzęził.

Dyak położył się na plecach, wsunął ramię pod plecy Utliffa i podciągnął go do najbliższego drzewa — starej, poskręcanej, złamanej sosny, która zwisała nad wodą tak nisko, że często chwytali się jej gałęzi wychodząc z wody. Utliff zaczął znowu rzęzić i zakrztusił się, gdy woda nalała mu się do ust. Dyak sięgnął wolną ręką w górę i uchwycił wystającą gałąź drzewa.

Wydźwignął się na tyle z wody, że mógł utrzymać się oplatając gałąź lewą nogą. Ale wyciągnięcie Utliffa z wody było nadal piekielnie trudne. Kiedy ciężko dysząc miotał się na wszystkie strony, czyjeś ręce wyciągnęły się ku niemu z pomocą. Była to Semary. Mruknąwszy coś z wdzięcznością uniósł przyjaciela nad wodą, a potem, ściskając mocno kolanami pień drzewa, podciągnął Utliffa w górę.

Razem z Semary ułożyli ciało na pniu, a po chwili przenieśli je na brzeg.

Utliff otworzył oczy i podkurczył kolana. Potem opadł bezwładnie.

Już nie żył.

Prawie natychmiast rozpoczął się okropny proces rozkładu.

Wszystkie członki drgały od nagłych skurczów mięśni. Ciało zaczęło odpadać, nabierając równocześnie zielonkawej barwy. Wnętrzności wypadły i wkoło rozeszła się woń zgnilizny. Ze środka dał się słyszeć jakiś okropny bulgot. Dyak i Semary wstali przerażeni i powoli odeszli trzymając się za ręce. Utliff już do nich nie należał. Przestał być Utliffem.

Oddalili się od brzegu rzeki, kryjąc się pośród niskich drzew, aż wreszcie usiedli obok siebie na dużym, płaskim głazie. Dyak wciąż jeszcze ociekał wodą, ale na ciepłym głazie wysychał szybko i przestał się trząść. Semary zrywała liście ze zwisającej nad nimi gałęzi drzewa i przyklejała je do jego wilgotnej piersi. Uśmiechała się przy tym tak słodko, że zmuszony był też się uśmiechnąć, chociaż sprawiało mu to ból.

Objął ją ramionami i potarł nosem o jej pachę. Zachichotała z

zadowolenia. Zsunęli się opierając plecami o głaz. Dyak zaczął odklejać wilgotne liście od swojej piersi i przyklejał je na jej ciele. Miał wyraźną świadomość swego uczucia dla Semary. Nawet więcej niż uczucia. Odczuwał to już przy kobietach swojej grupy. Niepokój był przyjemny i zarazem niezmiernie smutny. Nie wiedział, jak się go pozbyć.

Semary chyba również odczuwała coś podobnego. Nagle powiedziała:

— Ludzie się zużywają.

Powiedziała to tak, jakby tylko niechcący zdradziła swoje myśli.

Jak zwykle, gdy rozmawiali, Dyak czuł jakąś ogromną przepaść, której nie sposób było przeskoczyć słowami. Słowa były przecież o tyle słabsze od rzeczy, które sobą przedstawiały. Odpowiedział czując niedosyt słów.

— Wszyscy ludzie są na to stworzeni, aby się zużywać.

— Co masz na myśli? Jak są ludzie stworzeni?

— Stworzeni są po to, aby się zużywać. Schodzą całkiem nowi ze wzgórz. Ale nowość nie trwa długo… Ich twarze robią się dziwne. A potem się zużywają jak Utliff.

Dziewczyna rzekła z wysiłkiem:

— Czy długo po Utliffie zszedłeś ze wzgórz?

— Wiele, wiele dni po nim. A ty, droga Semary?

— Zeszłam ze wzgórz dopiero kilka dni temu. Przyszłam… przyszłam od strony tej gładkiej rzeczy — tej czarnej bariery na wzgórzu.

Nie wiedział, o jakiej barierze mówiła. Pod skórą czuł jakiś niepokój, strach i podniecenie oraz inne wrażenia, których nie umiał określić z braku odpowiednich słów. Oczy dziewczyny były nieruchome, jak gdyby oboje byli blisko czegoś, o czym bali się myśleć.

— Powiedz mi — rzekł — powiedz mi, jak to jest, gdy nagle zaczyna się istnieć.

Zakryła oczy rzęsami.

— Byłam na stoku wzgórza — powiedziała. — Tuż przy gładkiej, czarnej barierze.

Aby przerwać narastające milczenie, objął ją i ułożył na wznak. I tak leżeli, twarzą przy twarzy, dzieląc się oddechem, jak to już kiedyś robili i jak robił to z nią Utliff w dniach, zanim się zużył.

Czuł, że istnieje coś innego, co powinien teraz zrobić. Ale głowa niczego mu nie podpowiedziała. W ciele natomiast odzywały się jakieś bezimienne impulsy, beznadziejnie radosne lub też beznadziejnie smutne. Oczy Semary były zamknięte. Coś mu jednak mówiło, że choć była dziwna, odczuwa ten sam zamęt co i on.

Utliff też go odczuwał. Kiedy dawniej obaj leżeli przy Semary,

Dyak był tak zaintrygowany tym, co mu chodziło po głowie, że powiedział o tym Utliffowi. Bał się, że tylko on jeden odczuwa tę dziwną, niejasną słodycz; ale Utliff przyznał, że on również, od stóp do głów, był tym uczuciem przepełniony. Gdy próbowali kłaść się blisko kobiet swojej grupy, odczucie to istniało, ale gdy kontynuując doświadczenie położyli się blisko siebie, odczucie to znikło tak szybko, że aż musieli się roześmiać.

Dyak leżał i patrzał w górę na drzewa. Na pobliskiej gałęzi zobaczył cykadę. Ogromna bestia, długa jak ludzkie ramię, prawie wpół zginała konar, na którym siedziała. Cykady były dobrym pożywieniem, ale teraz odczuwał inny głód, głód poza wszelkim głodem. Dźwięk i dotyk jego świata kołysały go i przepełniały całego.

Semary odezwała się nieoczekiwanie, a głos jej brzmiał ciepło w jego uchu:

— Dwie osoby zużyły się dzisiaj, każda inaczej. Jedna to Utliff, a druga to Artet. Artet była dziewczyną z mojej grupy. Chrupacz ją dopadł. Wiesz, że mieszkamy blisko legowiska chrupacza. Powlókł tam Artet, ale już wtedy krew ją opuściła.

— Zapomniałaś mi o tym wcześniej powiedzieć?

— Właśnie szłam, aby ci to powiedzieć, a wtedy to straszne naszło Utliffa. Potem przy twoim ciepłym ciele zapomniałam o tym.

Dyak odparł ponuro:

— Chrupacz przeszedł przez rzekę tam, gdzie woda płynie płytko. Zwykle jada skrzekacze, widziałem to często z naszego wzgórza. Teraz gdy tu już przeszedł, jest za głupi, aby móc wrócić. Wkrótce zdechnie z głodu. Wtedy wszyscy będą bezpieczni.

— Nie zdechnie, zanim nas wszystkich nie pozjada. Nie możemy z nim być bezpieczni, Dyak. Musisz mu spuścić krew i go zużyć.

Usiadł, a potem przykucnął przy niej ze złością.

— Niech to zrobią wasi mężczyźni. Dlaczego właśnie ja? Nasza grupa jest bezpieczna w jaskiniach na wzgórzu. Chrupacz mnie nie obchodzi. Dlaczego mnie o tym mówisz, Semary?

Usiadła również i spojrzała na niego. Strzepnęła liść z piersi.

— Chcę, abyś ty to zrobił, ponieważ najbardziej lubię leżeć przy tobie. Jeżeli spuścisz krew chrupaczowi, to zawsze będę leżała przy tobie, a nie przy naszych śmierdzących mężczyznach. Jeżeli nie chcesz tego dla mnie zrobić, przysięgam, że wrócę do nich.

Chwycił ją gwałtownie za rękę.

— Z nikim innym nie będziesz tylko ze mną, Semary! Myślisz, że boję się spuścić krew chrupaczowi? Jasne, że się nie boję!

Semary uśmiechnęła się do niego, jak gdyby jego gwałtowność sprawiła jej przyjemność.

II

Dr Ian Swanwick był coraz bardziej znudzony i coraz mniej zależało mu na tym, aby to ukrywać. Kilkakrotnie unosił oczy znad wizjera i patrzał na siwą głowę Grahama Scarfe'a, twarzą i uszami zatopionego w sąsiednim wizjerze. Zakaszlał raz czy dwa tak wymownie, że Scarfe podniósł głowę i spojrzał na niego.

— O, dr Swanwick, zapomniałem na śmierć… Przecież pan musi złapać powrotny odrzutowiec do Waszyngtonu. Bardzo, bardzo pana przepraszam! Ale, wie pan, jak tylko zacznę patrzeć w wizjer, to zaraz bez reszty pochłaniają mnie ich problemy.

— Jestem pewien, że to pana pochłania, pan przecież rozumie ich język.

— O, to łatwy język do zrozumienia. Bardzo prosty. Kilka słów, wie pan. Nie ma koniugacji ani deklinacji. Wcale nie jestem specjalistą od języków. Mieliśmy już tutaj wielu takich, że wspomnę choćby wielkiego profesora Reardona, sławnego etymologa… Ja jestem po prostu… w głębi duszy jestem po prostu modelarzem. Zacząłem się tym zajmować, jak miałem osiem lat. Zbudowałem model starej, parowej lokomotywy American Acheson, Topeka i Santa Fe tak, jak wyglądała w pierwszych latach ubiegłego stulecia.

Głównie po to, aby nie musieć o tym dalej słuchać, dr Swanwick powiedział:

— No cóż, z tridioramą udało się panu znakomicie.

Kiwając potakująco głową Scarfe ujął teologa pod ramię i odciągnął go od rzędu wizjerów z ręcznym sterowaniem, w stronę balustrady okalającej platformę, na której stali. Byli bardzo wysoko, tak wysoko, że odległe, strzeliste wieże Nowej Brazylii widać było w obramowaniu dwu łańcuchów górskich. Po przeciwnej stronie rozciągał się południowoamerykański kontynent, przesycony żarem, z którym klimatyzacja wieży słabo dawała sobie radę.

— Jeżeli nawet zrobiłem to znakomicie — powiedział Scarfe patrząc w dal ponad balustradą — to skopiowałem przecież tylko o wiele bardziej znakomite dzieło. Dzieło samej Natury.

Cichy, starczy głos Scarfe'a i jego miękkie ruchy, którymi ukazywał rozpościerający się przed nimi krajobraz, kontrastowały ostro z wielkomiejskimi manierami, strojem i energicznym głosem dr Swanwicka. Ale Swanwick milczał teraz, patrząc na pejzaż przecięty wijącą się rzeką. Rzeka płynęła z odległych gór i skręcała u stóp wzgórza, na którym się znajdowali.

— Zrobił pan dobrą kopię — powiedział wreszcie. — Tridioramą zdumiewająco przypomina rzeczywistość.

— Byłem pewien, że pan to doceni, doktorze Swanwick.

Zwłaszcza pan — powiedział Scarfe chichocząc przymilnie.

— Dlaczego właśnie ja?

— No, wie pan, dzieło Stwórcy, pan rozumie… Jako teologa interesuje chyba pana ten aspekt sprawy. Wiem, że moja kopia jest niczym w porównaniu z Jego dziełem.

Znowu zachichotał, zmieszany, że nie udało mu się wywołać porozumiewawczego uśmiechu ze strony Swanwicka.

— Teologia niekoniecznie musi łączyć się z sentymentalnym uwielbieniem dla Wszechmogącego. Laicy nie mogą zrozumieć, że teologia jest nauką zajmującą się faktami i zjawiskami religijnymi. Jak już powiedziałem, podziwiam kunszt pańskiego modelarstwa i sposób, w jaki skopiował pan prawdziwy krajobraz, ale to wcale nie oznacza, że to pochwalam.

Kiwając głową w sposób charakterystyczny dla ludzi starych, Scarfe przysłuchiwał się chwilę graniu cykad, a potem powiedział:

— Być może źle mnie pan zrozumiał, kiedy mówiłem, że pan to doceni. Miałem na myśli, że tridiorama może dać wam, tam, w Kolegium Teologicznym św. Benedykta, szansę studiowania po waszej własnej linii kontrolowanego eksperymentu, jak to już miało miejsce u antropologów, paleontologów, zoologów, prehistoryków i Bóg wie kogo jeszcze. Miałem na myśli to, że…

Scarfe był człowiekiem prostym i zbijała go z tropu pewność siebie tego człowieka, który jak zdążył wyczuć, zdecydowanie go nie lubił.

— Mam na myśli — ciągnął — że to co się dzieje w tej całej tridi, ma coś chyba wspólnego z nami, ludźmi, nie?

— Przykro mi, ale nie rozumiem pana, panie Scarfe.

— Pisałem już o tym w liście do pana, zapraszając pana do nas. Czy nie zechciałby pan zobaczyć, jak ci prymitywni ludzie, których tutaj mamy, radzą sobie z religią? Przyznaję, że jak dotąd, żadnej jeszcze nie stworzyli — żadnego mitu nawet — ale już to samo w sobie jest chyba dosyć znamienne.

Swanwick oparł się o balustradę.

— Zważywszy, że pańskie ludziki są sztuczne, ich odczucia absolutnie nie interesują św. Benedykta. Badamy wyłącznie stosunki między Bogiem a ludźmi, a nie między ludźmi i modelami. To stwierdzenie, obawiam się, będzie z naszej strony ostatecznym werdyktem po raporcie, który złożę w Radzie. Możemy nawet umieścić dodatkową uwagę o nieetyczności tego eksperymentu.

Ta uwaga dotknęła Scarfe'a do żywego.

— Mamy wystarczająco wielu innych sympatyków, proszę pana. Jeżeli pan to tak odczuwa, to wie pan… Do nas przychodzą ludzie z całego świata. Sztuczne życie umiemy już stwarzać od dwudziestu kilku lat, ale po raz pierwszy metodę tą zastosowaliśmy dla stworzenia

ludzi pierwotnych. Bardzo się dziwię pańskiemu stanowisku. I to w tak oświeconych czasach! Mam nadzieję, że pan wie, jak stwarzamy tych magdaleńczyków, iguanodony, te małe campsognathii i alozaury? Swanwick ruszył w kierunku wind, zanim jeszcze dał odpowiedź. Jedną z tych wind wjechali przedtem na platformę. Scarfe był zmuszony mu towarzyszyć.

— Po rosyjsko-amerykańskim eksperymencie rozdziału gamet w roku 2070 — mówił beznamiętnie Swanwick — nie trzeba było długo czekać, by najpierw indywidualne chromosomy, potem indywidualne geny, aż wreszcie pełne znaczenie porządku liniowego genów zostało ostatecznie zrozumiane i zaklasyfikowane. Sztuczne życie stworzono z powodzeniem już kilkadziesiąt lat przedtem. Te prymitywne „syntżycia" wykorzystywano dla uzyskania pożądanych informacji genetycznych. Potem było już możliwe stosowanie tych informacji w konstrukcji „syntżyć" o dowolnej kombinacji genów. Jak pan widzi, trochę znam literaturę.

— Nigdy w to nie wątpiłem — powiedział pokornie Scarfe. Gdy weszli do windy, dodał: — Ale dopiero Elroy odkrył, że analizy genetyczne wygasłych gatunków można przeprowadzić z ich kości — nawet kopalnych — i to umożliwiło stworzenie projektu tridioramy. Najpierw udało mu się uzyskać wzór genetyczny iguanodona. Po roku już sprzedawał żywe iguanodony do wszystkich ogrodów zoologicznych na świecie. Czy pan to uważa za nieetyczne, doktorze Swanwick?

Pewnie tak.

— Nie, nie uważam. Dopiero kiedy Elroy wyprodukował pierwotnych mężczyzn i kobiety w taki sam sposób jak iguanodony, organizacje religijne objawiły dla tej sprawy zainteresowanie.

Zjechali już na dół. Znaleźli się na zewnątrz komory mieszczącej tridioramę. Kiedy drzwi windy się otworzyły, wyszli, obydwaj zadowoleni z faktu, że oto wreszcie się rozstają.

Spotkanie było nieudane od początku. Swanwick był abstynentem, obiad w kantynie marny, a wzajemna antypatia, której żaden z nich nie chciał przezwyciężyć, wzrastała z każdą chwilą.

Chcąc wizytę zakończyć wesołym akcentem, Scarfe powiedział:

— No cóż, jeżeli nawet obraziliśmy Stwórcę, to i tak w niewielkim stopniu. Staraliśmy się bowiem jak najbardziej zredukować wymiary eksperymentu.

Znowu zachichotał zwycięsko, a był to śmiech, któremu trudno się było oprzeć. Specjalnie wystudiowany, niski w tonacji, miał wyrażać ocenę własnej dziwności, a zarazem podziw dla świata. Ten śmiech wszystkich rozbrajał, ale teolog pozostał nań nieczuły.

— Pan rozumie, co ja mam na myśli. Rozmiary, podobnie jak wszystkie inne fizyczne czynniki, kontrolowane są przy pomocy

genów — powiedział Scarfe, a jego wychudłe policzki zarumieniły się lekko. — Tak więc zredukowaliśmy rozmiar naszych egzemplarzy. To rozwiązuje szereg problemów i upraszcza sprawę.

— Ciekaw jestem, czy ci magdaleńczycy podobnie się na to zapatrują — powiedział na to Swanwick. Wyciągnął lodowatą dłoń i podziękował Scarfe'owi za gościnność. Odwrócił się na pięcie i poszedł energicznym krokiem wprost na lotnisko, gdzie czekał na niego odrzutowiec Instytutu św. Benedykta. Graham Scarfe stał patrząc za nim ze zdziwionym wyrazem twarzy. „Zimny typ, nie da się polubić" — pomyślał.

Pojawił się Tropez, główny asystent, i spojrzał na szefa z sympatią.

— Doktor Swanwick to ciężki orzech do zgryzienia — zaopiniował.

Trzęsąc głową Scarfe powoli wracał do równowagi.

— Nie wolno nam źle mówić o słudze bożym, Tropez — powiedział. — I zdaje mi się, że będziemy musieli się zająć kilkoma szczegółami drażniącymi takich purytanów jak Swanwick.

— Wie pan przecież, że każdego roku dodajemy coś nowego — powiedział Tropez. — Robi pan wszystko, co tylko można zrobić. Przejrzałem cyfry dotyczące ilości osób odwiedzających Otwartą Galerię w ciągu ostatniego miesiąca. Są one o 12,3 % wyższe od poprzedniego. Sądzę jednak, że omyliliśmy się chyba wprowadzając cykady naturalnej wielkości. Niektórym ludziom psuje to iluzję.

— Jeszcze się nad tym zastanowimy — powiedział Scarfe w zamyśleniu.

— Jestem pewien, że cokolwiek pan zdecyduje, to i tak będzie najlepsze — stwierdził Tropez. Był przekonany, że mówienie takich rzeczy zapewni mu trwałą posadę.

Scarfe w ogóle go nie słuchał.

Doszli do drzwi Galerii i otworzyli je. Galeria pełna była ludzi. Poprzez polaryzujące szkła patrzyli z ciemnego pomieszczenia Galerii na jasno oświetloną tridioramę na zewnątrz. Aczkolwiek mieli bardziej ograniczoną widoczność niż specjaliści, którzy za wyższą opłatą oglądali z góry całość przez nastawialne szkła, to jednak było w tym coś niepowtarzalnie fascynującego widzieć ten sztuczny świat z równego z nim poziomu.

— Zbyt mało mamy tu gatunków, aby odtworzyć wiarygodny obraz przeszłości życia na ziemi — skarżył się Scarfe. — Zaledwie pięć gatunków magdaleńczyków, trzy rodzaje dinozaurów, iguanodony, campsognathii i alozaury — no i myszy. Nie liczę cykad.

— Laboratoria Elroya zbyt dużo każą sobie płacić za „syntżycia" — powiedział Tropez. — Konstruujemy przecież tak szybko, jak tylko to jest możliwe. A zresztą, magdaleńczycy są największą atrakcją. Dla

nich głównie walą tu te tłumy. Mamy ich teraz dziesięciu. Kosztują sporo forsy.

— Ośmiu — stwierdził sucho Scarfe. — Jednego zjadł alozaur, a drugi się rozłożył. Nie jesteś w kursie spraw, Tropez. Za dużo czasu spędzasz w kasie.

Zamknąwszy w ten sposób usta asystentowi, kiwnął głową, odwrócił się i odszedł w kierunku windy.

Martwił go rozpad małych figurek; nie mógł oprzeć się podejrzeniu, że Laboratoria Elroya celowo ograniczają ich żywotność, aby zwiększyć obroty. Oczywiście metoda nie była jeszcze w pełni doskonała. „Syntżycia" stwarzane od razu w postaci całkowicie dojrzałej i niestarzejącej się. W pewnej chwili po prostu zużywały się i rozpadały na składniki. Z czasem na pewno to ulepszą. Ale pracownicy Elroya nie byli tym zainteresowani i nie spieszyli się z odpowiadaniem; na listy, którymi ich zasypywał.

Jeżeli miało kiedyś dojść do prawdziwego postępu, należałoby przedtem zlikwidować monopol Elroya.

Scarfe wjeżdżał windą w górę, myśląc o zacisznej platformie obserwacyjnej. Lubił przyglądać się naukowcom przy pracy, patrzeć, jak notują, rejestrują. Odnosili się do niego z szacunkiem. A mimo wszystko życie było bardzo skomplikowane, pełne zawiłych, nieprzyjemnych problemów, o których nigdy nie można było z nikim podyskutować… na przykład o tym, jak właściwie należy postępować z takimi ludźmi jak Swanwick. Dokuczliwy głupek, Scarfe zastanawiał się, jak to już czynił wielekroć, nad tym, czy nie byłoby lepiej być jednym z tych ludzików zamkniętych w tridioramie. I pomyśleć tylko, że oni nie mają żadnych problemów natury seksualnej! Uspokoił się przypomniawszy sobie, że on sam, prawdę mówiąc, też już ich nie ma. Ale kiedyś… Podczas gdy ci magdaleńczycy…

Skomplikowana nowoczesna technologia umożliwiała stworzenie życia, ale życie to nie było w stanie samo się powielić. Może dojdzie kiedyś i do tego. Na razie jeszcze nie. Tam, w głębi komory, małym magdaleńczykom nie było dane poznać procesu reprodukcji, nigdy nie będą mieli seksualnych zmartwień.

— Odnoszę wrażenie, że stworzyliśmy w sumie coś w rodzaju Raju — mruknął sam do siebie Scarfe, patrząc przez najbliższy, wolny wizjer. Jego stary, ale praktyczny umysł ukuł nowe, atrakcyjne hasło reklamowe dla swego przedsięwzięcia, hasło, które niczym nie obrazi naukowej klienteli, a równocześnie przyciągnie żądną sensacji publiczkę. „Zagubione szczepy w kieszonkowym Raju"… „Wszyscy we Wszystkim"…

Poprawił ostrość wizji chcąc sprawdzić, gdzie się podziała ta mała dziewczynka, którą się szczególnie interesował.

Patrząc na nią przez binokular i słuchając jej cienkiego głosiku w

słuchawkach można było sobie wyobrazić…

III

Sztuczne słońce zachodziło nad światem tridioramy.

Dyak i Semary skończyli właśnie jeść. Napotkali leżącą na ziemi jedną z ogromnych cykad i Dyak uciął jej głowę. Kiedy już się najedli do syta, wskoczyli do rzeki, aby rozluźnić zesztywniałe członki. Teraz szli dalej, ale dużo ciszej, gdyż byli już blisko legowiska wielkiego chrupacza.

W oddali Dyak zobaczył barierę. To był koniec świata. Jutro stamtąd wzejdzie słońce. Teraz, kiedy światło było mniej jaskrawe, zdawało mu się, że widzi ogromne twarze, podobne do ludzkich, patrzące na niego zza bariery.

Roześmiał się z głupich rzeczy, które lęgły mu się w głowie.

Ścieżka stawała się coraz mniej wygodna, górowały nad nimi wielkie głazy, trzy— lub czterokrotnie wyższe od nich. W takim otoczeniu zwinny chrupacz łatwo mógł ich dopaść. Dyak zatrzymał się i ujął dłoń Semary.

— Semary, musisz tutaj poczekać. Ja pójdę dalej. Odnajdę wielkiego chrupacza i zabiję go moim nożem. Potem wrócę do ciebie.

— Boję się, Dyak!

— Nie bój się! Gdyby potwór pobiegł w twoją stronę, wtedy cię uprzedzę, a ty wczołgaj się w szczelinę między tymi dwiema skałami, gdzie chrupacz nie dojdzie. Tam się zwiń w kłębek i zasłoń sobie oczy.

— Boję się bardziej o ciebie niż o siebie. Zaśmiał się.

— Kiedy tu wrócę, to cię wezmę i… bardzo mocno uścisnę. Uczynił to przed odejściem, tuląc jej nagie ciało do siebie i czując znów coś dziwnego, czego nie umiał nazwać. Potem odwrócił się i zniknął między skałami.

Wytropienie dinozaura zajęło mu zaledwie kilka minut. Dyak znał zwyczaje zwierząt. O wschodzie słońca i wieczorem zawsze były niespokojne.

Usłyszał, jak wielki zwierz hałaśliwie porusza się w gąszczu krzaków. Skoro tylko dostrzegł błysk zielonkawej skóry, wdrapał się na jeden z większych głazów i spoglądał ukradkiem zza jego wierzchołka.

Chrupacz spoczywał na odsłoniętym fragmencie skały, leniwie bijąc ogonem. Dla Dyaka była to ogromna bestia, trzy razy większa od niego. Łeb miała wielki i okrutny, stworzony głównie dla pomieszczenia masywnych szczęk. Przyciśnięty w tej chwili do skały tułów mógł być wzorem funkcjonalności. Zwierzę miało dwie pary kończyn, wielkie tylne, na których szybko biegało, i przednie — zakończone ogromnymi szponami. Potwór był przerażający nawet z zamkniętymi szczękami, gdy nie było widać kłów.

Chrupacza niełatwo było w tej chwili upolować. Leżał na jednym boku, niezdarnie podkurczywszy tylne nogi, wystawiając na słońce pokaźną część żółtawego podbrzusza. Po chwili obrócił się grzbietem do słońca. Potem znów się przekręcił i leżał bez ruchu. Otworzył paszczę i ział, odsłaniając wielkie kły. Wciąż niezadowolony przesunął się w cień i legł tam nieruchomo, tylko puls bił mu w gardle jak nie przełknięty kęs.

Dyak wiedział, że bestia długo nie uleży spokojnie. I rzeczywiście, znowu wylazła na słońce.

Tracąc przez większą część dnia ciepłotę ciała, zwierz właśnie regenerował ciepło, by ochronić się przed stosunkowo chłodną nocą. Rano znów się będzie wygrzewał, aby przywrócić utracone ciepło, przechodząc z wolna ze stanu odrętwienia do pełnej aktywności, a potem ruszy na łowy. Jak u wszystkich zmiennocieplnych istot, metabolizm alozaura był ściśle związany z zewnętrznymi warunkami termicznymi. Był on zaledwie czymś więcej niż termometrem z kłami i pazurami. Dla Dyaka sprawa była dużo prostsza: stwór wieczorami bywał niespokojny.

Po krótkiej chwili ponownego przebywania w cieniu, chrupacz wrócił na skałę, do ciepła. Dyak zsunął się z głazu. Widział już to, co chciał zobaczyć. Chrupacz często nabierał chętki do dziecinnych igraszek i gruchotał ogonem drzewa. Po drugiej stronie polanki leżał spory kawał gałęzi. Dyak dotarł tam obchodząc skałę dookoła. Zaostrzył gałąź nożem. Narzędzie było prymitywne, ale odpowiadało jego potrzebom.

Wepchnął zaostrzoną gałąź za pas, który nosił na biodrach. Wdrapał się na drzewo i sunął po konarze sterczącym dokładnie nad chrupaczem. Szkoda tylko, że słońce świeciło mu prosto w oczy.

Nie wziął tego pod uwagę. Słońce było niżej niż przypuszczał i należało się pośpieszyć. Wyciągając nóż spojrzał w dół, na chrupacza — i stwierdził, że zwierz patrzy prosto na niewielkie zwierzę ułożyło się wreszcie w wygodnej pozycji przywierając brzuchem do skały i opierając łeb na przednich łapach. Jakiś szmer na drzewie zwrócił uwagę zwierzęcia. Obróciło więc wzrok ku górze, przepatrując gałęzie dwojgiem przerażających żółtych ślepi.

Chociaż potwór biegał bardzo szybko, Dyak wiedział, że refleks miał bardzo spóźniony. Nim się poruszył, Dyak zdążył skoczyć w dół.

Wylądował na skale na piętach, tuż koło szyi potwora. Dźwigając się jaszczur uniósł łeb i otworzył paszczę. Dyak rzucił się naprzód z zaostrzonym kołem i wbił go mocno między rozwarte szczęki.

Uskoczył natychmiast, bo już szpony wyciągały się po niego. Po chwili chrupacz stał na nogach. Dyak zrobił unik i skoczył. Chwycił potwora za szyję i uwiesił się na niej. Zwierz zaczął się cofać i miotać, głucho warcząc w głębi gardzieli. Zaciśniętymi rękami Dyak wyczuwał

wibrację skóry od tego strasznego charkotu. Świat zawirował mu w oczach, ale trzymał się mocno, mając nadzieję, że groźny ogon nie zmiecie go na ziemię.

Mimo całej grozy chwili, wiedział, że gdy spadnie, to już po nim. Dyak miał okazję stwierdzić, że zaostrzony konar spełnił swoje zadanie. Szczęki chrupacza były rozkleszczone; gałąź wbiła się głęboko i potwór połowę siły trwonił na usunięcie tego klina. Przednie łapy darły pysk na strzępy, krew lała się strumieniami.

Trzymając się obydwiema rękami Dyak przesunął się po karku swego wierzgającego wierzchowca i zajął bardziej dogodną pozycję. Chrupacz, rycząc wściekle, skoczył w górę, stracił równowagę na śliskim głazie, pośliznął się i upadł zadem w krzaki.

Dyak upadł razem z nim, ale wykorzystał tę chwilę, by jednym ramieniem mocno ścisnąć potwora za gardło i wyciągnąć nóż. Uderzył, kiedy zwierz skoczył w górę i znów upadł w poszycie krzaków. Ostrze przeszyło jedno z płonących żółtych ślepi.

Gdy ból targnął wszystkimi mięśniami potwora, Dyak został odrzucony jak z procy. Legł półprzytomny w krzakach, z trudnością łapiąc powietrze. Chrupacz wył z bólu i wściekłości i walił w skałę zranioną głową.

Wiedząc, że jeżeli teraz się nie zdecyduje, to nigdy więcej nie będzie miał okazji, Dyak wygramolił się z krzaków, przemknął koło grzmocącego ogona i skoczył potworowi na łeb. Nie wierzył w możliwość przebicia opancerzonej skóry, ale oko było odpowiednim celem.

Ruchem podobnym do skoku w wodę rzucił się na zdrowe oko chrupacza. Całą siłą prawego ramienia głęboko dźgnął nożem w pulsującą gałkę, wkładając w ten cios całą pasję swego życia. I wtedy dosięgnął go ogon chrupacza.

Kiedy odzyskał przytomność, spostrzegł, że tkwi wbity głową w krzew rododendronu. Minęła dłuższa chwila, nim zebrał tyle sił, by móc się stamtąd wydostać. Był cały pokaleczony i czuł tępy ból w ramieniu, tam gdzie dosięgnął go ogon chrupacza. Ale był żywy i już się zmierzchało.

Chrupacz leżał pośrodku wielkiej połaci zniszczonej roślinności i zrytej ziemi. Ogon wciąż jeszcze poruszał się, ale zwierz był już unieszkodliwiony. Cios noża dosięgnął mózgu.

Dyak wdrapał się powoli na szczyt najbliższego głazu. Niebo krwawiło zachodem, jak każdego wieczoru, a czerwień odbijała się w rzece, tak że woda wyglądała jak krew. Przyłożył dłoń do ust i zaczął wołać Semary.

Pierwsze zawołanie było ciche i skierowane tylko do niej. Ale potem gwałtownie uświadomił sobie, że żyje, i dumnie spojrzał na ogromnego zwierza, którego on — on sam! — zniszczył. Przepełniała

go radość. Nie zważając na ból, podniósł do ust także lewą dłoń i zaczął wydawać okrzyki, które szerokim echem rozeszły się po dolinie. Okrzyki rosły i rosły, i były coraz przenikliwsze. Rozpierała go duma.

Nie przestał nawet wtedy, gdy na polanę wbiegła Semary i stanęła podziwiając powalonego potwora.

Świat musi poznać jego zwycięstwo! Było to wielkie zwycięstwo, na skalę świata, który miał rozmiary stołowego blatu.

Przełożył z angielskiego Marek Wagner

Isaac Asimov
MARTWA PRZESZŁOŚĆ

The Dead Past

Doktor Arnold Potterley był profesorem historii starożytnej. Samo w sobie nie było to niebezpieczne. Dopiero fakt, że wyglądał jak profesor historii starożytnej, zmieniał do niego stosunek otoczenia.

Thaddeus Araman, kierownik katedry na Wydziale Chronoskopii, być może podjąłby odpowiednie kroki, gdyby doktor Potterley był właścicielem wydatnej kwadratowej szczęki, oczu miotających błyskawice, orlego nosa i szerokich barów.

Tymczasem po drugiej stronie jego biurka siedział potulny osobnik, którego wyblakłe niebieskie oczy spoglądały rzewnie z obu stron spłaszczonego guzikowatego nosa, a mała schludnie ubrana postać wydawała się nosić nalepkę „flaki z olejem", od ciemnych przerzedzonych włosów poczynając i kończąc na starannie wyczyszczonym obuwiu.

Araman spytał uprzejmie:

— Czym mogę panu służyć, doktorze Potterley?

Doktor Potterley odparł łagodnym, stonowanym głosem, który idealnie pasował do całej jego osoby:

— Przyszedłem do pana, sir, ponieważ jest pan najważniejszą osobistością w dziedzinie chronoskopii.

Araman uśmiechnął się.

— No, nie jest to całkiem ścisłe. Nade mną jest jeszcze Światowy Pełnomocnik d/s Badań, a nad nim Sekretarz Generalny ONZ. A nad nimi obydwoma, rzecz jasna, są suwerenne narody świata.

Doktor Potterley potrząsnął głową.

— Oni nie interesują się chronoskopią. Przyszedłem do pana, gdyż od dwóch lat staram się, by mi zezwolono na zastosowanie wejrzenia wstecznego — to znaczy chronoskopii — w związku z moimi badaniami nad starożytną Kartaginą. Nie mogę uzyskać takiego zezwolenia. Przyznany mi fundusz badawczy jest w porządku. W moim sposobie rozumowania nie ma żadnych nieprawidłowości, a…

— Pewien jestem, że nie chodzi tu o nieprawidłowości — odparł uspokajająco Araman. Przerzucił cienkie kopie w skoroszycie opatrzonym nazwiskiem Potterleya. Kopie były wykonane przez Multivac, którego obszerna pamięć magazynowała wszelkie dane dotyczące wydziałów. Po zapisaniu danych w pamięci maszyny, kopie mogły być zniszczone, a następnie odtworzone na zawołanie w ciągu kilku minut.

Podczas gdy Araman przewracał kartki, Potterley ciągnął łagodnym, monotonnym głosem:

— Muszę podkreślić, że jest to zagadnienie bardzo istotne. Kartagina to starożytny komercjalizm podniesiony do zenitu. Przedrzymska Kartagina była najbliższym starożytnym odpowiednikiem przedatomowej Ameryki, przynajmniej co się tyczy handlu, rzemiosła i businessu. Kartagińczycy byli najodważniejszymi żeglarzami i odkrywcami przed pojawieniem się Wikingów, znacznie lepszymi niż przereklamowani Grecy. Warto by poznać Kartaginę, tym bardziej że posiadane przez nas wiadomości są zaczerpnięte z dzieł jej najzacieklejszych wrogów — Greków i Rzymian. Kartagińczycy nigdy nie napisali nic w swej obronie, a jeśli nawet, to pisma się nie zachowały. W rezultacie stali się pokazowymi czarnymi charakterami historii, chyba niesłusznie. Wejrzenie wsteczne może sprostować to mniemanie.

Potterley mówił długo i z przekonaniem.

— Musi pan zdać sobie sprawę, doktorze Potterley — przerwał mu Araman, dalej wertując kopie — że chronoskopia, czy też jak pan woli, wejrzenie wsteczne, jest procesem bardzo skomplikowanym.

Potterley zmarszczył brwi.

— Przecież ja proszę tylko o pewne wybrane obrazy czasów i miejsc, które wskażę.

Araman westchnął.

— Uzyskanie kilku obrazów, czy choćby nawet jednego, jest niesłychanie subtelną sztuką. To kwestia ostrości, uchwycenia odpowiedniego obrazu na wizji i zatrzymania go. To również kwestia synchronizacji dźwięku, co już wymaga całkowicie niezależnych obwodów.

— Chyba mój cel jest wystarczająco ważny, by usprawiedliwić tak znaczny wysiłek.

— Ależ oczywiście. Niewątpliwie — odparł szybko Araman. Negować wagę czyichś badań byłoby niewybaczalnym pogwałceniem zasad dobrego wychowania. — Musi pan jednak zrozumieć, ile czasu zabiera uzyskanie najprostszego bodaj obrazu. Poza tym do chronoskopu jest bardzo duża kolejka, a jeszcze większa do Multivaca, który kieruje nami podczas manipulowania zespołem przyrządów sterujących.

Potterley poruszył się niespokojnie.

— Czy doprawdy nie można nic zrobić? Przez dwa lata…

— Kwestia pierwszeństwa, sir. Przykro mi. Może papierosa?

Historyk odskoczył gwałtownie usłyszawszy tę propozycję i rozszerzonymi oczami wpatrywał się w podsuniętą mu paczkę. Araman, zdumiony, cofnął paczkę, uczynił gest jakby chciał wyjąć z niej papierosa, rozmyślił się jednak.

Potterley wydał westchnienie niekłamanej ulgi, gdy papierosy zniknęły z pola widzenia.

— Czy istnieje jakaś możliwość zrewidowania tej sprawy i przesunięcia mnie na jedno z pierwszych miejsc w kolejce? — zapytał. — Nie wiem, jak to wyjaśnić…

Araman uśmiechnął się. Ludzie oferowali mu już pieniądze w podobnych sytuacjach, co, rzecz jasna, nie przynosiło rezultatów.

— Decyzje w sprawie pierwszeństwa są przetwarzane za pomocą komputera. Wykluczone, bym mógł je samowolnie zmienić.

Potterley podniósł się sztywno, prostując drobną postać.

— A zatem do widzenia, sir.

— Do widzenia, doktorze Potterley. Szczerze żałuję. Wyciągnął do Potterleya rękę, którą tamten uścisnął krótko. Gdy historyk wyszedł, dzwonek naciśnięty ręką Aramana sprowadził do pokoju jego sekretarkę. Wręczył jej skoroszyt.

— Proszę to odłożyć ad acta — powiedział.

Gdy znów pozostał sam w pokoju, uśmiechnął się gorzko. Jeszcze jedna pozycja w jego dwudziestopięcioletniej służbie dla ludzkości. Służbie poprzez odmowę.

Zresztą tego faceta łatwo się było pozbyć. Niekiedy trzeba się uciekać do akademickiej presji lub nawet wycofania dotacji.

Po pięciu minutach zapomniał już o doktorze Potterley. Nawet później, wracając myślą do tej rozmowy, nie pamiętał żadnego podświadomego sygnału, który by go wówczas ostrzegł przed niebezpieczeństwem.

* * *

W ciągu pierwszego roku swej frustracji Arnold Potterley nie doświadczył nic innego prócz właśnie — frustracji. W następnym jednak frustracja ta zrodziła pomysł, który z początku przeraził go, a potem zafascynował. Dwie rzeczy powstrzymywały go od przekształcenia pomysłu w czyn, lecz ani jedna nie uwzględniała faktu, że był on nad wyraz nieetyczny.

Pierwszą z nich była po prostu nadzieja, że rząd udzieli mu w końcu zezwolenia i nie będzie już musiał realizować swego pomysłu. Nadzieja ta rozwiała się ostatecznie po rozmowie z Aramanem.

Drugą była ponura świadomość własnej bezradności. Nie był fizykiem i nie znał fizyka, który mógłby mu pomóc. Wydział Fizyki na Uniwersytecie składał się z ludzi mających do dyspozycji pokaźne fur dusze i zagłębionych po uszy w swojej specjalności. W najlepszym razie — nie chcieliby go wysłuchać. W najgorszym — donieśli, że uprawia intelektualną anarchię, co groziłoby cofnięciem podstawowej

„kartagińskiej” dotacji.

Tego nie mógł ryzykować. Jednakże tylko chronoskopia dawała mu możność kontynuowania pracy i bez dostępu do niej był nie mniej poszkodowany, niż gdyby stracił dotację.

Na tydzień przed rozmową z Aramanem zaświtała możliwość pokonania tej drugiej przeszkody, ale wówczas nie zwrócił na nią uwagi. Zdarzyło się to podczas jednej z herbatek grona profesorskiego. Potterley uczestniczył w tych spotkaniach, ponieważ uważał to za obowiązek, a obowiązki traktował bardzo serio. Później jednak zrozumiał, że nie musi silić się na prowadzenie lekkiej konwersacji ani też na zdobywanie nowych przyjaciół. Wypijał drinka lub dwa, wymieniał parę uprzejmości z dziekanem lub kierownikami katedr, uśmiechał się zdawkowo do innych i wychodził wcześnie.

Toteż normalnie nie zwróciłby uwagi na młodego mężczyznę, który stał na uboczu milczący i z lekka onieśmielony. Nigdy by mu nie przyszło do głowy wszcząć z nim rozmowę. A jednak splot okoliczności spowodował, że podczas ostatniego spotkania zachował się całkowicie wbrew swej naturze. Z rana przy śniadaniu pani Potterley oświadczyła ponuro, że znów śniła jej się Laurel. Tym razem była to Laurel dorosła, tyle że z buzią trzyletniego dziecka. Potterley pozwolił wygadać się żonie. Był czas, że walczył z jej ciągłym zaabsorbowaniem sprawami przeszłości i śmierci. Rozmowy ani sny nie są przecież w mocy przywrócić im Laurel. Ale skoro działa to na Caroline Potterley uspokajająco, czemu zabraniać jej śnić i mówić?

Tego dnia jednak przyszedłszy na uczelnię poczuł, że sam jest poruszony bredzeniem Caroline. Laurel dorosła! Ich jedyne dziecko, zmarłe prawie dwadzieścia lat temu. Zawsze myślał o niej jako o trzyletniej dziewczynce.

Dziś natomiast pomyślał: „Gdyby żyła, miałaby już prawie dwadzieścia trzy lata”.

Zaczął wyobrażać sobie Laurel jako stopniowo dorastającą. Nie bardzo mu się to udawało.

Spróbował raz jeszcze. Laurel robiąca makijaż. Laurel wybierająca się na randkę z chłopakiem. Laurel — podczas ceremonii ślubnej!

A gdy zobaczył młodego mężczyznę trzymającego się trochę z dala od dostojnego grona profesorskiego, przyszła mu nagle do głowy myśl iście w stylu Don Kichota — przecież taki młodzieniec mógłby poślubić Laurel. Co więcej, może ten właśnie młodzieniec…

Laurel mogłaby go poznać tu na uniwersytecie lub też któregoś dnia na kolacji u nich w domu. Mogliby się sobą zainteresować. Laurel z pewnością byłaby ładna, a i młodzieniec nie prezentował się źle. Miał szczupłą stanowczą twarz, smagłą cerę i swobodne ruchy.

Ulotne marzenie prysło, a Potterley wciąż jeszcze stał gapiąc się na młodego mężczyznę, nie jak na kogoś obcego, lecz na

ewentualnego zięcia, którym mógłby być, gdyby… Spostrzegł się nagle, że idzie w jego kierunku. Była to nieomal forma autohipnozy.

Wyciągnął rękę.

— Jestem Arnold Potterley z Wydziału Historii. Pan tutaj nowy, prawda?

Młodzieniec wyglądał na nieco zdziwionego. Bawił się szklanką, przekładając jaz ręki do ręki.

— Moje nazwisko Jonas Foster, sir. Jestem nowym wykładowcą fizyki. Zaczynam właśnie od tego semestru.

Potterley kiwnął głową. — Życzę panu miłego pobytu u nas i wielu sukcesów.

Na tym się skończyło. Potterley oprzytomniał wreszcie, poczuł się zakłopotany i odszedł. Spojrzał raz jeszcze przez ramię, ale złudzenie powinowactwa znikło. Rzeczywistość znów stała się bardzo realna, a on był zły, że pozwolił się opętać bredniom żony.

W tydzień później, podczas rozmowy z Aramanem, ponownie nawiedziła go myśl o młodym człowieku. Wykładowca fizyki. Nowy wykładowca. Czyż był wówczas głuchy? Czy też nastąpiło krótkie spięcie pomiędzy jego uszami a mózgiem? Lub może była to automatyczna samokontrola wobec zbliżającej się rozmowy z kierownikiem katedry na Wydziale Chronoskopii?

Rozmowa zawiodła i oto myśl o młodym człowieku, z którym zamienił kilka słów, wstrzymała Potterleya od dalszych nalegań o rozważenie jego prośby. Nieomal pragnął wyjść.

W drodze na uniwersytet, pędząc ekspresem autożyro, prawie marzył o tym, żeby być przesądnym. Mógłby wówczas pocieszać się myślą, że w tym przypadkowym spotkaniu, pozornie bez znaczenia, był palec wszechwiedzącego Losu.

* * *

Życie akademickie nie było dla Jonasa Fostera nowością. Długa i niepewna walk o doktorat z każdego zrobiłaby weterana. Przyczyniła się do tego i dodatkowa praca dydaktyczna w charakterze podoktoranckiego stypendysty.

Obecnie był już wykładowcą. Godności profesorskie stały przed nim otworem. Znalazł się w innego rodzaju zależności od profesorów.

Po pierwsze — będą oni zabierać głos w sprawie przyszłych awansów. Po drugie — nie mógł w tak wczesnym stadium gry stwierdzić, który z członków grona profesorskiego ma chody u dziekana lub nawet rektora uniwersytetu, a który ich nie ma. Nie widział siebie w roli uczelnianego polityka i był pewien, że wypadłby w niej bardzo nędznie, po cóż więc nadstawiać tyłka wyłącznie w tym

celu, by samemu sobie to udowodnić.

A teraz słuchał człowieka, który mimo zewnętrznego spokoju zdawał się w jakiś nieuchwytny sposób emanować napięcie. Nie kazał mu zamilknąć ani go nie wyrzucił — aż pewnością taki był jego pierwszy impuls.

Pamiętał Potterleya dobrze. Podszedł on do niego na herbatce (która zresztą była piekielnie nudna), powiedział kilka słów patrząc nań szklanym wzrokiem, wreszcie oprzytomniał, wzdrygnąwszy się w widoczny sposób i szybko się oddalił.

Wówczas rozśmieszyło to Jonasa, ale dziś…

Być może Potterley rozmyślnie starał się nawiązać z nim znajomość lub raczej wywrzeć na nim wrażenie swą osobowością nieszkodliwego ekscentryka. Być może sondował jego poglądy w poszukiwaniu jakichś chwiejnych punktów. Raczej powinni byli zrobić to wcześniej, nim go zaangażowali. Niemniej jednak…

Może Potterley mówił poważnie, może naprawdę nie uświadamiał sobie, co czyni. Ale mógł też zdawać sobie z tego sprawę, mógł być po prostu niebezpiecznym łajdakiem.

— No cóż… — mruknął Foster, aby zyskać na czasie, i wyciągnął paczkę papierosów, zamierzając poczęstować Potterleya.

Historyk zareagował gwałtownie.

— Bardzo proszę, doktorze Foster. Żadnych papierosów.

— Przepraszam — odparł Foster zaskoczony.

— To ja bardzo przepraszam. Nie mogę znieść dymu. Idiosynkrazja. Przykro mi.

Był blady jak płótno. Foster schował papierosy, ale czując głód nikotyny wybrał najprostsze wyjście.

— Czuję się pochlebiony, że zwrócił się pan do mnie o radę i w ogóle w tych sprawach, doktorze Potterley, ale nie jestem specjalistą w dziedzinie neutriniki. Nie mogę więc służyć panu pomocą w sensie zawodowym. Nawet wyrażając opinię nie byłbym w porządku i, szczerze mówiąc, wolałbym, aby nie wdawał się pan w szczegóły.

Twarz historyka zesztywniała.

— Co pan rozumie przez to, że nie jest pan specjalistą w dziedzinie neutriniki? Na razie jest pan niczym. Nie otrzymał pan jeszcze żadnych funduszów badawczych, prawda?

— To jest mój pierwszy semestr.

— Wiem. Mam wrażenie, że nie zwracał się pan jeszcze o żadną dotację.

Foster uśmiechnął się z lekka. W ciągu trzech miesięcy pobytu na uczelni nie udało mu się przyoblec wstępnej prośby o dotację w kształt na tyle zadowalający, by mogła przejść przez zawodowego skryptora prac naukowych, nie mówiąc już o Komisji d/s Badań.

(Na szczęście kierownik katedry, w której pracował, odniósł się

do tego z całkowitym zrozumieniem. „Nie spiesz się, Foster — powiedział. — Uporządkuj swoje myśli. Upewnij się, że znasz już swoją drogę i wiesz, dokąd prowadzi, a gdy otrzymasz fundusze, twoja specjalizacja zostanie tym samym formalnie uznana i na dobre czy na złe związeszsz się z nią do końca twej kariery". Rada była dość banalna, ale banalność często posiada cechy prawdy i Foster to uznał).

— Z wykształcenia i zamiłowania, doktorze Potterley — powiedział — zajmuję się hyperoptyką, a moim przedmiotem pobocznym jest grawityka. Wprawdzie nie jest to jeszcze moja oficjalna specjalizacja, ale na pewno będzie. Nie wyobrażam sobie nic innego. A co do neutriniki — nigdy nie studiowałem tego przedmiotu.

— Dlaczego? — natychmiast spytał Potterley.

Foster spojrzał na niego. Taka nietaktowna ciekawość dotycząca czyichś spraw zawodowych bywa zawsze irytująca. Odpowiedział nieco mniej uprzejmie:

— Neutrinika nie była wykładana na mojej uczelni.

— A gdzie pan studiował?

— M.I.T. — odparł spokojnie Foster.

— I oni nie wykładają neutriniki?

— Nie. — Foster poczuł, że się czerwiem i przeszedł do defensywy. — Jest to nazbyt specjalistyczny przedmiot bez większej wartości. Możliwe, że chronoskopia ma pewną wartość, ale wyłącznie w sensie praktycznym i tu jest ta ślepa uliczka.

Historyk spojrzał nań z powagą.

— Czy nie wie pan, gdzie mogę znaleźć specjalistę z dziedziny neutriniki?

— Nie wiem — odrzekł Foster, bez ogródek.

— Może wobec tego zna pan uczelnię, gdzie wykładają neutrinikę?

— Nie znam.

Potterley uśmiechnął się z przymusem, samymi tylko wargami.

Foster dotknięty tym, w jego odczuciu, obraźliwym uśmiechem powiedział nie kryjąc już irytacji:

— Chciałbym zwrócić pańską uwagę, sir, że przekracza pan swoje kompetencje.

— Co?!

— Mam na myśli, że zainteresowanie historyka tą gałęzią fizyki, pańskie profesjonalne zainteresowanie jest… — przerwał nie mogąc zdecydować się na wypowiedzenie tego słowa.

— Nieetyczne?

— Tak, o to mi chodzi, doktorze Potterley.

— Moje badania doprowadziły mnie do tego — powiedział Potterley głośnym szeptem.

— Powinien pan udać się do Komisji d/s Badań. Jeśli pozwolą…

— Byłem u nich. Bez powodzenia.

— W takim razie musi pan zaniechać swoich planów. — Foster wiedział, że zabrzmiało to do znudzenia prawomyślnie, ale nie miał zamiaru dać się wciągnąć temu człowiekowi w intelektualną anarchię. Nie mógł na początku swej kariery podejmować bezsensownego ryzyka.

Uwaga jego wywołała natychmiastowy skutek. Potterley bez żadnego ostrzeżenia wybuchnął gwałtowną burzą nieodpowiedzialnych słów.

Mówił, że uczeni są tylko wtedy wolni, jeżeli mogą bez przeszkód puścić wodze swej ciekawości. Że badania wtłoczone w ramy, z góry zakreślone przez siły zarządzające funduszami, stały się pracą niewolniczą i musiały ulec stagnacji. Że nikt nie ma prawa dyktować innym zainteresowań intelektualnych.

Foster słuchał tego z niedowierzaniem. Wydawało mu się rzeczą wręcz nienaturalną, aby nowoczesny uczony mógł pleść podobne brednie. Usiłował więc skontrować Potterleya przedstawiając wszystkie zalety skoordynowanych i kierowanych badań, ale tamten machnął tylko ręką i przerwał:

— Powtarza pan jak papuga oficjalną propagandę. Ma pan tu do czynienia z przykładem, który zdecydowanie przeczy oficjalnym poglądom. Czy może pan mi uwierzyć?

— Szczerze mówiąc, nie.

— Dlaczego sądzi pan, że wejrzenie wsteczne jest ślepą uliczką? Dlaczego neutrinika ma być bez wartości? Stwierdził pan to autorytatywnie. A przecież nigdy pan jej nie studiował. Przyznaje się pan do całkowitej nieznajomości tego przedmiotu. Nie była nawet wykładana na pańskiej uczelni…

— Czy sam fakt, że jej nie wykładają, nie jest dostatecznym dowodem braku tej wartości?

— Ach, rozumiem. Nie wykładają jej, ponieważ jest nieważna. Jest nieważna, ponieważ jej nie wykładają. Czy odpowiada panu takie rozumowanie?

Foster czuł się coraz bardziej zakłopotany.

— Tak podają książki.

— No, tak. Książki podają, że neutrinika jest nieważna. Pańscy profesorowie twierdzą to samo, ponieważ wyczytali to w książkach. Książki podają tak, ponieważ napisali je profesorowie. A kto mówi w oparciu o własne doświadczenie i znajomość przedmiotu? Kto prowadzi badania w tej dziedzinie? Czy zna pan kogokolwiek?

— Nie wydaje mi się, żebyśmy mogli dojść do porozumienia, doktorze Potterley — odparł Foster. — Mam jeszcze trochę pracy…

— Chwileczkę. Chcę, żeby pan wysłuchał moich argumentów. Oświadczam panu, że rząd stanowczo zakazuje podstawowych badań

w dziedzinie neutriniki i chronoskopii. Zabrania nawet stosowania chronoskopii.

— Ależ nie!

— Jak to nie? Tak właśnie jest. Jeśli odmawia się dotacji na badania jakiejkolwiek gałęzi wiedzy, gałąź ta umiera. Oni zabili neutrinikę.

— Ale dlaczego?

— Tego nie wiem. Chcę, aby pan to odkrył. Zrobiłbym to sam, gdybym miał dostateczną wiedzę. Przyszedłem do pana, ponieważ jest pan młody, posiada pan nowoczesne wykształcenie. Czy pańskie arterie intelektualne całkiem już stwardniały? Czy nie ma w panu ciekawości? Nie chce pan wiedzieć? Nie chce pan znaleźć odpowiedzi?

Historyk wpatrywał się z napięciem w twarz Fostera. Ich nosy niemal się stykały, lecz Foster tak dalece stracił kontenans, że nawet nie przyszło mu na myśl odsunąć się.

Miał prawo wyprosić Potterleya. Gdyby zaszła konieczność — nawet wyrzucić. Powstrzymał go od tego nie szacunek dla wieku i pozycji. Nie przekonały go również argumenty Potterleya. Była to raczej ambicja na punkcie własnej uczelni.

Dlaczego w M.I.T. nie wykładano neutriniki? Teraz, gdy sam zaczął zastanawiać się nad tym, zwątpił, czy w bibliotece uczelni znajdowała się choć jedna książka poświęcona neutrinice. Nie mógł sobie przypomnieć, aby kiedykolwiek jakąś widział.

Przestał myśleć o tym.

I to była jego klęska.

* * *

Caroline Potterley była niegdyś atrakcyjną kobietą. Zdarzały się okazje, takie jak przyjęcia czy uroczystości uniwersyteckie, kiedy — dzięki znacznym wysiłkom — resztki tej atrakcyjności ożywały.

Na co dzień Caroline była „oklapnięta”. Słowo to stosowała wobec siebie w chwilach samoodrazy. Z biegiem lat utyła, ale zwiotczałość nie była całkowicie dziełem tuszy. Wyglądało to tak, jak gdyby jej mięśnie całkowicie dały za wygraną, idąc szurała nogami, pod oczami utworzyły się worki, policzki obwisły. Nawet jej siwiejące włosy wyglądały na zmęczone. Ich sztywność zdawała się być wyłącznie rezultatem leniwego poddania się prawu ciążenia.

Caroline przyglądając się swemu odbiciu w lustrze stwierdziła, że jest to jeden z jej złych dni. Znała przyczynę tego stanu — był nią sen o Laurel. Dziwny sen o Laurel dorosłej. Poczuła się bardzo nieszczęśliwa.

Szkoda, że powiedziała o tym Arnoldowi. Jak zwykle nie

zareagował, ale z pewnością go to przygnębiło. Przez kilka następnych dni był szczególnie zamknięty w sobie. Może przygotowywał się do ważnej konferencji z wysokim urzędnikiem państwowym — powtarzał stale, że nie spodziewa się pomyślnych rezultatów — ale mógł to również sprawić jej sen.

Wolała, gdy dawniej krzyczał na nią ostro: „Pozwól umrzeć przeszłości, Caroline! Rozmowy ani sny nie przywrócą nam Laurel!"

To było straszne dla nich obojga. Wręcz potworne. Tego wieczoru nie było jej w domu — i stąd tak nękało ją poczucie winy. Gdyby wówczas została, gdyby nie wyszła po niepotrzebne zakupy, któreś z nich dwojga może zdołałoby uratować Laurel.

Biednemu Arnoldowi nie udało się. Bóg świadkiem, że próbował. Omal sam nie stracił życia. Dusząc się i zataczając z bólu, wybiegł z płonącego domu, cały w pęcherzach, na wpół ślepy — z martwą Laurel w ramionach.

Koszmar powracał w snach, nigdy nie znikając całkowicie.

Z czasem Arnold zamknął się jak gdyby w skorupie. Wyrobił w sobie cichą łagodność, która nic nie burzyła, nie ciskała błyskawic. Stał się purytaninem, zrezygnował nawet ze swych drobnych słabostek, papierosów, skłonności do sporadycznych przekleństw. Uzyskał dotację na opracowanie nowej historii Kartaginy i podporządkował wszystko temu przedsięwzięciu.

Próbowała mu pomóc. Wyszukiwała dla niego informacje, przepisywała na maszynie notatki i robiła z nich mikrofilmy. Nagle wszystko się skończyło.

Pewnego dnia zerwała się gwałtownie od biurka i ledwie zdążyła do łazienki, gdzie ją chwyciły wymioty. Mąż pobiegł za nią zakłopotany i pełen niepokoju.

— Caroline, co się stało?

Kropla brandy przywróciła jej przytomność.

— Czy to prawda? — spytała. — To, co robili? — Kto robił?

— Kartagińczycy.

Wpatrywał się w nią pytająco, ale ona nie mogła zdobyć się na powiedzenie tego wprost.

Otóż Kartagińczycy oddawali boską cześć Molochowi, brązowemu posągowi z paleniskiem w brzuchu. W czasach kryzysu państwowego ludność gromadziła się pod przewodnictwem kapłanów i po odpowiednich obrzędach i modłach, wrzucano niemowlęta w płomienie.

Tuż przed krytycznym momentem dawano im słodycze, aby nie zniweczyć skuteczności ofiary krzykami przerażenia. A potem dudnienie bębnów zagłuszało krzyk żywcem palonych. Obecni przy tam rodzice byli zapewne szczęśliwi, gdyż ich ofiara cieszyła bogów…

Arnold Potterley zmarszczył posępnie brwi. Zaczął jej wyjaśniać,

że są to złośliwe kłamstwa wymyślone przez wrogów Kartaginy. Powinien był ją ostrzec. Takie kłamstwa zresztą nie były niczym niezwykłym. Według źródeł greckich starożytni Hebrajczycy czcili głowę osła w swym sanktuarium, według rzymskich — pierwsi chrześcijanie nienawidzili wszystkich ludzi i składali w ofierze pogańskie dzieci w katakumbach.

— A więc to nieprawda?

— Oczywiście że nie. Mogli to robić pierwotni Punijczycy. Składanie żywej ofiary jest zjawiskiem powszednim w pierwotnych kulturach. Ale Kartagina w dniach swej wielkości nie była kulturą pierwotną. Ofiarę z ludzi często zastępowały czynności symboliczne, jak na przykład obrzezanie. Być może Grecy i Rzymianie czy to przez ignorancję, czy to przez złą wolę, wzięli kartagiński symbolizm za autentyczny obrządek.

— Czy jesteś tego pewien?

— Nie mogę być całkiem pewien, Caroline, ale gdy będę już miał wystarczające dowody, zwrócę się o pozwolenie zastosowania chronoskopii i sprawa zostanie wyjaśniona raz na zawsze.

— Chronoskopii?

— Wejrzenia wstecznego. Możemy uzyskać obraz starożytnej Kartaginy w momencie jakiegoś kryzysu, na przykład wylądowania Scypiona Afrykańskiego w 202 roku p.n.e. i zobaczyć na własne oczy, co się naprawdę zdarzyło. Przekonasz się, że mam rację.

Pogłaskał ją i uśmiechnął się krzepiąco, ale jej przez następne dwa tygodnie co noc śniła się Laurel. Nigdy więcej nie pomogła mu w jego kartagińskim przedsięwzięciu. Nigdy też jej o to nie poprosił.

Teraz spodziewała się go lada godzina. Dzwonił już do niej z miasta, informując o swej rozmowie z wysokim urzędnikiem państwowym i o tym, że sprawa przybrała oczekiwany przez niego obrót. Oznaczało to przegraną, a jednak w głosie jego nie słyszało się zdradzieckich oznak depresji, a twarz na ekranie wideofonu była spokojna. Dodał, że przed powrotem do domu musi jeszcze coś załatwić.

Domyśliła się, że wróci późno, co zresztą nie miało znaczenia. Żadne z nich nie przykładało wagi do godzin posiłków ani nie troszczyło się o to, jakie opakowania wyjąć z zamrażalnika, czy też kiedy włącza się mechanizm samoogrzewający.

Gdy wrócił, zdziwiła się. W jego zachowaniu nie było nic, co by się szczególnie rzucało w oczy. Pocałował ją jak zwykle, uśmiechnął się, po czym zdjął kapelusz i spytał, co słychać nowego. Wszystko było nieomal doskonale normalne. Nieomal.

Nauczyła się jednak dostrzegać drobiazgi — jego chód był nieco szybszy niż zwykle. Zdradziło to jej doświadczonemu oku, że był w stanie napięcia.

— Czy coś się stało? — spytała.

— Pojutrze wieczorem będziemy mieli gościa na kolacji, Caroline — odparł. — Czy masz coś przeciwko temu?

— Skądże. Ktoś znajomy?

— Nie. Młody wykładowca. Nowy. Rozmawiałem z nim. — Nagle odwrócił się ku niej, chwycił ją za ramiona, trzymał tak przez chwilę, po czym puścił zawstydzony, że okazał wzruszenie.

— Niewiele brakowało, a nie dogadałbym się z nim. Pomyśl tylko. Straszne, straszne, jak ugięliśmy się pod jarzmem, straszne, jak się do niego przywiązaliśmy!

Caroline Potterley nie była pewna, czy dobrze rozumie, ale już od roku obserwowała, jak jej mąż staje się coraz bardziej buntowniczy, coraz śmielszy w krytyce rządu.

— Mam nadzieję, że nie mówiłeś żadnych głupstw? — spytała.

— Nie wiem, co masz na myśli. Będzie zajmował się dla mnie neutriniką.

„Neutrinika” oznaczała dla pani Potterley jakiś czterosylabowy nonsens, wiedziała jednak, że nie ma ona nic wspólnego z historią.

— Arnoldzie — zaczęła nieśmiało — nie chcę, żebyś to robił. Stracisz pozycję. To jest…

— Anarchia intelektualna, kochanie — dokończył. — Tego zwrotu chciałaś użyć. Doskonale. Jestem anarchistą. Skoro rząd nie pozwala mi pchnąć naprzód moich badań, zrobię to na własną rękę. A kiedy pokażę drogę, inni pójdę moim śladem. Jeżeli nie, mniejsza z tym. Liczy się Kartagina i wiedza ludzka, a nie ty czy ja.

— Ale przecież nie znasz tego młodego człowieka. Może jest agentem Pełnomocnika d/s Badań?

— Mało prawdopodobne. Zaryzykuję. — Potarł zwiniętą pięścią lewą dłoń. — On teraz jest po mojej stronie. Dam sobie głowę uciąć. Nic na to nie poradzi — jest i koniec. Umiem rozpoznać intelektualną ciekawość w oczach, twarzy i postawie człowieka, a to jest choroba zgubna dla nieodpornego naukowca. Nawet dziś leczenie jest trudne i wymaga czasu, a młodzi są na tę chorobę bardzo podatni. Dlaczego poprzestawać na byle czym? Dlaczego nie zbudować własnego chronoskopu i kazać rządowi iść do…

Przerwał nagle, potrząsnął głową i odwrócił się.

— Mam nadzieję, że wszystko będzie dobrze — powiedziała pani Potterley, starając się ukryć niedobre myśli oraz zrozumiały lęk o profesorski status swego męża i zabezpieczenie na starość.

Ona jedna z nich wszystkich wyraźnie przeczuwała kłopoty. Bardzo przykre kłopoty.

* * *

Jonas Foster spóźnił się na kolację do Potterleyów prawie o pół godziny. Do końca nie był zdecydowany, czy skorzysta z zaproszenia. W ostatniej chwili doszedł jednak do wniosku, że nie wolno mu popełnić takiej zbrodni towarzyskiej, jaką byłoby odwołanie wizyty na krótko przed umówioną godziną. Poza tym nie dawała mu spokoju ciekawość.

Kolacja ciągnęła się w nieskończoność. Foster jadł bez apetytu. Pani Potterley siedziała roztargniona. Włączyła się do rozmowy tylko raz, pytając, czy jest żonaty, a na odpowiedź przeczącą, mruknęła coś z dezaprobatą. Doktor Potterley podjął neutralny temat, zaczął go wypytywać o karierę zawodową i słuchając, kiwał głową potakująco.

Trudno wyobrazić sobie coś równie sztywnego, ciężkiego i nudnego.

Wygląda tak nieszkodliwie, myślał Foster.

Ostatnie dwa dni spędził na czytaniu wszystkich materiałów dotyczących Potterleya, ale w sposób dorywczy i niemal ukradkiem. Wolał, by go nie widywano w Bibliotece Nauk Społecznych. Wprawdzie historia jest dziedziną z pogranicza literatury i dzieła historyczne często bywają czytywane w celach rozrywkowych lub poznawczych, niemniej trudno do tego ogółu zaliczyć fizyka. Uznano by go za dziwaka i po krótkim czasie kierownik katedry zadałby sobie pytanie, czy jego nowy wykładowca jest „właściwym człowiekiem na właściwym miejscu."

Był więc ostrożny. Sadowił się w odosobnionych niszach, wkradał się i wymykał o różnych godzinach.

Okazało się, że doktor Potterley napisał trzy książki oraz kilka tuzinów artykułów na temat starożytnych państw śródziemnomorskich. Wszystkie ostatnie artykuły — zamieszczane w „Przeglądzie Historycznym" — dotyczyły przedrzymskiej Kartaginy i traktowały o niej z dużą dozą sympatii.

To przynajmniej zgadzało się z historią Potterleya i uśmierzyło nieco podejrzenia Fostera. Mimo to czuł, że byłoby znacznie mądrzej i bezpieczniej, gdyby zaniechał tej sprawy w zarodku.

Naukowiec nie powinien być zbytnio ciekawy, myślał niezadowolony z siebie. To bardzo niebezpieczna cecha.

Po kolacji Potterley zaprowadził go do swego gabinetu. Foster stanął w progu jak wryty — ściany pokoju były dosłownie od góry do dołu zastawione książkami.

Nie mikrofilmami, co byłoby normalne. Oczywiście, znajdowały się tam i mikrofilmy, ale ilość ich była znikoma w porównaniu z ilością normalnie drukowanych książek. Zaniepokoił się. Po co trzymać tyle książek w mieszkaniu, jeśli bez trudu można wypożyczyć mikrofilm z Biblioteki Uniwersyteckiej lub w najgorszym razie z Biblioteki Kongresu.

Taka biblioteka domowa kryła w sobie element tajemnicy. Pachniało to intelektualną anarchią. Dziwne, ale ta ostatnia myśl go uspokoiła. Chętniej widziałby w Potterleyu autentycznego anarchistę, niż grającego komedię płatnego prowokatora.

Odtąd godziny zaczęły płynąć szybko, a rozmowa stawała się coraz bardziej zadziwiająca.

— Otóż — mówił doktor Potterley jasnym spokojnym głosem — szło mi o znalezienie, o ile to możliwe, człowieka, który stosował już chronoskopię w swojej pracy. Oczywiście nie mogłem pytać otwarcie, ponieważ są to badania nielegalne.

— No tak — powiedział sucho Foster. Był trochę zaskoczony, że taki drobiazg mógł go powstrzymać.

— Używałem metod pośrednich…

Rzeczywiście. Foster zdumiał się masą listów dotyczących nie rozstrzygniętych zagadnień starożytnej kultury śródziemnomorskiej, w których to listach historyk raz po raz przemycał zdawkowe uwagi: „Ponieważ jednak nie stosowałem nigdy chronoskopii…”, lub: „W oczekiwaniu na załatwienie mojej prośby o dane chronoskopowe, co wygląda w tej chwili raczej mało prawdopodobnie…”

— Teraz nie dopytuję się na ślepo — ciągnął Potterley. — Instytut Chronoskopii wydaje co miesiąc broszurę, w której publikowane są prace dotyczące przeszłości określonej przy pomocy wejrzenia wstecznego. Ot, jedna lub dwie pozycje. Przede wszystkim poruszyła mnie błahość większości tych prac, ich nijakość. Dlaczegóż one miałyby mieć pierwszeństwo przed moimi? Napisałem więc do osób, które jak należało przypuszczać zajmowały się badaniami w kierunkach opisanych w broszurze. Żadna z nich nie używała chronoskopu. Prześledźmy teraz sprawę punkt po punkcie.

* * *

Foster, któremu już kręciło się w głowie od tej masy skrupulatnie zebranych przez Potterleya szczegółów, zapytał:

— Ale dlaczego?

— Nie wiem — odparł Potterley — mam jednak na ten temat pewną teorię. Chronoskop został wynaleziony przez Sterbinskiego — widzi pan, tyle wiem — i szeroko rozreklamowany. Następnie rząd przejął wynalazek i zabronił dalszych badań oraz jakiegokolwiek wykorzystania przyrządu. Ale w tej sytuacji ludzie mogliby zainteresować się, dlaczego nie jest wykorzystywany. Ciekawość jest wadą, doktorze Foster.

Owszem, zgodził się w duchu fizyk.

— A teraz proszę sobie wyobrazić skutki udawania — ciągnął

Potterley — że chronoskop jest wykorzystywany. Przestałoby to być czymś tajemniczym, stałoby się rzeczą codzienną. Nie byłoby dłużej stosownym obiektem dla legalnej ciekawości, ani też atrakcyjnym obiektem dla ciekawości nielegalnej.

— Pan jednak był ciekawy — zauważył Foster.

Potterley zniecierpliwił się.

— Mój przypadek to coś zupełnie innego — powiedział opryskliwie. — To musi być zrobione i nie pogodzą się ze śmiesznym sposobem, w jaki mnie stale zbywają.

Ciekawy i trochę paranoik, myślał Foster ponuro.

Paranoik czy nie, a jednak czegoś dopiął. Foster nie mógł już dłużej zaprzeczać, że jeśli chodzi o neutrinikę, dzieją się dość dziwne rzeczy.

Ale czego szuka Potterley? Ta myśl nie dawała Fosterowi spokoju. Jeśli nie usiłował poddać próbie jego etyki, to czego chciał?

Zaczął logicznie dopasowywać fakty. Powiedzmy, że intelektualny anarchista z domieszką paranoi chce użyć chronoskopu, a jest przekonany, że władze będą mu w tym przeszkadzać. Jak wtedy postąpi?

Przypuśćmy, że to byłbym ja. Cóż bym zrobił?

— A może chronoskop w ogóle nie istnieje? — powiedział cedząc słowo po słowie.

Potterley drgnął. Jego stoicki spokój jakby z lekka został zachwiany. W ułamku sekundy Foster dostrzegł coś, co na pewno nie było spokojem.

Historyk zdołał jednak zachować równowagę i rzekł:

— To niemożliwe, chronoskop musi istnieć.

— Dlaczego? Czy pan go widział? Albo ja? Być może tu znajdziemy wytłumaczenie wszystkiego. Czy strzegą tak przemyślnie chronoskopu, który mają? Może go w ogóle nie mają.

— Przecież Sterbinski żył. Zbudował chronoskop. To jest fakt.

— Książki tak podają — powiedział zimno Foster.

— Niech pan posłucha — Potterley chwycił Fostera za rękaw marynarki. — Potrzebuję chronoskopu. Muszę go mieć! Niech mi pan nie opowiada, że on nie istnieje! Najważniejsze dla nas jest zgłębienie na tyle neutriniki, aby móc…

Wyprostował się.

Foster wyswobodził rękaw. Nie czekał już na zakończenie zdania. Dopowiedział sam:

— Skonstruować własny?

Potterley miał kwaśną minę, jakby wolał nie nazywać rzeczy po imieniu. Niemniej zapytał:

— A czemuż by nie?

— Ponieważ jest to niemożliwe — odrzekł Foster. — Jeśli wierzyć

temu, co przeczytałem, skonstruowanie chronoskopu zajęło Sterbinskiemu dwadzieścia lat i kosztowało łącznie kilka milionów z różnych dotacji. Czy wydaje się panu, że zdołamy to powtórzyć nielegalnie? Załóżmy, że mamy czas, którego nie mamy, załóżmy, że jestem w stanie nauczyć się z książek dostatecznie dużo, w co wątpię — gdzie zdobędziemy pieniądze i odpowiedni sprzęt? Na miły Bóg, chronoskop wypełniłby przypuszczalnie pięciopiętrowy budynek!

— A więc nie pomoże mi pan?

— Coś panu powiem. Widzę tylko jeden sposób.

— A mianowicie? — spytał skwapliwie Potterley.

— Mniejsza z tym. Nieważne. Możliwe, że będę w stanie dowiedzieć się dostatecznie dużo, aby poinformować pana, czy rząd rozmyślnie nie pozwala na badania za pomocą chronoskopu. Możliwe, że potwierdzę dowody, które pan już posiada, albo też wykażę ich nieprawdziwość. Nie wiem, jaki to panu przyniesie pożytek w obydwu przypadkach, ale to wszystko, co mogę zrobić. To jest granica, której nie przekroczę.

* * *

Foster pożegnał się i wyszedł, a Potterley, zły na siebie, stał patrząc za nim. Jak mógł być tak nierozważny i pozwolić, aby tamten odgadł, że myśli on o budowie chronoskopu?! To było stanowczo przedwczesne.

Ale z drugiej strony, dlaczego ten młody głupiec wyskoczył z przypuszczeniem, że chronoskop w ogóle nie istnieje?

Musi istnieć. Musi. Po cóż twierdzić, że nie istnieje?

I dlaczego nie można by zbudować drugiego? W ciągu tych pięćdziesięciu lat od wynalazku Sterbinskiego nauka zrobiła ogromny postęp. A wiedza jest wszystkim, czego potrzebują.

Niechże więc młody człowiek gromadzi wiadomości, niech sądzi, że do tego ograniczy się jego rola. Gdy wstępuje się na drogę anarchii — nie ma ograniczeń. Gdyby nawet nie popychał go naprzód impuls tkwiący w nim samym, już pierwsze kroki byłyby wystarczającym błędem, aby pociągnąć za sobą dalsze. Potterley był absolutnie pewny, że nie zawaha się użyć szantażu.

Pomachał ostatni raz Fosterowi i spojrzał na niebo. Zaczynał padać deszcz.

Tak, tak. Jeśli zajdzie konieczność — użyje szantażu, nic go nie powstrzyma.

* * *

Foster prowadził samochód przez ponure peryferie miasta, prawie nie zauważając deszczu.

Powtarzał sobie, że jest głupcem, nie mógł jednak zostawić rzeczy w ich obecnym stanie. Musiał wiedzieć. Przeklinał swoją niezdyscyplinowaną ciekawość, ale to było silniejsze od niego.

Dotrze tylko do wujka Ralpha. Poprzysiągł sobie stanowczo, że na tym poprzestanie. W ten sposób nie stworzy żadnego dowodu przeciwko sobie, żadnego rzeczywistego dowodu. Wujek Ralph będzie dyskretny.

Nawiasem mówiąc, w skrytości ducha wstydził się wujka Ralpha. Nie wspomniał o nim Potterleyowi częściowo przez ostrożność, a częściowo dlatego, że nie miał ochoty patrzeć, jak tamten podnosi brwi i uśmiecha się kątem warg. Skryptorzy prac naukowych, jakkolwiek użyteczni, pozostawali nieco poza nawiasem, traktowani dość protekcjonalnie. Fakt, że jako grupa zawodowa zarabiali więcej niż naukowcy prowadzący badania, oczywiście, pogarszał tylko sprawę.

Niemniej w pewnych sytuacjach skryptor w rodzinie był ogromną wygodą. Nie pracując w żadnej dziedzinie naukowo, nie musiał się specjalizować. W rezultacie dobry skryptor prac naukowych wiedział praktycznie wszystko. A wujek Ralph był jednym z najlepszych.

* * *

Ralph Nimmo nie posiadał stopnia naukowego i był z tego raczej dumny.

— Stopień naukowy — powiedział kiedyś do Jonasa Fostera, gdy obaj byli jeszcze znacznie młodsi — jest pierwszym krokiem na drodze do ruiny. Nie chcesz zmarnować tego, co już zdobyłeś, więc bierzesz się za pracę doktorską. Kończysz jako kompletny ignorant we wszystkich dziedzinach pomijając jeden wąski wycinek niczego. Jeśli natomiast będziesz strzegł pieczołowicie swego umysłu i zachowasz go w stanie nie skażonym chaosem informacji aż do wieku dojrzałego, jeśli będziesz nasycał go wyłącznie inteligencją i trenował w jasnym, logicznym myśleniu, to zyskasz do dyspozycji potężny instrument i będziesz mógł zostać skryptorem prac naukowych.

Nimmo otrzymał swe pierwsze zlecenie w wieku dwudziestu pięciu lat, w niecałe trzy miesiące po ukończeniu praktyki i wejściu na rynek. Nadeszło ono w postaci zmiętego rękopisu, który z powodu języka, jakim był napisany, nie wywołałby — bez wnikliwego studiowania i natchnionych domysłów — błysku zrozumienia nawet u kompetentnego czytelnika. Nimmo rozebrał go na czynniki pierwsze, następnie — po pięciu długich i denerwujących rozmowach z

autorami-biofizykami — złożył z powrotem, czyszcząc język i czyniąc go klarownym i zrozumiałym.

— Czemu nie? — mówił do siostrzeńca, który odparowywał jego ostrą krytykę stopni naukowych, zarzucając mu zbytnią gotowość do trzymania się peryferii nauki. — Te peryferie są ważne. Twoi naukowcy nie potrafią pisać. Nie wymagamy przecież, aby byli arcymistrzami w szachach, czy też wirtuozami skrzypiec, czemu więc mielibyśmy oczekiwać, że potrafią wiązać ze sobą słowa? Dlaczego nie pozostawić tego specjalistom?

— Ale skryptorzy prac naukowych nie zdobywają uznania, wujku — zaprotestował młody Foster, który zaczynał właśnie swą akademicką karierę i był pełen najlepszych nadziei. — Mógłbyś być znakomitym badaczem.

— Niech ci się nawet przez moment nie wydaje, że nie zdobywam uznania — odpowiedział Nimmo. — Z pewnością biochemik czy stratometeorolog nie ukłoni mi się pierwszy, ale za to płacą mi całkiem dobrze. Wiesz, co się dzieje, kiedy na przykład pierwszorzędny chemik dowiaduje się, że Komisja obcięła jego roczny fundusz na usługi skryptorskie? Będzie walczył o uzyskanie funduszów wystarczających na pokrycie usług moich lub mego kolegi bardziej zażarcie niż o jonograf.

Uśmiechnął się szeroko, a Foster uśmiech odwzajemnił. W gruncie rzeczy był dumny ze swego wujka, choć zarazem wstydził się trochę tego pana o wydatnym brzuchu, okrągłej twarzy, serdelkowatych palcach, którego próżność kazała mu starannie maskować łysinę kosmykami włosów i ubierać się tak, że wyglądał jak rozrzucony stóg siana, ponieważ abnegacja była jego znakiem firmowym.

Tym razem, gdy Foster wchodził do zabałaganionego mieszkania wuja, na twarzy jego nie gościł uśmiech. Od wspomnianej rozmowy minęło dziewięć lat. Dziewięć lat, podczas których prace ze wszystkich dziedzin nauki napływały do Ralpha Nimmo w celu obróbki językowej i każda pozostawiała coś w jego chłonnym umyśle.

* * *

Nimmo jadł bezpestkowe winogrona, wrzucając je po jednym do ust. Rzucił kiść Fosterowi, a ten złapał ją w locie, po czym schylił się, aby podnieść pojedyncze grona, które upadły na podłogę.

— Zostaw to. Nie przejmuj się — powiedział niefrasobliwie Nimmo. — Sprzątaczka przychodzi tu raz na tydzień. Co się stało? Masz kłopoty z napisaniem podania o dotację?

— Właściwie się jeszcze do tego nie zabrałem.

— Co? Pospiesz się, chłopcze. Czekasz, bym ci zaproponował, że

dokonam ostatecznej obróbki?

— Za drogi jesteś dla mnie, wuju.

— Och, daj spokój! Przecież wszystko zostanie w rodzinie. Odstąp mi prawo publikacji i pieniądze nie będą musiały przechodzić z rąk do rąk.

Foster przytaknął.

— Jeśli mówisz poważnie — załatwione!

— Załatwione!

Rzecz jasna był to hazard, ale Foster wiedział dostatecznie dużo o skryptorskim kunszcie swego wuja, aby zdawać sobie sprawę, że może się opłacać. Odkrycie u ogółu zainteresowania ludźmi pierwotnymi, nową techniką chirurgiczną, czy jakąś gałęzią spationautyki oznaczało niekiedy bardzo kasowy temat w którymś z masowych środków przekazu.

To właśnie Nimmo spreparował na użytek naukowy serię prac Bryce'a i jego współpracowników na temat subtelnej struktury dwóch wirusów raka, za którą to pracę zażądał bagatelnej sumy tysiąca pięciuset dolarów, pod warunkiem, że prawa publikacji przejdą na niego. Następnie napisał tę samą pracę już na własne konto, w formie półdramatu dla trójwymiarowego video. Otrzymał za to dwadzieścia tysięcy dolarów zaliczki plus tantiemy po pięciu latach od pierwszej emisji.

— Co wiesz o neutrinice, wujku? — zapytał otwarcie Foster.

— O neutrinice? — W małych oczkach Ralpha Nimmo odmalowało się wyraźne zdziwienie. — Pracujesz w tej dziedzinie? Myślałem, że zajmujesz się optyką pseudograwitacyjną.

— Bo tak jest. O neutrinikę tylko pytam.

— Piekielnie głupio robisz. Przekraczasz swoje kompetencje. Wiesz o tym, prawda?

— Chyba nie zawiadomisz Komisji tylko dlatego, że jestem trochę ciekawy.

— Być może powinienem to zrobić, zanim wplączesz się w kłopoty. Ciekawość jest chorobą zawodową naukowców. Obserwowałem, jak to działa. Ten czy ów będzie się spokojnie zajmował swoim zagadnieniem, a potem ciekawość zawiedzie go w nieznane zaułki. Minie jeszcze trochę czasu i stwierdzi tak nikłe rezultaty swej pracy we właściwej dziedzinie, że ani rusz nie zdoła umotywować przedłużenia dotacji. Widziałem więcej…

— Chcę tylko wiedzieć — cierpliwie powiedział Foster — co ostatnio przeszło przez twoje ręce.

Nimmo pochylił się w tył, żując w zamyśleniu winogrona.

— Nic. Nigdy. Nie pamiętam, bym kiedykolwiek dostał jakąś pracę na temat neutriniki.

— Co takiego? — szczerze zdumiał się Foster. — Któż wiać

dostaje te prace?

— Doprawdy — powiedział Nimmo — nie mam pojęcia. Nie przypominam sobie, by ktoś wspominał o tym na dorocznych zjazdach. Myślę, że niewiele zrobiono w tej dziedzinie.

— Dlaczego?

— Ej tam, nie podniecaj się. Ja w każdym razie nie robię nic. Przypuszczam…

Foster był rozdrażniony.

— Więc nie wiesz?

— Powiem ci, co wiem o neutrinice. Zajmuje się zastosowaniami ruchu neutrino i sił oddziałujących…

— Tak, tak, oczywiście. Podobnie jak elektronika zajmuje się zastosowaniami ruchu elektronów i sił oddziałujących, a pseudograwityka zastosowaniami sztucznych pól grawitacyjnych. Nie po to do ciebie przyszedłem. Czy to wszystko, co wiesz?

— No i — ciągnął Nimmo spokojnie — neutrinika jest podstawą wejrzenia wstecznego. To jest wszystko, co wiem.

Foster zgarbił się na krześle, pocierając nerwowo policzek. Czuł gniewne niezadowolenie.

Idąc tu żywił podświadomą pewność, że Nimmo wskaże mu jakieś ostatnie sprawozdania, poruszy interesujące aspekty nowoczesnej neutriniki, dzięki czemu będzie mógł zakomunikować Potterleyowi, że nie miał on racji, że jego dane są nieprawdziwe, a wywód błędny.

Mógłby wówczas wrócić do swej właściwej pracy.

Ale teraz…

Myślał z irytacją: „A więc nie robią wiele w tej dziedzinie. Czy to wynik rozmyślnego zakazu? A jeśli neutrinika jest wyjałowioną dyscypliną? Możliwe. Nie wiem. Potterley również nie wie. Po cóż trwonić na darmo intelektualne zasoby ludzkości? Albo też badania są tajne z jakiegoś uzasadnionego powodu. Może to być…

Cały kłopot w tym, że musiał wiedzieć. Nie mógł pozostawić spraw w ich obecnym stanie. Nie mógł.

— Czy istnieje jakaś praca o neutrinice, wujku? Mam na myśli coś jasnego i prostego. Coś podstawowego.

Nimmo w zamyśleniu westchnął wydymając pulchne policzki.

— Zadajesz cholerne pytania. Jedyna, o jakiej słyszałem, została napisana przez Sterbinskiego i jeszcze kogoś. Nigdy jej nie widziałem, ale kiedyś wpadło mi w oczy coś na ten temat. Tak, Sterbinski i La Marr.

— Czy to ten Sterbinski, który wynalazł chronoskop?

— Chyba tak. To dowodzi, że książka powinna być dobra.

— Czy jest jakieś nowsze wydanie? Sterbinski zmarł trzydzieści lat temu.

Nimmo wzruszył ramionami i nic nie odpowiedział.

— Możesz się dowiedzieć?

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, wreszcie Nimmo poprawił się na krześle, aż skrzypnęło pod potężną masą jego ciała, i rzekł:

— Powiesz mi w końcu, o co w tym wszystkim chodzi?

— Nie mogę. Czy mimo to pomożesz mi? Zdobędziesz dla mnie kopię tej pracy?

— No cóż, to ty nauczyłeś mnie wszystkiego, co wiem o pseudograwityce. Winienem ci wdzięczność. Zgoda więc, ale pod jednym warunkiem.

— Jakim?

Nimmo spoważniał nagle.

— Że będziesz ostrożny, Jonas. Cokolwiek robisz w tym kierunku, w sposób oczywisty przekraczasz swoje kompetencje. Nie niszcz swej kariery tylko dlatego, że ciekawi cię coś, do czego nie jesteś powołany i co nie jest twoją sprawą. Rozumiesz?

Foster kiwnął głową, ale prawie nie słyszał. Był zaabsorbowany swoimi myślami.

* * *

W tydzień później Ralph Nimmo wtoczył swą okrągłą postać do uniwersyteckiego dwupokojowego mieszkania Fostera i oznajmił ochrypłym szeptem:

— Mam coś.

— Co? — natychmiast ożywił się Foster.

— Sterbinski i La Marr. — wyciągnął kopię, a raczej jej rożek z kieszeni swego obszernego płaszcza.

Foster odruchowo obejrzał się na drzwi i okna, upewniając się, czy są zamknięte i zasłonięte, potem wyciągnął rękę.

Kaseta filmowa łuszczyła się ze starości, błona była wyblakła i łamliwa.

— Czy to wszystko? — spytał żywo.

— Wdzięczność, mój chłopcze, jeszcze wdzięczność! — Nimmo usiadł i sięgnął do kieszeni po jabłko.

— Och, jestem wdzięczny, ale to takie starocie.

— Ciesz się, że choć to udało mi się dostać. Usiłowałem zdobyć film z Biblioteki Kongresu. Nic z tego. Książka należy do prohibitów.

— A więc w jaki sposób to zdobyłeś?

— Gwizdnąłem. — Ogryzał z chrzęstem jabłko. — W Bibliotece Publicznej w Nowym Jorku.

— Co?!

— Całkiem proste. Miałem, oczywiście, dostęp do regałów. Przekroczyłem łańcuch, gdy nikogo nie było, wyciągnąłem to i

wyszedłem sobie. Oni tam ufają ludziom. Nawiasem mówiąc, przez całe lata nie zauważą braku tej kopii. Ale ty raczej nie dopuść, by ktoś ją u ciebie zobaczył, siostrzeńcze.

Foster wpatrywał się w film, jakby mu parzył ręce.

Nimmo wyrzucił ogryzek i sięgnął po następne jabłko.

— Śmieszna rzecz. Nie ma nic nowszego w całej dziedzinie neutriniki. Żadnej monografii, żadnej pracy naukowej, żadnej wzmianki o postępie badań. Nic od czasu wynalezienia chronoskopu.

— Uhm — mruknął Foster nieobecny duchem.

* * *

Foster pracował wieczorami w domu Potterleya. Nie mógł zaufać swemu uniwersyteckiemu mieszkaniu. Wieczorna praca stała się dla niego ważniejsza od własnego podania o dotację. Chwilami odczuwał z tego powodu niepokój, ale wkrótce i to przestało go obchodzić.

Początkowo praca jego polegała na ciągłym przeglądaniu mikrofilmu. Później — na myśleniu (często w takich chwilach nie zauważał nawet, że taśma filmowa doszła do końca).

Od czasu do czasu Potterley schodził na dół, siadał, wpatrywał się w Fostera bystrymi oczami, jak gdyby oczekując, że procesy myślowe młodego naukowca skrystalizują się i ukażą wszystkie meandry swej drogi. Ingerował w dwojaki sposób. Nie pozwalał mu palić, a niekiedy mówił.

Nie była to rozmowa, nigdy. Raczej wygłaszany niskim głosem monolog, którym nie starał się przyciągnąć uwagi słuchacza. Wydawało się, że chce tylko rozładować wewnętrzne napięcie.

Kartagina! Zawsze Kartagina!

Kartagina, Nowy Jork starożytnych krajów śródziemnomorskich. Kartagina, imperium handlowe, królowa mórz. Kartagina, wszystko, czym udawały, że są Aleksandria i Syrakuzy. Kartagina, oczerniana przez swych wrogów i nie mówiąca słowa w swej obronie.

Foster na ogół nie słuchał, czasem jednak był do tego zmuszony. Wzdrygał się i robiło mu się niedobrze podczas krwawej opowieści o dzieciach składanych w ofierze.

Potterley mówił z przejęciem:

— Tak czy owak, to nieprawda. Dwu i pół tysiącletnia kaczka dziennikarska zapoczątkowana przez Greków i Rzymian. Oni mieli swoich niewolników, swoje ukrzyżowania i tortury, swoje walki gladiatorów. Nie byli święci. Historia o Molochu jest tym, co późniejsze stulecia nazwały wrogą propagandą, jest wielkim kłamstwem. Mogę tego dowieść. Mogę i, na Boga, zrobię to… zrobię…

Żarliwie mamrotał raz po raz tę obietnicę.

Pani Potterley również odwiedzała Fostera, ale rzadziej, zwykle we wtorki i czwartki, kiedy jej mąż z powodu wieczornych zajęć był w domu nieobecny.

Siedziała cicho, prawie się nie odzywając, z twarzą zwiotczałą i nalaną, oczami bez wyrazu, daleka i zamknięta w sobie.

Podczas pierwszej wizyty Foster, aczkolwiek przyszło mu to z trudem, spróbował dać jej do zrozumienia, że chce być sam.

— Czy panu przeszkadzam? — spytała bezbarwnym głosem.

— Nie, oczywiście, że nie — skłamał. — Po prostu… — urwał zmieszany.

Kiwnęła głową, jak gdyby przyjmując zaproszenie do pozostania. Otworzyła płócienną torbę, którą przyniosła ze sobą, wyjęła z niej librę vitronowych arkuszy, które zaczęła łączyć, manipulując szybko i delikatnie parą niewielkich czterofasetowych depolaryzatorów. Wyglądały w jej rękach jak ogromny pająk.

Pewnego wieczoru powiedziała miękkim tonem:

— Moja córka, Laurel, jest w pańskim wieku.

Foster drgnął zaskoczony zarówno nieoczekiwanym dźwiękiem jej głosu, jak i słowami.

— Nie wiedziałem, że państwo macie córkę.

— Ona umarła. Wiele lat temu.

Pod wpływem zręcznych manipulacji vitron przybierał kształt jakiejś części garderoby, której na razie Foster nie mógł zidentyfikować. Wymamrotał bez sensu:

— Bardzo mi przykro.

— Często mi się śni — westchnęła pani Potterley. Podniosła na niego swe niewidzące niebieskie oczy.

Drgnął i odwrócił wzrok.

Innym znów razem spytała, odrywając arkusz vi tronu przyczepiony z lekka do jej sukni:

— Co to właściwie jest wejrzenie wsteczne?

Foster, któremu jej uwaga przerwała skomplikowany tok myśli, odparł rozdrażnionym tonem:

— Doktor Potterley lepiej to pani wyjaśni.

— Próbował. Och, tak. Ale myślę, że mu trochę brak cierpliwości. Najczęściej nazywa to chronoskopią. Czy rzeczywiście widzi się sceny w przeszłości trójwymiarowo? Czy też są to tylko kropkowane kształty, tak jak z komputera, którego pan używa?

Foster spojrzał z niechęcią na swój ręczny komputer. Funkcjonował zupełnie dobrze, ale każda operacja musiała być sterowana ręcznie, a odpowiedzi uzyskiwało się zakodowane. Gdyby mógł korzystać z uczelnianego komputera… Ale o tym nie ma co marzyć, i tak obawiał się ściągnąć na siebie podejrzenia, opuszczając co wieczór swój gabinet z ręcznym komputerem pod pachą.

— Nigdy nie widziałem chronoskopu — odrzekł — ale mam wrażenie, że rzeczywiście ogląda się obrazy i słyszy dźwięk.

— Można także usłyszeć rozmowy ludzi?

— Myślę, że tak. — Potem rzekł na wpół z desperacją. — Proszę posłuchać, pani Potterley, to musi być dla pani okropnie nudne. Zdaję sobie sprawę, że nie chce pani pozostawić gościa samemu sobie, ale naprawdę, proszę się nie zmuszać…

— Ja się nie zmuszam — odparła. — Siedzę tu i czekam.

— Czeka pani? Na co?

Odparła ze spokojem:

— Podsłuchiwałam was pierwszego wieczora. Wtedy, gdy pan po raz pierwszy rozmawiał z Arnoldem. Podsłuchiwałam pod drzwiami.

— Co?!

— Wiem, że niełądnie postąpiłam, ale byłam bardzo niespokojna o Arnolda. Czułam, że zamierza zrobić coś, czego nie powinien. Chciałam za wszelką cenę dowiedzieć się…

I wtedy właśnie usłyszałam… — Przerwała, pochylając się nad vi tronem i wpatrując się weń z natężeniem.

— Co pani usłyszała?

— Że nie zbuduje pan chronoskopu.

— Oczywiście że nie.

— Myślałam, że może zmieni pan zdanie.

Foster utkwił w niej wzrok.

— Jeśli dobrze rozumiem, schodzi pani tu do mnie w nadziei, że zbuduję chronoskop, czeka pani, aż to zrobię.

— Tak, mam nadzieję, że pan to zrobi, doktorze Foster. Och, mam nadzieję!

Nagle jakby gęsty welon opadł z jej twarzy, odkrywając jasne i wyraziste rysy, przydając koloru policzkom, życia oczom, wywołując pełne napięcia drżenie w jej głosie.

— Czy nie byłoby cudowne — wyszeptała — mieć coś takiego? Ludzie przeszłości mogliby żyć ponownie. Faraonowie, królowie i… zwyczajni ludzie. Wierzę, że zbuduje pan chronoskop, doktorze Foster. Naprawdę… wierzę w to…

Wzruszenie zdławiło jej głos, pozwoliła arkuszom vitronu zsunąć się z kolan. Wstała i wybiegła z sutereny, a oczy Fostera śledziły jej niezdarne ruchy ze zdziwieniem i strapieniem.

* * *

Cała ta sprawa zapadła głęboko w duszę Fostera, nie mógł spać po nocach, nękany myślami aż do bólu. Było to coś w rodzaju niestrawności umysłowej.

Jego prośba o dotację kulejąc trafiła w końcu do Ralpha Nimmo. Nie miał prawie żadnej nadziei. Myślał w odrętwieniu: „Nic z tego nie będzie”.

Jeśli prośbę odrzucą, w katedrze wybuchnie skandal i prawdopodobnie jego kontrakt uniwersytecki nie zostanie odnowiony pod koniec roku akademickiego.

Nie przejmował się tym zbytnio. Neutrino, neutrino, tylko neutrino. Jego ślad wił się, skręcał gwałtownie i prowadził niezbadanymi ścieżkami, po których nie poruszali się nawet Sterbinski i La Marr.

Zadzwonił do Nimma.

— Wujku, potrzebuję kilku rzeczy. Dzwonię spoza terenu uniwersytetu.

Twarz Nimma na ekranie wideofonu była jowialna, ale głos ostry.

— Wiem, czego potrzebujesz — powiedział — przeszkolenia w zakresie komunikatywności. Mam cholerne kłopoty ze zrobieniem z twego podania czegoś do przełknięcia. Jeśli właśnie po to dzwonisz…

Foster niecierpliwie potrząsnął głową.

— Nie po to dzwonię. Muszę mieć te rzeczy. — Nagryzmolił coś szybko na kawałku papieru i przytrzymał przed kamerą wideofonu.

Nimmo jęknął.

— Ejże, do jakich jeszcze sztuczek jestem zdolny według ciebie?

— Możesz to zdobyć, wujku. Wiesz przecież, że tak. Nimmo przeczytał raz jeszcze listę pozycji samymi tylko ruchami grubych warg. Minę miał poważną.

— A co później? Gdy złożysz to wszystko do kupy?

Foster pokręcił głową.

— Masz wyłączne prawo publikacji wszystkiego, co zrobię. Jak zwykle. Ale, proszę, nie zadawaj mi teraz żadnych pytań.

— Nie potrafię robić cudów.

— Zrób ten jeden. Musisz. Jesteś skryptorem prac naukowych, a nie badaczem. Nie potrzebujesz tłumaczyć się z niczego. Masz przyjaciół i koneksje. Będą teraz patrzyli przez palce, aby przy okazji następnych publikacji wydębić od ciebie zniżkę.

— Twoja wiara we mnie, siostrzeńcze, jest wzruszająca. Spróbuję.

* * *

Ralph Nimmo dokonał jednak cudu. Prywatny samochód turystyczny przywiózł rzeczy późnym wieczorem. Nimmo i Foster wtaszczyli je do środka stękając przy tym i sapiąc, jako że nie przywykli do pracy fizycznej.

Po odejściu Nimma w drzwiach sutereny stanął Potterley.

— Na co to wszystko? — zapytał cicho.

Foster odgarnął włosy z czoła i pomasował lekko nadwerężony nadgarstek.

— Chcę przeprowadzić kilka prostych doświadczeń — odpowiedział.

— Doprawdy? — Oczy historyka płonęły podnieceniem. Foster był wyczerpany. Miał uczucie, jak gdyby czyjeś palce ściskały go za nos i prowadziły niebezpieczną drogą, a on, mimo że wyraźnie uświadamiał sobie czekającą na końcu tej drogi katastrofę, szedł ochoczo i zdecydowanie. Co najgorsze, czuł, że te palce na nosie, są jego własnymi palcami.

To Potterley był sprawcą wszystkiego, Potterley, który teraz stał, wlepiając w niego oczy, imperatyw jednak tkwił w samym Fosterze. Powiedział cierpko:

— Potrzebuję trochę odosobnienia, Potterley. Nie życzę sobie, abyście pan i pańska żona schodzili tu i naprzykrzali mi się.

Jeśli poczuje się obrażony, myślał, to niech mnie wykopie. Niech położy temu kres.

W głębi duszy był jednak przekonany, że to wykopanie niczemu by kresu nie położyło.

Tymczasem Potterley nie przejawił nawet cienia obrazy. Dalej patrzył łagodnym wzrokiem.

— Naturalnie, doktorze Foster, naturalnie. Takie odosobnienie, jakiego tylko pan sobie życzy.

Wyszedł. Foster został sam — dalej kroczył tą samą drogą, przekornie z tego zadowolony i równocześnie pełen nienawiści do siebie za to uczucie.

Zaczął nocować na składanym łóżku w suterenie Potterleya i spędzać tam całe weekendy.

W tym czasie nadeszła wstępną wiadomość, że jego podanie o dotację, uzdrowione przez Nimma, zostało zaakceptowane. Kierownik katedry zawiadomił go o tym i pogratulował sukcesu.

Foster popatrzył nań nieobecnym wzrokiem i mruknął: „Świetnie. Cieszę się.” — z tak małym przekonaniem, że kierownik zmarszczył brwi i odwrócił się bez słowa.

Foster natychmiast zapomniał o tej sprawie. To był drobiazg nie wart uwagi. On planuje coś, co naprawdę się liczy, decydującą próbę na ten wieczór.

* * *

Minął jeden, dwa, trzy wieczory, aż wreszcie zmizerowany i na wpół przytomny z podniecenia zawołał Potterleya.

Profesor stanął w połowie schodów i powiódł wzrokiem po skleconej przez Fostera aparaturze.

— Rachunki za elektryczność są bardzo wysokie — przemówił swoim łagodnym głosem. — Nie chodzi mi o wydatek, po prostu może to zwrócić uwagę władz miejskich. Czy jest na to jakaś rada?

Wieczór był ciepły, Potterley jednak miał na sobie kamizelkę i kołnierzyk zapięty pod szyją. Foster, ubrany tylko w podkoszulek, podniósł na niego załzawione oczy i rzekł drżącym głosem:

— To już nie będzie długo trwało, doktorze Potterley. Poprosiłem pana na dół, gdyż chcę panu coś oznajmić. Chronoskop może być zbudowany. Nieduży, oczywiście, ale może.

Potterley przytrzymał się poręczy. Postać jego zwiotczała nagle.

— Można go zbudować tutaj? — z trudem wydobył z siebie szept. — Tak, tutaj w suterenie.

— Mówił pan…

— Wiem, co mówiłem — wykrzyknął niecierpliwie Foster. — Mówiłem, że nie da się tego zrobić. Nie wiedziałem wtedy nic. Nawet Sterbinski nie wiedział.

Profesor potrząsnął głową.

— Jest pan pewien? Nie myli się pan, doktorze Foster? Nie przeżyłbym, gdyby…

— Nie mylę się — odparł Foster. — Do diabła, gdyby wiadomości teoretyczne były wystarczające, moglibyśmy mieć chronoskop już ponad sto lat temu, kiedy zaczęło się mówić o neutrino. Całe nieszczęście w tym, że pierwsi badacze uważali je wyłącznie za tajemniczą cząstkę elementarną nie posiadającą masy czy ładunku, które dałyby się wykryć. Było to po prostu coś dla wyrównania bilansu i uratowania zasady zachowania masy i energii.

Nie miał pewności, czy Potterley dobrze go rozumie. Było mu zresztą wszystko jedno. Pragnął obecności jakiejś żywej istoty, aby dać ujście swym skłębionym myślom. Potrzebował także tła do tego, co będzie musiał za chwilę oznajmić Potterley owi. Ciągnął więc:

— To Sterbinski pierwszy odkrył, że neutrino przedziera się przez barierę przekroju czynnego czasu i przestrzeni, że podróżuje przez czas i dlatego pozostaje nie wykryte. On pierwszy stworzył metodę zatrzymania neutrino. Wynalazł przyrząd, rejestrujący je i doszedł do tego, jak objaśnić wzór strumienia neutrino. Oczywiście, na strumień oddziałuje i odchyla go każda rzecz, przez którą neutrino przechodzi w swej podróży przez czas, a odchylenia mogą być analizowane i przekształcane w obrazy rzeczy, powodujących te odchylenia. Możliwe jest wejrzenie wsteczne. W ten sposób można wykryć nawet wibrację powietrza i przekształcić w dźwięk.

Potterley wyraźnie nie słuchał.

— Tak. Tak — mruknął. — Ale kiedy będzie pan w stanie

zbudować chronoskop?

— Proszę pozwolić mi skończyć — nalegał Foster. — Wszystko zależy od metody użytej do wykrywania i analizowania strumienia neutrino. Metoda Sterbinskiego była trudna i okrężna. Wymagała ogromnej energii. Ale ja studiowałem pseudograwitykę, doktorze Potterley, naukę o sztucznych polach grawitacyjnych. Specjalizowałem się w dziedzinie zachowania się światła w takich polach. To nowa nauka, Sterbinski nic o tym nie wiedział, inaczej znalazłby — każdy by znalazł — znacznie lepszą i wydajniejszą metodę, wykorzystującą pole pseudograwitacyjne. Gdybym zaczynając znał lepiej neutrinikę, od razu bym na to wpadł.

Potterley rozpogodził się trochę.

— Wiedziałem — rzekł. — Nawet jeśli wstrzymają badania w dziedzinie neutriniki, rząd nie może mieć żadnej absolutnie pewności, że odkrycia w innych gałęziach nauki nie dostarczą wiedzy na temat neutriniki. Taka jest wartość scentralizowanego zarządzania nauką. Doszedłem do tego wniosku na długo przedtem, zanim pan przystąpił tu do pracy, doktorze Foster.

— Gratuluję panu — powiedział Foster — ale jest jedna rzecz…

— Och, wszystko to nieważne. Niech pan mi odpowie, proszę. Kiedy pan będzie w stanie skonstruować chronoskop?

— Niech mi pan pozwoli dokończyć, doktorze Potterley. Chronoskop na nic się panu nie przyda. (Nareszcie mam to z głowy, pomyślał).

* * *

Potterley powoli zszedł ze schodów. Stanął, patrząc Fosterowi prosto w oczy.

— Co chce pan przez to powiedzieć? Dlaczego ma się nie przydać na nic?

— Nie zobaczy pan Kartaginy. To jest właśnie to, co chciałem panu powiedzieć. To jest to, do czego prowadziłem. Nigdy nie będzie pan mógł zobaczyć Kartaginy.

— Och, nie, myli się pan. Jeśli pan będzie miał chronoskop, nastawimy po prostu odpowiednią ostrość….

— Nie, doktorze Potterley. To nie kwestia ostrości. Istnieją przypadkowe czynniki, które oddziałują na strumień neutrino, tak jak oddziałują na wszystkie cząstki elementarne atomu. Nazywamy to zasadą niepewności. Gdy strumień jest zarejestrowany i zinterpretowany, przypadkowy czynnik występuje jako brak wyrazistości lub „szumy”, jak nazywają to łącznościowcy. Im dalej przenika się w głąb czasu, tym większy jest brak wyrazistości, większe

szumy. Wreszcie szumy zatapiają obraz. Czy rozumie pan?

— Większa moc — rzekł Potterley martwym głosem.

— To nie pomoże. Kiedy szumy rozmazują jakiś detal, powiększa się on, powodując z kolei zwiększanie się szumów.

Nie zobaczy pan nic na wyblakłym filmie powiększając go, prawda? Własności fizyczne wszechświata stawiają pewne ograniczenia. Przypadkowe ruchy termiczne molekuł powietrza wyznaczają granice wykrywalności dźwięku za pomocą przyrządu. Długość fali świetlnej lub elektronowej stawia ograniczenia co do wielkości obiektów, dających się zobaczyć za pomocą przyrządu. W ten sam sposób działa to w chronoskopii. Może pan zastosować wejrzenie wsteczne do określonej głębokości.

— Ale jak głęboko? Jak?

Foster zaczerpnął tchu.

— Sto dwadzieścia pięć lat. To jest maksimum.

— Przecież miesięczny biuletyn Komisji dotyczy niemal całkowicie historii starożytnej. — Potterley zaśmiał się nerwowo. — Pan się myli! Rząd jest w posiadaniu danych aż z trzechtysięcznego roku przed naszą erą!

— Odkąd to zaczął pan im wierzyć? — spytał pogardliwie Foster. — Rozpoczął pan tę całą historię od udowadniania mi kłamstwa, gdy utrzymywałem, że żaden historyk nie korzystał z chronoskopu. Czy nie rozumie pan teraz, dlaczego? Bo nic by mu to nie dało, z wyjątkiem kogoś zainteresowanego historią współczesną. Żaden chronoskop, w żadnych warunkach, nie może wejrzeć w głąb czasu dalej niż do roku 1950.

— Myli się pan. Nie wie pan wszystkiego — powtarzał Potterley.

— Prawda nie zawsze jest taka, jaką chciałby pan ją widzieć. Niech pan zrozumie. Rola rządu polega tu na podtrzymywaniu oszustwa.

— Dlaczego?

— Nie wiem.

Perkaty nos Potterleya drgał. Oczy wychodziły z orbit.

— To tylko teoria, doktorze Foster. Niech pan zbuduje chronoskop — błagał. — Niech pan zbuduje i wypróbuje.

Foster uwięził ramię Potterleya w gwałtownym uścisku.

— Czy myśli pan, że go nie mam? Że powiedziałbym panu to wszystko przed sprawdzeniem na wszelkie znane mi sposoby? Zbudowałem chronoskop. Znajduje się tu, obok pana. Niech pan spojrzy.

Podbiegł do przełączników kabli zasilających. Nacisnął jeden po drugim. Wyregulował opornik, pokręcił gałkami, zgasił światło w piwnicy.

— Niech pan zaczeka. Musi się rozgrzać.

Mniej więcej pośrodku ściany ukazał się malutki jasny punkt. Potterley wymamrotał coś bez związku, ale Foster znów krzyknął:

— Niech pan patrzy!

Światło wyostrzyło się, rozjaśniło, następnie rozłamało na ciemne i jasne desenie. Kobiety i mężczyźni! Niewyraźni. Rysy zamazane. Ręce i nogi — po prostu smugi. Przemknął staromodny naziemny pojazd, niewyraźny, ale dający się rozpoznać, jeden z tych używanych ongiś z silnikiem spalinowym na benzynę.

— Połowa dwudziestego wieku — powiedział Foster. — Nie mogę złapać na razie fonii, dlatego nic nie słychać. Z czasem dodamy dźwięk. W każdym razie połowa dwudziestego wieku stanowi właśnie tę najgłębszą granicę, poza którą nie zdołamy sięgnąć. Proszę mi wierzyć, to jest najlepsza ostrość, jaką można uzyskać.

— Niech pan zbuduje większy aparat, silniejszy. Niech pan ulepszy obwody.

— Człowieku, nie pokona pan przecież zasady niepewności, podobnie jak nie można zamieszkać na Słońcu. Istnieją granice fizyczne wszelkich poczynań.

— Kłamie pan. Nie wierzę panu. Ja…

* * *

Nagle dobiegł ich uszu jeszcze jeden głos natężony aż do ostrego krzyku.

— Arnoldzie! Doktorze Foster!

Młody fizyk obejrzał się natychmiast. Potterley zamarł na długą chwilę, po czym spytał nie odwracając się:

— Co to ma znaczyć, Caroline? Wyjdź stąd!

— Nie! — Pani Potterley zeszła ze schodów. — Słyszałam wszystko. Musiałam wysłuchać. Czy nią pan chronoskop tu na miejscu, doktorze Foster?

— Tak, proszę pani. Rodzaj chronoskopu. Nie najlepszy. Nie mogę uzyskać dźwięku, obraz jest piekielnie zamazany, ale chronoskop działa.

Pani Potterley splotła dłonie i przycisnęła mocno do piersi.

— Cudownie! Cudownie!

— Wcale nie cudownie — warknął Potterley. — Młody głupiec nie potrafi sięgnąć wstecz głębiej niż…

— Niechże pan pozwoli… — zaczął Foster z irytacją.

— Chwileczkę! — krzyknęła pani Potterley. — Wysłuchajcie mnie. Arnoldzie, czy nie rozumiesz, że skoro uda się z jego pomocą sięgnąć dwadzieścia lat wstecz, możemy znów zobaczyć Laurel? Co nas obchodzi Kartagina i czasy starożytne! Możemy zobaczyć Laurel!

Ona znów dla nas ożyje. Niech pan tu zostawi ten przyrząd, doktorze Foster. Proszę nam pokazać, jak się go uruchamia.

Foster spojrzał na nią, potem na jej męża. Twarz Potterleya zbielała. I choć mówił głosem niskim i równym, jego spokój zniknął.

— Jesteś głupia!

— Arnoldzie! — jęknęła słabo pani Potterley.

— Jesteś głupia, powtarzam jeszcze raz. Co zobaczysz? Przeszłość. Martwą przeszłość. Czy Laurel zrobi choćby jedną rzecz, której nie robiła? Czy zobaczysz coś, czego przedtem nie widziałaś? Nie, będziesz przeżywać w kółko tamte trzy lata, patrząc na dziecko, które nigdy nie dorośnie, choćbyś oczy wypatrzyła!

Głos mu się z lekka załamał, ale opanował się. Podszedł do niej, chwycił za ramię i potrząsnął brutalnie.

— Czy wiesz, co stanie się z tobą, jeśli to zrobisz? Przyjdą po ciebie i zabiorą, ponieważ zwariujesz! Tak, zwariujesz! Czy chcesz być zamknięta, poddawana badaniom psychiatrycznym?

Pani Potterley wyrwała się. Nie było w niej śladu łagodności czy niezdecydowania. Zmieniła się w megierę.

— Chcę zobaczyć moje dziecko, Arnoldzie. Ona jest w tym aparacie. Chcę ją mieć!

— Nie ma jej. Jest tylko obraz. Nie możesz tego zrozumieć? Obraz! Coś nierealnego!

— Chcą mieć moje dziecko! Słyszysz?! — rzuciła się na niego wrzeszcząc i tłukąc go pięściami. — Chcę mieć moje dziecko!

Historyk krzyknął zaskoczony szaleńczą gwałtownością ataku. Foster chciał ich właśnie rozdzielić, gdy pani Potterley, szlochając dziko, osunęła się na podłogę.

Potterley odwrócił się, szukając czegoś pełnymi desperacji oczami. Nagłym ruchem chwycił pręt, zamachnął się, nim Foster sparaliżowany tą sceną zdążył go powstrzymać.

— Odsuń się! — wrzasnął Potterley prawie bez tchu. — Albo cię zabiję! Przysięgam!

Znów zamachnął się wściekle. Foster uskoczył.

Potterley rzucał się z furią na każdą część stojącego w piwnicy aparatu, Foster zaś po pierwszym brzęku tłuczonego szkła już tylko przyglądał się osłupiały.

Wreszcie Potterley wyładował swą furię, stanął spokojnie pośród skorup i drzazg z połamanym prętem w dłoni.

— A teraz niech się pan stąd wynosi! — szepnął patrząc na Fostera. — I nigdy nie wraca! Jeżeli poniósł pan jakieś koszta, proszę przysłać rachunek. Zapłacę podwójnie.

Foster wzruszył ramionami, włożył koszulę i zaczął wchodzić po schodach na górę. Słyszał głośne szlochanie pani Potterley, a kiedy obejrzał się po raz ostatni, zobaczył doktora Potterleya schylającego

się nad nią z twarzą wykrzywioną cierpieniem.

W dwa dni później, gdy dzień uniwersytecki miał się ku końcowi, a Foster, znużony, sprawdzał, czy nie nadeszły jakieś dane dotyczące jego niedawno zatwierdzonego projektu, które chciał zabrać do domu, raz jeszcze pojawił się doktor Potterley. Stał w otwartych drzwiach gabinetu.

Wyglądał, jak zwykle, bardzo schludnie. Uniósł rękę gestem, który był zbyt niezdecydowany jak na pozdrowienie, a zbyt nieudolny jako przeprosiny. Foster patrzył na niego lodowatym wzrokiem.

— Czekałem do piątej, aż pan będzie… Czy mogę wejść? — spytał Potterley.

Foster skinął głową.

— Sądzę, że powinienem przeprosić pana. Byłem straszliwie zawiedziony, nie panowałem nad sobą. Niemniej zachowałem się w sposób niewybaczalny.

— Przyjmuję pańskie przeprosiny — odrzekł Foster. — Czy to wszystko?

— Podobno moja żona dzwoniła do pana?

— Owszem, dzwoniła.

— Jest zupełnie rozhisteryzowana. Poinformowała mnie o tym, ale nie mogłem mieć pewności…

— Dzwoniła do mnie.

— Czy zechce mi pan powiedzieć… czy byłby pan uprzejmy powiedzieć mi, czego chciała?

— Chciała mieć chronoskop. Oświadczyła, że ma trochę własnych pieniędzy. Proponowała zapłatę.

— Czy pan… zobowiązał się w jakikolwiek sposób?

— Odpowiedziałem, że nie zajmuję się produkcją.

— To dobrze — odetchnął z ulgą Potterley. — Proszę nie przyjmować żadnych telefonów od niej. Ona nie jest… całkiem….

— Niech pan posłucha, doktorze Potterley — powiedział Foster. — Nie wtykam nosa w kłótnie rodzinne, lepiej jednak, by pan sobie zdawał z pewnych rzeczy sprawę. Chronoskop może być zbudowany przez każdego. Jeśli zdobędzie pan kilka prostych części, które można kupić przez ośrodek handlowy drogą radiową, może pan go zbudować w domowym warsztacie, a przynajmniej część video.

— Ale przecież nikt oprócz pana o tym nie pomyśli. Dotychczas nikomu to nie przyszło do głowy.

— Nie zamierzam robić z tego tajemnicy.

— Nie może pan przecież tego opublikować: To są badania nielegalne.

— To absolutnie nie ma znaczenia, doktorze Potterley.

Najwyżej stracę moją dotację. Jeżeli nie spodoba się to uniwersytetowi, złożę rezygnację. To zupełnie już nie ma znaczenia.

— Ależ pan nie może tego zrobić!

— Do tej pory — powiedział Foster — nie obchodziło pana, że ryzykuję utratą funduszów i pozycji. Czemu teraz przejawia pan taką dbałość o mnie? Pozwoli pan, że coś panu wyjaśnię. Kiedy przyszedł pan do mnie po raz pierwszy, wierzyłem w zorganizowane i kierowane badania. Uważałem pana, doktorze Potterley, za intelektualnego anarchistę i niebezpiecznego człowieka. Ale z takiej czy innej przyczyny od miesięcy sam stałem się anarchistą i osiągnąłem wielkie rzeczy. Nie dlatego, że jestem genialnym uczonym. Wcale nie. A więc dlaczego? Otóż, gdy badania naukowe są kierowane odgórnie, pozostają dziury, które mogą być wypełnione przez kogokolwiek, kto umie spojrzeć we właściwym kierunku. I każdy mógłby wiele osiągnąć, gdyby rząd aktywnie nie usiłował temu zapobiec. Niech pan mnie dobrze zrozumie. Ciągle wierzę, że kierowane badania mogą być użyteczne. Nie jestem zwolennikiem odwrotu do całkowitej anarchii. Ale musi istnieć coś pośredniego. Badania kierowane winny zachować elastyczność. Trzeba pozwolić naukowcom, aby podążali tropem swej ciekawości, przynajmniej w wolnym czasie.

Potterley usiadł.

— Porozmawiajmy o tym, Foster, — rzekł ujmująco. — Doceniam pański idealizm. Jest pan młody. Chce pan sięgnąć do gwiazd. Ale nie może pan zniszczyć samego siebie z powodu ekstrawaganckich zapatrywań na istotę badań. Ja pana w to wciągnąłem. Jestem za to odpowiedzialny i ostro siebie potępiam. Działałem pod wpływem emocji. Moje zainteresowanie Kartaginą zaślepiło mnie, byłem głupcem.

Foster przerwał mu.

— Mam uwierzyć, że zmienił się pan całkowicie w ciągu dwóch dni? Kartagina nic już nie znaczy? Hamowanie badań przez rząd też nie ma znaczenia?

— Nawet taki głupiec jak ja może się czegoś nauczyć, Foster. Moja żona mnie nauczyła. Teraz rozumiem, dlaczego rząd zakazał badań w dziedzinie neutriniki. Jeszcze dwa dni temu nie rozumiałem. A dziś ten zakaz w pełni aprobuję. Widział pan, w jaki sposób zareagowała moja żona na wieść, że mamy u siebie chronoskop. Przewidywałem użycie chronoskopu do celów badawczych. Ona widziała w tym tylko przyjemność neurotycznego powracania do własnej przeszłości, martwej przeszłości. Badacze w ścisłym tego słowa znaczeniu, Foster, stanowią mniejszość. Tacy ludzie jak moja żona będą przeważali. Rząd stoi na stanowisku, że popieranie chronoskopii umożliwiłoby ludziom wejrzenie nie tylko we własną, lecz i w cudzą przeszłość. Urzędnicy państwowi byliby narażeni na szantaż i niestosowną presję, bo któż na tym świecie ma absolutnie

czyste konto. Jakikolwiek zorganizowany rząd byłby nie do pomyślenia. Foster oblizał wargi.

— Możliwe. Możliwe, że stanowisko rządu jest w pewnym stopniu usprawiedliwione. Ale tu chodzi o ważną zasadę. Któż wie, jakie jeszcze osiągnięcia nauki mogą być blokowane, skoro uczeni są zepchnięci na wąską ścieżkę. Jeżeli chronoskop stanie się powodem przerażenia kilku polityków, jest to cena, którą trzeba zapłacić. Ogół powinien uświadomić sobie, że nauka musi być wolna i najbardziej dramatycznym sposobem, aby tego dopiąć, jest publikacja mojego odkrycia — tak czy inaczej, legalnie czy nielegalnie.

Krople potu wystąpiły na czoło Potterley a, ale głos jego pozostał spokojny.

— Och, nie tylko kilku polityków, doktorze Foster, proszę tak nie myśleć. Mnie czeka to samo. Moja żona będzie spędzać czas na ciągłym obcowaniu z naszą zmarłą córką. Będzie odbiegać coraz dalej od rzeczywistości. Zwariuje przeżywając w kółko te same sceny. Zresztą, nie tylko o mnie chodzi. Takich jak Caroline będzie wielu. Dzieci poszukujące swych zmarłych rodziców lub własnej młodości. Cały świat zacznie żyć przeszłością. Szczyt obłędu.

— Aspekty moralne nie mogą być tu brane pod uwagę — odparł Foster. — Nie ma takiego osiągnięcia w historii, którego ludzkość nie przeinaczyłaby w pomysłowy sposób. Ludzkość musi również znaleźć środki zapobiegawcze. A co do chronoskopu, to grzebiącym się w martwej przeszłości dość szybko się to uprzykrzy. Przyłapią swoich ukochanych rodziców na pewnych sprawkach, które ukocham rodzice popełniali, i stracą entuzjazm do całego przedsięwzięcia. Ale to wszystko jest bez znaczenia. Mnie chodzi o ważną zasadę.

— Niech pan zapomni na chwilę o pańskiej zasadzie. Czy ludzie nie są dla pana równie ważni? Czy nie rozumie pan, że moja żona będzie przeżywała pożar, który zabił nasze dziecko? Żadna siła jej przed tym nie powstrzyma. Znam ją. Będzie śledziła każdy najdrobniejszy szczegół usiłując zapobiec nieszczęściu. Stale, raz po raz mając nadzieję, że ono się nie stanie. Ile razy chce pan zabić Laurel?

Głos mu się załamał. Fosterowi zaświtała nagła myśl.

— Czego pan się naprawdę boi, doktorze Potterley? Co ona odkryje? Co się stało tej nocy, gdy wybuchł pożar?

Historyk gwałtownie ukrył twarz w dłoniach, zatrząsł się od suchego szlochu. Foster poczuł się nieswojo, odwrócił się i zaczął wyglądać przez okno.

Po chwili Potterley odezwał się.

— Od lat mnie to gnębi. Caroline nie było wówczas w domu. Doglądałem dziecka. Wszedłem wieczorem do dziecinnego pokoju, by sprawdzić, czy Laurel nie skopała pościeli. Trzymałem w palcach

papierosa. Wtedy jeszcze paliłem. Musiałem go zgasić kładąc na popielniczce, która stała na komodzie. Byłem zawsze ostrożny. Dziecko spało spokojnie. Wróciłem do saloniku i zasnąłem oglądając video. Obudziłem się, dusząc się od dymu, otoczony płomieniami. Nie wiem, jak powstał pożar.

— Ale myśli pan, że mógł to sprawić papieros, prawda? — powiedział Foster. — Papieros, którego tym razem zapomniał pan zgasić?

— Nie wiem. Próbowałem ją ratować, ale gdy wydostałem się z płomieni, była już martwa w moich ramionach.

— Przypuszczam, że nigdy nie wspomniał pan żonie o papierosie.

Potterley potrząsnął głową.

— Ale żyję z tym.

— Tylko że teraz ona, mając chronoskop, może to odkryć. A jeśli nie był to papieros? Jeśli pan go zgasił? Czy nie jest to możliwe?

Skąpe łzy obeschły na twarzy Potterleya. Czerwień ustąpiła z policzków.

— Boję się tego ryzyka. Ale to nie tylko o mnie chodzi, Foster. Przeszłość kryje przerażające rzeczy dla większości ludzi. Niech pan nie wypuszcza tych strachów na rodzaj ludzki.

Foster przemierzał pokój. No tak, to w pewnym sensie tłumaczyło gwałtowną irracjonalną pasję, z jaką Potterley głosił chwałę Kartagińczyków, a głównie starał się obalić historię o rzucanych w ogień ofiarach dla Molocha. Oczyszczając ich z winy dzieciobójstwa przez całopalenie, sam w sposób symboliczny się z tej winy oczyszczał.

Ten sam ogień, który doprowadził do zainicjowania budowy chronoskopu, teraz doprowadził do zniszczenia przyrządu.

Foster popatrzył ze smutkiem na starszego człowieka.

— Rozumiem pańskie uczucia, doktorze Potterley, dla mnie jednak jest to sprawa wyższego rzędu. Chcę zniszczyć to, co ściska naukę za gardło.

Doprowadzony do ostateczności Potterley zawołał:

— Jednym słowem chce pan rozgłosu i bogactwa, które towarzyszą takiemu odkryciu.

— Nie wiem nic o bogactwie, ale i ten motyw może wchodzić w grę. Jestem tylko człowiekiem. — Nie przemilczy pan swego odkrycia?

— Bez względu na okoliczności — nie! — głos Fostera brzmiał stanowczo.

— No cóż, w takim razie… — historyk podniósł się i stał przez chwilę przeszywając go wzrokiem.

Foster przeraził się na moment. Potterley był starszy od niego, niższy, słabszy i chyba nie uzbrojony. Jednak…

— Jeżeli myśli pan o tym — powiedział — żeby mnie zabić lub o

czymś równie szalonym, to chcę pana zawiadomić, że zostawiłem w sejfie informację, którą odpowiedni ludzie znajdą tam w razie mego zniknięcia lub śmierci.

— Niech pan nie będzie idiotą! — odrzekł Potterley z godnością i wyszedł.

Foster zamknął drzwi, przekręcił klucz i usiadł, aby to wszystko przemyśleć. Było mu głupio. Nie zostawił, oczywiście, żadnej informacji w sejfie. Takie melodramatyczne środki zapobiegawcze normalnie nie przyszłyby mu do głowy. Teraz jednak…

Poczuł się jeszcze bardziej głupio. Spędził godzinę na wypisywaniu wzorów dotyczących zastosowania optyki pseudograwitacyjnej do neutrinicznego zapisu oraz na rysowaniu kilku schematów szczegółów technicznych konstrukcji. Włożył to do koperty, zapieczętował, a na wierzchu nakreślił nazwisko Ralpha Nimmo.

Noc przeszła mu bezsennie. Następnego ranka, w drodze na uniwersytet, z» stawił kopertę w banku, wydając odpowiednie instrukcje urzędnikowi, podpisał dokument zezwalający na otwarcie depozytu po jego śmierci.

Potem zadzwonił do Nimma powiadamiając go o istnieniu koperty i opryskliwie odmawiając jakiejkolwiek informacji o jej zawartości.

Nigdy dotąd nie czuł się tak absurdalnie zażenowany jak w tej chwili.

* * *

Tej i następnej nocy Foster spał tylko dorywczo, stanąwszy oko w oko z problemem publikacji danych zdobytych w sposób nieetyczny.

„Sprawozdania Towarzystwa d/s Pseudograwityki”, biuletyn, który znał najlepiej, z pewnością nie tknie żadnych materiałów nie zawierających magicznego odnośnika: „Badania opisane w tej pracy zostały zakwalifikowane Dotacją Nr taki-a-taki przez Komisję d/s Badań ONZ”.

Niewątpliwie ta sama historia powtórzyłaby się i w „Biuletynie Fizycznym”.

Pozostawały jeszcze pomniejsze wydawnictwa, które mogłyby, ze względu na sensacyjność artykułu, przymknąć oko na jego charakter, to jednak pociągnęłoby za sobą konieczność małych negocjacji finansowych, na co nie mógł się zdecydować. W sumie może nawet bardziej by się opłacało ponieść koszty opublikowania niewielkiej broszury, która trafiłaby do rąk naukowców. Mógłby wtedy obejść się bez usług skryptora, poświęcając błyskotliwość formy na rzecz

szybkości. Musiałby znaleźć drukarza godnego zaufania. Wujek Ralph z pewnością jakiegoś zna.

Idąc korytarzem do swego gabinetu rozważał w duchu, czy przypadkiem nie byłoby lepiej nie tracić już czasu, nie stwarzać sobie nowych okazji do wahań. Może jednak zaryzykować, zadzwonić do Ralpha z aparatu znajdującego się w gabinecie? Tak był zaprzątnięty ciężkimi myślami, że nawet nie spostrzegł, iż ktoś jest u niego. Dopiero podszedłszy do biurka zobaczył Potterleya i jakiegoś mężczyznę, którego nie znał.

Podniósł brwi, zaskoczony.

— Słucham, o co chodzi?

— Przykro mi, ale musiałem podjąć jakieś kroki, by pana powstrzymać — odezwał się Potterley.

Foster nie spuszczał z nich oczu.

— O czym pan mówi?

— Pozwoli pan, że się przedstawię — powiedział obcy. Miał duże, trochę nierówne zęby, co było szczególnie widoczne, gdy się uśmiechał. — Jestem Thaddeus Araman, kierownik katedry na Wydziale Chronoskopii. Przyszedłem do pana w związku z informacją otrzymaną od profesora Arnolda Potterleya i potwierdzoną przez nasze własne źródła…

— Wziąłem na siebie całą winę, doktorze Foster — mówił Potterley urywanym głosem. — Wyjaśniłem, że to ja namówiłem pana wbrew pańskiej woli do nieetycznych praktyk. Biorę na siebie pełna odpowiedzialność i tylko ja winienem ponieść karę. Nie chcę, aby pan był choćby w najmniejszym stopniu poszkodowany. Z chronoskopią trzeba po prostu skończyć.

Araman przytaknął.

— Owszem, doktor Potterley istotnie wziął na siebie całą winę, ale o dalszych posunięciach już nie on decyduje.

— A więc — powiedział Foster — co pan zamierza zrobić? Głosować czarną gałką w sprawie funduszu badawczego dla mnie?

— To jest w mojej mocy.

— Zlecić, by mnie zwolniono z uniwersytetu?

— I to jest w mojej mocy.

— Świetnie, proszę więc uważać to za fakt dokonany. Opuszczę mój gabinet razem z panem. Po książki przyślę później. Jeśli pan będzie się domagał — zostawię moje książki. Czy to wszystko?

— Niezupełnie — odparł Araman. — Musi pan jeszcze zobowiązać się, że zaprzestanie pan definitywnie badań w zakresie chronoskopii, nie opublikuje żadnego ze swych odkryć i, rzecz jasna, że nie zbuduje pan chronoskopu. Będzie się pan znajdował pod stałą inwigilacją, abyśmy mogli mieć pewność, że dochowuje pan tej obietnicy.

— Przypuśćmy, że odmówię? Co wówczas zrobicie? Badania nie związane z własną specjalnością mogą być nieetyczne, nie są jednak przestępstwem kryminalnym.

— W przypadku chronoskopii, młody przyjacielu — powiedział Araman — jest to przestępstwo kryminalne. Jeśli zajdzie konieczność, trafi pan do więzienia.

— Dlaczego?! — krzyknął Foster. — Czy chronoskopią jest tajemnicą państwową?

— Mniejsza z tym — odrzekł wymijająco Araman. — Nie możemy pozwolić na żadne nowe wydarzenia w tej dziedzinie. Zagwarantowanie tego jest moim obowiązkiem, a ja zwykłem robić to, co do mnie należy. Niestety ani ja, ani nikt inny w katedrze nie wiedział, że optyka pól pseudograwitacyjnych może mieć tak bezpośrednie zastosowanie w chronoskopii. Punkt dla powszechnej ignorancji, od tej pory jednak badania będą i pod tym względem odpowiednio kierowane.

— To nie pomoże — powiedział Foster. — Na pewno da się zastosować coś innego, co ani panu, ani mnie nie przyszłoby w tej chwili do głowy. Nauka tworzy organiczną całość. Jeśli chce pan zahamować jedną część, musi pan zahamować wszystkie. — Niewątpliwie, ma pan rację — odparł Araman — ale tylko w teorii. Natomiast jeśli chodzi o praktykę, to przez pięćdziesiąt lat całkiem nieźle radziliśmy sobie z utrzymaniem chronoskopii na pierwotnym etapie Sterbinskiego. A ponieważ złapaliśmy pana w porę, doktorze Foster, mamy nadzieję utrzymać ten stan w nieskończoność. I nie znaleźlibyśmy się o krok od klęski, gdybym ocenił doktora Potterleya nieco wnikliwiej, nie tylko z fizjonomii.

Odwrócił się do historyka i zmarszczył brwi z wyrazem żartobliwej samokrytyki.

— Obawiam się, sir, że byłem zbyt nieopatrzny traktując pana podczas naszej pierwszej rozmowy wyłącznie jako profesora historii. Gdybym wykonał moją pracę w sposób właściwy i przeprowadził wywiad o panu, nie stałoby się to, co się stało.

* * *

— Czy jest ktoś, kto ma upoważnienie do korzystania z rządowego chronoskopu? — spytał gwałtownie Foster.

— Nikt spoza naszego Wydziału i pod żadnym pretekstem. Jestem z panem szczery, ponieważ nie mam wątpliwości, że tyle pan się już sam domyślił. Ostrzegam jednak, że jakiekolwiek działania w tym zakresie znajdą się już w kolizji z paragrafem, nie tylko z etyką.

— Za pomocą waszego chronoskopu można wejrzeć w czas

najwyżej na sto dwadzieścia pięć lat wstecz lub coś koło tego, prawda?

— Tak.

— W takim razie te historie w waszym biuletynie o wejrzeniu wstecznym w epokę starożytną są wierutną bujdą?

— Przy wiedzy, jaką pan obecnie posiada, nie wątpię, że pan z łatwością to odgadł — odrzekł chłodno Araman. — Potwierdzam mimo to pańską uwagę. Są wierutną bujdą.

— Wobec tego — powiedział Foster — nie zobowiążę się zataić mego odkrycia. Jeśli chce pan mnie aresztować, proszę bardzo. Moja obrona na procesie wystarczy, aby zniszczyć domek z kart, jakim są kierowane badania, i spowodować, że się zawali. Kierowanie zresztą — to inna rzecz, natomiast zakazywanie badań i pozbawianie ludzkości ich dobrodziejstw — to znów zupełnie coś innego.

— Postawmy sprawę jasno, doktorze Foster — powiedział Araman. — Jeśli nie zechce pan współdziałać z nami, pójdzie pan bezpośrednio stąd do więzienia. Nie zobaczy pan adwokata, nie sporządzi się aktu oskarżenia, nie odbędzie się żaden proces. Zostanie pan po prostu osadzony w więzieniu.

— No, no — odparł Foster — bluffuje pan. To nie dwudziesty wiek.

Za drzwiami gabinetu powstał jakiś ruch, rozległ się tupot nóg i ostry krzyk — Fosterowi wydało się, że poznaje ten głos. Drzwi otworzyły się z taką siłą, że wyskoczył zamek, i do pokoju wtoczyły się trzy skłębione postacie.

Jeden z mężczyzn podniósł broń i uderzył drugiego kolbą w głowę.

Uderzony jęknął ze świstem i oklapł, jakby zeń wypuszczono powietrze.

— Wujek Ralph! — krzyknął Foster. Araman zmarszczył brwi.

— Posadźcie go na tym krześle — polecił — i dajcie trochę wody.

* * *

Ralph Nimmo, pocierając głowę z wielką ostrożnością i jakby z obrzydzeniem, odezwał się:

— Nie było potrzeby posuwać się do takiej brutalności, Araman.

— Strażnicy powinni byli wcześniej się do niej posunąć — odparł Araman — i trzymać pana na odległość. Lepiej byłoby, gdyby pan nie mieszał się do tej sprawy.

— To wy się znacie? — spytał Foster.

— Miałem do czynienia z tym facetem — odparł Nimmo ciągle pocierając głowę. — Jeśli widzę go w twoim gabinecie, siostrzeńcze,

to musi być z tobą niewesoło.

— Z panem też — powiedział Araman gniewnie. — Wiem, że doktor Foster zasięgał pańskiej rady w sprawie materiałów z zakresu neutriniki.

Nimmo zmarszczył czoło, potem je rozprostował, krzywiąc się przy tym, jak gdyby sprawiło mu to ból.

— No i co jeszcze o mnie wiecie?

— Bardzo niedługo będziemy wiedzieli wszystko. Tymczasem ta jedna rzecz wystarczy, żeby pana wkopać. Co pan tu robi?

— Drogi panie Araman — Nimmo odzyskał nieco zwykłego humoru — przedwczoraj ten osioł mój siostrzeniec zadzwonił do mnie. Umieścił pewną tajemniczą informację…

— Nie mów mu! Nie mów nic! — krzyknął Foster.

Araman spojrzał na niego zimno.

— Wiemy wszystko, doktorze Foster. Sejf został otwarty, a jego zawartość wyjęta.

— Ale skąd pan mógł wiedzieć… — w głosie Fostera brzmiał nie ukrywany zawód.

— Tak czy owak — ciągnął Nimmo — domyśliłem się, że sieć zaciska się wokół niego, więc załatwiłem kilka spraw i przyszedłem mu powiedzieć, żeby plunął na to wszystko. To nie jest warte jego kariery.

— Czy to oznacza, że wiedział pan, co on robi? — spytał Araman.

— Nigdy mi się nie zwierzał, ale ja mam piekielne doświadczenie, jestem skryptorem prac naukowych. Wiem, z której strony atomu gromadzi się więcej elektronów. Foster specjalizuje się w optyce pseudograwitacyjnej i trochę poduczył mnie w tej materii. Wymógł na mnie, abym zdobył dla niego pracę z zakresu neutriniki, więc ją po drodze przejrzałem. Nie jestem w ciemię bity. Prosił mnie również o trochę sprzętu fizycznego i to też stanowiło dowód. Proszę mi przerwać, jeśli się mylę — mój siostrzeniec zbudował półprzenośny chronoskop małej mocy. Tak czy… Tak?

— Tak. — Araman sięgnął zamyślony po papierosa i — spoglądając takim wzrokiem, jakby to wszystko było snem — nie zwrócił uwagi na doktora Potterleya, który odskoczył z jękiem na widok białego cylindrycznego przedmiotu w jego palcach. — Jeszcze jeden błąd z mej strony. Powinienem złożyć rezygnację. Trzeba było i pana mieć na oku, zamiast koncentrować się wyłącznie na Potterleyu i Fosterze. Nie miałem zbyt dużo czasu, no i na szczęście wylądował pan w końcu tutaj, ale to mnie nie usprawiedliwia. Jesteś aresztowany, Nimmo.

— Za co?

— Nielegalne badania.

— Nie prowadziłem takowych. Nie mogę, nie jestem

zarejestrowanym naukowcem. A nawet, gdybym je prowadził, nie jest to przestępstwo kryminalne.

— Nie wysilaj się, wujku — wybuchnął Foster. — Ten biurokrata ustanawia swoje własne prawa.

— Na przykład jakie? — zapytał Nimmo.

— Dożywotnie więzienie bez procesu.

— Bzdura! — obruszył się Nimmo. — To nie dwudziesty w…

— Próbowałem tego — przerwał Foster. — Nie przejął się.

— Uważaj, Araman! — wrzasnął Nimmo. — Mój siostrzeniec i ja mamy krewnych, z którymi nie straciliśmy kontaktu. Przypuszczam, że i profesor ma ich również. Nie możemy tak po prostu zniknąć. Będzie mnóstwo pytań i skandal. To nie jest dwudziesty wiek. A więc jeśli próbuje pan napędzić nam pietra, nic z tego.

Araman zgniótł w palcach papierosa, cisnął go w kąt z wściekłością.

— Do diabła, nie wiem, co robić. Nigdy przedtem nie spotkałem się z czymś takim. Słuchajcie! Wszyscy trzej jesteście głupcami, którzy nie mają zielonego pojęcia, co czynią! Nic nie rozumiecie! Możecie mi poświęcić chwilę uwagi?

— Och, naturalnie — odparł ponuro Nimmo.

(Foster siedział w milczeniu z zaciśniętymi wargami i złością w oczach. Ręce Potterleya wiły się jak splecione węże).

* * *

— Przeszłość jest dla was martwym czasem — zaczął Araman. — Założę się, że dyskutując o niej używaliście tego określenia. Martwa przeszłość. Nie uwierzycie, ile razy to słyszałem! Ludzie wymawiając słowo „przeszłość” myślą zwykle o czymś martwym, dalekim i dawno minionym. Zachęcamy ich, aby tak właśnie myśleli. W naszych raportach na temat wejrzenia wstecznego mówimy zawsze o obrazach z odległej o całe stulecia przeszłości. Oni to kupują. Przeszłość oznacza Grecję, Rzym, Kartaginę, Egipt, epokę kamienną. Im bardziej martwa, tym lepiej. Obecnie wam trzem wiadomo, że mniej więcej wiek stanowi granicę, cóż zatem nazywacie przeszłością? Waszą młodość? Waszą pierwszą dziewczynę? Waszą nieżyjącą matkę? Dwadzieścia lat wstecz? Trzydzieści? Pięćdziesiąt? Im bardziej martwa — tym lepiej. Ale od którego miejsca w czasie naprawdę się zaczyna?

Przerwał wzburzony. Patrzyli na niego bez słowa, Nimmo poruszył się niespokojnie.

— No więc, od którego miejsca zaczyna się przeszłość? Rok wstecz? Pięć minut? Sekundę? Czy to nie oczywiste, że przeszłość zaczyna się w danej chwili? Martwa przeszłość jest po prostu inną

nazwą żywej teraźniejszości. Co się stanie, jeśli nastawicie chronoskop na jedną setną sekundy wstecz? Czy nie będziecie obserwować teraźniejszości? Czy wreszcie to do was dociera?

— Niech to diabli! — zaklął Nimmo.

— Niech to diabli — przedrzeźnił go Araman. — Gdy przedwczoraj wieczorem Potterley przyszedł do mnie ze swą opowieścią, jak myślicie, w jaki sposób zdobyłem dalsze informacje o nich obydwóch? Zrobiłem to za pomocą chronoskopu, śledząc momenty kluczowe aż do chwili obecnej.

— Stąd pan wiedział o depozycie bankowym, tak? — spytał Foster.

— Jak i o każdym innym ważniejszym fakcie. A teraz spróbujcie wyobrazić sobie, co się stanie, gdybyśmy pozwolili przeniknąć na zewnątrz wieści, że można mieć chronoskop na prywatny użytek. Ludzie zaczną od obserwowania własnej młodości, rodziców i tak dalej, ale niebawem zacznie ich korcić, by wykorzystać tę okazję. Pani domu zapomni o swych drogich nieobecnych i zabierze się do obserwowania sąsiadki w domu, a męża w biurze. Businessman będzie obserwował swego konkurenta, pracodawca — pracownika. Przestanie istnieć takie pojęcie jak intymność. Telefon towarzyski, wścibskie oko zza firanki staną się w porównaniu z tym dziecinną igraszką. Gwiazdy video będą stale, z niezdrową ciekawością obserwowane przez wszystkich. Każdy człowiek będzie miał swego podglądacza i nie znajdzie sposobu na ukrycie się przed nim. Nawet ciemność nie będzie ucieczką, ponieważ chronoskop można nastawiać na podczerwień i postacie ludzkie będą widzialne dzięki ciepłu wydzielanemu przez ciało. Sylwetki będą, oczywiście, niewyraźne, a otoczenie ciemne, niewykluczone jednak, że podglądanie stanie się przez to bardziej podniecające. Nawet obecnie ludzie, pod których pieczą znajduje się przyrząd, eksperymentują od czasu do czasu mimo przepisów zakazujących.

Twarz Nimma była ziemistego koloru.

— Można przecież zabronić prywatnej produkcji…

Araman odwrócił się do niego gwałtownie.

— Tak, tak, można, ale sądzi pan, że to da jakiś rezultat? Czy istnieje pewność, że ustawy zakazujące picia, palenia, cudzołóstwa lub oszczerstw będą przestrzegane? A ta mieszanina wścibstwa i lubieżności opęta ludzkość w znacznie silniejszym stopniu. Od tysiąca lat próbujemy bezskutecznie zlikwidować handel heroiną, a pan mówi o ustawie wymierzonej przeciwko przyrządowi do podglądania kogo tylko pan zechce i kiedykolwiek pan zechce? Zwłaszcza gdy ten przyrząd można skonstruować w warsztacie domowym?

— Rezygnuję z publikacji — odezwał się nagle Foster.

Potterley wykrzyknął na wpół ze szlochem:

— Od nas nikt się nie dowie! Och, nie przebaczę sobie…

— Czy doprawdy nie śledził mnie pan za pomocą chronoskopu? — przerwał mu Nimmo zwracając się do Aramana.

— Nie było czasu — odrzekł Araman. — Wypadki nie toczą się w chronoskopie szybciej niż w rzeczywistości. To nie film, który można puścić w przyspieszonym tempie. Straciliśmy okrągłe dwadzieścia cztery godziny próbując uchwycić ważniejsze fakty z życia Potterleya i Fostera w, ciągu ostatnich sześciu miesięcy. Na nic innego nie było już czasu, no i to zresztą wystarczyło.

— Nie wystarczyło — powiedział Nimmo.

— Co pan ma na myśli? — Na twarzy Aramana odmalował się wyraźny popłoch.

— Otóż mój siostrzeniec Jonas zawiadomił mnie telefonicznie, że złożył ważną informację w depozycie bankowym. Tak postępuje człowiek, który znalazł się w cholernych tarapatach. Jonas jest moim bliskim krewnym. Spróbowałem więc pomóc mu i wyciągnąć go z tych tarapatów. Zajęło mi to zresztą niewiele czasu. I właśnie teraz przyszedłem zakomunikować mu o moich posunięciach. Przecież mówiłem panu w chwilę po tym, jak pański człowiek wyrżnął mnie w łeb, że załatwiłem parę spraw.

— Ale co pan załatwił?!

— Wysłałem szczegółowe informacje na temat podręcznego chronoskopu do pół tuzina moich stałych agencji reklamowych.

Ani słowa. Ani dźwięku. Nawet oddechu. Jakby w pokoju nie było nikogo.

— Czego tak na mnie patrzycie! — krzyknął Nimmo. — Nie rozumiecie, o co mi chodziło? Mam prawo publikacji. Jonas to potwierdzi. Wiedziałem, że nie może tego opublikować legalnie w żadnym z biuletynów naukowych. Byłem więc pewny, że zamierza opublikować swe odkrycie nielegalnie i dlatego przygotował depozyt. Kombinowałem sobie, że jeśli wcześniej pchnę te informacje, cała odpowiedzialność spadnie na mnie. Jego kariera będzie uratowana. I jeśli odbiorą mi w rezultacie licencję skryptora prac naukowych, to i tak wyłączne posiadanie danych chronometrycznych pozwoli mi uniezależnić się na resztę życia. Spodziewałem się, że Jonas będzie zły, ale wyjaśniłbym mu pobudki i podzielilibyśmy się fifty-fifty. Czego tak na mnie patrzycie! Skąd mogłem wiedzieć…

— Żaden z was nic nie wiedział — rzekł z goryczą Araman — ale wszyscy przyjęliście za pewnik, że rząd jest bezsensownie biurokratyczny, złośliwy, tyrański, skłonny do zakazywania badań ot tak sobie, z łaski na uciechę. Nikomu nie przyszło do głowy, że usiłujemy chronić ludzkość najlepiej jak tylko potrafimy.

— Nie siedźmy tu i nie gadajmy — lamentował Potterley. — Niech pan weźmie nazwiska ludzi, którzy zostali poinformowani…

— Za późno — odpowiedział Nimmo wzruszając ramionami. — Mieli na to więcej niż dzień. Wystarczy, aby informacja się rozeszła. Moi reklamiarze z pewnością dzwonili do kilku fizyków, by sprawdzić moje dane przed podjęciem dalszych kroków, fizycy będą z kolei dzwonić do innych przekazując wiadomość. Skoro uczeni raz powiążą neutrinikę z pseudograwityką, prywatna chronoskopia stanie się rzeczywistością. Zanim minie tydzień, pięćset osób będzie wiedziało, jak zbudować mały chronoskop. Czy podobna wyłapać ich wszystkich? — Jego pulchne policzki zapadły się. — Przypuszczam, że nie sposób wtłoczyć z powrotem grzyba atomowego w ładną błyszczącą kulę uranu.

Araman wstał.

— Spróbujemy, Potterley, ale zgadzam się z Nimmem. Jest już za późno. Nie wiem, jaki świat będziemy odtąd mieli, trudno to przewidzieć, ale świat, który znaliśmy, już nie istnieje. Dotychczas każdy obyczaj, każdy nawyk, każda intymna dziedzina życia miała zawsze w pewnym stopniu zagwarantowaną otoczkę dyskrecji. Wszystko to przepadło.

Ukłonił się z przesadnym ugrzecznieniem.

— Wy trzej stworzyliście nowy świat. Gratuluję. Życzę szczęścia w tym akwarium wam, sobie i wszystkim innym. I niech was piekło pochłonie.

Przełożyła z angielskiego Elżbieta Zychowicz

Ray Bradbury
AUTOSTRADA

The Highway

Orzeźwiający popołudniowy deszcz zszedł w dolinę, muskając kukurydzę na górskich poletkach i szeleszcząc słomianym dachem chaty. W deszczowej pomroce, wśród kukurydzy wciśniętej pomiędzy wulkaniczne skały, mozolnie pracowała kobieta. Gdzieś, w dżdżystej szarudze zapłakało dziecko…

Hernando czekał, aż ustanie deszcz, by znów ruszyć ze swym drewnianym pługiem w pole. W dole wezbrana, brązowa rzeka wrzała w swoim korycie. Tuż obok druga rzeka — betonowa autostrada — leżała w bezruchu, połyskując w deszczu. Od godziny już nie przejechał nią żaden samochód. Ciekawe… Od wielu lat nie było takiej godziny, w której nie przejechałby jakiś samochód i ktoś nie zawołał:

— Hej, tam! Można pana sfotografować?

Ten ktoś miał pudełko, które pstrykało, i monetę w dłoni. Jeżeli Hernando szedł ku nim przez pole bez kapelusza, wołali czasem: — Och nie! Chcemy pana w kapeluszu!.. — I machali rękami, strojnymi w złote przedmioty, które mówiły im godzinę albo ich imiona… Albo w ogóle nie służyły im do niczego — świeciły tylko, jak świecą w słońcu oczy pająka. Musiał wtedy wracać po kapelusz…

— Coś złego, Hernando? — zapytała żona.

— Si… Ta droga. Musiało się stać coś ważnego… Coś tak ważnego, że zrobiła się zupełnie pusta.

Powoli odszedł od domu. Deszcz opłukiwał plecione buty, zrobione z trawy i gumy od opony samochodowej. Dobrze pamiętał ten dzień… Opona wdarła się gwałtem do chaty, płosząc kury i roztrącając na wszystkie strony garnki. Zjawiła się samotnie, szybko wirując. Samochód, do którego należała, mknął chwilę jeszcze aż do zakrętu, tam zawisł i błysnąwszy na moment runął do rzeki. Ten samochód był tam ciągle jeszcze — kiedyś, w ładny dzień, kiedy rzekła płynęła wolno i opadł muł, można go było nawet dojrzeć. Leżał głęboko, na dnie, długi, niski i zapewne bardzo kosztowny. Później jednak mułu przybyło i nic już nie było widać.

Następnego dnia Hernando wyciął z samochodowej opony podeszwy do swych butów…

Doszedł do autostrady i stał nad nią przysłuchując się cichemu odgłosowi, jaki wydawała w deszczu.

Nagle — zupełnie jak na sygnał jakiś — na autostradzie pojawiły

się samochody. Setki… Kilometry samochodów gnały nieprzerwanie nie zważając na stojącego człowieka. Ogromne, długie czarne wozy pędziły w kierunku Stanów. Ryczały, biorąc z nadmierną prędkością zakręty. Słyszał tylko pisk i trąbienie.

W twarzach ludzi, ciasno upakowanych w samochodach, było coś, co wprawiło go w głębokie zamyślenie. Odsunął się nieco, by nie przeszkadzać ryczącej masie. Zaczął liczyć samochody, ale zmęczył się. Przeleciało już pięćset, tysiąc samochodów, a na wszystkich twarzach było to samo. Jechali jednak zbyt szybko, aby mógł się od nich dowiedzieć, co się stało.

Wreszcie znów nastała cisza i pustka. Szybkie, bezcenne samochody odjechały. Słyszał, jak w oddali milkł ostatni klakson. Autostrada znów była pusta.

Wszystko to wyglądało jak orszak żałobny, tyle tylko, że dziki i obłąkany, szaleńczo pędzący na północ. Dlaczego?

Pokręcił głową i poskrobał się po nodze.

Jeszcze jeden samochód — zupełnie samotny. Miał w sobie coś z rozpaczliwej rezygnacji…

To był stary ford — jechał w rzadkim, zimnym deszczu, puszczając ogromne kłęby pary. Jechał najszybciej jak mógł, wydawało się, że się za chwilę rozleci. Widać dostrzegli Hernanda, bo staroświecki ford, schlapany błotem i zardzewiały, zbliżył się i zatrzymał, groźnie bulgocąc chłodnicą.

— Senior! Moglibyśmy dostać trochę wody?

Za kierownicą siedział młody mężczyzna, miał może dwadzieścia jeden lat. Był ubrany w żółty sweter, białą rozpiętą pod szyją koszulę i szare spodnie. W odkrytym samochodzie w strumieniach deszczu siedziało jeszcze oprócz niego pięć młodych kobiet. Nie mogły się nawet ruszyć — tak były stłoczone. Były bardzo ładne. Starymi gazetami osłaniały siebie i kierowcę od deszczu — mimo to krople dosięgały je, mocząc jasne sukienki. Młody mężczyzna także miał włosy zlepione wodą. Nikt się jednak nie skarżył i to było niezwykłe. Hernando pamiętał, że dotąd wszyscy oni zawsze narzekali na deszcz, upał, na porę, zimno, odległość…

Skinął głową.

— Przyniosę wody.

— Och, proszę, szybko!.. — krzyknęła jedna z dziewcząt. Głos był piskliwy, przerażony — to nie było zniecierpliwienie, w tym błaganiu słychać było strach. Po raz pierwszy Hernando pobiegł na prośbę turysty. Zawsze dotąd na takie żądanie poruszał się jeszcze wolniej.

Wrócił po chwili, niosąc kołpak z koła samochodowego, napełniony po brzegi wodą. To też był dar autostrady. Sfrunął pewnego popołudnia na jego pole jak rzucona moneta.

Samochód, z którego pochodził, pognał dalej, obojętny na fakt, że

postradał jedno srebrne oko. Do dziś używał go z żoną do mycia i gotowania. To była świetna miska.

Hernando wlewał wodę do bulgoczącej chłodnicy, przyglądając się ich stężałym twarzom.

— Och, dzięki… dzięki — powiedziała jedna z dziewczyn. — Nie ma pan pojęcia, jakie to dla nas ważne.

Hernando uśmiechnął się.

— Straszny ruch był przez tę godzinę… Wszystko w jedną stronę, na północ…

Nie miał na myśli nic, co mogłoby ich urazić. Jednak kiedy uniósł głowę, zobaczył, że wszystkie płaczą na tym deszczu… Strasznie płakały. Mężczyzna próbował je powstrzymać kładąc im na ramionach ręce i delikatnie potrząsając. One jednak płakały dalej — jedne głośno, inne ciszej; łkając otwierały usta, oczy miały zamknięte, mieniły się na twarzach… A nad głowami dalej trzymały gazety.

Hernando stał z na wpół opróżnionym kołpakiem w dłoniach.

— Ja nie miałem nic złego na myśli, senior… — usprawiedliwiał się.

— Wszystko w porządku… — powiedział kierowca.

— Coś się złego stało, senior?

— Nie słyszał pan? — mężczyzna odwrócił się i kurczowo ściskając kierownicę pochylił się ku niemu. — Stało się…

To nie było nic dobrego. Na te słowa tamte zaszlochały jeszcze głośniej, zapominając o gazetach. Teraz nic już ich nie chroniło od deszczu i krople wody mieszały się na ich twarzach ze łzami.

Hernando zdrętwiał. Wlał resztę wody do chłodnicy. Potem spojrzał na czarne od burzy niebo, na rwącą rzekę. Pod stopami czuł asfalt.

Podszedł z boku do samochodu. Mężczyzna chwycił go za rękę i wetknął mu w dłoń peso.

— Nie… — Hernando zwrócił mu monetę. — To była przysługa.

— Dziękujemy, pan jest taki uprzejmy… — rzekła, łkając ciągle, jedna z dziewcząt. — Och Boże, Boże… Jedźmy do domu, chcę do domu. Och, mamusiu moja, mamusiu!..

— Nie dosłyszałem, senior… — szepnął cicho Hernando.

— Wojna! — krzyknął młody mężczyzna, jakby wszyscy ogłuchli. — Nadeszła! Wojna atomowa, koniec świata!!

— Senior, senior… — zaczął Hernando.

— Dzięki, dzięki za pomoc… Do widzenia! — powiedział mężczyzna.

— Do widzenia… — powiedziały dziewczyny nie spoglądając na niego.

Stał wciąż, kiedy samochód zgrzytając biegami, z warkotem zjeżdżał w dolinę. Znikł w słońcu wraz z dziewczętami,

podtrzymującymi nad głowami furkoczące gazety…

Hernando nie poruszył się przez dłuższy czas. Lodowaty deszcz spływał mu po policzkach, po palcach, po lnianych, wytartych portkach. Wstrzymał oddech. Skurczony cały, napięty — czekał.

Obserwował autostradę, lecz nic się już na niej nie poruszyło. Zwątpił wreszcie, że jeszcze ożyje.

Deszcz ustał, zza chmur wyjrzał błękit nieba. W ciągu dziesięciu minut burza minęła jak zły sen. Łagodny wiatr przygnał zapach dżungli; słyszał, jak łagodnie płynie rzeka. Dżungla była bardzo zielona… Wszystko było świeże. Wrócił przez pole do domu i wyciągnął pług. Trzymając na nim ręce, popatrzył na rozpalające się żarem słońca niebo…

— Co się stało, Hernando? — żona przerwała na chwilę pracę.

— Nic takiego… — odparł.

Ustawił pług w bruździe i ostro krzyknął na muła.

— Wii-io!

Ruszyli przez żyzne pole pod rozjaśniającym się niebem — po tym ich skrawku roli nad wielką rzeką.

— …Koniec świata? Co u nich znaczy „świat”? — powiedział do siebie.

Przełożył z angielskiego Antoni Wolski

Langdon Jones
KRÓTKA WIZYTA

Transient

Świadomość zanika.

Zapadam się w świat ciemności. Słyszę tylko głośne brzęczenie, które nasila się, wypierając wszystkie inne dźwięki. Moje życie dobiegło kresu — jestem żywym trupem. Ale co to jest trup? Obserwowano oznaki działalności mózgu w ciałach po upływie dość długiego czasu od śmierci. Nawet trupa nie zostawią w spokoju — krążą wokół niego jak pająki, oplatając go siecią przewodów encefalografu. Uważa się, że ta działalność przebiega w ośrodkach pamięci. Innymi słowy, te nieżywe mózgi mogą pamiętać… Po śmierci pozostaje jeszcze pamięć, która stopniowo zanika.

I to właśnie wypełnia mi ostatnie sekundy świadomości. Wspomnienia…

Gdy ustąpiła ciemność, która sparaliżowała mój mózg na jakieś pół godziny, i odzyskałem przytomność, pierwszą rzeczą, jaką zobaczyłem, był sufit. Biały, sterylny i pełen znaczenia jak nigdy dotąd. Biel — szpital — choroba — bezpieczeństwo — ból — biel mleka matki — biel martwego ciała — biały błysk bólu rozkoszy — całun — podstawowy paradoks życia, sprowadzony do jednego czystego koloru.

Były oczywiście wspomnienia, mgliste, biało-czarne wspomnienia czułości i nienawiści, ale dzieliła mnie teraz od nich ogromna odległość. Pamiętałem wszystko, co ze mną zrobiono. Mój mózg nadal pływał w morzu faktów, które odciśnięto w nim elektronicznie, tak samo, jak można wycisnąć skomplikowany wzór w miękkiej cynie. Mój język sam układał się do wymawiania słów ich języka.

Odwróciłem głowę i zobaczyłem wielkie, groteskowe ciało siostry szpitalnej, która poprawiała mi pościel. Wyczuła jakimś zmysłem, że się jej przyglądam, bo spojrzała w górę, spotykając mój wzrok. Podskoczyła z wrażenia, ale zaraz odzyskała panowanie nad sobą i sięgnęła po telefon stojący na stoliku przy moim łóżku.

— Panie doktorze, obudził się — powiedziała. Postanowiłem wypróbować nowo nabytą znajomość ich języka.

— Wygląda na to, że wasz mały eksperyment udał się doskonale.

Głos nie brzmiał zbyt melodyjnie, ale dźwięki były całkowicie zrozumiałe. Mimo to zauważyłem, że moje słowa wstrząsnęły nią. Widocznie co innego wiedzieć o czymś, a co innego usłyszeć na własne uszy.

— Hm, tak, oczywiście — powiedziała. Była wyraźnie zażenowana. Nie chciałem stawiać jej w trudnej sytuacji, udałem więc ziewnięcie i wsunąłem się pod kołdrę, jakbym nadal odczuwał jeszcze skutki środków usypiających, chociaż w rzeczywistości byłem najzupełniej przytomny.

Otworzyłem oczy na dźwięk cichego skrzypnięcia drzwi. Przy moim łóżku stało dwóch mężczyzn. Mieli na sobie białe kitle. Jakże łatwo jest odczytywać symbole życia! Przyglądali mi się beznamiętnie, zgodnie ze swoimi rolami.

Usiadłem i wyciągnąłem rękę.

— Dzień dobry — powiedziałem. — Domyślam się, że to panowie prowadzicie mój… powiedzmy… przypadek.

Oni również wyglądali na zaskoczonych, ale po chwili jeden z nich podał mi rękę.

— Dzień dobry — powiedział. — Nazywam się Grant, a to mój kolega, doktor Lloyd.

Ten drugi, chyba nieco młodszy, również uścisnął mi dłoń.

— Sprawiasz nam niespodziankę — powiedział. — Zaledwie przed godziną opuściłeś salę operacyjną. Powinieneś teraz jeszcze spać.

— Widocznie jakieś działanie uboczne — zauważyłem sięgając po grejpfruta. — O czym będziemy rozmawiać? — spytałem. — Moment jest poniekąd historyczny. Kiedy będę mógł wstać?

— Za kilka minut. Początkowo możesz być nieco osłabiony.

— A co z moją żoną? Będzie się niepokoić. Czy może tu przyjść?

Lekarze wymienili spojrzenia.

— Oczywiście — powiedział Lloyd. — Zaraz ją sprowadzę. Za chwilę rzeczywiście przyszedł z moją żoną. Jak mam wypowiedzieć, co poczułem, kiedy ją zobaczyłem? Była przestraszona i trzymała się kurczowo ramienia Lloyda. Była równie piękna jak zawsze i równie mi bliska. Ale teraz patrzyłem na nią wzrokiem zmienionym przez zdradziecki dar. W pewnym sensie więcej łączyło mnie z lekarzami niż z nią.

— O, Boże — szepnąłem.

— Co się stało?

— Co wy ze mną zrobiliście?

Zapanowało kłopotliwe milczenie.

— Przepraszam — powiedziałem. — Zdaję sobie oczywiście sprawę, że efekty tego eksperymentu są przejściowe. Po prostu wszystko to jest dla mnie pewnym wstrząsem.

Żona zbliżyła się do mego łóżka. Jej wzrok wyrażał radość ze spotkania i zarazem współczucie, gdyż wyczuła bez trudu, że cierpię. Schwyciłem jej dłoń i uścisnąłem czule.

— Przekazując treść tych zapisów magnetycznych mojemu

mózgowi, zapomnieliście mi powiedzieć, jak długo utrzymają się efekty tego eksperymentu.

— Przez dwie godziny.

— Ach tak.

CISZA CISZA CISZA!

— Czy… czy możecie, panowie, zostawić mnie na chwilę samego, abym mógł… pomyśleć?

Lekarze odpłynęli w swoich białych całunach. Przez otwarte drzwi wpadł zimny, przesycony eterem powiew śmierci.

* * *

W jakiś czas potem doktor Grant przyszedł, aby poddać mnie pewnym testom psychologicznym. Możliwe, że w próbach inteligencji wypadłem nieco poniżej swoich możliwości, gdyż światła reflektorów przygotowanych dla zdjęć filmowych odwracały moją uwagę. Po testach byłem wolny! Lloyd oprowadzał mnie po instytucie, którego pełna nazwa brzmiała Instytut Psychologii Eksperymentalnej. Nawet tak pobieżna wizyta dostarczyła mi pasjonujących informacji na temat ich cywilizacji, a im więcej widziałem, tym lepiej zdawałem sobie sprawę ze swojej roli w tej cywilizacji. W dziwny sposób rozdzierały mnie dwa potężne uczucia: z jednej strony tęsknota za powrotem do mego stanu naturalnego, z drugiej zaś straszna, czająca się świadomość, czym wówczas będę.

Co gorsza, nikogo nie mogłem obarczać za to winą. Czyż można od nich oczekiwać, aby wiedzieli, co robią? Jedyną osobą, która mogła ocenić całą potworność ich zbrodni, byłem ja sam. Lloyd sprawił na mnie bardzo sympatyczne wrażenie. Widać było, że słucha uważnie wszystkich moich wypowiedzi, szukając najmniejszego choćby śladu wyrzutu z mojej strony. Czyż mogłem mu powiedzieć prawdę?

Nie chciałem jeść. Podczas przerwy obiadowej Lloyd udał się do stołówki, a ja wróciłem do swego pokoju, wymawiając się zmęczeniem. Z chwilą gdy zostałem sam, dręczące myśli zaatakowały mnie ze zdwojoną siłą. Spojrzałem na zegar; została mi jeszcze godzina. Myślałem o swojej ukochanej żonie, tak pięknej, a jednocześnie tak dalekiej. Myślałem o olbrzymiej zmianie, jaka nastąpi tak już niedługo. Po raz pierwszy w swoim życiu wiedziałem, że żyję. I kiedy wrócę do poprzedniego stanu, te godziny zostaną wymazane z mojej pamięci. Czy może być coś gorszego, niż zaznać największego szczęścia na świecie po to tylko, by je zaraz utracić? Odpowiedź: Utracić nie tylko szczęście, lecz i pamięć o nim.

Instynktownie zawędrowałem w kąt pokoju. Wpatrywałem się we

wzór tapety, wiedząc, że nigdy już nie potrafię ocenić jego walorów estetycznych. Znowu pomyślałem o żonie: ach, gdyby mogła zrozumieć, co ze mną zrobiono!

Kiedy Lloyd wszedł do pokoju, zastał mnie — który nigdy nie będę człowiekiem — na najbardziej ludzkiej ze wszystkich czynności.

— Wielki Boże, co to? — zawołał. — Ty płaczesz?

— Tak, do cholery, płaczę, a bo co?

Drżenie w jego głosie zdradziło mi, że ma do siebie pretensję za to, co się stało. Podniósł mnie i posadził na łóżku. Spojrzałem w dół, na swoje włochate nogi, lśniące w promieniach słońca wpadających przez okno.

— O co chodzi? — spytałem. — Nie widziałeś nigdy szympansa, który płacze?

* * *

Kiedy się trochę uspokoiłem, zacząłem mówić, starając się zetrzeć z jego twarzy wyraz cierpienia.

— A czego się pan spodziewał? — powiedziałem. — Bierzecie szympansa z klatki i postanawiacie dać mu inteligencję o współczynniku powyżej stu. Przez pół roku szpikujecie mnie zastrzykami. W swoim małym, mglistym światku oczekuję i boję się tych zastrzyków. Potem i to przechodzi i przyzwyczajam się do nich. Powodują one zmiany w neuronach kory mózgowej; dendryty mnożą się, tworząc nowe pseudopołączenia. Potem przeprowadzacie operację mózgu. Usuwając niewielki gruczoł, aktywizujecie potencjał elektryczny tych pseudopołączeń. Elektronicznie odtwarzacie w moim mózgu swoje własne obwody. Posługuję się waszym językiem, zdaję sobie sprawę z tego, kim jestem i co ze mną zrobiono. I po raz pierwszy w życiu wiem, że żyję. Pan tego nie rozumie, pan posiada inteligencję od dziecka, nie wie pan, co to znaczy być tym, czym ja byłem. Widzę, jak płytkie było moje życie do tego momentu. Rozumie pan? Rozum jest rozumem, niezależnie od kształtów swego nosiciela i niezależnie od tego, jak powstał. Myśli pan, że chcę wrócić do tego mrocznego świata, w którym żyłem dotąd? A jednocześnie wcale nie jestem szczęśliwy w swoim obecnym stanie. Jak mogę być szczęśliwy, kiedy patrzę na swoją żonę, którą kocham — tak, kocham — jak na coś niższego, coś żałosnego? A przecież myśl o powrocie do stanu bezmyślnego półżycia napawa mnie przerażeniem.

Ja… ja… nie chcę…

Lloyd spojrzał na mnie z wyrazem lęku i pośpiesznie przycisnął guzik dzwonka przy moim łóżku.

— Obawiam się, niestety, że efekty środków chemicznych

zaczynają ustępować wcześniej niż przypuszczaliśmy — powiedział.

— Boże! — wyszeptałem i znowu zacząłem płakać.

Stał przy mnie z wyrazem współczucia i troski na twarzy. Schwyciłem kurczowo jego dłoń.

Do pokoju weszła siostra popychając stoliczek na kółkach, a za nią ukazał się Grant.

— Już? — spytał.

— T-tak — odpowiedziałem z największym wysiłkiem. — Zdolność… mowy… za-zanika.

Siostra z wprawą zrobiła mi zastrzyk. Czułem, jak chłodny płyn wciska się w moje ciało.

Patrząc na Lloyda zmuszałem się do mówienia.

— Nie miej… pretensji…

Zastanawiałem się, co on czuje w tej chwili. Dla Granta był to po prostu eksperyment, pierwszy z wielu, ale myślę, że Lloyd wiedział, co uczynił. Nagle zmroziła mnie nowa myśl.

— Kiedy… kiedy wrócę… nie… nie…

— Dobrze — powiedział Lloyd. — Żadnych więcej eksperymentów na tobie ani na twojej żonie. Spędzą resztę życia w spokoju. Dopilnuję tego.

Powiedział „spędzą”. Zrozumiał. Uspokoiłem się. Czując zanik świadomości, spojrzałem po raz ostatni na Lloyda. W jego oczach można było wyczytać lęk.

Przełożył z angielskiego Lech Jęczmyk

Damon Knight
MASKI

Masks

Osiem grafionów tańczyło po ruchomej taśmie, papieru niczym kleszcze jakiegoś zaniepokojonego mechanicznego homara. Roberts, technik z obsługi, ze zmarszczonym czołem wpatrywał się w wykres, pod czujnym okiem dwóch pozostałych mężczyzn.

— Tutaj jest przejście od snu do jawy — powiedział wyciągając kościsty palec. — A tutaj, proszę spojrzeć, po siedemnastu sekundach, nadal ma jeszcze sny.

— Spóźniona reakcja — powiedział Babcock, kierownik eksperymentu. Był czerwony na twarzy, czoło miał zroszone potem. — Nie widzę powodów do niepokoju.

— Może i tak, ale proszę spojrzeć na różnicę w zapisie. Ma sny po impulsie przebudzenia się, ale maksima są tutaj bliżej siebie. Inny rodzaj snu. Więcej napięcia, więcej impulsów motorycznych.

— A dlaczego on w ogóle sypia? — spytał Sinescu, gość z Waszyngtonu. Miał smagłą, pociągłą twarz. — Przecież produkty zmęczenia usuwacie chemicznie. Czy przemawiają za tym jakieś względy psychologiczne?

— Potrzebne mu są marzenia senne — wyjaśnił Babcock. — To prawda, że nie odczuwa fizjologicznej potrzeby snu, ale musi mieć sny. W przeciwnym razie istnieje groźba wystąpienia halucynacji, które mogą rozwinąć się w psychozę.

— Właśnie — powiedział Sinescu. — To jest poważny problem, prawda? Od jak dawna on to robi?

— Mniej więcej od sześciu miesięcy.

— Czyli od czasu, kiedy dostał nowe ciało… i zaczął nosić maskę?

— Mniej więcej. Jedno chciałbym podkreślić: jego umysł jest w jak największym porządku. Wszystkie testy…

— Dobrze, dobrze. Znam wyniki testów. Więc teraz on nie śpi?

— Nie śpi. Są u niego Sam i Irma — powiedział technik, rzuciwszy okiem na tablicę kontrolną i z powrotem pochylił się nad zapisem encefalografu.

— Właściwie nie wiem, dlaczego miałbym się tym przejmować. To logiczne: jeżeli on ma potrzeby w dziedzinie marzeń sennych, których nasz program nie przewiduje, to w tych momentach on je zaspokaja. Chociaż nie wiem… Te piki mnie niepokoją — powiedział chmurząc się nagle.

Sinescu zdziwiony uniósł brwi.

— Programujecie jego sny?

— To nie jest programowanie — powiedział niecierpliwie Babcock. — Podsuwamy tylko tematy. Nic psychicznego: seks, ruch na świeżym powietrzu, sport.

— Czyj to był pomysł?

— Sekcji psychologicznej. Pod względem neurologicznym wszystko było w porządku, ale wykazywał tendencję do zamykania się w sobie. Psychologowie uznali, że potrzebna jest mu informacja somatyczna w jakiejś formie. On żyje, działa, wszystko gra. Ale trzeba pamiętać, że spędził czterdzieści trzy lata w normalnym ludzkim ciele.

* * *

W windzie Sinescu powiedział coś, z czego Babcock zrozumiał przez szum tylko słowo „Waszyngton".

— Przepraszam, nie dosłyszałem — powiedział chwiejąc się na nogach.

— Wygląda pan na przemęczonego. Nie sypia pan po nocach?

— Ostatnio rzeczywiście niewiele spałem. Co pan powiedział przedtem?

— Powiedziałem, że w Waszyngtonie nie są zbyt zadowoleni z pańskich sprawozdań.

— Do diabła, wiem o tym.

Drzwi windy rozsunęły się bezszelestnie. Mały hol, zielony dywan, szare ściany. Troje drzwi: jedne żelazne, dwoje z grubego szkła. Chłodne, stęchłe powietrze.

— Tędy.

Sinescu zatrzymał się przed szklanymi drzwiami i zajrzał do środka: salonik wyłożony szarym dywanem, pusty.

— Nie widzę go.

— Pokój ma kształt litery L. Jest w drugiej części. Teraz przechodzi właśnie poranny przegląd.

Drzwi ustąpiły pod lekkim dotknięciem. Kiedy przekroczyli próg, rozjarzyły się lampy pod sufitem.

— Niech pan nie patrzy w górę — powiedział Babcock — kwarcówki. Cichy świst ucichł, kiedy drzwi zamknęły się za nimi.

— Widzę, że macie tu nadciśnienie. Czy to dla ochrony przed bakteriami z zewnątrz? Czyj to był pomysł?

— Jego własny.

Babcock otworzył metalową szafkę w ścianie i wyjął z niej dwie maski z gazy.

— Proszę, niech pan to założy.

Zza rogu dobiegały stłumione głosy. Sinescu spojrzał z

niesmakiem na białą maskę i powoli włożył ją na twarz. Spojrzeli na siebie.

— Czy ta obawa przed bakteriami ma jakieś uzasadnienie? — spytał Sinescu przez maskę.

— Oczywiście grypa, czy coś w tym rodzaju nie stanowi dla niego zagrożenia, ale niech pan się przez chwilę zastanowi. Są teraz tylko dwie rzeczy, które mogą go zabić. Jedną z nich jest awaria któregoś z układów protetycznych i o to my się troszczymy; zatrudniamy tutaj pięciuset ludzi i sprawdzamy go jak samolot przed startem. Pozostaje tylko infekcja mózgowo-rdzeniowa. Niech pan stara się spojrzeć na to bez uprzedzeń.

Pokój był duży. Łączył w sobie funkcje saloniku, biblioteki i warsztatu. W jednym kącie komplet szwedzkich nowoczesnych foteli, kanapa i niski stolik; w rogu stół z tokarką, elektryczny tygiel, wiertarka, deska z kompletem narzędzi; dalej rysownica i ścianka działowa z półek wypełnionych książkami, po których Sinescu z ciekawością przebiegł wzrokiem. Były tam oprawne tomy sprawozdań z przebiegu eksperymentu, czasopisma techniczne, podręczniki; żadnej beletrystyki z wyjątkiem *Burzy ogniowej* Stewarta oraz *Czarnoksiężnika ze Szmaragdowego Grodu* w zniszczonej niebieskiej okładce. Za półkami zobaczyli szklane drzwi, prowadzące do drugiego, inaczej umeblowanego pokoju: wyścielane krzesła, rozłożysty filodendron w donicy.

— To pokój Sama — wyjaśnił Babcock.

W pokoju był jakiś mężczyzna. Ujrzawszy ich zawołał kogoś, kogo oni nie widzieli, po czym zbliżył się z uśmiechem. Był łysy, krępy, mocno opalony. Za jego plecami ukazała się ładna, drobna kobieta. Wcisnęła się za mężem, pozostawiając drzwi otwarte. Żadne z nich nie miało maski.

— Sam i Irma zajmują sąsiednie mieszkanie — wyjaśnił Babcock. — Dotrzymują mu towarzystwa; musi przecież mieć kogoś przy sobie. Sam jest jego dawnym kolegą z lotnictwa, a poza tym ma mechaniczną rękę.

Krępy mężczyzna uścisnął dłoń Sinescu. Jego ręka była silna i ciepła.

— Chce pan zgadnąć która to? — spytał. Miał na sobie kwiecistą koszulę z krótkimi rękawami. Obie ręce były brązowe, muskularne i owłosione, ale kiedy Sinescu przyjrzał się lepiej, zauważył, że prawa ma nieco inny, niezupełnie naturalny odcień.

— Chyba lewa — powiedział, czując skrępowanie.

— Nie zgadł pan — uśmiechnął się szczerze tym uradowany Sam i podciągnął prawy rękaw, żeby zademonstrować paski, przytrzymujące protezę.

— Jeden z produktów ubocznych naszego eksperymentu —

wyjaśnił Babcock. — Kierowana bioprądami, waży tyle samo, co druga. Sam, czy oni tam już kończą?

— Pewnie tak. Możemy zajrzeć. Kochanie, czy nie poczęstowałabyś panów kawą?

— Ależ tak, oczywiście.

Irma zniknęła za drzwiami swego mieszkania.

Jedna ściana pokoju była cała ze szkła, przesłaniała ją przezroczysta biała zasłona. Skręcili za róg. Tę część pokoju wypełniał sprzęt medyczny i elektroniczny, częściowo wbudowany w ściany, częściowo w wysokich czarnych skrzyniach na kółkach. Czterej ludzie w białych kitlach pochylali się nad czymś, co wyglądało jak fotel kosmonauty. W fotelu ktoś leżał: Sinescu widział stopy w meksykańskich mokasynach, ciemne skarpetki, szare spodnie. Gwar głosów.

— Jeszcze nie skończyli — powiedział Babcock. — Widocznie znaleźli coś, co im się nie podoba. Wyjdźmy na chwilę na taras.

— Sądziłem, że przeglądu dokonuje się w nocy, wtedy, kiedy wymieniają mu krew i tak dalej?

— Rano też — odpowiedział Babcock.

Odwrócił się i pchnął ciężkie szklane drzwi. Taras wyłożony był kamiennymi płytami. Osłaniały go ściany z przyciemnionego szkła i zielony plastykowy daszek. W kilku miejscach stały betonowe puste koryta.

— Miał tu być ogródek, coś zielonego, ale on nie chciał. Musieliśmy zabrać wszystkie rośliny i oszklić cały taras.

Sam rozstawił metalowe krzesła wokół białego stolika i usiedli.

— Jak on się czuje, Sam? — spytał Babcock.

Sam uśmiechnął się i opuścił głowę.

— Rano miewa humory.

— Rozmawia z tobą? Gracie w szachy?

— Rzadko. On przeważnie pracuje. Trochę czyta. Czasem ogląda telewizję.

Uśmiech Sama był sztuczny. Splótł palce obu dłoni i Sinescu spostrzegł, że czubki palców jednej ręki pociemniały, a drugiej nie. Odwrócił wzrok.

— Pan jest z Waszyngtonu, prawda? — spytał Sam uprzejmie. — Pierwszy raz tutaj? Przepraszam… — Wstał z krzesła. Za szklanymi drzwiami dostrzegł jakiś ruch. — Wygląda na to, że skończyli. Może panowie zaczekacie tutaj chwilę, a ja zobaczę.

Sam wyszedł. Dwaj mężczyźni siedzieli w milczeniu. Babcock zsunął maskę, Sinescu widząc to poszedł w jego ślady.

— Niepokoi nas żona Sama — powiedział Babcock, pochylając się bliżej. — Wydawało się nam, że to będzie dobry pomysł, ale ona czuje się tu bardzo samotna, nie podoba jej się u nas, nie ma tu ruchu,

dzieci…

Drzwi otworzyły się znowu i stanął w nich Sam. Miał maskę, ale teraz też zsunął ją pod brodę.

— Może panowie pozwolą.

W pokoju żona Sama, również z maseczką na szyi, nalewała kawę z fajansowego dzbanka w kwiaty. Uśmiechała się promiennie, ale nie wyglądała na szczęśliwą. Naprzeciwko niej siedział ktoś wysoki w szarej koszuli i spodniach, odchylony do tyłu, z wyciągniętymi nogami, z rękami na oparciu fotela, nieruchomy. Z jego twarzą było coś nie w porządku.

— No, więc jesteśmy — powiedział Sam, zacierając ręce. Żona spojrzała na niego z wymuszonym uśmiechem.

Wysoka postać odwróciła głowę i Sinescu doznał nagle wstrząsu, twarz była ze srebra: metalowa maska z podłużnymi wycięciami na oczy, bez nosa, bez ust, na ich miejscu płynne krzywizny.

— …Eksperyment? — odezwał się mechaniczny głos.

Nagle Sinescu zdał sobie sprawę, że zastygł nad krzesłem. Usiadł. Wszyscy patrzyli na niego. Głos powtórzył swoje pytanie:

— Pytałem, czy przyjechał pan, żeby przerwać eksperyment? Było to powiedziane obojętnie, bez akcentu.

— Może trochę kawy? — Irma podsunęła mu filiżankę. Sinescu sięgnął po nią, ale ręka mu drżała i cofnął ją czym prędzej.

— Przyjechałem tylko po to, żeby ustalić fakty — odpowiedział.

— Gówno prawda. Kto pana przysłał? Senator Hinkel?

— Tak.

— Gówno prawda. On był tutaj osobiście. Dlaczego miałby przysyłać pana? Jeżeli chcecie przerwać eksperyment, możecie mi to powiedzieć.

Twarz pod maską nie poruszała się, kiedy mówił, i głos wydobywał się jakby nie spod niej.

— Pan chce się tylko zorientować w sytuacji, Jim — powiedział Babcock.

— Dwieście milionów rocznie — odezwał się znowu głos — żeby utrzymać przy życiu jednego człowieka. Zgódźmy się, że to nie ma sensu. Proszę, niech pan pije, kawa panu wystygnie.

Sinescu zobaczył, że Sam i jego żona wypili już i naciągnęli maseczki. Pośpiesznie sięgnął po swoją filiżankę.

— Stuprocentowa niezdolność do pracy przy moim stanowisku daje rentę w wysokości trzydziestu tysięcy rocznie. Mógłbym doskonale żyć za tę sumę. Przez niecałe półtorej godziny.

— Nikt nie mówi o przerwaniu eksperymentu — wtrącił Sinescu.

— No to powiedzmy o ograniczeniu nakładów. Czy to określenie bardziej panu odpowiada?

— Opanujcie, Jim — powiedział Babcock.

— Masz rację. Z grzecznością jestem na bakier. Cóż więc pana interesuje?

Sinescu wypił łyk kawy. Ręce wciąż jeszcze mu drżały.

— Dlaczego nosi pan maskę?… — zaczął.

— Żadnej dyskusji na ten temat. Przykro mi, nie chciałbym być niegrzeczny, ale to sprawa czysto osobista. Proszę mnie spytać… — Bez żadnego ostrzeżenia zerwał się z rykiem: — Zabierzcie to, do cholery!

Filiżanka Irmy rozbita, kawa rozlewa się czarną plamą po stoliku. Na środku dywanu siedział przekrzywiając łepek brązowy szczeniak z wywieszonym ozorkiem, z oczkami jak szpilki.

Stolik przechylił się niebezpiecznie, żona Sama zerwała się, łzy nabiegły jej do oczu. Chwyciła szczeniaka i wybiegła z pokoju.

— Pójdę do niej — powiedział Sam wstając.

— Idź, Sam, i weźcie sobie wolny dzień. Zawieź ją do miasta, idźcie do kina.

— Tak, chyba tak zrobię — powiedział Sam i wyszedł.

Wysoka postać usiadła z powrotem, poruszając się przy tym jak człowiek; odchyliła się na oparcie, tak jak poprzednio z rękami na poręczach fotela, i zastygła nieruchomo. Dłonie były zgrabne i doskonałe w kształcie, ale jakieś nierzeczywiste; było coś nienaturalnego w paznokciach. Kasztanowate, gładko zaczesane włosy nad maską to peruka; uszy były z plastyku. Sinescu nerwowym ruchem naciągnął swoją maskę z gazy na usta i nos.

— No to ja już chyba pójdę — powiedział wstając.

— Dobrze, chcę panu jeszcze pokazać maszynownię oraz sekcję badań naukowych — zgodził się Babcock. — Jim, za chwilę wracam. Musimy porozmawiać.

— Proszę bardzo — odpowiedziała nieruchoma postać.

* * *

Babcock wziął prysznic, ale już znowu miał koszulę przepoconą pod pachami. Cichobieżna winda, zielony dywan. Chłodne, stęchłe powietrze. Siedem lat pracy, krew i pieniądze, pięciuset najlepszych fachowców. Sekcje psychologiczna, kosmetyczna, medyczna, immunologiczna, serologiczna, naukowa, maszynownia, zaopatrzenie, administracja. Szklane drzwi. Mieszkanie Sama jest puste; pojechał z żoną do miasta. Ci psychologowie. Dobrzy, ale czy najlepsi? Trzej pierwsi odmówili współpracy. „To nie jest zwykła amputacja, temu człowiekowi amputowano wszystko”.

Wysoka postać nawet nie drgnęła. Babcock usiadł na wprost srebrnej maski.

— Jim, porozmawiajmy poważnie.

— Złe wiadomości, co?

— Pewnie, że złe. Zostawiłem go sam na sam z butelką whisky. Porozmawiam z nim przed wyjazdem, ale Bóg raczy wiedzieć, co on tam opowie w Waszyngtonie. Słuchaj, zrób to dla mnie i zdejmij tę maskę.

— Proszę cię bardzo. — Ręka uniosła się, chwyciła za brzeg maski i zsunęła ją. Pod maską kryła się opalona twarz z rzeźbionym nosem i wargami, może nie piękna, ale normalna. Zupełnie przyjemna twarz. Tylko oczy miały za duże źrenice, I wargi nie poruszały się, kiedy mówił. — Mogę zdjąć wszystko po kolei. Czy to coś zmienia?

— Jim, sekcja kosmetyczna strawiła nad twoją twarzą osiem i pół miesiąca, a ty zasłaniasz ją maską. Pytaliśmy cię, co ci się nie podoba, gotowi byliśmy na wszelkie zmiany, jakie zaproponujesz.

— Nie chcę na ten temat rozmawiać.

— Mówiłeś coś o ograniczeniu nakładów. Czy to miał być żart? Chwila milczenia.

— Nie żartowałem.

— W takim razie, Jim, powiedz mi, o co chodzi. Muszę wiedzieć. Eksperyment nie zostanie przerwany. Będą cię utrzymywać przy życiu, ale to wszystko. Na liście jest siedmiuset ochotników, w tym dwóch senatorów. Przypuśćmy, że któryś z nich zostanie jutro wydobyty z rozbitego auta. Wtedy będzie za późno na dyskusje; musimy wiedzieć już teraz, czy mamy pozwolić mu umrzeć, czy też dać mu ciało takie jak twoje. Dlatego musimy porozmawiać.

— A gdybym tak nie powiedział prawdy?

— Dlaczego miałbyś kłamać?

— A dlaczego okłamuje się chorego na raka?

— Nie rozumiem, o co ci chodzi, Jim.

— Spróbujmy więc z innej beczki. Czy wyglądam jak człowiek?

— Oczywiście.

— Gówno prawda. Przyjrzyj się tej twarzy. (Zimna i niewzruszona. Za sztucznymi źrenicami błysk metalu). Załóżmy, że rozwiązaliśmy wszystkie inne problemy i mógłbym jutro pojechać do miasta. Czy wyobrażasz mnie sobie spacerującego ulicami, wchodzącego do baru, jadącego taksówką?

— Czy to wszystko? — Babcock głęboko wciągnął powietrze. — Oczywiście, Jim, że jest różnica, ale na miłość boską, tak bywa ze wszystkimi protezowanymi; ludzie muszą się przyzwyczaić. Weź na przykład tę rękę Sama. Po jakimś czasie zapomina się o niej, przestaje się ją zauważać.

— Gówno prawda. Udają, że nie zauważają. Żeby nie robić przykrości kalece.

Babcock opuścił wzrok na swoje splecione dłonie.

— Litujesz się nad sobą? — spytał.

— Nie wygłupiaj się — zagrzmiał głos. Wysoka postać stała teraz wyprostowana. Ręce z zaciśniętymi pięściami uniosły się wolno w górę.

— Jestem w tym zamknięty. Siedzę w tym od dwóch lat. Jestem w tym, kiedy zasypiam i kiedy się budzę.

Babcock spojrzał na niego z dołu.

— A czego byś chciał? Ruchomej twarzy? Daj nam dwadzieścia lat, może dziesięć i rozwiążemy tę sprawę.

— Nie o to chodzi.

— Więc o co?

— Chcę, żebyście zlikwidowali dział kosmetyczny.

— Ależ to jest…

— Posłuchaj tylko. Pierwszy model wyglądał jak manekin krawiecki, pracowaliście więc przez osiem miesięcy i zbudowaliście nowy. Ten wygląda jak świeży nieboszczyk. Waszym celem było, aby jak najbardziej upodobnić mnie do człowieka. Stopniowo doskonaląc kolejne modeL doszlibyście do czegoś, co mogłoby palić cygara, bawić damy, grać w kręgle i ludzie niczego by nie podejrzewali. To wam się nigdy nie uda, a gdyby się nawet udało, to po co?

— Pozwól mi się zastanowić… Co masz na myśli? Metal?

— Metal oczywiście, ale nie o to chodzi. Myślę o kształcie, o funkcjonalności. Zaczekaj chwilę.

Wysoka postać przeszła przez pokój, otworzyła szufladę i wróciła ze zwojem papieru.

— Spójrz na to.

Rysunek przedstawiał podłużne metalowe pudło na czterech przegubowych nogach. Na jednym końcu pudła umocowana była mała główka w kształcie grzybka na giętkim pręcie oraz pęk ramion zakończonych sondami, świdrami, chwytakami.

— Do prac na Księżycu.

— Za dużo ramion — powiedział Babcock po chwili. — Jak będziesz…

— Nerwami mięśni twarzy. Jest ich dużo. Albo popatrz tutaj. (Inny rysunek.) Zasobnik podłączony do układu sterowniczego statku kosmicznego. Kosmos to jest właśnie wymarzone otoczenie dla mnie. Sterylna atmosfera, mała grawitacja, mogę dotrzeć tam, gdzie człowiek nie dotrze, i zrobić to, czego człowiek nigdy nie potrafiłby zrobić. Tam mogę być pożyteczny, a siedząc tu — jestem miliardową dziurą w budżecie.

Babcock przetarł oczy.

— Dlaczego wcześniej nic nie mówiłeś?

— Wszyscy mieliście bzika na punkcie protetyki. Powiedzielibyście mi, żebym się nie wtrącał.

Babcock drżącymi rękami zwinął rysunki.

— Słowo daję, to może przesądzić sprawę — powiedział. — Zupełnie możliwe.

Wstał i skierował się do drzwi.

— Trzymaj się, Jim.

Kiedy został sam, założył z powrotem maskę i stał przez chwilę bez ruchu. Wsłuchiwał się w lekki, miarowy poszum pomp, trzaski przekładni i zaworów; czuł, że tam w środku jest chłodno i czysto. Trzeba przyznać, że to mu zapewniono: uwolniono go od wszystkich tych bebechów, zastępując je mechanizmami, które nie krwawią, nie ciekną i nie ropieją. Pomyślał o tym, jak okłamał Babcocka. „A dlaczego okłamuje się chorego na raka?" Oni i tak nie są w stanie tego zrozumieć.

Usiadł przy rysownicy, przypiął świeży arkusz papieru i zaczął szkicować ołówkiem maszynę do badania Księżyca. Kiedy skończył maszynę, zaczął szkicować kratery w tle. Ołówek poruszał się coraz wolniej, wreszcie odłożył go z trzaskiem.

Nie ma gruczołów wydzielających adrenalinę do krwi, nie odczuwa więc strachu ani wściekłości. Uwolniono go od tego wszystkiego — od miłości, od nienawiści, od tego całego bigosu — ale zapomniano o jednym uczuciu, do którego jest jeszcze zdolny.

Sinescu z czarną szczeciną brody przebijającą się przez tłustą skórę. Dojrzały wągier koło nosa.

Czysty i zimny krajobraz księżycowy. Znowu wziął do ręki ołówek.

Babcock ze swoim spłaszczonym, czerwonym i świecącym nosem, z ropą w kącikach oczu i resztkami jedzenia między zębami.

Żona Sama z malinową papką na wargach. Twarz ociekająca łzami, kapka pod nosem. I ten cholerny pies z błyszczącym nosem i mokrymi ślepiami…

Odwrócił się. Pies był tutaj, siedział na dywanie, z wywieszonego różowego języka kapała ślina. (Znowu zostawili drzwi otwarte.) Sięgnął po metalową przykładnicę, zamachnął się jak siekierą. Pies wydał krótki skowyt, kiedy metal zmiażdżył mu kości. Jedno oko wypełniło się krwią, pies miotał się w konwulsjach, zostawiając ciemne plamy na dywanie, a on uderzył jeszcze raz i jeszcze raz.

Małe ciałko leżało skręcone na dywanie, zakrwawione, z wyszczerzonymi zębami. Wytarł przykładnicę papierowym ręcznikiem, umył ją w zlewie wodą z mydłem, wytarł i odłożył na miejsce. Potem wziął arkusz papieru kreślarskiego, rozłożył go na podłodze i wsunął pod ciało psa ostrożnie, żeby jak najmniej pobrudzić dywan. Uniósł trupa szczeniaka i wyszedł z nim na taras, otwierając sobie drzwi ramieniem. Wyjrzał przez barierę. O dwa piętra niżej betonowy dach z kominami. Nikt nie patrzy. Wytrząsnął

psa z papieru. Padając odbił się od komina i zostawił na nim czerwoną smugę. Wrócił do mieszkania i wrzucił papier do zsypu na śmieci.

Plamy krwi były na dywanie, na nogach od stolika i na jego spodniach. Wytarł je wodą i papierowymi ręcznikami. Potem zdjął ubranie, obejrzał dokładnie i wrzucił do pralki. Umył zlew, umył się cały środkiem dezynfekcyjnym i włożył czyste ubranie. Wszedł do pustego mieszkania Sama i zostawił drzwi na taras otwarte. Przez taras wrócił do siebie.

Usiadł przy rysownicy. Był czysty i chłodny. Przypomniał mu się sen, jaki miał dziś rano: oślizłe nerki pękają szare płuca krew i włosy sznury kiszek ociekające żółtym łojem i o Boże ten smród jak z wychodka a on przeprawiał się przez jakiś cuchnący żółty potok i…

Zaczął rysować tuszem, najpierw cienkim stalowym piórkiem, potem nylonowym pędzelkiem.

…pośliznął się i padał nie mógł się zatrzymać zapadał się w grząską maź coraz to głębiej nie mogąc ruszyć ręką ani nogą jak sparaliżowany i na próżno chciał krzyknąć chciał krzyknąć chciał krzyknąć…

Maszyna wspinała się na zbocze krateru, ramiona miała wciągnięte, głowę odchyloną do tyłu. W tle daleka ściana skalna, horyzont, czarne niebo i gwiazdy jak łepki od szpilek. To był on tam na Księżycu, ale jeszcze za blisko, bo nad głową zwisała Ziemia jak przegniły owoc — niebieski od pleśni, pomarszczony, cieknący, rojący się życiem.

Przełożył Lech Jęczmyk

Tuli Kupferberg
TĘSKNOTA

A Personal Touch

Była sobie raz bomba atomowa, która chciała być kulą karabinową.

— Dlaczego — pytały ją inne bomby atomowe — zamiast cieszyć się, że jesteś wielką bombą atomową, chcesz być małą kulką karabinową?

— Ponieważ odczuwam brak osobistego kontaktu z ludźmi — westchnęła bomba.

Przełożył z angielskiego Lech Jęczmyk

Keith Laumer
W KOLEJCE

In the Queue

Stary człowiek upadł dokładnie w tym momencie, kiedy Farn Hestler wracając z sanitariatu mijał go swoim kołem bieżnym. Hestler hamując spojrzał na wykrzywioną bladą twarz, na wygięte usta, które próbowały jakby oderwać się od umierającego ciała. Zeskoczył, zostawił koło, schylił się nad ofiarą. Mimo że był szybki, zdążyła go wyprzedzić chuda wysoka kobieta. Palcami, przypominającymi sękate korzenie, chwyciła kościste ramiona starego.

— Powiedz im, że to ja, Millicent Dredgewicke Grump! — ostrym głosem krzyczała do pustej twarzy. — Och gdybyś tylko wiedział, co ja przeżyłam, jak bardzo potrzebuję pomocy.

Hestler, zręcznie odepchnął ją nogą, aż się potoczyła. Ukląkł przy starym człowieku, podniósł mu głowę.

— Sępy — powiedział — chciwcy, rozszarpaliby człowieka. Ja nie jestem taki. A byłeś już tak blisko początku kolejki. Założę się, że mógłbyś opowiedzieć niejedno. Weteran! Nie tak, jak ci tutaj w kolejce. Bezczelni… — zmełł w ustach przekleństwo. — Uważam, że człowiek zasługuje na odrobinę szacunku w momencie takim, jak ten.

— Tracisz czas, stary — odezwał się jakiś gruby głos. Hestler obejrzał się na mężczyznę o wyglądzie hipopotama, o którym zawsze myślał jako o Dwudziestym z Tyłu. — Stary łysol nie żyje.

Hestler potrząsnął ciałem. — Powiedz im, że to Argall Y. Hestler — krzyczał do martwego ucha. — Argall! ARGALL!

— Rozejść się — tubalny głos policjanta pilnującego porządku w kolejce przedarł się przez gwar. — Na swoje miejsca. — Poparł rozkaz ostrym szarpnięciem. Hestler posłusznie wstał. Nie odrywał oczu od woskowego oblicza, na którym zastygał wyraz przerażonego zdumienia.

— Wampir! — wykrzyknęła chuda kobieta. — Kolejkowy… — przełknęła obraźliwe słowo.

— Nie myślałem o sobie — gorąco tłumaczył Hestler — ale o swoim chłopaku Argallu, który nie z własnej winy…

— Dobra, dobra, spokój — warknął glina. Wskazał palcem zmarłego. — Czy ten facet zostawił jakieś dyspozycje?

— Tak! — wykrzyknęła chuda kobieta. — Powiedział; Millicent Dredgewicke Grump…

— Kłamie! — wtrącił się Hestler. — Przypadkiem usłyszałem nazwisko Argall Hestler… — Prawda, proszę pana? — Spojrzał w oczy

wyrostka o obwisłych policzkach, który gapił się na zwłoki.

Chłopak przełknął ślinę i spojrzał w twarz Hestlerowi.

— Do diabła, nie powiedział ani słowa. — I splunął tuż obok buta Hestlera.

— Zmarł bez testamentu — stwierdził policjant i coś wpisał do notesu. Machnął ręką na sprzątaczy, którzy przenieśli zwłoki na wózek, przykryli je i gdzieś potoczyli.

— Ścieśnić się — zarządził glina.

— Bez testamentu — mamrotał ktoś. — Jak można…

— To świństwo, miejsce przepada, przechodzi na własność rządu. Nikt na tym nie korzysta. Psiakrew! — Gruby mężczyzna, który to powiedział, rozejrzał się dokoła. — W takich przypadkach powinniśmy być solidarni, mieć jakiś dobry plan zawczasu uzgodniony.

— Ej — powiedział chłopak o obwisłych policzkach — to jest spiskowanie.

— Nie chciałem proponować nic nielegalnego. — Grubas wrócił do kolejki. Jak na komendę ludzie rozproszyli się i pośpiesznie wsunęli się na swoje miejsca.

Hestler wzruszył ramionami, z powrotem uruchomił koło, potoczył się do przodu, świadom zazdrosnych spojrzeń, które go odprowadzały. Minął tych samych ludzi „z tyłu", których zawsze mijał. Niektórzy stali, inni siedzieli na płóciennych składanych krzesełkach pod wyblakłymi od słońca parasolami. Tu i ówdzie widniał jakiś nylonowy namiot na kółkach. Niektóre z nich były zniszczone, obdarte, inne będące własnością tych, którym się lepiej powiodło — ozdobne. On sam był szczęśliwcem. Nie zdarzyło mu się nigdy stać pocąc się pod działaniem słońca i wścibskich spojrzeń.

Było słoneczne popołudnie. Słońce oświetlało olbrzymią betonową pochylnię, po której od jakiegoś niknącego w oddali punktu wiła się kolejka. Z przodu, teraz już zupełnie blisko, widniała pusta biała ściana z jednym tylko oknem — cel kolejki. Hestler zwolnił zbliżając się do namiotu Hestlerów. Gdy zobaczył, jak blisko jest początku, poczuł, że zasycha mu w gardle.

W ciągu ostatnich dwunastu godzin załatwiono sześć osób, liczba dotychczas nie spotykana. Znaczyło to także, Hestler aż wstrzymał oddech, że on sam może dotrzeć do okna jeszcze w czasie tej zmiany. Przez moment odczuwał paniczną chęć ucieczki, zamiany miejsc z pierwszym z tyłu, później z drugim; chciał cofnąć się na bezpieczną odległość, stworzyć sobie możność przemyślenia, przygotowania się…

— A, Farn — głowa kuzyna Galperta wysunęła się z namiotu. — Wiesz co? Jak ciebie nie było, przesunąłem się o jedno miejsce.

Hestler złożył koło i umieścił je obok spłowiałej tkaniny. A potem ukradkiem rozsunął szeroko firanki. Zawsze gdy opuszczał to miejsce

udając się do sanitariatu, przez pół godziny zastępował go kuzyn i po powrocie Hestler zastawał zaduch stęchlizny i słodyczy.

— Zbliżamy się do przodu — powiedział z podnieceniem Galpert wręczając mu kasetę z papierami. — Mam uczucie… — przerwał, gdyż nagle kilka miejsc za nimi rozległy się podniesione głosy. Mały jasnowłosy mężczyzna o wyłupiastych niebieskich oczach starał się wepchnąć pomiędzy Trzeciego z Tyłu i Piątego z Tyłu.

— Powiedz, czy to nie Czwarty z Tyłu? — zapytał Hestler.

— Zrozumcie — błagał mały człowieczek — musiałem odpowiedzieć na niezaplanowany głos natury. — Utkwił słabe oczy w Piątym z Tyłu, potężnym mężczyźnie o grubych rysach, w jaskrawej koszuli i słonecznych okularach. — Obiecał pan przypilnować mojego miejsca.

— Jeszcze czego! Trzeba było się nie włóczyć! Miałeś na to specjalną przerwę.

Mnóstwo ludzi krzyczało teraz na człowieczka.

— …skoczek kolejkowy… owy… oczek… oczek — Niski mężczyzna cofnął się zatykając uszy. Wyzwiska wzmagały się w miarę dołączania nowych głosów.

— Ale to jest moje miejsce — biadolił człowieczek. — Ojciec umierając zostawił mi je, wszyscy go na pewno pamiętacie… — Jego głos zagłuszony został krzykiem.

— Dobrze mu tak — powiedział Galpert zaambarasowany krzykami. — Człowiek, który nie szanuje swego dziedzictwa, tylko tak sobie odchodzi, zasłużył na takie traktowanie.

Patrzyli, jak były Czwarty z Tyłu odwraca się i odchodzi wciąż jeszcze zasłaniając uszy rękami.

Po odejściu Galperta, Hestler wietrzył namiot przez dalsze dziesięć minut, stojąc z kamienną twarzą, założonymi rękami i wzrokiem utkwionym w plecy Pierwszego z Przodu. Ojciec opowiedział mu różna rzeczy o Pierwszym z Przodu. Dawno temu, kiedy jeszcze obaj byli młodymi ludźmi przy samym końcu kolejki, był to niczego sobie facet. Zawsze żartował z kobietami w kolejce i proponował im odstąpienie miejsca pod pewnymi warunkami. Niewiele dzisiaj z tego pozostało. Po prostu bezbarwny stary człowiek w znoszonej kurtce skórzanej, wyczekujący w ogonku. Ale, pomyślał Hestler, on sam był szczęściarzem. Przejął miejsce po ojcu, kiedy ojciec dostał zawału. Przeskok o dwadzieścia jeden tysięcy dwieście dziewięćdziesiąt cztery miejsca. Niewielu młodym ludziom tak się powiodło. Co prawda nie był już taki młody, spędził swój czas w kolejce i właściwie należał mu się odpoczynek.

I teraz, może już za parę godzin znajdzie się na samym początku kolejki. Dotknął zamkniętej kasety, w której znajdowały się papiery ojca i naturalnie jego, Custera i dzieci — było tam wszystko. Za parę

godzin, jeżeli ogonek będzie się nadal posuwać, będzie mógł odpocząć, wycofać się, zostawić dzieci, które miały własne miejsce w kolejce.

Niech same sobie dają radę, jak ich ojciec, który dotarł do czoła kolejki przed skończeniem czterdziestego piątego roku życia!

Wewnątrz namiotu było gorąco i duszno. Hestler ściągnął płaszcz i przysiadł w krótkim hamaku. Nie była to zapewne najdogodniejsza pozycja na świecie, ale za to w pełni dostosowana do przepisów kolejkowych, według których przynajmniej jedna noga ma być na ziemi przez cały czas, głowa zaś winna znajdować się powyżej pasa.

Hestler przypomniał sobie wydarzenie sprzed lat, kiedy jakiś nieszczęśnik bez namiotu zasnął na stojący. Stał z zamkniętymi oczami i zgiętymi kolanami i powoli osuwał się w kucki, następnie pomału się podnosił, mrugał oczami i z powrotem zasypiał. W górę i na dół, w górę i na dół. Przez godzinę go obserwowali. Wreszcie głowa opadła mu poniżej pasa. Wtedy wypchnięto go z kolejki, szeregi się zwarły. Ach, kiedyś w kolejce coś się działo, nie tak jak dzisiaj. Za dużo było do stracenia, nie można było sobie pozwolić na lekkomyślność.

Przed samym zmierzchem kolejka przesunęła się do przodu. Jeszcze trzech przed nim. Serce Hestlera zabiło mocniej.

Było ciemno, kiedy usłyszał szept:

— Czwarty z Przodu.

Hestler zerwał się całkowicie obudzony. Zamrugał zastanawiając się, czy ten głos mu się nie śnił.

— Czwarty z Przodu! — rozległ się ponownie syk. Hestler odsunął zasłonę, ale nic nie zobaczył. Cofnął głowę i wówczas ujrzał wymiętą twarz i wyłupiaste oczy Czwartego z Tyłu, który zaglądał przez otwór wentylacyjny na końcu namiotu.

— Musi mi pan pomóc — powiedział mały człowiek. — Pan widział, co się stało, może pan złożyć oświadczenie, że mnie oszukano, że…

— Słuchaj pan, co pan robi poza kolejką? — przerwał mu Hestler. — Czemu nie zajmie pan sobie nowego miejsca?

— Ja… ja nie mogę się z tym pogodzić — powiedział załamanym głosem Czwarty z Tyłu. — Moja żona, dzieci, wszyscy na mnie liczą.

— Trzeba było pomyśleć o tym wcześniej.

— Przysięgam, że nie mogłem nic na to poradzić. To było tak nagle i…

— Stracił pan miejsce, a ja nic panu nie pomogę.

— Jeżeli będę musiał zaczynać od początku, to będę miał siedemdziesiątkę, kiedy dojdę do okienka.

— To nie moja sprawa.

— …ale gdyby pan wyjaśnił policji kolejkowej, co się wydarzyło, gdyby zechciał pan im wyjaśnić…

— Pan oszalał! Nie mogę tego zrobić.

— Ale pan… Zawsze uważałem, że wygląda pan przyzwoicie.

— Niech pan już lepiej idzie. Ktoś może zobaczyć nas razem.

— Muszę z panem porozmawiać. Nie wiem, jak pan się nazywa, ale przecież przez dziewięć lat dzieliły nas od siebie tylko cztery miejsca w kolejce.

— Proszę odejść, zanim zawołam glinę. — Hestlerowi trudno się było uspokoić po odejściu Czwartego z Tyłu.

W namiocie latała mucha. Noc była gorąca. Kolejka znowu się przesunęła do przodu i Hestler musiał wyjść i podtoczyć namiot. Jeszcze dwa miejsca. Był tak podniecony, że aż poczuł się słabo. Jeszcze dwa ruchy i stanie przed okienkiem. Otworzy szkatułkę, pokaże papiery, pomału wszystko uporządkuje. Nagle przestraszył się, że ktoś gdzieś na końcu kolejki mógł coś pomylić, czegoś nie podpisać, nie przystawić notarialnej pieczęci… Nie, to niemożliwe. Za takie coś można zostać wyrzuconym z kolejki, stracić miejsce, wrócić na sam koniec.

Hestler otrząsnął się z przykrych myśli. To tylko nerwy. Któż by się nie denerwował… Po dzisiejszej nocy całe jego życie ulegnie zmianie. Skończą się dni wystawania w kolejce. Będzie miał czas, mnóstwo czasu na to wszystko, o czym przez długie lata nie mógł nawet pomyśleć.

Tuż koło niego ktoś krzyczał. Hestler wyszedł z namiotu, aby zobaczyć Drugiego z Przodu, który teraz był na samym początku i potrząsał podniesioną pięścią przed nosem małej twarzy z czarnym wąsikiem, oprawionej w ramy skąpanego w ostrym białym świetle okna.

— Idiota! Kretyn! Osioł! — wykrzykiwał Drugi z Przodu. — Co znaczy: „Weź to z powrotem do domu i niech żona wpisze wyraźnie swoje drugie imię?”

Pojawili się dwaj potężni policjanci kolejkowi, oświetlili wściekłą twarz Drugiego z Przodu, chwycili go pod ręce i zabrali. Kiedy Hestler pchnął namiot na kółkach do przodu, cały drżał. Teraz już tylko jeden człowiek przed nim. On będzie następny. Nie ma powodu do zmartwienia. Kolejka posuwała się jak jasna cholera, za parę godzin załatwią tego człowieka przed nim. Ma czas odpocząć, uspokoić nerwy, przygotować odpowiedzi na pytania.

— Nie rozumiem pana — ostrym głosem mówił Pierwszy z Przodu do małego czarnego wąsika w oknie. — Wszystkie papiery są w porządku, przysięgam.

— Powiedział pan, że ojciec pański nie żyje — mówił oschły głos Czarnego Wąsika. — To znaczy, że musi pan przedstawić formularz 56839847565342-B w sześciu egzemplarzach potwierdzony przez lekarza i miejscową policję oraz dołączyć zrzeczenie się z wydziału

A,B,C. Znajdzie pan to wszystko w przepisach.

— Ale… przecież on umarł zaledwie dwie godziny temu. Właśnie się o tym dowiedziałem.

— Dwie godziny, dwa lata, na jedno wychodzi — nie żyje…

— Ale ja stracę swoje miejsce. Gdybym panu tego nie powiedział…

— To nie wiedziałbym. Pan jednak powiedział, prawda?

— Nie może pan założyć, że nic nie mówiłem? Że nigdy nie dostarczono mi tej wiadomości?

— Pan mnie namawia do oszustwa?

— Nie, nie… — Pierwszy z Przodu odwrócił się i podreptał zaciskając w ręce papiery, które straciły ważność. Hestler przełknął ślinę.

— Następny — powiedział Czarny Wąsik.

Hestlerowi drżały ręce, kiedy otwierał szkatułkę. Wyłożył papiery (12 kopii), w kolorze łososiowym, następnie purpurowe (dziewięć kopii), cytrynowożółte (czternaście kopii), zielone (pięć kopii). Tylko pięć0 Czy to dobrze? Czy nie zgubił jednej? Ze strachu przestał oddychać.

— Dwanaście kopii w kolorze łososiowym. — Urzędnik znacząco się zmarszczył.

— Tak, czy coś nie w porządku? — wyjąkał Hestler.

— Naturalnie. — Urzędnik dalej liczył papiery stawiając niezrozumiałe znaki na marginesach.

Już prawie świtało, kiedy sześć godzin później urzędnik stemplował ostatni papierek, lizał ostatni znaczek, wsuwał plik załatwionych dokumentów do szuflady i już patrzył na następnego w kolejce za Hestlerem.

Hestler wahał się trzymając pustą szkatułkę w bezwładnych palcach.

— To już wszystko — powiedział urzędnik. — Następny.

Pierwszy z Tyłu idąc do okienka trącił Hestler a. Był niewysokim mężczyzną o dużych miękkich wargach i długich uszach. Hestler nigdy dotychczas mu się nie przyjrzał. Czuł potrzebę powiedzenia mu, jak się wszystko odbyło, dania mu przyjacielskich wskazówek, jak stary weteran okienkowy nowemu przybyszowi. Tamten jednak nawet nie spojrzał na niego.

Odchodząc Hestler zauważył namiot. Robił wrażenie opuszczonego, niepotrzebnego. Myślał o tych wszystkich godzinach, dniach, latach, które spędził w środku, skurczony w hamaku.

— Może pani to sobie wziąć — powiedział do Drugiej z Tyłu, tęgiej kobiety o wiszących podbródkach. Wskazał na namiot. Odburknęła coś ignorując propozycję.

Poczłapał wzdłuż kolejki z zainteresowaniem przyglądając się

ludziom, ich postaciom i twarzom. Byli wysocy i niscy, tędzy i szczupli, starzy i młodzi (niewielu), lepiej lub gorzej ubrani, mieli włosy uczesane lub rozczochrane, niektórzy z brodami lub wąsami, niektórzy z umalowanymi ustami, wszyscy nieciekawi, każdy na swój odrębny sposób.

Zobaczył Galperta, który ze świstem jechał ku niemu na kole bieżnym. Galpert zwolnił, zahamował. Hestler zauważył, że jego kuzyn ma na chudych nogach brązowe skarpetki, z których jedna się rozciągnęła i opadła ukazując kredowo-białą skórę.

— No i co, Farn?

— Wszystko załatwione — Hestler uniósł pustą kasetę.

— Wszystko załatwione? — Galpert ze zdumieniem spojrzał w kierunku dalekiego okienka.

— Wszystko załatwione. Niewiele tego było.

— To znaczy… ja… ja chyba nie muszę… — głos Galperta zamarł.

— Nie, nie ma potrzeby Galpert, już nigdy.

— Tak, no i co… — Galpert spojrzał na Hestlera, spojrzał na kolejkę i z powrotem na Hestlera. — Idziesz, Farn?

— Ja… ja chyba trochę się przejdę. Przemyślę to sobie.

— Dobrze — powiedział Galpert. Uruchomił koło i pomału ruszył w poprzek pochylni.

Nagle Hestler zaczął myśleć o czasie. O całym tym czasie, który miał przed sobą jak otchłań. Co z nim zrobi? Chciał zawołać Galperta, ale zamiast tego odwrócił się i szedł dalej wzdłuż kolejki. Twarze gapiły się na niego, za niego, przez niego.

Południe nadeszło i minęło. Hestler kupił parówkę i ciepłe mleko w papierowym kubku. Sprzedawca stał przy wózku trójkołowym, pod dużym parasolem. Z tyłu wózka uwiązany był kurczak-maskotka. Hestler szedł dalej, przyglądając się twarzom. Wszystkie były brzydkie. Dotychczas oglądał je ze współczuciem od strony okienka. Zauważył Argalla, pomachał mu ręką, ale Argall patrzył w inną stronę. Odwrócił się. Okienka już prawie nie było widać, nieduży ciemny punkcik, ku któremu wiła się kolejka. O czym oni teraz myślą? Jak muszą mu zazdrościć! Ale nikt nie zwracał na niego uwagi. Kiedy słońce zaczęło zachodzić, poczuł się samotny. Chciał z kimś porozmawiać, ale żadna z mijanych twarzy nie wydawała mu się sympatyczna.

Było już prawie ciemno, kiedy doszedł do końca kolejki. Z tyłu pusta płaszczyzna ciągnęła się aż po horyzont. Ciemna i pusta.

— Wygląda na to, że jest tam zimno — usłyszał swój głos. Mówił do faceta o bladej twarzy, który stanął na końcu kolejki z rękami w kieszeniach. — I tak pusto…

— Stoi pan w kolejce, czy jak? — zapytał chłopak. Hestler znowu

spojrzał na posępny horyzont. A potem podszedł i stanął za młodzieńcem.

— Oczywiście — odpowiedział.

Przełożyła z angielskiego Janina Rowińska-Bloch

David I. Masson
URLOP

Raveler's Rest

Był to prawdziwie apokaliptyczny sektor. Spoza czerwono-czarnej zasłony przedniej bariery optycznej, która przebiegała od Granicy zaledwie w odległości dwudziestu metrów na północ, pluły meteorytowym gradem najróżniejsze okropności: eksplozje jądrowe i plazmowe, bomby chemiczne, roje pocisków różnego kalibru i o różnych prędkościach właściwych, deszcz paralizatorów systemu nerwowego i trujących narkotyków. Ładunki burzące rozbijały się na nagich, skalistych zboczach lub na betonie bunkrów, z których wiele ulegało co minutę niemal kompletnemu rozpadowi lub rozpruciu. Nie naruszone jeszcze instalacje grały dalej nieustannym, równie intensywnym, prawie pionowym ogniem rakiet i pocisków. Tu i ówdzie widać było jakąś postać w skafandrze przemykającą się w górę, w dół lub wzdłuż zboczy na mechanicznych „chodakach", podobną do oszalałej mrówki z mrowiska zaatakowanego miotaczem płomieni. Niektóre z widzialnych trajektorii pruły nad głowami w stronę indygowego lśnienia tylnej bariery optycznej, biegnącej mniej więcej pięćdziesiąt metrów na południe, bijąc w stromo opadające, skaliste zbocza czterdzieści parę metrów poniżej linii widoczności. Jak okiem sięgnąć, na wschód i na zachód, mniej więcej na czterdzieści mil w tym czystym, mimo kurzu rumowisk, górskim powietrzu tunel widzialności (od wschodu odcięty jednak pasmem szczytów) ukazywał nieustanną, odwetową działalność instalacji niszczących. Tunel słyszalności był o wiele obszerniejszy od wizji; wielodźwięczny hałas, nawet poprzez osłonięte hełmem lewe ucho, był bardzo intensywny.

— Są sterowane komputerem. Na pewno — powiedział przekaźnik w prawe ucho H. Stwierdzenie to nie było poprzedzone żadną zakodowaną tożsamością nadawcy, ale H poznał głos B, swojego bezpośredniego dowódcy, którego poza tym widać było mówiącego w odległości metra, w wielkiej betonowej bańce, gdzie tkwili na obserwacji, stosując szkło plaspeksowe i wizjer polaryzujący na podczerwień o zasięgu kilkuset metrów. B był w bunkrze od trzech minut, prawdopodobnie na rozkaz dwu swoich dowódców, którzy tkwili teraz w stacji W.

— Jak wyjaśnić inaczej fakt, że pociski trafiają tu z jednakowym opóźnieniem 1 minuty? — powiedział H.

— No cóż, może to być również niska częstotliwość dalekiego zasięgu. Prawdę mówiąc nie wiemy, jak TAM funkcjonuje CZAS.

— Jeżeli konceleracja biegnie asymptotycznie do Granicy, jak to powinno mieć miejsce v; wypadku, kiedy Ich CZAS biegnie w odbiciu lustrzanym, to nic TAM nie powinno się przedostać, prawda?

— I wcale nie musi, jak mnie się wydaje. Może nagle rośnie tylko po jednej stronie, a potem opada po drugiej pod tym samym kątem — powiedział głos B. — tak czy owak nie przyszedłem tutaj, aby roztrząsać z tobą kwestie naukowe. Mam wiadomość dla ciebie. O ile wytrzymamy tutaj jeszcze kilka sekund, będziesz Zluzowany.

H poczuł, jak go ogarnia czarna, wewnętrzna bariera optyczna, a szum w uszach zagłusza łoskot bombardowania. Kolana się pod nim ugięły, zachwiał się, ale od razu odzyskał pełną świadomość. Dostrzegł swego zmiennika, niepewnie wyglądającą postać w skafandrze (jak wszyscy tutaj) stojącą w odległym kącie bunkra.

— Tu XN 3. Jakie rozkazy? — spytał energicznie, czując szybkie tętnienie pulsu w skroniach.

— Tu XN 2. Pobrać ekwipunek „m" zaraz, powtarzam, zaraz, rakieta 3333 do W, przedłożyć znaczek (podano mu świecący pomarańczowy krążek z kilkoma czarnymi znakami) i działać według otrzymanych rozkazów.

H w wojskowym pozdrowieniu uniósł zgiętą w łokciu rękę z wyprostowanym kciukiem. Nie było czasu na zbędne słowa.

— Tu XN 3 Tak, ekwipunek „m", rakieta 3333, znaczek (wziął go do lewej rękawicy) i rozkazy W. Melduję odejście.

Nie zdążywszy dostrzec potakującego skinięcia B, ześliznął się na obcasach do wyjścia, zdjął z haka niedużą torbę (jedną z piętnastu), zsunął się po błotnistym zboczu w dół, dziesięć metrów pod ziemię, do małej komory oświetlonej paliwem komórkowym, wcisnął błyszczący w ścianie guzik i chwilę obserwując świetlisty znak przebiegający serię cyfr, wskoczył do niskiego „wozu", który wypadł zza rogu, i zwinął się jak embrion. Jego ciężar uruchomił drzwi rakiety. Zatrzasnęły się więc i pojazd (którego fotel mocno objął ciało H) runął z rykiem w rozwartą pod nim otchłań.

Dwadzieścia pięć sekund po słowach „melduję odejście" H rozprostował się w komorze przyjmującej stacji W, prawie pół mili niżej. Wypełzł, zanim rakieta pognała dalej, przeszedł dziesięć kroków w tej poszerzonej kopii swojego biegunowego bunkra, zasalutował kciukiem i okazał znaczek dwóm oficerom-, (nie trudno ich było rozpoznać po kolorze i oznakowaniu hełmów) mówiąc: — Tu XN 3. Melduję — Zluzowany.

— XN I do XN 3. Weź to (podał mu podobny pomarańczowy krążek wyjęty z kieszeni skafandra) i — za siedemdziesiąt sekund wsiądź w zewnętrzną skalną. A tak na marginesie, czy widziałeś kiedyś prehis?

— Nie, proszę pana.

— Więc spojrzyj przez to: wygląda jak ptero tylko bardziej prymitywny.

Teleskopowy wizjer na podczerwień skierowany na północny wschód przenikał przez przednią barierę optyczną, przebiegającą w odległości około czterdziestu metrów w linii północnej. Prawie pod samym szczytem zbocza, ale jeszcze w pewnej odległości od ciemnej, infraczerwonej bariery radiacyjnej, widać było bezgłośnie skrzeczące, dwa opancerzone stwory wielkości dużego psa, ale z dwiema nogami i ciężkimi skrzydłami, trzepoczące wokół jakiegoś garbu lub głazu. „Mogą jeszcze gdzieś zdrowo oberwać po drodze i naprawdę nie mają chyba nic do roboty na tym nagim pustkowiu" — pomyślał H.

— Dziękuję. Dziwne — powiedział. Upłynęło jedenaście sekund z siedemdziesięciu. Wyciągnął z pojemnika w ścianie plastykową szklankę i nie zdejmując hełmu napił się wody z automatu. Upłynęło już siedemnaście sekund, pozostało jeszcze pięćdziesiąt trzy.

— XN l do XN 3. Co tam słychać na górze?

Wiedział, że będzie musiał złożyć raport. XN 2 mógł już nigdy nie wrócić do W, a komunikowanie się w górę i w dół Czasu na tych szerokościach było możliwe jedynie w odległości kilku metrów.

— Tu XN 3. Z każdą chwilą goręcej; obawiam się, że mniej więcej za godzinę należy spodziewać się przerwania — to oczywiście tylko moje przypuszczenie. Ale nigdy jeszcze nie widziałem czegoś podobnego, jak długo tam jestem. Przypuszczam, że zauważyliście to również tu, w W?

— Tu XN 1. Dziękuję za raport — było jedyną odpowiedzią, jaką otrzymał XN 3.

Pozostało już tylko dwadzieścia siedem sekund. Zasalutował i odmaszerował przez bunkier razem ze swym ekwipunkiem „m" i nowym znaczkiem. Okazał go wartownikowi, który go opieczętował, i wskazał mu bez słowa jeden z korytarzy. H pobiegł w dół docierając po wielu metrach do małej galeryjki. Bezgłośnie nadjechał podwieszony pojazd szynowy z rozsuwanymi drzwiami do poszczególnych przedziałów. Wartownik na galerii skinął ręką, kiedy H i dwóch innych czekających otworzyło drzwi o nie oświetlonych numerach; drzwi się zasunęły i H został delikatnie przytwierdzony do odchylonego fotela. Kolej skalna z dużym przyspieszeniem runęła w dół. Po dziesięciu sekundach zatrzymała się na kolejnym przystanku kontrolnym, a na suficie przedziału zajaśniała tabliczka z informacją „objazd w lewo" — prawdopodobnie dlatego, że trasa bezpośrednia została zniszczona. Pociąg zdawał się teraz przyspieszać nieco łagodniej, skręcił potem w lewo (o ile H mógł to wyczuć) i przystanął na dwu dalszych przystankach kontrolnych, potem odbił w prawo, zwolnił, zatrzymał się i otworzył drzwi po czterystu osiemdziesięciu sekundach od startu, według chronometru Hada, a nie po dwustu, jak

to przewidywał.

Tu znów widać było dzienne światło. Od bunkra, z którego go wysłał XN 2, Had przejechał około dziesięciu mil na południe i prawie trzy tysiące metrów w dół, nie licząc objazdów. Przednia bariera optyczna była tu zasłonięta masywem górskim, ale południowa bariera była widoczna w odległości około ćwierć mili w postaci mglistej, fioletowo-czarnej ściany. Porosty i roślinność typu trawiastego pokrywały większość krajobrazu, tworzącego jednolite pasmo kotlin i wąwozów. Gwar wojny jeszcze był słyszalny, zmieszany z łoskotem burzy, ale wybuchów w pobliżu było niewiele i szkody nieznaczne. Niebo nad głowami lśniło niespokojnie. Kilka bardzo dziwnie wyglądających zwierząt, coś pośredniego między jaszczurką a ropuchą, łaziło po pobliskiej, drzewiastej paproci. Oprócz Hada zaledwie sześciu ludzi wysiadło z kolei skalnej. Najpierw dwaj, a potem trzej odmaszerowali w grupach w kierunku wschodnim. Jeden (ale nie ten, który wsiadł w W) został z Hadem.

— Jadę do Wielkiej Doliny. Nie widziałem jej już od dwudziestu dni, wszystko tam się pewnie pozmieniało. A jak daleko pana wysłali? — powiedział przez przekaźnik ten, który pozostał.

— Ja… ja… ja jestem Zluzowany — odrzekł niepewnie Had.

— Ja zaś… jakby to powiedzieć… Skreślony — wyjąkał z trudem tamten. A po chwili: — Dokąd pan jedzie?

— Mam zamiar założyć jakiś interes na południu. Najbardziej odpowiada mi gorący klimat i tropikalna roślinność. Znam kilka usprawnień, które z dobrym pożytkiem mógłbym zastosować w tej czy innej firmie. Przepraszam… nie miałem zamiaru chełpić się przed panem… ale pan sam mnie o to pytał.

— Nie, nie, wszystko w porządku. Należy pan jednak do szczęściarzy. Nigdy jeszcze nie spotkałem Zluzowanego. Niech pan to dobrze wykorzysta. To daje poczucie, że ta cała Gra jest czegoś warta. Spotkać kogoś, kto jedzie między tych, których bronimy — to ich jakoś w naszych oczach urealnia.

— To bardzo ładnie, że pan to tak rozumie — powiedział Had.

— Nie… mam na myśli,, że… w przeciwnym wypadku wątpiłbym, czy istnieje w ogóle ktoś, dla kogo warto utrzymywać ten Front.

— Przecież gdyby tam nikogo nie było, nie wynaleziono by technologii, dzięki którym się trzymamy — zauważył Had.

— Niektóre Techkole, które pamiętam z Wielkiej Doliny, mogłyby same rozwinąć szereg takich technologii.

— Tak, ale niech pan pomyśli o teorii, o czystej teorii, dzięki której wypracowuje się te technologie. Wątpię, by rodziła się ona w Techkolach Wielkiej Doliny.

— Możliwe że nie, to już dla mnie zbyt trudne — odparł tamten,

nieco rozdrażnionym głosem. Stali dalej milcząc, aż nadeszła następna linowa i wagonik zatrzymał się przy stacji. Had przepuścił tamtego przodem — czuł, że jest mu to winien — a w minutę później (w pięć sekund według czasu bunkra, pomyślał ironicznie i jakby mimochodem) pojawił się następny wagonik. Wskoczył do niego w chwili, gdy bardzo dziwnie wyglądający ptak, jaskrawopurpurowy, z długą nagą szyją pojawił się na szczycie jaszczurczo-ropuchowej paproci. Wagonik popędził nad wąwozami i dolinami, a fioletowa bariera południowa szybko ginęła w tyle. W miarę jak gradient czasu stawał się coraz mniej stromy, umysł zyskiwał na jasności i Hada opanowało poczucie błogostanu i świadomość sensu istnienia. Szybkość kolejki zmalała.

Had był zadowolony z tego, że stale miał jeszcze na sobie skafander, gdyż seria pocisków chemicznych, zapewne przypadkowo, wybuchła blisko liny trakcyjnej, zaledwie pięćdziesiąt metrów pod nim. Jeszcze bardziej się z tego cieszył, gdy następny latający arsenał rozwalił linę trakcyjną i lina asekuracyjna zatrzymała wagonik przy najbliższym słupie. Zjechał windą w dół i mówił przez przekaźnik wprost do telefonu w małej kabinie. Powiedziano mu, aby przeszedł dwie mile na zachód do następnej linowej. Jego rozmówca, jak przypuszczał, musiał mówić z łącza znajdującego się mniej więcej na tej samej szerokości co jego słup, gdyż nawet tutaj porozumiewanie się południkowe było prawie niemożliwe w zasięgu ponad kilka metrów. A i tak głos tamtego był nieco piszczący, a słowa padały szybko i terkotliwie. Głos Hada musiał zapewne brzmieć głucho i przeciągle w uszach tamtego rozmówcy.

Posługując się „chodakami" ruszył poprzez doliny i wąwozy, kierując się kompasem i obserwując bariery optyczne oraz linię zmiany barwy Dopplera jako namiar zboczenia z kursu. „Dobrze tamtemu mówić o Techkolach" — pomyślał — „ale przecież trzeba sobie uzmysłowić, że żadna cywilizacja nie mogła rozwinąć się na tej szerokości, na której znajduje się Wielka Dolina; jest ona zbyt młoda geologicznie, aby umożliwić narodziny Człowieka".

Przeprawa nie była pozbawiona ryzyka: zdarzały się bliskie eksplozje oraz coś, co wyglądało podejrzanie, jak sztuczna plazma, trudna do rozróżnienia od tła, rozlana w dwu zagłębieniach, które zdecydował się obejść. Potem napadł na niego w fiołkoworóżowej gęstwinie krzewów rozwścieczony wargacz i trzeba go było unieszkodliwić dezintegratorem. Ale dla kogoś, kto dopiero co wrócił z górskiego piekła, wszystko to było przyjemną przechadzką.

Dotarł wreszcie do linii słupów i nacisnął przycisk telefoniczny u stóp najbliższego z nich, upewniwszy się przedtem, czy liczba równoleżnika jest właściwa. Liczba była właściwa i ten sam głos, brzmiący mniej obco i mówiący nieco wolniej, powiedział mu, że za

trzy czwarte minuty przybędzie wagon i zostanie zdalnie zatrzymany przy jego słupie. Gdyby wagon nie stanął, należy wcisnąć przycisk „stop” znajdujący się na ścianie, z boku. Mimo że posługiwał się „chodakami”, prawie godzina minęła, od chwili gdy ruszył w pieszą wyprawę, a prawie dziewięćdziesiąt minut, od chwili gdy opuścił bunkier. Według czasu bunkra minęło dopiero półtorej minuty.

Wagon nadjechał i stanął. Had wjechał windą na szczyt słupa i wsiadł do wagonu. Tym razem podróż przeszła bez przygód, jeżeli nie liczyć sporadycznych, nagłych nawałnic oraz przelotu chmary podnieconych wron. Wagon dotarł do końcowej stacji, przysadzistej wieży, na porosłym wrzosem zboczu. Nadjeżdżał właśnie z przeciwnej strony wagonik, a gdy się mijali, znajdujący się w nim człowiek zawołał przez przekaźnik: — „Pierwszy z tych cholernych frontowców!” Na stacji było prawie dwudziestu ludzi z pełnym ekwipunkiem. „Wystarczająco duża grupa, aby wysłać ją przez polyheli” — pomyślał Hadol — „zamiast czekać na kursujące w dużych odstępach czasu wagoniki”. Wszyscy wyglądali na podnieconych i bynajmniej nie przygnębionych, ale Hadol postanowił nie zdradzać im, co ich czeka. Przeszedł do kolei zębatej i wtopił się w grupę ludzi bardziej zainteresowanych krajobrazem niż współtowarzyszami podróży. Zasłona koloru głębokiej czerwieni, o nieokreślonej grubości, pochłaniała szczyty górskie około ćwierć mili na północ, a niebieskawa mgła zasłaniała widok na dolinę od strony południa na szerokości prawie pół mili, ale między zasłoną a mgłą pas równoleżnikowy był stosunkowo czysty i nie wykazywał skutków wojny. Zbocza pokryte były lasem sosnowym, niżej dębowym i jesionowym, a dalej znikały za stromo opadającymi krawędziami Wielkiej Doliny, której skrawek łąk był nieco widoczny. Wirujące cienie chmur, igrały po ziemi, welony i pióropusze deszczu i gradu smagały przestrzeń i od czasu do czasu rozlegało się dudnienie i widać było błyski burzy. Tu i ówdzie dostrzec można było jelenie, a nad drzewami tańczyły gęste chmary komarów.

Prawie pięćdziesiąt minut zajęła im podróż w dół, obok dwu bezludnych stacji, przez dwa skręcone w pętlę tunele, między wodospadami i skałami, gdzie wiewiórki przeskakiwały z jednej gałęzi na drugą, poprzez coraz cieplejsze powietrze aż do pastwisk i łanów Wielkiej Doliny, gdzie mała wioska Emmel, złożona z betonowych chat i drewnianych szop, rozsiadła się na pagórku nad wijącą się rzeką, a wielka droga, równoległa do toru, biegła prosto na wschód. Rzeka nie była tu właściwie szeroka — płytka woda płynęła wartko kamienistym korytem, a Wielka Dolina (której cała szerokość była teraz widoczna) od zachodu miała szerokość zaledwie ćwierć mili. Na południowych stokach zamykających się Równiną Północnozachodnią rosły gęste krzewy.

Kontrast między tym, co tu było widać, a tym, co widział, według czasu Bunkra, jeszcze cztery minuty temu, wprawiał Hadolara w stan kompletnego upojenia. Przedłożył jednak służbiście swój świecący znaczek na wartowni, który (podobnie jak jego stałą karta kontrolna) został zbadany na promieniowanie, podpisany i opieczętowany przez dowódcę wartowni. Końcówkę znaczka oddano mu z powrotem, aby włożył ją do krążka identyfikacyjnego, który, jak zwykle, wsunięto w szczelinę w jednym z jego żeber, pozostały zaś fragment znaczka włożono do akt. Zdjął skafander i „chodaki", oddał broń i amunicję oraz ekwipunek „m". Otrzymał dwa portfele zawierające każdy po tysiąc banknotów waluty będącej aktualnie w obiegu i tymczasową odzież cywilną. Operację z krążkiem identyfikacyjnym przeprowadził dyżurny. Cała ceremonia od chwili przyjazdu zajęła równo dwieście pięćdziesiąt sekund — dwie sekundy czasu bunkra. Wymaszerował stamtąd jakby otrzymał w spadku cały świat.

Powietrze przesycone było zapachem siana, owoców, kwiatów i nawozu. Wciągnął je z rozkoszą w płuca. W gospodzie zamówił, zapłacił i wypił cztery decylitry lekkiego piwa, potem zamówił kanapkę i jabłko, zapłacił i zjadł. Najbliższy pociąg na wschód będzie, jak mu powiedziano, za kwadrans. Był tu już może z pół godziny. Nie miał czasu na przyglądanie się strumieniowi, więc udał się na stację, zażądał biletu do Veruam-przy-Morzu, jakieś czterysta mil na wschód i, jak podawała szczegółowa mapa stacyjna, koło trzydziestu mil na południe, zapłacił i wybrał sobie przedział, gdy pociąg wyjechał z remizy.

Jakaś wiejska dziewczyna i sennie wyglądający cywil, zapewne dostawca wojskowy, wsiedli jedno po drugim zaraz za Hadolarem i kiedy pociąg ruszył, było ich tylko troje w przedziale. Spojrzał z zainteresowaniem na dziewczynę, pogodną blondynkę, gdyż była to pierwsza kobieta, którą widział od stu dni. Moda nie zmieniła się wiele w ciągu tych trzydziestu kilku lat, przynajmniej nie pośród wieśniaczek z Emmel. Po chwili odwrócił od niej wzrok i zaczął obserwować pejzaż. Dolina obrzeżana była stromiznami z żółtego kamienia na przemian po północnej i po południowej stronie. Nawet tutaj różnice w odcieniach były wyczuwalne — dolina nieznacznie się rozszerzyła — lub może było to tylko jego wrażenie, a różnica wynikała po prostu z gry światła. Rzeka wiła się z wdziękiem od brzegu do brzegu i od skały do skały z rzadka demonstrując małe wysepki porośnięte leszczyną. Tu i ówdzie widać było rybaka stojącego nad brzegiem lub brodzącego w wodzie. Co jakiś czas mijali wiejskie domki. Na północ, nad doliną wyrastały wielkie zbocza, wyraźnie pozbawione śladów ludzkiej bytności, z wyjątkiem stacji kolei linowej lub z rzadka rozsianych lądowisk polyheli, ale i one ginęły w ogromnej, szkarłatnobrązowej zasłonie nicości,

niewzruszenie wyrastającej w pobliżu zenitu z na wpół zakrytego chmurami zielonego nieba. Kłęby wirów powietrznych między chmurami świadczyły o oddziaływaniu gradientu czasu na pogodę, a między wirami zdały się tańczyć dziwne pasma błysków, niezauważalne dalej na północy, w rejonie wojny. Od południa wyżyna stale była zasłonięta stromiznami, ale początek ciemnoniebieskiej mgły wyrastał z nieba poza łańcuchem okalającym dolinę. Pociąg zatrzymał się na stacji i dziewczyna, jak Hadolar stwierdził z żalem, wysiadła. Wsiadło teraz dwóch żołnierzy w lekkich uniformach, opowiadających sobie nawzajem jakieś błahe historyjki. Byli na krótkim urlopie w małym miasteczku Granev, następnym przystanku. Przyjrzeli się uważnie tymczasowemu ubraniu Hadolara, ale wstrzymali się od komentarzy.

Granev zbudowane było prawie całkowicie ze stali i szkła, nie było to interesujące miejsce. Po każdej stronie drogi ciągnął się jednoblokowy, dwudziestopiętrowy pas długości pięciu mil z przechodnim stropem u góry. (Co za szczęście — pomyślał Hadolar — że mowa i komunikacja docierają tak daleko w głąb Wielkiej Doliny bez względu na różnice równoleżnikowe; praktycznie pełne czterysta pięćdziesiąt mil).

Pojawił się przemysł i kilka Techkoli. Dolina rozszerzała się aż do miejsca gdzie od strony torów jej południowe krańce rozpoczęły roztapiać się w niebieskiej mgle w odległości jednej mili. Niebawem północne zbocza wyłoniły swój przydymiony, czerwonawy brąz, potem i one znikły. Rzeka, nabrzmiała dopływami, miała teraz kilkaset metrów szerokości, i tam gdzie ją przecinała linia kolejowa, była bardzo głęboka. Przejechali na razie pięćdziesiąt kilka mil. Powietrze nadal się ocieplało a roślinność była coraz bujniejsza. Teraz już prawie wszyscy pasażerowie byli cywilami i niektórzy spoglądali ironicznie na tymczasowy ubiór Hadolara. Przy pierwszej okazji kupi sobie komplet ubrań w Veruam. Na razie pragnął tylko oddalić się od tamtego bunkra na jak największą możliwie ilość mil i to w najkrótszym czasie.

W kilka godzin później pociąg dotarł do Veruam-przy-Morzu Północno-Zachodnim. Miasto wyglądało imponująco: miało trzydzieści mil długości, czterdzieści pięter wysokości i pięćset metrów szerokości w pasie północno-południowym. Za miastem było widać tylko skrawek pól, gdyż czerwonawa mgła zakrywała całą widoczność na cztery mile na północ, a niebieskawa — na prawie siedem.

Najedzony Hadolaris odwiedził jednego z miejskich Doradców Rehabilitacyjnych, ponieważ cywilizacja techniczna i baza materiałowa uczyniły ogromny postęp od czasu jego ostatnich kontaktów. Zwroty, wyrażenia i praktycznie cały język zmieniły się nie do poznania, a kodeks towarzyski był całkowicie inny niż dawniej.

Uzbrojony w podręczniki, rejestrator kieszonkowy i taśmy z nagraniami języka potocznego i gwarowego, natychmiast zakupił lekką odzież, ubrania przeciwdeszczowe, przybory do pisania, dalsze urządzenia rejestrujące, walizki podróżne i temu podobne artykuły osobistego użytku. Po nocy spędzonej w dobrym hotelu, Hadolaris nawiązał kontakt z szeregiem biur zatrudnienia siedmiu podzwrotnikowych agencji rozwojowych, został sprawdzony i zaopatrzony w siedem listów polecających i załadował się do nocnej skalnej idącej wzdłuż brzegów Morza Północno-Wschodniego do Oluluetang, prawie trzysta sześćdziesiąt mil na południe.

Jeden z krawców, który mu brał miarę, mówił, że w bardzo ciche noce słychać nisko brzmiące dudnienie, dochodzące prawdopodobnie od strony północnych gór. Hadolaris pragnął oddalić się od tej Północy na tyle, na ile to tylko było możliwe.

Obudził się rano pośród palm i trzcin sawanny. Nie było tu widać żadnych barier optycznych. Miasto tworzyło szachownicę bloków złożonych z wielopiętrowych domów, przeciętych pasmami bogatej zieleni, drogami i monoszynowymi traktami. W przeciwieństwie do miast Wielkiej Doliny nie było ono zorientowane w kierunku wschodnio-zachodnim, aczkolwiek oś północno-południowa była stosunkowo krótka.

Hadolarisondamo znalazł mały hotelik, przestudiował plan miasta i rejonów przemysłowych, kupił sobie przewodnik po okolicach i spędził kilka dni na badaniach i zbieraniu informacji, zanim osobiście nie odwiedził wszystkich siedmiu agencji. Wieczory spędzał w szkole dla dorosłych, nocami hypnopedycznie wchłaniał zapisy mowy potocznej. Wreszcie po dziewiętnastu dniach (około czterech godzinach szerokości Veruam, jak uprzytomnił sobie, a czterech minutach szerokości Emmel i mniej niż dwu sekundach czasu bunkra) otrzymał posadę zastępcy kierownika działu sprzedaży produktów spożywczych w jednej z firm.

Komunikowanie się za pomocą języka, jeśli oczywiście znało się zasady, było możliwe, jak to stwierdził, wzdłuż południka na przestrzeni szeregu mil. Strefowość nie dawała się tu tak we znaki, a podróże i sieć udogodnień socjalnych obejmowały bardzo szeroki obszar. Rzadko widziano tu wojskowych. Hadolarisondamo kupił sobie automob, a z czasem, gdy nieco urósł w hierarchii zawodowej, nabył jeszcze drugi, dla przyjemności. Był powszechnie lubiany i wkrótce miał już duży krąg przyjaciół i cały szereg hobby. Po licznych przygodach miłosnych, ożenił się z córką ważnej figury w tejże firmie i w pięć lat po przybyciu do miasta został ojcem ładnego chłopca.

* * *

— Arison — wołała do niego z łodzi żona. Ich pięcioletni syn wychylony z łodzi bębnił pięściami w ciepłą wodę jeziora. Hadolarisondamo tkwił na małej wysepce, gdzie malował na rozpiętym na sztalugach płótnie grę świateł i cieni pulsujących wśród drzew na trzęsawisku za małą zatoczką.

— Arison! Nie mogę tego uruchomić. Czy mógłbyś tu podpłynąć i spróbować sam?

— Jeszcze pięć minut, Mihanyo. Muszę to skończyć.

Westchnąwszy Karamihanyolasve usiłowała, bez większego powodzenia, łowić ponad burtą horyzontalnym yo-yo. Trochę tu za spokojnie. Z prawej strony mignęła w krzakach papuga. Chłopiec, Deresto, przestał uderzać w wodę, wyciągnął peryskop, wpuścił rurę do jeziora i kazał Mihanyo wodzić migaczem. Potem patrzył, co się dzieje pod wodą, i wydawał głośne okrzyki radości, gdy małe rybki o różnych barwach i odcieniach przecinały smugę światła.

Arison złożył sztalugi, ściągnął spodnie i położył je na sztalugach; na wierzch dorzucił jeszcze płótno i farby. Szybkimi ruchami popłynął do łodzi. W jeziorze nie było krokodyli, hipopotamy były daleko, a nitkowce i motylice zostały całkowicie wytępione. Dwadzieścia minut dość intensywnego majstrowania przywróciło łodzi sprawność. Napędzana paliwem komórkowym łódź powiozła ich znów do wysepki, gdzie zostały rzeczy Arisona, i stąd poprzez jezioro aż do miejsca, gdzie nurt małego strumyczka wypływał na szeroki przestwór. Dobili do mola o zachodzie słońca, umocowali łódź i pojechali do domu automobem.

* * *

Kiedy Deresto ukończył osiem lat i mógł formalnie otrzymać imię Lafonderestonami, miał już trzyletnią siostrę i rocznego braciszka. Był znakomitym pływakiem i żeglarzem i wyrastał na dzielnego prowodyra zarówno w domu, jak w szkole. Arison był już w firmie trzecią osobą po prezydencie, ale to mu nie uderzyło do głowy. Wakacje spędzali bądź w głębokich tropikach (gdzie można było zyskać na zmianie biegu czasu), bądź wśród półwyspów południowych brzegów Morza Północno-Wschodniego (gdzie na czasie tracono) albo częściej na wschodnich, rolniczych wyżynach, gdzie miejscami widać było szerokie połacie ziemi, a chmury grały pełnią barw. Bariery optyczne były tam tylko zwykłym zamgleniem.

Od czasu do czasu, w bezsenne noce Arison myślał o „przeszłości". W zasadzie był zdania, że jeżeli nawet doszłoby do przerwania Frontu — powiedzmy, w pół godziny po jego odjeździe — nie mogło to mieć żadnego wpływu na jego życie i na życie jego

rodziny w warunkach południowej konceleracji czasu. A poza tym, rozważał w duchu, skoro nigdy nic nie uderzyło dalej na południe niż o stopień na północ od szerokości Emmel, ataki balistyczne skoncentrowane być muszą blisko Granicy. Jeżeli by tak nie było, Nieprzyjaciel musiałby nic nie wiedzieć ani o południowych gradientach czasu, ani o geografii południa, a wówczas wyrzucanie pocisków z punktu daleko na północ od Granicy do punktu daleko na południe mijałoby się z wszelkim celem. I nawet najszybszy polyheli, pilotowany przeciwko konceleracji czasu, nigdy, jak przypuszczał, nie mógłby przedostać się aż tutaj.

Umiejąc łatwo przystosować się do każdej sytuacji, Arison szybko przezwyciężył efekty nieprzystosowania spowodowane okresowym przebywaniem na Froncie. Komunikacja skalna i inne środki transportu powszechnego umożliwiały rozpowszechnianie języka i norm etycznych, mimo że górne partie Wielkiej Doliny oraz zmilitaryzowana strefa północna były w pewnym stopniu odizolowane od reszty świata zarówno językowo, jak i socjologicznie. Również we wschodnim regionie wyżynnym pozostały ośrodki starych form językowych oraz staromodnych obyczajów, o czym rodzima mogła się przekonać spędzając wakacje w tym regionie. Cały jednak kraj mówił w zasadzie „współczesnym" językiem subtropikalnych nizin, zróżnicowanym onomatosyntomią lub „skróconą gwarą" niektórych równoleżników. „Współczesny" kodeks etyczny i socjalny również były szeroko rozprzestrzenione. Można by rzec, że południowa teraźniejszość skolonizowała północną przeszłość, nawet geologiczną, podobnie jak to zrobiły ptaki lub inne wędrowne zwierzęta, ale rzecz jasna z o wiele większym, ludzkim zasobem koncepcji, elastyczności, tradycji i techniki.

Przeciętni obywatele nie przejmowali się wojną. Konceleracja czasu była ich sojusznikiem. Nadwyżki duchowej energii zużytkowywali na bogatym programie zajęć i zabaw, przedstawiając, tworząc, rozkoszując się, krytykując, teoretyzując, dyskutując, urządzając, organizując i współpracując, ale rzadko poza własnym rejonem zamieszkania. Arison stał się wkrótce członkiem ponad tuzina przeróżnych, najrozmaiciej ze sobą powiązanych stowarzyszeń, a Mihanyo udzielała się społecznie w jeszcze większym stopniu. Nie znaczyło to wcale, że rzadko bywali razem. Łatwe tempo pracy i życie wyznaczone podwójnymi „tygodniami" pracy, składającymi się z pięciu dni pracy i dwu dni wolnych, siedmiu dni pracy i sześciu wolnych, i to wszystko jeszcze przeróżnie rozłożone wśród poszczególnych grup ludności i przedsiębiorstw, pozostawiało dużo wolnego czasu, który można było spędzić według własnego uznania. Arison zajął się najpierw projektowaniem wzorów tkanin, po dwu latach wrócił do malarstwa, ale tym razem za pomocą magnetopędzla

a nie pióra natryskowego. Praca nad tkaninami przyniosła mu szeroki rozgłos i nawet pewną sławę. Mihanyo poświeciła się muzyce. Deresto, co było oczywiste, wyrastał na dzielnego człowieka z głową do interesów, a mając lat trzynaście zajął się jeszcze atletyką. Jego ośmioletnia siostra miała zadatki na doskonałego mówcę. Sześcioletni synek powinien, jak sądzono, zostać pisarzem przynajmniej w chwilach wolnych od innych zajęć. Miał duży zmysł spostrzegawczości i zdolność opisywania. Arison zamierzał już na zawsze być drugą osobą w firmie, skoro tylko szczebel ten osiągnie. Prezydentura byłaby dla niego zbyt absorbująca. Od czasu do czasu wyrażał swoje opinie administracji przedsiębiorstwa, ale do zasadniczych spraw nigdy się nie wtrącał.

Mihanyo i Arison, zakotwiczywszy się w jednej z południowych zatoczek, obserwowali z łodzi festiwal ogni sztucznych. W tym rejonie wspaniałym tłem dla pokazu była atramentowa czerń północnej bariery optycznej, wymazującej ogromnym łukiem gwiazdy z firmamentu. Pogoda na szczęście była piękna. Łodzie pirotechniczne odcinały się niewyraźnie od ciemnego tła. W świecie nie znającym księżyca, efekt „białych nocy" był do uzyskania jedynie za pomocą takich właśnie pokazów. Dziewczynka i Deresto pływali wokół łodzi. Najmłodszy synek też był z nimi i patrzał teraz na północny ‘nieboskłon oczyma pełnymi łez. Wreszcie błysnęła potrójna zielona gwiazda i pokaz się zakończył. Trwał do północy. Rodzice wezwali Deresto i Venoyye do powrotu, zlokalizowawszy ich uprzednio rakietą świetlną. Wsiedli do łodzi dygocząc z zimna i trzeba ich było suszyć dmuchawą, w której gorących promieniach tańczyli jak dwa elfy. Arison skierował łódź do brzegu. Zabrali stamtąd śpiącą Silarre. Zanim dobili do mola, zasnęła Venoyye. Rodzice musieli ich wziąć na ręce i zanieść do domku campingowego.

Nazajutrz spakowali się i ruszyli automobem do domu. Dwudziestodniowy urlop kosztował sto sześćdziesiąt dni czasu Oluluetang. Dojeżdżali do miasta w strugach rzęsistego deszczu. Kiedy dzieci były już w swoich sypialniach, Mihanyo odbyła dłuższą rozmowę opsifoniczną ze swoją przyjaciółką, wzdłuż szerokości miasta; pojechała ona (przyjaciółka) z mężem na wyżynę wschodnią obserwować życie borsuków. Potem do rozmowy włączył się Arison i po krótkiej ogólnej konwersacji wymienił z mężem przyjaciółki kilka poglądów na temat polityki rozwoju kraju.

* * *

— Szkoda, że tu się człowiek tak szybko starzeje — skarżyła się tego wieczora Mihanyo — gdyby tak życie mogło trwać wiecznie!

— Wiecznie — to za duże słowo. Poza tym żyjąc tutaj nie czujesz przecież, żeby czas płynął szybciej. Nad Morzem nie czułaś, że upływa wolniej, prawda?

— Chyba nie. Ale gdyby tak jednak…

Aby ją wprowadzić w lepszy nastrój, Arison zaczął mówić o Deresto i jego przyszłości. I teraz oboje pogrążyli się w planowaniu przyszłości swoich dzieci w sposób, od którego wszyscy rodzice nie są w stanie się powstrzymać. Przy takiej pensji, jaką ma Arison, i inwestycjach, które poczynił w firmie, mogą sobie pozwolić na umieszczenie chłopca na dobrej posadzie administracyjnej, a i tak pozostanie jeszcze dosyć, aby reszcie zapewnić dobry start. Nazajutrz jeszcze nieco rozpalony od pomysłów, Arison pożegnał się z żoną i pojechał do pracy.

Miał wyjątkowo pracowity dzień. Kiedy o zmierzchu opuszczał budynek biurowy, aby wziąć z garażu automob, zobaczył, że pojazd otoczyło trzech żołnierzy. Spojrzał na nich pytającym wzrokiem, ściskając w ręku kluczyk od wozu.

— Pan jest VSQ 389 MLD RV 27 XN 3, znany pod imieniem Hadolarisondamo, zamieszkały (tu wymieniono jego adres), wiceprezydent tej firmy.

Chłodny ton dowódcy patrolu był stwierdzeniem a nie pytaniem.

— Tak — wyszeptał Arison z trudem dobywając głosu.

— Mam tu rozkaz natychmiastowego ponownego Wcielenia pana do Armii w miejscu, w którym otrzymał pan rozkaz Zluzowania. Natychmiast uda się pan z nami.

— A moja żona i rodzina?

— Zostali powiadomieni. Nie mamy wiele czasu.

— Moja firma?

— Pański szef też został powiadomiony. Chodźże pan już!

— Ja… ja… ja… muszę uporządkować moje sprawy.

— Niemożliwe. Brak czasu. Sytuacja nagląca. Pańska rodzina i firma muszą sami dać sobie radę. Nasze rozkazy mają pierwszeństwo.

— J… j… jakie pan ma uprawnienia? Czy mógłbym je sprawdzić?

— Ta końcówka powinna wystarczyć. Odpowiada ona końcówce, którą ma pan zapewne w krążku identyfikacyjnym. Sprawdzimy to po drodze. Idziemy.

— Ale ja muszę zobaczyć pańskie uprawnienia. Skąd mogę wiedzieć, czy nie chcecie mnie obrabować lub coś takiego…

— Gdyby znał pan kod, to wiedziałby pan, że znaki na końcówce odpowiadają jednej tylko sytuacji. Ale dobrze, może pan spojrzeć na rozkaz, tylko proszę go nie dotykać.

Pozostali żołnierze skupili się bliżej. Arison zauważył, że dezintegratory wymierzone były wprost w niego. Dowódca rozwinął wielki arkusz. Arison na tyle, na ile pozwoliły mu na to skaczące przed

oczami litery, odszyfrował w świetle latarki dowódcy patrolu rozkaz, polecający zabrać jego, Arisona, o takiej to a takiej godzinie, Czasu miejscowego, o ile możliwe natychmiast po wyjściu z miejsca pracy (podano to miejsce), a poniżej, że jeden z żołnierzy ma równocześnie powiadomić Mihanyo opsifonem a drugi prezydenta firmy. Wcielony z eskortą mają złapać wojskowy skalny do Veruam (który odchodził za piętnaście minut). Dostarczyć Wcielonego jak najszybciej do bunkra W, a stamtąd do wyższego bunkra (który opuścił dwadzieścia kilka lat temu — przemknęło Arisonowi przez myśl — ale tylko dziesięć minut temu Czasu tego bunkra).

— Skąd wiadomo, czy nadają się jeszcze do tej służby po tylu latach?

— Pewnie pana sprawdzano.

Pierwszą myślą Arisona było podstawić dowódcy nogę, powalić tamtych dwóch i uciec, ale dezintegratory wyraźnie skierowane były na niego. Cóż by to mu zresztą dało? Zyskałby może kilka godzin, ale Mihanyo i dzieci popadłyby w niełaskę, a jego i tak by w końcu złapali.

— A mój automob? — powiedział czując własną śmieszność.

— Drobiazg. Załatwi to pańska firma.

— Co mogę zrobić dla przyszłości moich dzieci?

— Jazda, dosyć dyskusji! Pójdzie pan z nami żywy lub martwy, zdolny lub niezdolny.

Arison dał się bez słowa odprowadzić do lekkiego wojskowego pojazdu. Za piąć minut był już w skalnej — opancerzonym wagonie ze wzmocnionymi oknami. W dziesięć minut później, gdy pociąg ruszył, pozbawiono go odzieży cywilnej i wszystkich rzeczy, które miał przy sobie (aby to później przesłać jego żonie, o czym go poinformowano). Wydobyto z żebra krążek identyfikacyjny i sprawdzono znaki, usunięto znaczek Zluzowania i przystąpiono do badań lekarskich. Ich wynik najwyraźniej zadowolił władze wojskowe. Otrzymał umundurowanie.

Spędził bezsenną noc w pociągu próbując uprzytomnić sobie, jakie będą dalsze losy spraw, które zostawił w domu. Zastanawiał się, do kogo Mihanyo może zwrócić się w potrzebie, kto najprędzej jej pomoże, jak poradzi sobie z dziećmi, ile (na tyle, na ile był w stanie to wyliczyć) otrzymają z pensji, którą jego firma będzie im stale płacić, i czy urzeczywistnią się ich plany dotyczące przyszłości dzieci.

Szarym przedświtem pociąg dotarł do Veruam. Z pustym żołądkiem (nie był w stanie nic przełknąć z racji żywnościowej) i po nie przespanej nocy patrzył pustym wzrokiem na stację rozrządową. Kompanię jadącą pociągiem (zaledwie kilku było ponownie Wcielonych) załadowano do zamkniętych szczelnie ciężarówek i długi konwój ruszył do Emmel.

W tym momencie umysł Hadolarisa uprzytomnił sobie konceleracją czasu. Około pół minuty czasu bunkra minęło, jak przypuszczał, od chwili kiedy opuścił Oluluetang. Podróż do Emmel zajmie jeszcze jakieś dwie minuty, na ile to można wyliczyć. Do tego trzeba dodać dwadzieścia lat i podróż na południe, to znaczy jakieś szesnaście do siedemnastu minut, i znajdzie się w bunkrze najpóźniej w dwadzieścia dwie minuty od chwili, gdy go opuścił. (Mihan, Deres i pozostała dwójka będą już starsi prawie o dziesięć lat, a dzieci zaczną go zapominać). Ogień był wyjątkowo gęsty, gdy opuszczał bunkier. Przypominał sobie (fakt ten wracał do niego wiele razy jako zmora senna), co przepowiadał XN 1 — że należy się spodziewać przerwania Frontu za godzinę. Jeżeli nawet przeżył nawałnicę ognia, to z pewnością nie przeżyje tego przerwania; tylko kto tu ma co przerywać? Nikt nigdy nie widział Wroga, tego Wroga, który od niepamiętnych czasów próbuje przerwać Front i przedostać się przez Granicę. Jeżeli się przedrze, to zarazem nadejdzie zmierzch ludzkiej rasy. Na Froncie wierzono, że żadna groza nie może równać się grozie tej chwili. Po około stu milach jazdy zasnął z wyczerpania, siedząc skurczony, wciśnięty w bok sąsiada. Postoje, ruszanie z miejsca i chybot transportera budziły go od czasu do czasu. Konwój parł pełnym gazem.

W Emmel wygramolił się z wozu i zobaczył szalejącą burzę. Rzeka wystąpiła z brzegów. Kolumna przemaszerowała do magazynu. Hadolar został oddzielony od reszty ludzi, wprowadzony do budynku stacyjnego, zaszczepiony, wyposażony w „chodaki”, dezintegrator, ekwipunek „m”, skafander i inne dodatki, po czym po piętnastu minutach (siedmiu albo ośmiu sekundach czasu bunkra) wsiadał z grupą trzydziestu osób do polyheli. Zaledwie maszyna zdołała oderwać się od ziemi i przedrzeć ponad chmury, gdy ze wszystkich stron zabłysły eksplozje i fajerwerki ognia. Maszyna pruła naprzód, bariery optyczne kolejno zamykały się za nią lub niechętnie przed nią rozstępowały. Stary, znany polarny zawrót głowy i somnambulizm znowu ogarnął Hada. Myśleć teraz o Mih i dzieciach było przewlekaniem agonii widma, które opanowało mu umysł i ciało.

Po dwudziestu pięciu minutach wylądowali u stóp linii kolei skalnej. Had stwierdził, że dwudziestodwuminutowa przerwa pobytu w bunkrze będzie jednak krótsza. Jako trzeciego przymocowano go w przedziale i za sto dziewięćdziesiąt sekund wysiadł i ruszył w stronę bunkra W. Zasalutował, a XN 1 odpowiedział krótką komendą: ma udać się rakietą do górnego bunkra. Jeszcze chwila i stał przed XN 2.

— A, już jesteś. Twój zmiennik został zabity, więc posłaliśmy po ciebie. Masz kilka sekund czasu.

Poszarpana dziura w bunkrze potwierdzała w pełni wspomniany wypadek. Trup zmiennika, odarty z odzieży, wieziono do likwidatorni.

— Tu XN 2. Jest goręcej niż przedtem. Oni naprawdę są piekielni. Każda ofensywa z naszej strony prowokuje identyczną z Tamtej i to w ciągu kilku minut, jak zdążyłem zauważyć. To nowe działo dopiero co zaczęło strzelać, gdy bach! — a już identyczne pociski runęły na nas. Nie przypuszczałem, że Oni to już mają. Oko za oko, ząb za ząb.

W umyśle H, najwyraźniej rozjaśnionym głodem, wyczerpaniem i ogromem przeżyć, błysnęło niewysłowione podejrzenie, którego nigdy nie będzie można dowieść lub obalić, dysponując za małą wiedzą i doświadczeniem, za wąskim polem widzenia. Nikt nigdy nie widział Wroga. Nikt nie wiedział, jak i kiedy wybuchła Wojna. Informacja i porozumiewanie się były tu niezwykle utrudnione. Nikt naprawdę nie wiedział, co się dzieje z Czasem, gdy się zbliżyć do Granicy lub gdy ją przekroczyć. A może konceleracja staje się tam nieskończonością i za Granicą nie ma nic? A może wszystkie pociski domniemanego Wroga są ich własnymi pociskami, które w jakiś sposób wracają? Może Wojna zaczęła się od tego, że jakiś spokojny badacz rzucił lekkomyślnie kamieniem na północ, a kamień wrócił i go uderzył. Może w takim razie Wroga w ogóle nie ma?

— Tu XN 3. Czy pociski tego działa nie odbijają się od Granicy?

— Tu XN 2. Niemożliwe. A teraz z tym rozkazem spróbuj dostać się po powierzchni do stanowiska pocisków rakietowych. Tunel podziemny jest zniszczony na 14 stopniu 40 minutach szerokości wschodniej. Możesz stąd chyba dojrzeć ten garb na krawędzi wizjera infraczerwieni? I przekaż mu ustnie, aby potroił ogień.

H opuścił bunkier czołowym włazem, bo wyrwa zasypana była gruzem. Wbiegł na „chodakach” we fragment krajobrazu, który stał się lasem ognia, jeżozwierzem ognia, koszulą Dejaniry — jak w złym śnie. W nieprawdopodobnym supercrescendo dźwięku, światła, żaru, ciśnienia i ciosów biegł wyżej, coraz wyżej, po zboczu, którego już sam nie widział.

Przełożył z angielskiego Marek Wagner

Frederik Pohl
MONSTRUM

The Fiend

Jaka piękna — pomyślał Dandish — i jaka bezbronna. Na jej szyi sterczała plastykowa taśma identyfikacyjna. Poza tym nie miała na sobie nic, gdyż dopiero co opuściła kapsułę transportową.

— Nie śpisz? — zapytał, ale nawet nie drgnęła.

Dandish czuł narastające podniecenie. Była bierna i bezradna. Można by teraz podejść i wszystko z nią zrobić, nie sprzeciwiłaby się, nawet by nie zareagowała. Nie dotykając jej wiedział, że ciało ma ciepłe i suche.

Ożyła już całkiem, a za parę minut będzie również przytomna.

Dandish, kapitan i zarazem jedyny członek załogi bezimiennego statku międzygwiezdnego wiozącego zamrożonych kolonistów przez olbrzymie puste przestrzenie z Ziemi na planetę krążącą wokół gwiazdy — która dotychczas na mapach astronomicznych nie miała żadnego imienia, a którą teraz nazwano Eleanor — odczekał parę minut nie patrząc więcej na dziewczynę, o której wiedział, że ma na imię Silvie i której nigdy dotychczas nie spotkał. Gdy spojrzał ponownie, nie spała, była przymocowana pasami bezpieczeństwa do wózka. Włosy sterczały jej wokół głowy, na twarzy malowała się złość.

— No, gdzie jesteś? Wiem o co chodzi. — powiedziała. — Czy zdajesz sobie sprawę, co ci za to grozi?

Dandish był zaskoczony. Nie lubił niespodzianek, bał się ich. Od dziewięciu lat statek sunął w przestrzeni, samotności miał więc aż nadto i wiele razy odczuwał strach. Na statku było 700 zasobników z kolonistami, ale ich kruche, nie podlegające żadnym zmianom ciała, zanurzone w ciekłym helu, nie były najlepszym towarzystwem. Poza statkiem najbliższa istota ludzka znajdowała się w odległości około dwóch lat świetlnych, strzegąc jakiegoś innego pojazdu zmierzającego w przeciwnym kierunku, znacznie bardziej oddalonego niż którakolwiek z gwiazd, gdyż zatrzymanie i skoordynowanie kursu z innym statkiem wracającym do domu wymagałoby dwukrotnie większych sił i dwa razy więcej czasu niż sama podróż. Wszystko w tej podróży było przerażające. Okropna była samotność. Spojrzenie przez kryształ w dół i widok pustki wypełnionej jedynie gwiazdami, wywoływały panikę. Już pięć lat temu Dandish postanowił nie interesować się tym, co na zewnątrz, ale nie był w stanie dotrzymać słowa. Co pewien czas zerkał przez kryształ i wyobrażał sobie, jak puszcza uszczelnienie, jak wylatuje kryształ, i jak on w tym swoim

metalowym więzieniu spada, spada stale w dół ku jednej z 10 000 000 gwiazd leżących pod nim. Każdy dźwięk w tym statku był alarmujący. Czuwał tylko on i nawet najsłabszy, najbardziej odległy odgłos tarcia metalu lub uderzającego o coś przedmiotu był groźny. Nieraz przez wiele godzin lub dni Dandish się bał, aż do momentu, kiedy wytropił przepaloną świetlówkę lub niezabezpieczone drzwi — powód swego strachu. Nękała go wizja pożaru. W tym statku ze szkła i metalu było to absolutnie niemożliwe. To czego się bał, to były monstrualnej wielkości pożary na gwiazdach.

— Wyjdź tak, żebym cię widziała — zażądała dziewczyna.

Dandish zauważył, że nie zadaje sobie nawet trudu, aby spróbować jakoś się okryć. Spacerowała lub stała — nago. Odczepiła trzymające ją pasy, opuściła wózek i teraz szukała go krążąc po pokoju, w którym się obudziła.

— Ostrzegali nas — mówiła. — „Strzeżcie się pułapek, uważajcie na kosmicznych maniaków". To wszystko słyszeliśmy w Ośrodku Recepcyjnym. No i masz! Gdzie jesteś? Na litość boską, wyjdź, żebym cię mogła zobaczyć. — Pół stała, pół płynęła pod kątem do podłogi, obrywając kawałeczki martwej skóry z warg i rozglądając się niespokojnie. — Co też za historię chcesz mi opowiedzieć? Że meteoryt z subprzestrzeni zniszczył statek i wszystkich oprócz nas dwojga? Że jesteśmy skazani na wieczne latanie donikąd, nie mamy innego wyjścia, jak spróbować jakoś urządzić sobie życie? Tak?

Dandish obserwował ją przez wzierniki w pomieszczeniu reanimacyjnym, ale nie odpowiadał. Był starym praktykiem. Zaplanował to z rozmysłem. Wyglądała wspaniale — bardzo młoda, szczupła, drobna. Te względy zadecydowały, że spośród 352 wiezionych w zasobnikach kobiet wybrał właśnie ją. Przeglądał dołączone do dossier każdego kolonisty kartoteki mikrofotografii, jak amator adapterów, który robi zakupy posługując się katalogami.

Była najlepsza z całego transportu. Dandish nie umiał odczytać profilu osobowości, a poza tym psychologów uważał za szarlatanów, zaś ich profile za bzdury, musiał więc kierować się tymi wskaźnikami, w których się orientował. Chciał, żeby jego ofiara była niewinna i ufna. Silvie, która miała 16 lat i poziom inteligencji nieco poniżej średniego, wydawała się najbardziej odpowiednia. Szkoda, że nie bała się bardziej.

— Dadzą ci za to pięćdziesiąt lat! — krzyknęła rozglądając się naokoło. — Sam chyba o tym wiesz.

Klatka reanimacyjna reagując na jej wyjście powoli złożyła się i rozbroiła. Plastykowe prześcieradła zsunęły się na narożnikach, zwinęły w ścisłe rulony i wsunęły do specjalnego zsypu odsłaniając nowe aseptyczne prześcieradła. Umieszczone w wózku radiogeneratory, sprawdziwszy, że nie ma uszkodzeń, wyłączyły się.

Boki wózka pomału opadały. Stół przyrządowy podniósł się. Dziewczyna przestała się przyglądać, potrząsnęła głową i zaśmiała się.

— Boisz się mnie? — zawołała. — Daj spokój, już dość tego! Albo — dodała — przyznaj, że strzeliłeś głupstwo, daj mi jakieś ubranie i porozmawiajmy o wszystkim rzeczowo.

Dandish z żalem odwrócił wzrok. Urządzenie czasowe przypominało mu, że pora na regularną, co półgodzinną kontrolę układów statku. Tak jak już to robił ponad 150 000 razy i jak jeszcze zrobi 100 000 razy, szybko odczytał temperaturę w zasobnikach, zmierzył ubytek ciekłego helu i uzupełnił go z rezerwy; potem porównał kurs statku z planem, skontrolował zużycie paliwa i szybkość i stwierdził, że wszystkie układy działają dobrze. Wrócił do dziewczyny. Trwało to wszystko niecałą minutę, a jednak zdążyła znaleźć grzebień i lustro, które dla niej przygotował, i złoszcząc się próbowała coś zrobić z włosami. Niedoskonałością techniki zamrażania i reanimacji jest jej wpływ na tak skomplikowane struktury, jak paznokcie i włosy. W temperaturze ciekłego helu wszystkie substancje organiczne stają się kruche. I chociaż uwzględnia się to, delikatnie owijając ciała w elastyczny kokon i bardzo starannie chroniąc je przed zetknięciem z ostrymi czy twardymi przedmiotami, to jednak paznokcie i włosy zawsze się przy tym mszczą. W Ośrodku Recepcyjnym stale przypominano kolonistom, jak ważne są krótkie włosy i paznokcie, ale oni nie zawsze dawali się przekonać. Silvie wyglądała teraz jak manekin, na którym czeladnik perukarski oblał egzamin. Wybrnęła wreszcie z kłopotu zwijając włosy w nieduży węzeł. Odłożyła grzebień i odgarnęła kosmyki, które jak podmuch burzy piaskowej latały koło niej w powietrzu.

Smętnie przygładziła koczek i powiedziała:

— Myślisz pewnie, że to śmieszne?

Dandish zastanowił się. Nie miał ochoty na śmiech. Dwadzieścia lat temu, gdy Dandish miał kilkanaście lat i nosił długie zaondulowane włosy i lakierowane paznokcie, tak jak to było wówczas modne dla chłopców w jego wieku, prawie co nocy marzył o podobnej sytuacji. Mieć własną dziewczynę, nie po to, żeby ją kochać czy zgwałcić, czy ożenić się, ale posiadać ją jak niewolnicę, tak żeby bez względu na to, co zechce jej rozkazać, nikt nie mógł mu tego zabronić. Obmyślał to nocami w tysiącach wariantów. Nikomu o swoim marzeniu nie powiedział wprost, ale w szkole, kiedy zajmował się psychologią stosowaną, wspomniał o tym jako o fakcie znanym z jakiejś książki. Instruktor zastanawiając się nad tym powiedział, że jest to tłumiona chęć bawienia się lalkami.

— Ten facet odgrywa konkretną rolę — wyjaśniał — chciałby być kobietą. Takie proste przypadki tłumionego homoseksualizmu mogą przybierać różne formy… — I tak dalej.

I chociaż sny fizycznie go zaspokajały, to jednak Dandish budził się zły i zawstydzony.

Silvie jednak nie była ani snem, ani lalką.

— Nie jestem lalką — powiedziała Silvie tak ostro, że go zaskoczyła. — Wyjdź wreszcie i skończmy z tym!

Wyprostowała się przytrzymując się wiszącego uchwytu i mimo że wyraźnie była zła i rozdrażniona, to wciąż jeszcze się nie bała.

— Chyba że rzeczywiście jesteś wariatem — powiedziała dobitnie — w co wątpię. Chociaż muszę przyznać, że to możliwe… Nie zrobisz nic takiego, czego nie będę chciała, rozumiesz? Bo nie będziesz mógł uciec, prawda? Nie możesz mnie zabić, nigdy byś się z tego nie wytłumaczył. A poza tym mordercom nie pozwalają na prowadzenie statków, więc jak wylądujemy, wystarczy, że zawołam glinę i przez następne dziewięćdziesiąt lat będziesz kursował w metrze. — Zachichotała. — Wiem, jak to wygląda. Mojemu wujkowi powinęła się noga, jak się wykręcał od podatku dochodowego, i teraz siedzi w pogłębiarce samobieżnej w delcie Amazonki. Żebyś widział listy, które pisze. Daj już spokój i zobaczymy, jak pozwolę ci z tego wybrnąć.

Zaczynała się niecierpliwić.

— A to pech — powiedziała potrząsając głową. — Ja zawsze trafiam na geniuszy. Chciałam ci powiedzieć, że skoro już wstałam, muszę iść tam, gdzie chodzą panienki, później zjadłabym śniadanie.

Dandish odczuł pewną satysfakcję, że przynajmniej te życzenia przewidział. Otworzył drzwi do umywalni i włączył piecyk z przygotowanymi zestawami. Nim Silvie wróciła, kanapki, bekon i gorąca kawa już były gotowe.

— Wątpię, żebyś miał papierosa? — powiedziała. — Nie szkodzi, przeżyję. A co z ubraniem? I może byś tak wyszedł, żebym mogła na ciebie spojrzeć? — Przeciągnęła się, ziewnęła i zabrała do jedzenia. Dziewczyna z pewnością wzięła prysznic, co dla usunięcia łuszczącej się skóry wskazane jest zazwyczaj po obudzeniu z zamrożenia. Zniszczone włosy owiązała małym ręcznikiem. Dandish z pewnym ociąganiem zostawił w umywalni niewielki ręcznik, nie przyszło mu jednak na myśl, że jego ofiara owinie sobie nim głowę. Silvie siedziała zamyślona gapiąc się na resztki śniadania i po chwili mentorskim tonem powiedziała:

— Rozumiem, że żeglarze międzygwiezdni są zawsze trochę zwariowani. Któż inny chciałby wyjechać na dwadzieścia lat, nawet dla największych pieniędzy. Więc dobrze, jesteś wariatem. Jeżeli jednak mnie budzisz i sam nie wychodzisz, nie odzywasz się do mnie, to nic na to nie poradzę. Rozumiem, że jeżeli nawet na początku nie byłeś lekko szurnięty, to taki tryb życia do tego prowadzi. Może po prostu chcesz trochę towarzystwa? Mogę to zrozumieć. Mogę nawet ci pomóc i nic już na ten temat nie mówić. Chyba że próbujesz nastawić

się na coś brutalnego, nieprzyjemnego… Nie wiem, czy możesz… Na pewno nieźle cię prześwietlili, zanim dali ci tę robotę. Ale załóżmy, że tak. Co będzie później? Jeżeli mnie zabijesz, zamkną cię. Jeżeli mnie nie zabijesz, powiem im wszystko, jak wylądujemy, i też cię zamkną.

Mówiłam ci o moim wujku. Teraz jego ciało jest gdzieś tam na ciemnej stronie Merkurego, a jego mózg kieruje urządzeniami nawigacyjnymi. Uważasz może, że to nie takie złe? Niestety, wujek Henry tego nie lubi. Nie ma żadnego towarzystwa. Sądzę, że pod tym względem jest mu równie źle jak tobie, poza tym mówi, że stale bolą go przewody ssące. Może naturalnie schrzanić robotę, ale przeniosą go wówczas gdzieś indziej, gdzie będzie jaszcze gorzej. Jedyne więc, co może zrobić, to zacisnąć zęby i znosić to wszystko. Dziewięćdziesiąt lat! Minęło dopiero sześć. To znaczy sześć, kiedy opuściłam Ziemię. Nie byłbyś tym zachwycony. Dlaczego więc nie wyjdziesz i nie porozmawiasz?

Pięć czy dziesięć minut później, złoszcząc się, posmarowała jeszcze jedną bułkę masłem i cisnęła z pasją o ścianę, skąd spłukały ją urządzenia czyszczące. Silvie powiedziała:

— Diabli z tobą, daj mi chociaż książkę do czytania.

Dandish przestał na nią zwracać uwagę. Przez parę minut wsłuchiwał się w szum statku, następnie uruchomił mechanizm wózka reanimacyjnego. Przegrywał już od tak dawna, że wiedział, w którym momencie przerwać. Dziewczyna skoczyła na nogi, kiedy boki wózka odwinęły się. Delikatne macki sięgnęły po nią, wsadziły do środka i zapięły przytrzymujący ją pas.

— Przeklęty głupcze! — wykrzyknęła, ale Dandish nie odpowiedział. Maska usypiająca opuściła się na jej twarz. — Poczekaj chwilę — błagała — wcale nie powiedziałam, że nie… — Ale nigdy nie dokończyła, gdyż przeszkodziła jej maska.

Po chwili już spała. Owinęła ją plastykowa torba przylegając do twarzy, ciała, nóg, nawet do ręcznika na włosach. Wózek reanimacyjny cicho potoczył się do pomieszczenia chłodniczego. Dandish dalej już nie patrzył. Wiedział, co się stanie, a poza tym urządzenie czasowe przypominało mu, że nadeszła pora kontroli.

Temperatury normalne, zużycie paliwa normalne, kurs dobry, pomieszczenie chłodnicze wykazało jeden nowy wózek w drodze do magazynu, poza tym wszystko w porządku.

— Żegnaj, Silvie — powiedział Dandish do siebie — byłaś kiepską pomyłką.

Może kiedyś później, z inną dziewczyną…

Obudzenie Silvie zajęło Dandishowi aż dziewięć lat i nie przypuszczał, żeby mu się to udało jeszcze raz. Myślał o jej wujku Henrym prowadzącym pogłębiarkę wzdłuż wybrzeży południowego Atlantyku. On też mógł się tam znaleźć. Ucieszył się, kiedy zamiast

tego miał okazję odbywać wyrok pilotując statek gwiezdny.

Spojrzał na 10 000 000 gwiazd optycznymi receptorami — to były jego oczy. Bezradnie wyciągnął w przestrzeń radarowe pazury, które zapewniały mu dotyk.

Z dyszy wypuścił za sobą strumień jonów o długości 5 000 000 mil. Myślał o tonach bezradnego mięsa zdanych na jego łaskę, o ciałach, którymi mógłby się rozkoszować, gdyby jego własne ciało nie było razem z wujkiem Henrym po zacienionej stronie Merkurego, o strachu, którym mógłby się pożywić, gdyby tylko był w stanie go wywołać. Zaszlochałby, gdyby miał głos…

Przełożyła z angielskiego Janina Rowińska-Bloch

Frederik Pohl
TUNEL POD ŚWIATEM

The Tunnel under the World

I

Rankiem 15 czerwca Guy Burckhardt obudził się z krzykiem. To był najbardziej realistyczny sen, jaki miał w życiu. Wciąż jeszcze słyszał i czuł potężną eksplozję — miażdżącą falę, która z furią wyrzuciła go z łóżka, osmalając gorącym podmuchem.

Bezwiednie usiadł i patrzył, nie wierząc własnym oczom, na spokojny pokój rozświetlony jasnym, słonecznym światłem, wpadającym przez okno.

— Mary? — burknął.

Żony nie było obok niego. Pościel była skotłowana, jakby dopiero co ktoś ją opuścił… Wspomnienie snu było tak silne, że przyłapał się na bezwiednym przeszukiwaniu podłogi, jakby chciał się upewnić, że eksplozja nie wyrzuciła tam żony.

Ale tam jej nie było. „Pewnie że nie… — powiedział do siebie, spoglądając na znajomą toaletkę, krzesło, całe szyby w oknach i nienaruszone ściany… To był tylko sen."

— Guy? — Usłyszał z dołu schodów gderliwy głos żony. — Guy, kochanie, dobrze się czujesz?

— Pewnie… — odezwał się słabo.

Nastąpiła przerwa. Potem, jakoś bez przekonania, Mary powiedziała:

— Śniadanie już gotowe. Jesteś pewien, że nic ci nie jest? Wydawało mi się, że słyszałam twój krzyk…

Śmielej już odpowiedział:

— Miałem po prostu zły sen. Zaraz schodzę na dół.

Biorąc prysznic raz jeszcze stwierdził, że to był koszmarny sen. Ale ostatecznie złe sny nie są rzadkością… Zwłaszcza złe sny z eksplozjami. Któż w ciągu ostatnich trzydziestu lat nerwowego napięcia, wywołanego bombami H, nie śnił o wybuchach?

Jak się okazało, kiedy zaczął jej opowiadać, śniła o nich nawet Mary.

— Śniło ci się to? — W jej głosie brzmiało zdziwienie. Mnie śniło się to samo! No… prawie to samo. Bo ja, wyobraź sobie, nie słyszałam niczego. Śniło mi się tylko, że coś mnie obudziło. Potem było jeszcze coś w rodzaju gwałtownego jakby trzasku… I uderzenie w głowę. To wszystko. Czy twój sen był taki sam?

Burckhardt chrząknął.

— N-no, nie całkiem — powiedział. Mary nie należała do kategorii owych silnych-jak-chłop i odważnych-jak-tygrys kobiet. Pomyślał, że nie ma potrzeby opowiadać jej o wszystkich szczegółach snu, szczegółach, które uczyniły to wszystko tak realnym. Po co miał wspominać o rozłupywanych żebrach i słonej bani w gardle… I o

konaniu świadomości, niesionym przez śmierć…

— Może rzeczywiście był w mieście jakiś wybuch — powiedział. — Możliwe, że go tu było słychać i stąd ten sen.

Mary pochyliła się nad nim i bezwiednie pogłaskała po włosach.

— Tak, możliwe — zgodziła się. — Już prawie pół do dziewiątej. Kochanie, czy nie powinieneś się pospieszyć? Nie chcesz się chyba spóźnić do biura?

W pośpiechu zjadł śniadanie, pocałował Mary i wybiegł z domu — w zasadzie nie dlatego, by nie spóźnić się do biura, lecz by sprawdzić, czy jego podejrzenia są słuszne.

Ale Tylerton wyglądało normalnie. Jadąc autobusem, bacznie wyglądał przez okno, szukając śladów wybuchu. Nie było jednak żadnych. Zauważył jedynie, że miasto wyglądało korzystniej, niż zwykle — był piękny, rześki dzień, niebo bezchmurne, a mijane gmachy czyste i, wydawało się, gościnne. Jak zauważył, jedyny w mieście wieżowiec, w którym mieściła się firma „Power and Light", został umyty… To był haracz, jaki płaciły inne zakłady — „Contro Chemicals", za ślady na murach budynków pozostawione przez dymy kolumn rektyfikacyjnych, położonych na przedmieściach.

W autobusie nie było nikogo ze znajomych, nie mógł więc zapytać o eksplozję. Z chwilą jednak, kiedy na rogu Fifth Street i Leigh Street wysiadł z autobusu, który oddalił się z głuchym pomrukiem diesla, był już prawie pewien, że wybuch był jedynie złudzeniem.

W hallu swojego biurowca zatrzymał się przy kiosku z papierosami. Za ladą jednak nie było Ralpha. Mężczyzna, który sprzedawał papierosy, był nieznajomy.

— A gdzie jest pan Stebbins? — spytał Burckhardt. Sprzedawca uprzejmie odparł:

— Chory, proszę pana. Będzie jutro. Może dziś paczkę „Marlinów"?

— „Chesterfieldów" — poprawił Burckhardt.

— Oczywiście, proszę pana… — powiedział tamten. Jednak to, co zdjął z półki, było nieznanym mu żółtozielonym pudełkiem.

— Niech pan spróbuje — zaproponował. — Zawierają dodatek przeciw kaszlowi. Nie zauważył pan, jak niekiedy dusi od zwykłych papierosów?

Burckhardt spojrzał podejrzliwie.

— Nie słyszałem nigdy o takiej marce…

— Oczywiście! To jest coś nowego.

Burckhardt zawahał się, a sprzedawca przekonywał dalej:

— Niech pan posłucha: proszę spróbować na moje ryzyko. Jeśli panu nie przypadną do gustu, proszę przynieść puste pudełko, a ja zwrócę panu pieniądze… W porządku?

Burckhardt wzruszył ramionami.

— Jak tu nie skorzystać? Ale „Chesterfieldy” też proszę mi dać.

Czekając na windę, otworzył pudełko i zapalił. „Nie są złe…” — pomyślał, chociaż z reguły odnosił się z nieufnością do papierosów, których tytoń był preparowany chemicznie. Nie zawracał sobie głowy nieobecnością Ralpha, pomyślał tylko, że to by było piekło — nie interes — gdyby sprzedawca musiał każdemu klientowi serwować tak przekonywającą mowę.

Drzwi windy otwarły się przy niskich tonach muzyki. Wszedł wraz z paru innymi osobami i skinął im głową. Drzwi zamknęły się z powrotem. Muzyka ucichła i z głośnika w suficie rozległy się codzienne reklamy.

Nagle Burckhardt uświadomił sobie, że to nie były zwykłe reklamy. Ostatecznie był tak długo wystawiony na działanie tego wszechobecnego środka, iż jego ucho ledwie rejestrowało teksty reklam. Tym razem jednak, słowa programu, nadawanego z podziemi gmachu, zwróciły jego uwagę. Nie tylko większość nazw była mu nieznana, ale i zmienił się ich styl.

Słychać było dzwonienie, potem rytmiczny utwór, zachwalający i nalegający na popróbowanie jakiegoś łagodnego w smaku napoju, którego nie znał. Nastąpił szybki, trajkotliwy dialog pomiędzy jakimiś, sądząc po głosach, dziesięcioletnimi chłopcami. Dotyczył cukierni i zakończony został autorytatywnym basowym huknięciem:

— Idźcie natychmiast kupić WYŚMIENITE „Choco-bity”! Od dziś jadajcie tylko smakowite „Choco-bity”! Zapamiętaj: CHOCO-BITY!!

Potem rozległo się kobiece łkanie:

— Chciałabym mieć lodówkę „Feckle”! Zrobię wszystko, aby mieć lodówkę firmy „Feckle”!

Burckhardt dojechał do swojego piętra i wyszedł z windy w połowie ostatniej reklamy. Ogłoszenia zrobiły na nim dziwne wrażenie, dotyczyły zresztą nieznanych mu towarów.

Biuro było na szczęście normalne — z tym może wyjątkiem, że nie zastał Bartha. Panna Mitkin, ziewającą za biurkiem recepcji, nie wiedziała dokładnie, dlaczego go nie ma.

— Dzwonili od niego z domu, to wszystko. Przyjdzie jutro.

— Może poszedł do fabryki? To blisko jego domu…

Była uosobieniem obojętności.

— Uhm… — mruknęła.

Nagle coś sobie przypomniał.

— Przecież to 15 czerwca! Dziś wypada termin kwartalnego sprawozdania! On musi zrobić sprawozdanie!

Wzruszyła ramionami, dając niedwuznacznie do zrozumienia, że to nie jej kłopot, a Burckhardta. Potem wróciła do swoich paznokci.

Burckhardt, gruntownie już wyprowadzony z równowagi, podszedł do swego biurka. „Nie w tym rzecz — myślał urażony —

żebym nie mógł napisać sprawozdania, zamiast Bartha. Po prostu to nie jest moje zajęcie — i już!" To było zadanie, które powinien był wziąć na siebie Barth, jako kierownik miejskiego biura „Contro Chemicals".

Przez chwilę zastanawiał się, czy nie zadzwonić do Bartha do domu albo spróbować złapać go w fabryce. Prędko jednak z tego zrezygnował. Nie przepadał za ludźmi z fabryki i uważał, że im mniej ma się z nimi do czynienia, tym lepiej. W fabryce był tylko raz — z Barthem. To było mgliste i — w pewnym sensie — przerażające doznanie. Za wyjątkiem garstki kierowników i inżynierów, nie było tam żadnej duszy… A raczej: żywej duszy — poprawił się Burckhardt, pomny słów Bartha. Były tylko maszyny.

Zgodnie z tym, co mówił Barth, każda maszyna sterowana była przez swego rodzaju komputer, który w swym elektronicznym gąszczu odtwarzał aktualny stan pamięci i umysłu ludzkiej istoty. To właśnie było nieprzyjemne. Barth ze śmiechem zapewnił go, że ogołacanie grobów i wszczepianie mózgów w maszyny nie ma nic wspólnego z demonem Frankensteina. Jak mówił, była to tylko sprawa odwzorowania struktury układu komórek mózgu na komórki elektroniczne. Człowiekowi to nie czyni szkody, a i z maszyny nie robi potwora.

Mimo wszystko Burckhardt czuł się wtedy nieswojo.

Dał spokój medytacjom o Barthu i fabryce i zabrał się za sprawozdanie podatkowe. Ustalenie wszystkich pozycji zajęło mu czas do południa. „To wszystko Barth mógł zrobić w dziesięć minut, korzystając z własnej pamięci i prywatnych rejestrów" — pomyślał z goryczą. Zapakował deklaracje do koperty i wyszedł do panny Mitkin.

— Dopóki nie ma Bartha, lepiej będzie, jeśli na lunch wyjdziemy kolejno — oświadczył. — Może pani iść pierwsza.

— Dziękują. — Sięgnęła ospale po torebkę i zaczęła poprawiać makijaż. Burckhardt podsunął jej kopertę.

— Proszę to wrzucić do skrzynki… Aha, jeszcze moment… Zastanawiam się, czy nie powinienem zatelefonować do Bartha… Jego żona nie mówiła, czy on może przyjmować telefony?

— Nie mówiła. I właściwie to nie była jego żona. To córka dzwoniła i zostawiła wiadomość.

— Dziecko? — Burckhardt, się zachmurzył. — Myślałem, że jest w szkole?

— Wiem tylko tyle: dzwoniła.

Wrócił do swojego pokoju i z niechęcią popatrzył na nie rozpieczętowaną pocztę, leżącą na biurku. Nie lubił złych snów — psuły mu cały dzień. Powinien był pozostać w łóżku jak Barth.

Po drodze do domu zdarzyła mu się zabawna historia. Na rogu, gdzie zwykle wsiadał do autobusu, było jakieś zamieszanie — ktoś

wykrzykiwał o jakiejś superzamarzającej lodówce. Przeszedł więc piechotą do następnego przystanku. Kiedy zauważył, że nadjeżdża autobus, zaczął biec i wtedy właśnie ktoś z tyłu go zawołał. Obejrzał się przez ramię. Biegł ku niemu jakiś mały, wyglądający na znajomego, człowieczek.

Burckhardt zawahał się, ale po chwili rozpoznał tamtego. To był Swanson, przygodny znajomy. Z goryczą skonstatował, że autobus mu uciekł.

— Witam — odezwał się. Swanson był niesamowicie przejęty.

— Burckhardt? — spytał badawczo. Na twarzy malowało mu się dziwne napięcie. Stał cicho, obserwując Burckhardta. Widać było, że gorąco czegoś pragnie, po chwili jednak pragnienie owo widocznie osłabło, zamieniając się w zamierającą z każdą chwilą nadzieję…

„On czegoś szuka, może czeka na coś?" — pomyślał Burckhardt. Cokolwiek by to jednak było, nie wiedział, jak spełnić nadzieje tamtego. Chrząknął i powtórzył:

— Witam, panie Swanson!

Swanson nawet nie odpowiedział na powitanie, westchnął tylko. Ciężko westchnął…

— Nic z tego… — mruknął najwidoczniej do siebie. Potem machinalnie skinął Burckhardtowi głową i oddalił się.

Burckhardt obserwował, jak jego spadziste ramiona zginęły w tłumie. Uprzytomnił sobie, że to diabelnie dziwny dzień i że, w gruncie rzeczy, wcale mu się to wszystko nie podoba. Po prostu sprawy nie szły tak, jak powinny.

Zastanawiał się nad tym jadąc do domu następnym autobusem. Nie było w tym wszystkim oczywiście niczego strasznego czy zgubnego — po prostu wykraczało to zupełnie poza krąg jego doświadczeń. „Żyje się własnym życiem, jak wszyscy… — myślał. — W ten sposób powstaje pewna sfera wrażeń i reakcji. Po prostu człowiek spodziewa się pewnych rzeczy. Kiedy otwierasz swoją toaletkę, to spodziewasz się znaleźć brzytwę na drugiej półce; zamykając frontowe drzwi pamiętasz o tym, że trzeba je lekko nacisnąć, aby się zatrzasnęły. Życie jest ci bliskim i znajomym nie dlatego, że wszystko, z czym się stykasz, jest prawidłowe. Rzecz w tym, że właśnie trochę nieprawidłowe — jak zacinający się zatrzask… Albo wyłącznik nad schodami, który trzeba mocno naciskać, bo sprężyna w nim jest stara i słaba… Albo wiecznie zwijający się pod nogami dywan…"

Oczywiście życie Burckhardta nie polegało jedynie na tym, że wszystko było złe. Ale po prostu: rzeczy złe były złymi. Na przykład: Barth nie przyszedł do biura, a przecież zawsze przychodził.

W czasie obiadu także się nad tym zastanawiał. Cały wieczór nad tym rozmyślał, mimo wysiłków żony, która próbowała zainteresować

go grą w brydża z sąsiadami. Byli to ludzie, których lubił — Anna i Farley Dennermanowie. Znał ich od dziecka. Tego jednak wieczoru byli jakby nieswoi i zamyśleni. Ledwie słyszał gderanie Dennermana na złą jakość usług biura zleceń telefonicznych, czy też komentarze jego żony, dotyczące gorszącej formy reklam telewizyjnych, które ostatnio się ukazują.

Był już na dobrej drodze do ustanowienia rekordu świata w długości medytacji, kiedy koło północy, z gwałtownością, która go zdumiała — był tego dziwnie świadom — odwrócił się w łóżku na drugi bok i błyskawicznie zasnął…

II

Rankiem 15 czerwca Burckhardt obudził się z krzykiem.

To było bardziej realne niż jakikolwiek sen, jaki miał w życiu.

Wciąż jeszcze słyszał eksplozję, czuł siłę podmuchu, który trzasnął nim o ścianę. Nie wydawało mu się w porządku i to, że siedział sztywny, jakby kij połknął, na łóżku, w nienaruszonym pokoju…

Żona, człapiąc, weszła po schodach.

— Kochanie! — krzyknęła. — Coś się stało?

— Nic takiego. Miałem zły sen… — wymamrotał. Odprężyła się, chociaż trzymała jeszcze rękę na sercu. Rozdrażnionym głosem zaczęła:

— Tak mnie przestraszyłeś…

Przerwał jej hałas z zewnątrz. Słychać było przeraźliwe wycie syren i donośny dźwięk dzwonków. Popatrzyli przez moment na siebie i przerażeni rzucili się do okna.

Na ulicy nie było jednak straży pożarnej, a jedynie wolno sunąca, mała, kryta ciężarówka. Jaskrawo pomalowane tuby megafonów sterczały na dachu. Z nich to właśnie wydobywał się z rosnącą siłą jękliwy dźwięk syren, połączony z rykiem potężnych silników i głosem dzwonków alarmowych. To było świetne nagranie przybywającej na wezwanie straży pożarnej.

Burckhardt odezwał się zdumiony.

— Ależ to jest bezprawie, Mary! Wiesz, co oni robią? Puszczają nagrania z pożaru! Na diabła im to?!

— Może to po prostu żart… — zaczęła.

— Żart?! Zrywanie o szóstej rano całej dzielnicy z łóżek? — potrząsnął głową. — Za dziesięć minut będzie tu policja — przepowiedział. — Poczekajmy tylko, to zobaczysz…

Policja jednak się nie pojawiła — ani za dziesięć minut, ani później. Kimkolwiek byli żartownisie w ciężarówce, najwidoczniej otrzymali zezwolenie policji na swoje zabawy.

Samochód zatrzymał się pośrodku ulicy i przez parę minut stał w ciszy. Raptem, głośnik szczęknął i zaśpiewał potężnym głosem:

Lodówki „Feckle”!
Lodówki „Feckle”!
Lodówki „Feckle”!
Używaj lodówki „Feckle”!
„Feckle”, „Feckle”, „Feckle”!
„Feckle”, „Feckle”,…

Śpiew nie ustawał ani na chwilę, z okien wszystkich domów

wychylały się głowy… Dźwięk nie był już tylko głośny — wprost ogłuszał…

Burckhardt, przekrzykując ryk, zawołał do żony:

— Co to u diabła za lodówka, ta „Feckle”?!

— Jakaś nowa, jak sądzę… — bezradnie odkrzyknęła. Nagle hałas urwał się i ciężarówka znów stała w ciszy.

Był cichy, mglisty poranek, chociaż na dachach kładły się już pierwsze promienie słońca. Trudno było wprost uwierzyć, że jeszcze przed chwilą cała ulica trzęsła się od wywrzaskiwanej nazwy firmy.

— Okrutny reklamowy trik… odezwał się cierpko Burckhardt. — No, możemy się ubierać, sądzę, że to już koniec tego…

Ryk dopadł go z tyłu — był potężny jak cios wymierzony w uszy. Szorstki, szyderczy głos, potężniejszy chyba niż trąby archaniołów, zawył:

— Masz już lodówkę?! Ona cuchnie! Jeśli to nie jest lodówka firmy „Feckle”, z pewnością cuchnie! Najlepszą ze wszystkich, jedyną, jest ostatnia lodówka firmy „Feckle”!! Pamiętaj — każda lodówka, za wyjątkiem nowego modelu „Feckle” — cuchnie!!

Głos bełkotał z niepohamowaną furią:

— Ostrzegam cię! Idź natychmiast kupić lodówkę firmy „Feckle”! Spiesz się! Biegnij po „Feckle”! Biegnij! Szybko! Szybko, szybko, „Feckle”, „Feckle”, „Feckle”…

Wreszcie zamilkł… Burckhardt oblizał wargi. Chciał właśnie powiedzieć żonie: — „Może powinniśmy zawiadomić policję…” — kiedy głośniki znów się zachłysnęły:

— „Feckle”, „Feckle”, „Feckle”!.. Pamiętaj: tanie lodówki psują ci żywność! Możesz zachorować! Dostać torsji! Zachorujesz i umrzesz!! Kup więc natychmiast „Feckle”! „Feckle”!! Czy nigdy nie zauważyłeś, że mięso, które wyjmujesz z lodówki, jest zgniłe i zapleśniałe?! Kup „Feckle”! „Feckle”! „Feckle”! Czyżbyś wolał jadać zgniłe, zapleśniałe mięso? Czy też wolisz zmądrzeć i zakupić „Feckle”?! „Feckle”, „Feckle” „Feckle”!!..

— Tego już za wiele! — Burckhardt, z trudem trafiając palcami w tarczę, nakręcił w końcu numer miejscowej komendy policji. Numer był zajęty. Jasne — nie był przecież jedynym, który wpadł wreszcie na ten pomysł. Kiedy po chwili, trzęsąc się cały, próbował raz jeszcze się dodzwonić, hałas za oknem umilkł.

Wyjrzał przez okno. Ciężarówka odjechała.

* * *

Rozluźnił krawat i zamówił u kelnera jeszcze jeden „Frosty Flip”. Żeby jeszcze tak tej „Crystal Cafe” nie ogrzewali! Wystarczająco

nieudane były świeżo malowane ściany: piekąca czerwień, przeplatana oślepiającym żółtym… I do tego ktoś zdaje się zapomniał, że to nie styczeń, lecz czerwiec — wewnątrz było o dobre dziesięć stopni cieplej niż na ulicy.

Przełknął cocktail w dwóch łykach. „Smak ma to-to dziwny, ale złe nie jest…" — pomyślał.

Podniósł się niezgrabnie, kiedy zobaczył, że ona idzie przez całą salę w jego stronę. To było najpiękniejsze stworzenie, jakie kiedykolwiek widział w Tylerton. Podniesiona głowa, jasne włosy i ta figura… No, miała wszystko, co trzeba… Jego zdaniem nie było żadnych wątpliwości, że obcisła suknia to wszystko, co ma na sobie. Czuł, że płonie, kiedy się z nim witała.

— Panie Burckhardt… — jej głos zabrzmiał echem tam-tamów. — To cudownie, że zechciał się pan ze mną zobaczyć po tym, co się rano wydarzyło.

Odchrząknął.

— Nic takiego… Zechce pani usiąść, panno…

— April Horn — szepnęła, sadowiąc się jednak koło niego, a nie po drugiej stronie stolika, gdzie wskazywał jej miejsce.

— Proszę mi mówić po prostu April, dobrze?

Tą resztką rozumu, która pozostawała jeszcze przy zdrowych zmysłach, Burckhardt zauważył, że używała dziwnego gatunku perfum. Nie podobało mu się, że nawet perfumy, których używa, są nienagannie dobrane.

Ocknął się nagle i uświadomił sobie, że kelner oddala się z zamówieniem na dwie porcje „filet mignon".

— Ej! — zaprotestował.

— Panie Burckhardt, ja proszę… — dotykała jego ramienia. Obróciła ku niemu twarz, na której malował się wyraz czułości i troskliwości. Czuł jej gorący oddech, kiedy mówiła:

— To wszystko na rachunek koncernu „Feckle". Proszę, niech pan im pozwoli… Ostatecznie to jest minimum tego, co mogą dla pana zrobić.

Poczuł, że jej ręka wsunęła mu się do kieszeni.

— Włożyłam panu do kieszeni należność za lunch… — wyszeptała konspiracyjnie. — Zrobi to pan dla mnie? Doprawdy, bardzo proszę… To znaczy, byłabym bardzo wdzięczna, gdyby to pan zapłacił kelnerowi… Widzi pan, ja mam bardzo staromodne nawyki w tym względzie…

Uśmiechnęła się nieśmiało, a potem nagle zrobiła się nienaturalnie rzeczowa:

— Ależ musi pan wziąć te pieniądze — nalegała. — Byłby pan zbyt pobłażliwy, nie biorąc pieniędzy. Mógłby pan przecież zaskarżyć „Feckle" o najmarniejszy nawet grosz, który zarobili na panu kosztem

zakłócenia pańskiego snu w taki sposób.

Z idiotycznym uczuciem, jakby chował głowę w piasek, rzekł:

— Ach nie… Wiesz April, w rzeczywistości to nie było takie straszne. Może trochę za głośne, ale…

Jej oczy rozszerzyły się z zachwytu.

— Och, panie Burckhardt! Wiedziałam, że pan to zrozumie. To właśnie tak… No, co tu dużo mówić — to jest wspaniała lodówka, nic dziwnego, że parę osób dało się ponieść fantazji. Oczywiście jak tylko centrala dowiedziała się, co zaszło, natychmiast wysłano przedstawicieli firmy do wszystkich domów w okolicy, aby przekazali wyrazy ubolewania. Pańska żona powiedziała nam, gdzie możemy pana znaleźć. I dzięki temu mam teraz przyjemność zjeść z panem lunch i przy okazji przeprosić pana. Widzi pan — to jest naprawdę wspaniała lodówka. Nie powinnam może tego mówić, ale… — spuściła nieśmiało niebieskie oczy — …ale ja zrobiłabym naprawdę wszystko dla lodówek „Feckle”… Dla mnie to coś więcej, niż kwestia posady… Podniosła na niego oczy. Była czarująca.

— Założę się, że ma mnie pan za głupią, prawda? Burckhardt kaszlnął.

— Nie no, ja…

— Och, pan nie chce być nieuprzejmy… — potrząsnęła głową. — Ale ja nie udaję. Myśli pan teraz, że jestem głupia, ale zmieniłby pan zdanie — naprawdę — gdyby pan wiedział więcej o lodówkach „Feckle”. Zechce pan spojrzeć do tej książeczki…

Burckhardt wrócił z lunchu o całą godzinę później. I to nie tylko z powodu tej dziewczyny, która go zatrzymała. Miał jeszcze dziwne spotkanie z małym człowieczkiem — Swansonem, którego ledwie znał, a który zatrzymał go na ulicy z rozpaczliwą gwałtownością, a potem nagle zostawił samego.

Ale to wszystko było nieważne. Barth po raz pierwszy, od h kiedy Burckhardt tu pracuje, nie przyszedł do biura, zostawiając go sam na sam z kwartalnym sprawozdaniem podatkowym. W gruncie rzeczy ważne było to, że jakimś sposobem podpisał zamówienie na lodówkę firmy „Feckle”. Model stojący, samorozmrażający, pojemność: dwanaście stóp sześciennych. Cena według katalogu: 625 dolarów… Z dziesięcioprocentowym rabatem. „To z powodu tej przykrej afery z rana…” — powiedziała.

Nie wiedział tylko, jak to wytłumaczyć żonie…

* * *

Niepotrzebnie się martwił. Kiedy stanął w drzwiach, Mary prawie natychmiast powiedziała:

— Zastanawiam się właśnie, czy nie byłoby nas stać na nową lodówkę, kochanie. Był tu jakiś człowiek, żeby przeprosić za ten hałas rano… No i zaczęliśmy rozmawiać… i…

Ona także podpisała zamówienie.

„To był obłędny dzień…" — pomyślał Burckhardt kładąc się spać.

Ale dzień się jeszcze dla niego nie skończył. W wyłączniku światła nad schodami osłabiona sprężyna odmówiła wreszcie posłuszeństwa. Szarpał wyłącznik na wszystkie strony i oczywiście jedynym, co mu się w rezultacie udało, to w całości wyrwać go ze ściany. Zwarły się przy tym przewody i w całym domu zgasło światło.

— Niech to cholera! — zaklął Guy Burckhardt.

— Bezpiecznik? — zapytała sennie żona. — Zostaw to mój drogi do rana…

Potrząsnął gniewnie głową.

— Idź do łóżka. Zaraz przyjdę.

Nie zależało mu właściwie na naprawianiu bezpieczników. Był po prostu zbyt rozdrażniony, żeby zasnąć. Odłączył śrubokrętem zepsuty wyłącznik, po omacku wszedł do kuchni, odszukał latarkę i ostrożnie zszedł do piwnicy. Odszukał zapasowy bezpiecznik, pchnął pod ścianę pustą skrzynkę, aby na niej stanąć, i wykręcił przepalony korek.

Kiedy zapasowy bezpiecznik był już na swoim miejscu, usłyszał pstryknięcie i głuchy pomruk lodówki w kuchni. Skierował się z powrotem ku schodom. Nagle zamarł.

Tam, gdzie stała przedtem skrzynka, podłoga dziwnie błyszczała. Spojrzał na nią w świetle latarki. To był metal!

— Psiakrew! — zaklął i z niedowierzaniem potrząsnął głową. Przyjrzał się z bliska, potem pociągnął palcem po brzegu metalowej płyty — zabolało, brzegi były ostre.

Brudna podłoga piwnicy pokryta była tylko cienką warstwą cementu. Odszukał młotek i trzasnął nim w podłogę w kilkunastu miejscach. Cała piwnica była jednolitym metalowym pudłem. Nawet ściany z pustaków były tylko atrapą, kryjącą metalowe podłoże!

Zbity z tropu rzucił się ku jednej z belek nośnych. Ta okazała się wreszcie naprawdę drewniana… Podobnie prawdziwe były szyby w okienkach piwnicy.

Ssąc bolący palec sprawdził podstawę schodów. To też było drewno, podobnie jak prawdziwe były cegły pod mazutowym piecem do ogrzewania. Natomiast pozostałe ściany i podłoga — były metalowe.

Wszystko wyglądało tak, jak gdyby ktoś postawił najpierw ramę z metalu, potem zaś pracowicie dorabiał detale, maskując stan faktyczny.

Największa niespodzianka czekała go w tylnej części piwnicy, zajętej przez kadłub łodzi — relikt krótkiego okresu majsterkowania

sprzed paru lat. Z zewnątrz łódź wyglądała normalnie. Wewnątrz jednak — tam, gdzie powinny być poprzeczki, ławki i grodzie — znajdowała się zwykła gmatwanina niewykończonych wiązań.

— Przecież to ja ją, u diabła, budowałem! — wykrzyknął, zapominając o bolącym palcu. Musiał się oprzeć o kadłub — drżał cały. Próbował raz jeszcze wszystko przemyśleć…

Z jakiegoś powodu, który przekraczał jego zdolności pojmowania, ktoś zlikwidował jego łódź, piwnicę, a być może cały dom, i zastąpił je sprytnie sporządzonymi makietami.

— Obłędna historia — rzucił, rozglądając się wokół w świetle latarki. — Na Boga! Na co to wszystko było komu potrzebne? — wymamrotał.

Odpowiedzi nie usłyszał — właściwie żadnej sensownej nie można było znaleźć. Przez parę minut kontemplował mglisty obraz swojego stanu psychicznego.

Potem raz jeszcze zajrzał pod kadłub łodzi łudząc się, że to wszystko okaże się pomyłką lub iluzją. Jednak szkielet — niedokończony i sfuszerowany — nie uległ zmianie. Wczołgał się więc pod spód, by lepiej się przyjrzeć — nie dowierzał sobie. Dotykiem wyczuł surowe, nie obrobione drewno. To było niesamowite! Zgasił latarkę i zaczął wyczołgiwać się spod kadłuba. Ale nie udało mu się. W momencie, jaki upłynął pomiędzy wysłaniem polecenia dla nóg a jego wykonaniem, poczuł gwałtowne, wszechogarniające zmęczenie.

Świadomość odchodziła. Nie sama jednak. Miał wrażenie, że ktoś mu ją odbiera…

Zasnął.

III

Rankiem 16 czerwca Guy Burckhardt obudził się skurczony, wciśnięty pod kadłub łodzi w swojej piwnicy. Pospieszył na górę po to, by odkryć, że jest 15 czerwca.

Pierwszą rzeczą, jaką uczynił, była nerwowa pospieszna inspekcja łodzi i fałszywej piwnicznej podłogi, imitującej kamień. Wszystko to było takie, jakie zapamiętał — niemożliwe do pojęcia.

Normalna, pogodna była natomiast kuchnia. Wskazówka elektrycznego zegara wolno wędrowała po tarczy, wskazując już prawie szóstą. Lada chwila powinna się obudzić żona.

Otworzył drzwi wejściowe i spojrzał na pustą ulicę. Przy schodkach, niedbale rzucona, leżała poranna gazeta. Kiedy ją podniósł, okazało się, że jest z 15 czerwca. Ale to było niemożliwe. 15 czerwca było wczoraj! Ostatecznie to nie była data, którą mógł zapomnieć — był to przecież termin kwartalnego sprawozdania podatkowego.

Powrócił do hallu i podniósłszy słuchawkę, wykręcił numer informacji meteorologicznej. Usłyszał przyjemny dla ucha, ściszony głos:

— …i nieco zimniej, przelotne opady. Ciśnienie atmosferyczne trzydzieści przecinek zero cztery; tendencja wzrostu… Prognoza federalnego biura pogody na dzień 15 czerwca. Ciepło i słonecznie, z rosnącą…

Odłożył słuchawkę. Był 15 czerwca.

— Wielkie nieba! — nabożnie wyszeptał Burckhardt. Sprawy rzeczywiście miały się dziwnie. Usłyszał dzwonek budzika u żony i skierował się ku schodom.

Mary Burckhardt siedziała wyprostowana na łóżku, z owym przerażonym, osłupiałym wyrazem twarzy, jaki się ma, uwalniając się nagle od sennych mar.

— Och! — rzuciła, kiedy wszedł do pokoju. — Kochanie, miałam najstraszniejszy sen w moim życiu! Śnił mi się jakiś wybuch jakby i…

— Znowu?! — niegrzecznie spytał Burckhardt. — To jest coś przezabawnego, Mary! Wiedziałem, że coś nie gra w tym całym wczorajszym dniu. No i…

Burckhardt opowiedział jej, jak zmieniła się piwnica i o zrobionej przez kogoś dziwnej makiecie jego łodzi.

Mary patrzyła na niego najpierw zdumiona, potem zaniepokojona, w końcu bezradna i zmieszana. Powiedziała:

— Jesteś pewien, mój drogi? Bo ja właśnie w zeszłym tygodniu czyściłam tę skrzynkę i wszystko było w porządku…

— Absolutnie! — odparł Burckhardt. — Przyciągnąłem ją do

ściany, aby na niej stanąć i wymienić bezpiecznik, kiedy nagle zepsuło się światło, a…

— Co się stało? — Mary wyglądała na bardziej niż zaniepokojoną.

— Zepsuło się światło, nie pamiętasz? Zaciął się wyłącznik przy schodach. Zszedłem do piwnicy i…

Mary usiadła na łóżku.

— Guy! Jaki wyłącznik?! Wcale się nie zaciął, sama gasiłam wczoraj światło!

Burckhardt gapił się na żonę.

— Zaraz! Przecież ja jestem pewien, że nie wyłączyłaś. Chodź! Sama zobacz!

Wybiegł na podest schodów i dramatycznym gestem wskazał ręką zepsuty wyłącznik, ten sam, który odkręcił i zostawił tak wiszący ubiegłego wieczoru… Tylko że teraz wcale tak nie wisiał. Wyglądał jak zawsze… Nie wierząc własnym oczom, Burckhardt nacisnął go i w obu hallach zapaliło się światło…

Mary, blada i zdenerwowana, zostawiła go samego, zabierając się do śniadania. Burckhardt długo sterczał, gapiąc się na wyłącznik. Jego zdolność rozumowania wyszła już poza granice szoku i niewiary; po prostu nie istniała.

Ogolił się, ubrał, zjadł śniadanie — wszystko to w stanie odrętwiałej samoobserwacji. Mary nie przeszkadzała mu. Była zaniepokojona. Czule pocałowała go na pożegnanie, kiedy bez słowa wybiegał do autobusu.

Panna Mitkin powitała go zza recepcyjnego biurka ziewnięciem.

— …e-eń dobry… — powiedziała sennie. — Pan Barth dzisiaj nie przyjdzie.

Burckhardt chciał coś powiedzieć, ale się opanował. Nie wiedziałaby przecież, że wczoraj Bartha nie było, bowiem zrywała właśnie z kalendarza kartkę z czternastką, aby zrobić miejsce dla „nowego”, 15 czerwca.

Chwiejnym krokiem podszedł do biurka i popatrzył bezwiednie na poranną pocztę. Była jeszcze nie otwarta, ale wiedział już, że koperta od „Factory Distributors” zawiera zamówienie na dwadzieścia tysięcy stóp nowej wykładziny akustycznej, a ta od „Fineback and Sons” — po prostu zażalenie.

Po dłuższej chwili przełamał się i otworzył je. Było w nich to, czego się spodziewał.

W czasie przerwy obiadowej Burckhardt, kierowany jakimś impulsem, jako pierwszą posłał na lunch pannę Mitkin; tego 15 czerwca, który-był-wczoraj, pierwszy poszedł on…

Wyszła, sprawiając wrażenie jakby zaniepokojonej jego nienaturalnym naleganiem; jednakże nie miało to już wpływu na humor Burckhardta.

Zadzwonił telefon i Burckhardt z roztargnieniem podniósł słuchawkę.

— Miejskie biuro „Contro Chemicals”. Mówi Burckhardt…

— Tu Swanson — odezwał się głos i zaraz zamilkł. Burckhardt milczał wyczekująco, ale to było wszystko.

W końcu powiedział:

— Halo?

Znowu przerwa. Potem Swanson z rezygnacją:

— Dalej nic, hę?

— Co nic?! Swanson, czy pan czegoś chce? Podszedł pan do mnie wczoraj, a potem, jakby nigdy nic, poszedł sobie. Pan…

Głos zaskrzeczał:

— Panie Burckhardt! Wielki Boże, pamięta pan?! Niech pan tam siedzi — będę za pół godziny…

— Co to wszystko znaczy?

— Nieważne! — odkrzyknął, nie posiadając się z radości, mały człowieczek. — Powiem panu, kiedy się spotkamy. Przez telefon nie mogę więcej, ktoś może podsłuchiwać… Niech pan tylko poczeka. No, wytrzyma pan… Będzie pan w biurze sam?

— Hm… Nie. Panna Mitkin prawdopodobnie…

— Do diabła! Niech pan posłucha! Gdzie pan jada lunch? Jest tam wygodnie i głośno?

— Tak, sądzę, że tak… To „Crystal Cafe”. Jest tuż, za rogiem.

— Wiem, gdzie. Spotkamy się tam za pół godziny. — Usłyszał stuk odkładanej słuchawki.

* * *

„Crystal Café” nie była już pomalowana na czerwono, ale temperatura była nadal wysoka. I dodali jeszcze trochę muzyki, przeplatanej reklamami, które zachwalały „Frosty-Flip”, papierosy „Marlin”, o których spiker twierdził: „One uzdrawiają!”; zachwalały coś jeszcze, co nazywano pałeczkami „Choco-Bite”. Burckhardt nie mógł sobie przypomnieć, aby kiedykolwiek o nich słyszał. Wkrótce jednak miał o nich usłyszeć więcej.

Podczas gdy czekał na pojawienie się Swansona, przez restaurację przeszła dziewczyna w celofanowej spódniczce, sprzedawczyni z nocnego lokalu. Niosła tacę, pełną słodyczy, wesoło, purpurowo opakowanych.

— „Choco-Bity” są wyśmienite — szepnęła, podchodząc do jego stolika. — „Choco-Bity” są smaczniejsze, niż smaczne!

Burckhardt, zajęty wypatrywaniem tego dziwnego, małego człowieczka, który do niego dzwonił, nie zwrócił na nią uwagi.

Jednak, gdy na sąsiednim stole rozsypała garść słodyczy uśmiechając się do gości, poczuł na sobie jej spojrzenie i obejrzał się.

— Halo, panno Horn! — powiedział. Dziewczyna wypuściła z rąk tacę, pełną słodyczy. Burckhardt zerwał się zaniepokojony:

— Czy coś się stało?

Dziewczyna jednak bez słowa pierzchnęła. Szef restauracji podejrzliwie przyglądał się Burckhardtowi, kiedy ten, wciśnięty w fotel, próbował przybrać obojętną minę. Przecież jej nie znieważył! „Być może — myślał — ona jest dziewczyną z tak zwanego «dobrego domu», mimo gołych nóg pod celofanową spódniczką? I kiedy się do niej odezwał, wzięła go za zwykłego podrywacza?…"

Śmieszny pomysł. Wyprostował się z trudem i wziął do ręki jadłospis.

— Burckhardt! — doszedł go przenikliwy szept. Przestraszony podniósł głowę znad karty. Naprzeciwko niego, sztywno wyprostowany, siedział mały człowieczek o nazwisku Swanson.

— Burckhardt — wyszeptał znów — chodźmy stąd! Oni są już na pańskim tropie! Wiejmy, jeśli panu życie miłe!

Nie było mowy o jakiejkolwiek z nim dyskusji. Burckhardt przesłał wahającemu się jeszcze kierownikowi przepraszający uśmiech i wyszedł w ślad za Swansonem. Mały człowieczek sprawiał wrażenie, że wie, dokąd idzie. Na ulicy uchwycił Burckhardta za ramię i przyspieszył kroku.

— Widział ją pan? — Zapytał. — Tę Horn?… W budce telefonicznej, widział pan? Ona ich tu naśle w ciągu pięciu minut, wierz mi pan… Lepiej się pospieszmy…

Mimo że ulica pełna była ludzi i samochodów, nikt nie zwracał na nich uwagi. Powietrze było lekko mroźne. Mimo prognozy biura pogody, wyglądało raczej na październikowe niż czerwcowe. Czuł się jak głupiec, biegnąc za tym zwariowanym człowieczkiem, uchodząc pogoni jakichś,ich". Uchodząc ku czemu? Człowieczek mógł być szalony, ale bał się — a strach jest zaraźliwy.

— Tędy! — wskazał Swanson.

Była tu inna restauracja, a właściwie bar — ów gorszy rodzaj lokali, których Burckhardt nigdy nie odwiedzał.

— Prosto, prosto przed siebie! — wyszeptał Swanson. Burckhardt, jak posłuszne dziecko, przeszedł pospiesznie między stolikami na drugi, odległy koniec sali. Restauracja miała kształt litery „L" i łączyła dwie, przylegające prostopadle do siebie ulice. Wyszli właśnie na drugą z nich. Swanson, wychodząc spojrzał spode łba na zdziwionego kasjera. Potem przeszli na przeciwległy chodnik i znaleźli się pod markizą kina. Początkowe napięcie zaczęło Swansona powoli opuszczać.

— Zgubiliśmy ich! — cicho zatriumfował. — Jesteśmy prawie na

miejscu.

Podszedł do okienka kasy i kupił dwa bilety. Burckhardt powlókł się za nim do środka. Szedł właśnie zwykły, codzienny poranek i kino było prawie puste. Z ekranu dobiegały odgłosy strzelaniny i tętentu końskich kopyt. Samotny bileter, oparty o błyszczącą mosiężną balustradę, rzucił na nich przelotne spojrzenie i, znudzony, dalej oglądał film. Swanson poprowadził Burckhardta w dół marmurowymi, pokrytymi dywanem schodami.

Znaleźli się sami w pustym hallu. Oprócz dwojga drzwi z napisami: „Dla pań" i „Dla panów" były i trzecie, z napisem „KIEROWNIK". Swanson nadsłuchiwał pod nimi przez chwilę, potem delikatnie je uchylił i zajrzał do środka.

— W porządku — powiedział.

Burckhardt pospieszył za nim przez puste biuro do następnych drzwi — zapewne jakiejś komórki, bo nie było na nich napisu. Ale nie, to nie była komórka. Swanson otworzył ostrożnie i te drzwi, zajrzał do środka i skinął na Burckhardta.

Był tam metalowy, błyszczący tunel, ciągnący się w obie strony od wejścia.

Burckhardt zaintrygowany rozejrzał się. Wiedział na pewno tylko jedno — pod Tylerton takiego tunelu nie było.

* * *

Droga w tunelu zawiodła ich do pokoju z krzesłami, biurkiem i czymś, co wyglądało na ekrany telewizyjne. Swanson, ciężko dysząc, opadł na krzesło.

— Tu nam będzie na razie dobrze — wysapał. — Tu oni już nie przyjdą. A nawet jeśli przyjdą, to ich usłyszymy i zdążymy się schować.

— Kto? — zapytał Burckhardt.

— Marsjanie! — Głos załamał mu się przy tym słowie, jakby ze Swansona uchodziło życie. Kontynuował przerażony: — No, ja tylko przypuszczam, że Marsjanie. Być może jednak, że to prawda. Wie pan, ja w ciągu tych tygodni miałem mnóstwo czasu… Od kiedy wpadł im pan w łapy… I mogłem sobie to wszystko przemyśleć… Ostatecznie możliwe, że to Rosjanie. Dotąd…

— Zaraz, niech pan zacznie od początku. Komu wpadłem w łapy i kiedy?

Swanson westchnął.

— Musimy więc przejść to jeszcze raz. W porządku. To było około dwóch miesięcy temu, kiedy późno w nocy zastukał pan do moich drzwi. Był pan całkiem rozbity, cholernie przestraszony… Błagał pan o

pomoc…

— Ja?!

— Jasne, pan nic z tego nie pamięta. Jeśli pan jednak posłucha, to zrozumie pan. Plótł pan jakieś bzdury, że pana złapano i grożono; że pana żona umarła, a potem wróciła do życia, i jeszcze całą kupę innych bredni. Myślałem, że pan zwariował. Zawsze jednak miałem wiele respektu dla pana. Pan błagał, żeby go ukryć, a ja mam tę komórkę, wie pan… Ona zamyka się od wewnątrz — sam założyłem ten zamek.

Weszliśmy tam więc, tylko po to, żeby pana zadowolić… I w jakieś piętnaście, może dwadzieścia minut później, około północy, straciliśmy przytomność…

— Przytomność? Swanson przytaknął.

— Obaj. To było jak rąbnięcie workiem piasku… Zaraz, nie zdarzyło się to panu czasem ostatniej nocy?

— Wydaje mi się, że tak — Burckhardt niepewnie skinął głową.

— No właśnie. A potem nagle obudziliśmy się i pan powiedział, że pokaże mi coś zabawnego. Wyszliśmy i kupiliśmy gazetę. Z datą: 15 czerwca.

— 15 czerwca? Ależ to jest dzisiaj! To znaczy…

— Pojął pan to! Kochany! Zawsze jest dzisiaj!!

Dotarcie tego faktu do świadomości Burckhardta zajęło trochę czasu. W końcu z zaciekawieniem powiedział:

— Przez ile tygodni chował się pan w tej komórce?

— Czy ja wiem? Może cztery albo pięć… Straciłem rachubę. Każdy dzień jest taki sam — zawsze piętnasty czerwca, zawsze moja gospodyni, pani Keefer zamiata frontowe schody… Zawsze te same nagłówki w gazetach z kiosku na rogu… To staje się nudne, mój drogi…

IV

To był pomysł Burckhardta i Swanson początkowo się wzdragał. Wreszcie jednak uległ. Należał do tych, którzy zawsze się w końcu podporządkowują.

— To niebezpieczne… — nerwowo gderał. — Przypuśćmy, że ktoś będzie przechodził. Zauważą nas i…

— Co mamy do stracenia? Swanson wzruszył ramionami.

— To niebezpieczne — powtórzył. Podporządkował się jednak Burckhardtowi.

Pomysł był prosty. Można było być pewnym tylko tego, że tunel dokądś prowadził. Czy byli to Marsjanie, czy Rosjanie, niesamowity spisek czy równie obłędna halucynacja, cokolwiek by było nie w porządku z Tylerton — miało to swoje wytłumaczenie, a miejscem, w którym należało go szukać, był koniec tunelu.

Szli szybko. Już ponad milę wcześniej ujrzeli koniec tunelu. Mieli szczęście — nikt się w nim nie pojawił, nie zostali więc dostrzeżeni. Swanson jednak powiedział, że tunel jest chyba używany tylko w pewnych godzinach.

Ciągle 15 czerwca… „Dlaczego? — głowił się bez końca Burckhardt. — Nieważne, w jaki sposób, ale dlaczego?"

I to zapadanie w sen, całkowicie bezradne i dla wszystkich jednoczesne… I zapominanie wszystkiego… Za każdym razem wszystkiego. Swanson opowiedział mu o ich pospiesznym spotkaniu rankiem następnego dnia — zaraz potem, jak Burckhardt spóźnił się parę minut ze schowaniem się do komórki. Kiedy Swanson się ocknął, Burckhardta nie było. Spotkali się po południu na ulicy, ale Burckhardt niczego nie pamiętał.

Swanson wiódł swoją mysią egzystencję przez wiele tygodni, chowając się na noc w komórce, w dzień zaś wymykając się, aby w żałosnej nadziei, drżąc o głowę na karku i unikając „ich" wzroku, odszukiwać Burckhardta.

„Oni." Jedną z „nich" była April Horn. To właśnie dzięki niej odkrył Swanson ten tunel, kiedy nieostrożnie wchodziła do budki telefonicznej, nigdy jednak z niej nie wychodząc.

Do „nich" też należał sprzedawca papierosów w biurowcu Burckhardta. Było „ich" więcej, przynajmniej z tuzin — tych, co do których Swanson był pewien lub ich podejrzewał.

Łatwo było ich rozpoznać, a przede wszystkim wiadomo było, gdzie ich szukać. Oni bowiem — jedyni w Tylerton — zmieniali swoje role z dnia na dzień.

Burckhardt, w swym autobusie o 6.51, każdego poranku, każdego dnia, który-był-15-czerwca, nigdy nie różnił się ani na jotę. Ale April

Horn była czasem efektowna, rozdając w celofanowej spódniczce papierosy lub słodycze, a czasem — zwyczajna… Czasem zaś Swanson w ogóle jej nie widział.

Rosjanie? Marsjanie? Kimkolwiek by byli, co spodziewali się wygrać na tej obłędnej maskaradzie?

Nie znał odpowiedzi — ale może leżała ona za drzwiami w końcu tunelu.

Posłuchali przezornie pod drzwiami. Rozlegały się jakieś dalekie odgłosy, o których nie można było na pewno powiedzieć, że dochodziły zza tych drzwi. Nie było to jednak nic groźnie brzmiącego. Wśliznęli się więc delikatnie do środka, a następnie przez szeroki przedsionek i odcinek schodów dotarli do miejsca, które Burckhardt rozpoznał… jako zakłady „Contro Chemicals".

Nie zauważyli nikogo w pobliżu. Nie było to w gruncie rzeczy takie dziwne — w zautomatyzowanej fabryce nigdy nie ma zbyt wiele ludzi. Burckhardt pamiętał jednak — jeszcze z czasu swojej jedynej tu wizyty — ową bezustanną, nieskończoną pracę fabryki, na przemian otwierające się i zamykające zawory, kadzie same się opróżniające i napełniające, mieszające, gotujące i automatycznie sprawdzające skład chemiczny bulgoczących płynów. Fabryka nigdy nie była wypełniona ludźmi, nigdy też jednak nie panował w niej bezruch. Właśnie… A teraz była cicha. Z wyjątkiem dalekich odgłosów, nie czuło się w niej tchnienia życia.

Zaprzęgnięte do pracy mózgi elektronowe nie słały żadnych rozkazów, uzwojenia i przekaźniki nie działały.

— Chodźmy — rzekł Burckhardt. Swanson skwapliwie podążył za nim, poprzez nieprzenikniony gąszcz kolumn i zbiorników z nierdzewnej stali.

Szli, czując jakby obecność śmierci. W pewnym sensie była to prawda — czymże są bowiem nieruchome automaty, kierujące ongiś fabryką, jak nie trupami?

Swanson przysunął się do Burckhardta.

— Boję się — powiedział.

Znajdowali się po przeciwległej stronie hali i odgłosy stały się silniejsze. Nie był to hałas maszyn, lecz głosy ludzkie. Burckhardt ostrożnie zbliżył się do drzwi i po chwili odważył się za nie zajrzeć.

Był to mały pokój, wypełniony głównie ustawionymi w półkole ekranami telewizyjnymi. Było ich co najmniej z tuzin, przed nimi siedzieli ludzie — przed każdym mężczyzna lub kobieta — i obserwując obraz, przekazywali swoje uwagi do dyktafonów. Czasem przechodzili od jednego ekranu do drugiego; na każdym z ekranów był inny obraz, ale nie wydawały się one mieć ze sobą cokolwiek wspólnego. Na jednym był sklep, w którym dziewczyna, ubrana podobnie jak April Horn, demonstrowała domowe lodówki. Na innym

widać było całą serię zdjęć różnych kuchni. Przez chwilę przed Burckhardtem pojawił się widok stoiska z papierosami w jego biurowcu.

Ciekawe to było i Burckhardt miał nawet ochotę postać tam i dalej łamać sobie głowę, ale miejsce było zbyt ruchliwe. Mógł ich ktoś wyśledzić lub, wychodząc, natknąć się na nich.

* * *

Znaleźli inny pokój. Ten był pusty. Sprawiał wrażenie urządzonego z przepychem biura — z biurkiem, całym zasłanym papierami. Burckhardt rzucił na nie przelotnie okiem, ale przykuły jego uwagę dopiero wtedy, kiedy dojrzał treść jednego z nich.

Pochwycił pierwszą z brzegu kartkę. Potem wziął następną, podczas kiedy Swanson gorączkowo przeszukiwał szuflady.

Burckhardt zaklął cicho i zaszokowany rzucił papiery na biurko.

Swanson, nie dostrzegając prawie tego, zawołał z zachwytem:

— Niech pan patrzy! — wyciągnął z szuflady pistolet. — W dodatku jest naładowany!

Burckhardt gapił się na niego bezmyślnie, próbując skojarzyć przeczytane urywki. Po chwili, kiedy dotarły do niego słowa Swansona, zmrużył nagle oczy.

— Człowieku! — krzyknął. — Zabieramy to! Zabieramy ten pistolet, Swanson, i wiejemy! Na policję… Zaraz, może nie na komendę w Tylerton… Tylko do FBI. Popatrz na to!

Na arkuszu, który wręczył Swansonowi, widniał tytuł:

Sprawozdanie z testu terenowego.
Temat: Kampania papierosów „Marlin”.

Były to głównie zestawienia liczb, które niewiele mówiły Swansonowi i Burckhardtowi. Na końcu jednak było następujące podsumowanie:

„Chociaż test 47-K3 pozwolił na dwukrotne prawie zwiększenie liczby użytkowników w porównaniu z jakimkolwiek innym testem, nie może on być prawdopodobnie zastosowany w szerokim zakresie z racji lokalnych zarządzeń, ograniczających stosowanie ruchomych megafonów.

Testy w grupie 47-K12 dały, jako następne z kolei, najlepsze wyniki i naszym zdaniem, najskuteczniejszym zaleceniem byłoby powtórzenie ich w tej postaci, w jakiej je przeprowadzono, z dołączaniem lub wyłączaniem próbek towaru.

Sugestią równorzędną z w/w jest przejście od razu do

najmocniejszej siły przekonywania, jeśli klient nie życzy sobie ponoszenia kosztów dodatkowych badań w serii K12.

Wszystkie powyższe prognozy oszacowano z prawdopodobieństwem 80 % przy zastosowaniu 0,5 % zaproponowanych środków, a z prawdopodobieństwem większym od 99 % przy użyciu 5 % środków".

Swanson spojrzał znad arkusza na Burckhardta.

— Nie kojarzę — stwierdził.

— Swanson, to pasuje do faktów. To nie Rosjanie ani Marsjanie. To są ludzie od reklamy! W jakiś sposób — Bóg jedyny wie, w jaki — udało im się zawładnąć Tylertonem. Opanowali nas wszystkich — pana, mnie; całe dwadzieścia czy trzydzieści tysięcy ludzi jest w ich rękach… Być może hipnotyzują nas, a może to co innego. Jakkolwiek by to robili, faktem jest, że pozwalają nam za każdym razem na przeżycie tylko jednego dnia. Przez cały ten obłędny dzień ładują w nas reklamy, zaś pod wieczór obserwują, jakie są tego efekty. A potem wymazują nam ten dzień z mózgu i rozpoczynają następny — z odmiennymi reklamami…

* * *

Swanson stał z otwartymi ustami. Po chwili dopiero udało mu się je z trudem zamknąć i przełknąć ślinę.

— To… obłędne… — odezwał się słabo. Burckhardt pokręcił głową.

— Pewnie, to brzmi obłędnie… Ale cały ten interes jest przecież szalony. Jakby pan to inaczej wytłumaczył? Nie może pan przecież zaprzeczyć, że większość osób w Tylerton przeżywa w kółko jeden i ten sam dzień. Sam pan to widział. To jest właśnie ten obłędny punkt, a my musimy przyjąć, że to jest prawda… Chyba że sami jesteśmy pomyleni. Jeśli teraz założyć, że ktoś wie… w jakiś sposób wie, jak tego dokonać, cała reszta od razu nabierze sensu. Pomyśl pan, Swanson! Oni sprawdzają każdy najmniejszy szczegół, zanim wydadzą centa na reklamę! Zdaje pan sobie sprawę z tego, co to oznacza? Bóg jeden wie, ile pieniędzy w to jest zaangażowanych. Ale ja akurat wiem, że niektóre koncerny wydają rocznie na reklamę dwadzieścia — trzydzieści milionów dolarów! Pomnóżmy to przez — powiedzmy — sto koncernów i załóżmy, że każdy z nich znajduje sposób na obcięcie kosztów reklamy tylko o dziesięć procent… A to jeszcze pestka, wierz mi pan! Jeśli nauczą się w przyszłości, jakie środki reklamy najskuteczniej działają, będą mogli swoje koszty obciąć do połowy, a może i więcej — nie wiem… A to oznacza zaoszczędzenie dwóch —

trzech milionów rocznie — i, jeśli płacą tylko dziesięć czy dwadzieścia procent z tego na użycie Tylerton jako narzędzia, to i tak jest to dla nich marny grosz. Ale to jest fortuna dla tego, kto wziął w posiadanie całe Tylerton…

Swanson oblizał nerwowo wargi.

— To znaczy, że my… My jesteśmy czymś w rodzaju biernej publiki? — zapytał z wahaniem.

Burckhardt zmarszczył czoło.

— Niezupełnie… — Przez chwilę się zastanawiał. — Wie pan, jak lekarz sprawdza coś takiego jak penicylinę? Przygotowuje serię kolonii bakterii na żelatynowych krążkach i wypróbowuje specyfik na każdej z nich, za każdym razem nieco go zmieniając. No więc to właśnie jesteśmy my — my jesteśmy bakteriami, panie Swanson. Tylko że nasza sytuacja jest dla nich korzystniejsza pod względem ekonomicznym. Oni nie muszą testować wielu kolonii, bo mogą używać jednej, wciąż od nowa. To już było dla Swansona za mocne. Powiedział tylko:

— Co w związku z tym robimy?

— Chodźmy na policję. Nie mają prawa używać ludzi w charakterze morskich świnek.

— Ale jak się dostaniemy na policję? Burckhardt zawahał się.

— Myślę… — zaczął powoli. — Tak, to miejsce jest na pewno biurem kogoś ważnego. Mamy broń… Będziemy tu czekać, dopóki on nie przyjdzie… I on nas stąd wyprowadzi.

To było jasne i proste. Swanson bezsilnie opadł na krzesło, które znalazł przy ścianie, w miejscu niewidocznym od drzwi. Burckhardt ustawił się tuż za drzwiami. I czekał…

Oczekiwanie nie trwało tak długo, jak się tego spodziewali. Może pół godziny. Potem Burckhardt usłyszał zbliżające się głosy i zanim przylgnął do ściany, zdążył szeptem ostrzec Swansona. Były to głosy mężczyzny i dziewczyny. Mężczyzna mówił:

— …jakiego powodu nie mogłaś zameldować przez telefon?! Niszczysz cały dzienny test! Co się z tobą u diabła dzieje, Janet?!

— Przykro mi, panie Dorchin — odpowiedziała miękkim, czystym głosem. — Myślałam, że to ważne… Mężczyzna gderał:

— Ważne! Jedna stracona jednostka na dwadzieścia jeden tysięcy!

— Ależ to ten Burckhardt, panie Dorchin… Znowu! A sposób, w jaki zniknął nam z pola widzenia, wskazuje, że musiał mieć jakąś pomoc.

— Dobra, dobra. Nic się nie stało… Program „Choco-Bite” i tak wyprzedza plan. A jak już tu jesteś, chodź do biura i zrób swoje sprawozdanie. A o Burckhardta się nie martw… Prawdopodobnie się gdzieś włóczy. Znajdziemy go w nocy i…

Byli w drzwiach. Burckhardt zamknął je kopnięciem i uniósł

pistolet.

— Tak się panu tylko wydaje! — powiedział triumfująco. To było warte tych potwornych godzin, oszałamiającego uczucia pomieszania zmysłów, niepewności i strachu. Tak wiele satysfakcji Burckhardt nie zaznał jeszcze nigdy w życiu. Wyraz twarzy tamtego był z tych, o których czasem się czytało, ale nigdy nie widziało na własne oczy: usta Dorchina bezwolnie otwarły się, źrenice rozszerzyły i chociaż udało mu się wydać jakiś dźwięk, który mógłby być pytaniem, nie wykrztusił z siebie żadnego słowa. Dziewczyna była prawie tak samo zaskoczona, a Burckhardt, rzuciwszy na nią okiem pojął, dlaczego jej głos był mu tak znajomy. To była April Horn.

Dorchin szybko doszedł do siebie.

— Czy to ten? — spytał ostro.

— Tak — potwierdziła. Dorchin skinął głową.

— Cofam to, co powiedziałem. Miałaś rację. Ej, panie… Burckhardt, czego pan chce?

* * *

Swanson zawołał piskliwie:

— Uważaj na niego, on może mieć drugi pistolet!

— To przeszukaj go — powiedział Burckhardt. — Powiem ci, Dorchin, czego od ciebie chcemy. Chcemy, żebyś poszedł z nami do FBI i wytłumaczył im, jak ci się udało uprowadzić dwadzieścia tysięcy ludzi…

— Uprowadzić? — parsknął Dorchin. — Człowieku? Nie bądź śmieszny! I odłóż broń, nie wydostaniesz się z nią stąd!

Burckhardt groźnie podniósł pistolet.

— Myślę, że mi się to uda.

Dorchin był przybity i rozwścieczony, ale — co było dziwne — nie był przestraszony.

— Cholera by to!.. — zaczął wrzeszczeć, potem jednak zamknął się i nerwowo przełknął ślinę.

— Słuchaj… — perswadował — robisz wielki błąd. Ja nikogo nie uprowadziłem, wierz mi…

— Nie wierzę! — rąbnął bez ogródek Burckhardt. — Dlaczego miałbym ci wierzyć?

— Bo to jest prawda! Masz moje słowo!

Burckhardt pokręcił głową.

— Powtórz to w FBI, może ci uwierzą. Dowiemy się wszystkiego. No, a teraz… Którędy stąd wyjdziemy?

Dorchin otworzył usta z zamiarem dalszej dyskusji, ale Burckhardt wybuchnął:

— Nie właź mi w drogę! Jestem zdecydowany cię zabić, jeśli mnie do tego zmusisz. Nie rozumiesz?! Przeżyłem dwa dni piekła i za każdą ich sekundę obwiniam ciebie. Zabić cię? To byłaby tylko przyjemność… Ja nie mam już nic do stracenia! Wyprowadzaj nas stąd!

Twarz Dorchina nagle straciła jakikolwiek wyraz. Sprawiał wrażenie, jakby zamierzał się ruszyć, ale blondynka wsunęła się między niego a pistolet.

— Ja proszę… — błagała Burckhardta. — Pan nic nie rozumie. Panu nie wolno strzelić!

— Zejdź z drogi!

— Ależ panie Burckhardt!..

Już nie skończyła. Dorchin z kamienną twarzą ujął za klamkę. Burckhardt z wrzaskiem podniósł broń. Usłyszał przeraźliwy krzyk dziewczyny. Naciskając spust dostrzegł jeszcze, jak z żalem i błaganiem w oczach, tuż przed nim, wpadła pomiędzy pistolet i Dorchina.

Instynktownie celował nisko — by zranić, nie zabić… Ale źle obliczył. Pocisk trafił dziewczynę w brzuch…

* * *

Trzasnęły drzwi. W oddali słychać jeszcze było tupot nóg uciekającego Dorchina. Burckhardt rzucił pistolet i skoczył ku dziewczynie.

Swanson jęczał:

— To nas wykończy, Burckhardt… Boże, Czemuś to zrobi-bił, mogliśmy uciec. Powinniśmy byli pójść na policję… Właściwie byliśmy już na zewnątrz! My…

Burckhardt nie słuchał. Klęczał obok dziewczyny. Leżała płasko na plecach, z bezwładnie rozrzuconymi rękami. Krwi nie było, nawet śladu rany. Pozycji jednak, w jakiej leżała, nie była zdolna przyjąć żadna żyjąca istota ludzka. A przecież ona jeszcze nie umarła…

Nie umarła. I Burckhardt, zmartwiały nagle, pomyślał: „Nie, nie jest również żywa…”

Tętna nie było — tylko rytmiczne drganie palców jednej ręki.

Oddechu także nie było słychać. Jego miejsce zajął syczący, skwierczący dźwięk. Oczy, otwarte szeroko, patrzyły na Burckhardta. Nie było w nich strachu ani bólu — tylko wielki, głęboki żal. Wargami, nieregularnie drgającymi, powiedziała:

— Niech się pan nie martwi, panie Burckhardt… Nic mi nie jest.

Burckhardt, klęcząc, nagle odchylił się do tyłu i uważnie popatrzył. Tam, gdzie powinna być krew, był czysty, okrągły otwór,

wydarty w substancji, która z pewnością nie była ciałem. I zwitek złotomiedzianych drucików…

Zwilżył wargi.

— Jesteś robotem… — powiedział.

Dziewczyna usiłowała przytaknąć. Wykrzywione wargi wyszeptały wreszcie:

— Jestem… Tak, jak wy…

V

Swanson wydał jakiś nieartykułowany dźwięk, podszedł do biurka i usiadł, gapiąc się w ścianę.

Burckhardt, siedząc na podłodze, kołysał się to w jedną, to w drugą stronę, patrząc na zgruchotaną kukiełkę. Nic nie przychodziło mu do głowy.

Dziewczyna spróbowała raz jeszcze przemówić:

— Ja… Przepraszam, że tak się stało. — Piękne wargi wykrzywiły się szyderczo. Wyglądało to przerażająco na tej gładkiej, młodej twarzy, dopóki znowu nie odzyskała nad nimi panowania.

— Przepraszam… — odezwała się znów. — Centrum nerwowe jest blisko miejsca, w które trafiła kula. To sprawia trudności… w kierowaniu tym ciałem.

Burckhardt machinalnie przytaknął, akceptując przeprosiny. Roboty… To było oczywiste. Teraz to już wiedział. To była nieunikniona perspektywa. Myślał o swoich mistycznych koncepcjach hipnozy, Marsjanach, Rosjanach… Idiotyczne… Przecież roboty najbardziej pasowały do faktów… Lepiej i ekonomiczniej…

Wszystko już teraz wiedział. Zautomatyzowana fabryka ze swoimi wszczepionymi mózgami… Dlaczegóż by nie wszczepić mózgu człekokształtnemu robotowi, dając mu oblicze i cechy człowieka?

Czy może wtedy wiedzieć, że jest robotem?

— My wszyscy — Burckhardt mówił, ledwie świadom tego, że mówi głośno. — Moja żona… Moja sekretarka, ty, sąsiedzi… Wszyscy jesteśmy tacy sami…

— Nie. — Jej głos był teraz silniejszy. — Nie całkiem tacy sami. Ja dokonałam wyboru. Ja… — tym razem wykrzywione usta nie były już niezamierzonym kaprysem nerwów — …ja panie Burckhardt byłam bardzo brzydką kobietą… I to prawie sześćdziesięcioletnią. Dla mnie życie już minęło. Kiedy więc Dorchin zaproponował mi szansę rozpoczęcia życia raz jeszcze, w roli pięknej dziewczyny, przystałam na to z radością. Proszę mi wierzyć — z radością. Pomimo wielu niedogodności… Moje prawdziwe ciało wciąż jeszcze żyje… Śpi, gdy jestem tutaj… Mogłabym do niego wrócić, ale nigdy tego nie zrobię…

— A pozostali?

— Oni inaczej, panie Burckhardt… Ja tu pracuję. Wypełniam polecenia Dorchina, nanoszę wyniki testów reklamowych, obserwuję pana i innych, jak żyjecie życiem przez niego narzuconym. Ja zrobiłam to z wyboru, jakiego wy nie mieliście. Bo widzi pan… Wy jesteście martwi.

— Martwi?! — wykrzyknął Burckhardt. To był prawie skowyt.

Niebieskie oczy bacznie się mu przyglądały. Wiedział, że to nie

było kłamstwo. Przełknął ślinę, podziwiając znakomite mechanizmy, które pozwalały mu przełykać, pocić się, jeść… Wreszcie powiedział:

— Och, ten wybuch we śnie…

— To nie był sen. Ma pan rację: wybuch. On był prawdziwy, a ta fabryka była jego przyczyną. Eksplodowały zbiorniki… Czego nie dosięgnął podmuch, zniszczyły płomienie. Ale wszyscy prawie zginęli od fali uderzeniowej — dwadzieścia jeden tysięcy ludzi. Wy zginęliście wraz z nimi i to była szansa dla Dorchina.

— Co za szalony upiór! — odezwał się Burckhardt. Skręcone ramiona drgnęły z upiorną gracją.

— Dlaczego? Was już nie było. A pan i wszyscy inni byliście tym, czego potrzebował Dorchin — całym miastem, idealnym wycinkiem Stanów. Martwy mózg jest tak samo łatwo przenieść, jak żywy. Nawet łatwiej, bo martwy nie może powiedzieć: „nie”… To pochłonęło dużo pracy. I dużo pieniędzy — miasto było bardzo zniszczone. Ale trzeba było go tylko zewnętrznie odbudować, zwłaszcza że nie wszystkie szczegóły musiały być wiernie odtworzone… Były domy, w których nawet mózgi zostały całkowicie zniszczone. Te domy są całkiem puste… Piwnice też nie musiały być idealne, podobnie jak mało ważne ulice… A w każdym razie to wszystko trwa tylko jeden dzień — ten sam dzień: 15 czerwca. I jeśli nawet ktoś odkryje coś podejrzanego, to nie będzie miał czasu na rozgłoszenie tego odkrycia i nie wpłynie to na poprawność testu, bo wszystkie błędy są w nocy anulowane.

Twarz spróbowała się uśmiechnąć.

— To jest sen, panie Burckhardt, ten 15 czerwca. Bo pan nigdy na jawie go nie przeżył. To prezent od Dorchina… Sen, który on wam daje i odbiera pod koniec dnia, kiedy zebrane Są już wszystkie dane o tym, na ilu z was podziałał jakiś wariant tej czy innej reklamy. Ekipy porządkowe schodzą wtedy do tunelu, aby przejść przez całe miasto, wymazując elektronicznymi drenami ten sen z waszych pamięci. A potem sen zaczyna się od nowa… Piętnastego czerwca.

Zawsze 15 czerwca, bowiem 14 czerwca jest ostatnim dniem życia, który możecie pamiętać. Czasem ekipy kogoś przeoczą, jak przeoczono pana, kiedy leżał pan pod swoją łodzią. Ale to nie jest ważne. Ci, których przeoczono, są usuwani, kiedy tylko się z tym zdradzą. A jeśli nawet nie — to nie ma to wpływu na test. Nie drenuje się tylko nas — tych, którzy pracują dla Dorchina. Śpimy wprawdzie — podobnie jak wy — wtedy, kiedy wyłączone jest zasilanie. Ale my, budząc się, pamiętamy…

Twarz wykrzywiła się dziko.

— Gdybym tylko mogła zapomnieć! Burckhardt odezwał się z niedowierzaniem:

— I to wszystko po to, aby sprzedawać towary?! To musiało kosztować miliony!

Robot, zwany April Horn, odrzekł:

— I kosztowało. Ale również przyniosło Dorchinowi miliony. A to jeszcze nie koniec. Czy spodziewa się pan, że gdy raz znajdzie się cudowne słowa, które działają na ludzi, to można na tym poprzestać? Czy myśli pan…

Przerwało jej nagłe otwarcie drzwi. Burckhardt natychmiast się odwrócił. Za późno jednak uniósł pistolet.

— Nie strzelaj — rozkazał spokojny głos. To nie był Dorchin. To był robot, tym razem jednak już nie zamaskowany sprytnie plastykiem i kosmetykami, lecz normalny, metalicznie połyskujący.

— Zapomnij to wszystko, Burckhardt… — powiedział. — Niczego nie osiągniesz. Oddaj mi broń, zanim nie wyrządzisz większych szkód. Oddaj natychmiast…

* * *

Burckhardt wściekle ryknął. Tors robota błyszczał stalą. Burckhardt nie był nawet pewien, czy kula pistoletu przebije pancerz, czy w ogóle wywoła jakiś skutek. Musiałby spróbować…

Ale zza niego wyleciał nagle jakiś skowyczący kłębek… To był Swanson, nieprzytomny ze strachu. Skoczył na Burckhardta, wytrącając mu z ręki pistolet.

— Błagam! — żebrał histerycznie, osuwając się na kolana przed pokrytym stalą robotem. — Oszczędźcie mnie! On zastrzeliłby ciebie, ale mnie oszczędź, pozwól pracować dla ciebie… Jak ta dziewczyna… Zrobię wszystko… Wszystko, co każesz…

Robot odezwał się:

— Nie potrzebujemy twojej pomocy.

Uczynił dwa, precyzyjnie odmierzone kroki, stanął nad pistoletem i odtrącił go nogą. Strzaskany blond-robot powiedział bez emocji:

— Wątpię, czy dłużej wytrzymam, panie Dorchin.

— Rozłącz się, jeśli musisz — odparł Robot. Burckhardt zamrugał oczami.

— Ależ ty nie jesteś Dorchin!

Stalowa machina skierowała na niego zapadnięte oczy.

— Jestem — powiedział. — Nie w żywym ciele… Po prostu w tym momencie używam takiego ciała. Wątpię, czy mógłbyś uszkodzić je pistoletem. Poprzednia powłoka była bardziej podatna na zranienie… A teraz: czy zamierzasz skończyć z tą nonsensowną zabawą? Nie chciałbym cię uszkodzić, jesteś na to za drogi. Czy usiądziesz więc wreszcie i pozwolisz funkcjonariuszom, żeby cię wyregulowali?

Swanson płaszczył się jeszcze.

— Ty… ty mnie nie ukarzesz?

Stalowy robot nie drgnął, ale w jego głosie zabrzmiało zdumienie.

— Karać was? Jak?! — zapytał zdziwiony.

Swanson zatrząsł się, jakby to słowo było uderzeniem bata, ale Burckhardt znów wybuchnął:

— Jego możesz wyregulować, jeśli na to pozwoli! Ale nie mnie!!! Będziesz mnie musiał zdrowo uszkodzić, Dorchin, mam gdzieś moją cenę i kłopot, jaki wam sprawię. Wychodzę przez te drzwi! Jeśli chcesz mnie zatrzymać, będziesz mnie musiał zabić — inaczej to ci się nie uda!

Stalowy robot zrobił pół kroku w jego stronę. Burckhardt bezwiednie zatrzymał się. Stał — niepewny, trzęsący się, gotów na śmierć, gotów na atak, gotów na wszystko, co mogło się zdarzyć.

Gotów na wszystko, z wyjątkiem tego, co nastąpiło. Stalowe ciało Dorchina przesunęło się bowiem obok Burckhardta, zostawiając wolne drzwi.

— Idź — powiedział robot. — Nikt cię nie zatrzymuje.

* * *

Za drzwiami Burckhardt zatrzymał się gwałtownie. Wypuszczać go — to było szaleństwo ze strony Dorchina! Czy jest robotem, czy nie jest — wszystko jedno, nic nie mogło go powstrzymać od pójścia do FBI albo do innego organu prawa, jaki znajdzie na zewnątrz syntetycznego imperium Dorchina. Musiał to wszystko opowiedzieć. Na pewno korporacja, która płaci Dorchinowi za wyniki testów, nic nie wie o jego diabelskich sztuczkach. Dorchin musi to trzymać w tajemnicy przed wszystkimi, bo przecież opinia publiczna położyłaby temu wszystkiemu kres. Wyjście oznaczało być może śmierć, ale śmierć w tej chwili nie przerażała Burckhardta w tym całym jego pseudożyciu.

W korytarzu nie było nikogo. Odnalazł okno i wyjrzał przez nie. Było tam Tylerton — miasto-makieta… Ale wyglądało tak realnie, tak znajomo, że Burckhardt chętnie uznałby to wszystko za sen… Ale to nie był sen. Czuł w sercu pewność tego wszystkiego… Tego, że nic i nikt nie mógł mu teraz w Tylerton pomóc. Musi iść w drugą stronę.

Szukał, czając się w korytarzach, uskakując w podejrzeniu czyichś kroków, świadom, że z pewnością całe jego skradanie nie ma sensu, że Dorchin zna każdy jego ruch. Nikt go jednak nie zatrzymywał. Wreszcie znalazł inne drzwi.

Od wewnątrz były to zwykłe, proste drzwi. Kiedy je jednak otworzył i wszedł, ukazało mu się coś, czego nigdy jeszcze nie widział…

Po pierwsze było tam światło — jasne, niewiarygodne, oślepiające światło. Burckhardt z niedowierzaniem i przerażeniem podniósł oczy, zmrużone od blasku. Stał na występie gładkiego, wypolerowanego metalu. W odległości niespełna dwunastu jardów od jego stóp występ ten urywał się gwałtownie. Ledwie odważył się zbliżyć do krawędzi… Ale nawet stamtąd nie był w stanie dojrzeć dna otchłani, jaka rozciągała się daleko poza zasięg wzroku, zlewając się z blaskiem, który otaczał go dookoła.

* * *

Nic dziwnego, że Dorchin tak łatwo mógł mu podarować wolność. Z fabryki nie było wyjścia… Ale co za nieopisana, fantastyczna otchłań! Skąd te niesamowite setki białych, oślepiających słońc w górze?

Wtem z boku usłyszał:

— Burckhardt?

Grzmot przetoczył miękko jego imię, długo obijając się w przepaści.

Burckhardt zwilżył wargi.

— T-tak.. — wykrztusił.

— Mówi Dorchin. Tym razem nie robot, a ja, we własnej osobie, mówię do ciebie przez mikrofon… Teraz rozumiesz… No, to będziesz rozsądny i pozwolisz, żeby się tobą zajęli.

Burckhardt stał sparaliżowany. Jedna z ruszających się gór zbliżyła się w oślepiającym blasku do niego. Piętrzyła się setki stóp nad jego głową. Patrzył na jej szczyt, bezradnie mrużąc oczy od światła.

Wyglądała jak…

Nie… To niesamowite!..

— Burckhardt?

Ten jednak nie był w stanie odpowiedzieć. Ciężkie, dudniące westchnienie.

— Tak… — odezwał się znów Dorchin. — W końcu zrozumiałeś. Stąd nie ma gdzie iść. Teraz to wiesz. Chciałem ci to powiedzieć, ale mógłbyś w to nie uwierzyć. Lepiej więc było, abyś doszedł do tego sam. A poza tym, dlaczegóż miałbym, Burckhardt, rekonstruować miasto takim, jakim było przedtem? Jestem businessmanem. Ja obliczam koszty. Jeśli coś musi być w prawdziwej skali — wtedy je w takiej buduję. Ale w tym wypadku nie było takiej potrzeby…

Burckhardt obserwował bezradnie, jak w jego kierunku zsuwała się z piętrzącej się przed nim góry jakaś inna, mniejsza bryła. Była długa i ciemna, a na jej końcu widniała białość… Pięciopalczasta

białość…

— Biedny, mały Burckhardt… — zawodził głośnik, podczas gdy echo dudniło w ogromnej otchłani laboratorium… — To musiał być dla ciebie szok, kiedy odkryłeś, że żyjesz w mieście, zbudowanym na stole…

VI

Był ranek 15 czerwca. Guy Burckhardt z krzykiem zerwał się ze snu.

To był potworny i niepojęty sen — o eksplozjach, niewyraźnych postaciach, które nie były ludźmi, i nieopisanym strachu.

Wzdrygnął się i otworzył oczy.

Za oknem sypialni wył potężnie wzmocniony głos.

Burckhardt potykając się dobrnął do okna i wyjrzał przez nie. W powietrzu wisiał chłód, niespotykany jak na tę porę roku; był bardziej październikowy niźli czerwcowy. Widok był zwykły, za wyjątkiem radiowozu, który przycupnął przy krawężniku w połowie ulicy. Odstające od dachu megafony waliły na cały głos:

— Jesteś tchórzem? Jesteś głupcem? Czy masz zamiar pozwolić politycznym kanciarzom na okradanie twojego państwa? NIE! Masz zamiar znosić następne cztery lata korupcji i zbrodni? NIE! Będziesz głosować tylko na Partię Federalną w czasie wyborów? TAK! Założę się, że TAK!

Głos krzyczał, czasem wdzięczył się, groził, błagał, przypochlebiał… Ale ciągnął dalej… Z jednego piętnastego czerwca na następny…

Przełożył z angielskiego Krzysztof Malinowski

Bob Shaw
ŚWIATŁO MINIONYCH DNI

The Light of Other Days

Wzięliśmy ostry zakręt pozostawiając za sobą wioskę i wjechaliśmy do krainy szkła retrospektywnego.

Nigdy przedtem nie widziałem takiej fermy i w pierwszej chwili wydała mi się trochę niesamowita — imaginacja i okoliczności potęgowały to wrażenie. Silnik samochodu pracował równo i spokojnie w wilgotnym powietrzu, i wydawało nam się, że suniemy serpentynami drogi w jakiejś nadnaturalnej ciszy. Po prawej stronie góra przechodziła łagodnie w niezwykle piękną dolinę wiecznych sosen, wszędzie dookoła stały ogromne tafle retrospektywnego szkła wchłaniającego światło. Przypadkowe błyski popołudniowego słońca na ich wiatrownicach stwarzały złudzenie ruchu, w rzeczywistości jednak nie było tam żywego ducha. Rzędy szyb stały na wzgórzu od lat spoglądając w dolinę, a ludzie czyścili je tylko w nocy, gdy ich obecność nie miała znaczenia dla wiecznie łaknącego szkła.

Był to widok fascynujący, ale ani Selina, ani ja nie skwitowaliśmy go nawet słowem. Nienawidziliśmy się tak dalece, że lękaliśmy się skazić jakieś świeże doznanie przez zetknięcie z naszymi skłębionymi uczuciami. Zacząłem sobie zdawać sprawę, że ten wspólny wakacyjny wyjazd był zupełnie idiotycznym pomysłem. Sądziłem, że będzie on czymś w rodzaju panaceum, ale przecież nie mógł zmienić faktu, że Selina była w ciąży, a co gorsza, że była z tego powodu wściekła.

Starając się racjonalnie wytłumaczyć przestrach wywołany jej stanem, uciekaliśmy się do oklepanych argumentów, że, owszem, chcielibyśmy mieć dziecko, ale później, we właściwym czasie. Ciąża Seliny kosztowała nas jej dobrze płatną posadę i zarazem możliwość kupna nowego domu, o który już pertraktowaliśmy, a który był nie do osiągnięcia z samych tylko moich poetyckich dochodów. Prawdziwym jednak źródłem naszej udręki była świadomość, że jeśli ludzie mówią, iż chcą mieć dzieci później, to zawsze należy rozumieć, że nie chcą ich mieć nigdy. Nerwy w nas dygotały z głuchej pasji, że my, którzy uważaliśmy się za tak wyjątkowych, wpadliśmy w taką samą biologiczną pułapkę jak każde bezrozumne zwierzę będące w rui.

Droga wiodła południowymi zboczami Ben Cruachanu, aż wreszcie gdzieś daleko przed nami zamigotały szare wody Atlantyku. Zwolniłem właśnie, aby móc się w pełni napawać tym widokiem, gdy nagle zauważyłem tablicę: „SZKŁO RETROSPEKTYWNE — najwyższa jakość, niskie ceny — J.R. Hagan". Pod wpływem impulsu

zatrzymałem samochód na murawie, drgnąwszy lekko, gdy ciężkie trawy smagnęły karoserię.

— Dlaczego się zatrzymaliśmy? — Selina obróciła ku mnie ze zdziwieniem zgrabną popielatosrebrzystą głowę.

— Spójrz na ten znak. Chodźmy zobaczyć, co to jest. Zupełnie możliwe, że ceny szkła w tej okolicy będą w miarę rozsądne.

Głos Seliny dźwięczał pogardą, gdy odmawiała, ale ja byłem zbyt pochłonięty moim pomysłem, by zwrócić na to uwagę. Miałem niczym nie wytłumaczone przeświadczenie, że jakiś ekstrawagancki i szalony postępek naprawi stosunki między nami.

— Chodź, chodź — powtórzyłem — dobrze nam to zrobi. Jedziemy już stanowczo zbyt długo.

Wzruszyła ze złością ramionami, potrąciwszy mnie przy tym, i wysiadła z samochodu. Zaczęliśmy wspinać się pod górę po nierównych schodkach, uformowanych w ubitej glinie i umocnionych patykami. Ścieżka skręciła pomiędzy drzewa rosnące na wierzchołku wzgórza, a na jej końcu ujrzeliśmy niski budynek mieszkalny. Stojące za nim wysokie tafle szkła retrospektywnego chłonęły urzekający widok masywnego zbocza Cruachanu, opadającego ku wodom Loch Linnhe. Większość tafli była idealnie przezroczysta, tylko niektóre były ciemne jak płytki wypolerowanego ebonitu.

Gdy szliśmy w stronę budynku przez schludne brukowane podwórko, wysoki mężczyzna w średnim wieku, ubrany w popielaty tweedowy garnitur, pomachał do nas ręką. Siedział na niskim kamiennym murze otaczającym podwórko, paląc fajkę i spoglądając w kierunku domu. We frontowym oknie stała młoda kobieta w pomarańczowej sukni, z małym chłopcem na ręku, ale gdy zbliżyliśmy się, odwróciła się nie okazując zainteresowania i zniknęła z pola widzenia.

— Pan Hagan? — spytałem.

— We własnej osobie. Przyjechali państwo obejrzeć szkło, prawda? Cóż, trafiliście we właściwe miejsce. — Hagan mówił żywo, ze śladami czystego akcentu góralskiego, który nienawykłemu uchu do złudzenia przypomina irlandzki. Twarz jego miała spokojny, lekko onieśmielony wyraz, jaki widuje się u filozofów i starych robotników drogowych.

— Tak — odrzekłem — jesteśmy na wakacjach. Zauważyliśmy pańską tablicę.

Selina, która zwykle nawiązuje łatwo kontakt z obcymi, nie odezwała się słowem. Patrzyła w stronę pustego teraz okna, jak gdyby nad czymś się zastanawiając.

— Państwo z Londynu, prawda? Jak już powiedziałem, trafiliście we właściwe miejsce i do tego o właściwym czasie. Żona i ja nie widujemy zbyt wiele ludzi o tej porze roku.

Roześmiałem się.

— Czy to znaczy, że będziemy w stanie kupić kawałek szkła nie zastawiając własnego domu?

— Mniej więcej — powiedział Hagan uśmiechając się nieśmiało. — Od rzuciłem wszelką myśl o zysku, jaki mógłbym osiągnąć z transakcji. Rosę, moja żona, twierdzi, że nigdy się tego nie nauczę. Usiądźmy jednak i pogadajmy. — Wskazał na kamienny murek, po czym spojrzał wahająco na nie skazitelnie czystą błękitną spódnicę Seliny. — Proszę chwilę zaczekać, przy niosę z domu pled. — Wszedł szybko do mieszkania zamykając za sobą drzwi.

— Być może przybycie tutaj nie było najcudowniejszym pomysłem szepnąłem do Seliny — ale mogłabyś przynajmniej być miła dla tego człowieka. Czuję tu dobry interes.

— Daremne złudzenia — odpowiedziała z rozmyślną opryskliwością. Chyba nawet ty musiałeś zauważyć staromodną suknię jego żony. On nie wygląda na kogoś, kto by robił ludziom podarunki.

— To była jego żona?

— Oczywiście że tak.

— Dobrze, dobrze — powiedziałem zaskoczony. — W każdym razie spróbuj być dla niego uprzejma. Zrób to dla mnie.

Selina żachnęła się, ale gdy powrócił Hagan, uśmiechnęła się do niego niewinnie, więc się nieco uspokoiłem. Nie do wiary, że mężczyzna może kochać kobietę i zarazem modlić się, by wpadła pod pociąg.

Hagan rozesłał na murku szkocki kraciasty pled, usiedliśmy czując się trochę nieswojo wskutek nagłego przeskoku z miejskiego gwaru w ten sielski krajobraz. Za czujnymi taflami retrospektywnego szkła, w dalekiej szarości Loch Linnhe, z wolna sunący parowiec kreślił białą linię w kierunku południa. Rześkie górskie powietrze atakowało wprost nasze płuca ofiarowując nam większą dawkę tlenu, niż to było potrzebne.

— Niektórzy z hodowców szkła — zaczął Hagan — częstują takich przybyszów jak wy handlową rozmówką na temat, jak piękna jest jesień w tej części Argyll. Może to być również wiosna lub zima. Ja tego nie robię każdy głupiec wie, że miejsce, które nie jest piękne latem, nie będzie piękne o żadnej porze roku. Co pan na to?

Przytaknąłem potulnie.

— Chciałbym tylko, aby pan przez chwilę popatrzył w stronę Muli, panie…

— Garland.

— …Garland. To jest właśnie to, co pan kupuje decydując się na moje szkło i nigdy nie wygląda to lepiej niż w tej chwili. Szkło znajduje się w swojej najlepszej fazie, każde ma najmniej dziesięć lat grubości, a czterostopowe okno będzie państwa kosztowało dwieście

funtów.

— Dwieście funtów — Selina była zaszokowana. — To jest akurat tyle, ile liczą w sklepie z wideoszybami na Bond Street.

Hagan uśmiechnął się wyrozumiale, potem spojrzał na mnie badawczo, sprawdzając, czy wiem dostatecznie dużo na temat szkła retrospektywnego, aby docenić to, co powiedział. Wymieniona suma była znacznie wyższa niż się spodziewałem — ale dziesięcioletnia grubość! Tanie szkło, jakie można znaleźć w sklepach Vistalex lub Pane-o-rama, to zazwyczaj ćwierciocalowa płyta zwykłego szkła powleczona warstwą szkła retrospektywnego o grubości może dziesięciu lub dwunastu miesięcy.

— Zrozum, kochanie — powiedziałem, zdecydowany już na kupno. To szkło jest w fazie i będzie funkcjonowało przez dziesięć lat.

— Czy nie oznacza to, że ono tylko zatrzymuje w sobie czas?

Hagan znów uśmiechnął się do niej, zdając sobie sprawę, że mną się już zajmować nie musi.

— Pani powiedziała: tylko! Proszę mi wybaczyć, pani Garland, ale wygląda na to, że pani nie docenia cudu, autentycznego, prawdziwego cudu technicznej precyzji potrzebnej do wyprodukowania kawałka szkła w fazie. Gdy mówię, że szkło ma dziesięć lat grubości, oznacza to, że światło potrzebuje dziesięciu lat, aby przejść przez nie. Innymi słowy, każda z tych tafli ma dziesięć lat świetlnych grubości — więcej niż dwukrotna odległość do najbliższej gwiazdy — i zmiana rzeczywistej grubości choćby o jedną milionową cala spowodowałaby…

Umilkł na chwilę i siedział nieruchomo znów spoglądając w stronę domu. Odwróciłem wzrok od Loch Linnhe i spostrzegłem młodą kobietę stojącą w oknie. Oczy Hagana wyrażały namiętne uwielbienie, co mnie z lekka speszyło i równocześnie utwierdziło w przekonaniu, że Selina była w błędzie. Wiedziałem z doświadczenia, że mężowie nigdy nie patrzą w ten sposób na żony, przynajmniej na własne.

Młoda kobieta w sukni jaśniejącej ciepłym blaskiem pozostawała przez kilka sekund w polu widzenia, po czym odeszła w głąb pokoju. Odniosłem nagle wyraźne, choć niewytłumaczone wrażenie, że jest niewidoma. Coś mi mówiło, że wplątaliśmy się z Seliną w jakąś grę uczuciową, równie gwałtowną jak nasza.

— Przepraszam — podjął znów Hagan. — Myślałem, że Rosę potrzebuje czegoś ode mnie. Na czym to stanęliśmy, pani Garland? Dziesięć lat świetlnych wtłoczonych w jedna czwartą cala oznacza…

Przestałem słuchać, częściowo dlatego, że byłem już kupiony, a częściowo dlatego, że słyszałem już wielokrotnie historię szkła retrospektywnego i do dziś nie zdołałem pojąć jego istoty.

W swoim czasie usiłowano w trakcie szkolenia dopomóc mi w

tym względzie, udzielając wskazówki, abym wyobraził sobie taflę szkła retrospektywnego jako hologram, który nie potrzebuje strumienia światła z lasera do odtworzenia wizualnej informacji i w którym każdy foton zwykłego światła przechodzi przez spiralny tunel zwinięty poza promieniem przechwytywania każdego atomu w szkle. Ten, w moim pojęciu, fantastycznie zawiły obraz nie tylko niczego mi nie wyjaśnił, lecz utwierdził raz jeszcze w przekonaniu, że tak nietechniczny umysł jak mój powinien zajmować się raczej skutkami niż przyczynami.

W oczach przeciętnego człowieka najważniejszym skutkiem było to, że światło potrzebowało długiego czasu na przejście przez płytę szkła retrospektywnego. Świeża tafla szkła ma zawsze głęboką czerń, ponieważ nic jeszcze przez nią nie przeniknęło, ale można umieścić ją, powiedzmy, nad leśnym jeziorem i pozostawić tam, dopóki obraz nie wyłoni się, być może, dopiero po roku. Jeżeli potem przeniesiemy ją stamtąd do jakiegoś ponurego wnętrza miejskiego, będzie ono miało przez cały rok pozorny widok na leśne jezioro. I nie będzie to jedynie bardzo realistyczny, lecz martwy obraz — woda będzie falowała w promieniach słońca, zwierzęta przyjdą ugasić pragnienie, w górze będą szybowały ptaki, po dniu nadejdzie noc, jedna po drugiej będą się zmieniały pory roku. Aż pewnego dnia, w rok później, piękno zamknięte w subatomowych spiralach wyczerpie się i oczom znów się ukaże znajomy szary pejzaż miasta.

Niezależnie od niezwykłej wartości szkła retrospektywnego jako najnowszego wynalazku, jego handlowy sukces polegał jeszcze na tym, że właściciel wideoszyby zyskiwał wraz z nią emocjonalny ekwiwalent posiadania własnej ziemi. Nawet jaskiniowca napawającego się widokiem parku we mgle nikt nie byłby w stanie przekonać, że nie jest to jego własność. Rzeczywisty posiadacz strzyżonych ogrodów i majątków ziemskich nie sprawdza przecież stanu swego posiadania za pomocą zmysłów dotyku, powonienia i smaku. Odbiera ziemię wizualnie, w postaci obrazów, które dzięki wideoszybom mogą być przeniesione do kopalń, łodzi podwodnych, cel więziennych.

Kilkakrotnie próbowałem pisać krótkie wiersze o czarodziejskim krysztale, ale jest to temat pełen tak niewypowiedzianej poezji, że — co brzmi paradoksalnie — przekracza możliwości poetyckie, przynajmniej moje. Ponadto, najpiękniejsze pieśni i wiersze zostały w wieszczym natchnieniu stworzone już przez ludzi zmarłych na długo przedtem, nim szkło retrospektywne zostało wynalezione. W mojej sytuacji beznadziejne byłoby porównywanie się z Moore'm:

> Bywa, że w nocy, póki sen
> Nie włoży na mnie kajdan swych,

Pamięć zapala wokół mnie
Światło minionych dni.[1]

W ciągu zaledwie kilku lat szkło retrospektywne przekształciło się z osobliwości naukowej w ogromny przemysł. I ku wielkiemu zdziwieniu poetów — tych spośród nas, którzy pozostają w przekonaniu, że piękno żyje, choć lilie umierają — wytwory tego przemysłu nie różniły się od wytworów innych przemysłów. Były wideoszyby w dobrym gatunku, które kosztowały masę pieniędzy, były też pośledniejsze, znacznie tańsze. Grubość, mierzona w latach, była ważnym elementem wpływającym na cenę, niemniej istniał tu również problem rzeczywistej grubości czy fazy.

Nawet przy zastosowaniu najbardziej skomplikowanych technik, kontrola grubości była raczej przedsięwzięciem na chybił trafił. Duża rozbieżność mogła oznaczać, że tafla, która powinna mieć pięć lat grubości, ma pięć i pół, a więc obraz wchłonięty latem wyłoni się w zimie; z kolei subtelna rozbieżność mogła oznaczać, że południowe słońce wyłoni się o pomocy. Owe odchylenia miały swoisty urok — na przykład wielu osobom pracującym w nocy sprawiało przyjemność posiadanie swoich prywatnych stref czasowych — na ogół jednak ceny wideoszyb zgodnych z rzeczywistym czasem były wyższe.

Gdy Hagan kończył swą przemowę, Selina ciągle jeszcze wyglądała na nie przekonaną. Niedostrzegalnie potrząsnęła głową, ja zaś od razu wiedziałem, że zastosował niewłaściwe podejście. Nagle chłodny powiew wiatru zburzył popielaty kask jej włosów, a wielkie krople deszczu zaczęły padać z niemal bezchmurnego nieba.

— Dam panu zaraz czek — powiedziałem i poczułem, jak zielone oczy Seliny wwiercają się z wściekłością w moją twarz. — Czy może pan załatwić dostawę?

— Och, to żaden problem — odpowiedział Hagan wstając. — Ale czy nie wolałby pan zabrać szkła ze sobą?

— Cóż, oczywiście, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu. — Byłem zażenowany jego gotowością zawierzenia memu podpisowi.

— Wytnę taflę dla pana. Proszę chwilę zaczekać. Zamocowanie szkła w ramie nie zajmie dużo czasu. — Hagan zaczął schodzić zboczem ku stojącym w rzędach szybom. Niektóre z nich ukazywały słoneczną panoramę Linnhe, w innych niebo było pochmurne, a kilka tafli było zupełnie czarnych.

Selina szarpnęła kołnierzyk bluzki pod brodą.

— Powinien był przynajmniej zaprosić nas do mieszkania. Ostatecznie nie zagląda tu chyba tak wielu głupców, by mógł sobie pozwolić na ich lekceważenie.

Próbowałem zignorować te obraźliwe słowa i skoncentrowałem

się na wypisywaniu czeku. Wielka kropla rozprysnęła się na moich palcach plamiąc różowy papier.

— Schrońmy się pod okap, dopóki nie wróci Hagan — zaproponowałem. Ty żmijo, myślałem, czując, że wszystko idzie na opak. Musiałem stracić rozum żeniąc się z tobą. Koronny osioł, głupiec nad głupcami — a teraz, gdy już nosisz w sobie cząstkę mnie samego, już nigdy, nigdy, przenigdy w życiu nie zdołam uciec.

Czując, że mój żołądek ściska się aż do bólu, pobiegłem za Seliną pod ścianę budynku. Schludny salonik z kominkiem, widoczny przez okno, był pusty, ale na podłodze leżały rozrzucone dziecięce zabawki. Klocki z alfabetem oraz taczki koloru świeżo wyrwanej marchewki. Kiedy tak się przyglądałem, z drugiego pokoju wbiegł do saloniku chłopiec i zaczął kopać klocki. Nie zauważył mnie. W chwilę później weszła do pokoju młoda kobieta, podniosła go z podłogi i kołysała w ramionach śmiejąc się beztrosko i serdecznie. Znów stanęła przy oknie. Uśmiechnąłem się nieśmiało, lecz kobieta ani dziecko nie zareagowały.

Poczułem mrowiący chłód w skroniach. Czy to możliwe, aby oboje byli niewidomi? Cofnąłem się.

Selina wydała lekki okrzyk, więc skoczyłem ku niej.

— Pled! — zawołała. — Całkiem zmoknie!

Nie zważając na deszcz pobiegła przez podwórko, chwyciła z murku czerwonawy kwadrat i zawróciła ku drzwiom domu. Coś drgnęło gwałtownie w mej podświadomości.

— Selino — krzyknąłem — nie otwieraj drzwi!

Ale było już za późno. Selina pchnęła zamknięte drzwi i stanęła jak wryta przyciskając ręką usta i patrząc w głąb mieszkania. Podszedłem do niej i wyjąłem pled z jej bezwolnych palców.

Zamykając drzwi pozwoliłem moim oczom błądzić przez chwilę po wnętrzu mieszkania. Schludny salonik, w którym przed sekundą widziałem kobietę z dzieckiem, był w rzeczywistości obrzydliwym śmietniskiem poniewierały się w nim odrapane meble, stare gazety, zniszczone ubrania i brudne talerze. Był wilgotny, cuchnący i kompletnie opuszczony. Jedyną rzeczą w tym pokoju, którą przedtem widziałem przez okno, były dziecinne taczki, oblazłe z farby i połamane.

Zatrzasnąłem mocno drzwi i nakazałem sobie zapomnieć o tym, co widziałem. Niektórzy żyjący samotnie ludzie są dobrymi gospodarzami; inni po prostu tego nie potrafią.

Twarz Seliny była biała jak płótno.

— Nie rozumiem. Zupełnie tego nie rozumiem.

— Szkło retrospektywne działa w obu kierunkach — powiedziałem deli katnie. — Światło przechodzi zarówno na zewnątrz, jak i do wewnątrz.

— Masz na myśli…

— Nie wiem. To nie nasza sprawa. A teraz weź się w garść, Hagan wraca z naszym szkłem. — Ściskanie w żołądku poczęło ustępować.

Hagan wszedł na podwórko niosąc podłużną oprawioną w plastyk taflę. Wyciągnąłem do niego rękę podając mu czek, ale on patrzył na twarz Seliny. Widać było, że od razu się domyślił, iż nasze niepowołane palce grzebały w jego duszy. Selina unikała jego wzroku. Wyglądała na cierpiącą i nagle postarzałą, oczy jej uparcie wpatrywały się w niedaleki horyzont.

— Pozwoli pan, że wezmę pled — przerwał w końcu milczenie Hagan. — Niepotrzebnie pan się o niego kłopotał.

— Głupstwo. Proszę, oto czek.

— Dziękuję panu. — Ciągle patrzył na Selinę z dziwnie błagalnym wy razem. — Transakcja z panem była dla mnie prawdziwą przyjemnością.

— Cała przyjemność po mojej stronie — odparłem z równie bezsensowną kurtuazją. Podniosłem ciężką taflę i podążyliśmy z Seliną w kierunku ścieżki prowadzącej do szosy. Gdy byliśmy już u szczytu śliskich teraz schodków, dobiegł nas głos Hagana.

— Panie Garland!

Odwróciłem się niechętnie.

— To nie była moja wina — powiedział z mocą. — Sześć lat temu zabił ich na szosie do Oban pirat drogowy. Mój syn miał zaledwie siedem lat, gdy to się stało. Mam prawo zachować ich oboje.

Skinąłem głową w milczeniu i ruszyłem ścieżką w dół mocno tuląc do siebie moją żonę i uświadamiając sobie, jak wielkim szczęściem jest dotyk jej opasującego mnie ramienia. Na zakręcie odwróciłem głowę i przez smugi deszczu zobaczyłem Hagana siedzącego ze skrzyżowanymi na piersiach rękami w tym samym miejscu, gdzie ujrzeliśmy go po raz pierwszy.

Spoglądał na dom, ale nie mógłbym powiedzieć, czy ktoś tam stoi w oknie.

Przełożyła Elżbieta Zychowicz

Robert Sheckley
SPY STORY, CZYLI HISTORIA SZPIEGOWSKA

Spy Story

Jestem teraz naprawdę w kłopotliwej sytuacji, bardziej kłopotliwej, niż kiedykolwiek mógłbym przypuszczać. Trudno mi będzie krótko wyjaśnić, jak się zaplątałem w tę całą historię, więc może lepiej zacznę od początku.

Od chwili ukończenia szkoły zawodowej w 1991 roku zajmowałem dobre stanowisko montera zaworu motylkowego przy linii produkcyjnej Starling Spaceship. Byłem naprawdę przywiązany do tych ogromnych statków, ruszających z hukiem na Cygnus czy Alfa Centauri, jak i na wiele innych układów spośród znanych obszarów Kosmosu. Byłem człowiekiem młodym, z przyszłością, miałem przyjaciół, kręciło się nawet koło mnie kilka dziewcząt.

Ale to wszystko, jak się okazało, było bez znaczenia.

Miałem nie najgorszy zawód, ale nie osiągałem doskonałych wyników, ponieważ byłem pod stałą obserwacją ukrytych kamer telewizyjnych. Nawet nie chodziło mi już o kamery, ale o szum towarzyszący ich pracy. Nie potrafiłem się skoncentrować.

Wniosłem zażalenie do Biura Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Powiedziałem im tak: „Dlaczego tylko u mnie nie zainstalowano nowych cichych kamer takich, jakie mają inni?" Zbyt jednak byli zaabsorbowani ważniejszymi dla nich sprawami, aby sobie tym głowę zaprzątać.

Potem zaczęło mi przeszkadzać mnóstwo drobiazgów. Na przykład magnetofon w moim telewizorze. FBI wmontowało go nieudolnie i całą noc słychać było brzęczenie. Skarżyłem się setki razy. Mówiłem im: „Dlaczego u nikogo magnetofon tak nie brzęczy, tylko u mnie?" Wtedy robili mi wykład o wyjątkowym nasileniu zimnej wojny i o tym, jak trudno jest każdego zadowolić. Taka sytuacja mnie poniżała. Podejrzewałem, że władze się mną nie interesują.

Weźmy na przykład mojego Szpiega. Byłem Podejrzanym 18D — Wiceprezydent miał taką samą kategorię — i to dawało mi prawo do niepełnoetatowego nadzoru. Mój Szpieg musiał się chyba czuć po trosze aktorem filmowym, bo zawsze chodził w poplamionym trenczu i głęboko nasuniętym na czoło kapeluszu z opuszczonym rondem. Ten szczupły, nerwowy facet zwykle deptał mi po piętach, bojąc się, że zgubi ślad.

No cóż, starał się jak mógł. Konkurencja w tym zawodzie jest niemała. Było mi więc go ogromnie żal, gdyż widziałem, że się do tego zawodu nie nadawał. Muszę przyznać, że taki układ był dla mnie wielce żenujący. Moi przyjaciele pękali ze śmiechu, kiedy widzieli go dosłownie przyklejonego do moich pleców. — Bill — mówili — czy tylko na tyle cię stać? A dziewczęta uważały, że jest obleśny.

Oczywiście poszedłem do Komisji Senatu i powiedziałem: „Słuchajcie, dlaczego nie możecie mi przydzielić wyszkolonego Szpiega? Moi przyjaciele mają, a ja…”

Powiedzieli, że się zastanowią, ale wiedziałem, że jestem za mało ważną osobą, by się cokolwiek zmieniło.

Te wszystkie drobiazgi rozstroiły mi nerwy, a każdy psycholog wam powie, jak niewiele trzeba, żeby sfiksować. Miałem już dosyć tego, że mnie ignorowano i zaniedbywano.

I wtedy właśnie zacząłem myśleć o Pełnym Kosmosie. Rozciągała się tam pustka na biliony mil kwadratowych, upstrzona niepoliczalną ilością gwiazd. Była tam taka ilość planet typu ziemskiego, że każdy mężczyzna, kobieta i dziecko mogliby sobie wybrać po jednej. Musiało się gdzieś znaleźć miejsce i dla mnie.

Kupiłem „Rejestr Świateł Kosmosu” i dobrze podniszczonego „Pilota Galaktycznego”. Zaznajomiłem się również z treścią „Fal Grawitacyjnych” oraz z „Mapą Międzygwiezdnego Pilotażu”. W końcu doszedłem do wniosku, że osiągnąłem chyba wystarczający stopień wiedzy.

Wszystkie zaoszczędzone pieniądze wydałem na starą fregatę Chrysler Star. To pudło przepuszczało tlen przez szwy, jego stos atomowy miewał swoje humory, ale było wyposażone w napęd podprzestrzenny i dzięki temu mogłem dotrzeć absolutnie wszędzie. Było w tym sporo hazardu, ale ryzykowałem tylko własnym życiem. Tak mi się przynajmniej wtedy zdawało.

Dostałem paszport, błękitne zaświadczenie, czerwone zaświadczenie, numery rejestracyjne, dokumenty deratyfikacyjne oraz szczepionki przeciw chorobie kosmicznej. W miejscu pracy odebrałem, zapłatę za ostatnie dni i pomachałem ręką kamerom. Na ulicy uścisnąłem dłoń mojemu biednemu Szpiegowi, życząc mu sukcesów zawodowych.

Spaliłem za sobą wszystkie mosty.

Teraz została mi już tylko ostateczna odprawa. Pospieszyłem więc do Biura Ostatecznej Odprawy. Urzędnik o białych dłoniach i skórze ogorzałej od reflektora spojrzał na mnie z powątpiewaniem.

— Dokąd chciałby pan jechać? — spytał.

— W Kosmos — powiedziałem.

— To jasne, ale dokąd?

— Jeszcze nie wiem. Po prostu w Kosmos.

Urzędnik westchnął ze znużeniem.

— Jeżeli chce pan uzyskać ostateczną odprawę, musi pan to wyraźniej sformułować. Czy zamierza pan osiedlić się na planecie w Kosmosie Amerykańskim? A może chciałby pan wyemigrować do Kosmosu Brytyjskiego lub Holenderskiego, lub Francuskiego?

— Nie przypuszczałem, że Kosmos może mieć właścicieli — powiedziałem.

— W takim razie nie idzie pan z duchem czasu — stwierdził z uśmiechem wyższości. — Stany Zjednoczone zdobyły sobie prawo do całego Kosmosu między współrzędnymi 2XA i DB2, z wyjątkiem małego, zresztą nieważnego odcinka, do którego ma prawa Meksyk. Związek Radziecki ma współrzędne 3DB do LO2, ale to bardzo niegościnny obszar, mogę pana zapewnić. Poza tym istnieją także Terytoria — Belgijskie, Chińskie, Cejlońskie, Nigeryjskie…

— Ale gdzie jest Wolny Kosmos? — przerwałem mu.

— Takie coś nie istnieje.

— Jak to? W ogóle nie istnieje? Dokąd sięgają linie graniczne?

— W nieskończoność — odrzekł dumnie.

Zatkało mnie. Nigdy jakoś nie przyszło mi do głowy, że każdy kawałek nieskończonego Kosmosu może mieć właścicieli. Ale już po chwili przestałem się temu dziwić. W końcu ktoś musiał tym zawładnąć.

— Pojadę do Amerykańskiego Kosmosu — powiedziałem. Przypuszczałem wtedy, że to nie ma większego znaczenia. A jednak się myliłem.

Urzędnik ponuro pokiwał głową. Sprawdził moje akta personalne wstecz aż do momentu, kiedy miałem pięć lat — cofać się dalej nie miało sensu — i dał mi Ostateczną Odprawę.

Na kosmodromie oddano mój statek do przeglądu, tak że udało mi się wystartować bez większej awarii. A kiedy Ziemia zmalała do wielkości koniuszka szpilki i wreszcie zniknęła, zdałem sobie sprawę, że jestem sam.

Po upływie pięćdziesięciu godzin, kiedy dokonywałem inspekcji moich zapasów żywnościowych, dostrzegłem, że jeden z moich worków na jarzyny ma jakiś dziwny kształt. Po otwarciu znalazłem w nim, zamiast stu funtów kartofli, dziewczynę.

A więc pasażer na gapę. Przyglądałem się jej z otwartymi ustami.

— No co? — odezwała się. — Chyba pomożesz mi się stąd wydostać. A może wolałbyś zawiązać worek z powrotem i zapomnieć o tym wszystkim?

Pomogłem jej wyjść.

— Twoje kartofle są cholernie twarde i kanciaste — powiedziała.

Nie mogłem tego powiedzieć o niej. Była to smukła dziewczyna o rudawych włosach, koloru migocącego płomienia, o zuchwałej

przybrudzonej kurzem twarzy i myślących, błękitnych oczach. Na Ziemi szedłbym nawet dziesięć mil, żeby się z nią spotkać. W Kosmosie nie byłem tego taki pewny.

— Czy mógłbyś mi dać coś do jedzenia? — spytała. — Od kiedy wystartowaliśmy, jadłam tylko surową marchewkę.

Przygotowałem dla niej kanapkę. Podczas kiedy jadła, zagadnąłem znienacka:

— Co tu robisz?

— I tak nie zrozumiesz — powiedziała pomiędzy jednym kęsem a drugim.

— Na pewno zrozumiem.

Podeszła do iluminatora i spojrzała na gwiazdy. Większość z nich to były Gwiazdy Amerykańskie, płonące w próżni Amerykańskiego Kosmosu.

— Chciałam być wolnym człowiekiem.

— Tak?…

Dziewczyna ułożyła się wygodnie w mojej koi.

— Powiesz pewnie, że to romantyzm — powiedziała spokojnie. — Tak, należę do tych zwariowanych romantyków, którzy ciemną nocą recytują wiersze i płaczą przed jakimś idiotycznym posążkiem. Żółte jesienne liście przyprawiają mnie o drżenie, a krople rosy na zielonym trawniku wydają mi się łzami całej Ziemi. Psychiatra twierdzi, że to objaw nieprzystosowania.

Przymknęła oczy z wyrazem zmęczenia, które byłem w stanie zrozumieć. Siedzieć przez pięćdziesiąt godzin w worku na kartofle to nic przyjemnego.

— Ziemia mnie wykańczała — powiedziała. — Nie mogłam już znieść kontroli politycznej, dyscypliny, ubóstwa, zimnej wojny, gorącej wojny, w ogóle wszystkiego. Chciałam przebywać pod gołym niebem, śmiać się, biec przez zielone pola, spacerować ile dusza zapragnie po mrocznych lasach, śpiewać…

— Ale dlaczego właśnie mnie wybrałaś?

— Bo ty też dążysz do wolności. Odejdę, jeśli tego chcesz.

Co za niedorzeczny pomysł! Odejść tak w otchłań Kosmosu?! Nie mogłem sobie zresztą pozwolić na dodatkowe zużycie paliwa.

— Możesz zostać — powiedziałem.

— Dziękuję — uśmiechnęła się z wdzięcznością. — Widzę, że mnie naprawdę rozumiesz.

— Oczywiście. Ale kilka spraw trzeba będzie od razu ustalić. Przede wszystkim… — ona jednak usnęła już na mojej koi z ‘ufnym uśmiechem na ustach.

Natychmiast przeszukałem jej torebkę. Znalazłem pięć szminek, puderniczkę, flakonik perfum Venus V, tomik poezji obłożony w papier oraz plakietkę z napisem: „Specjalny Wysłannik FBI”.

Spodziewałem się tego, dziewczęta na ogół nie zachowują się tak jak ona. Szpiedzy owszem.

Było mi przyjemnie pomyśleć, że władze jednak ciągle czuwają nade mną. I Kosmos wydał mi się mniej samotny.

Statek podążał w otchłań Kosmosu Amerykańskiego. Pracowałem piętnaście godzin na dobę i jakoś udało mi się utrzymać napęd podprzestrzenny w całości; stosy atomowe były chłodne, a spoiny kadłuba ściśle przylegały do siebie. Mavis O'Day (tak się nazywała dziewczyna-Szpieg) przygotowywała wszystkie posiłki i wykonywała lżejsze prace w gospodarstwie domowym. Przy okazji ukryła kilka kamer w odpowiednich miejscach. Obrzydliwie brzęczały, ale udawałem, że tego nie słyszę.

Nasze stosunki z panną O'Day układały się więc poprawnie.

Podróż przebiegała prawidłowo — nawet szczęśliwie — aż do pewnego momentu. Drzemałem właśnie przy urządzeniach sterowniczych, kiedy na sterburcie zabłysło silne światło. Odskoczyłem do tyłu przewracając Mavis, która w tym momencie wkładała właśnie nowy film do kamery numer trzy.

— Przepraszam — powiedziałem.

— Nic nie szkodzi — powiedziała.

Pomogłem jej wstać. Bliskość jej smukłego ciała była dla mnie niezwykle podniecająca, a zapach Venus V podrażnił moje nozdrza.

— Już możesz mnie puścić, Bill.

— Wiem — odparłem i nadal nie wypuszczałem jej z ramion.

Po chwili usłyszałem swoje słowa: — Mavis, nie znamy się co prawda zbyt długo, ale… — Tak, Bill. Ale? — powtórzyła.

Straciłem głowę i zapomniałem o naszym wzajemnym powiązaniu — Szpiegowanego i Szpiega. Nie wiem, co chciałem dalej powiedzieć, bo właśnie wtedy na zewnątrz statku zapłonęło drugie światło.

Puściłem Mavis i pospieszyłem do urządzeń sterowniczych. Z trudnością przestawiłem starą fregatę na bieg jałowy i rozejrzałem się dokoła. Na zewnątrz, w niezmierzonej próżni Kosmosu, widniał fragment skały. Stało na niej dziecko w skafandrze, z pudełkiem rakiet w jednej ręce i z małym pieskiem, ubranym również w skafander — w drugiej.

Szybko wciągnęliśmy je do środka i rozpięliśmy skafander.

— A mój pies? — spytał chłopiec.

— Wszystko w porządku — uspokoiłem go.

— Strasznie przepraszam za kłopot — powiedział.

— Ależ nie ma o czym mówić. A ty skąd się tam wziąłeś?

— Proszę pana — pisnął dyszkantem — będę musiał zacząć od początku. Mój ojciec pracował jako oblatywacz statków kosmicznych. Zginął na posterunku próbując przełamać barierę światła. Matka wyszła za mąż po raz drugi. Jej obecny małżonek to barczysty brunet

o wąskich, chytrych oczkach i wąskich, mocno zaciśniętych ustach. Do niedawna pracował jako urzędnik w dziale pasmanterii w wielkim domu towarowym.

„Od początku nie mógł znieść mojej obecności. Moje blond loki, duże, owalnego kształtu oczy i wesołe, towarzyskie usposobienie przypominały mu chyba mojego nieboszczyka ojca. Stosunki między nami nie układały się najlepiej. W jakiś czas później zmarł mu wujek (w podejrzanych zresztą okolicznościach) i mój ojczym odziedziczył po nim posiadłości w Kosmosie Brytyjskim.

W związku z tym udaliśmy się w podróż naszą rakietą. Jak tylko dotarliśmy do tego wyludnionego obszaru, o n rzekł do mamy: «Rachelo, chłopak jest na tyle dorosły, że sam może sobie dać radę». Biedna mama próbowała protestować, powiedziała: «Dirk, on jest taki młody…», ale to nie odniosło skutku. Zawsze uśmiechnięta, o miękkim sercu kobieta nie pasowała do takiego jak on nieugiętego mężczyzny, którego nigdy nie byłbym w stanie nazwać ojcem. Ten człowiek założył mi skafander, wręczył pudełko rakiet, Flickerkowi też założył skafanderek i powiedział: «W obecnej dobie chłopak może sobie świetnie dać radę w Kosmosie». «Ależ proszę pana» — próbowałem się opierać — «w obrębie dwustu lat świetlnych nie ma tu żadnej planety». «Poradzisz sobie» — wyszczerzył zęby w uśmiechu i wysadził mnie na szczycie tej oto skały”.

Chłopiec przerwał dla nabrania oddechu, a jego pies Flicker spojrzał na mnie wilgotnymi, owalnymi oczami. Dałem psu miskę mleka i chleb i obserwowałem, jak chłopak wcina rozmiękłą kanapkę posmarowaną masłem orzechowym. A potem Mavis zaprowadziła go do kajuty i troskliwie ułożyła do snu.

Wróciłem do urządzeń sterowniczych, wystartowałem i od razu włączyłem podsłuch.

— Obudź się, idioto! — usłyszałem głos Mavis.

— Daj mi spać — powiedział chłopiec.

— Wstawaj! Co przyszło do głowy tym z Agencji Wywiadowczej, żeby cię tu przysyłać? Czy oni nie zdają sobie sprawy, że to jest domena FBI?

— Został przeklasyfikowany. Teraz ma inną kategorię, jest Podejrzanym 10 F — przerwał jej chłopak. — To wymaga pełnego nadzoru.

— Tak, ale przecież j a tu jestem — krzyknęła Mavis.

— Ostatnio nie wykazałaś się za bardzo — powiedział chłopiec. — Przykro mi, moja droga, ale Bezpieczeństwo przede wszystkim.

— A więc wysłali ciebie — załkała Mavis — dwunastoletnie dziecko, smarkacza.

— Za siedem miesięcy skończę trzynaście lat.

— Dwunastoletnie dziecko… A ja tak się starałam, uczyłam się, czytałam książki, uczęszczałam na kursy wieczorowe, chodziłam na wykłady…

— To rzeczywiście smutne — współczująco powiedział chłopiec. — A ja będę oblatywaczem. W moim wieku to jedyna możliwość regularnego latania. Jak sądzisz, czy on pozwoli mi pokierować tym statkiem?

Wyłączyłem podsłuch. Powinienem się poczuć wspaniale, byłem pod obserwacją dwojga pełnoetatowych Szpiegów. To świadczyło, że jestem rzeczywiście kimś, kimś, kogo trzeba mieć na oku.

Co prawda moi Szpiedzy to tylko dziewczyna i dwunastoletni chłopak. Nasze władze musiały być widocznie w ciężkiej sytuacji, skoro wysłały tych dwoje.

Rząd ciągle na swój sposób mnie ignorował.

* * *

Przez resztę lotu nieźle dawaliśmy sobie radę. Mały Roy, jak nazywano chłopca, przejął stery, a jego pies siedział czujnie w fotelu drugiego pilota. Mavis w dalszym ciągu zajmowała się gotowaniem i utrzymywaniem porządku. Ja natomiast spędzałem czas na łataniu szczelin. Byliśmy najszczęśliwszym stadłem Szpiegów i Podejrzanych.

Znaleźliśmy bezludną planetę typu ziemskiego. Spodobała się Mavis, bo była niewielka i zaciszna. Miała zielone pola i mroczne lasy, o których Mavis czytała w swoich poetyckich zbiorkach. Mały Roy cieszył się z przejrzystych jezior i szczytów górskich, które obiecywały emocje wspinaczki.

Po wylądowaniu przystąpiliśmy do zagospodarowywania terenu.

A Roy natychmiast zajął się zwierzętami, które uprzednio odmroziłem. Wyznaczył sobie rolę strażnika krów i koni, protektora kaczek i gęsi, obrońcy świń i kurczaków. To pochłaniało mu tyle czasu, że jego raporty stawały się coraz rzadsze, aż w końcu zupełnie przestał je wysyłać.

No bo cóż można się było spodziewać po Szpiegu w jego wieku?

A kiedy już postawiłem budynki i obsiałem kilka akrów ziemi, zacząłem odbywać z Mavis długie spacery po mrocznym lesie i po otaczających nas żółto-zielonych polach.

Pewnego dnia urządziliśmy sobie piknik. Na brzegu małego wodospadu zjedliśmy lunch. Swobodnie rozpuszczone włosy Mavis spadały jej na ramiona, a błękitne oczy wyrażały oczarowanie. Wyglądała zupełnie jak nie-Szpieg. I ciągle na nowo musiałem sobie przypominać o naszych rolach.

— Bill! — powiedziała w pewnej chwili.

— Tak?

— Nic. — Skubnęła źdźbło trawy.

Nie mogłem zrozumieć, co chce przez to powiedzieć. Ale jej ręka znalazła się tuż obok mojej, palce nasze zetknęły się i przylgnęły do siebie.

Długo milczeliśmy. Nigdy dotąd nie byłem tak szczęśliwy.

— Bill?

— Tak?

— Bill, kochany, czy potrafiłbyś….

Nigdy się nie dowiem, co chciała powiedzieć i co ja bym na to odpowiedział. W tym momencie bowiem ciszę rozdarł ryk silników odrzutowych. Z nieba spadł statek kosmiczny.

* * *

Pilot Ed Wallace, siwy starszy pan, miał na sobie poplamiony trencz i głęboko nasunięty na czoło kapelusz z opuszczonym rondem. Był agentem firmy Clear-Flo zajmującej się oczyszczaniem wody na planetach. Ponieważ nie potrzebowałem jego usług, podziękował mi i odszedł.

Nie ujechał jednak zbyt daleko. Silniki wykonały jeden obrót i nieodwołalnie stanęły.

Obejrzałem mechanizm napędowy i zorientowałem się, że to zawór wysiadł. Wykonanie nowego zaworu podręcznymi narzędziami zajęłoby mi miesiąc.

— Co za pech! — wyszeptał. — Zmuszony będę tu pozostać.

— Chyba tak — powiedziałem.

Spojrzał z żalem na statek. — Nie mogę pojąć, jak to się stało?

— Uszkodził pan pewnie zawór, tnąc go piłą do metali. — Miałem na to niezbite dowody.

Mr. Wallace udawał, że mnie nie słyszy.

Tego wieczoru podsłuchałem, jak nadawał raport przez radio międzygwiezdne, które funkcjonowało wspaniale. No i okazało się, że jego instytucją macierzystą nie było Clear-Flo lecz Centralna Agencja Wywiadowcza.

* * *

Mr. Wallace okazał się niezłym ogrodnikiem, mimo że większą część życia spędził na przekradaniu się chyłkiem z kamerą i notatnikiem w ręku. Jego obecność dodała bodźca Małemu Royowi do jeszcze bardziej wzmożonej pracy. Zaprzestaliśmy z Mavis spacerów i

zdawało mi się, że nagle zabrakło czasu na żółto-zielone pola i na dokończenie tamtej rozmowy.

Nasza mała osada prosperowała jak nigdy. Mieliśmy sporo gości. Z Okręgowego Wywiadu wpadł jakiś facet z żoną. Podawali się za wędrownych zbieraczy owoców. Po nich nadleciały dwie fotoreporterki, czyli tajne przedstawicielki Wykonawczego Biura Informacyjnego. Zjawił się też młody dziennikarz, który faktycznie pracował dla Konsulatu Moralności Kosmicznej w Idaho.

Każdemu z nich wysiadał zawór w momencie startu na Ziemię.

Nie wiedziałem, czy mam być dumny, czy zawstydzony. Obserwowało mnie pół tuzina Szpiegów, niestety — drugiej kategorii. I niezmiennie, po kilku tygodniach pobytu na mojej planecie, każdy z nich włączał się do pracy na farmie. Ich szpiegowskie wysiłki spełzały na niczym.

Było mi.czasami przykro. Zdawałem sobie sprawę, że jestem królikiem doświadczalnym dla nowicjuszy, kimś, na kim można spróbować swoich sił. Byłem Podejrzanym pod obserwacją Szpiegów albo za starych, albo za młodych, niedołężnych, postrzelonych, po prostu niekompetentnych. Szpiegowanie mojej osoby stanowiło coś w rodzaju emerytury. Ci ludzie nie zasługiwali na uczciwą pensję.

Ale zbytnio mi to nie przeszkadzało. Miałem jakąś pozycję, aczkolwiek była ona dosyć trudna do określenia. Byłem szczęśliwszy, niż kiedykolwiek na Ziemi, a moi Szpiedzy wydawali mi się ludźmi miłymi i chętnymi do współpracy.

Nasza mała kolonia żyła sobie szczęśliwie i spokojnie.

Sądziłem, że tak będzie zawsze.

* * *

I naraz, pewnej fatalnej nocy zapanowało jakieś niezwykłe napięcie. Miała chyba nadejść ważna wiadomość, bo wszystkie radia były włączone. Zmuszony byłem poprosić kilku Szpiegów, żeby kolejno korzystali z aparatów, bo może przepalić się generator.

Wreszcie radia zakończyły nadawanie i zostały wyłączone. Wszyscy Szpiedzy odbyli naradę. Słyszałem, jak szeptali między sobą do późnych godzin nocnych. Następnego ranka zebraliśmy się w bawialni. Na ich twarzach malowały się smutek i przygnębienie. Mavis pierwsza zabrała głos:

— Stało się coś strasznego — powiedziała. — Przede wszystkim chcemy ci coś wyjaśnić, Bill. Nikt z nas nie jest tym, za kogo się podawał. Jesteśmy Szpiegami…

— Tak? — mruknąłem nie chcąc urazić niczyich uczuć.

— To fakt — powiedziała. — Szpiegowaliśmy ciebie, Bill.

— Nawet ty? — udałem zdziwienie.

— Nawet ja — powiedziała z rozpaczą Mavis.

— I teraz to już koniec! — wybuchnął Mały Roy.

To mną wstrząsnęło.

— Dlaczego? — spytałem.

Popatrzyli na siebie zaskoczeni. W końcu Mr. Wallace, miętosząc rondo kapelusza w swych stwardniałych od pracy rękach, powiedział:

— Bill, Komisja Kontroli wykazała właśnie, że ten sektor Kosmosu nie jest własnością Stanów Zjednoczonych.

— Czyją jest w takim razie własnością? — spytałem.

— Nie denerwuj się — powiedziała Mavis. — Spróbuj zrozumieć. Ten cały sektor został przeoczony przy przeglądzie międzynarodowym i teraz żadne państwo nie ma prawa o niego się ubiegać. Ta planeta i kilkanaście milionów mil Kosmosu wokół niej należą do ciebie, Bill, jako do pierwszego, który się tutaj osiedlił.

Byłem tak zaskoczony, że nie mogłem wykrztusić słowa.

— W tej sytuacji — ciągnęła Mavis — nie wolno nam tu pozostać. Toteż natychmiast odlatujemy.

— Jakim cudem?! — krzyknąłem. — Przecież nie zreperowałem zaworów!

— Każdy Szpieg posiada zapasowe zawory i ostrza do piły — odrzekła uprzejmie.

Patrzyłem, jak odchodzili do statków i wyobraziłem sobie czekającą mnie samotność. Nie będzie już nikogo, kto by mnie miał pod obserwacją. Nigdy więcej nie usłyszę w ciszy nocnej skradających się kroków, ani nie zaskoczy mnie charakterystyczna twarz mojego Szpiega. Już nigdy szum kamery nie ukoi mnie przy pracy, a brzęczenie magnetofonu nie ukołysze do snu.

A jeszcze bardziej było mi ich żal. Ci biedni, uczciwi, nieudolni Szpiedzy wracali do świata konkurencji. Gdzie znajdą takiego Podejrzanego jak ja i takie miejsce, jak moja planeta?

— Do zobaczenia, Bill — powiedziała Mavis, podając mi rękę.

Patrzyłem, jak szła w kierunku statku Mr. Wallace'a i uświadomiłem sobie nagle, że nie była już Szpiegiem.

— Mavis! — krzyknąłem biegnąc za nią. Szła szybko. Złapałem ją za rękę. — Zaczekaj! Pamiętasz naszą rozmowę na statku? I to, co zacząłem mówić na pikniku?

Próbowała się wyrwać. Zupełnie nie romantycznym głosem wystękałem: — Mavis, kocham cię.

Padła mi w objęcia. Pocałowaliśmy się. Powiedziałem jej, że jej dom jest tutaj, na tej planecie, gdzie są mroczne lasy i zielone pola. Tu, ze mną.

Była zbyt szczęśliwa, aby coś mówić.

Kiedy Mavis zdecydowała się zostać, Mały Roy też się rozmyślił.

Warzywa właśnie dojrzewały i Mr. Wallace nie chciał ich porzucać. Każdy miał jakieś zajęcie, którego nie mógł zostawić.

Tak więc oto stałem się władcą, królem, dyktatorem, prezydentem, bo tylko ode mnie zależy, kim zechcę się nazwać. Szpiedzy zaczynają napływać z każdego kraju, nie tylko z Ameryki. Aby nakarmić wszystkich poddanych, będę wkrótce zmuszony importować żywność. Kłopot w tym, że inni władcy kolejno odmawiają mi pomocy, uważają, że przekupiłem i namówiłem do ucieczki ich Szpiegów.

Przysięgam, że nie namawiałem, sami do mnie przyszli. Nie mogę zrezygnować ze swego stanowiska, ponieważ jestem na nie skazany przez samego siebie. Nie mam też serca ich stąd wygnać. Jestem w sytuacji bez wyjścia.

Cały mój lud składa się z byłych Szpiegów rządowych. Zdawałoby się więc, że łatwo mi przyjdzie utworzyć własny rząd. Tak jednak nie jest… Oni się zupełnie nie nadają do współpracy. Jestem władcą absolutnym na planecie farmerów, mleczarzy, pasterzy i hodowców bydła. Nie grozi mi śmierć głodowa. Ale nie o to chodzi. Problem w tym, jak właściwie do cholery mam rządzić? Przecież nikt z tych ludzi nie będzie szpiegował dla mnie.

Przełożyła z angielskiego Izabella Wagner

Henry Slesar
EGZAMIN

Examination Day

Do dnia, w którym Dickie ukończył dwanaście lat, Jordanowie nigdy nie wspominali o egzaminie. Matka po raz pierwszy poruszyła ten temat w obecności chłopca w dniu jego urodzin i histeryczna nuta w jej głosie wywołała ostrą reakcję męża.

— Nie przejmuj się. Na pewno zda.

Siedzieli właśnie przy śniadaniu i chłopiec podniósł wzrok z zaciekawieniem. Miał bystre oczy, gładkie jasne włosy, a całe jego zachowanie zdradzało inteligencję. Nie rozumiał, co było przyczyną napięcia, ale wiedział, że dziś są jego urodziny i nade wszystko pragnął w tym dniu zgody. Gdzieś w ich małym mieszkanku czekały zawiązane wstążkami paczki, a w małej ściennej kuchence piekło się coś ciepłego i słodkiego. Chciał, żeby ten dzień był radosny, a tymczasem wilgotne oczy matki i zafrasowana mina ojca psuły nastrój radosnego oczekiwania, w jakim powitał ten poranek.

— Jaki egzamin? — spytał.

Matka oderwała wzrok od obrusa.

— To taki państwowy test na inteligencję, jaki przechodzą wszystkie dzieci po ukończeniu dwunastego roku życia. Będziesz go zdawać w przyszłym tygodniu. Nie ma się czym przejmować.

— Taki test jak w szkole?

— Coś w tym rodzaju — odpowiedział ojciec wstając od stołu. — Idź sobie poczytać komiksy.

Chłopiec wstał i poszedł do tej części pokoju, która od wczesnego dzieciństwa była jego kącikiem. Przerzucił stronice jednej z książeczek stojących na półce, ale kolorowe kwadraciki wypełnione błyskawiczną akcją wydawały się go nie interesować. Podszedł do okna i spojrzał ponuro na zasłonę deszczu.

— Dlaczego musi padać właśnie dzisiaj? — spytał. — Dlaczego nie może padać jutro?

Ojciec, który właśnie zasiadł z gazetą w fotelu, zaszeleścił zniecierpliwiony stronicami dziennika.

— Dlatego, że musi. Od deszczu rośnie trawa.

— Dlaczego, tato?

— Bo rośnie i tyle.

Dickie zmarszczył czoło.

— Tato, a dlaczego trawa jest zielona?

— Tego nikt nie wie, Richardzie — odpowiedział ojciec ostro i

zaraz pożałował swojej gwałtowności.

Po południu wrócił nastrój urodzinowy. Rozradowana matka wręczała wesołe, kolorowe paczki z prezentami i nawet ojciec zdobył się na uśmiech i zwichrzył synowi czuprynę. Chłopiec ucałował matkę i z powagą uścisnął dłoń ojca. Potem na zakończenie uroczystości wniesiono tort urodzinowy.

W godzinę później chłopiec siedząc przy oknie obserwował, jak słońce toruje sobie drogę wśród chmur.

— Tatusiu — spytał — jak daleko jest do słońca?

— Pięć tysięcy mil — odpowiedział ojciec.

* * *

Dick siedział z rodzicami przy śniadaniu i znowu zauważył, że matka ma wilgotne oczy. Chłopiec nie kojarzył jej łez z egzaminem, dopóki ojciec niespodziewanie sam nie poruszył tego tematu.

— Słuchaj, Dickie — powiedział poważnie — wiesz, że masz dziś egzamin.

— Wiem, tato. Myślę, że…

— Nie masz się czym denerwować. Każdego dnia tysiące dzieci przechodzą ten test. Chodzi tylko o to, że rząd chce wiedzieć, Dickie, czy jesteś inteligentny.

— W szkole dostaję dobre stopnie — powiedział chłopiec z wahaniem.

— To jest co innego. To taki… specjalny test. Dają ci do wypicia specjalny płyn, a potem idziesz do pokoju, gdzie jest taka maszyna…

— Jaki płyn? — spytał Dick.

— Nic takiego. Smakuje jak lemoniada miętowa. Pije się to, żeby było wiadomo, że mówisz prawdę. To nie znaczy, że rząd myśli, że będziesz kłamać, ale rząd chce wiedzieć na pewno.

Na twarzy chłopca odmalowało się zdziwienie i jakby lęk. Spojrzał na matkę, która z trudem zdobyła się na niewyraźny uśmiech.

— Wszystko będzie dobrze — powiedziała.

— Na pewno — zgodził się ojciec. — Jesteś dobrym chłopcem i zdasz bez kłopotu. Potem wrócimy do domu i uczcimy tę okazję. Zgoda?

— Tak jest, wodzu — odpowiedział Dickie.

* * *

Weszli do budynku Komisji Rządu do Spraw Oświaty na piętnaście minut przed wyznaczoną godziną. Minęli wykładany

marmurem wielki hali z kolumnami i wsiedli do automatycznej windy, która zawiozła ich na czwarte piętro. Tam za lśniącym biurkiem przed wejściem do pokoju 404 siedział młody człowiek w bluzie bez żadnych oznak. Zajrzał do leżącej przed nim listy nazwisk na J i wpuścił Jordanów do środka.

Pokój był surowy i oficjalny; wzdłuż metalowych stołów stały długie ławy. Znajdowało się tu już kilku ojców z synami i kobieta o wąskich wargach i krótko przyciętych czarnych włosach. Rozdawała im arkusze papieru.

Ojciec Dicka również wypełnił formularz i oddał go urzędniczce. Potem powiedział do syna:

— Teraz to już nie potrwa długo. Kiedy wyczytają twoje nazwisko, pójdziesz do tych drzwi w końcu sali.

W niewidocznym głośniku rozległy się trzaski i wywołano pierwsze nazwisko. Dick zobaczył, jak jeden z chłopców z ociąganiem odrywa się od ojca i wolno podchodzi do drzwi. Pięć po dziesiątej wyczytano nazwisko Jordana.

— Powodzenia, synu — powiedział ojciec, nie patrząc chłopcu w oczy. — Przyjdę po ciebie po egzaminie.

Dickie podszedł do drzwi i nacisnął klamkę. W pomieszczeniu panował półmrok, tak że z trudem rozróżniał rysy człowieka w szarej bluzie.

— Siadaj — powiedział mężczyzna łagodnym głosem, wskazując na krzesło przy swoim biurku.

— Nazywasz się Richard Jordan?

— Tak, proszę pana.

— I masz numer klasyfikacyjny 600/115. Wypij to, Richardzie — powiedział, podając chłopcu plastykowy kubek. Płyn miał gęstość śmietanki i nie bardzo przypominał smakiem obiecaną lemoniadę miętową. Dickie wypił i oddał pusty kubek.

Siedział chwilę w milczeniu, czując ociężałość, podczas gdy mężczyzna za biurkiem wypełniał pilnie rubryki formularza.

Potem spojrzał na zegarek, wstał i zbliżył się do chłopca. Z kieszeni bluzy wyjął przedmiot podobny do długopisu i wąskim promieniem światła błysnął Dickowi w oczy.

— W porządku — powiedział. — Chodź ze mną, Richardzie.

Zaprowadził chłopca w drugi koniec pokoju, gdzie na wprost komputera o wielu skalach stał jeden drewniany fotelik. Do lewej poręczy fotela przymocowany był mikrofon i kiedy chłopiec usiadł, mikrofon znalazł się tuż przy jego ustach.

— A teraz usiądź wygodnie, Richardzie. Będą ci zadawać pytania, a ty dobrze się nad nimi zastanów. Potem odpowiesz do mikrofonu. Resztą zajmie się maszyna.

— Dobrze, proszę pana.

— Zostawię cię teraz samego. Jak będziesz chciał zacząć, powiedz do mikrofonu „już”

— Dobrze, proszę pana.

Mężczyzna uścisnął go za ramię i wyszedł.

— Już — powiedział Dickie.

Rozbłysły światełka na skalach i mechanizm ruszył. Odezwał się głośnik:

— Uzupełnij zdanie: jeden, cztery, siedem, dziesięć…

* * *

Jordanowie siedzieli w swoim pokoju nie rozmawiając, starając się nawet nie myśleć.

Była prawie czwarta, kiedy wreszcie zadzwonił telefon. Pani Jordan wstała pierwsza, ale mąż był szybszy.

— Czy mówię z panem Jordanem?

Głos w słuchawce był suchy, urzędowy.

— Przy telefonie.

— Tu Komisja Rządowa do spraw Oświaty. Pański syn, Richard M. Jordan, numer klasyfikacyjny 600/115 zakończył egzamin. Z żalem musimy poinformować pana, że wskaźnik inteligencji pańskiego syna przekroczył dopuszczalną wielkość, jaką określa punkt 5 paragrafu 84 Nowego Kodeksu.

Kobieta wybuchnęła głośnym płaczem, gdyż wyraz twarzy męża powiedział jej wszystko.

— Proszę zdecydować — brzęczał dalej głos w słuchawce — czy życzą sobie państwo odebrać ciało, czy mamy sami załatwić pogrzeb. Opłata za pogrzeb urzędowy wynosi dziesięć dolarów.

Przełożył z angielskiego Lech Jęczmyk

John Wyndham
DZIEWCZYNA Z INNEGO WYMIARU

Random Quest

Słysząc odgłos hamowania samochodu na żwirze doktor Harshom spojrzał na zegarek. Zamknął księgę, w której pisał, schował ją do jednej z szuflad biurka i czekał. Stephens otworzył drzwi i zaanonsował:

— Pan Trafford.

Doktor podniósł się z krzesła i z uwagą przyjrzał się młodemu człowiekowi, który właśnie wszedł. Pan Colin Trafford, mężczyzna z niezłą prezencją, po trzydziestce, z lekko wijącymi się ciemnoblond włosami, gładko ogolony, miał na sobie dobrze skrojony tweedowy garnitur i nienagannie dobrane do niego pantofle. Wyglądał dość przyjemnie, choć w sposób nie wyróżniający się. Co dzień spotyka się wielu podobnych do niego młodych ludzi. Gdyby mu się jednak przyjrzeć bliżej, tak jak to właśnie zrobił doktor, można byłoby dostrzec oznaki zmęczenia i niepokoju w oczach, a w zaciśniętych ustach pełną napięcia determinację.

Uścisnęli sobie dłonie.

— Zrobił pan kawał drogi — odezwał się doktor — może drinka? Obiad będzie za jakieś pół godziny.

Młody człowiek skinął głową i usiadł.

— To bardzo miło z pana strony, że mnie pan tu zaprosił, doktorze.

— Nie z pobudek altruistycznych — odparł doktor. — Po prostu wygodniej rozmawiać niż korespondować. A poza tym jestem człowiekiem dociekliwym. Po latach monotonnej wiejskiej praktyki przeszedłem właśnie na emeryturę, więc jak wpadnę czasem na ślad jakiejś tajemnicy, nie spocznę, dopóki jej nie wyjaśnię. — Gospodarz także usiadł.

— Tajemnicy? — powtórzył młody człowiek.

— Tajemnicy — odparł doktor.

Gość łyknął whisky.

— Z podobnymi pytaniami mógł się zwrócić do pana pierwszy lepszy adwokat — powiedział.

— Ale pan nie jest adwokatem.

— No nie — przyznał Colin Trafford — nie jestem.

— A mimo to ma pan poważne powody prowadzić to dochodzenie. I w tym właśnie tkwi tajemnica. Jakież to bowiem naglące przyczyny kazały panu poszukiwać osoby, której istnienia nie

tylko pan sam nie jest pewny, lecz także nie potwierdzają go żadne dokumenty Somerset House?[2]

Młody człowiek z uwagą spojrzał na doktora, który ciągnął:

— Skąd ja to wszystko wiem? Otóż nie ulegało dla mnie wątpliwości, że pierwszym pana krokiem musiała być wizyta w archiwum. Gdyby pan bowiem znalazł metrykę, nie przyjąłby pan takiej linii postępowania. Przyzna pan, że w tej sytuacji tylko osoba niezwykle zdecydowana nie zrezygnowałaby z poszukiwania kogoś, kto oficjalnie w ogóle nie istnieje. Powiedziałem więc sobie: „Kiedy ten kpiący ze zdrowego rozsądku upór zwróci się do mnie, spróbuję rozwikłać tajemnicę".

Colin Trafford zmarszczył brwi.

— Chce pan powiedzieć, że powziął pan to postanowienie, zanim przyszedł mój list?

— Mój drogi, „Harshom" to nie jest często spotykane nazwisko; jest to, jeśli pan się takimi rzeczami interesuje, dość osobliwe zniekształcenie nazwiska „Harvesthome" i muszę panu powiedzieć, że nie spotkałem jeszcze żadnego Harshoma, który by nie był w sposób łatwy do ustalenia z nami powiązany. A my wszyscy jesteśmy właściwie w stałym kontakcie. Nic więc chyba dziwnego, że wtargnięcie do rodziny zupełnie nie znanego młodego człowieka, który kolejno poddaje nas przesłuchaniom na temat jakiejś bliżej nie określonej panny Harshom, wzbudziło naszą ciekawość. Ponieważ doszedłem do wniosku, że zajmuję na pańskiej liście dość odległe miejsce, postanowiłem zdobyć pewne informacje na własną rękę. Ja…

— A na jakiej podstawie uznał pan, że zajmuje pan na mojej liście miejsce odległe? — przerwał mu Colin Trafford.

— Ponieważ jest pan niewątpliwie człowiekiem metodycznym. A w tym przypadku obrał pan metodę geograficzną. Zaczął pan swoje poszukiwania od Harshomów zamieszkujących rejon centralnego Londynu i zataczając coraz szersze kręgi dotarł pan wreszcie do Herefordshire. Ma pan na swojej liście jeszcze tylko dwóch dalej usytuowanych Harshomów: Petera, na samym czubku Kornwalii, i Harolda, zamieszkałego kilka mil od Durham, prawda, że się nie mylą?

Colin Trafford skinął głową, jakby z odrobiną ociągania.

— Nie myli się pan — przyznał.

Doktor Harshom uśmiechnął się nie bez zadowolenia.

— Tak też myślałem. Jest jednak… — zaczął, ale młody człowiek przerwał mu ponownie.

— Mój list skwitował pan zaproszeniem, nie odpowiadając jednak na zawarte w nim pytanie.

— To prawda. Ale odpowiadam na nie teraz: oświadczam panu, że taka osoba nie istnieje i nigdy nie istniała.

— Jeśli pan jest tego tak zupełnie pewny, to po co pan mnie tu w ogóle zaprosił?

— Ponieważ… — tym razem przerwał doktorowi gong. — Przepraszam, Phillips daje nam jeszcze dziesięć minut czasu. Chodźmy umyć ręce. Pokażę panu pański pokój i możemy wrócić do tej rozmowy przy obiedzie.

Nieco później, kiedy na stole stała już zupa, doktor podjął:

— Pytał pan, dlaczego pana tutaj zaprosiłem. Otóż uważam, że jeśli pan ma prawo interesować się moją domniemaną krewną, ja mam nie mniejsze prawo dociekać przyczyn tego zainteresowania. Czy nie uważa pan, że jest to fair?

— Miałbym co do tego pewne wątpliwości — odparł Trafford po namyśle. — Pańskie zainteresowanie moimi motywami byłoby, przyznaję, w pełni uzasadnione, gdyby pan wiedział, że ta osoba istnieje, ale skoro mnie pan zapewnia, że jej nigdy nie było, zainteresowanie to ma charakter czysto akademicki.

— Owszem, moje zainteresowanie jest akademickie, tym niemniej bardzo realne. Może byłoby nam łatwiej rozmawiać, gdybym przedstawił sprawę z mojego punktu widzenia?

Trafford skinął głową i doktor ciągnął dalej:

— Otóż siedem czy osiem miesięcy temu zupełnie nie znany nam młody człowiek zaczyna kolejno nawiązywać stosunki ze wszystkimi moimi krewnymi. Chodzi mu, jak twierdzi, o zebranie danych czy też uzyskanie jakichkolwiek informacji, dotyczących pewnej pani, niejakiej Otylii Harshom. Osoba ta urodziła się, według niego, w roku 1928, chociaż nie wyklucza on pomyłki o parę lat w jedną lub w drugą stronę, jak również tego, że wychodząc za mąż mogła zmienić nazwisko.

Jego wcześniejsze listy charakteryzuje ton ufności, przekonanie, że sprawa jest łatwa do wyjaśnienia, ale w miarę jak kolejni Harshomowie zaprzeczają istnieniu poszukiwanej przez niego osoby, listy tracą nieco z poprzedniej pewności, pozostają jednak w dalszym ciągu pełne determinacji. Nieznajomy dowiaduje się z jednego czy dwóch źródeł o młodych kobietach noszących nazwisko Harshom — notabene żadna z nich nie jest Otylią — i sprawdza te informacje bardzo starannie. Czyżby imienia nie był pewien w tym samym stopniu co innych szczegółów? Najwyraźniej jednak żadna z tych pań nie stanowi rozwiązania jego zagadki, bo dalej prowadzi swoje poszukiwania. W obliczu niewątpliwej klęski uporczywość, z jaką zgłębia wszystko, co może mieć jakikolwiek związek z Harshomami, zaczyna stawiać pod znakiem zapytania jego zdrowy rozsądek. Może więc jest dziwakiem opętanym przez jakąś obsesję?

A jednak wszystko przemawiało za tym, że był — przynajmniej do wiosny 1953 roku — zupełnie normalnym młodym człowiekiem.

Jego pełne imię i nazwisko brzmi Colin Wayland Trafford. Urodził się w roku 1921 w Solihull jako syn adwokata. W 1934 roku wstępuje do szkoły Chartowe'a.

W 1939 roku zostaje powołany do wojska, z którego wychodzi w roku 1945 w stopniu kapitana. Przyjęty do Cambridge, kończy w roku 1949 fizykę z dobrym wynikiem. W tym samym roku zaczyna pracę w Przedsiębiorstwie Elektrofizycznym, gdzie od razu dostaje kierownicze stanowisko. W 1950 żeni się z Delią Stevens, by już po roku zostać wdowcem. Na początku 1953 zostaje ranny w wypadku, który miał miejsce w laboratorium w czasie przeprowadzania doświadczenia. Pięć tygodni spędza w szpitalu pod wezwaniem św. Merryna. Pierwsze kroki w kierunku uzyskania od rodziny Harshomów jakichś informacji dotyczących Otylii Harshom podejmuje mniej więcej w miesiąc po wyjściu ze szpitala. Colin Trafford powiedział chłodno:

— Pan jest bardzo dokładnie poinformowany, doktorze. Doktor nieznacznie wzruszył ramionami.

— Pańskie wiadomości o Harshomach muszą być co najmniej równie wyczerpujące. Dlaczego pana denerwuje, że ktoś z nas może coś wiedzieć o panu?

Colin milczał. Spuścił oczy, wpatrując się w obrus. Doktor podjął:

— A więc: czyżby miał obsesję? Otóż mniej więcej od marca bieżącego roku, wydaje mi się, że należałoby odpowiedzieć na to pytanie twierdząco.

Po tym odkryciu doszedłem do wniosku, że mam do czynienia z tajemnicą znacznie bardziej intrygującą, niż mi się wydawało — przerwał. — Chciałbym pana o coś zapytać, panie Trafford: czy przed styczniem był pan świadom istnienia nazwiska Otylia Harshom?

Gość zawahał się, po czym odrzekł niepewnie:

— Trudno powiedzieć… Człowiek spotyka się z tysiącami różnych nazwisk. Niektóre się pamięta, inne zapadają jakoś w podświadomość, jeszcze inne po prostu uciekają. Nie sposób na to odpowiedzieć.

— Być może. Powstała jednak dość dziwna sytuacja: otóż do stycznia Otylia Harshom w ogóle nie istniała na mapie pańskiej świadomości, zaś od marca, obiektywnie nie istniejąc, całkowicie nią zawładnęła. Nasuwa się więc pytanie: co się wydarzyło pomiędzy styczniem i marcem?

Jak panu wiadomo, jestem lekarzem i dzięki dość szerokim stosunkom mogę się wielu rzeczy dowiedzieć. Otóż pewnego dnia pod koniec stycznia został pan zaproszony, wraz z kilkoma innymi osobami, na pokaz do jednego z laboratoriów należących do pańskiego przedsiębiorstwa. Nie podano mi szczegółów — wątpię zresztą, czy bym je zrozumiał, tak rozrzedzona panuje atmosfera na wyżynach nowoczesnej fizyki — w każdym razie coś w tym doświadczeniu się nie udało. Nastąpiła eksplozja, czy też implozja, czy

może kilka atomów, sprowokowanych, wpadło w szał. W każdym razie laboratorium zostało zdemolowane. Jedna osoba zginęła na miejscu, druga zmarła trochę później, kilka odniosło rany. Pan sam ucierpiał stosunkowo nieznacznie. Parę skaleczeń i sińców, nic poważnego, ale stracił pan przytomność w takim stopniu…

…W takim stopniu stracił pan przytomność, że nie odzyskał jej pan w ciągu dwudziestu czterech dni…

Kiedy wreszcie przyszedł pan do siebie, zdradzał pan symptomy znacznie silniejszego zachwiania równowagi psychicznej, niżby się można spodziewać po pacjencie w pana wieku i pańskiej konstytucji, wobec czego zaaplikowano panu środki uspokajające. Pierwszej nocy spał pan niespokojnie, z objawami zaburzeń psychicznych. A co najważniejsze — bez przerwy przyzywał pan jakąś Otylię.

Szpital zbadał sprawę, na ile to było możliwe, ale nie znaleziono nikogo o tym imieniu, kto miałby jakikolwiek związek z panem.

Zaczął pan wracać do zdrowia, ale nie ulegało wątpliwości, że coś zaprząta pański umysł bez reszty. Nie chciał pan wyjawić, o co chodzi, ale poprosił pan jednego z lekarzy, żeby jego sekretarka poszukała w jakiejkolwiek książce telefonicznej Otylii Harshom. Kiedy okazało się, że nie ma takiego nazwiska, popadł pan w depresję. Mimo to nie powrócił pan więcej do tej sprawy — przynajmniej tak mi powiedziano — aż do opuszczenia szpitala, kiedy to rozpoczął pan osobiście poszukiwania Otylii Harshom, z których, mimo całkowicie negatywnych rezultatów, nie zrezygnował pan do chwili obecnej.

Jakie więc mogą płynąć z tego wnioski? — doktor uniósłszy lewą brew spoglądał na swego gościa poprzez stół.

— Że jest pan poinformowany nawet lepiej, niż sobie wyobrażałem — wyrwał się Colin. — Gdybym był pańskim pacjentem, pańskie dociekania byłyby usprawiedliwione, ale ponieważ nie jestem i nie mam najmniejszego zamiaru korzystać z pańskich usług, uważam je za niedyskretne i niezgodne z etyką lekarską.

Jeżeli Colin wyobrażał sobie, że w ten sposób speszy swojego gospodarza, to się mylił. Doktor w dalszym ciągu traktował go z pełnym zainteresowania dystansem.

— Wcale nie jestem przekonany, czy pan nie powinien jednak z czyichś usług skorzystać — rzekł. — Na razie chciałbym panu wyjaśnić, dlaczego to właśnie ja przeprowadziłem takie dochodzenie. Może wtedy wyda się ono panu mniej bezczelne. Ale czuję się zobowiązany uprzedzić pana, żeby pan się nie łudził. Musi pan zrozumieć jedno: Otylia Harshom, której pan poszukuje, nie istnieje i nigdy nie istniała. Ta sprawa jest pewna.

Mimo to posiada ona pewien aspekt, który mnie ogromnie zaskoczył i który nie da się wytłumaczyć po prostu zbiegiem okoliczności. Otóż nazwisko Otylia Harshom nie jest mi całkiem obce.

Nie — doktor uniósł rękę — powtarzam: żadnych złudzeń. Otylia Harshom nie istnieje, ale istniała czy też istniały w przeszłości dwie Otylie Harshom.

Trafford rozchmurzył się. Siedział podany do przodu, wpatrzony w swojego gospodarza.

— Ale — podkreślił doktor — to wszystko działo się bardzo dawno. Pierwsza z nich to była moja babka. Urodziła się w roku 1832, w 1861 wyszła za mąż za dziadka Harshoma, a w 1866 umarła. Druga to była moja siostra: urodziła się w roku 1884, a umarła, biedactwo, w 1890…

Znów przerwał. Colin nie skomentował tego ani słowem. Doktor podjął więc po chwili:

— Jestem jedynym żyjącym przedstawicielem tej gałęzi rodziny, nic więc dziwnego, że inni nie pamiętali o ich istnieniu, ale kiedy dowiedziałem się o pana poszukiwaniach, pomyślałem sobie: coś w tym musi być. „Otylia" nie jest może imieniem nie spotykanym, ale w każdym razie należy do niezbyt popularnych, zaś Harshom to niewątpliwie nazwisko rzadkie. Przypadkowe połączenie jednego z drugim jest niemal nieprawdopodobne. A ja w przypadki po prostu nie wierzę. Gdzieś musi więc istnieć ogniwo łączące, jakaś przyczyna…

Dlatego postanowiłem dociec, w jaki sposób ten młody człowiek, Trafford, natknął się na tę nieprawdopodobną wprost kombinację imienia z nazwiskiem i dlaczego stało się to jego obsesją. Nie odmówi mi pan chyba pomocy w tej sprawie?

Colin wpatrywał się w doktora, w dalszym ciągu milcząc.

— Nie? W porządku. Kiedy więc zebrałem wszystkie dane, doszedłem do wniosku, że na skutek wypadku ma pan komplikacje pourazowe, niezwykłe zarówno ze względu na swoją intensywność, jak i charakter. O intensywności ich można wnosić z obsesyjnego skoncentrowania się na jednym przedmiocie, a o niezwykłym charakterze częściowo z wyraźnego zachwiania równowagi psychicznej, a częściowo z konsekwencji, z jaką odmawia pan przypomnienia sobie czegokolwiek od momentu wydarzenia się wypadku do chwili odzyskania przytomności.

Ale jeżeli rzeczywiście pozostawał pan w stanie nieświadomości, to dlaczego ocknął się pan tak podniecony? Musiało to być wywołane wspomnieniem jakiegoś przeżycia. A jeżeli doznawał pan czegoś w rodzaju sennych urojeń, to dlaczego tak uparcie nie chce pan o nich mówić? Musiał pan przeżyć coś, co miało dla pana ogromne znaczenie i w czym Otylia Harshom odegrała zasadniczą rolę.

No cóż, panie Trafford, czy uważa pan moje rozumowanie za poprawne, a wniosek za słuszny? Jako lekarz mówię panu, że od takich ciężarów należy się uwalniać.

Colin wyraźnie zastanawiał się przez chwilę, ale ponieważ w

dalszym ciągu się nie odzywał, doktor podjął:

— Zdaje pan sobie chyba sprawę, że wyczerpał pan już prawie wszystkie możliwości. Pozostało panu jeszcze dwóch Harshomów, z których żaden, zapewniam pana, panu nie pomoże. Co wtedy?

Colin odparł bezbarwnym głosem:

— Ma pan z pewnością rację. Ale mimo wszystko ja się muszę z nimi zobaczyć. Nie mogę przegapić nawet najmniejszej szansy. Może być coś, jakaś poszlaka… Nie wolno mi zaniedbać niczego. Miałem nikłą nadzieję, kiedy pan mnie tu zaprosił. Wiem, że pan miał rodzinę…

— Owszem, miałem — powiedział doktor wolno. — Mój syn Malkolm zginął w czasie wyścigów samochodowych w Brooklands w 1927 roku. Nie był żonaty. Córka wyszła za mąż, ale była bezdzietna. Została zabita w czasie nalotu na Londyn w roku 1941… I to już koniec… — potrząsnął głową.

— Ogromnie mi przykro — rzekł Colin i po chwili dodał: — Czy mógłby mi pan może pokazać jakieś zdjęcie swojej córki?

— Ona nie należy do pokolenia, którego pan poszukuje.

— Wiem, ale mimo wszystko…

— Dobrze, jak wrócimy do mojego gabinetu. A pan mi jeszcze nie odpowiedział na pytanie, co pan myśli o moim rozumowaniu.

— Och, jest bez zarzutu.

— Ale w dalszym ciągu nie chce pan mówić na ten temat? To odwrotnie niż ja. Pan pozwoli wobec tego, że będę dalej rozwijał swoją myśl. Otóż to pańskie przeżycie nie mogło wywołać w panu ani uczucia wstydu, ani niesmaku, boby pan je próbował jakoś idealizować, czego pan najwyraźniej nie robi. A zatem wysoce prawdopodobne, że przyczyną pańskiego milczenia jest strach. Z jakichś powodów boi się pan o tym mówić, nie bojąc się jednocześnie spojrzeć prawdzie w oczy. Musi się więc pan obawiać konsekwencji mówienia o tym — być może ze względu na kogoś innego, ale, jeszcze pewniej, ze względu na siebie…

Colin czas jakiś przyglądał się doktorowi z miną obojętną, po czym odprężył się trochę i oparł wygodnie w krześle. Po raz pierwszy uśmiechnął się słabo.

— Doszedł pan w końcu do tego, doktorze. Niech pan się jednak nie obrazi, jeśli powiem, że droga, którą pan odbył, była żmudna i długa. A sprawa jest naprawdę prosta. Rzecz sprowadza się do tego, że jeśli człowiek, jakikolwiek człowiek, twierdzi, że przeżył coś, co jest poza zwykłym ludzkim doświadczeniem, to czyż nie zakłada się z miejsca, że nie jest on zupełnie normalny? A tym samym trudno oczekiwać, by jego reakcje w konkretnej sytuacji przebiegały tak jak u normalnego człowieka. Skoro zaś jego reakcje mogą być nienormalne, to jak można na tym człowieku polegać? Czy nie będzie słuszniej zdać

się na kogoś, kto nie budzi żadnych wątpliwości? Lepiej nie ryzykować. Macha się więc na niego ręką. Fakt, że nie zachowuje się tak, jak po nim oczekują, pozostaje nie zauważony. Zaczyna się nad nim zbierać mała chmurka, ledwie strzępek wątpliwości i nieufności. Jest ona zbyt ulotna, by mógł ją rozwiać, a jednak rzuca na niego stały, nieznaczny, lecz stały cień.

O ile wiem, nie istnieje nic takiego jak normalna ludzka istota, ale panuje powszechne przekonanie, że powinna istnieć. Każda organizacja.ma swoją koncepcję „człowieka, jaki jest nam potrzebny", którego uważa za normalnego z punktu widzenia swoich celów. Tak więc każdy — oczywiście ze zrzeszonych — stara się do tego modelu dopasować, a ci, co w sposób widoczny od niego odbiegają, czy to w życiu publicznym, czy prywatnym, ryzykują swoją karierą. I stąd, jak pan powiedział, mój lęk przed konsekwencjami. Prawda, jakie to proste?

— Ma pan słuszność — zgodził się doktor. — Ale nie zatroszczył się pan wcale, żeby jakoś ukryć skutki tego swego przeżycia; mam na myśli pańską pogoń za Otylią Harshom.

— Bo nie mam potrzeby. Czy może być coś bardziej naturalnego niż uganianie się młodego człowieka za dziewczyna? To uzasadnienie okazało się zupełnie Wystarczające zarówno dla moich przyjaciół, którzy się tą sprawą interesują, jak i dla kilku Harshomów.

— Rzeczywiście. Ale żaden z nich, poza mną, nie był świadom „zbiegu okoliczności" polegającego na połączeniu imienia „Otylia" z nazwiskiem „Harshom".

Doktor przerwał, czekając, co powie Colin Trafford, ale nie doczekawszy się ciągnął dalej:

— Chłopcze, ta sprawa bardzo ci leży na sercu. Jesteśmy sami. Nie mam z twoją firmą najmniejszych powiązań, a mój zawód powinien dodatkowo budzić w tobie zaufanie. Jeśli chcesz jednak, mogę ci zagwarantować dyskrecję. Wierz mi, że pozbycie się tego ciężaru z pewnością wyjdzie ci na dobre, a ja chciałbym tę sprawę zgłębić…

Ale Colin potrząsnął głową.

— To się panu nie uda. Nawet gdybym wyznał wszystko, jeszcze bardziej wydałoby się to panu tajemnicze, tak jak i mnie.

— Dwie głowy to nie jedna. Moglibyśmy spróbować — rzekł doktor i czekał.

Colin znów zastanawiał się przez moment, po czym podniósł na niego wzrok, wytrzymując jego spojrzenie.

— Zgoda. Ja już próbowałem. Teraz niech pan spróbuje. Ale przedtem chciałbym zobaczyć zdjęcie pańskiej córki. Czy ma pan może coś z okresu, kiedy miała ze dwadzieścia pięć lat?

Przenieśli się do gabinetu. Doktor gestem wskazał Colinowi

krzesło, a sam podszedł do stojącej w rogu szafy. Wyjął niewielki stosik tekturowych oprawek i zaczął je przeglądać. Wybrał trzy fotografie. Wpatrywał się w nie przez chwilę w zadumie, po czym wręczył je Colinowi. Podczas gdy gość oglądał zdjęcia, doktor nalewał koniak.

Colin spojrzał znad zdjęć.

— Nie — powiedział — a jednak jest coś… — Po kolei zasłaniał dłonią poszczególne części twarzy. — Coś w układzie i kształcie oczu… ale niezupełnie. Może czoło, ale przy takim uczesaniu to trudno powiedzieć… — Przez chwilę jeszcze studiował fotografie, zanim zwrócił je doktorowi. — Dziękuję, że mi je pan pokazał. Doktor wręczył mu jeszcze jedną.

— A to Malkolm, mój syn.

Zdjęcie przedstawiało roześmianego młodego człowieka opartego o przednią część samochodu spowitego w obłok spalin.

— Kochał ten wóz — powiedział doktor — który okazał się zbyt szybki na stary tor. Wyleciał za bandę i walnął w drzewo.

Doktor wziął od Colina zdjęcie i wręczył mu szklaneczkę koniaku.

Colin zakręcił nią. Przez chwilę obaj milczeli. Następnie młody człowiek łyknął i zapalił papierosa.

— No więc dobrze — odezwał się w końcu — spróbuję panu to wszystko wyjaśnić. Ale najpierw powiem, co się stało — obojętne czy w sensie subiektywnym, czy nie — w każdym razie to się stało dla mnie. Wszelkie wynikające z tego implikacje rozpatrzymy później, jeśli pan sobie życzy.

— Dobrze — zgodził się doktor. — Ale niech pan mi powie: czy zaczynamy od pańskiego wypadku, czy było jeszcze przed nim coś, co mogło mieć jakieś znaczenie?

— Nie — odparł Colin — wtedy właśnie się ta cała historia zaczęła.

* * *

Był to dzień jak co dzień. Wszystko i wszyscy byli zupełnie normalni, poza tym, że samo doświadczenie miało charakter dość szczególny. Jego przedmiot nie jest tajemnicą, ale, o ile się orientuję, nie ma żadnego znaczenia dla sprawy. Obecni zgromadzili się wokół aparatury. Deakin, który miał demonstrować, przełożył dźwignię i nagle coś zaczęło brzęczeć, a potem wyć jak silnik na coraz szybszych obrotach. Wycie przeszło stopniowo w gwizd. Przez mrożący krew w żyłach moment przeszywający gwizd pozostawał na granicy słyszalności i wreszcie — cudowne uczucie ulgi, kiedy wszystko ucichło i znów zapanował spokój. Spojrzałem na Deakina wpatrzonego

w swoje zegary, z ręką na wyłączniku, i właśnie wtedy, w chwili gdy znów miałem się odwrócić w stronę aparatury — nastąpił błysk… Nie słyszałem nic ani nie czułem: był to po prostu oślepiający błysk… A potem ciemność… Rozległy się nawoływania i głos kobiety, która krzyczała… krzyczała… i krzyczała…

Poczułem, że miażdży mnie jakiś wielki ciężar. Otworzyłem oczy. Przeniknął przez nie do głowy ostry ból, mimo to jednak starałem się zrzucić z siebie ciężar — leżałem przywalony trzema osobami. W końcu zdołałem odsunąć dwie z nich i usiąść. Dokoła mnie leżały różne postacie: jedne nieruchomo, inne usiłowały się podnieść. W odległości paru stóp na lewo zobaczyłem wielkie koło. Po bliższym przyjrzeniu się stwierdziłem, że jest ono przyczepione do autobusu, który z mojej pozycji robił wrażenie piętrzącego się nade mną czerwonego drapacza chmur, i to, co gorsze, przechylonego tak, jakby miał za chwilę na mnie runąć. Zerwałem się więc szybko, łapiąc młodą kobietę, rozciągniętą w poprzek moich nóg i wlokąc ją w bezpieczniejsze miejsce. Była nieprzytomna, biała jak papier.

Rozejrzałem się dokoła. Bez trudu zrozumiałem, co się stało. Kierowca autobusu, jadącego najwyraźniej z dużą szybkością, z jakiegoś powodu stracił panowanie nad kierownicą, wpadł na zatłoczony chodnik i wbił się w grubą szybę wystawową. Część przedniego pomostu tkwiła w budynku i właśnie stamtąd dochodził krzyk. Kilka osób w dalszym ciągu leżało na ziemi: jakaś kobieta poruszała się słabo, jakiś mężczyzna jęczał, dwoje nie dawało znaku życia. Pośród kryształków potłuczonego szkła wiły się po chodniku trzy strumyczki krwi. Ruch uliczny został wstrzymany i spostrzegłem hełmy dwóch przepychających się ku nam policjantów.

Poruszyłem na próbę rękami i nogami. Działały bez zarzutu i co więcej nie odczuwałem przy tym bólu. Byłem jednak ogłuszony i pulsowało mi w skroniach. Podniosłem rękę do głowy i poczułem ból w miejscu, gdzie musiałem się uderzyć — w lewej części potylicy.

Policjanci zdołali się wreszcie jakoś do nas przedostać. Jeden zaczął odpychać napierających na nas gapiów, drugi zajął się rannymi. Pojawił się też trzeci, który wdrapał się na pomost autobusu, żeby się przekonać, co jest przyczyną krzyku.

Próbując przezwyciężyć oszołomienie rozejrzałem się dokoła. Wszystko to działo się na Regent Street, kawałek za Piccadilly Circus, a rozbita wystawa należała do Austina Reeda. Ponownie spojrzałem na autobus. Był rzeczywiście przechylony, ale nie groziło mu przewrócenie się, wbił się bowiem w okno wystawowe mniej więcej do połowy słowa „General” lśniącego złotem liter na czerwonym tle.

W tym momencie zorientowałem się, że nic tu po mnie i że jeśli dłużej zabawię, złapią mnie na świadka. Nie chciałbym jednak, żeby pan pomyślał, że się uchylam od tego obowiązku — gdyby chodziło

oczywiście o zwykłe zeznanie, to co innego, ale nagle zdałem sobie ostro sprawę, że sytuacja nie jest zwykła. Po pierwsze nie miałem zielonego pojęcia, co się tu działo przed wypadkiem, a po wtóre… co ja tu właściwie robiłem? Obserwowałem doświadczenie w Watford, a już w następnym momencie — wydarzyło się to wszystko. W jaki sposób, do diabła ciężkiego, znalazłem się w ogóle na Regent Street?

Zacząłem sobie ukradkiem torować drogę wśród tłumu, a następnie zygzakiem przeszedłem przez ulicę i prześlizgując się pomiędzy zatrzymanymi pojazdami ruszyłem w kierunku znajdującego się w pobliżu baru „Royal".

Zmieniło się tu sporo od czasu, kiedy byłem po raz ostatni, to znaczy parę lat temu, ale zależało mi przede wszystkim, żeby znaleźć bar, co nie przedstawiało żadnych trudności.

— Podwójny koniak i trochę wody sodowej — powiedziałem do barmana.

Podał mi trunek i przysunął w moja stronę syfon. Wyciągnąłem z kieszeni pieniądze, ale było tylko kilka pensów i mała srebrna moneta. Sięgnąłem więc po portfel.

— Pół korony, proszę pana — rzekł kelner, jakby broniąc się przed banknotem.

Spojrzałem na niego z niedowierzaniem, ale rzeczywiście tak powiedział. Położyłem mu trzy szylingi; był zadowolony. Dolałem wody sodowej do koniaku i nareszcie łyknąłem upragnionego drinka. W momencie kiedy odstawiałem szklaneczkę, spojrzałem na swoje odbicie w lustrze za barem…

Zwykle nosiłem wąsy. W każdym razie wyszedłem z nimi z wojska, ale wstępując do Cambridge postanowiłem je zlikwidować. A jednak były — choć może nie tak bujne. Podniosłem rękę i dotknąłem ich. Żadne złudzenie: wąsy były prawdziwe. W tym samym niemal momencie zwróciłem uwagę na mój garnitur. W ten sposób ubierałem się wiele lat temu. Ubranie było zupełnie przyzwoite, ale obecnie my, to znaczy kierownictwo Przedsiębiorstwa Elektro-Fizycznego, nie nosiliśmy takich rzeczy…

Poczułem zawrót głowy, znów łyknąłem koniaku i trochę niepewnie sięgnąłem po papierosa. Paczka, którą wyciągnąłem z kieszeni, wyglądała obco — czy widział pan kiedy playersy „Mariners"? Nie? Ja też nie. Ale wyjąłem jednego i zapaliłem trzęsącą się ręką. Zawrót głowy nie ustępował, przeciwnie, nasilał się gwałtownie…

Wsadziłem rękę do bocznej kieszeni. Nie znalazłem w niej portfela. A przecież powinien tam być — może wyciągnął mi go ktoś z tłumu, który zebrał się wokół autobusu… Przeszukałem pozostałe kieszenie: wieczne pióro, pęk kluczy, parę czeków kasowych od Harrodsa, książeczka czekowa, zawierająca czeki wystawione na

mieszczący się przy Knightsbridge oddział Westminster Bank. Bank — w porządku. Ale skąd Knightsbridge? Przecież mieszkam w Hampstead… Żeby się jako tako połapać w sytuacji, zacząłem rekapitulować wypadki, od momentu kiedy otworzyłem oczy i zobaczyłem piętrzący się nade mną autobus. Wspomnienie tej chwili było bardzo żywe. Pamiętałem doskonale, jak patrzyłem na czerwonego potwora ze złocistym napisem „General", tak, właśnie połyskiwał złotem, tylko że od roku 1933, od czasu kiedy zastąpiono go przez „London Transport", nie widywało się tego napisu na autobusach.

Przyznam, że byłem roztrzęsiony, rozejrzałem się więc po lokalu, żeby odzyskać jakoś poczucie rzeczywistości. Na jednym ze stolików zobaczyłem zostawioną przez kogoś gazetę. Poszedłem po nią, ale zanim na nią spojrzałem, ostrożnie usiadłem na swoim stołku. A potem głęboko zaczerpnąłem tchu i przyjrzałem się pierwszej stronie… Byłem zdezorientowany: całą pierwszą stronę zajmowały ogłoszenia. Znalazłem jednak pewną pociechę — u góry przeczytałem mianowicie: Daily Mail, Londyn, środa 27 stycznia 1954 roku. Przynajmniej data była właściwa — na ten dzień wyznaczyliśmy termin doświadczenia w laboratorium.

Przewróciłem kartkę i na środkowej stronie przeczytałem: „Zamieszki w Delhi. W związku z żądaniem natychmiastowego zwolnienia z więzienia Nehru doszło tu dziś do jednego z największych w dziejach Indii wystąpień ludności. Do późnych godzin wieczornych miasto dosłownie zamarło."…

A potem zwróciła moją uwagę sąsiednia kolumna: „W odpowiedzi na kwestię wysuniętą przez pierwszą ławę opozycji premier, pan Butler, zapewnił Izbę, że rząd bada sprawę bardzo starannie"… Półprzytomny spojrzałem na górę strony; data się zgadzała: 27 stycznia 1954 roku — ale tuż pod nią widniało zdjęcie z podpisem: „Scena z wczorajszego wieczornego spektaklu MIŁOŚĆ DAMY w Laughton Theatre. Amanda Coward w tytułowej roli tej ostatniej spośród licznych sztuk muzycznych jej ojca. MIŁOŚĆ DAMY została ukończona zaledwie na kilka dni przed śmiercią autora, w sierpniu ubiegłego roku. Po przedstawieniu pan Ivor Novello, który prowadził orkiestrę, złożył wzruszający hołd pamięci zmarłego."

Przeczytałem notatkę jeszcze raz, bardzo starannie. A następnie szukając jakiegoś oparcia rozejrzałem się po gościach, meblach, popatrzyłem na barmana, na butelki: wszystko było bardzo przekonywające i realne.

Odłożyłem gazetę i dokończyłem koniak. Chętnie wypiłbym jeszcze jeden, ale nie chciałem narażać się na głupią sytuację, gdyby na przykład barman zmienił zdanie w sprawie ceny, bo przecież nie miałem portfela. Spojrzałem na zegarek i — właśnie, jeszcze jedno!

Był to bardzo ładny zegarek, złoty, z paskiem z krokodylowej skóry, ale ja go nigdy nie widziałem na oczy. Stał na dwunastej trzydzieści. Zdjąłem go i odwróciłem wewnętrzną stroną. Pięknie wygrawerowany widniał tam napis: „C. na zawsze O. 10. X. 50." Drgnąłem, ponieważ właśnie w roku 1950 się ożeniłem, chociaż wcale nie w październiku i nie z żadną O. Moja żona ma na imię Delia. Machinalnie założyłem z powrotem zegarek na rękę i wyszedłem.

Odpoczynek i koniak dobrze mi zrobiły. Kiedy bowiem znów znalazłem się na Regent Street, nie czułem się już tak oszołomiony (chociaż — o ile nie jest to zbyt drobiazgowe rozróżnienie — w dalszym ciągu zdezorientowany) i głowa przestała mnie prawie boleć, tak że lepiej mogłem obserwować to, co się wokół mnie działo.

Na pierwszy rzut oka Piccadilly Circus wydał mi się taki jak zawsze, z lekkim tylko posmaczkiem odmienności. Po chwili zorientowałem się, że chodzi o ludzi i samochody. Zdumiewająca wprost liczba mężczyzn i kobiet ubrana była nędznie, a kwiaciarki pod Erosem przypominały wręcz sterty łachmanów. Wygląd kobiet ubranych lepiej z kolei mnie zaskoczył: niemal bez wyjątku miały na głowach kapelusze jak dwunastocalowej średnicy talerze. Spódnice były długie, prawie do kostek, co przy futrach robiło wrażenie, że w południe ubrały się wieczorowo. Pantofle, szpilki, o ostrych szpicach, były przeładowane ozdobami i ohydne. Prawdopodobnie każda moda wydawałaby się śmieszna, gdyby zaskoczyła nagle człowieka nie przygotowanego, tylko że przecież nigdy, a przynajmniej nigdy do tej pory… Krótko mówiąc, gdyby nie data gazety, czułbym się jak na nowo obudzony Rip van Winkle… Samochody też były jakieś dziwne. Robiły wrażenie bardzo wysoko zawieszonych, małych i brakowało im różnych błyskotek, do których wszyscy przywykliśmy, a po bliższym przyjrzeniu się stwierdziłem, że nie jestem właściwie w stanie odróżnić żadnej marki, poza kilkoma niewątpliwymi rollsami. Kiedy tak stałem, zagapiony, pewna dama w talerzu na głowie i porządnie podniszczonym futerku zwróciła się do mnie w dość ponury sposób per „kochasiu". Postanowiłem stąd iść i ruszyłem w stronę Piccadilly. Po drodze spojrzałem na kościół Sw. Jakuba. Kiedy go ostatni raz widziałem — mogło to być jakieś dwa tygodnie temu — cały był w rusztowaniach, a na dziedzińcu afisz zachęcał do składania datków na odbudowę; teraz nie było nawet śladu tego wszystkiego, a kościół wyglądał tak, jakby nigdy nie został zbombardowany. Przeszedłem przez ulicę, żeby przyjrzeć mu się dokładniej, pełen podziwu dla dzieła rekonstrukcji.

Po chwili znalazłem się przed wystawą Hatcharda, zatrzymałem się więc, żeby zobaczyć, co mają. Niektóre książki nosiły nazwiska znanych mi autorów: Priestleya, C.S. Lewisa, Bertranda Russela, T.S. Eliota i innych, ale zupełnie nie poznawałem tytułów. I nagle na

samym froncie spostrzegłem książkę w jaskraworóżowej obwolucie: „W zaraniu życia” Colina Trafforda.

Gapiłem się na nią dłuższy czas, prawdopodobnie z otwartymi ustami. Kiedyś miałem, wie pan, ambicje w tym kierunku. Gdyby nie wojna, prawdopodobnie skończyłbym studia humanistyczne i spróbował swoich sił w pisaniu, ale sprawy potoczyły się inaczej i kolega, z którym służyłem w jednym pułku, skierował moje zainteresowania ku naukom ścisłym, a poza tym załatwił mi później pracę w Przedsiębiorstwie Elektrofizycznym.

* * *

Kiedy się wreszcie otrząsnąłem ze zdumienia, zaintrygowany wstąpiłem do księgarni.

Na ladzie leżało kilka egzemplarzy książki. Wziąłem pierwszy z wierzchu i otworzyłem. Na karcie tytułowej widniało moje nazwisko, a obok pod „tegoż autora”, siedem innych tytułów. Wydawcy nie znałem, ale na odwrocie karty tytułowej przeczytałem: „Pierwsze wydanie: styczeń 1954”.

Odwróciłem książkę i o mało jej nie upuściłem. Z tyłu na okładce było zdjęcie autora — niewątpliwie moje zdjęcie — i to z wąsikiem… Podłoga zakołysała mi się pod nogami.

Nagle za plecami usłyszałem głos, który wydał mi się znajomy:

— Jak się masz, Narcyzie! Widzę, że robisz sobie reklamę. Jak idzie książka?

— Martin! — wykrzyknąłem. Jeszcze nigdy w życiu żadne spotkanie nie sprawiło mi takiej przyjemności. — Martin! Przecież myśmy się nie widzieli od czasu… zaraz, kiedy to było?

— Co najmniej trzy dni temu, stary — odparł nieco zdziwiony.

Trzy dni! W Cambridge często widywałem się z Martinem Fallsem, ale po skończeniu studiów spotkaliśmy się wszystkiego ze dwa razy, a ostatni raz chyba dwa lata temu. Ale Martin ciągnął:

— A może byśmy tak coś przekąsili, jeśli masz chwilkę czasu? — zaproponował.

I tu coś nie grało. Od lat nie słyszałem, żeby ktoś mówił „przekąsić”. Robiłem jednak co mogłem, żeby wyglądało, że wszystko jest w porządku.

— Świetnie — powiedziałem — ale będziesz musiał zapłacić. Świsnęli mi portfel.

Martin cmoknął.

— Mam nadzieję, że nie było tam wiele. To co, może byśmy poszli do klubu? Tam będziesz mógł zrealizować czek.

Odłożyłem książkę na miejsce i wyszliśmy.

— Wiesz, zabawna historia — rzekł Martin — właśnie spotkałem Tommy'ego, Tommy'ego Westhouse'a. Ależ ten obskakuje swojego amerykańskiego agenta. Ze skóry wyłazi. Pamiętasz tę koszmarną historię Tommy'ego — „Kolczasta róża"? Takie bzdury: Ben Hur spotyka się z Kleopatrą, w czym przeszkadza im markiz de Sade. Wiesz, jego agent chyba… — Martin paplał dalej snując swoją opowieść z życia środowiska, pełną nazwisk, które mi nic nie mówiły, co trwało na tyle długo, że zdążyliśmy dojść do Pall Mall. Na koniec rzucił: — Aha, nie powiedziałeś mi, jak zostało przyjęte „W zaraniu życia"… Podobno zamówienia przekroczyły nakład… Ale widziałem, że w recenzji to i owo ci wytknęli.

Prawdę mówiąc, sam jeszcze tego nie przeczytałem. Człowiek nigdy nie ma czasu.

Wybrałem metodę najłatwiejszą — postanowiłem nie angażować się w rozmowę. Wydawało mi się to prostsze niż próby zrozumienia czegokolwiek, więc mu powiedziałem, że mniej więcej takiego przyjęcia się spodziewałem.

Klubem, do któregośmy w końcu dotarli, okazał się „Dzikus". Nie jestem wprawdzie członkiem, ale portier zwrócił się do mnie po nazwisku, jakbym tu był codziennym gościem.

— No to strzelimy sobie jednego szybkiego — zaproponował Martin — a potem pójdziemy do George'a w sprawie czeku.

Miałem na ten temat jak najgorsze przeczucia, ale wszystko poszło gładko i w czasie obiadu robiłem dobrą minę do złej gry. Popadłem w podobne tarapaty jak teraz — tyle że na odwrót. Ale zasada działała ta sama: jeżeli coś jest nie tak, ludzie chętniej uznają cię za wariata, niż ci pomogą — dlatego należy trzymać fason.

Obawiam się jednak, że nie zawsze mi się to udawało. Kilka razy Martin spojrzał na mnie z niepokojem. A raz nawet zapytał:

— Czy ty się dobrze czujesz, stary?

Prawdziwa wsypa nastąpiła jednak dopiero, kiedy mając na talerzyku kawałek sera sięgnął lewą ręką po seler. W tym momencie bowiem zobaczyłem na jego małym palcu złoty sygnet, co mną tak wstrząsnęło, że straciłem czujność — bo, widzi pan, Martin nie ma u lewej ręki palców małego i serdecznego, zostawił je gdzieś nad Renem w 1945 roku.

— O Boże! — wykrzyknąłem, ponieważ wstrząsnęło to mną silniej niż cokolwiek dotychczas. Gwałtownie zwrócił ku mnie twarz.

— Co z tobą, do licha, stary? Jesteś blady jak ściana.

— Twoja ręka… — powiedziałem.

Spojrzał na nią z zaciekawieniem, a potem, z jeszcze większym, na mnie.

— Nie widzę w niej nic dziwnego — rzekł, lekko mrużąc oczy.

— Ale… ale przecież straciłeś te dwa ostatnie palce na wojnie —

wykrzyknąłem. Jego brwi uniosły się do góry, po czym opadły, a na twarzy pozostał wyraz troski. Powiedział z czymś w rodzaju współczucia:

— Coś ci się pokręciło, stary. Wojna się skończyła przed moim urodzeniem.

Poczułem się jakoś niewyraźnie, a kiedy znów wszystko nabrało sensu, stwierdziłem, że leżę w głębokim fotelu, a Martin siedzi koło mnie i mówi:

— Radzę ci, stary, idź jeszcze dzisiaj do lekarza. Musiałeś ucierpieć gorzej, niż ci się wydawało. Wiesz, z głową nie ma żartów. No, na mnie już czas. Jestem umówiony. Ale nie odkładaj tej wizyty. To bardzo niebezpieczne. I daj znać, co z tobą. — I wyszedł.

Leżałem jeszcze jakiś czas w fotelu. Ciekawe, ale od chwili odzyskania przytomności na Regent Street po raz pierwszy poczułem się normalnie. Jak gdyby jakiś wielki wstrząs wyrwał mnie ze stanu otumanienia i znów zaskoczyły mi w głowie jakieś tryby. Byłem zadowolony, że się pozbyłem towarzystwa Martina i że znów mogłem myśleć…

Rozejrzałem się po hallu. Jak już wspomniałem, nie jestem członkiem klubu i nie znałem lokalu na tyle, żeby pamiętać szczegóły, ale mimo to wydało mi się, że jest trochę inaczej — że dywan i lampy są jakby inne niż dawniej…

Poza mną niewiele było osób. Dwóch mężczyzn rozmawiało w kącie, trzech drzemało, dwóch innych czytało gazety; nikt nie zwracał na mnie uwagi. Podszedłem do stołu z czasopismami i wziąłem *The New Statesman* z 22 stycznia 1954 roku. Artykuł redakcyjny na pierwszej strome nawoływał do nacjonalizacji transportu jako pierwszego kroku na drodze do uspołecznienia środków produkcji, co z kolei położyłoby kres bezrobociu. Coś mi to przypominało. Przewróciłem kartkę, przeglądając felietony, które dla odmiany z niczym mi się nie kojarzyły. Z przyjemnością odnalazłem Krytyka, stwierdzając, że wśród problemów, którymi się aktualnie zajmował, były pewne prace eksperymentalne prowadzone w Niemczech. Jego obawy podzielało wielu poważnych uczonych, ponieważ w sytuacji, w której możliwość rozszczepienia jądra atomu przestała budzić wątpliwości, proponowane środki kontroli stały się niewystarczające. Powstawała bowiem groźba reakcji łańcuchowej, która mogłaby spowodować kataklizm na miarę kosmiczną. Powołano specjalną komisję, składającą się zarówno z wybitnych przedstawicieli nauk humanistycznych, jak i ścisłych, która miała wystąpić do Ligi Narodów, domagając się protestu w imieniu ludzkości przeciwko tym lekkomyślnym poczynaniom….

No, no!..

Odzyskawszy nieco pewność siebie zacząłem się intensywnie

zastanawiać. Powoli, niejasno z początku, ale zaczynało mi świtać, co mogło się stać, choć do tej pory nie mam pojęcia ani jak, ani dlaczego do tego doszło.

Moje wyobrażenia na ten temat były mgliste. Prawdopodobnie zrodziła je myśl, że jakiś przypadkowy neutron może w pewnych określonych okolicznościach zostać wychwycony przez atom uranu, zaś w nieco odmiennych warunkach najwidoczniej nie…

Ale cóż, człowiek został wychowany w duchu przeciwnym Einsteinowi i jego teorii względności, która, jak wiadomo, zaprzecza możliwości zdeterminowania ruchu w sensie absolutnym i w konsekwencji prowadzi do koncepcji czterowymiarowej czasoprzestrzeni. Skoro więc nie możemy zdeterminować ruchu w czasoprzestrzeni, to wszelkie właściwości ruchu muszą być pozorne i wobec tego nie istnieją żadne dające się określić skutki. Jeżeli jednak przedmioty podlegające ruchowi w przestrzeni są do siebie podobne, to znaczy zbudowane z podobnych atomów, i pozostają z grubsza w tym samym stosunku do przestrzeni, to jednak skutki mogą być zbliżone — jakkolwiek nie identyczne, oznaczałoby to bowiem, że zdeterminowanie ruchu jest możliwe. Ale skutki te jako bardzo podobne, nadają się do rozważania w kategoriach szczególnej teorii Einsteina i wobec tego mogłyby być dalej określane przez zespół bardzo zbliżonych czynników. Innymi słowy, chociaż nieokreślony punkt, który możemy nazwać momentem w roku 1954, musi wystąpić w przestrzeni, to jednak istnieje on jedynie w odniesieniu do danego obserwatora i jak się wydaje, w podobnej formie — dla osób znajdujących się w pobliżu. Ponieważ jednak nie może być dwóch identycznych obserwatorów, każdy musi mieć swoją własną przeszłość, teraźniejszość i przyszłość, a więc to, co człowiek postrzega, wynika z czynników określających jego stosunek do czasoprzestrzeni i istnieje tylko dla niego.

Zacząłem więc po trochu rozumieć, c o się ze mną stało: otóż w jakiś sposób — którego do tej pory nie umiem sobie wytłumaczyć — zostałem przeniesiony na pozycją innego obserwatora, którego punkt widzenia był pod pewnymi względami zbliżony do mojego, ale jednak na tyle odmienny, że miał on kontakty, o których ja nie mam pojęcia. Innymi słowy, musiał żyć w świecie realnym jedynie dla niego, tak jak ja żyłem w świecie realnym tylko dla mnie — aż do chwili, kiedy to dziwne przeniesienie pozwoliło mi obserwować jego świat — oczywiście z odpowiednią przeszłością i przyszłością — zamiast świata, do którego przywykłem.

Widzi pan, teraz, kiedy się nad tym zastanawiam, sprawa wydaje się prosta, ale oczywiście nie od razu na to wpadłem, jednak moje rozumowanie było na tyle bliskie koncepcji związku obserwator-istnienie, że uznałem, iż niezależnie od tego, co spowodowało

przeskok, mój umysł jest mniej więcej w porządku. Cały kłopot polega na tym, że znajduje się on nie w tym miejscu i odbiera bodźce nie przeznaczone dla mnie — jak odbiornik podłączony do niewłaściwego obwodu.

No cóż, to niedobrze, o całe niebo jednak lepiej, niż gdyby odbiornik był uszkodzony. To odkrycie podniosło mnie trochę na duchu.

Dłuższy czas siedziałem w klubie, usiłując sobie to wszystko wyjaśnić i zastanawiając się, co robić, aż wreszcie skończyły mi się „Marinery". Wtedy poszedłem do telefonu.

Najpierw zadzwoniłem do Przedsiębiorstwa Elektrofizycznego. Ale nie uzyskałem połączenia. Sprawdziłem w książce telefonicznej. Numer był zupełnie inny, nawet centrala. Zadzwoniłem po raz drugi.

— Wewnętrzny sto trzydzieści trzy — powiedziałem do dziewczyny obsługującej centralę i po namyśle dodałem nazwę swojego działu.

— Aha, chodzi panu o wewnętrzny pięćdziesiąt dziewięć — sprostowała.

Ktoś się odezwał, więc powiedziałem:

— Poproszę do telefonu pana Colina Trafforda.

— Chwileczkę — odparła dziewczyna. — Niestety nie widzę w ogóle takiego nazwiska w tym dziale.

Znów wykręciłem numer centrali. Dłuższa przerwa.

— Przepraszam bardzo — rzekła dziewczyna — ale nie mogę znaleźć takiego nazwiska w całym wykazie pracowników.

Odłożyłem słuchawkę. Widać z tego, że nie pracowałem w Przedsiębiorstwie Elektro-Fizycznym. Po krótkim namyśle wykręciłem swój numer w Hampstead.

— Gorseciarstwo Transcendentalne — oznajmił dźwięczny głos. Odłożyłem słuchawkę.

Przyszło mi do głowy, żeby sprawdzić swój numer w książce telefonicznej. Był, owszem: „Trafford Colin, W., Hogarth Court 54, Duchess Gardens, S.W. 7., SLOane 67021". Wykręciłem ten numer. Słyszałem sygnał po drugiej stronie. Telefon dzwonił i dzwonił…

Wyszedłem z budki telefonicznej zastanawiając się, co robić. Miałem bardzo głupie uczucie: jakby mnie nagle zrzucono w samym środku obcego miasta, gdzie nie mam żadnego punktu zaczepienia nawet w postaci pokoju hotelowego, a na domiar złego miasto wydawało mi się obce jedynie w szczegółach natury osobistej.

Po dalszym namyśle doszedłem do wniosku, że najlepszą barwę ochronną zapewnię sobie postępując w ten sposób, jak tego po Colinie Traffordzie oczekują. I jeżeli nie ma dla mnie pracy w Przedsiębiorstwie Elektro-Fizycznym, to mam przynajmniej dom, do którego mogę iść…

Piękny blok — Hogarth Court — puszysty dywan, podświetlona dekoracja z kwiatów w hallu. Ponieważ akurat nie było nigdzie widać portiera, więc poszedłem prosto do windy.

Dom wydał mi się zaskakująco mały jak na pięćdziesiąt cztery mieszkania, więc nacisnąłem od razu ostatnie, piąte piętro i rzeczywiście wysiadłszy z windy, znalazłem się na wprost numeru 54. Wyjąłem pęk kluczy i spróbowałem tego, który wydał mi się najbardziej prawdopodobny. Okazało się, że pasuje.

Wszedłem do niewielkiego hallu. Nic specjalnego — biała farba, tapety w delikatny rzucik, płaski rudy dywan, stolik z telefonem, parę kwiatów w wazonie, nad nimi ładne lustro w złoconej ramie, twarde, zwykłe krzesło, mały korytarzyk, kilka par drzwi. Zatrzymałem się na chwilę.

— Halo! — zawołałem na próbę. I zaraz powtórzyłem głośniej: — Halo! Jest tam kto?

Nie odpowiedział mi żaden głos ani żaden dźwięk. Zamknąłem za sobą drzwi. No i co teraz? Do diabła, przecież byłem — jestem — Colinem Traffordem. Zdjąłem płaszcz. Nie miałem pojęcia, gdzie go powiesić. Rozejrzawszy się jednak spostrzegłem szafę na okrycia… Wisiało tam już parę płaszczy, męskich i damskich. Damskie kalosze… wstawiłem swoje.

Postanowiłem zbadać topografię mieszkania i przekonać się, jakie ono właściwie jest…

Nie będę wymieniał szczegółów, ale może mi pan wierzyć, że ładne. Większe niż sobie na początku wyobrażałem. Przyjemnie urządzone — bez ekstrawagancji, ale z pewną swobodą. No i z wyraźnymi oznakami dobrego smaku, jakkolwiek nie mojego. A zresztą — cóż to jest smak? Albo wyczucie okresu, albo subtelny wybór spośród tego, co modne. Czułem, że w grę wchodzi to ostatnie, ale ponieważ moda była mi obca, nie przemawiało to do mnie.

Bardzo ciekawa okazała się kuchnia. Lodówka, brak maszyny do zmywania, pojedynczy zlewozmywak, brak suszarki do talerzy, żadnych płyt laminowanych, staromodna kuchenka elektryczna, paczka płatków mydlanych, żadnych syntetycznych detergentów, u sufitu dziwna lampa wielkości około trzech stóp kwadratowych, żadnego miksera…

Salon okazał się przestronny, krzesła wygodne. Żadnych opływowych kształtów. Duży odbiornik radiowy, dość ozdobny i bez UKF. Oświetlenie znów sufitowe, a prócz tego jakby szklane skrzynki na stojakach. Brak telewizora…

Obszedłem całe mieszkanie. Sypialnia bardzo kobieca w stylu, ale bezpretensjonalna. Małżeńskie łoże. Łazienka wykładana białymi kaflami. Gościnna sypialnia, niewielkie podwójne łóżko. I tak dalej. Ale najbardziej zainteresował mnie pokój na samym końcu korytarza.

Coś w rodzaju gabinetu. Jedna ściana cała zastawiona regałami; niektóre książki — te starsze — znane mi, inne nie. Fotel, krzesło. Naprzeciwko okna duże, pokryte skórą biurko, skąd roztaczał się widok na nagie drzewa parku; ponad nimi dachy i spory skrawek nieba. Na biurku zamknięta maszyna do pisania, lampa na ruchomym ramieniu, kilka skoroszytów, z których wystawały w nieładzie kartki, szkatułka z papierosami, metalowa popielniczka, czysta i pusta, i fotografia w skórzanej ramce.

Przyjrzałem się zdjęciu uważnie. Było urocze. Dziewczyna, którą przedstawiało, mogła mieć dwadzieścia cztery — dwadzieścia pięć lat. Inteligentna, pełna radości życia, ktoś, kogo chciałoby się znać, ale kogo nie znałem…

Na lewo od biurka stała szafa biblioteczna, ze szklaną nadstawką, na której zauważyłem osiem książek. Wszystkie książki miały kolorowe obwoluty i robiły wrażenie nowych. Na końcu po prawej stronie dostrzegłem tę samą książkę, którą widziałem rano u Hatcharda — „W zaraniu życia". Autorem wszystkich pozostałych był również Colin Trafford. Usiadłem na obrotowym krześle przy biurku i zadumałem się nad nimi, a następnie z dziwnym uczuciem, jak gdyby rozdwojenia, wyciągnąłem „W zaraniu życia" i otworzyłem.

Upłynęło może z pół godziny albo trochę więcej, kiedy usłyszałem zgrzyt klucza w zamku. Uznałem, że lepiej będzie się ujawnić, niż zostać zaskoczonym. Otworzyłem drzwi. Na końcu przedpokoju zobaczyłem kobietę w szarym zamszowym płaszczu trzy czwarte, spod którego wystawała tweedowa spódnica. Rzuciła na stolik paczki i na skrzypnięcie drzwi odwróciła się. Była to niewątpliwie osoba z fotografii, ale w zupełnie innym nastroju. Kiedy się do niej zbliżałem, patrzyła na mnie ze zdziwieniem, zaprawionym innymi uczuciami, których nie byłem w stanie odgadnąć. Jedno nie ulegało dla mnie wątpliwości: nie był to pełen uwielbienia wyraz witającej męża żony.

— O — powiedziała — jesteś… Co się stało?

— A co się miało stać? — spytałem usiłując coś z niej wyciągnąć.

— Myślałam, że masz dziś jedno z tych swoich szalenie ważnych spotkań z Dickie w BBC — powiedziała trochę cierpko, jak mi się wydało.

— Ach tak, rzeczywiście, widocznie musiał je odwołać — odparłem niezręcznie.

Zastygła w bezruchu przyglądając mi się badawczo, i trochę jakby dziwnie. Stałem i gapiłem się na nią, zastanawiając się, co robić, wściekły na siebie, że zamiast tracić czas na przeglądanie „Zarania życia" nie obmyśliłem jakiegoś planu tego nieuniknionego przecież spotkania. Byłem na tyle głupi, że się nawet nie zainteresowałem, jak ona ma na imię. Nie ulegało wątpliwości, że musiałem popełnić jakiś błąd, jak tylko otworzyłem usta. A poza tym było w niej coś takiego,

że do reszty straciłem głowę… Nie pamiętam od lat, żeby mnie tak wzięło… W każdym razie nie tak silnie… Ostatecznie kiedy człowiek ma trzydzieści trzy lata, rzadko mu się takie rzeczy zdarzają, w każdym razie w takiej formie… Żeby nagle serce wezbrało i wszystko stało się jasne i piękne jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej…

Staliśmy więc naprzeciwko siebie w dalszym ciągu — ona z lekko zmarszczonym czołem, ja wzruszony i zmieszany, niezdolny powiedzieć słowa.

Spuściła wreszcie oczy i zaczęła rozpinać płaszcz. Ona też robiła wrażenie zmieszanej.

— Jeśli… — zaczęła, ale w tym momencie zadzwonił telefon. Z wyraźną ulgą podniosła słuchawkę. W panującej w hallu ciszy słyszałem, jak kobiecy głos prosi o Colina.

— Tak — powiedziała — jest. — I wręczyła mi słuchawkę z bardzo dziwną miną.

— Halo, słucham.

— To ciekawe — odparł głos. — Czy mogłabym się dowiedzieć, co się z tobą dzieje?

— Ja… to znaczy niezupełnie — zacząłem, ale mi przerwała.

— Mój drogi, straciłam godzinę czasu czekając na ciebie. Myślałam, że jak nie możesz przyjść, to przynajmniej będziesz miał tyle przyzwoitości, żeby zadzwonić i mnie uprzedzić. A tymczasem ty sobie po prostu siedzisz w domu. Nie powiem, żeby to było w porządku, Colin.

— Ja… ale właściwie kto mówi? — Na nic więcej nie mogłem się zdobyć. Byłem boleśnie świadom tego, że młoda kobieta koło mnie zastygła w trakcie zdejmowania płaszcza.

— Na miłość boską — powiedział rozdrażniony głos. — Co za głupie żarty. A kto niby może mówić?

— Właśnie pytam — odpowiedziałem.

— Nie bądź błazen, Colin. Jeżeli to ma być ze względu na Otylię — a założę się, że ona tam z tobą jest — to kompletny idiotyzm. Przecież sama odebrała telefon, więc musi wiedzieć, że to ja.

— To wobec tego spytam ją, kto ty jesteś — zaproponowałem.

— Widzę, mój drogi, że musisz być kompletnie zalany. Lepiej się prześpij — warknęła i zaległa cisza.

Odłożyłem słuchawkę. Moja towarzyszka patrzyła na mnie z niekłamanym osłupieniem. Było cicho, więc musiała słyszeć tamten głos niemal tak dobrze jak ja. Odwróciła się do mnie tyłem i zajęła się zdejmowaniem płaszcza, który powiesiła w szafie na wieszaku. Gdy już to zrobiła, bardzo starannie, odwróciła się z powrotem w moją stronę.

— Nic nie rozumiem — powiedziała. — Czy ty przypadkiem nie jesteś pijany? Co to wszystko ma znaczyć? Czym ci się naraziła

kochana Dickie?

— Dickie? — powtórzyłem. Niewielka zmarszczka między jej brwiami pogłębiła się.

— Colin, jeżeli sobie wyobrażasz, że ja jeszcze do tej pory nie poznaję przez telefon głosu Dickie…

— Och — westchnąłem. Była to wyjątkowo głupia gafa. Trudno sobie wyobrazić, żeby ktoś mógł pomylić płeć swoich przyjaciół. Jeżeli nie chcę się wydać skończonym idiotą, muszę natychmiast wyjaśnić sytuację.

— Może byśmy przeszli do saloniku — zaproponowałem. — Chciałbym z tobą porozmawiać.

Usiadłem naprzeciwko niej zastanawiając się, od czego zacząć. Byłoby to trudne, nawet gdybym dokładnie zdawał sobie sprawę z tego, co się ze mną stało. Ale jak tu wytłumaczyć, że chociaż ciało należy do Colina Trafforda i ja sam jestem Colinem Traffordem, to przecież nie tym Colinem — nie człowiekiem, który napisał te wszystkie książki i się z nią ożenił, tylko jakimś innym równoległym Colinem Traffordem zabłąkanym w równoległym świecie. Trzeba było znaleźć jakiś sposób, tak żeby nie musiała wzywać zaraz psychiatry, a to wcale nie było łatwe.

— No więc? — zagadnęła.

— To trudno wytłumaczyć — grałem na zwłokę, ani trochę nie udając.

— O, nie wątpię — odpowiedziała bez zachęty w głosie i dodała: — A może byłoby ci łatwiej, gdybyś tak na mnie nie patrzył. Mnie zresztą też.

— Przydarzyło mi się coś bardzo dziwnego.

— Mój Boże, znów? Czy mam ci współczuć, czy może jeszcze co innego?

Poczułem się speszony i zbity z tropu.

— Czy chcesz powiedzieć, że już mu się takie rzeczy zdarzały? — spytałem.

Spojrzała na mnie twardo.

— O kogo ci chodzi? Myślałam, że mówisz o sobie. A ja chciałam tylko powiedzieć, że teraz jest to Dickie, a poprzednim razem była Frances, a jeszcze przed nią Lucy… A przed chwilą dałeś Dickie taką odprawę… Czy powinnam być zdziwiona?

Dość szybko poznawałem moje alter, ego, ale niestety odbiegliśmy od tematu. Podjąłem więc kolejną próbę:

— Ależ nie, ty nie rozumiesz. To jest coś zupełnie innego.

— Oczywiście że nie rozumiem. Żony nigdy nie rozumieją. I za każdym razem jest to coś innego. No cóż, jeżeli to wszystko, co miałeś mi ważnego do powiedzenia… — zaczęła wstawać.

— Ależ nie, proszę cię… — powiedziałem gorąco.

Opanowała się, znów przyglądając mi się bardzo uważnie. Zmarszczka na czole powróciła.

— Nie — powtórzyła. — Ja rzeczywiście nie rozumiem. Przynajmniej mam nadzieję, że… że nie… — nie przestawała mi się przyglądać ze wzrastającą jak gdyby niepewnością.

Kiedy domagasz się od kogoś drugiego zrozumienia, bezosobowa forma zwracania się nie jest najzręczniejsza, ale jeśli nie wiesz nawet, czy powinieneś mówić „moja droga", „kochanie", czy przyjąć wariant jeszcze bardziej intymny, poprzedzając go imieniem, przezwiskiem czy zdrobnieniem, masz przed sobą naprawdę nie lada orzech do zgryzienia. I do tego to koszmarne nieporozumienie.

— Otylio, kochanie — spróbowałem, ale musiałem nie trafić na właściwą formę, ponieważ jej oczy o mało nie wyszły z orbit. Ale postanowiłem nie dać sobie przerwać: — To naprawdę nie jest to, o czym myślisz, nic podobnego. Widzisz, ja w pewnym stopniu nie jestem tą samą osobą…

Znów odzyskała panowanie nad sobą.

— Może cię to zdziwi, ale już od jakiegoś czasu zdaję sobie z tego sprawę — powiedziała. — A poza tym chciałam ci przypomnieć, że coś podobnego mówiłeś mi już nieraz. Ale w porządku, przyjmijmy, że jest tak, jak mówisz: nie jesteś tą samą osobą, za którą wychodziłam za mąż, i wobec tego chcesz się ze mną rozejść — czy może boisz się, że tym razem mąż Dickie wytoczy ci sprawę? Boże, jak ja już mam tego wszystkiego dosyć…

— Nie, nie — zaprotestowałem rozpaczliwie. — To nie ma z tym nic wspólnego. Proszę cię bardzo, bądź cierpliwa. To jest sprawa potwornie trudna do wyjaśnienia… — przerwałem wpatrując się w nią, co wcale nie ułatwiało sprawy. Rzeczywiście nie pomagało to bynajmniej w próbach znalezienia racjonalnego rozwiązania problemu. Siedziała nie spuszczając ze mnie wzroku, w dalszym ciągu ze zmarszczką na czole, ale bardziej już teraz zdezorientowana niż zirytowana.

— Z pewnością coś ci się musiało przydarzyć… — powiedziała.

— Właśnie o tym chcę ci powiedzieć — odparłem, ale wątpię, czy mnie w ogóle usłyszała. W miarę jak na mnie patrzyła, jej oczy coraz bardziej się rozszerzały. Nagle uciekły w bok.

— Nie! — wykrzyknęła. — Och nie! — robiła wrażenie, jakby się miała zaraz rozpłakać; splotła mocno przed sobą ręce i wyszeptała cicho: — Och nie!.. O Boże, proszę cię, nie… już nie. Czy nie dość jeszcze wycierpiałam? Nie… nie!

Zerwała się nagle i zanim zdążyłem się podnieść z krzesła, już jej nie było.

* * *

Colin Trafford przerwał, żeby zapalić następnego papierosa, ale nie zaraz podjął.

— Oczywiście — rzekł w końcu — musiał się pan zorientować, że tamta pani Trafford nazywała się z domu Otylia Harshom. Urodziła się w 1928 roku, a w 1949 wyszła za mąż za tamtego Colina Trafforda. Jej ojciec zginął w wypadku samolotowym w 1938 roku — nie pamiętam, żeby kiedykolwiek wspomniała jego imię. A szkoda, szkoda wielu rzeczy: gdybym wiedział, że dojdzie do odwrócenia sytuacji, zaobserwowałbym niejedno. Ale nie wiedziałem… Stało się coś bardzo dziwnego, i nie mam żadnych podstaw oczekiwać, że stanie się znów — w drugą stronę…

Zrobiłem, co mogłem, ze zwykłej ciekawości, żeby ustalić, kiedy nastąpiło to rozdwojenie. W pewnym momencie, prawdopodobnie przypadkowo, zaszedł — czy też może właśnie nie zaszedł — jakiś zasadniczy proces, którego poznanie ułatwiłoby uchwycenie momentu, atomu czasu rozszczepionego przez jakiś przypadkowy neutron, co dało początek dwóm nowym cząsteczkom, dwóm równoległym przyszłościom. Od chwili kiedy się to stało, pod wpływem narastających powoli skutków, warunki na jednej z tych płaszczyzn stopniowo coraz bardziej się zmieniały.

Może tak się dzieje zawsze. Może przypadek nieustannie produkuje dwa różne warianty rzeczywistości, tak że istniejąc w jednym określonym wymiarze nie jesteśmy w stanie dostrzec nieskończonej liczby płaszczyzn, często tak bliskich naszej własnej i tak świeżo powstałych, że różnią się jedynie drobnymi szczegółami. Płaszczyzny, na których jakiś niepomyślny zbieg okoliczności sprawił, że Aleksander Wielki został pokonany przez Persów, a Scypion przez Hannibala i że Cezar nie przekroczył Rubikonu; niezliczona ilość płaszczyzn powstałych w wyniku bezustannych przypadkowych podziałów. Kto by powiedział? Ale teraz, kiedy wiemy, że wszechświatem rządzi przypadek — dlaczego niby nie?

Niestety nie byłem w stanie uchwycić tego momentu. Wydaje mi się, że mogło to być albo pod koniec 1926, albo na początku 1927 roku. Dalej nie mogłem się posunąć bez niemożliwych do zdobycia danych, niezbędnych do porównania obu płaszczyzn. Coś, co się wtedy właśnie wydarzyło lub nie wydarzyło, uniemożliwiło między innymi dojście Hitlera do władzy i wybuch drugiej wojny światowej, a w konsekwencji opóźniło rozszczepienie jądra na tej płaszczyźnie naszej dychotomii — jeśli użyłem właściwego słowa.

W każdym razie dla mnie był to, jak już wspomniałem, przedmiot zupełnie ubocznego zainteresowania. Całą uwagę skupiłem bowiem na sprawach dotyczących mnie w sposób bardziej bezpośredni. A najważniejszą spośród nich była Otylia…

Jak pan wie, miałem żonę, którą kochałem. Nasze małżeństwo

było, jak to mówią, udane i nigdy, aż do chwili kiedy się ta cała historia wydarzyła, nie przyszło mi do głowy w to wątpić. Nie chciałbym być nielojalny w stosunku do Delii, zresztą nie sądzę, żeby była nieszczęśliwa, ale jestem wdzięczny losowi za jedno: że nie stało się to wszystko za jej życia. Nie dowiedziała się nigdy — bo i ja wtedy jeszcze nie wiedziałem — że ożeniłem się z niewłaściwą kobietą, i mam nadzieję, że nigdy nie pomyślała…

No cóż, a Otylia wyszła za mąż za niewłaściwego mężczyznę… co sami stwierdziliśmy. Czy też może należałoby powiedzieć, że nie poślubiła tego mężczyzny, którego sądziła, że poślubiła. Zakochała się w nim i niewątpliwie on ją też kochał — z początku. Ale nie minął rok, jak zaczęła się miotać między tą częścią jego istoty, którą kochała, a tą, której nienawidziła…

Jej Colin Trafford wyglądał jak ja — w każdym szczególe, aż do lewego kciuka, który wkręcił mi się kiedyś w wentylatorek elektryczny i od tej pory był trochę zniekształcony. I rzeczywiście aż do tego jakiegoś momentu w 1926 czy 27 roku on był mną. O ile wiem, mieliśmy podobny sposób bycia i wyrażania się, z nieznacznymi różnicami w intonacji i słownictwie, jak się zorientowałem na podstawie taśmy magnetofonowej; różniliśmy się w takich szczegółach, jak wąsy, uczesanie czy blizna z lewej strony czoła, która była tylko jego właściwością. A jednak w jakimś sensie ja byłem nim, a on był mną. Mieliśmy tych samych rodziców, te same geny i — o ile się nie myliłem co do czasu dychotomii — tę samą przeszłość mniej więcej do piątego roku życia.

Ale później warunki, na naszych różnych płaszczyznach, musiały się dla każdego z nas ułożyć inaczej. Otoczenie czy przeżycia rozwinęły w nim cechy, które we mnie pozostają pewnie utajone i — przypuszczam — vice versa.

Sądzę, że jest to rozsądne wyjaśnienie, a pan, doktorze? Człowiek rozpoczyna życie jako pewne tworzywo o indywidualnych skłonnościach i cechach, choć wspólnej dla wszystkich ogólnej tendencji, ale ostateczny kształt, jaki wyłoni się z tego tworzywa, zależy niemal wyłącznie od kontaktów i wpływów zewnętrznych. Jak one wyglądały w przypadku tego drugiego Colina, nie mam pojęcia, skutki były jednak dla mnie bolesne: przypominało to ciągłe przeglądanie się w rozmieszczonych w zupełnie nieoczekiwanych miejscach krzywych zwierciadłach.

Z różnych uwag i reakcji Otylii niejednego się o nim dowiedziałem. A poza tym w ciągu następnych dwóch dni uważnie studiowałem jego książki. Pierwszej nie miałem właściwie nic do zarzucenia, ale w miarę jak autor nabierał pewności siebie, coraz mniej mi się podobały: coraz wyraźniejszy rys brutalności świadczył o komercjalnym podejściu do sprawy. Ale nie tylko to — ostatecznie

każdemu wolno traktować własną twórczość jak chce — tak czy owak na każdej następnej książce coraz mniejszą miałem ochotę widzieć swoje nazwisko.

Odkryłem także utwór będący właśnie „na warsztacie". Posługując się jego notatkami mógłbym prawdopodobnie zupełnie nieźle tę rzecz podrobić, wiedziałem jednak, że sobie na to nie pozwolę. Gdybym miał kontynuować jego karierę literacką, to pisałbym po swojemu. W każdym razie nie miałem powodu się martwić o to, z czego będę żył: dzięki wojnie i innym okolicznościom fizyka w mojej rzeczywistości wyprzedzała ich fizykę o całe pokolenie. Nawet gdyby doszli do etapu radaru, to i tak byłaby to tajemnica wojskowa. Moja wiedza zapewniała mi pozycję geniusza i mógłbym zrobić majątek, gdybym chciał ją wykorzystać…

Colin uśmiechnął się i pokiwał głową.

— Widzi pan, jak już przeżyłem pierwszy szok i zacząłem rozumieć, co się stało, nie było powodu do paniki, a skoro spotkałem Otylię — do żalu. Jedyny problem polegał teraz na przystosowaniu się. Stwierdziłem, że bardzo mi w tym pomaga wracanie pamięcią do czasów przedwojennych. Ale szczegóły nastręczały poważne trudności: przyjaciele, których nie poznawałem czy z którymi straciłem kontakt — wszyscy oni mieli nie znaną mi przeszłość. Jedni byli z żonami czy mężami, których znałem (choć nie zawsze z tymi samymi); inni z zupełnie nieoczekiwanymi partnerami. Zdarzały się i zabawne momenty — na przykład spotkanie z grubym wesołkiem w barze hotelu „Hyde Park". On mnie nie znał, ale ja go sobie świetnie przypominałem. Kiedy go widziałem po raz ostatni, leżał w rowie przy drodze z kulą w głowie. Widziałem na przykład swoją żonę Delię, jak rozbawiona wychodziła z restauracji pod rękę z wysokim mężczyzną wyglądającym na prawnika; było coś niesamowitego w tym, jak na mnie spojrzała: jak na kompletnie obcego faceta. Poczułem się tak, jakbyśmy oboje byli duchami. Swoją drogą byłem zadowolony, że szczęśliwie przeżyła 1951 rok w tej rzeczywistości. Najbardziej niezręcznie czułem się natykając się na ludzi, których powinienem znać — krąg przyjaciół tego drugiego Colina był najwyraźniej dość rozległy i, powiedziałbym, szczególnego rodzaju. Aby jakoś wybrnąć z tego kłopotu, postanowiłem tłumaczyć się załamaniem nerwowym wynikłym z przepracowania.

Jedno nie przyszło mi do głowy: że to przesunięcie, które uważałem za nieodwracalne, mogło się powtórzyć — tym razem w drugą stronę…

Jestem wdzięczny losowi, że do tego nie doszło. Rzuciłoby to cień na trzy najpiękniejsze tygodnie w moim życiu. A chciałem, żeby było tak, jak głosił napis na kopercie zegarka: „C. na zawsze O."

Próbowałem jej wyjaśnić, co się według mnie musiało stać, ale

zupełnie to do niej nie docierało, więc dałem spokój. Myślę, że sama to sobie jakoś wytłumaczyła: mniej więcej w rok po ślubie zacząłem zdradzać objawy przemęczenia, a teraz poczułem się lepiej i stałem się znów człowiekiem, za jakiego mnie brała… Pewnie coś w tym rodzaju… Dla niej żadne teorie na ten temat nie były ważne, dla niej ważne były skutki…

I słusznie, dla mnie też. Cóż bowiem liczyło się poza tym? Jeśli chodzi o mnie — nic. Byłem zakochany. Co mnie obchodziło, w jaki sposób znalazłem tę jedyną nieznaną kobietę, której szukałem całe życie? Byłem szczęśliwy jak nigdy. Cokolwiek się na ten temat powie, są to wyświechtane banały, a jednak określenie „w siódmym niebie" nabrało dla mnie nagle treści. Byłem tak pewny siebie jak człowiek lekko wstawiony. Nie istniały dla mnie rzeczy trudne. Mając ją u boku, gotów byłem wszystkiemu stawić czoło. Myślę, że ona czuła podobnie. Jestem pewien. Wykreśliła z pamięci złe lata. Jej ufność wzrastała z każdym dniem. Gdybym tylko wiedział — ale skąd mogłem wiedzieć? Co mogłem zrobić?

Znów przerwał, wpatrzony w ogień. Milczał tym razem tak długo, że doktor poruszył się na krześle, żeby go przywołać do rzeczywistości.

— I co się stało? — zapytał.

Ale spojrzenie Colina Trafforda w dalszym ciągu było nieprzytomne.

— Co się stało? — powtórzył. — Gdybym to wiedział, może mógłbym… ale nie wiem, a zresztą co można wiedzieć… wszystkim rządzi przypadek… Jednego wieczoru zasnąłem z Otylią u boku, a nazajutrz rano obudziłem się w łóżku szpitalnym, znów tutaj…

W długiej przerwie, jaka znowu nastąpiła, doktor Harshom powoli nabił fajkę, zapalił ją starannie, sprawdził, czy dobrze się pali, zaciągnął się głęboko i usadowiwszy się wygodnie w fotelu z zamierzoną rzeczowością powiedział:

— Szkoda, że pan mi nie wierzy. Gdyby pan wierzył, nigdy by pan nie wszczynał tych poszukiwań. Gdyby pan zdołał uwierzyć, przerwałby je pan już dawno. Ale nie, pan wierzy, że istnieje jakiś system, jakaś rzeczywistość czy raczej dwie rzeczywistości, z początku bardzo do siebie zbliżone, ale stopniowo coraz bardziej się między sobą różniące, i że pan, pańska psychika, czy jak pan to nazwie, powstała w drodze przypadkowego odchylenia.

Nie wdawajmy się jednak teraz w filozoficzne czy metafizyczne rozważania nad tym, co pan nazywa dychotomią — wszystko to ma drugorzędne znaczenie. Powiedzmy, że doceniam wagę tego pańskiego doświadczenia, ale wstrzymam się z jego oceną. Doceniam z powodu kilku czynników, wśród których wcale nie na j pośledniejszą rolę odgrywa, jak już wspomniałem, znikome wprost

prawdopodobieństwo przypadkowego połączenia imienia Otylia z nazwiskiem Harshom. Oczywiście mógł pan spotkać się gdzieś z tym nazwiskiem i mogło ono zapaść w pańską podświadomość, ale to też uważam za tak mało prawdopodobne, że wykluczam taką ewentualność.

Zacznijmy więc od tego, że moim zdaniem porobił pan cały szereg zupełnie bezpodstawnych założeń. Przyjął pan na przykład, że skoro jakaś tam Otylia Harshom istnieje na tamtej płaszczyźnie, musi również istnieć i na tej. Nie uważam, żeby znalazło to uzasadnienie w pańskich dotychczasowych wywodach. Przyznaję, że mogła istnieć tutaj, ponieważ w tej gałęzi rodziny, z której ja pochodzę, to imię „występuje, ale prawdopodobieństwo, że nigdy nie istniała, jest znacznie większe. Czyż pan sam nie mówił, że spotykał pan przyjaciół, którzy w różnych okolicznościach byli żonaci z różnymi kobietami? A zatem czy nie jest wysoce prawdopodobne, że okoliczności, które stworzyły Otylię Harshom tam, w ogóle nie zaistniały tutaj? I tak właśnie musiało być.

Niech mi pan wierzy, naprawdę panu współczuję. Rozumiem, co pan musi przeżywać, ale czyż pańska sytuacja nie przypomina beznadziejnej pogoni za ideałem, którego nigdy nie było? Spójrzmy prawdzie w oczy: jeżeli ona istnieje albo kiedykolwiek istniała, powinienem o niej słyszeć, byłby jakiś ślad w archiwum miejskim, a wreszcie pańskie poszukiwania dałyby jakikolwiek pozytywny wynik. Dla pańskiego dobra namawiam pana, drogi chłopcze, żeby dał się pan przekonać. Nie ma pan po prostu szans, wszystko przemawia przeciwko panu.

— Poza moim głębokim przekonaniem — przerwał mu Colin. — Wiem, że jest ono sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem, ale je mam.

— Musi się pan starać je w sobie zwalczyć. Czy pan nie widzi, że to wszystko opiera się na samych domniemaniach i że do tej pory ona musiałaby już dawno wyjść za mąż?

— Ale za niewłaściwego człowieka — odparował Colin.

— Nawet i to nie jest logicznym wnioskiem. Jak pan sam mówi, pański duplikat różni się od pana. Tak samo jej duplikat byłby wychowany w zupełnie innych warunkach, a zatem niewykluczone, że podobieństwo byłoby czysto zewnętrzne. Widzi pan chyba, że wszystko to nie wytrzymuje krytyki. — Patrzył przez chwilę na Colina kiwając głową. — Gdzieś w podświadomości żywi pan przekonanie, że nieprawdopodobne przyczyny mogą spowodować prawdopodobne skutki. Niech pan się wreszcie z tego otrząśnie.

Colin uśmiechnął się.

— To, co pan mówi, jest bardzo w duchu fizyki Newtona, doktorze. Nie, czynnik przypadkowy jest zawsze przypadkowy. A więc przypadek istnieje.

— Młody człowieku, jest pan niepoprawny — rzekł doktor. — Życzenie sukcesu w sytuacji tak beznadziejnej byłoby bezprzedmiotowe, ale za samą wytrwałość należy się panu nagroda. Radziłbym panu jednak zaangażować swoją energię w zdobywanie tego, co jest osiągalne.

Doktorowi zgasła fajka, więc zapalił ją ponownie.

— To było — podjął po chwili — zalecenie lekarza. A teraz, jeśli nie jest dla pana zbyt późno, chętnie posłuchałbym czegoś więcej na ten temat. Nie chciałbym stwarzać nawet pozorów, że zgłębiłem naturę pańskiego przeżycia, ale spekulacje wyrosłe na gruncie koncepcji owej domniemanej drugiej płaszczyzny są interesujące. Ciekawość tego, jak sobie poczyna na niej alter ego nasze czy naszych bliźnich, jest zupełnie naturalna. Weźmy na przykład naszego obecnego premiera — czy ten drugi też jest premierem? A taki sir Winston — czy może tam nie jest on sir Winstonem? — jak mógł na miłość boską rozwinąć swoje talenty bez drugiej wojny światowej? I co z biedną Labour Party?… Jedno pytanie pociąga za sobą następne.

* * *

Nazajutrz rano po późnym śniadaniu doktor Harshom podając swojemu gościowi w hallu płaszcz, zatrzymał go jeszcze na „słówko".

— Przez resztę nocy rozmyślałem nad tą sprawą — wyznał szczerze. — Niezależnie od tego, jakie jest właściwe wyjaśnienie tej zagadki, musi pan to wszystko zapisać, każdy szczegół, który pan sobie zdoła przypomnieć. Proszę to zrobić anonimowo, jeśli pan woli, ale niech pan tego broń Boże nie zaniedba. Może to opracowanie nie będzie unikalne, może kiedyś okaże się cennym potwierdzeniem czyichś doświadczeń albo posłuży podtrzymaniu czyjejś teorii. Niech więc pan to wszystko zapisze, ale potem zaraz przestanie się tym interesować i więcej nie zawraca sobie tym głowy… Niech pan zrobi wszystko, żeby zapomnieć o założeniach, które pan porobił — naprawdę nie mają one żadnego uzasadnienia. Ona nie istnieje. Jedyne Otylie Harshom, jakie kiedykolwiek istniały na świecie, dawno już nie żyją. Niech jej wizerunek uleci z pana pamięci. I dziękuję panu bardzo za zaufanie. Jestem ciekawy, ale dyskretny. Jeśli mógłbym panu w jakikolwiek sposób pomóc…

Doktor patrzył za odjeżdżającym samochodem. Colin pomachał mu jeszcze ręką, zanim zniknął za zakrętem. Doktor Harshom pokiwał głową. Zdawał sobie dokładnie sprawę, że było to próżne gadanie, ale uważał za swój obowiązek jeszcze raz przemówić mu do rozsądku. Po chwili odwrócił się na pięcie i ze zmarszczonym czołem wszedł do domu. Czy ta obsesja była wynikiem jakiegoś urojenia, czy czegoś

więcej, nie miało właściwie znaczenia — jeśli tak dalej pójdzie, młody człowiek doprowadzi się do kompletnego rozstroju nerwowego.

* * *

W ciągu następnych kilku tygodni doktor Harshom nie dowiedział się niczego więcej poza tym, że Colin Trafford nie zastosował się do jego rad, doszły go bowiem słuchy, że zasięgał informacji na temat Otylii Harshom zarówno u Petera Harshoma zamieszkałego w Kornwalii, jak i u Harolda z Durham.

Potem przez parę miesięcy była cisza. Aż przyszła widokówka z Kanady. Na jednej stronie było zdjęcie Parlamentu w Ottawie, a na odwrocie krótki tekst:

„Znalazłem ją. Oczekuję gratulacji. C.T."

Doktor Harshom przestudiował kartkę, a na koniec uśmiechnął się lekko. Był zadowolony. Spodobał mu się Colin Trafford; szkoda, żeby chłopak się zmarnował przez jakąś beznadziejną mrzonkę. Oczywiście ani przez chwilę nie wierzył w znalezienie Otylii Harshom, ale jeśli któraś rozsądna dziewczyna zdołała go przekonać, że stanowi jakieś tam wcielenie, jak by można powiedzieć, jego ukochanej, to daj jej Boże… i jemu… Może teraz ta obsesja mu bezproblemowo przejdzie. Chętnie przesłałby gratulacje, ale kartka nie zawierała adresu nadawcy.

W kilka tygodni później znów przyszła widokówka z Placem św. Marka w Wenecji. Tekst i tym razem był lakoniczny, ale przynajmniej zawierał adres hotelu.

‚Spędzamy miodowy miesiąc. Czy mogę ją przywieźć i panu przedstawić?"

Doktor Harshom zawahał się. Ze względów profesjonalnych był temu przeciwny; czuł, że należy unikać sytuacji, które mogłyby wprawić młodego człowieka w podobny nastrój jak ostatnio. Z drugiej strony odmowa mogłaby mu się wydać tyleż dziwna, co niegrzeczna. W końcu odpisał na widokówce przedstawiającej katedrę w Hereford:

„Proszę bardzo. Kiedy?"

* * *

W połowie sierpnia zjawił się Colin Trafford. Był opalony i wyglądał znacznie lepiej. Doktor stwierdził to z zadowoleniem, zdziwiony, że w samochodzie poza Colinem nie ma nikogo.

— Myślałem, że ta wizyta ma na celu przedstawienie mi pańskiej żony — powiedział z pewnym wyrzutem.

— Bo miała… to znaczy ma — zapewnił go Colin. — Ona jest w hotelu. A ja… ja chciałem zamienić z panem przedtem parę słów.

Spojrzenie doktora stało się nieco surowsze, a w zachowaniu można było wyczuć rezerwę.

— Proszę bardzo, wejdźmy do domu. Jeśli jest coś takiego, o czym miałbym przy niej nie wspominać, trzeba mnie było uprzedzić w liście.

— Ach nie, nie o to chodzi. Ona o wszystkim wie. Nie jestem pewien, co ona o tym myśli, w każdym razie wie i bardzo chce pana poznać. Nie, to nie zajmie nam więcej jak dziesięć minut.

Doktor zaprowadził Colina do swojego gabinetu. Gestem wskazał mu fotel, sam zaś usiadł na obrotowym krześle przy biurku.

— No, niech pan pozbędzie się tego ciężaru — zachęcił go.

Colin siedział pochylony, z rękami zwieszonymi między kolanami.

— Przede wszystkim, doktorze, chciałbym panu podziękować. Moja wdzięczność nie ma granic. Gdyby pan mnie tu do siebie nie zaprosił, chyba bym jej nigdy nie znalazł.

Doktor Harshom zmarszczył czoło. Uważał, że nie zasłużył na te podziękowania. Nie ulegało dla niego wątpliwości, że bez względu na to, kogo znalazł Colin, fakt ten miał dla niego ogromne znaczenie z terapeutycznego punktu widzenia, mimo to zauważył:

— O ile pamiętam, nie zrobiłem nic poza tym, że pana wysłuchałem i udzieliłem panu rady, z której pan nie skorzystał.

— Mnie się też tak wtedy wydawało — odparł Colin. — Czułem się tak, jakby pan pozamykał przede mną wszystkie drzwi. Ale kiedy to przemyślałem, stwierdziłem, że pozostały jedne jedyne, w których zamek nie zaskoczył.

— Nie przypominam sobie, żeby spotkał się pan z najmniejszą zachętą z mojej strony.

— Oczywiście, że nie, ale i tak mnie pan zachęcił. Dał mi pan ostatnią, mało prawdopodobną wskazówkę, za którą poszedłem. Nie, jeśli pan zdobędzie się na jeszcze chwilkę cierpliwości, zrozumie pan, co mam na myśli. Kiedy dostrzegłem tę możliwość, stwierdziłem, że czeka mnie mnóstwo pracy, z którą sam nie dam sobie rady, że muszę uciec się do pomocy specjalistów. Oddali mi ogromne usługi i całkowicie przekonali mnie o słuszności obranej przeze mnie linii postępowania, tyle że skończyło się to na pokładzie statku płynącego do Kanady. A więc musiałem zaangażować prywatnych detektywów. Kanada to wielki kraj, do którego napływają tysiące ludzi. Sprawa wymagała ogromnej pracy profesjonalistów i właśnie zaczynałem odczuwać zniechęcenie, kiedy trafili na ślad, zaś już w następnym tygodniu uzyskali informację, że pracuje ona jako sekretarka w kancelarii adwokackiej w Ottawie.

Napisałem do Przedsiębiorstwa Elektrofizycznego, że przydałby

mi się bardzo bezpłatny urlop zdrowotny…

— Chwileczkę — przerwał mu doktor. — Gdyby mnie pan o to zapytał, powiedziałbym panu, że w Kanadzie nie ma żadnych Harshomów. Przypadkiem wiem o tym, bo…

— Och, co do tego już dawno przestałem się łudzić. Ona się wcale nie nazywała Harshom, tylko Gale — wtrącił Colin tonem wyjaśnienia.

— Aha, i pewnie nie miała na imię Otylia — dodał doktor z całą powagą.

— Nie, Belinda — odparł Colin.

Doktor mrugnął nieznacznie i otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale się rozmyślił. Colin ciągnął:

— Poleciałem więc tam, żeby się upewnić. Była to najbardziej nerwowa podróż w moim życiu. Ale wszystko dobrze się skończyło. Jeden rzut oka, i to na odległość, mi wystarczył. Nie mógłbym jej oczywiście pomylić z Otylią, ale była tak do niej podobna, że poznałbym ją wśród tysięcy. Może gdyby jej włosy i sukienka… — przerwał i zastanowił się, nieświadom wyrazu twarzy doktora. — W każdym razie — podjął — ja wiedziałem. I było mi cholernie trudno zapanować nad sobą na tyle, żeby się ku niej nie rzucić. Ale jakoś zdołałem się powstrzymać.

A teraz należało w jakiś sposób jej się przedstawić. Było to coś nieuniknionego — rodzaj przeznaczenia. Wiedziony ciekawością doktor powiedział:

— Niby to wszystko jasne, ale traktuje pan sprawę bardzo ogólnikowo. A co na przykład z jej mężem?

— Z mężem? — pytanie to z miejsca zmroziło Colina.

— Powiedział pan przecież, że nazywa się Gale — zauważył doktor.

— No bo tak się nazywa. Panna Belinda Gale, wydawało mi się, że mówiłem. Była kiedyś wprawdzie zaręczona, ale nie wyszła za mąż. Muszę panu wyznać, że nad tą całą sprawą zawisło jakieś fatum — w greckim sensie tego słowa.

— Ale jeżeli… — zaczął doktor i znów ugryzł się w język.

Za wszelką cenę usiłował nie zdradzać się ze swoim sceptycyzmem.

— Gdyby nawet miała męża — rzekł Colin z głębokim przekonaniem — to byłby to niewłaściwy człowiek.

Doktor powstrzymał się od komentarza i Colin ciągnął dalej:

— Okazało się, że nie ma żadnych komplikacji ani kłopotów. Mieszkała z matką i całkiem nieźle zarabiała. Matka prowadziła gospodarstwo i miała rentę po mężu, który jako pilot w służbie Królewskiego Lotnictwa Kanadyjskiego zginął nad Berlinem. Tak więc we dwie zupełnie dobrze sobie radziły.

Może pan sobie wyobrazić moją sytuację. Matka nie była

zachwycona moim pojawieniem się, ale to rozsądna kobieta i wkrótce nawet się polubiliśmy. I z tą sprawą poszło więc znacznie łatwiej, niżby się można było spodziewać.

Colin przerwał i doktor Harshom powiedział:

— Oczywiście miło mi to wszystko słyszeć, ale w dalszym ciągu nie rozumiem, dlaczego pan tu nie przyprowadził swojej żony.

Colin zmarszczył czoło.

— No cóż, myślałem… to znaczy ona myślała… zaraz, jeszcze do tego nie doszedłem, sprawa jest dość delikatna.

— Niech pan się nie spieszy. Jestem już przecież na emeryturze — powiedział doktor uprzejmie.

Colin zawahał się.

— Ach, co tam, myślę, że będzie uczciwiej w stosunku do pani Gale, jeśli to opowiem dokładnie tak, jak było.

Rozumie pan, nie chciałem nikomu nic mówić o Otylii ani dlaczego przyjechałem do Ottawy, w każdym razie jeszcze nie wtedy. Był pan jedyną osobą, której powiedziałem, i wydawało mi się, że tak będzie lepiej… Nie chciałem oczywiście, żeby sobie pomyślały, że jestem stuknięty. Ale popełniłem gafę.

Było to w przeddzień naszego ślubu. Belinda wyszła pozałatwiać ostatnie sprawunki, a ja zostałem w domu robiąc wszystko, żeby jak najlepiej wypaść przed moją przyszłą teściową. O ile sobie przypominam, powiedziałem mniej więcej tak: „Mam zupełnie niezłą posadę w Przedsiębiorstwie Elektrofizycznym i dobre perspektywy, ale oni mają filię w Kanadzie i gdyby Otylia rzeczywiście nie chciała się przenieść do Anglii”…

Przerwałem, ponieważ pani Gale drgnęła nagle i patrząc na mnie szeroko rozwartymi oczyma słabym głosem zapytała:

„Co powiedziałeś?”

Sam zauważyłem swój lapsus, tylko że za późno, więc poprawiłem się: „…gdyby Belinda rzeczywiście nie chciała przenieść się do Anglii…”

„Nie powiedziałeś Belinda, tylko Otylia” — nie dała mi dokończyć.

„Hmmm… być może — przyznałem — ale gdyby ona nie chciała”…

„Dlaczego? — zapytała. — Dlaczego nazwałeś ją Otylią?”

Widać było, że przywiązuje do tego wielką wagą.

„Bo… bo ja w ten sposób o niej myślę” — odpowiedziałem.

„Ale dlaczego? Dlaczego miałbyś w myślach nazywać Belindę Otylią?” — nalegała.

Przyjrzałem jej się uważniej. Zbladła i ręka jej drżała. Widać było, że się boi, że coś ją gryzie. Było mi przykro i przestałem się zgrywać.

„Ja naprawdę nie chciałem”… — powiedziałem.

Wpatrywała się we mnie bez przerwy, tylko że już spokojniejsza.

„Ale wobec tego teraz, kiedy to się już stało, musisz mi powiedzieć, co o nas wiesz".

„Po prostu tylko tyle, że gdyby sprawy ułożyły się inaczej, nie byłaby Belinda Gale. Byłaby Otylią Harshom" — odparłem.

Blada jak papier, pani Gale nie spuszczała ze mnie wzroku.

„Nic nie rozumiem — rzekła w końcu na pół do siebie. — Przecież ty nie mogłeś tego wiedzieć. Harshom — no owszem, może jakoś na to wpadłeś czy zdołałeś zgadnąć… a może ona ci powiedziała?" — Potrząsnąłem głową. — „Zresztą to nie ma znaczenia. Ale Otylia… Nie mogłeś wiedzieć! I właśnie to jedno jedyne imię spośród tysięcy innych… Nikt nie wiedział, nikt poza mną…" — spuściła głowę.

„Nic nie rozumiem — rzekła w końcu na pół do siebie. — Przecież ty nie mogłeś tego wiedzieć. Harshom — no owszem, może jakoś na to wpadłeś czy zdołałeś zgadnąć… a może ona ci powiedziała?" — Potrząsnąłem głową. — „Zresztą to nie ma znaczenia. Ale Otylia… Nie mogłeś wiedzieć! I właśnie to jedno jedyne imię spośród tysięcy innych… Nikt nie wiedział, nikt poza mną…" — spuściła głowę.

Ująłem jej rękę w dłonie i uścisnąłem, żeby ją uspokoić. — „Nie ma powodu do zmartwienia — powiedziałem. — To był po prostu sen, rodzaj wizji… wiedziałem, i już…"

Potrząsnęła głową, a po chwili powiedziała cicho:

„Nikt poza mną nie wiedział… Było to latem 1927 roku. Leżeliśmy na rzece w pontonie, ukryci pod nadbrzeżnymi wiklinami. Koło nas przemknęła biała motorówka. Zdążyliśmy przeczytać na rufie jej nazwę. Malkolm powiedział"… — jeżeli Colin w ogóle dostrzegł nagłe drgnienie doktora Harshoma, to jedyną jego reakcją było powtórzenie dwóch ostatnich słów: — „Malkolm powiedział: Otylia to ładne imię, prawda? Mieliśmy w rodzinie Otylię. Siostra mojego ojca, która umarła jako mała dziewczynka, nazywała się Otylia. Gdybym kiedykolwiek miał córkę, dałbym jej na imię Otylia".

Colin Trafford przerwał na chwilę, patrzył przez jakiś czas na doktora, po czym podjął:

— Przez dłuższy czas milczała, aż wreszcie rzekła:

„Biedny Malkolm, nigdy się nie dowiedział. Zginął, zanim się zorientowałam, że jestem w ciąży… A tak bardzo ze względu na niego chciałam dać jej na imię Otylia… Szkoda"… — I pani Gale zaczęła cicho płakać.

Doktor Harshom siedział, z jednym łokciem opartym na biurku, z oczyma zasłoniętymi dłonią. Przez dłuższy czas się nie ruszał. W końcu wyciągnął chusteczkę i energicznie wytarł nos.

— Owszem, słyszałem, że urodziła się dziewczynka — powiedział.

— Starałem się nawet dowiedzieć czegoś więcej, ale powiedziano mi, że jej matka wkrótce wyszła za mąż. Myślałem, że ona… Ale właściwie dlaczego do mnie nie przyszła? Zaopiekowałbym się nią przecież.

— Skąd mogła wiedzieć? Kochała Reggiego Gale'a. Reggie też ją kochał i był gotów dać dziecku nazwisko — rzekł Colin.

Spojrzawszy w kierunku biurka Colin wstał i podszedł do okna. Stał tam przez kilka minut odwrócony tyłem do pokoju, aż usłyszał za sobą ruch. Doktor Harshom podniósł się i podszedł do szafy.

— Mam ochotę na drinka — oświadczył. — Spełnijmy toast: „Koniec z chaosem i przypadkowością w świecie".

— Chętnie się przyłączę — odparł Colin — ale chciałbym przy okazji przypieczętować pańskie zwycięstwo w tym sporze. Bo to w końcu pan miał rację. Otylia Harshom nie istnieje — a w każdym razie nie istnieje już teraz. No, najwyższy czas, doktorze, żeby pan wreszcie poznał swoją wnuczkę, panią Colinową Trafford.

Przełożyła z angielskiego Zofia Uhrynowska

Władlen Bachnow
CZŁOWIEK, KTÓRY BYŁ GENIUSZEM

Czełowiek, kotoryj był gienijem

Specyfik ten nazywa się „Luxan".

Jeśli przyjdzie wam ochota stać się na pięć minut genialnymi, wstąpcie do apteki, gdzie można go nabyć w okienku leków gotowych. Co prawda luxan wydaje się tylko z przepisu lekarza, ale poproście i dostaniecie go pewnie bez recepty.

Człowiek, który odkrył luxan, był moim najbliższym przyjacielem. Kiedy jeszcze nigdzie za żadne pieniądze nie można było kupić luxanu, mój przyjaciel podarował mi całą tabletkę tego cudotwórczego środka.

— Wiem — rzekł mój przyjaciel — że już od dziesięciu lat pracujesz nad swoim wynalazkiem. Ta tabletka pozwoli ci efektownie zakończyć pracę.

— Ale tabletka działa zaledwie przez pięć minut.

— No to co? Pięć minut genialności to aż nadto dla dowolnego odkrycia. Oczywiście, gdyby się na przykład Newton nie zastanawiał wcześniej nad zagadnieniem ciążenia, genialny domysł by go chyba nie olśnił na widok spadającego jabłka. Ale przecież sam moment olśnienia nie trwał dłużej niż minutę. W ciągu jednej minuty dojrzał to, czego nie dostrzegał wcześniej — związek między nie powiązanymi na pozór zjawiskami, toteż odsłoniła się przed nim Wielka Prawda. A ty mieć będziesz pięć takich minut. Przez tyle lat nosiłeś się ze swoją ideą i nagromadziłeś takie mnóstwo wiedzy, że wystarczy błyskawiczne olśnienie, by się wszystko znalazło na swoim miejscu. Bierz! — i wyciągnął ku mnie plexiglasowe pudełeczko, w którym się znajdowała drogocenna tabletka.

I ja sam, i moi przyjaciele nie mieliśmy wątpliwości, że mam talent i dopisuje mi szczęście. W instytucie szczycono się mną, a wynalazek, który uważałem za dzieło swego życia, poświęcając mu dziesięć lat pracy, mógł mi pewnego pięknego dnia przysporzyć prawdziwej sławy. Tabletka luxanu powinna była ten dzień przybliżyć.

Ledwie mój przyjaciel odszedł, zamknąłem się, napełniłem wieczne pióro atramentem i położywszy przed sobą stos papieru, aby zapisywać wszystkie genialne myśli, jakie tylko przyjdą mi do głowy, połknąłem tabletkę.

Połknąłem tabletkę i z niecierpliwością oczekiwałem, jak się objawi moja genialność i jakie wielkie prawdy odsłonią się przede

mną.

Luxan nie zawiódł. Tegoż dnia rzeczywiście doprowadziłem do końca swoją wieloletnią pracę, ujrzałem to, czego nikt przedtem nie dostrzegł, i odsłoniły się przede mną wielkie prawdy.

Już w pierwszej minucie działania luxanu stwierdziłem, że mój wynalazek nie zda się psu na budę i nie może budzić żadnego zainteresowania.

W drugiej minucie z genialną przenikliwością zrozumiałem, że nie mam krzty talentu.

A przez pozostałe trzy minuty genialności pisałem w natchnieniu oświadczenie na ręce dyrektora naszego instytutu naukowo-badawczego. Prosiłem o zgodę na przerwanie prac nad moim wynalazkiem w związku z całkowitą jego nieprzydatnością.

Wszyscy potem mówili, że oświadczenie było napisane genialnie.

Tak więc, jak już wspomniałem, w sprzedaży ukazał się nowy specyfik — luxan. Żądajcie we wszystkich aptekach i punktach aptecznych.

Ale na waszym miejscu zastanowiłbym się chwilę, czy zażyć.

Przełożył z rosyjskiego Bolesław Baranowski

Władlen Bachnow
TEN SAM BAŁABASZKIN

Tot samyj Bałabaszkin

Niedawno w miejscu pracy obchodzono mój skromny jubileusz — dwadzieścia pięć lat u steru chronosondy. Główny księgowy obliczył, że w ciągu ćwierćwiecza przejeździłem na swoim aparacie ni mniej, ni więcej tylko pięćset tysięcy lat. Nieźle, co?

Rozumiecie chyba, że przez pięćset tysięcy lat można to i owo interesującego zobaczyć. Jeśli się wam jednak zdaje, że praca na chronosondzie jest łatwa i prosta, to chyba sobie nie możecie wyobrazić, jak odpowiedzialne i trudne polecenia musiałem wykonywać.

Byłem na przykład kiedyś przydzielony ze swoim aparatem do pewnej ciekawej instytucji — POMPGEN-u. Nazwa była niezrozumiała i nikt nie wiedział, czym się ta instytucja zajmuje. A POMPGEN zajmował się właśnie bardzo pożyteczną i szlachetną działalnością: POMPGEN POMagał Przyszłym GENiuszom.

Odbywało się to tak: mniej więcej raz na rok wyruszałem na swojej chronosondzie w przyszłość, wyprawiałem się na sto pięćdziesiąt lat naprzód i spędzając tam pewien czas sprawdzałem dokładnie, kogo z naszych wybitnych współczesnych potomkowie wspominają i czczą, a o kim doszczętnie zapomnieli. Innymi słowy dowiadywałem się, kto z naszych wielkich ludzi jest naprawdę wielki.

Jakkolwiek oceny praprawnuków nie zawsze się pokrywały z naszymi, to jednak decyzje potomków uważano za definitywne i nie podlegały one zaskarżeniu.

To, czego się dowiadywałem w przyszłości, POMPGEN utrzymywał w absolutnej tajemnicy. Tajność była taka, że na przykład pracownicy chemicznego wydziału POMPGEN-u nie znali nazwisk wielkich fizyków, a w wydziale muzyki nie mieli pojęcia o istotnie genialnych plastykach.

Postępowano tak po to, aby po pierwsze, nie psuć nastroju tym ludziom, którzy przywykli do myśli, jakoby coś znaczyli. Po drugie zaś — co najważniejsze — POMPGEN-owi kategorycznie zabroniono zakłócać naturalny bieg dziejów, wyprzedzać wydarzenia i wtrącać się do życia wielkich ludzi.

Jedyne, co było wolno POMPGEN-owi, to niepostrzeżenie, powoli stwarzać zweryfikowanym w czasie geniuszom dobre warunki życia. Takie warunki, aby owi geniusze mogli owocnie pracować przynosząc ludzkości jak największe korzyści i nie zaprzątając swego cennego

intelektu myślami o chlebie powszednim.

POMPGEN zajmował się właśnie takimi życiowymi problemami.

I oto kiedyś wzywa mnie wydział literatury, prosząc o sprawdzenie, kto jest naszym największym poetą. Sprawa niewątpliwie mało skomplikowana, jednakże delikatna.

Wyjechałem o równe sto lat naprzód, zatrzymałem pojazd i poszedłem wyjaśnić tę kwestię.

Porozmawiałem z potomkami o jednym naszym znakomitym poecie, o drugim, trzecim, i cóż stwierdziłem? Żadnego z nich potomkowie nie czytali. Aż mi się przykro zrobiło.

— Czyżbyście — pytam — towarzysze potomkowie, nie znali ani jednego z naszych poetów?

— Znamy, oczywiście!

— Kogo?

— Bałabaszkina.

— Jakiego znów Bałabaszkina?

Teraz się już potomkowie zdziwili.

— Co to znaczy: jakiego Bałabaszkina? — I tak mnie potraktowali, jakbym zapytał: „Jakiego Puszkina?" — Niemożliwe, byście nie czytali Michaiła Bałabaszkina! To przecież genialny poeta, który żył właśnie w waszych czasach!

— Ach, Michaił Bałabaszkin! A jakże! A jakże! — powiadam i rumienię się, bo nawet nie słyszałem o takim poecie. — Czytałem — mówię — i nawet znam go osobiście!

Wtrąciłem to specjalnie dla zwiększenia wiarygodności swych słów. I na diabła! Potomkowie, dowiedziawszy się, że osobiście znam Bałabaszkina, zaczęli się domagać, abym powiedział coś publicznie o swoim wielkim współczesnym. I to nie byle jak, ale w telewizji, w programie transmitowanym na całą planetę, gdyż cała ludzkość chciałaby wysłuchać opowieści o swoim ulubionym Bałabaszkinie.

Rzadko się zdarza, by się ktoś zbłaźnił przed całą ludzkością na raz. Nie skorzystałem z tej okazji, lecz wykręciwszy się terminowym wezwaniem wsiadłem do chronosondy i sromotnie zwiałem w teraźniejszość, klnąc siebie samego za brak wykształcenia i ciemniactwo.

Wracam do POMPGEN-u, opowiadam szczegółowo, jak było. Prawdę rzekłszy, jakoś mi się lżej zrobiło na duszy, kiedy stwierdziłem, że nasz wydział literatury wie o naszym wybitnym współczesnym nie więcej niż ja.

A ponieważ z powodu panicznej ucieczki nie dowiedziałem się o Bałabaszkinie nic poza tym, że był geniuszem, znaleźć go było dość trudno. Wielki ten poeta nie był członkiem Związku Pisarzy, w czasopismach jego utwory się nie ukazywały, w stowarzyszeniach literackich o nim nie wiedziano. A jednak po długich poszukiwaniach

udało się stwierdzić, że w Faustowie żyje początkujący poeta Michaił Bałabaszkin, drukujący swoje wiersze w gazecie „Dzielny Strażak”.

Wtedy POMPGEN przystąpił do stwarzania Bałabaszkinowi warunków.

Zaczęto go drukować w najpoczytniejszych czasopismach, przeniesiono z Faustowa do Moskwy, dano mieszkanie. Nic, tylko pisać!

Ukazała się jego pierwsza książka, druga. I jakkolwiek nikt z POMPGEN-u nie mógł się wygadać, że Bałabaszkin to gwarantowany geniusz, to jednak nasi krytycy w jakiś sposób wszyscy się zorientowali i zaczęli Bałabaszkina wychwalać w każdym artykule.

Pisał on dużo, a publikował jeszcze więcej, wszystkie bowiem jego poezje przedrukowywano po dziesięć razy.

Krótko mówiąc Michaił Bałabaszkin był rzadko spotykanym geniuszem, którego w pełni uznano i oceniono jeszcze za życia. Dla mnie zaś przyjemna była świadomość, że na miarę swych sił również zdecydowałem o jego losie: geniuszy należy jednak cenić!

Niedawno znów odbyłem służbową podróż w przyszłe stulecie i zwykła ciekawość skłoniła mnie do zainteresowania się dalszymi losami mego wielkiego współczesnego.

Wypożyczyłem w bibliotece poświęcone Bałabaszkinowi prace naukowe, zacząłem je czytać — i cóż się okazało? Okazało się, że tamten Michaił Bałabaszkin, którego znają i lubią potomkowie, nie ma nic wspólnego z tym, co u nas zbierał honory. I podczas gdy mój Bałabaszkin święci triumfy w stolicy, prawdziwy genialny Michaił Bałabaszkin, imiennik pseudo-Bałabaszkina, mieszka w Konotopie, z rzadka publikując swoje genialne utwory pod pseudonimem U. Pimezonowa. Pseudonim przybrał dlatego, że podpisywanie się swym prawdziwym nazwiskiem uważał za bezceremonialność wobec żywego, znakomitego Bałabaszkina. Tak się rzecz miała!

Przypomniałem sobie, że istotnie natrafiałem na wiersze U. Pimezonowa, lecz nie zwracałem na nie uwagi.

Potem przewertowałem całą „Powszechną encyklopedię przyszłości”, ale nie znalazłem ani jednego słowa o moim Bałabaszkinie. Zresztą nie — była wzmianka pośrednia: w artykule o ulicach Moskwy wymieniano zaułek Bałabaszkina.

W POMPGEN-ie się oczywiście do swego odkrycia nie przyznałem, bo za taki numer by mnie po główce nie pogłaskali…

Mam wyrzuty sumienia, ale się pocieszam tym, że — jak wykazała przyszłość — prawdziwy Bałabaszkin i tak się wybije. A ten Pseudobałabaszkin, chwilowo pełniący obowiązki wielkiego poety, niech się zabawi w geniusza — ostatecznie to niczego nie zmieni.

Przełożył z rosyjskiego Bolesław Baranowski

Dymitr Bilenkin
CIŚNIENIE ŻYCIA

Dawlenje żizni

Szedł wciąż przed siebie po czerwonej, zimnej równinie już drugą dobę. Ubrany był w widoczny z daleka jaskrawobłękitny kombinezon, nie łudził się już jednak nadzieją, że go odnajdą. To byłby cud, gdyby w jednostajny świat marsjańskiego wiatru wtargnął warkot motoru…

Szedł, oszczędzając siły, miarowym krokiem automatu: sześć kilometrów na godzinę — ani mniej, ani więcej. Myśli także zostały podporządkowane monotonnemu rytmowi. Z przebytej drogi zapadły w pamięć jedynie jakieś urywki. Wszystko inne zlało się w mglistą smugę, a poprzednie życie oddaliło się gdzieś w nieskończoność, zrobiło się małe i nierealne jak krajobraz w odwróconej lornetce…

Nie odczuwał również strachu. Istniał tylko tępy, bezmyślny ruch do przodu, istniało tępe zmęczenie w ciele i tępe odrętwienie myśli. Jedynie lewe ramię coraz bardziej bolało, obarczone butlą tlenową (prawa butla wyczerpała się i już musiał ją wyrzucić). Poza tym wszystko było w porządku — był syty, nie odczuwał pragnienia, ogrzewanie elektryczne pracowało bez zarzutu, buty też nie ocierały ani nie cisnęły. Nie musiał walczyć z umieraniem ciała, pozbawionego dopływu życiodajnej energii, nie musiał pełznąć ostatkiem sił, kierując się raczej instynktem niźli rozumem. Technika nawet teraz uwalniała go od cierpień.

Wciąż machinalnie poprawiał torbę, aby zrównoważyć obciążenie na ramieniu. Za każdym razem, kiedy to czynił, położenie głowy ulegało zmianie i świst wiatru w uszach (a właściwie w hełmofonie) to nasilał się, to znów słabł. Pomimo wiatru powietrze było przeźroczyste, jasno rysował się bliski horyzont; fioletowe niebo, fioletowy grunt. Chwytał mróz — może dlatego wydawało się, że rzadkie gwiazdy w zenicie płonęły surowo i nieulękle.

Jeszcze odczuwał zadowolenie pokonując niewysokie kopce. Podejście nie było strome — nie zwalniał kroku, przy zejściach przyspieszał nawet i cieszył się, że wzgórki pozwalają iść szybciej, chociaż to było jawne okłamywanie się i zdawał sobie z tego sprawę. Lubił w dzieciństwie wyobrażać sobie, że nie idzie, lecz jedzie; że nie jest człowiekiem — jest samochodem i zamiast nóg ma cztery koła. Przyjemnie było dodać sobie samemu gazu, to znaczy iść szybciej, „wykręcać kierownicę", unikając zderzenia z przechodnim, czy naciskać hamulec… Teraz też wydawało mu się, że jest autem…

Stopniowo wydłużał się rzucony przez niego cień. Im niżej

opuszczało się Słońce, tym czerwieńsza stawała się równina. Stoki pagórków płonęły jeszcze, ale za nierównościami zbierał się już mrok. Czaił się jak aksamitne łapy drapieżnika. Wiatr umilkł jakoś niezauważalnie. Wszystko odrętwiało i na Siewiergina — tak się kiedyś nazywał, teraz to jednak nie miało żadnego znaczenia — powiało tą trwogą, która zawsze uprzedza nadejście nocy, kiedy człowiek jest sam jeden bezbronny wśród pustyni…

Spojrzał na Słońce i poczuł niewyrażalny wręcz smutek. A więc mimo wszystko miał nadzieję, że go uratują… Koniec jasnego dnia oznaczał koniec nadziei. Z oddali, od chorobliwie silnych bąbli eretrium, przecinając cienie, potoczyło się w stronę Siewiergina coś żywego.

Spojrzenie małych, różowo połyskujących oczek zwierzątka ukłuło człowieka. Położył rękę na pistolecie. Zwierzątko jednak, upewniwszy się jakby o obecności intruza, nie zatrzymując się pobiegło dalej swoją drogą. Jakiś mądry instynkt podpowiedział widać zwierzęciu, że ów DWUNOGI nie ma nic wspólnego z Marsem, że jest tu przypadkiem; przypadkiem żywy. Ale już nie przypadkiem umrze, nim Słońce znów rozczerwieni równinę.

Omal nie strzelił w ślad za zwierzęciem, tak mu się zrobiło siebie żal! Ktoś jakby odwrócił lornetkę i przeszłość ożyła. Ta przeszłość, która wszystko przesądziła. Dlaczego natura nie stworzyła go takim, jak wszystkich? Dlaczego? Dlaczego?

Pochylił głowę i w przystępie szaleństwa pobiegł na spotkanie ze skradającym się cieniem. Mięśnie, jak się tego spodziewał, wypełniły się od razu ołowiem. On jednak gnał i gnał naprzód, maltretując ciało.

Poddał się po stu metrach. Każdy człowiek jego wzrostu i z jego zdrowiem wytrzymałby i tysiąc. A on osłabł już po stu metrach…

Tak było zawsze.

Urodził się już niepełnowartościowy, inny niż wszyscy. Nie chodziło o to, powiedzmy, że nie mógł jeść chleba — wielu ludzi nie może czegoś tam jadać — oprócz niewygody niczego to nie powoduje. Natura odmówiła mu czegoś ważniejszego — siły. Nie był bardziej chorowity od innych dzieci, ale puchł na stumetrówce, nie potrafił podciągnąć się na drążku, płakał, próbując pokonać szwedzką ścianę.

Długotrwałe obciążenia fizyczne, na przykład piesze wyprawy na wielkie odległości, znosił dobrze. Chodziło o coś innego. Dopóki silnik nie jest dotarty, w przewód paliwowy wkłada się dławik, swego rodzaju ogranicznik. I oto w jego organizmie natura założyła taki ogranicznik na zawsze. Nie był odporny na ostre wysiłki, wymagające wielkiego wydatku energii — jak przykręcony knot nie jest zdolny do palenia się jasnym płomieniem.

Rówieśnicy okazywali mu pobłażliwe lekceważenie w związku z jego słabością, zaś nauczycieli wychowania fizycznego doprowadzał

do pasji. Jeśli lekarze stawiają diagnozę „zdrowy”, jeśli chłopak jest normalnie zbudowanym to jakim prawem wisi jak wór na linie, przynosząc im wstyd?!

Wychowanie fizyczne było koszmarem dzieciństwa i młodości Siewiergina. Na widok poręczy, kółek trząsł się jak skazany na tortury. „Champion, champion!” — krzyczeli nań koledzy w tych przepojonych zapachem potu i pyłu salach gimnastycznych, a on wcześniej już odrętwiał, wiedząc, jakim śmiechem (nie złośliwym może, ale niemniej obraźliwym) skwitują jego niezdarny skok przez kozioł.

Uratował go czwarty czy piąty z kolei lekarz, do którego zaprowadzili go zatrwożeni rodzice. On także nie znalazł niczego ani w sercu, ani w płucach. Nie wzruszył jednak ramionami, nie spojrzał na malca jak na symulanta, tylko spokojnie powiedział:

— Odchylenia w przemianie materii, prawdopodobnie genetyczne. Na razie nieuleczalne. Nie ma powodu do zmartwienia. Piłkarzem nie będzie, a reszta… W czasach jaskiniowych pożarłby go wprawdzie pierwszy lepszy tygrys, ale jakie to ma znaczenie dzisiaj? Tak więc lepiej nie zwracać uwagi…

Koszmar rozproszył się na zawsze.

I oto czym się to wszystko skończyło — smutkiem gasnącej równiny Marsa, idiotyczną ucieczką od siebie samego…

Siewiergin zmusił się do odpoczynku i uniósł nogi wyżej, żeby mogły lepiej odpocząć. Te proste ruchy uspokoiły go. Wybuch desperacji przywrócił mu rozsądek.

Sam jest wszystkiemu winien, nie może obwiniać nikogo. Sam rzucił losowi wyzwanie, wyprawiając się na Marsa. Nie tak oczywiście, jak to czynił w dzieciństwie, kiedy rycząc ze złości uporczywie rzucał się na sztangę, aby ją podnieść albo zwalić się bez przytomności. O nie! O takich bojach sławny doktor mikrobiologii dawno już zapomniał. Od dawna już żył w świecie, w którym o wszystkim decydował rozum, a walory fizyczne były bez znaczenia. Tam był na swoim miejscu — bardziej niż gdziekolwiek. Nic więc dziwnego, że jego właśnie, a nie kogo innego, poproszono o rychłe przybycie na Marsa, aby zbadał przyczyny zatrważającego zachowania się krystalobakterii, w niewyjaśniony sposób przenikających przez filtry oczyszczające wodę. Wszyscy mieli w nosie to, czy potrafi podciągnąć się na drążku. Marsowi potrzebny był jego rozum, nie muskuły.

Mógłby się wykręcić, ale nie zrobił tego. Przybyć na Marsa jako wybraniec, pójść na ową pierwszą linię, na której człowiek prowadzi bezpardonową walkę o przeżycie — czy mógł sobie odmówić tak błyskotliwego rewanżu za poniżenia dzieciństwa? Aby poczuć się takim wybrańcem, wystarczyło przymknąć oczy na marny drobiazg — nikt mianowicie, ani ludzie, ani okoliczności na Marsie nie wymagały

od niego walki wręcz z przyrodą. Tam — tak jak na Ziemi — pozostawał pasażerem statku, zwanego cywilizacją, i od sztormów oddzielały go napawające ufnością iluminatory.

Możliwość awarii była wykluczona. Czy kapitan, Zabierając pasażerów na pokład, upewnia się o ich umiejętności pływania?

Leciał z Sezoastrisa na Tytana, siedząc w miękkim fotelu malutkiej automatycznej rakiety, która sama startuje, sama ląduje i w ogóle wszystko robi sama. Siedział w fotelu i czytał. Ocknął się dopiero wtedy, kiedy dostrzegł zbliżające się z dołu skały. Nie zauważył, i teraz już nigdy się nie dowie, co zepsuło się w mechanizmie. Ale nawet spadając rakieta zatroszczyła się o niego; katapulta wyrzuciła go, zanim zdążył sobie uświadomić, co zaszło.

Jednego tylko automatyka nie była w stanie dokonać — ustrzec go od uderzenia o skały podczas lądowania na spadochronie (ale przecież i najtroskliwsza matka nie zawsze ustrzeże dziecko od potłuczenia). Na szczęście wstrząs złagodziła torba awaryjna. Radiostacja rozbiła się wprawdzie w drobny mak, posrebrzony odłamkami termosu z kawą, cała reszta jednak ocalała, w tym zaś i cenna mapa, pozwalająca dokładnie określić położenie w dowolnym miejscu.

Określił je od razu, jak tylko doszedł do siebie. Położenie było w gruncie rzeczy i bardzo dobre, i bardzo złe. Znajdował się w południowej części grzbietu Mitchella, z daleka od trasy, którą szła rakieta, i zarazem na zewnątrz strefy obserwacji radarowych. Oznaczało to, że miejsca jego przymusowego lądowania nie udało się na Sezoastrisie nawet w przybliżeniu określić. Za to jedynie sto sześćdziesiąt kilometrów stąd znajdowała się osada geologów. Butle skafandra zapewniały trzydzieści sześć godzin oddychania. Tabletki usuwające senność miał także. Górzysta okolica kończyła się już po jakichś siedmiu kilometrach od miejsca upadku, a same góry nie były tu ani specjalnie strome, ani wysokie — w pełni turystyczne warunki. Przepięknie! W sześć godzin pokona góry, dalej zacznie się równina, na której z powodzeniem można utrzymać średnią prędkość pięciu i pół kilometra na godzinę. Zdąży dojść. Chodzi przecież o marsz, nie bieg — tu jego organizm nie zawiedzie.

W pewnym momencie ucieszył się nawet: rzeczywiście — weźmie rewanż!

Rozlał wokół miejsca awarii fluoryzującą farbę i dziarsko ruszył w drogę.

Zapomniał, że nawet w niewysokich górach, jeśli nie chce się pięciokrotnie wydłużać drogi, trzeba gdzieniegdzie wspinać się pionowo w górę, przeskakiwać przez szczeliny, podciągać na rękach — robić wszystko to, do czego nie był zdolny.

Na pokonaniu początkowych siedmiu kilometrów minęło mu

piętnaście godzin, chociaż pierwszy lepszy chłopak z odznaką turysty na jego miejscu straciłby od biedy sześć, może osiem godzin!

Dalej szedł, wiedząc już, że nie zdąży.

Maleńkie marsjańskie słońce dotknęło już skraju równiny. Siewiergin wstał. Jego wydłużony cień skoczył za horyzont. Trzeba było iść, żeby rytm ruchu uśpił rozigrane emocje.

Nie uszedł nawet kilometra, kiedy równina poszarzała. Jednak wyżej, na niebie wybuchały niewidoczne za dnia pierzaste obłoki, jak gdyby ktoś poruszał nimi, biorąc akordy barwnej muzyki. Złociste, liliowe, czerwone — tony były delikatne, lekkie, wysokie; płynęły w fioletowym krysztale płatkami przejrzystych świateł.

Siewiergin uniósł głowę i szedł tak, uśmiechając się do czegoś, zdumiewając się, że się uśmiecha, i życząc sobie, aby wiecznie było tak, jak jest teraz.

Nie trzeba się sprzeciwiać naturze — teraz to zrozumiał. Nie trzeba od niej wymagać przytulności poduszek kanapy, trzeba brać to, co daje, kochać każdy moment swego istnienia, każdego bowiem gdzieś w dali oczekuje śmierć. Czy warto nienawidzić życia za to, że nie odpowiada w pełni naszym życzeniom? Kamień spada, płynie rzeka, człowiek szuka szczęścia — wszystko dzieje się zgodnie ze swoimi prawami — komu się więc sprzeciwiać?

Siewiergin niezauważalnie dla siebie przekroczył granicę, która oddziela ten ostatni odcinek życia, nie omroczony jeszcze nadchodzącą śmiercią, od ostatniej prostej — kiedy wszystkie chwile są już policzone. Różni ludzie różnie przekraczają tę granicę, wszyscy jednak odkrywają za nią coś dla siebie nowego — coś strasznego, wielkiego, w czym kryje się i smutek, i ukojenie.

Niebo poczerniało, ale ciemność nie trwała długo: wzeszedł Deimos. Grunt z lekka się zasrebrzył i chłód, obejmujący za każdym krokiem kolana, kiedy naciągała się na nich materia kombinezonu, stał się już odczuwalny. Siewiergin włączył elektryczne ogrzewanie.

Równina stała się teraz płaska jak rozesłana serweta, gdzieniegdzie jednak plamiły ją wąskimi krechami tuszu cienie rzucane przez rzadkie pędy safaru — żałosne okazy marsjańskiej trawy. Niespodziewanie zauważył, że stara się na nie nie następować i zadziwiło go, skąd wziął się ten troskliwy odruch.

Potem przypomniał sobie… Kiedyś, w chmurny i wietrzny kwietniowy dzień spacerował po dębowym lesie. Drzewa po zimowemu jeszcze stały koślawe i nagie, ziemię zaścielały kruche, łamliwe liście i chrzęściły pod nogami żołędzie — takie same jak liście — szarobrązowe… Przyjemnie było słyszeć pod nogami ich chrzęst… W tym dźwięku odzywała się moc kroków człowieka, który wierzył w siebie, w ciężar swego zdrowego, silnego ciała. Szedł tak, dopóki wśród sztywnej trawy nie rzuciła mu się w oczy jakaś zielona

gwiazdka. Ze dziwieniem nachylił się: to był kiełek żołędzia, już wczepiony w zamarzniętą ziemię. Zauważył, że wokół niego było już wiele takich gwiazdek, były wszędzie, deptał po nich… Czym prędzej, na palcach, opuścił las.

Jak wtedy, Siewiergin zatrzymał się i nachylił nad pędem safaru. Nie wiedzieć dlaczego obejrzenie trawki wydało mu się rzeczą ważniejszą niż cokolwiek innego. Łodyga safaru podobna była do rdzewiejącego drutu, ukośnie wetkniętego w grunt. Była bardziej sprężysta od stalowego drutu — wiedział, że nie dałoby się jej zmiażdżyć tak jak żołędzi. Ale safar tak samo oczekiwał godziny swego przebudzenia, jak żołądź. W tej rozrzedzonej, ubogiej w tlen i ciepło atmosferze także była dlań przygotowana wiosna; nie wegetował — wspaniale żył w środowisku śmiercionośnym dla wszystkiego co ziemskie, jeśli nie było odgrodzone skafandrem lub ścianami szklarni.

Z tym także należało się pogodzić.

Niespodziewanie od łodyżki safaru odbiegł drugi, cienki jak igła cień — wschodził Fobos.

Siewiergin wyprostował się. Otaczała go jaskrawo oświetlona równina. Wąskie, zdwojone cienie zaścielały ją czarnym klinowym pismem. On, osrebrzony księżycami, wznosił się nad ciemnymi hieroglifami jak pomnik.

Mimo wszystko było wokół niego życie. Ileż to razy, wpatrując się w silnie zaczerwienione pole mikroskopu, zachwycał się trwałością tego życia. Często szkiełko przedmiotowe przypominało pole bitwy — tak gęsto pokrywały je martwe bakterie, zabijane trucizną, ultrafioletem, promieniowaniem. Ani przebłysku ruchu — tak jak teraz. Ale było to złudzenie. Jeden organizm na milion, nierzadko jeden na miliard ukazywał się cały — i dawał początek nowej, zmutowanej rasie. To niewidzialne, które odróżniało go od wszystkich, święciło triumf nad okolicznościami i zawojowywało dla życia nową sferę tam, gdzie — wydawałoby się — nie istniał żaden punkt zaczepienia.

Tak było zawsze. Żaden błąd w przyrodzie nie był błędem. Narodziwszy się w wodzie, ziemskie życie zawładnęło lądem, wzbiło się w powietrze, opuściło w głąb górniczych szybów. Kto wie, może w ciągu setek milionów lat i bez udziału człowieka ciśnienie życia wyrzuciłoby nasiona nowych pędów w Kosmos, przeniosło je na nowe planety? Dlaczegóżby nie? Ląd był przecież dla mieszkańców morza także zgubną pustynią. Ale fala za falą, zmuszani okolicznościami szli do szturmu, i na tryliony ginących zawsze przypadały jednostki, które zdołały ocaleć w nowym środowisku.

To był jedyny wypadek, kiedy ich istnienie się opłacało. Albowiem w zwykłych warunkach ci sami, którzy przeżyli, szybciej od

innych skazani byli na zgubą. Kiedy stado ptaków wpada w krąg zamieci, śmierć nie wybiera ofiar na ślepo. Sprawdzony przez miliony lat ewolucji, standardowy okaz może przetrzymać tą zamieć właśnie dlatego, że w jego doskonaleniu uczestniczyły tysiące zamieci w przeszłości. Ale biada temu, który nie jest standardowy!

On, Siewiergin, był niestandardowy i dlatego to góry pokonały jego, a nie on góry. Technika pozwoliła ludziom prawie unikać strat podczas podążania ku innym światom. Gdyby zawsze była bez zarzutu, ofiar nie byłoby w ogóle. Niestety — pancerz nie był i nie mógł być absolutny…

Nagle zrozumiał, dlaczego spośród wszystkiego, o czym mógł myśleć w swoich ostatnich godzinach, myślał właśnie o tym. Nieświadomie, bezwiednie szukał pocieszenia. Rozum nie jest w stanie pogodzić się ani z bezmyślnością życia, ani z bezmyślnością śmierci. Tak już jest zbudowany. Jakby to w czymś pomagało.

Otaczała go bezgraniczna cisza. Nie, w tej minucie, kiedy zacznie się dusić, nie wyjmie po prostu pistoletu i nie zastrzeli się. Żywym nie będzie wszystko jedno, jak zginął. Zwłaszcza przyjaciołom — kiedy znaleziono by go z dziurą w sercu. Przykład małoduszności? Nie, to nie to… Po prostu człowiek ma obowiązek walczyć do ostatniego oddechu. Tak jak walczy trawa, jak walczą bakterie. Szansa przetrwania człowieczeństwa zależy od każdego z nas — po prostu…

Teraz szedł i myślał o przyjaciołach, o tych, których kochał, o tym, co zrobił i czego nie zrobił. Wiele spośród tego, co kiedyś wydawało się ważne, straciło teraz jakiekolwiek znaczenie. Sława, władza, sukces — nie, one nie stanowią dla człowieka oparcia, kiedy przychodzi śmierć. Przed nią i po niej żyje człowiek jedynie dobrem, które dał ludziom. Jedynie przyjaźń, wdzięczność i miłość mogą podtrzymać i uspokoić, kiedy nadchodzi czas rachunku sumienia… Szczególnie miłość.

Teraz, gdyby mógł żyć od nowa, żyłby inaczej!

Za późno.

Fobos zaszedł. Zadął wiaterek — już przedjutrzenny. To znaczy, że doczeka jutra. Z jakiejś przyczyny pragnął, żeby to się stało w świetle Słońca.

W tym momencie z regulatora ciśnienia powietrza dobiegło trzykrotne pstryknięcie.

Zmartwiał. Sygnał. Sygnał uprzedzający, że tlen skończy się za dziesięć minut. Koniec.

Drętwiejące nogi same poniosły go w stronę pobielałego od szronu głazu. Niebo na horyzoncie nieco zbladło, ale do wschodu Słońca było jeszcze daleko.

A gdyby tak wyłączyć ogrzewanie i zamarznąć? Mówią, że to bardzo podobne do snu.

I nagle nieprawdopodobnie, po zwierzęcemu zapragnął żyć! Nie zdążył przecież, nie dopracował jeszcze, nie poprawił, nie dokochał! Nie mógł tak po prostu — umrzeć!!!

Zerwał się. Dusiło. Jakby do twarzy ktoś z całej siły przycisnął maskę. Mimo wszystko ruszył. Płuca wzdymały się i opadały — częściej, coraz częściej — paraliżował je ból, gardło zaciskało rzężenie, padał na kolana i mimo to pełznął dalej. I kiedy zanikła świadomość, a ciało zwinęło się w konwulsjach, zerwał hełm i zachłysnął się marsjańskim wiatrem, jak tonący zachłystuje się wodą…

W płucach poczuł chłód, ból ostatnim wybuchem poraził mózg — i wszystko zgasło.

Zgasło, by znów zabłysnąć. Ocknął się, minęły skurcze skręcające płuca i ujrzał przed sobą coś czerwonego, rozkołysanego.

Z nieprawdopodobnym wysiłkiem uniósł głowę. Było już jasno. A on pełznął! Oddychał marsjańskim powietrzem! Jego organizm nie był taki jak wszystkie — przeżył!

Nawet sobie tego nie uświadomił. Czołgał się dalej. Pełznął wściekle, uparcie, nie rozumem się już kierując, a instynktem, do przodu, wciąż do przodu, tam — do ludzi.

Przetłumaczył Krzysztof Malinowski

Dymitr Bilenkin
ZAKAZ

Zapriet

W miarę jak Stiggs ostrożnie rozwijał swoją koncepcję, twarz dziekana coraz bardziej się zachmurzała.

— Lewoskrętne fotony! — przerwał wreszcie Stiggsowi. — Rozumiem, zamierza pan szukać lewoskrętnych fotonów. A nie myślał pan o poszukaniu przy okazji współrzędnych wrót do raju albo zasady perpetuum mobile?! Nie czytał pan książki Gordona?

— Czytałem… — odparł Stiggs, siląc się na spokój. — Ale jego doświadczenie przeprowadzono osiemnaście lat temu, kiedy nie znano jeszcze efektu Borysowa. Teoretycznie istnieje więc nadzieja…

— Teoretycznie! — Dziekan nie ukrywał już rozdrażnienia. — Ale pieniądze na nowe doświadczenie ja muszę dać praktycznie! Dwa miliony!

— Milion… Dwa miliony kosztowało doświadczenie Gordona, a efekt Borysowa pozwala…

— To już słyszałem. Pan, zdaje się, zapomina, kto to jest Gordon. Czyżby pan podejrzewał, że on nie zna efektu Borysowa? Wielkość Gordona nie polega tylko na tym, że stworzył jednolitą teorię pola. Czy pan wie, że on ani razu się nie pomylił w swoich wnioskach i prognozach? Wie pan, że jego doświadczenia z lewoskrętnymi fotonami powtarzali, wypróbowując wszystkie możliwe warianty, najlepsi eksperymentatorzy świata — Fuois, Sherrington, Brodecki? I nic! Lewoskrętne strumienie światła to mit, panie Stiggs, kamień filozoficzny… Fata morgana!!

Dziekan miał już koło sześćdziesiątki. Ostre zmarszczki jednak — to dziwne — odmładzały go raczej, a nie postarzały. Miał na sobie świetnie skrojony garnitur. Wszystko to nie miało dla Stiggsa żadnego znaczenia. Niezależnie od tego, kim był człowiek siedzący naprzeciw w fotelu, i jak się ubierał, najważniejsze było, że to on właśnie rządził tu funduszami, kierował kilkusetosobowym zespołem, a tym samym nie mógł popierać awantur, kosztujących ciężkie pieniądze. I żadne przedsięwzięcie, budzące wątpliwości, nie mogło liczyć na jego przychylność.

Ale Stiggs nie tracił nadziei. Oczywiście wolałby nie mieć do czynienia z dziekanem, ale i wielki Gordon musiał z pewnością swego czasu przełamywać opory takich ludzi. Ciekawe, czy zostałby wielkim, gdyby mu się to wtedy nie powiodło?

— Moim zdaniem, Stiggs, wszystko jest jasne — ostro zakończył

dziekan i przysunął do siebie tekturową teczkę z papierami, dając w ten sposób do zrozumienia, że audiencję uważa za zakończoną.

— Ależ nie przejrzał pan nawet opinii Van Meerlego! — wykrzyknął Stiggs.

— Van Meerlego?… Po co? Jutro mogę mieć dziesięć opinii najświetniejszych profesorów i w każdej będzie napisane to samo, co panu teraz powiedziałem! Niech pan ucieka, Stiggs, i zajmie się swoją robotą…

Stiggs wstał czując, jak zaczynają mu się trząść ręce.

— Jeszcze tylko jedno słowo… Dziekan uniósł głowę.

— Proszę… Tylko bez szumnych fraz o wielkości problemu, nieuchronności ryzyka i tym podobnych ozdobników.

— Nie, nie o to chodzi… Co by było, gdybym… Gdyby sam Gordon przyznał, że doświadczenie należy przeprowadzić?

— Gordon?!

Dziekan zdziwiony odchylił się na oparcie fotela i postu-kał o siebie koniuszkami palców. Potem badawczo spojrzał na Stiggsa.

— Zamierza pan przekonać Gordona? Ta-ak… A czy on w ogóle pana przyjmie?

— Przyjmie… — Stiggs miał wrażenie, że stanął na cieniutkim lodzie.

— No cóż, jeśli Gordon… Wtedy zobaczymy…

* * *

„Jakie to szczęście, że on jeszcze żyje — myślał Stiggs, podchodząc do ogrodzenia podmiejskiej willi znakomitego fizyka. — Gdyby umarł, przyszłoby mi się spierać nie z nim, lecz z jego autorytetem; a autorytety nie cofają wypowiedzianych słów…”

Dodawał sobie otuchy. Wczoraj, po rozmowie z dziekanem, z dziesięć razy podnosił słuchawkę telefonu i dziesięć razy odkładał ją z powrotem na widełki. Wreszcie zdecydował się i nakręcił numer Gordona. Wbrew wszelkim oczekiwaniom tamten zgodził się od razu. Od razu! Co to znaczy prawdziwy uczony! Schorowany, stary, zamknięty w sobie — a mimo to od razu odpowiada na wołanie o pomoc. Bo tak chyba, właśnie jak wołanie o pomoc, zabrzmieć musiały rozpaczliwe wyjaśnienia telefoniczne, których Gordon w milczeniu wysłuchał i na które po minucie — Stiggs omal wtedy nie umarł — krótko odpowiedział: „Oczekuję pana jutro o dziewiątej”.

Jutro o dziewiątej! On — żywa legenda — oczekuje Stiggsa, szarego, szeregowego naukowca!

Noc spędził w trwodze, obmyślając każde słowo, każdą intonację, miotany to rozpaczą, to przekonaniem, że wszystko dobrze się ułoży.

I oto teraz, u samych drzwi, kiedy wyciągnął już rękę do dzwonka, z przerażeniem zauważył, że w głowie ma zupełną pustkę. Zapomniał wszystko, co chciał powiedzieć, nie był w stanie sklecić sensownie dwóch słów, nie mógł nawet ruszyć się z miejsca!

Uff… Stiggs opuścił rękę. Spokojnie, spokojnie… Ostatecznie któż to taki, Gordon? Geniusz, równy Einsteinowi, ale przecież nie papież, nie Bóg… Człowiek, uczony… Bolą go nerki, lubi hodować róże, jest nieskazitelnie uczciwy i jak mówią, dobry. To wszystko…

Nie zauważył nawet, że naciska ze wszystkich sił dzwonek. Nie pamiętał, jak rozwarła się brama, jak ktoś prowadził go do pokoju coś mu tam po drodze tłumacząc, jak zdjął płaszcz i przestąpił próg…

— Dzień dobry panu. Proszę usiąść…

Gordon na wpół leżał na kanapie. Mimo to Stiggs miał wrażenie, że tamten unosi się nad nim… Wznosi się nad nim jego głowa — wspaniała jak kopuła świątyni, wznoszą ramiona, grzywa siwych włosów płynąca obłokiem na niedosiężnej wysokości… I to spojrzenie, z oddali jakby, dostrzegające najskrytsze tajemnice przyrody i chmurne otchłanie wieczności. On sam, z tym swoim jasnym, wolnym spojrzeniem, należał już do wieczności, do brązu historii…

Gordon poruszył się i poprawił pled, którym przykryte miał kolana.

— Niech pan opowiada…

Stiggs przemówił, nie słysząc własnego głosu. Po trzech minutach Gordon przerwał mu nieznacznym gestem ręki.

— Rozumiem. Czy to czasem nie pański artykuł zamieszczono dwa lata temu w „Annals of Physics”?

— Mój… — Stiggsowi zaschło w gardle.

— Pięknie pan sobie poradził z problemem fluktuacji grawitonów. Dlaczego nie kontynuował pan pracy w tym kierunku?

— Bo… Bo dojrzałem stamtąd pomost… do lewoskrętnych fotonów.

— I to pana zaintrygowało? Nie może pan o niczym innym myśleć?

— Tak… To znaczy… Nie same fotony, ale to, co za tym się kryje…

— A cóż się za tym kryje?

Stiggs oszołomiony spojrzał na Gordona. Bada go? A może kpi? Albo igra jak kot z myszą?

— …Ruch… przeciwko biegowi czasu… — wykrztusił.

— A dalej?

Stiggs zgubił się ostatecznie. Dalej? Co dalej? Jakie „dalej” dostrzega ów wielki tam, w tej swojej wieczności? Jakie tajemnice są odsłonięte przed jego umysłem, jakie tajemne własności przyrody kryje on za tym słowem? Jakie?!

Gordon ledwie dosłyszalnie westchnął.

— No dobrze… Co jest, pańskim zdaniem, celem nauki? Nie, Gordon nie śmiał się. Najmniej ze wszystkiego był skłonny do śmiechu. Stiggs zdawał sobie z tego sprawę. Spojrzenie Gordona było zwrócone ku niemu — tamten wymagał i pytał, miękko a zarazem surowo.

— Celem nauki jest poznanie… Wykrycie prawdy…

— Jakiej prawdy?

— Jakiej… co? Prawdy uniwersalnej! Natura…

— Zostawmy naturę w spokoju… Niech pan lepiej opowie coś o sobie. Wszystko od początku.

Gordon przymknął oczy.

Stiggs, niczego nie rozumiejąc, zastosował się do rozkazu. Cóż on mógł o sobie powiedzieć? Jak wszedł do świata nauki, czym dla niego była fizyka? O tym nie sposób opowiedzieć. Ojciec pijak, ustawiczne kłótnie w domu, więc Stiggs znalazł ratunek w książkach, przede wszystkim w książkach o nauce. Wiodły go w czysty świat poznania, gdzie uskrzydlona wzruszeniem dusza śmigała nad jasnymi polami naukowej prawdy, gdzie każdy krok wznosił go ku majestatycznej wizji gmachu świata, nakreślonej wśród gwiazd. To tam właśnie, równi prawie bogom, brali chłopaka za ręce i wiedli ku nęcącej wiedzy, Newton i Łobaczewski, Darwin i Einstein, Śniegów i Gordon… Chłopaka, który musiał zatykać uszy, żeby nie słyszeć piskliwych pokrzykiwań matki i pijackich wrzasków ojca; chłopaka, czującego się brudnym od stóp do głowy. Jak on się uczył! Z jakim przejęciem przystąpił do swej pierwszej pracy naukowej: „Moment spinamy u zdegenerowanych grawitonów”. Myślał o tych grawitonach tkliwie, jak o ukochanej dziewczynie. Marzył, by dowiedzieć się o nich wszystkiego — bez względu na cenę, jaką by przyszło zapłacić. Były dni, kiedy chodził po ulicach nieprzytomny, a kiedy przechodnie wpadali na niego, to owo brutalne starcie ze światem zewnętrznym już go nie rozdrażniało — nie było w stanie naruszyć znanej mu rzeczywistości. Gdzieś w innej przestrzeni pozostały powszednie dni, piłka nożna, kino, rozmowy, pieniądze, przemoc i zawiść — cała ta beznadziejna codzienność, otaczająca go w dzieciństwie… Teraz Stiggs, choćby jeszcze i niezręcznie, szybował nad tym wszystkim wysoko, tak wysoko, jak o tym kiedyś marzył. Ale czyż słowa są w stanie wyrazić jego uczucia?

Nie wiedział, czy Gordon go słucha, czy też myśli o czymś innym. Może drzemał?

Stiggs zamilkł. Wtedy tamten otwarł oczy.

— Muszę pana rozczarować, przyjacielu. Lewoskrętne fotony — to iluzja…

„Mówi jak dziekan!” — Stiggs pobladł.

— …Nie wszystko, co dopuszcza teoria, istnieje w przyrodzie. Błędny ognik, przywidzenie — oto czym jest lewoskrętny foton. Niestety, takie ogniki zawsze goreją na krańcach nauki. Sam pognałem za jednym z nich i straciłem pięć lat — i to jakich lat! I Fuois, Sherrington… Brodecki… oni także… Czy nie dość ofiar? Jest pan młody, sądząc po pańskich pracach — bardzo utalentowany. Niech pan nie traci czasu nadaremnie. Oto moja rada…

— Ale efekt Borysowa… Pan kołatał do paradnego wejścia, a tam była goła ściana. Może od wejścia kuchennego…

— Ani od kuchni, ani od głównego wejścia nie można się dostać do czegoś, co nie istnieje. Kiedy Borysow odkrył swój efekt, z miejsca przejrzałem wszystkie swoje wnioski i obliczenia. Błędu nie ma. Pańska droga jest nierealna!

— Ale dlaczego? Dlaczego?! Gdzie się omyliłem, w czym? Proszę mi pokazać!

To było prawie bluźnierstwo. Wymagać wyjaśnień od Gordona — sędziwego, osiemdziesięcioletniego Gordona! Wymagać po tym, kiedy wyraźnie dał do zrozumienia, że jego słowa to sama prawda.

Ale nie! Teraz, w tym pokoju, w którym powstała jednolita teoria pola, to nie było bluźnierstwo… Oni obydwaj — Gordon i Stiggs — podlegali jednemu prawu. Prawu, które zobowiązywało Gordona do przedstawienia dowodu. Nie mógł tego prawa naruszyć. W przeciwnym wypadku nauka przemieniłaby się w religię, a sam Gordon w jej apostoła.

— No cóż…

Na stoliku przed Gordonem leżał plik papieru. Uczony wziął czysty arkusz, starannie go wygładził… Potem gruzłowate, niechętnie się już zginające palce ścisnęły pióro, spod którego ruszyły po chwili surowymi szeregami matematyczne symbole.

To był wyrok. Zakaz rysował się nieubłaganie, częstokół znaków był silniejszy od przeciwpancernych zapór, wyższy od żelbetonowych ścian. Gordon spokojnie zagradzał drogę marzeniom… Przejście robiło się coraz to mniejsze…

Cierpnąc Stiggs śledził nieodwracalną wędrówkę symboli, pewne ruchy pióra, żelazną logikę dowodu. Oto pióro dotknie papieru ostatni raz…

Pióro nieco zacięło się, drgnęło, zwolniło…

— Dalej i tak, mam nadzieję, wszystko jest już jasne… — zmęczonym głosem przemówił Gordon, odsuwając papier.

Zatarł zmarznięte ręce i skrył je pod pledem.

Stiggs miał wrażenie, że zwariował! Wyrok był zapisany, była na nim pieczęć i podpis, ale w dowodach była luka! Drobna, niezauważalna prawie, ale była… Błyskawicznie, co samego go zadziwiło, Stiggs od razu ogarnął cały łańcuch dowodów, myśl

Gordona stała się jego myślą, zrozumiał…

Niemożliwe! Nie sposób w to uwierzyć! Luka nie znikała, nie sposób było przecież ją ukryć.

Podniósł oczy i omal nie krzyknął. Miał przed sobą innego Gordona — zgarbionego, z zapadłą piersią i brunatnymi, starczymi plamami na policzkach. Już nie wznosił się nad Stiggsem, bezbarwne włosy nie ulatywały obłokiem. Stiggs dojrzał go takim, jakim tamten był w rzeczywistości, nie takim, jakim malowała go wyobraźnia. I omal się nie rozpłakał.

— Mimo wszystko domyślił się pan… — wyszeptał Gordon i głowa starca opuściła się jeszcze niżej. — Wystarczyło panu śmiałości, by nie uwierzyć i oto… Tak, pańska droga jest także możliwa. Realna — bo lewoskrętne fotony istnieją. Odkryłem to osiemnaście lat temu…

Stiggs zamilkł. Walił się świat, spadały gwiazdy, runęło niebo, umierali bogowie. I umierał on sam.

Ręka Gordona wiotką, pomarszczoną jaszczurką wyśliznęła się spod pledu i tknęła jego ramienia.

— Niech się pan weźmie w garść… Zapytałem pana — pamięta pan? — co się kryje za własnościami lewoskrętnego fotonu. Nie odpowiedział pan. Nie myślał pan nad tym, więc ja odpowiem. Wie pan, w czym zawiera się cel nauki?

— W czym? — powtórzył echem Stiggs.

— W szczęściu ludzkości. Jeśli nauka nie będzie ludzi czynić szczęśliwszymi, to po cóż ona? Wiedza to broń i jeśli uczonemu nie czyni różnicy, gdzie jest ona skierowana, to czymże się on różni od żołnierza-najmity?… Nad tym też się pan nie zastanawiał, Stiggs. Chce pan znaleźć lewoskrętne fotony — cząstki zdążające ku nam z przyszłości… Odkryje je pan, jak w swoim czasie ja je odkryłem. I co dalej? Przychodzi praktyka… Ludzie nauczą się widzieć przyszłość i kierować nią — bowiem naturalny bieg zdarzeń, jeśli wiemy, jaki ma być, może przecież podlegać korekturze. Czy ludzkość stanie się wtedy szczęśliwsza? Niechże się pan rozejrzy w koło, Stiggs. Bankier zadba przede wszystkim o zabezpieczenie swych kapitałów, dyrektor — o umocnienie swych rządów, karierowicz zatroszczy się o swój fotel… Masa ludzi zainteresowana jest w zachowaniu panujących porządków, przyszłość jest im wrogiem, domyślają się bowiem, czym im grozi… I już dziś starają się ją odmienić, choćby na ślepo. Tym właśnie ludziom podaruje pan władzę nad przyszłością… A oni, Stiggs, oni ją unicestwią.

Nie, niech pan nic nie mówi. Nie wszystko pan jeszcze zrozumiał. Twierdzi się, że Roger Bacon odkrywszy proch zachował swoje odkrycie w sekrecie, przewidując, przeciwko komu może się ono obrócić. Szlachetny to, choć bezsensowny gest. Pół wieku temu fizycy dobrowolnie wprowadzili samokontrolę pragnąc, aby informacja o ich

pracach z rozszczepieniem jądra nie dostała się do nazistów. Postąpiwszy tak, oddali całą swą wiedzę Ameryce. Finał był w Hiroszimie. Ale nawet gdyby wtedy zamknęli swoje laboratoria, to i tak znaleźliby się inni, którzy mimo wszystko zrobiliby bombę. I to niekoniecznie z poczucia patriotyzmu — tu w pełni wystarcza czysta dociekliwość. Przemyślawszy lekcje, jakich udzieliła mi historia, postanowiłem postąpić inaczej, gdy odkryłem lewoskrętny foton. Ogłosiłem, że nie istnieje, że jego poszukiwanie jest bezsensowne. Dowodem były rezultaty eksperymentalne — sfałszowane… I mój autorytet. Położyłem go, jak kładzie się kłodę w poprzek ścieżki, na drodze do dalszych badań. Nie, nie łudziłem się! Wiedziałem, że kiedyś pojawi się, taki jak pan, zapaleniec, którego nie przestraszy mój zakaz. Ale dla mnie ważna była gra na zwłokę. Na szczęście doświadczenia zmierzające do wykrycia lewoskrętnych fotonów wymagają pieniędzy… I to dużych… Musiałem odwlec odkrycie za wszelką cenę. Przecież wystarczy pół wieku… nie! mniej nawet — i świat radykalnie się zmieni. Wtedy ludzie będą zaglądać w przyszłość tylko po to, by przewidzieć klęski żywiołowe, leczyć choroby jeszcze przed ich powstaniem. Wierzę w to… Naruszyłem prawa nauki, ale nie sumienia! I nie panu mnie sądzić.

— Nie osądzam… — z trudem, przez ściśnięte gardło przemówił Stiggs. — …Ale co z Fuois, Brodeckim, Sherringtonem?! — wykrzyknął nagle.

Gordon uniósł głowę.

— Świętej pamięci Fuois… Sherrington i Brodecki… to byli moi przyjaciele… — uroczyście powiedział starzec.

I niespodziewanie Stiggs znów poczuł się małym, maleńkim przed tym starcem, którego spojrzenie pełne było dumy i dostojności, którego twarz wyglądała teraz dokładnie tak, jak zapamiętał ją Stiggs z fotografii, oglądanych ongiś na stronicach podręczników…

Przełożył z rosyjskiego Krzysztof Malinowski

Dymitr Bilenkin
CYROGRAF

Adskij modern

Stiepan Porfiriewicz Demin — pięćdziesięcioletni mężczyzna o pozbawionym jakiegokolwiek wyrazu spojrzeniu i przeplatanych mysią siwizną włosach — był niezgorszą kanalią. Nic więc dziwnego, że pewnego pięknego dnia zgłosił się do niego diabeł.

Urzędnik piekieł ubrany był w świetny garnitur z syntetycznego materiału, białą niemnącą koszulę i srebrzysty krawat. W szponiastych łapach trzymał elegancką teczkę w stylu „attache", a w pysku dymił mu się amerykański camel.

— Ma pan na koncie dokładnie trzydzieści trzy świństwa — uprzejmie oświadczył Dominowi. — Tym samym nabyliśmy prawa do pańskiej duszy.

— Chwileczkę! — obruszył się Demin, nie zaproponowawszy nawet gościowi, aby usiadł. — O ile mi wiadomo, limit świństw…

— Ma pan całkowitą rację! Ale nie dalej jak miesiąc temu kierownictwo piekieł obcięło limit. Dokładnie dwukrotnie…

— Ależ to bezprawie! Samowola!

— I znów ma pan absolutną rację: bezprawie. Obecnie w wielu miejscach świata bezprawie jest w modzie. Faszystowskie przewroty, gwałcenie konstytucji, junty wojskowe… Nie ma co gadać, piekło stara się dotrzymać kroku postępowi w ogóle, a zbrodniom w szczególności.

— Mogliby przynajmniej uprzedzić.

— Ależ co pan! Przecież to już nie byłaby czystej wody samowola, nie rozumie pan?

Czart dobrotliwie się uśmiechnął i usiadł pomachując ogonem. Demin przygnębiony skinął głową, ale nieoczekiwanie olśniła go nowa myśl.

— Pański dowodzik poproszę…

Diabeł niedbale rzucił na biurko swój dowód.

Demin włożył okulary, znacząco kaszlnął, pomacał okładkę dokumentu i porównał diabelski pysk z wizerunkiem na zdjęciu. Potem przejechał paznokciem po piekielnej pieczęci i z westchnieniem zwrócił dokument diabłowi.

— Teraz chciałbym się zapoznać z zasadami konfiskaty dusz — powiedział, obrzucając diabła ciężkim spojrzeniem.

— Proszę się nie niepokoić, nie są skomplikowane. Po pierwsze…

— Nie trzeba. Powinien pan mieć instrukcję.

Diabeł skrzywił się kwaśno.

— Przeklęta biurokracja! — warknął. — Przecież naukowo udowodniono…

— Nauka nauką, a papierek papierkiem — pouczającym tonem odezwał się Demin. — Dlaczegóż bym miał wierzyć panu na słowo? To nie w moim stylu, a mam nadzieję, że i nie w piekielnym.

Diabeł pokornie pochylił głowę i wydostał z teczki ciężkie tomisko, na którego grzbiecie gorzało ogniste słowo: Instrukcja.

Stiepan Porfiriewicz zagłębił się w studiowanie księgi. Posapując z zadowolenia podnosił od czasu do czasu pytająco brwi, w nabożnym skupieniu poruszał wargami, skrupulatnie analizując tekst. Jego pozbawione zazwyczaj jakiegokolwiek wyrazu oczy błyszczały teraz, jakby skropione życiodajnym balsamem.

Nudzącemu się czartowi sprzykrzyło się to wreszcie i bezceremonialnie rozwaliwszy się w fotelu włączył telewizor. Szedł akurat mecz hokejowy. Gra tak go pochłonęła, że zapalił naraz dwa camele, nastawiwszy uprzednio na maksimum siłę głosu odbiornika.

— Przeszkadza mi pan — zrzędliwie zauważył Demin.

— No i bardzo dobrze — nie odwracając nawet głowy odparł tamten. — Trudności stwarza się po to, aby je pokonywać. Zgadza się pan ze mną?

Demin popatrzył kątem oka na podrygujący z emocji ogon diabła i nic nie odpowiedział. Sam był mistrzem w stwarzaniu wszelkiego rodzaju trudności. Obdarzywszy diabła śmiercionośnym spojrzeniem, znów pogrążył się w lekturze.

— Taaak… — powiedział wreszcie. — Zrobiona z głową, nie powiem. A ja myślałem, że cyrograf trzeba pisać krwią.

— Przestarzała, absolutnie niehigieniczna zasada! — parsknął diabeł. — Proszę, oto blankiet, niech go pan wypełni i kończymy ten interes.

Nawet nie wysilił się, żeby oderwać wzrok od ekranu telewizora, na którym upływały ostatnie minuty meczu; wynik jednak w dalszym ciągu nie był przesądzony. Potrzebny blankiet sam wyskoczył z teczki i legł przed Deminem. Ten ostrożnie wziął go w palce, przyciągnął ku sobie i niewyraźnym, urzędniczym pismem wypełnił rubryki. Gdy tylko postawił datę i podpis, z teczki wyskoczyła wielka okrągła pieczęć i z hukiem ostemplowała dokument.

Zapachniało piekłem.

— Więc co ze inną? Mam się zbierać? — zapytał Demin.

— Cicho!!! — ryknął diabeł, hałaśliwie fetując decydującego gola. Wreszcie, wyłączywszy telewizor, z promieniejącym pyskiem odwrócił się do swojej ofiary.

— No co? Wypełnił pan? Przepysznie. Tak… tak — wszystko zgodnie z przepisami. Lubię mieć do czynienia z wykształconymi

grzesznikami.

Końcem szpona złożył na dokumencie swoją parafkę.

— Teraz migiem zlatuję do piekła, zarejestruję cyrograf i… No, stary, nie załamuj się! „Wszyscy jesteśmy straconym pokoleniem” — jak powiedział Hemingway. Wszystkim wam jest pisane smażenie w kotle, pardon, w piekarniku na podczerwień. *C’est la vie*!

Pomachał cyrografem, zamknął teczkę z trzaskiem i ze słowami: — Niech się pan nie niepokoi, męki mamy opracowane zgodnie z ostatnimi osiągnięciami psychoanalizy! — zniknął.

Nie minęła jednak minuta, kiedy pojawił się z powrotem.

— Wiesz co, stary? — niedbale się odezwał. — Trzeba będzie przepisać ten cyrografik.

— A to dlaczego? — żachnął się Demin.

— Wypełnił pan blankiet atramentem. A atramentem nie wolno, do tego jeszcze fioletowym. Tylko długopisem albo jeszcze lepiej — flamastrem. Nasze piekło, powtarzam, stara się iść z postępem, a w szczególności z postępem techniki biurowej. Proszę to przepisać.

— Nie przepiszę! — zdecydowanie powiedział Demin.

— Jak to nie?!

— Bo nie. Nie trzeba się było zachwycać Hemingwayem czy jakimś tam innym waszym nowoczesnym, tylko dopilnować właściwego wypełnienia blankietu.

— No, no… — bez przekonania odezwał się diabeł. — Limit pańskich świństw jest wyczerpany, toteż…

— Toteż, miody człowieku, cyrograf raz podpisany przez pełnomocnika piekieł, w przypadku stwierdzenia post factum niezgodności z wymaganym wzorcem z racji zdrady lub podstępu duszodawcy, podlega przepisaniu jedynie za zgodą tego ostatniego. Jeśli natomiast zgoda taka nie zostanie wyrażona, to duszodawca, zgodnie z paragrafem 117, nie podlega już zaszeregowaniu do grupy „kanalii”, a do grupy „wyjątkowych bydlaków” i jako takiemu przysługuje mu podwójny limit podłonikczernności. Tak mówi wasza Instrukcja i dobrze by było, gdyby ją pan raz jeszcze przeczytał.

Rogi i kopyta diabła pobladły.

— Ależ to są formalności — wyszeptał.

— Za ich niedopilnowanie otrzyma pan wymówienie. Niech więc pan natychmiast znika z moich oczu, zaklinam na Instrukcję! Raz!

— Proszę posłuchać! — wrzasnął diabeł, paskudnie zalatując siarką. — Zgoda, pańska podłość wzięła górę, ale na przyszłość… Skąd, skąd pan wziął atrament?! Przecież nie sposób go uświadczyć, choćby za nieśmiertelną duszę?!

— Ja, młody człowieku, jestem w pewnym sensie, he-he, konserwatystą. I jak pan widzi, czasem się to przydaje.

Przełożył Krzysztof Malinowski

Dymitr Bilenkin
TŁOK W ETERZE

Kak na pożarie

Włączył się pierwszy program. Przyhamowawszy aparat zaczął dryfować wokół centralnej gwiazdy. Otworzyły się ochraniacze, wysunęły się urządzenia radarowe, ożyły mechanizmy rejestrujące informację. Sunące w zimnych przestworzach ciało aparatu upodobniło się do rozkwitłej czarnej róży.

Czujniki jak gąbki chłonęły w siebie całą kakofonię pól kosmicznych i promieniowania. Nieraz poza aparatem buchały języczki ognia. Wówczas jego orbita jakby pętlą owijała to jedną, to drugą planetę. Przenikliwie, badawczo przyglądały się im podobne do czasz radary. Lecz do powierzchni planet zwiadowca się nie zbliżał.

Nagle jego przyrządy schwytały sygnały radiowe…

Włączył się drugi program. Aparat zszedł z okołogwiezdnej orbity. Teraz zataczał coraz to węższe kręgi nad wybraną planetą. Jego blok analityczny mądrze i sprawnie preparował wszelkie napływające stamtąd sygnały radiowe i wizyjne. A kiedy struktura języków obcego świata została rozszyfrowana, włączył się trzeci program.

* * *

— „Eridan”, zwariowaliście? Na czwartą, mówię, na czwartą. Cooo? „Pluton”, tylko was tu jeszcze brakowało…

Że „Eridan” wracał z Kosmosu z uszkodzonymi silnikami — to jeszcze pół biedy. Że sieć pozaziemskich stacji upodobniła się do sklepu z porcelaną, do którego wkroczył słoń — to także nic wielkiego. Ale awaria centralnego mózgu cybernetycznego!.. Teraz wszystko zależało od opanowania Tana Rostowa, zręczności jego rąk i mocy strun głosowych. Gdyby w dyspozytorni zajęły się płomieniem od razu wszystkie cztery kąty, rozgardiasz byłby znacznie mniejszy. Wideofony wpadły w szał jak kibice po wbiciu gola, naziemne służby wrzeszczały jednocześnie pięcioma kanałami, na pulpicie miotały się histerycznie sygnały operacyjne, a w dodatku jeszcze wyszedł na łączność „Pluton”.

— Niezwłocznie…

Ociekający potem pomocnicy jak na komendę odwrócili głowy.

— Wszystkich przełączyć na ośrodki pomocnicze. Wszystkich.

— I nawet…

— I nawet. Wszystkich.

— „Pluton” dotychczas nie otrzymał od was komendy, co za porządki — dobitnym głosem przypomniał o sobie orbitalny to war o wiec.

— Idźcie do diabła — odburknął Rostow. — „Eridan”, ej, „Eridan”. (Boże, co za jełopy…)

— Będę się skar…

Łokciem (palce były zajęte) główny dyspozytor przerwał łączność z „Plutonem”. Nie obchodziło go nic na świecie poza „Eridanem”. Czy mógł go ktokolwiek zrozumieć oprócz dyspozytora oczywiście? Brutalnie odepchnął rękę pomocnika, wtykającego mu słuchawkę wideofonu. I wtem, jak na złość, zagłuszając słowa, na falę „Eridana” wdarła się jakaś obca stacja. Świat kompletnie zwariował.

— Ejże, na fali 8119, spływajcie stąd. W tej chwili… To nie do ciebie „Eridan”, nie do ciebie… 17–15, daję „Eridanowi” 17–15, sektor W, rezerwowy. Potwierdzenia nie słyszę.

Gdzież tam! Zuchwalec ani myślał wynosić się z fali. Zasuwał dalej swoją gadkę i głos „Eridana” tonął w zakłóceniach, jak brzęczenie komara w ryku bawoła. Tan wpadł we wściekłość.

— Precz z Kosmosu!!! — wrzasnął tak, że aż mu się gwiazdy w oczach pokazały z wysiłku. — 8119, zjeżdżaj stąd.

Zdaje się, że pomogło. Fala oczyściła się. „Eridan” wreszcie pojął, czego się żąda od niego, centrum obliczeniowe uporało się z uszkodzeniem. Uff…

I dopiero teraz, kiedy można było wyciągnąć się w fotelu i zapalić papierosa, i choć przez moment o niczym nie myśleć, pamięć chlusnęła do świadomości urywek zdania z tamtej, obcej audycji. Tan Rostow nie doniósł papierosa do ust. Tak właśnie zamarł w bezruchu z wybałuszonymi oczyma.

* * *

Analityczny blok zwiadowcy trzykrotnie ocenił sytuację. Trzykrotnie sprawdził uzyskane dane. Błędu nie było. W odpowiedzi na zew przyjaźni dalekiej planety nadszedł energiczny i niedwuznaczny rozkaz, aby się usunąć. Dwukrotnie powtórzony, graniczący z obrazą rozkaz.

Automat nie miał dumy, ale mieli ją za to jego konstruktorzy. Przewidzieli oni możliwość nieprzyjaznej odmowy i dlatego niezwłocznie włączył się program zapasowy.

Radary momentalnie skryły się w gniazdach, ochraniacze zatrzasnęły się, aparat został wprawiony w ruch, za jego rufą wyrósł płomień. Już po godzinie układ niegościnnej gwiazdy, który odtrącił

przyjaźń prastarej cywilizacji Galaktyki, zniknął z pola widzenia.

Przełożył z rosyjskiego Eligiusz Madejski

Dymitr Bilenkin
CZŁOWIEK KATALIZATOR

Cziełowiek, kotoryj prisutstwował

Owego wieczoru jak zawsze cała nasza piątka zebrała się u Walerego Granatowa. Najsprytniejszy zdołał zająć fotel właściciela, pozostałym wypadło zadowolić się krzesłami i praca się zaczęła.

Często spotykaliśmy się w tym gronie, żeby razem tworzyć opowieści przygodowe. Z początku tak pospolita w nauce i tak rzadka w literaturze forma współpracy wydawała nam się oryginalną zabawą, sprawiająca przyjemność i nam, i naszym czytelnikom, ale stopniowo coś zaczęło się zmieniać. Nasze zdolności, wiadomości, temperamenty zespoliły się na tyle, że powstała jakby wspólna, samoistna osobowość, częściowo podobna do każdego z nas, lecz chwilami całkiem nam obca. Ze zdziwieniem zauważyliśmy, że narzuca nam ona swoją władzę. W żaden sposób nie chciała się ograniczyć do stworzenia kunsztownego pomysłu, pragnęła czegoś więcej i dla osiągnięcia tych wyższych celów wymagała od nas pełnego zaangażowania i ofiarności. Mieliśmy tylko dwa wyjścia: albo poddać się całkowicie tej nowej właściwości, albo się rozstać, żadna jednak z tych możliwości nam nie odpowiadała. Nikt by nie szczędził grosza dla zabawy w gronie przyjaciół, ale poświęcić cały swój kapitał po to, aby budować wspólnie zamki na lodzie — to już inna sprawa. Szale się wahały i ten wieczór mógł zdecydować o wszystkim.

A więc czuliśmy się wszyscy bardzo nieswojo. Nawiasem mówiąc obmyślanie fabuły przez całą naszą piątkę ujawniło pewną przedziwną właściwość myślenia. Z łatwością wpadaliśmy w tok cudzych myśli. Szybko bez zakłóceń rozwijały się sceny, rodziły się idee, a pomysły z niezwykłą lekkością przefruwały z rąk do rąk, wzbogacając się w locie. W takich chwilach przeżywaliśmy to szczególne, nieprzeciętne szczęście, jakie daje kolektywne myślenie.

A potem wszystko w zagadkowy sposób rozsypywało się w gruzy. Drobiazg, na którego wyjaśnienie jednostka straciłaby najwyżej sekundę, wymagał niesamowitych wysiłków. Jakb3'śmy gasili nawzajem swoje myśli. Otóż o ile rezonans s myśli wznosił nas do czegoś szczególnego, bajecznie kolorowego, to przeciwfaza nas dławiła.

Na nieszczęście praca owego wieczoru zaczęła się akurat od przeciwfazy. Wyobraźnia była ospała, wypowiadaliśmy drętwe słowa i było to nie do zniesienia jak koszmar. Patrzyłem na rażące światło nocnej lampki i myślałem: jest przecież tysiące zwykłych radości, po

cóż mamy się męczyć dla czegoś iluzorycznego, najwidoczniej niedostępnego? Podejrzewam, że podobnie myślał każdy z nas.

— A jeśli nasz bohater zacznie w ten sposób… — wydusił z siebie Walery po kolejnej przygnębiającej pauzie.

Ale przerwał nam dzwonek w przedpokoju.

Szurając bamboszami wyszedł i zaraz wrócił, przepuściwszy przed sobą jakiegoś człowieka z teczką, która kiedyś była brązowa. Gość ukłonił się niezgrabnie i usiadł. Nie zdążyłem się zdziwić ta wizytą, gdy Walery już od progu przemówił pełnym przejęcia głosem: — Chłopaki, a gdyby tak…

To, co powiedział, było tak wspaniałym odkryciem, że — zapomniawszy o wszystkim — oniemieliśmy z zachwytu.

I zaczęło się. Z tego wieczoru zachowało się w mojej świadomości tylko ogólne wrażenie jakiejś pełnej napięcia rozkoszy, jakbyśmy szli pod górę i każdy krok otwierał przed nami pejzaże coraz bardziej urzekające swoją urodą. Nie było to już tworzeniem opowieści, po prostu widzieliśmy cudze życie aż do samej jego głębi, doznając prawdziwego wstrząsu przenikaliśmy w najskrytsze zamierzenia ludzi, którzy powstali w nieznany sposób, wpadaliśmy w zachwyt bądź przerażaliśmy się nagłą przemianą ich charakterów, chwytaliśmy ich gesty, słowa, i trzeba było tylko zapisywać, zapisywać, zapisywać, bo już nie wiadomo było, co jest bardziej realne — czy ten zadymiony pokój, gdzie siedzimy, czy tamten świat, który ożył w naszej świadomości.

I nie było już mnie, nie było nas, istniała tylko owa wspólna osobowość, w której roztopiliśmy się, która w dziwny sposób nas natchnęła i dała jakąś swoistą, nieporównywalną z niczym ostrość widzenia. W podobnym stanie nie byliśmy nigdy ani przedtem, ani potem. Stan ten wyjaśniał życie lepiej, niż setki podręczników, rozumieliśmy wszystko, nie było przed nami żadnych tajemnic, byliśmy wszechmocni jak bogowie.

Tylko w momencie jakiegoś spadku napięcia myślowego, kiedy ledwo, ledwo zarysowała się realność owego pokoju, w którym byliśmy, przypomniałem sobie o przybyszu i na ułamek sekundy zatrzymałem na nim wzrok. Siedział bokiem, mrużąc oczy i zacierając ręce, jakby chciał je rozgrzać przy ogniu. „Cudownie, cudownie” — szeptał. Nie zdążyłem mu się dobrze przyjrzeć, lecz miałem wrażenie, podobne do tego, jakie wywołuje w nas widok starych, dobrze znanych rzeczy, nieważne nawet jakich. Wrażenie czegoś przytulnego, napawającego ufnością i zarazem niezbędnego. Mimochodem zdałem sobie sprawę, że jest w tym coś dziwnego. Podczas wytężonej pracy umysłowej obcy zawsze nam przeszkadza, a tutaj tego nie było.

Wszystko, cokolwiek robiliśmy tego wieczoru, było doskonałe. Nie pytaliśmy się wzajemnie, czy tak jak powinna, rozwija się fabuła

przyszłego utworu, wiedzieliśmy bowiem, że może się ona rozwijać tylko w ten sposób. Nie dobieraliśmy wyrazów dla opisów, przychodziły same, jedynie trafne, płonące wewnętrznym blaskiem.

I zakończywszy przed piątą nad ranem, wiedzieliśmy, że zrobiliśmy wszystko, inne rzeczy były zbędne; to najważniejsze, co daje utworowi głębię i autentyczność, już zostało zapisane.

Popatrzyliśmy na siebie nawet z pewnym rozczarowaniem. Nie chciało się nam mówić. Byliśmy obezwładniająco wyjałowieni. Poczciwiny z teczką już nie było w pokoju, zniknął niepostrzeżenie. Ubraliśmy się i zaczęliśmy się żegnać, nikt o nim nie wspomniał ani słowem.

Pan domu, narzuciwszy na siebie palto z wąskim aksamitnym kołnierzem, odprowadzał nas na ulicę. Dopiero w skrzypiącej windzie zapytałem go od niechcenia:

— Walery, kim jest ten twój przyjaciel, który przesiedział z nami cały wieczór?

Walery spojrzał zaskoczony.

— Mój przyjaciel? Widziałem go po raz pierwszy. Przyszedł do któregoś z was…

Popatrzyliśmy na siebie z niedowierzaniem. Wyjaśniło się, że nikt przedtem tego faceta z teczką nie widział na oczy.

— Jak to się mogło stać? — z zakłopotaniem zapytał Walery. — Coś nieprawdopodobnego!

— Ale przecież tyś go wpuszczał — odparowaliśmy chórem.

Wyczytaliśmy nagle z jego oczu, że usiłuje sobie coś przypomnieć.

— No tak… ja go wpuściłem.

— O nic nie pytając?

— Przywitał się… Chciałem go zapytać, gdy nagle olśnił mnie pomysł w związku z fabułą i zupełnie machinalnie przepuściłem go do przodu… A potem jakby przestał dla mnie istnieć…

— Wszystko jasne! — zreasumowałem, tłumiąc ziewanie. — A może by ktoś jednak coś niecoś wytłumaczył?

Staliśmy w westybulu, z lewej strony były drzwi do sklepu rybnego, z prawej do mleczarskiego, tak że w kiepsko oświetlonym korytarzyku pachniało jednocześnie i mlekiem, i rybami. Nikt z nas niczego nie potrafił wyjaśnić. Wiadomo było tylko jedno, że tak po prostu do nieznajomych ludzi nikt nie przychodzi i nie zasiaduje się do rana. Dalej wszystko się gmatwało.

Najbardziej zdumiewającym jednak był fakt, że ta zagadka jakoś nieszczególnie nas pasjonowała. Do takiego nastroju było nam daleko.

— Tworząc przygodę, sami zetknęliśmy się z nią oko w oko — zażartował ktoś ospale.

Troszkę jeszcze porozmawialiśmy o tym, co się zdarzyło, i rozstaliśmy się, wymieniając między sobą znużone i zarazem

zakłopotane uśmiechy.

Minęło wiele miesięcy, które ani o włos nie zbliżyły nas do wyjaśnienia zagadki, kiedy nagle w biały dzień zetknąłem się z naszym nieznajomym na ulicy.

To dziwne, ale poznałem go od razu, chociaż był w starym, suto marszczonym półkożuszku, który sprawiał, że jego krępa figura wydawała się jeszcze bardziej przysadzista. Przecież przed spotkaniem wcale nie byłem pewien, że poznam go nawet w owym dwurzędowym garniturze, w którym był wówczas.

— Dzień dobry. Chciałbym pana o coś zapytać. — Zdecydowanie podszedłem do niego, gdyż jego spojrzenie, skierowane ku mnie, rozwiało ostatnie wątpliwości.

Nieśmiało spojrzał na mnie zadzierając niemal głowę do góry, ręka z podniszczoną teczką drgnęła, jakby się chciał nią zasłonić.

— Dzień dobry — powiedział cienkim głosem. — Jak się powodzi waszej opowieści?

— Doskonale — odparłem, ani trochę nie przesadzając. — Ale przepraszam za natręctwo, kim pan właściwie jest?

— Nazwisko mam niepozorne… Fiediaszkin… Piotr Pietrowicz.

Twarz idealnie harmonizowała z nazwiskiem. Brwi i rzęsy pożółkłe, wyblakłe, policzki starcze, zwiotczałe, i nos jak kartofel.

— Będzie pan mnie zaraz wypytywał… — powiedział ze smutkiem Fiediaszkin, unikając mego wzroku. — Może nie warto? Najważniejsze, żeby nowela się udała…

Obejrzał się nawet, szukając możliwości zagubienia się w tłumie. Nie miał jednak wyjścia — przyparłem go niechcący do ogrodzenia przy chodniku.

— Proszę mi wybaczyć, Piotrze Pietrowiczu, ale sam pan przecież rozumie, co wzbudziło moje zainteresowanie. Na moim miejscu pan by również…

— Rozumiem, rozumiem, ale niczego wyjaśnić nie mogę.

— Nie chce pan?

— Nie mogę, słowo honoru. A zresztą, czy wam źle było ze mną? Po cóż wam jeszcze wiedzieć cokolwiek?

Uwielbiamy tajemnice w książkach, ale w życiu ich nie znosimy. Nie jestem wyjątkiem. Koniec końcem i książkowe tajemnice lubimy tylko dlatego, że na ostatnich stronach zostają one ujawnione.

— Nie ma mowy — powiedziałem stanowczo, choć uświadomiłem sobie niezręczność sytuacji. — Pan musi mi to wytłumaczyć.

Jego zaokrąglona figura skuliła się jakoś, nawet na półkożuszku przybyło fałd.

— Pan i tak nie uwierzy — rozejrzał się smutno.

— Ależ słucham…

— A więc wy sami mnie wezwaliście…

— My?

— Wasze myśli.

Mimo woli drgnąłem. Przez jego wargi przemknął od razu smutny i jednocześnie triumfujący uśmiech.

— No widzi pan, uprzedzałem przecież. Nie powinniście wszystkiego wiedzieć.

No, to jestem w domu. Fiediaszkin miał małego chyzia. Znowu wziąłem się w garść i powiedziałem już spokojnie.

— Niech pan mówi dalej.

Ale gdzież tam, w ogóle nie chciał gadać, myślał, że teraz to go już puszczę. Próżna nadzieja. Sam nie wiedząc czemu, gotów byłem wziąć go za kołnierz wysłużonego półkożuszka, aby jak najprędzej wytrząsnąć z niego wyznanie. A on wystraszył się nie na żarty, jakby rzeczywiście przeczytał moje myśli.

— Nie trzeba! — wrzasnął. — Pan siebie zamrozi. Powiem już, nie ma rady, a potem się rozstaniemy, zgoda? Ach, młody człowieku, jak pan nierozsądnie postępuje ze swoim mózgiem.

— Więc pan jest telepatą. Proszę dalej.

— Skądże znowu! Nie potrafię czytać myśli. Za to wyczuwam je, kiedy one… Rozumie pan, ja, oczywiście, jestem człowiekiem nieuczonym… Ale jeśli ktoś myśli, to w jego mózgu jakieś… tam… potencjały zmieniają się, zachodzi promieniowanie. I kiedy rozgorzeje myśl, gdy ona coś tworzy, to wydziela… ciepło. Wie pan, takie błogie, przytulne ciepło. No, tego ja prawie nie zauważam, tylko w ogóle tło, że tak powiem… Otóż jeśli ona szczególnie się rozpala, jak wtedy u was, to mnie tam właśnie ciągnie.

— Wszystko to jest ciekawe — przerwałem niecierpliwie. — I prawie nie pozostaje w sprzeczności z nauką. Ale za to pan sam sobie przeczy.

— Jak to? Nic podobnego.

— A jednak to prawda. Kiedy pan przyszedł, nasze myśli dymiły, nie dając płomienia. Czadziły. A więc jak?

Fiediaszkin speszył się. Mnie ten swoisty postrzeleniec zaczynał się podobać. Był nie tylko nieszkodliwy, lecz wprost wzruszający w swoich fantazjach. A mimo wszystko dlaczego przyszedł właśnie do nas?

— Nie ma tu żadnej sprzeczności — rzekł niepewnie. — Niechże pan tylko nie przyjmie tego za chełpliwość…

— Bynajmniej.

— Co pan widzi dokoła?

Niedołężnie powiódł ręką wokół. Machinalnie prześliznąłem się wzrokiem po zatoczonym przez niego półkolu. Pogrążeni w swoich sprawach i kłopotach śpieszyli zasępieni ludzie, jak psie ogonki wiły

się dymki spalin samochodowych, po gzymsach dostojnie kroczyły gołębie, zgrzytał tramwaj skręcając w aleje.

— Otóż wokół tego wszystkiego krąży obłok myśli — tajemniczo zniżywszy głos powiedział Fiediaszkin. — Ale wyraźnych punktów wskazujących na to, że tworzy się właśnie coś nowego i doniosłego, na razie jest niewiele. Dlatego każdy języczek płomienia jest tak drogocenny. Posiadam właściwość… Tylko znowu niech pan nie myśli, że to przechwałki… Moja obecność od razu roznieca ogień. Czyż wy sami tego nie zauważyliście? Nie! Nie! — krzyknął, jakby się broniąc. — Sam jestem niczym, buchalterem na emeryturze, ale posiadam taką właściwość, że pomagam innym myśleć. Dlatego do was właśnie przyszedłem. Chodzę zresztą do wielu, tak trzeba, i im jest dobrze, i mnie, wszystkim ludziom to odpowiada. Nie wierzy pan?

Oczywiście nie uwierzyłem. Nie wierzyłem ani odrobinkę. A mimo to moja niewiara miała już maleńką rysę: jego słowa w zasadzie mogły wyjaśnić wszystko, co się zdarzyło z nami owego wieczoru.

— Wspaniale — wpadłem na pomysł. — Niech pan zademonstruje.

— Po co? — powiedział zmartwiony, przestępując z nogi na nogę. — I tak pan nie uwierzy.

— Uwierzę — zaoponowałem z uporem i wbrew wszelkiej logice byłem prawie pewien, że tak się właśnie stanie.

— To chodźmy — pokornie zgodził się Fiediaszkin.

Zbyt się zdziwiłem, aby protestować. Skręciliśmy w jakiś zaułek, potem w drugi, trzeci. Fiediaszkin szedł nieszybko, lecz dostatecznie pewnie, tylko jego twarz przybrała zdecydowany wyraz, jakby słuchał jakiejś dalekiej muzyki.

— Dokąd właściwie idziemy?. — nie wytrzymałem wreszcie.

— Proszę nie przeszkadzać — nagle dosyć ostro powiedział, Fiediaszkin. Ale po chwili bąknął zmieszany. — Proszę mi wybaczyć… Ja przecież sam nie wiem, gdzieś tutaj… Oczywiście, moglibyśmy zajść do instytutu obok, tam również… Lecz tam nie wpuszczają bez przepustek. Ale to już blisko.

Machnąłem ręką i tylko się zdziwiłem, jak mogłem wdać się w tak fantasmagoryczną awanturę.

Wkrótce szliśmy już po podwórzach, przez jakieś przejścia, potem zaczęliśmy wchodzić po schodach, najbardziej przeciętnych, z papierkami i różnymi odpadkami przy otworach zsypu.

Fiediaszkin zatrzymał się przed drzwiami na szóstym piętrze.

— To tutaj.

Wyraźnie denerwował się, wargi mu pobladły, a głowę usiłował wciągnąć w kołnierz półkożuszka.

Dzwonek zadźwięczał niepewnie.

Drzwi otworzył nachmurzony chłopak w sportowym garniturze.

— Panowie do kogo? — zapytał jakoś obojętnie.

Popatrzyłem na Fiediaszkina. Wzbudzał litość.

— Otóż chcielibyśmy… — wybełkotał drżącym głosem. — Jesteśmy z… Przecież państwo nad czymś pracujecie?

— Pracujemy — potwierdził chłopak.

I nagle coś zmieniło się w jego twarzy. Pojawił się na niej wyraz absolutnego skupienia i pełnej izolacji od reszty świata. Taka właśnie była twarz Walerego Granatowa, kiedy owego wieczoru wrócił do nas z przedpokoju.

— Dobra, wytłumaczy pan potem — burknął niecierpliwie chłopak i gotów byłbym przysiąc, że już nas nie widzi i nie myśli o nas. Było to bardziej niż dziwne.

Nie raczył nawet zaczekać, aż się rozbierzemy, i zniknął za drzwiami, skąd rozległy się okrzyki, śmiech, a następnie wszystko ucichło. I kiedy weszliśmy, zobaczyliśmy trzech młodych ludzi, pochylonych nad stołem, gdzie były rozłożone jakieś rysunki techniczne. Zresztą rysunki poniewierały się również i na podłodze.

Następna godzina była najbardziej fantastyczna ze wszystkich dotychczas przeze mnie przeżytych. Ja i Fiediaszkin siedzieliśmy cicho w kącie, a młodzieńcy, nie zwracając na nas uwagi, pracowali z wściekłą zawziętością. Paliłem nerwowo, spodziewając się, że lada chwila wyrzucą nas na zbity łeb. Ale my ich nic nie obchodziliśmy i możliwe, że gdyby nawet wówczas zjawił się sam Napoleon, nie odwróciłoby to ich uwagi. W telegraficznym skrócie wymieniali między sobą niezrozumiałe dla mnie terminy radiotechniczne, nieraz obrzucali się wyzwiskami, ale przeważnie pisali w milczeniu i w całym ich zachowaniu nie było niczego zewnętrznie podniosłego tylko najgłębsze skupienie. Fiediaszkin bynajmniej nie triumfował, wpadł w milczący zachwyt, promieniował wprost upojeniem, wyraźnie kochał tych chłopców, o mnie po prostu zapomniał.

Potem nagle wziął mnie za rękę.

— Chodźmy, oni już kończą.

— Co oni robią? — wyszeptałem.

— Skąd mogę wiedzieć? — również szeptem powiedział Fiediaszkin. — Dokonują jakiegoś wynalazku. Chodźmy, chodźmy już na Boga.

W pełnym oszołomieniu zbiegłem ze schodów.

— Dobrze wypadło — mamrotał Fiediaszkin, potykając się o stopnie. — Oni dziś dokonali czegoś wielkiego… To cudownie, że nas wpuścili. Wie pan, bywa i tak, że nie wpuszczają. Co prawda rzadko, gdyż zwykle ja od razu jakoś na nich działam…

Nie wsłuchiwałem się zbytnio w jego mamrotanie, gdyż próbowałem uporządkować jakoś swoje myśli i częściowo mi się to udało. Taka operacja jest po prostu niezbędna, spełnia ona rolę

swoistego odruchu obronnego. Każdy najbardziej niesłychany cud przede wszystkim staramy się wtłoczyć w ramy czegoś znanego, aby uwolnić swój umysł od nadmiernego ciężaru. Następnie, przywyknąwszy nieco, nabieramy odwagi.

Tok moich myśli, podczas gdy wlokłem się za Fiediaszkinem, był mniej więcej następujący. Jemu wcale nie brakuje piątej klepki. Jego obecność widać rzeczywiście pobudza zdolności twórcze. Przypuśćmy. No i cóż z tego? Dla milionów ludzi jest to, można powiedzieć, obowiązek zawodowy. Nauczyciele sami nie produkują ani dóbr materialnych, ani wartości duchowych. Są tylko przekaźnikami wiedzy i — co najważniejsze — stymulatorami intelektualnego i moralnego rozwoju dzieci. Oczywiście nauczyciele z prawdziwego zdarzenia. W tym kryje się wielkie znaczenie ich zawodu. Tak ja to rozumiem. Rozsiewać swoje myśli i czyny tak, aby wplotły się one jak złota nić w cudze życie i aby nie rozpoznane ożyły potem w odkryciach i wszelkich sukcesach — to praca najważniejsza dla społeczeństwa. Ale czyż tylko nauczyciele to czynią? Jak atomy ciała nie giną po śmierci, lecz wstępują w nowe cykle, tak i wytwory ducha przekazywane innym istnieją wiecznie, niedostrzegalnie przechodząc z pokolenia na pokolenie. Ale to nie wszystko. W procesach przyrody nieorganicznej uczestniczą katalizatory, tajemnicze związki, które — pozornie nie wchodząc w reakcje — nadają im energię i moc. Procesy organiczne katalizowane są przez enzymy. Dlaczegożby i w procesach psychicznych nie miały występować swoiste katalizatory i fermenty? Czemu nie? — powtarzałem jak papuga, patrząc tępym wzrokiem na plecy Fiediaszkina. Przejęty nowym pomysłem przyspieszyłem kroku.

— Niech pan posłucha — schwyciłem Fiediaszkina za rękę. — Jeśli pan… eee… stymuluje wysiłek umysłowy innych, to dlaczego ja nie odczułem tego od razu, jak pana spotkałem w alejach? Czyżby pan nie oddziaływał na jednostki?

Nie uwolnił nawet swojej ręki (w ogóle jego zachowanie było pokorne) i odpowiedział, pesząc się znowu, lecz z godnością.

— Czemuż by nie… Na jednostki również wywieram wpływ. Ale czy pana myśli były bliskie twórczości, kiedyśmy się spotkali?

Z przepraszającym uśmiechem popatrzył na mnie przeciągle.

— Nie trzeba, niech pan nie żąda wyjaśnień, sam przecież nic nie wiem. Nie udało mi się zostać w życiu kimś, pozbawiony jestem wybitnych zdolności, a tylko uczestniczę przy ucztach duchowych i jak sądzę, jestem pożyteczny, ponieważ1 sprzyjam obmyślaniu rzeczy wzniosłych. Nie ma w tym mojej zasługi, że ta właściwość jest we mnie tak silna. Wie pan, to tak jak z głosem — kto go ma, to śpiewa dobrze, a kto nie ma głosu, to się nie nauczy, ale za to wyróżni się czymś innym… Przedtem nie miałem odwagi tak po prostu chodzić do nieznajomych ludzi, aby pogrzać się samemu i innych rozgrzać. A

teraz, kiedy śmierć jest blisko, trzeba się spieszyć, aby wykonać, co należy. Nawet przestałem się bać, że mnie wypędzą jak żebraka i przybłędę, i doskonale się wszystko udaje, a dlaczego — to już nie moja głowa. I w tym jeszcze cała moja radość, że z roku na rok coraz więcej takich ogników się u nas rozpala i do wszystkich już zdążyć bym nie mógł, gdybym się nawet dwoił i troił. Żałuję natomiast, że nie mam żadnego wpływu na rozbudzanie wartości moralnych. Nie mam w tym kierunku talentu, ale mój brat nieboszczyk go miał.

— Niech pan zaczeka. — Przeszył mnie nagły domysł. — Jeśli istnieją podobni do pana ludzie-stymulatorzy, to prawdopodobnie są również ludzie tłumiący myśli?

— A jakże — ze smutkiem przyznał Fiediaszkin. — Oczywiście, zdarzają się takie chodzące lodówki. A pan ich nie spotykał? No, pan wybaczy, muszę już iść, mój dom jest tuż obok.

Machinalnie uścisnąłem jego miękką dłoń, odprowadziłem wzrokiem zaokrągloną figurkę Fiediaszkina, kołyszącą się chwiejnie na niepewnych niedołężnych nogach. I dopiero gdy zniknął mi z oczu, nawymyślałem sobie od jołopów. Nie dowiedziałem się od niego setnej części tego, o co trzeba było zapytać, nie zapisałem nawet adresu.

Zresztą, można to było naprawić: przecież istnieje biuro adresowe.

Do końca dnia byłem — inaczej trudno to wyrazić — w stanie jakiegoś dziwnego oszołomienia. Wszystko się zgadzało w mojej hipotezie za wyjątkiem jednego. Bezsprzecznie są ludzie, których obecność przyspiesza załatwienie każdej sprawy, sam znałem takich. No tak, ale ich wpływ zawsze jest konkretnie odczuwalny. Wyczuć go można w słowach, w gestach, w śmiechu. Oni uczestniczą w pracy, a nie tylko są przy niej obecni. A Fiediaszkin tylko był obecny…

Jak wiadomo, z wszelkimi niejasnościami powinniśmy zwracać się do uczonych. Tak samo i ja w pierwszej chwili zamierzałem postąpić. Wyobraźnia przedstawiła mi w tęczowych kolorach moją rozmowę z profesorem X, z członkiem Akademii Nauk — Z, i już widziałem, jak śpieszą do Fiediaszkina… Ale po chwili ochłonąłem. Nie pomoże profesor X, nie pomoże akademik Z. Ludzie z dziwacznymi i zadziwiającymi zdolnościami są nauce znani… Objawi się np. człowiek, mogący szybciej od elektronowej maszyny cyfrowej wyciągnąć pierwiastek kwadratowy z sześciocyfrowej liczby, lub nadejdzie wiadomość o człowieku, który nigdy nie sypia. A bo to mało niezwykłości kryje się w ludziach?

Ale nauka dotąd tych tajemnic nie zgłębiła. Ów człowiek-komputer u nikogo nie budzi wątpliwości: proszę bardzo, oto rezultat jego fenomenalnych zdolności — na tablicy. Badaj, jak tylko zechcesz… I badają. Ale co dalej?

A Fiediaszkin nawet w ten sposób nie może zademonstrować swoich zdolności. One w ogóle nie mogą być wyrażone w cyfrach, w czymś konkretnym i przekonywającym. W Fiediaszkina można wierzyć lub nie wierzyć, ale wiara nie jest dowodem dla nauki.

Wreszcie postanowiłem, że odnajdę adres Fiediaszkina, posiedzę z nim kiedyś wieczorkiem, porozmawiam, a dalej zobaczymy.

A jednak stało się inaczej. Miałem korektę książki, potem zachorowałem, później… Później były jakieś bardzo ważne, nadzwyczaj pilne sprawy, nie pamiętam już jakie, wiem tylko, że były to wszystko sprawy nie cierpiące zwłoki. W nawale tej codzienności historia z Fiediaszkinem może nie została zapomniana, ale jakoś przyblakła.

A jednak doszło do spotkania.

Jak i poprzednio, zetknąłem się z nim znowu na ulicy. Był niezwykle upalny maj, sam jego początek, asfalt topił się pod gorącymi promieniami słońca, a drzewa jeszcze się nie rozwinęły i w skwarnym niebie, przezierającym poprzez zimowo nagie gałęzie, było coś nienormalnego. Fiediaszkin kulił się z zimna, a jego dłonie odruchowo szukały schronienia w rękawach. Nie zauważywszy mnie nawet, przeszedł obok. Musiałem go zawołać.

Drgnął cały, z roztargnieniem spojrzał na mnie z ukosa, poznał wprawdzie, ale jakby z daleka, jak gdybym był punkcikiem na horyzoncie.

— Źle się pan czuje? — spytałem.

— Nie, skądże znowu — powiedział bez przekonania. — Jest mi po prostu zimno.

— W taki upał?

— A wiatr?

Mimo woli obejrzałem się. O wietrze nie mogło być mowy, nawet płachty pierwszomajowych sztandarów wisiały bez ruchu.

— Czyż pan tego nie czuje? — w głosie Fiediaszkina zabrzmiała nutka wyrzutu. — On wieje… dmie od dawna, szczególnie dziś… Nad prastarą i mądrą kulturą rozciąga się ziąb okrutny. Czyżby pan… No tak, stokrotnie przepraszam. Zapomniałem, że do pana nie dochodzi ostatni krzyk myśli…

— Ach, o to panu chodzi…

— Ale dlaczego, dlaczego pan tego nie czuje, jak pan śmie tego nie odczuwać? Rozum zamrażają, umysł ludzki karmią lodem, on kurczy się i ginie, a panu ciepło?!

Fiediaszkin wyrzucił to z siebie prawie z krzykiem i po tym wybuchu osłabł nagle. Milczałem zmieszany, przestępując z nogi na nogę.

— Śmierć myśli uczonego nie jest jeszcze tak straszna — kontynuował zamierającym szeptem. Taka myśl jest właściwie

niezniszczalna, rozumie pan? Gdyby nie było Newtona, prawo ciążenia i tak by odkryto, i bez Einsteina teoria względności zostałaby w końcu stworzona. A jeśliby przygaszono myśl Lwa Tołstoja? Jak ślepy żebrak mogłaby ludzkość obmacywać każdy wiek, ale nawet wieczność nie zwróciłaby nam „Wojny i pokoju". Nigdy, nic, nikt w najjaśniejszej przyszłości nie zrekompensuje takich strat. Stąd to nieszczęście. — Głos Fiediaszkina przybrał na sile. — Proszę sobie wyobrazić, jak zwolniłyby się obroty historii, gdyby ktoś zamroził myśli Marksa. Nie, pan nie zrozumie, że ja… nie może pan w żaden sposób pojąć, jaka to męka słyszeć ostatni krzyk mordowanej myśli, cóż za czarna rozpacz wsłuchiwać się w błaganie o pomoc, nie mogąc jej udzielić.

— Niechże się pan uspokoi — powiedziałem, sam przejęty do żywego.

Ale Fiediaszkin uspokoić się nie mógł, nie był też w stanie mówić coś więcej, tylko płakał, zanosząc się przygnębiającym, starczym szlochem. Oglądano się za nami ze zdziwieniem.

Zaciągnąłem go do automatu z wodą sodową i ominąwszy kolejkę napoiłem nieboraka. Chciałem w pierwszym odruchu zaprowadzić go do domu.

— Ja nie mam czasu! — zawołał z nagłym uniesieniem, kiedy powiedziałem mu o swoim zamiarze. — Idę do tych, którzy teraz myślą, niech mnie pan nie zatrzymuje, ja muszę zdążyć.

Z trudem namówiłem go, byśmy się spotkali jeszcze raz…

Nic z tego nie wyszło. Umarł tego samego dnia na ulicy — widocznie spieszył do kogoś. Przechodnie go podnieśli, najbliżej mieszkający sąsiedzi go pochowali, ponieważ okazało się, że Fiediaszkin nie miał ani rodziny, ani przyjaciół. Jednym słowem umarł tak, jak i żył, cichutko, i nikt nie zauważył, że nie ma więcej Fiediaszkina — człowieka z przedziwną zdolnością pobudzania myśli innych ludzi. Ja sam również nie odczułem pustki, tylko smutek i pewien żal, że ani razu nie przekroczył on mojego progu, a teraz nie przekroczy go już nigdy.

Opowieść, którą napisaliśmy wówczas pod milczącą obecność Fiediaszkina, miała powodzenie, ale naturalnie nikt z nas publicznie nie wspomniał nazwiska Fiediaszkina, tylko ja jeden podziękowałem mu w myśli, ulegając przy tym dziwnemu zmieszaniu.

To wszystko. Życie jest tak bogate w sytuacje epizodyczne, w niedokończone obserwacje, w spotkania bez początku i końca, w to wszystko, co nie mieści się w ramach opowiadania. Przynajmniej — dla osób postronnych. Bo my zachowujemy to wszystko w sobie i z sobą zabieramy.

Tak samo i ja bym postąpił z tą historią, gdyby nie wczorajsza gazeta. Był w niej opublikowany wywiad z autorem pewnego

wybitnego odkrycia i widniał tam również taki wiersz: „Szczególne podziękowania należą się P.P. Fiediaszkinowi, który dopomógł mi zbliżyć się śmiało do problemu”.

Niczego więcej nie było tam o Fiediaszkinie, oprócz tej właśnie wzmianki, lecz ona boleśnie mnie dotknęła. Ktoś jednak pamiętał go i był mu wdzięczny, a mnie tej szczodrości zabrakło. Jak bym w milczeniu zgodził się z tym, że zdolność pomagania innym jest mniej cenna niż jakakolwiek inna. Kiedy to pojąłem, musiałem napisać o Fiediaszkinie, którego obecność była tak samo niedostrzegalna i tak samo konieczna dla życia, jak obecność enzymów jest niezbędna dla zdrowia organizmu.

Przełożył z rosyjskiego Eligiusz Madejski

Kirył Bułyczow
SKARBNICA MĄDROŚCI

Kładez' mudrosti

Korneliuszowi Udałowi ukazał się we śnie przybysz z kosmosu.

— Posłuchaj, Korneliuszu — powiedział. — My w galaktyce wiemy, że jesteś bardzo przychylnie usposobiony do idei przyjaźni kosmicznej.

— Oczywiście — zgodził się Korneliusz. — Wierzę w możliwość kontaktów i w miarę sił…

— Zaczekaj — przerwał mu przybysz. — Mam niewiele czasu.

Przybysz był otulony błękitnym pledem i w blasku trudno było odróżnić jego kształty. Korneliusz rozumiał, że spotkanie odbywa się we śnie, ale do przebudzenia nie było mu spieszno, zawsze lubił pomówić z nowym człowiekiem.

— My tu w galaktyce naradziliśmy się — kontynuował przybysz, podlatując bliżej i obejmując Udałowa zasięgiem swego blasku. — I doszliśmy do wniosku, że jesteś odpowiednim człowiekiem. Sam rozumiesz.

— Rozumiem — rzekł Udałow.

— I oto w dowód wdzięczności za twoje przeszłe i przyszłe zasługi składamy ci coś w darze, coś na skalę kosmiczną. Jednocześnie muszę cię uprzedzić, że podarunek ten jest jakby egzaminem dla waszej planety i dla całej ludzkości. Jeśli potrafisz się nim posłużyć, będzie to znaczyć, że ludzkość już dorosła. Jeśli nie — trzeba będzie jeszcze zaczekać.

— A dlaczego wasz wybór padł właśnie na mnie? — zapytał Udałow przez skromność.

— Przecież powiedziałem, wzięliśmy pod uwagę twoje zasługi. A poza tym chyba ty właśnie jesteś najbardziej przeciętnym i zwyczajnym człowiekiem w Guślarze Wielkim i najbardziej typowym, jakiego Ziemia do tej pory nosiła.

— Ja? — spytał Udałow z pewną urazą.

— Tak, ty — odpowiedział przybysz. — Zresztą to nieważne. Spieszę się. Za chwilę energia się wyczerpie. Ażebym mógł utrzymać z tobą telepatyczną łączność, musieliśmy w tym czasie wyłączyć światło na dwudziestu trzech planetach. A więc przyjmuj podarunek i do widzenia. Na wypadek, gdybyś sobie nie poradził, powiedz tylko na głos „gra skończona". I wszystko wróci na swoje miejsca.

Udałow nie zdążył niczego odpowiedzieć, nie zdążył nawet ręki wyciągnąć po ten dar, gdy przeleciała błyskawica i Udałow przebudził

się.

Był wczesny poranek. Za oknem padał deszcz. Obok spała Ksenia i wzdychała we śnie. Ciekawe, pomyślał Udałow, czy ona słyszała naszą rozmowę? Gdzieś za trzecią ścianą zadzwonił budzik. Piąta trzydzieści. Stary Łożkin wstaje pewnie na poranną gimnastykę. Potem będzie karmić ptaszki. A może to wszystko tylko mu się śniło? Może nie było żadnego przybysza?

Udałow wyciągnął spod kołdry ręce. Ręce były puste. Daru ani śladu.

— Bzdura — burknął Udałow i znowu zasnął.

Powtórnie otworzył oczy o wpół do ósmej. Maksymek wybierał się do szkoły. Ksenia krzątała się w kuchni.

— Lekcje odrobiłeś? — zapytała syna. — Znowu wczoraj z Szaszką ganialiście za piłką aż do zmroku.

— Nic nie było zadane — odpowiedział Maksym Udałow, bardzo podobny do swojego ojca z zadartego nosa, z pszenicznego koloru włosów i ze skłonności do zbytniego fantazjowania.

— Jak to nie zadali? — gniewała się matka. — Sprawdziłam w dzienniczku. Z historii o buncie strzelców to komu zadali, mnie czy tobie?

— Ja o buncie umiem — wykręcał się Maksym.

— Boże, gdybym tylko mogła sprawdzić — mówiła Ksenia. — Już ja bym twoich lekcji dopilnowała, popamiętałbyś u mnie ruski miesiąc. Ale tyle roboty, cały dom na mojej głowie.

— Kseniu, po co mnie obudziłaś? — odezwał się Udałow. — Przecież do biura idę dziś na jedenastą. Mówiłem ci wczoraj.

— Wszystko jedno, wstawaj — odpowiedziała Ksenia, która z łatwością przenosiła swoje rozdrażnienie z jednego członka rodziny na drugiego. — Ileż to razy prosiłam: zreperuj zamek w przedpokoju. Pewnego pięknego dnia wszystkich nas wyniosą, a ty nawet nie zauważysz. Syn się znowu lekcji nie nauczył. O buncie strzelców nic nie wie.

— Nic nie wie, ale i tak więcej od was — wybuchnął Maksymek. — Wy pewnie nawet nie wiecie, że Suworow go stłumił.

— Historię to rzeczywiście doszczętnie zapomniałem — przyznał się Udałow.

I wtem coś jakby pyknęło w jego mózgu i jak gdyby strona otwartego podręcznika stanęła mu przed oczyma. Udałow przejrzał tę stronę i powiedział zupełnie spokojnie.

— Kiepsko was uczą, synku, jeśli twierdzisz, że Suworow stłumił powstanie strzelców. Przede wszystkim trzeba pamiętać, że za plecami stała caryca Sofia, starsza siostra Piotra I, i kniaź Golicyn, jej główny dowódca. Suworow, który nawiasem mówiąc, urodził się dopiero w 1730 roku, nie mógł mieć z tym nic wspólnego.

Powiedziawszy to Udałow spuścił nogi z łóżka, namacał bambosze i wstał. Syn Maksymek, tak jak stał przy drzwiach, po prostu skamieniał z wrażenia. Ksenia wyszła z kuchni z pokrywką od rondelka w ręku i zapytała:

— Ty tak sam z siebie, czy gdzieś zajrzałeś?

— Sam z siebie — powiedział Udałow. — Pamięć mam dobrą. Spiesz się, Maksymku, do szkoły i na przyszłość nie oszukuj tatusia. Też mi powiedział, Suworow…

— Chodź do stołu — poprosiła go Ksenia, udobruchawszy się. — Kasza stygnie.

— Miałem zadziwiający sen — zwierzył się Udałow, polewając kaszę mlekiem. — Że niby zjawił się u mnie przybysz z kosmosu i mówił: „Przyjmij, towarzyszu Korneliuszu Udałow, za twoje ogromne zasługi, niezwykły podarunek”.

— Dostaniesz w końcu kręćka na punkcie swoich przybyszów, Kornelciu — pożałowała go Ksenia. — A gdzie ten podarunek?

— W tym właśnie sęk, że nie wiem. Obudziłem się, a podarunku jak nie ma, tak nie ma.

— No właśnie. A wiesz, że wczoraj mi się przyśnił czołg. Wisiała na nim bielizna sąsiadów. Pewnie to też coś znaczy…

— Na pewno — przyznał Udałow rozczarowany. Żal mu było swojego niezwykłego snu.

— A przy okazji chcę ci coś powiedzieć — kontynuowała Ksenia. — Wczoraj dostałam rachunek za elektryczność — dwa ruble czterdzieści dwie kopiejki. Pomyśleć tylko, ile to prądu sama lodówka pożera!

— Dwa czterdzieści trzy — automatycznie poprawił ją Udałow. — A przybysz, aby przeniknąć do mojego umysłu, musiał kilka planet zostawić bez światła.

— Dwa czterdzieści dwie — powiedziała Ksenia. — Sprawdziłam.

— No tak, dwa czterdzieści trzy.

— Co ty ze mnie idiotkę robisz? Przecież, jak dostałam rachunek, od razu schowałam go do szkatułki. Kiedy zdążyłeś tam szperać?

— Nie widziałem twojego rachunku na oczy — szczerze obraził się Udałow. — Po prostu tak mi się wydawało, że dwa czterdzieści trzy.

— No to zaczekaj!

Ksenia wyjęła z komody pod lustrem kolorową szkatułkę fiedoskinskich mistrzów, którą dostała w prezencie ślubnym od kolegów szkolnych Udałowa. Otworzyła ją i wyjęła leżącą na samym wierzchu błękitną kartkę — rachunek za elektryczność.

— Masz — rzekła z przekąsem. — Naciesz się.

Ale kartki mężowi nie oddała, ponieważ zobaczyła, że na niej jest napisane: „Dwa ruble czterdzieści trzy kopiejki”.

— A jednak szperałeś — powiedziała z przekonaniem.

— Nie szperałem. Domyśliłem się — nie ustępował Udałow.

— Kłamiesz. Jesteś zazdrosny. Szperałeś, szukałeś moich listów.

— A komuś ty potrzebna do szczęścia? — odparował Udałow.

— A jednak byłam potrzebna, nie pamiętasz już, jak mi się Kola Siemionichin oświadczał?

— Ależ ten twój Kola zapomniał o tobie ze dwadzieścia lat temu!

— Dlaczego zapomniał? Bo najlepsze lata na ciebie straciłam.

Ksenia pogładziła się po rozłożystych biodrach i zaszlochała.

— No, no — powiedział Udałow śpiesząc do wyjścia. — Nie płacz już, daj spokój…

Udałow szedł do pracy bez pośpiechu. Opuścił dom wcześniej, niż zamierzał, więc wybrał dalszą drogę do biura budowlanego — ulicą nadbrzeżną, obok soboru, obok osiemnaste wiecznego domu kupców Anuczinów przez rynek — wrześniowy, kolorowy, wesoły.

Po drodze Udałow myślał o wydarzeniach, które doprowadziły do władzy Piotra I. Przedtem nie zdarzyło mu się o tym myśleć, stale brakowało czasu. A teraz zrozumiał, że niestety wie mało, bardzo mało z zakresu podręcznika. A tak by chciał poznać dokładniej rolę bojarzyna Szakłowitego, ale podręcznik o tej roli prawie nic nie wspominał.

Ulicą szły dzieci. Korneliusz przyśpieszył kroku i zrównał się w końcu z jakąś dziewczynką, popatrzył na jej lekko błyszczącą teczkę ze sztucznego tworzywa i powiedział na głos:

— After morning tea I go to school.

Przy czym wypowiedział to mniej więcej poprawnie.

— Cóż to? — zapytała dziewczynka, odwróciwszy się. — Czyżby pan tę lekcję przerabiał?

— Właśnie przerabiam — przyznał się Udałow. I poczerwieniał od mimowolnego kłamstwa. W szkole uczył się niemieckiego, ale później językami się nie zajmował. I dziwne było nie to, że powiedział po angielsku jedno zdanie, wiedząc przy tym, że jest ono rzeczywiście angielskie. Zdanie mógł przypadkowo podsłuchać i zapamiętać. Dziwny był fakt, że Udałow znał cały podręcznik języka angielskiego do klasy piątej. Cały, calusieńki. I mógł na każde zawołanie zacytować dowolną stronę, włącznie z notką wydawniczą zamieszczoną na ostatniej stronie, gdzie wymieniono nakład, nazwisko korektora i datę oddania podręcznika do druku.

Potem, myśląc o tych wydarzeniach, Udałow nie mógł sobie darować, jak to się stało, że od razu na to nie wpadł, iż to jest właśnie ten kosmiczny dar. Ale wtedy się nie domyślił. Zdziwił się tylko i poszedł dalej.

Na ławce przy technikum siedzieli przyszli pracownicy żeglugi śródlądowej i wkuwali trygonometrię. Do głowy Udałowa wtargnęły

tangensy oraz inne funkcje i z miejsca przemieszały się z wyczerpującymi wiadomościami o przygotowywaniu mącznych dań, gdyż z sąsiedniego domu wyszła akurat otyła kobieta z książką kucharską w ręku.

„Dziwna rzecz — pomyślał Udałow. — Co to człowiekowi chodzi po głowie".

Przy wejściu na rynek na chwiejącym się stoliku leżał stos białych książek. Obok — garść monet w różowej mydelniczce. Na okładce pod wizerunkiem starożytnej królowej widniał napis: „Tajemnica złotej trumny". Wiele ludzi, wychodząc z rynku, zatrzymywało się przy stoliku i kupowało książkę, mając nadzieję, że to kryminał lub książka szpiegowska. Znajomy Udałowa, pracownik miejscowej gazety, Misza Standal, także nabył książkę o złotej trumnie i przywitawszy się z Korneliuszem zapytał:

— A wy nie kupujecie?

— Nie interesuje mnie archeologia — odpowiedział głośno Udałow. — Ta publikacja jest nudna jak flaki z olejem.

— Proszę państwa! — nie pozwoliła mu dokończyć sprzedawczyni. — Gorąco polecam powieść o tajemnicach Egiptu. Kto zabił Nefretete? Zagadka starego domu na brzegu Nilu!

— Otóż to — przemówił mentorskim tonem Standal. — Mało czytacie, Korneliuszu Iwanowiczu.

— Czytam, ile mogę — odparł Udałow z godnością. — Nie mniej od innych. Ale ta praca ma charakter specjalistyczny. Dla fachowców.

— Skąd on może wiedzieć — powiedziała sprzedawczyni. — Dostaliśmy tę książkę dopiero dziś w nocy. Poza tym stoję tu zaledwie piętnaście minut. Jacy to są ludzie! Plotą niestworzone historie, aby tylko komuś humor zepsuć.

— Ach tak! — oburzył się Udałow, tracąc panowanie nad sobą. — To proszę, otwórzcie swoją tajemnicę na stronie… przypuśćmy, na stronie sto trzydziestej. Otworzyliście? Zaczynam: jedenasty wiersz od góry.

Standal przewracał strony. Wokół zgromadził się tłum gapiów.

„Tutaj właśnie, w północnej części stolicy — przymknąwszy nieco oczy, recytował Udałow — zostały znalezione ozdoby z imionami innych królów i królowych: w ograniczonej ilości należące do Amenhotepa IV, w wielkiej ilości do Semnochkere oraz Tutenchamona. Razem z tabliczkami Nefretete…"

— Dosyć! — krzyknął Standal. — Jesteście iluzjonistą?

— Misza — powiedział Udałow z wyrzutem. — Przecież mnie znacie. Mnie każdy pies zna w tym mieście.

Udałow odwrócił się szukając poparcia wśród tłumu. Wiele ludzi stało wokół, trzymając w rękach otwarte na sto trzydziestej stronie białe książki; poruszali wargami, sprawdzając Udałowa.

— Nie ma tak dobrze — powiedział łysy facet w bluzie. — Powiedz pan lepiej coś ze strony sto dwudziestej, choć jeden wiersz. I od samej góry. Możeś się, bratku, sto trzydziestej specjalnie wyuczył.

— Proszę bardzo — powiedział Udałow. — Tylko nie o to chodzi…

— Mów pan, mów pan! — Ludzie zaczęli szukać strony sto dwudziestej.

— Państwo by lepiej za książki płacili! Okładka biała, a wszyscy biorą do ręki. Kto mi później kupi? — żaliła się sprzedawczyni, ale jej nie słuchano.

— „le lat żyła ona” — powiedział Udałow. — Oczywiście „le” zostało przeniesione ze strony sto dziewiętnastej, która kończy się wyrazem „wiele”.

— Bezbłędnie, a niech go gęś kopnie! — wpadł w zachwyt człowiek w bluzie. Wyjął z kieszeni bufiastych spodni wojskowych wielkie czerwone jabłko „jonathan” i podał Udałowowi. — Jedz, nie wstydź się. Z takim talentem powinieneś się dalej uczyć.

— Dziękuję — powiedział Udałow, pesząc się strasznie. Wyobraził sobie nagle, jak on musi wyglądać w oczach kogoś, patrzącego na to z boku. Stoi sobie kierownik miejskiego przedsiębiorstwa budowlanego przy wejściu na rynek i mamrocze o starożytnej Zjednoczonej Republice Arabskiej. Zrobiło mu się wstyd.

— Korneliuszu Iwanowiczu — powiedział Standal, doganiając Udałowa, który usiłował się wymknąć. — Musze z wami pomówić.

W ślad za nim rozbrzmiewał głos sprzedawczyni, która wreszcie odzyskała mowę.

— Kupujcie nowy kryminał o tajemnicach sarkofagów! Kto zabił Nefretete i jej męża? Dzisiaj dostaliśmy z Moskwy…

Standal nie zdążył schwytać Udałowa za łokieć, gdy nowe wydarzenia odwróciły uwagę naszego nawiedzonego bohatera. Po ulicy, zadarłszy głowy do góry w tym celu, aby obejrzeć wierzchołki cerkwi Praskowii Płatnicy, szła grupa zagranicznych turystów, rzadko pojawiających się w Wielkim Guslarze. Grupa składała się głównie ze starszych dam z pięknie ufryzowanymi puklami siwych włosów, w kapeluszach przyozdobionych papierowymi i nylonowymi kwiatami. Mężowie tych kobiet, zaoceaniczni emeryci, poobwieszani byli aparatami fotograficznymi, „Polarois” bądź „Canon”, i mieli całkiem rześki wygląd.

Turyści z ożywieniem dzielili się uwagami. Udałow jadł czerwone jabłko i nie mógł ruszyć się z miejsca, ponieważ wszystko rozumiał. Do ostatniego słowa. I nawet znał słowo w słowo treść angielsko-rosyjskich rozmówek, które wystawały z tylnych kieszeni zagranicznych gości. Turyści rozmawiali ze sobą z wyraźną intonacją wykrzyknikową.

— Cóż to jest, do diabła! Co za porządki!

— Co za wspaniała barbarzyńska architektura!

— Mój Boże, jaka tu wilgoć w tym miasteczku!

— Pani Henry, niechże pani tylko popatrzy na tego tuziemca z jabłkiem w ustach. Jaki on jest pocieszny! Co za słowiańska bezpośredniość!

— Diabli wiedzą, co za porządki! Czas na śniadanie, a tłumaczka gdzieś się zapodziała!

— Ta cerkiew wyglądałaby zadziwiająco na tle katedry Notre Dame de Paris!

— Co za skandal! Płacimy pełnowartościową walutą, a tłumaczka gdzieś przepadła!

— Ach, co pan mówi!

— Niechże pani tylko popatrzy na tego tuziemca z jabłkiem w gębie!

I wtedy Udałow zrozumiał, że tuziemiec to on. Wówczas ogarnął go gniew. Zrobił krok naprzód i przemówił z miłym brooklińskim akcentem:

— Proszę wybaczyć nieuczonemu tuziemcowi, ale chyba powinniście państwo skręcić teraz w lewo. Wyjdziecie prosto na hotel „Wołogda".

— Ach! — powiedziała pani Henry. — Przepraszam, co pan powiedział?

— Przecież wyraził się nie mniej jasno niż prezydent Nixon — odparł jej mąż. — Posłuchajmy go lepiej i pójdźmy w lewo. Proszę wybaczyć, sir.

Cała grupa turystów posłusznie skręciła za mężem pani Henry i tylko jeden niewysoki turysta z wypomadowanymi kędzierzawymi włosami pozostał na miejscu.

— A pan czego stoi? — zapytał go po angielsku Udałow. — Ach tak, oczywiście, przecież pan jest Portorykańczykiem i nie wszystko pan zrozumiał.

Udałow niedbale przeszedł na hiszpański i powtórzył instrukcję w ojczystym języku Portorykańczyka.

— O, dziękuję, senior! — krzyknął turysta. — Ja nie zawsze rozumiem, kiedy się mówi po angielsku tak szybko jak pan.

I machnąwszy połami długiej, piaskowego koloru marynarki, turysta rzucił się w pogoń za współtowarzyszami.

Pani Henry, skręcając za róg, powiedziała do męża w nadziei, że Udałow nie usłyszy:

— Wydaje mi się, że widziałam go koło „Nationalu" w mundurze generała dywizji.

Udałow usłyszał to jednak i tylko się uśmiechnął gorzkim, pobłażliwym uśmiechem.

Wreszcie Standal ochłonął.na tyle, że był w stanie otworzyć usta i zapytać:

— Korneliuszu Iwanowiczu, dlaczego nigdy nie mówiliście…

— A co miałem mówić — odrzekł Udałow. Machnął ręką i szybko poszedł do biura, aby po drodze wszystko przemyśleć i podjąć decyzję. Błyskawicznie działająca wyobraźnia sprawiła, że Korneliusz ujrzał się nagle w roli głównego tłumacza „Inturista". Oto wita on samolot na lotnisku Szeremietiewo, z którego wychodzą wysocy Murzyni.

— Witajcie — mówi do nich Udałow w języku suahili.

Za Murzynami kroczą mieszkańcy wysp Malediwy.

— Prosimy bardzo — zaprasza ich Udałow w ojczystym języku wysp.

Zbiegają po trapie japońskie dzieci ze lśniącymi bielą małymi żurawiami w rączkach.

— Z okazji waszego przybycia… — zaczyna Udałow w języku Krainy Wschodzącego Słońca.

A za nim już biegnie naczelnik z Wydziału Międzynarodowego.

— Towarzyszu Udałow! — woła nieswoim głosem. — Towarzyszu Udałow! Oto wasz paszport dyplomatyczny. Natychmiast wsiadajcie do samolotu. Jesteście niezbędni w Addis Abebie. Znaleziono tam napis w nieznanym nauce języku. Organizacja Narodów Zjednoczonych nalega na waszą kandydaturę.

Udałow leci do Addis Abeby. Czarna Afryka rozpościera się pod skrzydłami. Słonie, nosorożce, unosząc ciekawie głowy, odprowadzają samolot rykami i przyjaznymi okrzykami. A cesarz Etiopii we własnej osobie czeka na lotnisku wraz ze świtą etiopskich akademików.

— Jak się leciało? — pytają Korneliusza.

— A dziękuję — odpowiada on po etiopsku. A tam już czeka go nominacja na ambasadora lub nawet radcę do pewnego afrykańskiego kraju, którego języka nie zna nikt na świecie, oprócz Udałowa…

„Ftalan dwumetylu — osiem gramów — pojawiła się myśl w mózgu Udałowa — wodorotlenek amonowy… nie, na cóż mi on tutaj?" Udałow spojrzał w górę i zobaczył w otwartym oknie apteki farmaceutę Sawicza, piszącego coś właśnie w grubym notesie.

— Chce pan wynaleźć jakieś lekarstwo? — zapytał Udałow.

— Tak, przyszło mi coś do głowy.

— A wodorotlenek amonowy — zażartował Udałow — to jak po naszemu?

— Wodny roztwór amoniaku, czyli po prostu amoniak — powiedział Sawicz i jego oczy zaokrągliły się ze zdziwienia. — A co, rozmawiałem ze sobą na głos?

— Jak by tu powiedzieć… — odrzekł Udałow i poszedł dalej. W tej chwili głowa jego była wypełniona wiadomościami, zdobytymi po drodze w ciągu dwóch godzin. I Korneliusz zaczął wreszcie rozumieć,

że jego osobista pamięć nie ma tu nic do rzeczy. Sytuacja wyglądała na znacznie bardziej skomplikowana. Z jakiej przyczyny zyskał on zdolność momentalnego wchłaniania, jak gąbka, dowolnej informacji pisemnej, w której pobliżu się znajdował. I w tym celu nie musiał wcale ani otwierać książki, ani zaglądać do cudzych notesów. Po prostu należało tylko podejść bliżej. Udałow mógł, na przykład, położyć obok siebie kilka podręczników i po sekundzie już wiedział, co w nich było napisane do ostatniej kropki.

— Ciekawe diabelstwo — powiedział Udałow. — A jeśli od tego łeb człowiekowi pęknie?

W tym momencie Udałow przechodził koło kiosku z gazetami. Wchłonął przy tym od razu treść wszystkich gazet i czasopism, nawet starych, które leżały na ladzie i były rozwieszone po bokach. Między innymi ten właśnie numer czasopisma „Zdrowie", w którym była mowa o tym, że normalny człowiek wykorzystuje najwyżej jeden procent swojego mózgu. Pozostałe komórki leżą bez ruchu, jak darmozjady, po próżnicy zużywają jedzenie i witaminy.

— Aha — rzekł Udałow i zatrzymał się pośrodku ulicy. — Wszystko jasne. To jest właśnie ten dar. Okazuje się że nie był to sen, lecz fantastyczna rzeczywistość. Jakże ja, z moimi nowymi zdolnościami, nie mogłem wpaść na coś tak oczywistego? Przecież to wstyd i hańba!

A jeśli świecący przybysz powiedział prawdę, to dar ten trzeba umieć wykorzystać w taki sposób, aby przyniósł on pożytek ludzkości i sprzyjał międzynarodowej przyjaźni i wzajemnemu zrozumieniu.

Jaki następny krok winien przedsięwziąć rozumny człowiek, który, jeśli zechce, jutro może zostać akademikiem lub przynajmniej członkiem — korespondentem Akademii Nauk? Pójść do biblioteki? Nie, nie wolno. Tam niechcący można wchłonąć tyle różnych bredni, że nawet dziewięćdziesiąt dziewięć procent mózgu nie da sobie z nimi rady. Oddać się w ręce medycyny? Szkoda wolności.

A nogi w tym czasie, niezależnie od myśli, niosły i niosły Udałowa naprzód, aż zawiodły do drzwi przedsiębiorstwa budowlanego. Ręce bezwiednie otworzyły drzwi, a język sam przez się powitał obecnych tam współpracowników. A ponieważ głowa Udałowa zaprzątnięta była niezwykłymi myślami, więc w odpowiedzi na pytanie księgowego, czy trzeci rejon ma zamknąć sprawozdania, Udałow odpowiedział zagadkowo: „Akademia Nauk wie lepiej" — i wszedł za przegrodę, do gabinetu.

Tam spoczął na krześle, oparł łokcie o plik zestawień i, stale jeszcze nie uświadamiając sobie, gdzie się znajduje, kontynuował swoje rozmyślania.

Nęciła go kariera dyplomatyczna. Czarny samochód „Wołga" przed bramą rezydencji, pełni szacunku cudzoziemcy z cocktailami i z

whisky w wypielęgnowanych palcach oraz ich sekretarki w wydekoltowanych sukniach. Chciałoby się także spróbować swoich sił w programie kosmicznym. „Tylko pan, profesorze Udałow, może nam odpowiedzieć, czy warto podłączyć do tej rakiety trzeci stopień". A wokół stoją bohaterowie — kosmonauci i czekają na odpowiedź. Przecież od decyzji Udałowa zależy, czy mają lecieć na Marsa, czy raczej się wstrzymać. Albo można jeszcze odkryć tajemnice starożytnej cywilizacji i dowiedzieć się, czy istniała Atlantyda, czy tylko się przywidziała. Taka droga wiodła do cichego akademickiego gabinetu i bezpłatnych skierowań do domu wczasowego dla wybitnych myślicieli. No i oczywiście do międzynarodowych kongresów…

„Nie — postanowił wreszcie Udałow. — Z opublikowaniem nie ma się co spieszyć. Nie jest wykluczone, że jutro wszystko minie i okażę się durniem. W czasie przerwy obiadowej zajdę do technikum i wchłonę w siebie wyższą matematykę. Nigdy nie zaszkodzi. A potem do muzeum. Dowiem się, co tam mają o Piotrze I".

— Wy do mnie? — zapytał, podnosząc głowę.

— My już piętnaście minut staramy się zwrócić na siebie waszą uwagę, Korneliuszu Iwanowiczu — powiedział mężczyzna o czekoladowych oczach, z bokserskim nosem i żółtą importowaną teczką.

— Nawet dłużej — poparł go malutki staruszek. Staruszek był w okularach, a soczewki okularów były tak grube i silne, że mieściła się w nich tylko dziesięciokrotnie powiększona tęczówka błękitnego koloru, z żyłkami. Staruszek także trzymał w ręku żółtą importowaną teczkę.

— Aha, zjawiliście się — powiedział Udałow.

I w jednej chwili poznał do ostatniego wiersza treść wypchanych teczek. Leżały tam głównie sprawozdania, zaświadczenia, specyfikacje i czyste blankiety spółdzielni, dostarczające ich instytucji wyrobów żelaznych, zamków, kluczy i wszelkich drobiazgów.

Goście usiedli naprzeciw Udałowa i mężczyzna z bokserskim nosem powiedział:

— Mamy dziś piękny dzień, Korneliuszu Iwanowiczu.

Dzień był paskudny, wietrzny, ponury, pochmurny. Całe szczęście, że choć deszcz przestał padać. Udałow w milczeniu zgodził się z gościem i mimochodem przestudiował wszystkie papiery, znajdujące się u tamtego w kieszeniach. I zrozumiał, że może stać się największym rewizorem współczesności, wyjątkowym rewizorem, którego ze względu na znajomość języków będą zapraszać na delegacje służbowe do republik związkowych, do krajów obozu socjalistycznego i może nawet na Zachód. A na drzwiach jego gabinetu zawiśnie skromna tabliczka: „Komisarz milicji pierwszej rangi, naczelnik wydziału specjalnego do szczególnie ważnych

poruczeń — K. L Udałow.”

— Tak, dzień jest niezły — przyznał staruszek i powiększone żyłki pod okularami wyraźnie się zaczerwieniły. — A wy do nas, jak słyszeliśmy, macie pretensje. Bezpodstawne i krzywdzące.

— A właśnie — powiedział Udałow zagadkowo i zastukał palcami o blat biurka.

— Nie, Korneliuszu Iwanowiczu, tak nie można — rozpaplał się mężczyzna z bokserskim nosem i wzruszył barczystymi ramionami. — Spółdzielnia się stara, wykonuje i przekracza plan, bez zakłóceń zaopatruje wasze biuro w towary wysokiej jakości i w zamian za to taka wdzięczność? Ja pójdę aż do miejskiej rady narodowej.

— A choćby do powiatowej — rzucił niedbale Udałow. Treść jednej z karteczek w prawej górnej kieszeni marynarki człowieka z bokserskim nosem niesłychanie go zainteresowała. Wyskrobywanie na specyfikacji było tak nieudolne, że widziało się to gołym okiem.

— Dlaczego wy tak, towarzyszu Udałow — molestował staruszek. — Wszystkie dokumenty mamy ze sobą. Najlepszy metal daliśmy na te zasuwki. Doświadczonym majstrom powierzyliśmy robotę. Pracowali dniami i nocami. I wszystko, okazuje się, na nic? A premia kwartalna?

— Zaczekaj — przerwał mu współtowarzysz. — Jeśli się jest z czegoś niezadowolonym, to po co zaraz taką oficjalną drogą? Powiedzcie, ja powiem Porfirjiczowi, a Porfirjicz już zrobi, co trzeba.

— Zrobię — powiedział staruszek. — Najlepiej polubownie.

— A zasuwki gną się pewnie od wiatru — powiedział Udałow. — Zamki widelcem nawet można otworzyć. Budowę domu wypoczynkowego trzeba było przerwać. A towar sprzedaliście na lewo. Czyż nie tak było?

— Nic podobnego — z przekonaniem zaprzeczył Porfirjicz.

— A trzy tysiące osiemset nieuczciwych rubelków podzieliliście między sobą?

— Jakie pieniądze! — oburzył się staruszek.

Współtowarzyszowi wystąpił nagle pot na czole.

— Ile? — zapytał.

— Trzy tysiące osiemset co do kopiejki. Przecież do tej pory wszystkie wasze obliczenia leżą w kieszeni spodni. Ołówkiem napisałeś tak: „Porfirjiczowi dać siedemset dwadzieścia. Szurowowi — trzysta. Udałowowi, jeśli będzie podskakiwał, dać stówę na odczepnego”. Czy to nieprawda?

Człowiek o czekoladowych oczach stracił panowanie nad sobą. Zerwał się z krzesła, sięgnął w popłochu do kieszeni.

— Zdrajca! — jęknął.

Porfirjicz z krzesła nie wstawał. Porfirjicz zbladł tylko. Nawet oczy mu pobladły.

— Trzy tysiące osiemset? A mnie siedemset dwadzieścia? Tak… Nie będzie dla ciebie, bezczelny draniu, żadnej litości od ludu ani na tym, ani na tamtym świecie — wyrzekł cienkim, lecz surowym głosem.

— A zeznanie dla milicji napiszemy od razu — przemówił Udałow, kując żelazo, póki gorące.

— Ja nic nie wiem — powiedział człowiek z bokserskim nosem, usiłując przeżuć wyciągniętą ze spodni notatkę. Napisał ją jednak na dobrym, grubym papierze, który jakoś nie dawał się żuć.

— Nie pomoże — zauważył Udałow. — W prawej kieszeni marynarki Porfirjicza leży podrobiona specyfikacja na blachę.

— A leży — powiedział Porfirjicz. — Lepiej niech sam już posiedzę jako niewinny wspólnik, ale tę żmiję wsadzę do kryminału.

— I słusznie — zgodził się Udałow. — On was i przedtem za nos wodził.

— Fy ne oszmielicze szę — usiłował krzyknąć z zapchanymi ustami dyrektor spółdzielni. — Ja szę poszkarżę.

— Skarż się, skarż — powiedział mściwie Porfirjicz.

— Nie ma dla niego ratunku — dodał Udałow. — Przecież macie w kieszeni niezbite dowody.

I widząc, że trzeba zadać ostatni cios i znokautować przeciwnika, Udałow postarał się przypomnieć sobie, co mówi w takich wypadkach oficer śledczy na filmach. Niedawno usłyszane słowa błądziły mu po głowie… „Wasze karty zostały odkryte! …” Nie, nie to… „Ręce do góry!”… Nie. Blisko, całkiem blisko. Aha. I Udałow wyrzekł straszliwym głosem sakramentalne słowa, że jemu samemu stanęły dęba na głowie przerzedzone złociste włosy.

— Gra skończona! Siadajcie i piszcie zeznanie. Szczere przyznanie się do winy — oto jedyna rzecz, która może złagodzić wasz los!

Błysnęła błyskawica, zapachniało ozonem, blady jak płótno dyrektor spółdzielni opadł na krzesło, wyjął długopis i przy pomocy Porfirjicza zaczął pisać zeznanie.

A Udałow poczuł nagle straszną pustkę w głowie. Taką pierwotną, nieznośną pustkę. Nie pamiętał treści ani jednego z tych papierków, które leżały w teczkach spółdzielców. Zapomniał języka angielskiego i hiszpańskiego, nie mógł przypomnieć sobie ani jednej funkcji trygonometrycznej. Wypadły mu z głowy nawet dobitne rymy poematu opublikowanego w ostatnim numerze czasopisma „Ogoniok”.

— Ale dlaczego? — krzyknął zrozpaczony. — Za co?

Spółdzielcy popatrzyli na niego wystraszonym wzrokiem i jeszcze szybciej zaczęli pisać zeznanie.

— Sami zaniesiecie na milicję — przykazał im Udałow i niczego więcej nie uświadamiając sobie, rzucił się do wyjścia.

Znowu kropił deszczyk po pożółkłych liściach. Było cicho i jakoś

zwyczajnie. I z jasnością oddalającego się nocnego grzmotu zadźwięczały w uszach Udałowa słowa przybysza: „Na wypadek, gdybyś sobie nie mógł poradzić, powiedz na głos słowa: gra skończona i wszystko wróci na swoje miejsce”.

— Ależ ja nie chciałem! — krzyknął błagalnie Korneliusz Udałow, wznosząc ku niebu ręce. — To nieporozumienie. Ja potrafię się nim posłużyć. To przypadkowa pomyłka.

…Udałow wrócił do domu i do wieczora nie przemówił ani słowa. Nie zgodził się na rozmowę z Miszą Standalem, który oczekiwał go przy bramie, nie chciał jeść ulubionej zupy z kluskami. Leżał na kanapie, nie zdjąwszy nawet spodni, i przeżywał swoją pomyłkę, która nie tylko zamknęła przed nim drogę do kariery dyplomatycznej, ale i pozbawiła całą ludzkość może na zawsze przyjaźni z rozwiniętą galaktyką.

I dopiero wieczorem, wypiwszy na uspokojenie sto gramów pieprzówki i wypowiedziawszy niezrozumiałe dla domowników słowa: „Może zorientują się i zmienią decyzję”, Udałow podszedł do stolika syna i zapytał go:

— Gdzie masz podręcznik do historii?

— A po co, tato? Nie mamy jutro historii. Nie zadawali.

— Głupi jesteś — odpowiedział ojciec. — Po prostu chcę przeczytać o Piotrze I. A trygonometrii nie chowaj… Człowiek uczy się, póki żyje… W galaktyce z naszą tępotą aż wstyd się pokazać.

Przełożył Eligiusz Madejski

Kir Bułyczow
AWARIA NA LINII

Поломка на линии (Połomka na linii)

Mieszkamy w starym domu. Tak starym, że już kilkakrotnie wciągano go na listę zabytków historycznych i tyleż razy z tej listy skreślano, to wskutek nalegań rady miejskiej, która chciała go zburzyć, to dlatego, że nie miał wartości historycznej. Z czasem zburzą go na pewno, ale szybko to nie nastąpi.

Przed trzystu laty mieszkała w tym domu rodzina bojarska, która się niczym nie wsławiła. Potem bojar umarł, potomkowie jego spospolicieli i zbiednieli, a dom zaczął przechodzić z rąk do rąk. Pod koniec ubiegłego wieku podzielono go na mieszkania — po jednym na każdej z trzech kondygnacji, po rewolucji zaś dom został zagęszczony.

W naszym parterowym mieszkaniu jest osiem pokoi i pięć rodzin. Teraz pozostali w nim głównie staruszkowie i ja. Młodzież rozproszyła się po nowych dzielnicach. Mnie natomiast mój pokój całkowicie odpowiada. Ma dwadzieścia trzy metry kwadratowe, trzy trzydzieści wysokości, sklepienie oraz alkowę, gdzie dawniej stało moje łóżko, a teraz zwaliłem książki. Nie ma mi kto robić wymówek za nieporządek. Matka wyjechała do ojczyma do Nowosybirska, a z Haliną się nie ożeniłem.

Tej nocy późno się położyłem. Czytałem ostatnią powieść Aleksandra Czerniajewa. Nie dokończoną. Czerniajew zmarł bowiem z głodu w Leningradzie w roku czterdziestym drugim. Powieści tej długo nie drukowano i dopiero teraz, kiedy się ukazały jego dzieła zebrane, zamieszczono ją w ostatnim tomie wraz z listami i artykułami krytycznymi.

Wiedziałem, że mam do przeczytania najwyżej dziesięć stronic, a akcja właśnie się rozwijała. I nawet się nie zdążyła rozwinąć. Nigdy się już nie dowiem, co chciał zrobić dziadek Czerniajew ze swoimi bohaterami, nikt nie dokończył tej powieści, gdyż nie zdołała zobaczyć świata takim, jakim widział go Czerniajew. Z żalem odłożyłem tom nie zajrzawszy nawet do artykułów krytycznych, ani do komentarza powieści, napisanego przez znanego specjalistę od twórczości Czerniajewa. Specjalista wysuwał zapewne przypuszczenia, jakby wyglądała powieść, gdyby pisarz ją ukończył. Wiedziałem, że Czerniajew pisał powieść do ostatniego dnia.

Na marginesie jednej z ostatnich stronic widniały słowa: „Spaliłem ostatnie krzesło. Osłabienie”. Później Czerniajew nie pozwolił już sobie na żadne niepotrzebne słowo. Nie przestawał pisać.

Pisał jeszcze trzy dni. I umarł. A rękopis znaleziono później, po dwóch tygodniach, kiedy przyszedł ktoś z radia leningradzkiego, aby się dowiedzieć, co się dzieje z pisarzem.

Jak widać, owego wieczoru prześladowały mnie dość niewesołe myśli, a bohaterowie książki w żaden sposób nie chcieli opuścić pokoju. Usiłowali mi coś powiedzieć.

Nagle rozległ się brzęk.

Ściany naszego domu są bardzo grube. Budowniczy z końca osiemnastego wieku zastosował współczynnik bezpieczeństwa sięgający chyba ośmiuset procent. Nawet ściany działowe między pokojami były na trzy cegły. Kiedy więc sąsiedzi grają na fortepianie, nie słyszę prawie nic. Dlatego też nie miałem wątpliwości, iż dźwięk rozbrzmiewał właśnie w moim pokoju. Taki dziwny dźwięk, jakby ktoś upuścił srebrną wazę.

Wyciągnąłem rękę i zapaliłem światło. Bohaterowie książki znikli. Cisza. Cóż by to takiego mogło spaść? Poleżałem trochę, potem zaczął mnie morzyć sen, więc zgasiłem lampę. I niemal natychmiast coś grzmotnęło. Krótko i potężnie. Zrobiło mi się nieswojo. Nie jestem ani trochę przesądny, ale któż to u licha ciska różnymi przedmiotami po moim pokoju?

Znów zapaliłem światło i wstałem z łóżka. Obszedłem cały pokój i nawet zajrzałem do alkowy. Nic nie znalazłem. Kiedy się jednak odwróciłem tyłem do alkowy, znowu stamtąd rozległ się brzęk. Podskoczyłem i odwróciłem się o sto osiemdziesiąt stopni. I znowu nic a nic nie wykryłem.

Pobrzękiwanie już nie ustawało. Co dziesięć sekund — dzyń. Potem pauza. Liczyłem: jeden, dwa, i… po dziesiątej sekundzie — dzyń.

Prawdę mówiąc, o mało rozumu nie postradałem z niepokoju. Ktoś w pokoju dzwoni, a ja jestem całkowicie bezradny. Zacząłem systematycznie badać pokój. Czekałem, aż się rozlegnie dźwięk, i robiłem krok w tym kierunku, skąd było go słychać. Sprawdziłem już, że rozbrzmiewa z gładkiej płaszczyzny ściany między alkową i drzwiami. Po czwartym kroku znalazłem się przy samej ścianie i przyłożyłem do niej ucho. „Raz i…” — liczyłem. Po dziesiątej sekundzie tuż przy uchu rozległ się wyraźny brzęk.

Postanowiłem rozważyć, czym można by wyjaśnić to zjawisko. Z drugiej strony jest ściana przedpokoju, a właściwie głębokiej wnęki, gdzie dawniej stały dwa rowery; kiedy rowery wyjechały, babcia Kapłan postawiła w niej pseudomahoniową szafę. W szafie tej wszyscy lokatorzy mieszkania chowali graty, które by należało wyrzucić, ale na razie ich było szkoda.

Muszę więc oczywiście wyjść do przedpokoju i zobaczyć, co się dzieje w szafie. Niczego się nie spodziewałem tam zobaczyć — ściana

była gruba, a dźwięk rozbrzmiewał przy samym uchu. Mimo wszystko włożyłem pantofle i wyszedłem z pokoju. Wszyscy spali. W przedpokoju było ciemno, zapaliłem więc lampę, by się przekonać, że nikogo w nim nie ma. Podszedłem do szafy i otworzyłem ją. Z trudem udało mi się przytrzymać pełną przedwojennych gazet wanienkę dziecięcą, która omal nie spadła mi na nogi. Drugą ręką pochwyciłem pustą złoconą ramę, a brzuchem naparłem na resztę rzeczy. W takiej pozycji znieruchomiałem zapewne na minutę, półtorej. Wreszcie mi się wydało, że słyszę odległy dzwon. Może mi się tylko wydawało, zbyt usilnie bowiem nasłuchiwałem. W każdym razie dźwięki nie rozlegały się z szafy. Zamknąłem ją więc i wróciłem do pokoju. Gdy tylko wszedłem, natychmiast usłyszałem — dzyń…

Długo przykładałem ucho do różnych punktów ściany, dopóki się nie przekonałem, że dźwięk rodził się za szarą plamą na tapecie na wysokości moich piersi, osiemdziesiąt centymetrów od rogu alkowy. Zakończyłem teoretyczną cześć moich dociekań. Teraz pora przejść do eksperymentu.

Całkiem mi się już odechciało spać. Przysunąłem do ściany krzesło i zacząłem się zastanawiać, czy zrywać tapety, czy powstrzymać się od tego. Nie wiem, jakie bym powziął postanowienie, gdyby nie silny odgłos, niemal łoskot, który zastąpił równomierne pobrzękiwanie. Potem nastąpiła cisza.

Nóż wziąłem z kuchni. Ze stołu babci Kapłan. Nóż był długi, dobrze wyostrzony (moja robota), o spiczastym końcu. O taki mi właśnie chodziło. Wziąłem jeszcze młotek, by opukać ścianę. Dziwne, że nie pomyślałem o tym wcześniej. To jednak zrozumiałe — nie co dzień lęgną się w ścianie przywidzenia. Stukałem w ścianę niezbyt mocno, żeby nie obudzić sąsiadów. Dopukałem się w ścianie czworoboku — siedemdziesiąt na siedemdziesiąt — za którym na pewno była próżnia. Nie miałem już wątpliwości. Nożem wyciąłem część tapety pośrodku owego kwadratu. Tapeta oderwała się z lekkim chrzęstem, ukazując strzępy gazet i skrawek niebieskiej ściany. Przyglądałem się jej z zaciekawieniem — tak wyglądała ta ściana podczas wojny. Teraz przypomniałem sobie, jakie u nas wtedy stały meble, przypomniałem sobie zaciemnienie — czarną, papierową płachtę z drobniutkimi dziureczkami niczym wygwieżdżone niebo. Nazywałem je nie zaciemnieniem, lecz oświeceniem, a mama zawsze się śmiała.

Przy samym uchu znowu coś brzęknęło. Ostrym końcem młotka postukałem po niebieskiej farbie i odbiłem kawał tynku. Potem pomyślałem, że trzeba było na podłodze rozesłać gazety, ale zrezygnowałem, bo już i tak było nabrudzone.

Spod tynku wyjrzała czerwona cegła i żółtawa warstwa zaprawy. Cegła siedziała mocno, mozoliłem się więc nad nią z dziesięć minut,

nim drgnęła i opuściła swoje miejsce.

Za cegłą ziała dziura. Zapaliłem zapałkę i poświeciłem do środka. Płomień oświetlił cegłę po przeciwnej stronie skrytki i wtedy zobaczyłem, że na dole coś błyszczy. Ostrożnie zanurzyłem rękę i z trudem dosięgnąłem dna. Palce dotknęły metalu, metalowych krążków. Wydobyłem je na zewnątrz. Okazało się, że są to jakieś stare srebrne monety.

Były ciepłe.

Masz tobie! Skarb! We własnym pokoju znaleźć skarb! Czy zresztą mało jest skarbów w ścianach starych domów?

To prawda, że co innego, jeśli się o tym czyta w gazecie czy książce, a co innego, kiedy osobiście nas to spotyka…

Znowu wsunąłem rękę do środka i znowu wydobyłem garść monet. Leżało tam jeszcze coś większego. Żeby to jednak wyciągnąć, trzeba było rozszerzyć otwór. Monety obejrzałem dokładnie. Były bardzo stare i nierosyjskie. Uwalałem się i o mało nie rozbiłem całego domu, kiedy wyjmowałem jeszcze jedną warstwę cegieł. Teraz mogłem w niszę wsunąć głowę.

Nie zrobiłem tego jednak. Wziąłem ze stołu lampę i postawiłem ją na przysuniętym krześle. Drugie krzesło postawiłem obok. W ten sposób zdobyłem prawdziwie naukowe możliwości zbadania dziury. Otrzepałem się z tynku, podłożyłem pod lampę nieco wyższy stos książek, aby światło padało do wnęki, i zajrzałem do środka. Tylna ściana była gładka i nowiutka, jakby cegły ułożono w niej zaledwie wczoraj, a dla wzmocnienia uzbrojono ją stalowymi taśmami. Bocznych ścianek na razie nie oglądałem, patrzyłem przede wszystkim na dno wnęki zawalone monetami. Ponadto na dnie leżała czara z jakiegoś szlachetnego metalu i… żelazna rękawica. Chyba od zbroi.

Wydobyłem ją. Ciężka, o palcach nieco zgiętych, by łatwiej było ująć miecz lub kopię, miała jeszcze rzemyki służące do lepszego umocowania na ręce. Położyłem rękawicę na stole i sięgnąłem po czarę, a wtedy się zdarzyło coś całkiem dziwnego.

Z góry spadła na moją rękę jeszcze jedna moneta. Ciepła srebrna moneta. Jak gdyby się odkleiła od stropu wnęki. Moneta stoczyła się po mojej dłoni i zsunęła na stos innych monet, wydając dobrze mi znany dźwięk: dzyń.

Zamarłem. Przecież zapomniałem, że dobrałem się do ściany właśnie z powodu dolatujących z niej dźwięków. A kiedy ujrzałem monety, uznałem, że to stary skarb.

Oświetliłem lampą strop skrzynki. Był czarny, lśniący, bez żadnego otworu i chłodny w dotknięciu. Żadna moneta nie mogła się do niego przykleić.

Poczekałem, czy się jeszcze coś nie zdarzy, ponieważ się jednak nic nie zdarzyło, wyciągnąłem skarby na zewnątrz i rozłożyłem na

krześle. I siedząc na krześle zasnąłem w toku rozmyślań, czy się rankiem wybrać do muzeum, czy też upewnić się najpierw, że nie znalazłem błahostek. Jeszcze by się śmieli.

Nad ranem, sam już nie wiem, jak przeniosłem się na łóżko. Obudził mnie dzwonek budzika. Przez minutę usiłowałem sobie uświadomić, co się to zdumiewającego zdarzyło w nocy. Dopiero ujrzawszy czarną dziurę w ścianie, a na podłodze pokruszony tynk, strzępki tapety i odłamki cegieł, zrozumiałem, że to wszystko nie był sen, że istotnie odkryłem w swojej ścianie skarb, i to skarb bardzo dziwny. Na czym jednak polegała ta dziwność, nie zdążyłem sobie przypomnieć, do drzwi bowiem zapukała babcia Kapłan i spytała, czy nie wziąłem jej noża.

A potem się zaczął normalny poranny pośpiech. Czekając, aż łazienkę zwolni dziadek Kapłan, przypomniałem sobie, że od rana mamy u naczelnego technologa naradę, na której musiałem być, poza tym kończyło mi się masło i będę musiał pożyczyć je od Liny Grigorjewny… Zdążyłem jednak zasłonić dziurę regałem i włożyć parę monet do kieszeni, a żelazną rękawicę do walizeczki.

Na zebraniu nie myślałem o znalezisku, ale gdy tylko narada się skończyła, podszedłem do Mitina. Jest numizmatykiem. Pokazałem mu jedną ze swoich monet i zapytałem, z jakiego to kraju.

Mitin odłożył teczkę, pogładził łysinę i obejrzawszy monetę powiedział, że to śmieć. Interesowało go tylko, skąd ją mam. Pewnie od babci… Jak chcę, mogę mu ją dać. Trzeba jednak znać Mitina. Jest kolekcjonerem, chociaż więc zawsze się skarży, że ktoś go oszukał, to raczej bywa odwrotnie. Już po tym, jak trzymał tę monetę i obracał w palcach, widać było, że to nie jest zwykła moneta.

— Nie pytaj, skąd ją wziąłem — rzekłem. — Nie dam ci, bo jest mi potrzebna.

— Nawiasem mówiąc, prosiłeś mnie o jednotomowe wydanie Bułhakowa. Nie mam, co prawda, drugiego egzemplarza, ale jeśli chcesz, dam ci za tę monetę swój?

— Nie wierzę — odpowiedziałem. — Przecież Bułhakowa nie pozbyłbyś się za żadne pieniądze.

Zrozumiał, że go przejrzałem, więc dodał niby dla wyjaśnienia: — Nie mam tej monety w zbiorze. I chociaż jest podrabiana, przyda mi się.

— Dlaczego podrabiana?

— Jest świeżo wybita. Widzisz, jaka nowiutka. Jak gdyby wczoraj wyszła z mennicy.

— Aha! Dopiero wczoraj! Sam je robię. A jak się ona nazywa?

Mitin z żalem zrezygnował z monety i powiedział:

— Jefimok. Rosyjski jefimok.

— Ciekawe, dlaczego ta fizjonomia jest nierosyjska?

— Dużo by mówić na ten temat. W każdym razie, kiedy jeszcze u nas nie biliśmy w dostatecznej ilości własnych monet, posługiwaliśmy się obcymi — to jeszcze przed Piotrem I. Oczywiście przedtem wybijaliśmy na nich rosyjską cechę. Te monety nazywano jefimkami. A teraz powiedz, skąd to wziąłeś?

— Później, Jura — odrzekłem. — Później. Może i ty dostaniesz. Mówisz więc, że przed Piotrem I?

— Tak.

Pomyślałem, że jeśli będę oddawał skarb do muzeum, to jedną monetę zatrzymam dla Mitina. Ostatecznie chce mi oddać swojego Bułhakowa.

W laboratorium jakby niechcący wydobyłem żelazną rękawicę. Dla żartu. Kiedy się koledzy zbiegli, powiedziałem:

— Dawno już była mi potrzebna. Mam zbyt miękki charakter. Teraz będę miał żelazną rękę. A więc, koledzy i koleżanki, trzymajcie się!

Dziewczęta zaczęły się śmiać, a Tartakowski zapytał:

— Nie mógłbyś przynieść całej zbroi?

— Zbroi? Choćby jutro.

W istocie jednak robota leciała mi tego dnia z rąk. Wreszcie nie wytrzymałem, podszedłem do Uzjanowa i poprosiłem o zwolnienie z godzin popołudniowych. Przyrzekłem, że potem odpracuję. Widocznie zrozumiał, jak bardzo mi zależy, bo powiedział: „W porządku, idź, jak musisz".

Nie zadzwoniłem, tylko otworzyłem drzwi kluczem i szybko poszedłem do swojego pokoju. Zamknąłem się od wewnątrz. Po co straszyć babcię Kapłan, gdyby niespodziewanie do mnie zajrzała… Potem odsunąłem półkę z książkami. Ukazała się skrytka. A więc mi się nie przyśniło. Bo chociaż żelazną rękawicę miałem w teczce, to jednak chwilami przestawałem sam sobie wierzyć. W skrytce było ciemno. Światło z okna niemal tam nie docierało. Zapaliłem lampę i wsunąłem ją do środka. I omal nie krzyknąłem ze zdziwienia. W skrytce leżały różne przedmioty, których rano tam nie było (wyjmowałem je, toteż pamiętam wszystkie po kolei) — sztylet w pochwie, dwa zwoje z czerwonymi wiszącymi pieczęciami, kajdany, hełm, kałamarz (a może solniczka), rozmaite ozdoby i dwa safianowe buty. To już nie był skarb. To było zwykłe świństwo. Czyjś bezczelny żart.

Zaraz, a dlaczego żart? Kto będzie płatał takie figle? Babcia Kapłan? Przecież w nocy śpi, a zresztą z wiekiem nastąpiła u niej atrofia poczucia humoru. Może ktoś inny z sąsiadów? A może ja postradałem zmysły? Wobec tego i Mitin zwariował, a to człowiek trzeźwy.

Wziąłem but do ręki. Jeszcze pachniał świeżą skórą i łatwo się

giął. Przymierzyłem hełm. Z trudem włożyłem go na głowę. Był ciężki i prawdziwy, nie blaszana imitacja dla Mosfilmu. Siedziałem tak w hełmie i z butem w ręku. Czekałem na jakiś cud. Przebiegłem w pamięci wszystkie zdarzenia ubiegłej nocy. Dźwięki i łomoty w ścianie, ciepłe monety, żelazna rękawica. Przypomniałem sobie monetę, która ze stropu skrytki spadła mi na rękę. Rozmyślałem nad tym, ale nic mądrego nie przychodziło mi do głowy.

Później w skrajnym zakłopotaniu wsunąłem rękę do niszy i obmacałem strop. Był gładki jak lustro odbijające ciemną noc.

Wyjąłem jeszcze kilka cegieł, by ułatwić sobie pracę, i w ciągu godziny pozbawiłem skrytkę przedniej ścianki. Teraz mogłem obejrzeć wszystko szczegółowo. Okazało się, że błyszczące pasy na tylnej ścianie nie są stalowe, lecz z tego samego lustrzanego stopu, co strop, a jedną z bocznych ścianek dzielą na kwadraty białe paski. U dołu przebiegały jakieś linie, a między nimi cienkie szczeliny, którymi postanowiłem się zająć w następnej kolejności. By się lepiej przyjrzeć, wetknąłem do otworu głowę, i wtedy coś mnie trzepnęło tak mocno, że ujrzałem gwiazdy. Cofnąłem szybko głowę. Boleśnie uderzywszy mnie w koniec nosa upadł na dno wnęki stary pistolet z wygiętą rękojeścią. Spojrzałem w górę. Strop był tak samo gładki i czarny. Cóż u diabła? Czy po to dwadzieścia sześć lat byłem pod władzą radziecką, aby się osobiście przekonać, że siły nieczyste jednak istnieją?

„A jeśli mimo wszystko ich nie ma? — pomyślałem nagle, obracając w ręku pistolet. — Jeśli całe to diabelstwo da się jakoś wyjaśnić? Ale jak? Do czegóż to podobne? — zastanawiałem się patrząc w ciemną otchłań niszy. — Cóż to przypomina ze znanych mi rzeczy?" Postanowiłem — jak widzicie — znaleźć wyjaśnienie posługując się analogią.

Myślałem długo, dwadzieścia minut. Aż nagle dostrzegłem analogię. Ten figiel kojarzył rai się ze skrzynką pocztową. Do skrzynki przez szparę wpadają listy i druki. Dobrze. Co dalej? Jeśli to taka osobliwa skrzynka pocztowa, powinien się w niej znajdować otwór dla odbiorcy. W tym właśnie sęk. Odbiorcy nie było. Przecież dopóki nie rozbiłem ściany, skrzynka nie miała wylotu. To, co w nią wpadało, musiało tam pozostać.

Rozpatrzmy to zagadnienie z innego punktu widzenia. Kto i czym napełnia tę skrzynkę pocztową? — Kto? — na razie nie wiadomo. Ale czym — już wiem. Różnymi przedmiotami z Rosji sprzed Piotra I. Skąd się one biorą? Z muzeum? Kradzione. Mało prawdopodobne.

Po trzecie — do zaprzeszłej nocy nikt do skrzynki pocztowej nic nie wrzucał. Dziś wrzucono. Gdyby się to stało wcześniej — w ciągu ostatnich dwudziestu lat — usłyszałbym jakiś dźwięk. Albo mama by usłyszała. Ma bardzo czułe ucho.

Skrzynka zaczęła więc działać dopiero wczoraj. A może?…

I wtedy wpadła mi do głowy kompletnie zwariowana myśl, którą można wytłumaczyć tylko tym, że znalazłem się w zupełnie zwariowanej sytuacji.

Mam więc skrzynkę pocztową bez wylotu. Wpadają do niej przedmioty sprzed wielu lat. A po dziś dzień nie wpadały.

Dlaczego dziś otworu nie ma, a wtedy był? Czy wiecie, o co mi chodzi? Wtedy, kiedy te przedmioty weń wkładano. Przed trzystu laty, kiedy ten dom świeżo zbudowano. A jeśli ten otwór był wtedy, to kiedy owe przedmioty ma się wyjmować? W przyszłości? Za sto lat? Albo za dwieście. Wówczas, gdy żyć będą ludzie, którzy potrafią się przenosić o kilka stuleci wstecz. Jeśli ta zwariowana myśl ma jakiś sens, to jasne się staje, dlaczego przedmioty zaczęły się zjawiać dopiero wczoraj. Nie dlatego, że skrzynka zaczęła wczoraj działać, tylko dlatego, że się wczoraj zepsuła. Tak, to awaria. Na linii „przeszłość-przyszłość" wysiadł jakiś tranzystor i powstała dziura. A może przebicie w izolacji? Czy nie może się coś takiego zdarzyć. I właśnie do mojego pokoju, w mój czas, zaczęły wpadać przedmioty wydobyte przez przyszłych archeologów z dalekiej przeszłości.

Pomysł mi się podobał. Ale jaka jest w tej sytuacji moja rola? Wezwać elektryka, aby obejrzał skrytkę? A potem załatwił mi dom wariatów? Skorzystać z uszkodzenia i zbierać owoce cudzej pracy? Wymienić wszystko z Mitinem na jego bibliotekę? Też nonsens!

Postawiłem zapaloną lampę w niszy i wytarłem chusteczką boczną ściankę. Potem obmacałem ją palcami i wsadziłem w wąską szczeliną u dołu koniec noża babci Kapłan, który znowu zabrałem z kuchni. Majstrowałem ostrożnie, bałem się bowiem zepsuć mechanizm do reszty. Czasem się jednak powiedzie — ścianka nagle ustąpiła, a za nią ukazała się tablica rozdzielcza i wszystko stało się jasne. Miałem rację.

Środek tablicy zajmowała skala czasowa. Wzdłuż niej widniały punkciki świetlne. Jeden z nich, około roku 1667, płonął jaśniej od innych, a tuż obok niego znajdowała się strzałka. Skala kończyła się na roku 2056.

Poniżej gęsta sieć przewodów i elementów oraz szereg przycisków nie znanego mi na razie przeznaczenia. Nagle punkcik przy roku 1667 błysnął jaśniej i równocześnie posłyszałem nad głową buczenie. Zrozumiałem, co może to oznaczać i cofnąłem głowę. Nieduża oprawna w skórę i opatrzona klamrami książka głucho stuknęła o dno wnęki. Zdążyłem zauważyć, że w chwili gdy upadła, pojawił się w stropie otwór dokładnie o wymiarach książki. Jasne jak słońce. Odgadłem. Na mgnienie oka zapłonął czerwono punkcik roku 1967. Stacja końcowa się nie zapaliła. Widocznie jeszcze nie zauważono uszkodzenia i całe urządzenie pracuje na próżno. Wyobraźcie to sobie: może tam, w roku 2056, wszyscy pracownicy instytutu naukowo-

badawczego siedzą przy tej niszy i zachodzą w głowę, dlaczego nie otrzymują okazów. Lepiej trzeba patrzeć, towarzysze — pomyślałem. Jakże im dać do zrozumienia? Może oni nie widzą pomrugiwania przy roku 1967? Na razie wziąłem wkrętak i zacząłem sprawdzać połączenia. Zajęło mi to jeszcze dwie godziny. Majstrowałem niemal na chybił-trafił. W schemacie całkiem się nie orientowałem, choć od dziecka byłem radioamatorem. Gmerałem tam i marzyłem, że byłoby interesujące spędzić pewien czas w przyszłości, dowiedzieć się, jak ludzie tam żyją, czy uda im się osiągnąć w życiu coś sensownego i co będzie przyczyną mojej śmierci. Później pomyślałem, że to wszystko nonsens, a życie z pewnością nie jest tam złe, skoro jacyś archeologowie pracują w roku 1667 i nasi potomkowie mają czas na takie eksperymenty. I jeszcze — że nieźle byłoby znaleźć się także w przeszłości. I odwiedzić na przykład pisarza Aleksandra, Czerniajewa, by się dowiedzieć, jak zamierzał zakończyć swoją powieść.

Wtedy właśnie odkryłem defekt. Macie prawo mi nie wierzyć. Skąd mogłem się na tym znać. Znalazłem uszkodzenie, owinąłem przewód taśmą izolacyjną i postanowiłem obserwować, co będzie dalej. Byłem niezmiernie dumny, że znalazłem jednak to diabelne połączenie. Nagle zabłysła znowu lampka roku 1667 i znów nad głową rozległo się buczenie. Ale nic nie zobaczyłem i nic nie spadło do niszy, tylko zaświeciła się druga lampka, i to już nie w moim roku, lecz w roku 2056. Wszystko w porządku. Dostali swoją przesyłkę. Mogę spokojnie spać.

Opadłem na krzesło i stwierdziłem, że jestem okropnie zmęczony i że jest już ciemno. Nie wiedziałem, czy mam wierzyć w to, co się zdarzyło, czy nie. A także nie wiedziałem, jak odesłać do miejsca przeznaczenia zgromadzone u mnie rupiecie.

Zapukano do drzwi.

— Kto tam? — spytałem.

— Do ciebie — powiedziała babcia Kapłan. — Dzwonka nie słyszysz? To ja mam za ciebie otwierać? Znowu wziąłeś mój nóż!

Podszedłem do drzwi i rzekłem:

— Nóż oddam później, babciu. Nie gniewaj się.

To dobra staruszka. Lubi tylko pozrzędzić. Ma swoje lata.

* * *

Za drzwiami stał mężczyzna koło czterdziestki w niebieskim kombinezonie, z walizeczką w ręku.

— Pan do mnie?

— Tak. Do pana. Pozwoli pan wejść?

— Proszę — odparłem. I nagle sobie przypomniałem, że do mnie

wejść nie można. — Chwileczkę! — Zatrzasnąłem mu drzwi przed nosem i spiesznie przesunąłem na miejsce regał z książkami.

— Proszę mi wybaczyć — odezwałem się wpuszczając go. — Remont i stąd ten bałagan.

— To nic — odpowiedział zamykając drzwi. Wtedy spostrzegł cegły na podłodze i oświadczył:

— Jestem przedstawicielem muzeum historycznego. Doszły nas wieści, że znalazł pan skarb o dużej wartości. Chcielibyśmy go obejrzeć.

Coś w mowie tego człowieka, w sposobie trzymania walizeczki i w czymś jeszcze nieuchwytnym dla innych, ale zrozumiałym dla mnie, który przeniknąłem tajemnicę czasu, narzuciło mi jedynie prawidłową konkluzję: On nie jest z muzeum!

— Już wszystko naprawiłem.

— Co pan naprawił?

— Waszą skrzynkę pocztową.

Odsłoniłem skrytkę, pokazałem mu połączenie i wyjaśniłem:

— Tylko nie miałem lutownicy i musiałem okręcić taśmą izolacyjną.

Właśnie zapłonęła lampka przy roku 1667, zrozumiał więc, że wszystko wiem.

— No tak — bąknął. — Niech pan opowiada. Jak sądzę, umie pan trzymać język za zębami. To bardzo ważne.

— Owszem, ważne. Możecie na mnie polegać. Proszę tylko zabrać ze sobą pozostałe rzeczy. Mnie one na nic.

Listonosz-mechanik z roku 2056 zlutował połączenie, przesłał przedmioty w przyszłość, a potem razem zamurowaliśmy dziurę w murze tak, że nawet ja nie mógłbym się domyślić, gdzie ona była. Bardzo mi dziękował i trochę się dziwił mojej domyślności. Kiedy go jednak spytałem, co będzie za sto lat, odmówił odpowiedzi i dodał, że sam powinienem zrozumieć: wiadomości tego rodzaju rozgłaszać nie można.

Później spytał, czego bym pragnął. Odrzekłem, że Bogu dzięki, niczego.

— To znaczy, że nie ma pan żadnych próśb? — spytał chwytając za rączkę walizeczki.

Wtedy dopiero sobie przypomniałem, że miałbym pewną prośbę.

— Proszę mi powiedzieć, czy wasi ludzie bywają w różnych latach.

— Tak.

— I dwadzieścia lat temu?

— I wtedy. Tylko, rzecz prosta, z zachowaniem wszelkich środków ostrożności. I o tym nikt nie wie.

— A czy w czasie wojny i blokady był ktoś w Leningradzie?

— Oczywiście.

— Otóż to. Mam taką prośbę. Muszę tam coś przesłać.

— Ależ to niemożliwe.

— Powiedział pan, że spełnicie moją prośbę.

— Co to za przesyłka?

— Chwilkę — powiedziałem i wybiegłem do kuchni. Wziąłem stamtąd dwie puszki mleka skondensowanego, pół kilograma masła babci Kapłan z lodówki i jeszcze ze dwa kilogramy cukru. Wrzuciłem wszystko do plastykowej torby Liny Grigorjewny i wróciłem do pokoju. Gość z przyszłości zamiatał podłogę.

— Proszę — odezwałem się. — Powinniście to oddać pisarzowi Czerniajewowi. Aleksandrowi Czerniajewowi, w zimie, w styczniu roku czterdziestego drugiego. Wasi ludzie go znają. I adres też możecie znaleźć. Umarł z głodu pod koniec stycznia. A powinien wytrzymać jeszcze dwa tygodnie. Po dwóch tygodniach przyjdzie do niego ktoś z radia. Niech się pan nie waży odmawiać. Czerniajew pisał powieść do ostatniego dnia…

— Niech pan zrozumie — tłumaczył gość. — To niemożliwe. To, że Czerniajew będzie żył dalej, może zmienić bieg historii.

— Nie zmieni… — odparłem z przekonaniem. — Gdybyście się tak bali przeszłości, nie bralibyście przedmiotów z siedemnastego wieku.

Powiedziałem to w natchnieniu, ale gość się uśmiechnął:

— Na takie pytania nie odpowiadam. Dobrze, wezmę pańską przesyłkę. Tylko trzeba zerwać etykiety z puszek. Takich wtedy nie było w Leningradzie. Pogadam z naszymi. Jeszcze raz panu dziękuję. Może się jeszcze zobaczymy.

Odszedł. Jakby go wcale nie było. Kusiło mnie bardzo, aby znowu zerwać tapety i zajrzeć do skrytki. Ale wiedziałem, że nigdy tego nie zrobię. I on to zrozumiał, w przeciwnym razie nie przyszedłby do mnie.

Następnego dnia znalazłem w kieszeni dwie zapomniane monety. Jedną podarowałem Mitinowi, drugą zostawiłem sobie na pamiątkę.

Mitin przyniósł mi jednotomowe wydanie Bułhakowa, a potem powiedział:

— Wiesz, znalazłem w domu tom spuścizny literackiej. Są tam wspomnienia o Czerniajewie. Interesuje cię to?

Odrzekłem, że bardzo mnie to ciekawi. Wiedziałem wprawdzie, że oni nie wysłuchali mej prośby i nie oddali staruszkowi przesyłki. Ale, oczywiście, pragnąłem absurdu. W odbitej w wielkim nakładzie biografii pisarza podano, że umarł właśnie w roku czterdziestym drugim. Nawet zaśmiałem się z siebie. Też teoretyk ze mnie.

Wieczorem przeczytałem wspomnienia o Czerniajewie. Była to relacja, jak żył w Leningradzie podczas blokady, jak pracował i nawet

jeździł na front na spotkania z żołnierzami. Nagle — wierzcie lub nie wierzcie — pod koniec artykułu czytałem:

W zimie, zdaje się w styczniu, odwiedziłem Czerniajewa. Aleksander Girgorjewicz był bardzo słaby i z trudem chodził. Rozmawialiśmy o sytuacji na froncie, o blokadzie. W pewnej chwili powiedział?

— Zdarzyło mi się coś dziwnego. Parę dni temu dostałem przesyłkę.

— Od kogo? — spytałem. — Przecież jest blokada.

— Nie wiem, od kogo. Było tam skondensowane mleko i cukier.

— To bardzo panu potrzebne — mówię. A on mi na to:

— A dzieciom nie potrzebne? Ja jestem starcem, ale te maleństwa w sąsiednim pokoju… Życie przed nimi.

— I oddał pan przesyłkę?

— A pan, młodzieńcze, jak by postąpił na moim miejscu? — spytał Czerniajew. Zrobiło mi się wstyd, że mogłem zadać takie pytanie.

Pięć razy przeczytałem ten fragment. Sam powinienem się był domyślić, że staruszek otrzymawszy taką paczkę nie będzie pił mleka w tajemnicy przed innymi. Nigdy by tego nie zrobił…

Co jednak najdziwniejsze: ten tom spuścizny literackiej ukazał się w roku 1961, siedem lat temu…

Przełożył Bolesław Baranowski

Aleksander Szalimow
WIREFAP

Brefanid

Młodszy redaktor Oil Flips wybił się w wydawnictwie SPPiF (Światowa Pornografia, Przygoda i Fantastyka) dzięki temu, że wynalazł pornografometr — nieskomplikowany, półprzewodnikowy automat, wielkości sklepowego kalkulatora. Przyrząd był bardzo wygodny i prosty w obsłudze. W charakterze danych wejściowych automatu stosowało się pewne umowne wskaźniki, które bez trudu mógł mnemotechnicznie wyliczyć średnio wykwalifikowany redaktor. Wystarczyło w tym celu przekartkować rękopis. Do wskaźników, zgodnie ze specjalną tabelą, wprowadzało się jeszcze poprawkę na inteligencję czytelnika. Wielkość to była skrajnie mała — a dla niektórych kręgów odbiorców wręcz zdążająca do zera.

— Rozumiem — powiedział naczelny po zaznajomieniu się z nowym przyrządem. — Zatem średni współczynnik spornografizowania przyjmuje pan za równy…

— Od trzech do pięciu, sir… — skwapliwie wyjaśnił Flips.

— A w tym rękopisie? — naczelny uniósł brwi.

— Dwanaście, sir.

— To dobrze czy źle?

— Źle, sir. Nie trzeba przesalać. Proszę mi wybaczyć, ale nawet w tym nie trzeba przesalać. A tutaj autor rękopisu, jakby to powiedzieć… O, na przykład już na pierwszej stronie bohaterka…

— Dobra! — przerwał mu naczelny. — Wiem! Czytałem! Książka jest już w robocie, niech drukują. Myślę, że znajdą się na nią amatorzy… I niech pan ma na uwadze, Flips, że jeśli wbrew pańskiemu krakaniu nakład się rozejdzie, każę wyrzucić w diabły pański rękopis razem z panem… A za co? Właśnie za to — za krytykanctwo, filozofowanie i współczynniki. Jasne?… No, a jeśli będzie pan miał jednakowoż rację… Zobaczymy…

Obliczone za pomocą pornografometru współczynniki nie zawiodły Flipsa: książka nie szła. Prawie cały nakład zalegał w magazynach.

Trzeba przyznać, że los taki stawał się udziałem wielu książek, wydawanych przez SPPiF. Złe języki — bo gdzież ich brak — twierdziły nawet, iż Flips niewiele ryzykował, proponując naczelnemu swój wynalazek i wskaźniki. Jakość przeważającej większości rękopisów, przyjmowanych przez naczelną redakcję wydawnictwa była tak niska, że w każdym przyrządzie brakłoby dla nich skali…

Z początkiem XXI wieku narastająca fala cybernetyzacji dotarła również do wydawnictw. Najbardziej pracochłonne operacje, wymagające w niedawnej jeszcze przeszłości stosowania poczciwych nożyc i kleju, były obecnie zmechanizowane, a konkurujące pomiędzy sobą wydawnictwa dążyły do pełnego zautomatyzowania pracy nad rękopisami. Toteż i pornografometr chętnie przyjęto w skład wyposażenia wydawnictwa. Zajął on, obok innych automatów redakcyjnych, skromne miejsce pomiędzy ideomierzem starego typu i ostatnią nowinką, chlubą wydawnictwa i postrachem autorów — elektronowym „MAKSYMINEM". Pełna nazwa „MAKSY-MINA" brzmiała: „Elektronowy Kalkulator do Uzasadniania Maksymalnej Redukcji Honorariów Autorskich do Minimum". „MAKSYMIN" był zdolny — sam jeden — zastąpić całą sekcję wypłat w księgowości, przynosząc dyrektorom wydawnictw solidny roczny dochód.

Nie zapomniano i o Ollu Flipsie. Wkrótce mianowano go redaktorem, a kiedy w dziale fantastyki zwariował jeden ze starszych redaktorów po nieopatrznym przeczytaniu kilku pod rząd rękopisów, Flipsa przeniesiono do działu fantastyki. Dopiero tam nowatorskie talenty świeżo upieczonego starszego redaktora rozkwitły w pełni. Przed Flipsem otwarło się nieograniczone pole działania. Fantastyka słynęła jako zacofana gałąź literatury. Zdaniem krytyków literackich, zajmowanie się tak niepoważnym gatunkiem było poniżej ich godności. Nikt jeszcze nie wynalazł teorii i nie wymyślił historii literatury fantastycznej; Flips postanowił te luki wypełnić jak najszybciej. Przeanalizował więc przede wszystkim historyczne korzenie fantastyki i przekonywająco udowodnił jej boskie pochodzenie. Pierwszym fantastą okazał się Pan Bóg. Zdaniem Flipsa, Bóg wstąpił na drogę fantastyki w momencie, gdy zamyślił stworzyć raj na ziemi. Po nim pojawili się następni fantaści: prorocy i apostołowie, męczennicy i święci, wędrowni trubadurzy, stygmatycy, bajarze, uczeni, dziennikarze, pisarze…

Kiedy Flips doszedł do połowy XIX wieku, zaczął mgliście podejrzewać, iż w tak zwanej sztuce słowa mówionego i pisanego, w ogóle nic — oprócz fantastyki — nie istnieje. Analiza literatury XX wieku ostatecznie przekonała Flipsa, że fantastyka, to powszechna forma literatury. W takiej czy innej postaci, fantastyka istnieje w każdym dziele dowolnego gatunku: we wszystkich powieściach, cyklach opowiadań i opowiadaniach, poematach, podręcznikach, zbiorach zadań, w każdej monografii, teorii i hipotezie, w każdym artykule i notatce gazety, w każdej ustnej wypowiedzi na każdy prawie temat.

Flips sam był oszołomiony swoim odkryciem. Spłodził stos uczonych artykułów, w których szczegółowo uzasadnił najważniejsze wnioski swojej teorii. Pierwszy z nich sformułował tak: fantastyka to

powszechna metoda literatury. Można to było udowodnić genialnie prosto: zanim cokolwiek się powie czy napisze, trzeba pomyśleć. Kiedy jednak człowiek myśli, to automatycznie wymyśli. Człowiek nie może nie wymyślić, jest to bowiem jego dar przyrodzony. Skoro więc człowiek myśli i coś wymyśla, to znaczy, że jest on już na drodze fantastyki. Jest fantastą…

— Przepraszam — sprzeciwiali się Flipsowi niektórzy oponenci — przecież nie zawsze ma to miejsce. Często gęsto mówi się i pisze bezmyślnie! I co wtedy?

Flips był na tyle obiektywny, że nie mógł się nie zgodzić.

— Uwaga moich szanownych kolegów jest słuszna — stwierdził w następnym artykule. — Ale ta właśnie uwaga daje klucz do podstawowej klasyfikacji literatury… Co otrzymujemy, kiedy piszemy bezmyślnie? Bzdury. A więc całą światową literaturę należy podzielić na dwa zasadnicze rodzaje: fantastykę i bzdurę. Każdy z nich podlega z kolei swojemu podziałowi…

I Flips stworzył zgrabną klasyfikację wszystkich istniejących gałęzi i gatunków literatury, przyjąwszy za podstawę zaproponowany podział. Klasyfikacja ta nie odróżniała się prawie od ogólnie przyjętej; kiedy jednak została ukończona, Flips ze zdziwieniem stwierdził, że tematyka działu, w którym obecnie pracuje, sięga korzeniami w oba odkryte przezeń, podstawowe kierunki w literaturze. I wtedy Flips pospieszył sformułować swój sławny trzeci wniosek: we współczesnej naukowej i nienaukowej literaturze fantastycznej, fantastyka i bzdura tak ciasno się przeplatają, iż nie ma praktycznie żadnej możliwości ich oddzielenia od siebie; splecenie to stanowi czynnik pozytywny, pozwala bowiem na twórcze oddziaływanie obu tych kierunków na siebie.

Zbudowawszy mocne podwaliny teorii gatunku, Flips postanowił następnie zaprowadzić porządek w tematyce. Idea była niezwykle prosta: w fantastyce, jak to często miało miejsce w innych rodzajach twórczości literackiej, autorzy nie powinni się powtarzać. Temat wyczerpany — trzeba przejść do następnego. A jeśli ktoś już wykorzystał ten temat przed tobą, nie bierz się za niego. Szukaj nowego… Czyż to do pomyślenia, że w poezji od trzech i pół tysiąca lat wszyscy piszą o księżycu, miłości i różach? Marazm!.. Flips aż zatarł ręce z zadowolenia na myśl o tym, że się jeszcze i za poezję zabierze…

Ale na razie na warsztacie była fantastyka i jej tematy. Próżniacy-fantaści nie zadawali sobie zbyt wiele trudu i jakby zmówiwszy się, bez końca pisali o jednym i tym samym: roboty, cybery, kosmiczni goście, dinozaury… Tfu! Trzeba to było wyrwać z korzeniami… Trzeba było dać w ręce redaktorów niezawodną broń, przy pomocy której — jak ognistym mieczem — wycięliby wszystko, co

nieoryginalne.

Tak narodziła się idea elektronowego WIREFAPa — Wielkiego Rejestru Fantastycznych Pomysłów. W istocie wszystko okazało się proste aż do śmieszności. Flips posłużył się używanym mózgiem elektronowym średniej klasy. Do komórek elektronicznej pamięci Wirefapa wprowadzone zostały, na podstawie kartotek, dane o tematyce fantastycznych i fantastyczno-naukowych idei i sytuacji, począwszy od Biblii, a skończywszy na dziełach zebranych Burego Brada. Flips nie bez podstaw uważał bowiem, że po Bradzie nikt już nie był w stanie powiedzieć w fantastyce niczego oryginalnego.

W pamięci Wirefapa idee fantastyczne dzieliły się na klasy, klasy na podklasy, podklasy na grupy, grupy na podgrupy, podgrupy na rodziny, rodziny na postaci, rodzaje i morfy. Morf był formą wyjściową — samym pomysłem, który wnosił do literatury autor. Tak na przykład, jeśli autor pragnął opowiedzieć o cybernetycznym kocie, to owa wyjściowa idea była w pamięci Wirefapa zakodowana w następującym systemie: morf — kot cybernetyczny (wzór 1964, autor — Myszkina); postać: domowy; rodzaj: męski; rodzina: kotowate; podgrupa: cybery zwierzęce; grupa: roboty; podklasa: „Możliwości robotów”; klasa: „Cybernetyka”. Umowny indeks cybernetycznego kota w pamięci Wirefapa był następujący: A-0-3-7-13-21-184. Ostatnia cyfra indeksu oznaczała liczbę powtórzeń tematu. Okazało się, że temat kotów-cyberów został po roku 1964 wykorzystany przez fantastów 184 razy. Jednakże nie była to wcale liczba rekordowa. Na przykład podgrupa pomysłów, oznaczana numerem 38: „przechodzenie przez pył kosmiczny”, z grupy 3: „Awaria”, podklasy 2 — „Katastrofy kosmiczne”, wchodzącej w skład klasy 5: „podróże kosmiczne” — była w powieściach i opowiadaniach fantastycznych wałkowana 834 razy; wymarłe słonie — mamuty — miętoszono ponad pięć tysięcy razy…

Zrozumiałe było samo przez się, iż reakcja Wirefapa na różne pomysły powinna być również różna — w zależności od stopnia ich wykorzystania przez poprzednich autorów. Wirefap miał być pierwszym stopniem schodów, które po myśli Flipsa powinien był przejść każdy autor, przynoszący swój fantastyczny utwór do SPPiF…

Ponieważ jednak, wedle wszelkich znaków na niebie i ziemi, absolutnie oryginalnych pomysłów naukowo i nienaukowo-fantastycznych nie było, Flips po długich namysłach postanowił, że jego Wirefap będzie przepuszczać do redakcji fantastyki tych autorów, którzy przyniosą opowiadania i powieści oparte na pomysłach i sytuacjach, powtórzonych w literaturze mniej niż pięćdziesiąt razy. Jeśli autor przyniesie opowiadanie, którego pomysł powtarzał się w fantastyce od pięćdziesięciu do stu razy, Wirefap łagodnie odrzuci propozycję i po ojcowsku doradzi autorowi napisanie nowego

opowiadania, wykorzystującego oryginalniejszą sytuację. Jeśli autor zaproponuje opowiadanie oparte na pomyśle, eksploatowanym w literaturze od stu do pięciuset razy (na przykład „cybernetyczny kot"), Wirefap w milczeniu, surowo wskaże drzwi. No, a jeśli okaże się, iż ostatnia cyfra indeksu pomysłu przewyższa pięćset, na znak dany przez Wirefapa pojawią się w gabinecie specjalne Roboty — Stróże-Priorytetu-Pomysłu. Jeśli autor nie zdąży w tym czasie czmychnąć, Roboty-Stróże-Priorytetu odbiorą mu rękopis, zmuszając go zarazem do zjedzenia pierwszej i ostatniej jego strony. Resztki rękopisu zostaną skonfiskowane, a sam autor wyrzucony na ulicę. Cała ta egzekucja odbędzie się przy akompaniamencie straszliwego ryku Wirefapa.

Prawdziwie osobliwa ceremonia przewidziana była na wypadek pojawienia się w wydawnictwie autora przynoszącego utwór fantastyczny, którego pomysł był w przeszłości wykorzystywany mniej niż dziesięć razy. Po stwierdzeniu, że ostatnia cyfra wskaźnika jest istotnie mniejsza od dziesięciu, Wirefap automatycznie włączał specjalną taśmę dźwiękową. Orkiestra odgrywała tusz, a wszyscy redaktorzy działu, poderwani na alarm, wybiegali na powitanie autora. W przypadku takim zarówno sława, jak i honorarium były niewyobrażalne.

Po kilku miesiącach gotowy Wirefap, z wypełnionym rejestrem pomysłów naukowo i nienaukowo-fantastycznych zgrupowanych w dwanaście klas, pięćdziesiąt siedem podklas, trzysta osiemdziesiąt grup, tysiąc osiemset czterdzieści podgrup, czterdzieści tysięcy dziewięćset siedemdziesiąt siedem rodzin itd., został postawiony pod osąd redaktora naczelnego.

Wirefap — zrobiony na mężczyznę w średnim wieku, o siwiejących skroniach i okrągłych, pozbawionych jakiegokolwiek szczególnego wyrazu, oczach — nieco przypominał naczelnego.

Podobieństwo to było zdaje się nie w smak temu ostatniemu, bowiem zachmurzył się.

— Rozumiem — rzucił mrukliwie, wysłuchawszy wyjaśnień Flipsa. — Znaczy: walka o oryginalność pomysłów? Mówi pan: będzie zabezpieczony zbyt? A skąd pańscy autorzy wezmą nowe idee? Wymyślą? Tak… A dopóki oni będą wymyślać, co pan każe drukować, hę?

— Jeśli oryginalnych pomysłów okaże się za mało — odparł Flips — to proponowałbym na razie wznawiać. Będziemy wznawiać klasyków o najniższych wskaźnikach powtarzalności pomysłu. Teraz przy pomocy Wirefapa można bez trudu się dowiedzieć, co należy wznowić w pierwszej kolejności. Nie trzeba będzie łamać głowy nad planem wznowień. A jak będą zadowoleni czytelnicy!.. Nie można przecież bez końca napychać ich samymi mamutami…

Przy słowie „mamuty" gdzieś wewnątrz Wirefapa rozległo się

stłumione ryknięcie.

— Spokojnie, spokojnie — uprzedził Flips. — Nie będzie ani mamutów, ani o spadaniu Księżyca na Ziemię…

Wirefap znów warknął.

— Koniec! — zapalił się Flips. — Tak samo z historyjkami o oczyszczaniu przestrzeni międzyplanetarnej z pyłu kosmicznego i asteroidów.

Wirefap niespokojnie się poruszył.

— Zdrowo reaguje — zauważył naczelny z odcieniem udobruchania. — Nie można powiedzieć, czuły. Tylko czemu zrobił go pan właśnie takiego — z łysiną? Lepiej byłoby, gdyby był młodszy, albo… hi-hi… zmienić go w ładniutką redaktoreczkę, co?

— On ma wrzeszczeć — zaoponował Flips. — Musi więc poważnie wyglądać. Redaktorka chyba się nie nadaje…

— W wydawnictwie SPPiF, jak trzeba, to i redaktorki wrzeszczą! — kategorycznie sprzeciwił się naczelny. — Proszę to sobie zapamiętać, Flips. Ale w zasadzie nie sprzeciwiam się. Niech taki zostanie. Proszę go ustawić w westybulu naszego działu. Zobaczymy, jak to będzie…

W ciągu pierwszych kilku tygodni, które upłynęły od chwili umieszczenia Wirefapa przy wejściu do działu fantastyki, z westybulu bardzo często dochodziły straszliwe ryki Straży Priorytetu i wrzaski nieszczęsnych autorów, w pośpiechu połykających własne utwory.

Później nastała cisza. Cicho było również w dziale fantastyki. Autorzy nie pojawiali się. Żadnemu z nich nie udało się przedrzeć dalej niż do hallu. Flips nie niepokoił się jednak. Nie bez kozery przypuszczał, że autorzy siedzą teraz w domach i wymyślają nowe, oryginalniejsze pomysły. Cóż — niech myślą, nie trzeba ich popędzać.

Z braku oryginalnych utworów, Flips zaczął przygotowywać plan wznowień. Wybrawszy z kartotek kilkadziesiąt tytułów, postanowił na wszelki wypadek poradzić się Wirefapa co do stopnia ich oryginalności. Spis wznowień trzeba było dać naczelnemu do zatwierdzenia i zdanie Wirefapa — Flips nie miał co do tego żadnych wątpliwości — odegrałoby przy tym niemałą rolę.

Z kartoteką w kieszeni Flips wszedł bocznymi drzwiami do westybulu.

Wirefap siedział za stołem, podparłszy dłonią masywną głowę.

— O kay — odezwał się Flips. — Dzień dobry, sir.

— Dzień dobry — jak echo powtórzył Wirefap i spojrzał na Flipsa krągłymi, nie mrugającymi oczami. — Proszę usiąść.

„Doskonale pracuje — pomyślał Flips. — Wypełnia program z detalami”.

— Ja… właściwie przyszedłem się tylko poradzić — powiedział Flips głośno. — Przygotowuję plan wznowień na przyszły rok. Trzeba

wybrać coś świeżego, oryginalnego. Rozumie mnie pan?

— Jasne — uprzejmie odparł Wirefap. — Po to właśnie tu jestem. Słucham pana.

— Co by pan powiedział o powieści Iona Płachta „Zemsta na Tau Ceti”?

— Aa — niedbale rzucił Wirefap. — Wiem. E-0-2-5-1-13-17-99. Mój drogi, niech pan dalej pracuje. Powinno się panu udać. Jeszcze nic panu nie wyszło, ale wyjdzie. Powinno. Niech pan idzie i pracuje dalej.

— Proszę posłuchać, ja nie jestem autorem — z rozdrażnieniem zauważył Flips. — Jestem starszym redaktorem. To ja pana wymyśliłem. Przecież ma pan przekaźnik do przestrajania. Proszę się przełączyć i postarać mnie zrozumieć. Nie proponuję niczego nowego, a chciałbym tylko uzgodnić plan wznowień. Rozumie pan?

— Oczywiście, sir. Jestem gotów słuchać pana bez końca.

— Okay! Przypuśćmy, że łon Płacht nie przejdzie. Niech go diabli! Nigdy bym nie pomyślał, że pomysł „Zemsty na Tau Ceti” ci przeklęci grafomani wykorzystali już 99 razy.

— Proszę kontynuować pracę — znów zahuczał Wirefap. — U nas powinno…

— A żeby go tak… — rozeźlił się Flips. — Nie może się pan przełączyć jak należy?!

— Oczywiście, sir. Ja już…

— Dobra… Zrobimy tak. Ja będę wyliczać tytuły, a pan wymieni tylko ostatnią cyfrę indeksu pomysłu — liczbę jego powtórzeń w innych utworach. Zrozumiał mnie pan?

— W pełni, sir. Przecież to całkiem proste!

— „Tajemnica planety dziewięciu słońc” Liu?

— Hi-hi-hi… siedemdziesiąt osiem, sir… hi-hi-hi…

— Hm… Więc „Monstrum Tuskarory” Fremda?

— Hi-hi-hi… sześćdziesiąt trzy, sir… Hi-hi-hi…

— Psiakrew! „Więźniowie asteroidu-widma”?

— Hi-hi-hi… osiemdziesiąt pięć, hi-hi-hi.

— Dlaczegóż pan, u diabła, cały czas idiotycznie chichocze?!

— Ja nie chichoczę, sir… ja połykam różne inne słowa, które powinienem był powiedzieć.

— Cholera! Czyż nie sposób znaleźć książki ze wskaźnikiem niżej pięćdziesięciu?! Niech pan posłucha, a „Atlantyda” Benoita? To bardzo stara rzecz, początek zeszłego stulecia; wydawało mi się, że ten pomysł…

— O ssir — wybełkotał, jąkając się, Wirefap — obawiam się, że nie wytrzymam.

— Co znowu?

— Czterysta dziewięćdziesiąt dziewięć, sir! 497 autorów pisało o

tym 499 razy. Jeden z nich trzykrotnie…

— Więc co robić?

— Proszę proponować, sir. Proszę proponować nowe, świeższe, jeszcze nie wykorzystane, oryginalne pomysły… Autorowi, który przyniesie nam coś oryginalnego, możemy… O, proszę mi wybaczyć, sir! To przekaźnik… Coś z nim nie w porządku.

„Trzeba będzie popróbować klasyków — pomyślał ze zniechęceniem Flips. — Któż mógł przewidzieć, że tyle się tego wszystkiego nazbiera…”

— Proszę posłuchać — zwrócił się Flips do swego dziecka. — A co by pan powiedział na „Zaginiony świat” Conan Doyle’a?

To, co potem nastąpiło, Flips słabo pamiętał. Ryk Wirefapa, krzepkie łapy Robotów-Stróży-Priorytetu, prześny smak bibliotecznych karteczek, które przyszło mu pospiesznie łykać, broniąc się przed udławieniem.

Potem zaciągnięto go gdzieś i porzucono. Kiedy ocknął się wreszcie pośrodku zielonego gazonu u bram wydawnictwa, słyszał jeszcze histeryczne wrzaski rozszalałego Wirefapa:

— Aha! Dinozaurki — dziesięć tysięcy pięćset osiemdziesiąt, pterodaktylki profesora Challengery’ego — trzy tysiące czterysta… czterysta… chrr-krr-chrr…

Dał się słyszeć trzask i zapanowała cisza. Okazało się potem, że Wirefapowi przepaliły się bezpieczniki…

W ten sposób nie udało się uzgodnić planu wznowień.

W tym samym miesiącu Flipsa zwolniono z wydawnictwa. Wirefap został wyremontowany i przerobiony na zwykłego cyberszwajcara. Elektromagnetyczną taśmę z rejestrem indeksów pomysłów ukradł jeden z mechaników i sprzedał ją zarządowi klubu pisarzy S-F. Rozszyfrowali oni zapisy setek tysięcy fantastyczno-naukowych i nienaukowych idei, zebranych przez niezmordowanego Olla Flipsa. Nastąpiła era renesansu — rozkwit fantastyki naukowej…

Przełożył z rosyjskiego Krzysztof Malinowski

Andrzej Czechowski
NAJDALSZA PODRÓŻ PREZYDENTA

Dobiegła końca wizyta delegacji rządowej Altairu na naszej planecie. Przez z górą półtora roku nasi goście prowadzili rozmowy na najwyższych szczeblach drabiny dyplomatycznej, odwiedzając wszystkie kraje na wszystkich kontynentach. Rzeczowa atmosfera tych rozmów i widoczna dbałość gości o interesy obu stron zyskała im powszechne uznanie. Z pełnym zaufaniem przyjmowano twierdzenia członków delegacji o wielkiej wadze, jaką Altair przywiązuje do rozwoju przyjaznych stosunków z Ziemią.

„Jest to nowa era nie tylko dla was" — powiedział przywódca delegacji Altairu w odpowiedzi na powitalne przemówienie prezydenta, który mówił o „początku nowej epoki" — „Galaktyka patrzy z radością, jak Ziemia porzuca dawne odosobnienie i zwraca się twarzą ku gwiazdom". Doświadczeni dyplomaci przyjęliby to oświadczenie jako co najwyżej dowód kurtuazji, ale uwaga, jaką goście poświęcili sprawom procedury i protokołu, przekonała wszystkich ostatecznie, że przybysze mają poważne zamiary.

Może właśnie dlatego goście rozpoczęli swoją wizytę od spektakularnego gestu[3]. Także i później nie pominęli żadnej okazji ku temu. W związku z uroczystością złożenia wieńców na miejscu katastrofy statku, znanego także jako „tunguskie dziwo", jeden z przybyszów powiedział sentencjonalnie: — „Wieniec złożony przez dyplomatę jest trwalszy niż jego uśmiech".

Oczywiście, podpisy są jeszcze trwalsze, a tych nie brakowało. Zebrane dokumenty zawartych porozumień i układów dorównują swą objętością Encyklopedii Brytyjskiej. Dzięki nim nie ma już na kuli ziemskiej krajów, które by nie miały wspólnych przyjaciół. Przybysze okazali wiele taktu, gdy zamiast o jednostronnej pomocy, mówili o „wzajemnych korzyściach" i „wymianie naukowej", chociaż dystans, dzielący ich cywilizację od naszej ocenia się na siedemset lat. „Jest to przykład godny naśladowania dla naszych uczonych" — powiedział senator Dullbright. — „Oni wciąż jeszcze uważają, że parę lat studiów daje im prawo nas pouczać".

Wydaje się, że nasi uczeni, których na początku wizyty ogarnęło coś w rodzaju euforii, ostatecznie w jej toku się rozczarowali. Znany fizyk brytyjski, sir Basil Thornope, skarżył się w liście do „Naturę", że podczas trzydniowych rozmów przybysze tłumaczyli mu zasady dynamiki Newtona. Goście nie znaleźli czasu dla odwiedzin MIT ani Caltechu, natomiast przez dwa dni delegacja w pełnym składzie podziwiała wodospad Niagara. „Przypuszczam, że oni po prostu nas

nie rozumieją” — powiedział w imieniu fizyków sir Basil Thornope.

Więcej zainteresowania przybysze okazywali wiedzy astronomicznej. Podczas wizyty na Mount Palomar prosili gospodarzy obserwatorium o skierowanie teleskopu na Altair, po czym kolejno oglądali swoją rodzinną gwiazdę; wyjaśniono, że międzygwiezdny protokół dyplomatyczny przewiduje taką ceremonię. W związku z tym mniej światłe państwa, oczekujące wizyty, zaczęły w pośpiechu budować obserwatoria, a cena używanych teleskopów gwałtownie wzrosła. Szejk Kuwejtu rozkazał nawet pozłocić nowo nabyty refraktor.

Do curiosów wypada zaliczyć fakt, że przybysze zwracali się z pytaniami do dziennikarzy uczestniczących w konferencjach prasowych. „Technologia zmienia się z dnia na dzień” — oświadczył jeden z członków delegacji — „nas interesuje to, co trwałe”. Podobno chodziło mu o Człowieka. Może dlatego ludność odwiedzanych krajów tak gorąco podejmowała przybyszów. Jedynie studenci paryskiej Sorbony zorganizowali hałaśliwą demonstrację pod niezupełnie rozsądnym hasłem: „Ziemia tylko dla ssaków”.

Z podsumowaniem rezultatów wizyty gości z Altairu należy jeszcze poczekać. Uważa się raczej za dobry znak, że przybysze skłaniali się w kierunku umów długoterminowych. W kołach gospodarczych podkreśla się wagę kooperacji z Altairem jako czynnika łączącego wszystkie kraje naszego globu. Niestety, nie można także pominąć skutków wstrząsu, jaki przeżyli przedstawiciele Ziemi, gdy podczas pożegnania przybyszów na polu startowym przewodniczący delegacji oświadczył, że Altair oczekiwać będzie rewizyty z Ziemi w ciągu najbliższych trzech lat. „Będzie ona miała decydujące znaczenie dla wzajemnych stosunków” — powiedział on. Jak wiadomo, Altair jest odległy od Słońca o szesnaście lat świetlnych.

„Przyjęliśmy ich jak najlepiej”, miał w związku z tym powiedzieć pewien mąż stanu. — „Kto mógł przypuścić, że na pożegnanie zrobią nam takie świństwo?”

Tadeusz Gosk
UCIECZKA

Rozległy plac brukowany kamienną kostką. Bezkształtna, zbita masa jednakowo ubranych ludzi. Stoją ogromnym półkolem, zbyt daleko, aby można było rozpoznać twarze. Nie sposób też określić koloru strojów czy mundurów. Wrażenie monotonnej, brudnej zielem. Obok mnie kobieta. Nie, dziewczyna. Najwyżej dwadzieścia dwa lata, włosy do ramion, srebrzysty kostium ze stojącym kołnierzem. Na lewym rękawie owalny emblemat ze stylizowanych liter. Dziewczyna stoi przez chwilę nieruchomo, później unosi do oka karabin z lunetą. Dokładnie widzę cel: samotnego mężczyznę pod murem. Suche klaśnięcie wystrzału, czerwone kręgi przed oczami, ciemność…

Budzę się z rozkołatanym sercem: znów te koszmary! Wpatruję się w mrok, rozróżniam w nim znajomy zarys okna i po chwili uspokojony zasypiam.

Kiedy budzę się powtórnie, jest już zupełnie widno. Patrzę na zegarek. Dochodzi szósta, Rudy jeszcze z godzinę wytrzyma.

— Wstawaj, bo prześpisz własne narodziny!

— Nie mam zamiaru zaczynać wszystkiego od początku, a zresztą nie wierzę w reinkarnację — mruczę i uprzytamniam sobie, że nadal śnię. Wieczorem dokładnie zamknąłem drzwi mojej kawalerki i założyłem łańcuch. Słowem w mieszkaniu oprócz mnie nie może być nikogo. Nie licząc naturalnie Rudego, ale Rudy jest zwykłym kundlem i trudno przypuszczać, aby ośmielił się zwracać do mnie tak obcesowo i to w dodatku kobiecym głosem…

— Kiepski dowcip. Wprawdzie mam rudawe włosy, ale to nie powód, abyś nazywał mnie kundlem.

To jednak on! Chwytam na oślep stojące obok tapczanu pantofle i rzucam w kierunku bezczelnego zwierzęcia.

— Dość tego! Otwórz wreszcie oczy!

Głos brzmi groźnie, a że sny rządzą się własną logiką, posłusznie unoszę powieki. W nogach posłania stoi dziewczyna ubrana w srebrzysty kostiumik z czarnym owalem na rękawie. Jej spadające na ramiona włosy istotnie mają rudawy odcień.

— Co za uparta mara… — mamroczę.

— Uprzejmy to ty nie jesteś!

Szczypię się w rękę, czuję silny ból, lecz dziewczyna nie znika. Powtórnie wbijam paznokcie w przedramię — stoi nadal. Unoszę głowę, rozglądam się dokoła i drętwieję ze zdumienia.

Niby wszystko jest w porządku. Mój własny pokój, moje biurko, maszyna do pisania, regały z książkami. Ale w oknie nie ma zasłony.

Zamiast niej jednolita, matowa tafla wypełniająca framugę. Nie ma też drzwi. Zniknęły. Nie ma nawet śladu zamurowania. Gładka, kremowa ściana.

— Kim pani jest? — pytam zdławionym głosem.

— Dowiesz się później. Wstawaj!

— Nigdzie się nie spieszę, a poza tym nie pozwolę, żeby jakaś smarkula rozkazywała mi we własnym… — milknę wpół zdania. Ta mleczna płyta w oknie, brak drzwi i telewizor… Bo jest i telewizor — płaski, z wielkim ekranem, po którym zaczynają przebiegać kolorowe smugi. Nie dostrzegłem go wcześniej, gdyż stał za plecami dziewczyny. Nigdy nie miałem telewizora! — Gdzie ja jestem?

— Tam.

Z ekranu znikają barwne pasy, pojawia się obraz. Rozległy plac brukowany kamienną kostką. Półkole umundurowanego tłumu. Na pierwszym planie rudowłosa kobieta z karabinem. Patrzy prosto przed siebie, później unosi broń do oka. Błysk światła odbitego w soczewce lunety… Zmiana ujęcia: w kadrze mężczyzna pod murem. Trzask wystrzału i mężczyzna pada na bruk. Najazd kamery i twarz leżącego wypełnia cały ekran. To moja twarz.

— Joseph Thomas poniósł zasłużoną karę! — odzywa się głośnik. — Równowaga została przywrócona.

Oddycham z ulgą: to tylko dalszy ciąg snu, tyle że bardzo konsekwentnego i uporządkowanego. Wydarzenia na ekranie nie mogą mnie dotyczyć. Nie popełniłem żadnej zbrodni, za którą należałaby się kula w łeb i nie nazywam się Joseph Thomas.

— A jak się nazywasz?

— Zwyczajnie, Tomasz Jóźwiak. Wiesz o tym zresztą doskonale, bo potrafisz czytać w myślach… A teraz znikaj! Nie jesteś w moim typie.

— Ciągle ci się wydaje, że śnisz?

— Naturalnie. Typowa senna deformacja rzeczywistości: pokój bez drzwi, dziewczyna w mundurze i własna śmierć oglądana na ekranie telewizora. Może to zresztą nie sen, lecz halucynacje narkotyczne. Brałem wczoraj jakiś preparat ziołowy, rzekomo całkiem nieszkodliwy. Ale rozmaicie bywa… Kiedyś uszkodzony automat w wytwórni farmaceutyków domieszał trującej belladony do niewinnego rumianku!

— Zawsze we śnie jesteś taki logiczny i rezonerski?

— Nie, ale ta pigułka…

— Sam w to nie wierzysz. Przypatrz mi się uważnie.

— No cóż… Komuś, kto lubi takie hoże, duże blondyny, mogłabyś się nawet podobać. Ale ten mundur z idiotycznym emblematem! Monogram jakiegoś piosenkarskiego idola?

— Nie żartuj — uniosła rękę i mimowolnym ruchem odgarnęła

włosy z czoła. Na bladej skórze zamajaczyły czerwonawo jakieś cyfry. — Nic więcej nie widzisz?

— Aaa! Dłonie o sześciu palcach! — wykrzyknąłem. — To niczego nie dowodzi. Pewnego razu długo dyskutowałem na tematy filozoficzne z niebieską ośmiornicą w różowym szapoklaku, a potem jak gdyby nigdy nic wstałem z łóżka…

— Nie o to przecież chodzi!

— Tatuaż? — zapytałem. — Pewnie numer telefonu? Słyszałem, że za granicą nastolatki wykłuwają je sobie dla pamięci na rękach, ale żeby na czole…

— Dajmy temu na razie spokój. Chyba rzeczywiście zbyt wcześnie cię obudziłam. Pośpij jeszcze trochę, przyjdę później.

Kiedy obudziłem się powtórnie, rudowłosej w pokoju nie było.

— Nareszcie! — powiedziałem na głos.

Sięgnąłem po papierosy J szczęknąłem zapalniczką. Pojawił się niebieski płomyk. „Dlaczego niebieski? — pomyślałem z nagłym podejrzeniem. — Przecież benzyna pali się żółtawo!" Przyjrzałem się uważnie trzymanemu w ręce przedmiocikowi: zwyczajna benzynowa zapalniczka, nieco już podniszczona, bo używałem jej od przeszło roku. Powtórnie nacisnąłem dźwigienkę i już nie zastanawiając się nad barwą płomienia, zapaliłem papierosa. Smakował jak perfumowany piołun. „To dlatego, że palę na czczo — pomyślałem. -Wstanę i wypiję przynajmniej szklankę mleka". Odrzuciłem kołdrę i ruszyłem boso w stronę drzwi. Drzwi nie było! Był za to telewizor i mleczna tafla w oknie.

„Jak ja się stąd wydostanę? — pomyślałem bezradnie. — Muszę się przecież wykąpać i ogolić, muszę też coś zjeść…"

— Czy istotnie musisz?

Odwróciłem się gwałtownie. Znów ta ryża Walkiria!

— Muszę, muszę — rzuciłem gderliwie, gdy minęło pierwsze oszołomienie. — Nie potrafię z rana myśleć, póki się nie ogolę i nie wypiję dużej kawy… Ale może mi się pani wreszcie przedstawi?

— Dobrze. Nazywam się Ann Thomas i — ubawisz się — jestem twoją żoną.

Pociemniało mi w oczach ze złości.

— Bez głupich dowcipów! — warknąłem. — Jestem kawalerem i nie zamierzam się ożenić, a gdyby nawet, to nie z dyskobolką!

— Jeszcze wczoraj mówiłeś co innego, a ja biedna wierzyłam!..

Pannica kpiła w żywe oczy. Tego było już za wiele! Chwyciłem nieznośnego rudzielca za ramię i pociągnąłem tam, gdzie w moim domu zawsze było wyjście. Z łatwością wyswobodziła rękę, a ja z rozpędu grzmotnąłem głową w ścianę. Uderzenie było tak silne, że zemdlałem.

Ocknąłem się w fotelu. Ann pochylała się nade mną i troskliwie

zmieniała wilgotny kompres. Dotknąłem ręką czoła: ogromna, gorąca śliwka.

— Przepraszam, to moja wina, ale nie przypuszczałam, że tak zareagujesz. Na szczęście uderzyłeś się niegroźnie. Nie przeciąłeś sobie nawet skóry, a obrzmienie zaraz zniknie.

— W głowie mi szumi — poskarżyłem się. — Czy mi się wydawało, czy też naprawdę utrzymywałaś, że jestem twoim mężem?

— Mówiłam tylko, że jestem twoją żoną — sprostowała.

— To wszystko jedno!

— Nic podobnego. Ja sobie jeszcze na męża nie zasłużyłam.. Nie zrywaj się, odpocznij — pogładziła mnie uspokajająco po ramieniu. — Zaraz dam ci kawy.

— Jest w puszce po herbacie. Wsyp dwie czubate łyżeczki na szklankę. Bez cukru!

— Wiem — odparła spokojnie i podała mi zielony, porcelanowy kubek, w którym zwykle pijałem kawę.

Przyjąłem go odruchowo i pociągnąłem spory łyk gorącego płynu. Płyn był bez smaku, ale chyba mocny, bo szybko rozjaśnił mi w głowie.

— Chwileczkę! — powiedziałem. — Skąd ta kawa, skoro nie ruszałaś się z miejsca?

— Tom, błagam cię, nie myśl o tym, nie wolno ci się denerwować. — Była naprawdę zaniepokojona.

— Skąd ta kawa?!

— Przyniosłam z kuchni — odparła zrezygnowanym tonem.

— Przecież nie odchodziłaś ode mnie na krok!

— Aby coś przynieść, nie trzeba po to iść. Wystarczy pomyśleć, to chyba oczywiste.

— Jak dla kogo. Słuchaj, dziewczyno… — urwałem.

— Tak?

— Co to wszystko znaczy? Co się ze mną dzieje?

— Uspokój się, Jo. Miałeś niewielki wypadek, ale teraz już wszystko jest w porządku. Za parę dni całkowicie wrócisz do zdrowia, byłeś się nie denerwował…

— Nic denerwować się, dobre sobie! Jaki znów wypadek? Nic nie pamiętam.

— To skutek szoku. Przejściowa amnezja.

— No dobrze, przypuśćmy. Powiedz mi wobec tego, kim jestem i czym się według ciebie zajmuję? I zdecyduj się na jedno imię! Przywykłem do Tomasza, może więc być Tom…

Nazywam się Joseph Thomas, jestem fizykiem i prowadzę jakieś badania. Ann nie wie jakie, bo jest przy mnie dopiero od paru tygodni i nie zdążyłem jej tego jeszcze wytłumaczyć. Niedawno skończyłem trzydzieści lat i zaraz potem wziąłem ją za żonę. Wypadek zdarzył mi

się w pracy. Nic groźnego. Lekki wstrząs mózgu. Lekarze zapewniają, że minie to bez śladu, ale uprzedzają, że przez kilka dni mogą dręczyć mnie niedorzeczne wizje. Teraz na przykład wydaje mi się, że znalazłem się w innym świecie, że „u siebie" nazywałem się i wyglądałem inaczej… Ann nie potrafi odczytać tego dokładniej, gdyż ma za mało wprawy, a ja na domiar złego ekranuję swój mózg, aby utrudnić jej kontakt myślowy.

„U siebie wyglądałem inaczej…"

— Amnezja, mówisz? Może masz rację… Istotnie wielu rzeczy nie pamiętam, nawet tego, jak się wychodzi z pokoju i gdzie jest łazienka.

— Pokażę ci — powiedziała spokojnie Ann.

Podeszła do ściany i dotknęła jej końcami palców. Kremowy mur zmatowiał, ukazując mglisty zarys przejścia.

— Tędy.

— Jak to, przez ścianę?

— Nie kapryś! A zresztą… rekonwalescentowi należą się pewne względy. Poczekaj, zaraz wrócę.

Przeszła przez mur i zniknęła. Nawet mnie to szczególnie nie zaskoczyło. Nie miałem siły się dziwić. Bałem się.

Przeciągnąłem dłonią po czole. Guz zniknął, głowa też nie bolała. Posiedziałem chwilę nieruchomo, a potem wziąłem papierosa. Był gorzkawy, ale palić się dal. Wypiłem nieco ostygłej kawy, odstawiłem kubek i wstałem. Musiałem coś robić, aby do reszty nie stracić rozsądku.

Schowałem pościel i ułożyłem papiery na biurku. Później ubrałem się i z grzebykiem w ręku podszedłem do telewizora. Jego ciemny ekran mógł od biedy zastąpić lustro. Z szyby wyjrzała pociągła twarz mężczyzny przed trzydziestką. To nie mogłem być ja! Twarz mam raczej okrągłą, noszę wąsy i jestem znacznie starszy. Odwróciłem się powoli. Nikogo. Powtórnie spojrzałem w telewizor. Ta sama młoda, szczupła twarz. Dotknąłem palcami górnej wargi. Człowiek w ekranie powtórzył ten ruch, a ja wyczułem tylko gładką skórę bez śladu zarostu. „Dobre i to — pomyślałem. — Ann miała rację, nie muszę się golić". I wtedy powrócił strach, stłumiony na chwilę krzątaniną. Jedno z dwojga: albo zwariowałem, albo cały świat oszalał. Najgorsze zaś było to, że w obu wypadkach czekał mnie szpital dla umysłowo chorych.

Miałem niestety rację. W pokoju zjawili się dwaj wysocy, ubrani na żółto mężczyźni. Jeden z nich, zbudowany jak zapaśnik, trzymał w ręku strzykawkę pneumatyczną.

— Nie strzelaj! — zawołałem. — Nie będę stawiał oporu.

— Co za człowiek! — oburzył się barczysty. — Z klientami to tak zawsze: szybko, szybko i broń Boże bez hałasu. Ale na dowcipy zawsze mają czas. Gdzie mają być te drzwi?

— Tutaj — pokazała Ann. Nawet nie zauważyłem, kiedy wróciła.

Barczysty wziął od kolegi jakiś przedmiot, chwilę manipulował nim przy swojej „strzykawce", a potem skierował jej igłę na ścianę. Rozległ się krótki, przytłumiony dźwięk, jakby pękła basowa struna i… nic.

— Gotowe — odezwał się milczący dotychczas kolega barczystego. — Idziemy.

Zniknęli.

Ann uśmiechnęła się do mnie:

— Widzisz, ustępuję ci jak dziecku. Wyobraź sobie teraz dowolne drzwi. Nawet takie, jakie bywają w twoim wyimaginowanym świecie.

Przypomniałem sobie wyjście z mojego pokoju i natychmiast w jednolitej ścianie ukazały się drzwi z matową, pękniętą w rogu szybą. Zbiłem ją parę lat temu, kiedy usiłowałem wyskrobać olejną farbę zaschniętą w rowkach ornamentu.

Za drzwiami był znajomy przedpokój i wejście do łazienki, zwyczajnej, „prawdziwej" łazienki. Gdy po kilkunastu minutach wykąpany i odświeżony wróciłem do pokoju, wydało mi się nagle, że nie warto się gryźć i martwić, bo wszystko się dobrze skończy. Miewałem czasem takie napady irracjonalnego optymizmu. Nic mi zresztą bezpośrednio nie zagrażało. Niepokoiłem się jedynie o Rudego. Dochodziła dziesiąta, a pies nie był jeszcze na spacerze.

Ann krzątała się po pokoju, wyrównywała książki na regałach, przestawiała krzesła, słowem była bardzo zapracowana. Usiadłem w fotelu i obserwowałem ją przez chwilę. Wyglądało na to, że zamierza zrobić wielkie sprzątanie.

— Ann — jęknąłem. — Człowiekowi, który cudem uniknął śmierci, należą się chyba jakieś względy?

— O czym ty mówisz, Tom, bo chyba nie o tym guzie?

— Chodzi o Rudego — odparłem już normalnym tonem.

— Ruda ci nie wystarcza?

— Nie zagaduj. Powiedz, czy możesz sprowadzić tu psa, a przynajmniej wypuścić go tam, u mnie, na dwór. Kundel męczy się w zamkniętym mieszkaniu. Poczekaj, to jeszcze nie wszystko… Oswoiłem się już nieco z sytuacją i nie ma sensu mnie przekonywać, że śnie lub majaczę… Ale najpierw daj mi jeszcze kawy.

— To najłatwiejsze, proszę. Co do reszty zaś… — Ann naraz spoważniała. — O psa nie musisz się martwić. Jest zdrów i ma się dobrze…

— Mów dalej. — O czym?

— O tym, dlaczego znalazłem się w obcym ciele, w pomieszczeniu udającym moje mieszkanie, w świecie, gdzie kobiety wykonują egzekucje.

— Czemu akurat to cię oburza? Kobieta też jest człowiekiem.

— Zostawmy to na razie. Jak się tu znalazłem?

— Chyba się domyślasz: widziałeś pseudosen, a potem transmisję telewizyjną…

— Własne domysły mi nie wystarczą, chcę mieć pewność.

— Dobrze, powiem ci.

Ann mówiła długo. Co chwila odwoływała się do zdarzeń i sytuacji dla niej oczywistych, dla mnie zaś zupełnie hermetycznych. Przerywałem jej pytaniami, na które nie zawsze potrafiła mi sensownie odpowiedzieć, choć wyraźnie się o to starała. Wreszcie pojąłem, że więcej z niej nie wyciągnę i przerwałem indagacją. Oto co zdołałem zrozumieć z jej opowieści.

Joseph Thomas, ten właściwy, istotnie był fizykiem. Ale nie tylko. Przede wszystkim był indywidualistą i marzycielem. Urodził się wkrótce po uchwaleniu Kodeksu Równowagi i był zgodnie z tym kodeksem wychowywany. Przeludniony świat spostrzegł się zbyt późno, że stoi u progu zagłady, a wtedy jedynym ratunkiem stała się ścisła reglamentacja wszystkich sfer działalności człowieka, pedantyczny rozdział i ujednolicenie wszystkich dóbr. Ujednolicano wszystko, co się dało: pożywienie, odzież, mieszkania, niezbędne rozrywki, a nawet górną granicę wieku. Postęp nauk medycznych a zwłaszcza genetyki pozwolił na standaryzację samego człowieka (jednakowi ludzie mają jednakowe potrzeby). Zaczęto od kobiet, jako bardziej podatnych na zmiany i po kilkunastu latach wszystkie dziewczęta wyglądały jak bliźniaczki. Różniły się co prawda nieznacznie rysami twarzy, ale dla pewniejszej identyfikacji wykłuwano im na czołach indywidualne numery rejestracyjne, a na rękawach ubrań-mundurów kazano nosić symbole literowe oznaczające grupę wieku i region urodzenia.

Jo nie chciał się z takim światem pogodzić. Tęsknił do barwnego tłumu, do corocznych festynów, do mieszkania z balkonem, na którym można było hodować żywe kwiaty. Niczego podobnego nigdy wprawdzie nie widział, ale opowiadał mu o tych cudach ojciec, zanim zniknął dla dobra Równowagi. Jo Thomas postanowił uciec. Dokądkolwiek i za wszelką cenę, nawet za cenę swojego życia. Trzykrotnie usiłował się zabić i trzykrotnie go odratowano. Medycyna stała wszak wysoko, a kodeks mówił wyraźnie, że każdy zdrowy fizycznie człowiek musi przeżyć 45 lat. Ani mniej, ani więcej. Zrezygnował więc z dalszych prób i zaczął szukać innego wyjścia. Znalazł je mając niespełna dwadzieścia lat. Wymarzył sobie równoległe światy.

Studiował wówczas na uniwersytecie, gdzie dostał się w wyniku losowania. Po prostu Równowaga wymagała istnienia wyższych uczelni ze studentami, tak samo jak wymagała istnienia wytwórni żywności z obsługującym je personelem. Egzaminy były niepotrzebne,

gdyż tych paru prawdziwie uzdolnionych kandydatów na uczonych, niezbędnych do funkcjonowania systemu, musiało się znaleźć w masie przypadkowo dobranych słuchaczy. Jo był zdolny. Uczył się pilnie, najpierw dla zabicia czasu, a potem z pasją, gdy zrozumiał, że wiedza może mu pomóc w ucieczce. Nadal nie chodziło mu o ucieczkę fizyczną, lecz o dostęp do laboratorium, o możliwość samodzielnych doświadczeń. Kodeks Równowagi dopuszczał bowiem jedyny wyjątek od zasady równowagi. Jego paragraf 118 głosił: „Kto przez nieodpowiedzialne eksperymenty naukowe sprowadza niebezpieczeństwo powszechne, musi być dla dobra ogółu usunięty, jeśli nawet nie osiągnął wieku granicznego".

Ta metoda samobójcza wymagała wprawdzie długotrwałych i pracochłonnych przygotowań, ale była niezawodna i miała też inne dobre strony. Joseph Thomas po ukończeniu studiów znalazł się, jako wybitnie uzdolniony fizyk, w gronie wybranych, dla których nieco rozluźniono przepisy kodeksu. Jego pierwszym i największym przywilejem indywidualnym było prawo do picia syntetycznej kawy, którą w dodatku mógł parzyć w unikalnym, jedynym na świecie zielonym kubku. Z biegiem czasu przywilejów było coraz więcej (zdobył 20 papierowych książek, gdy pozostali ludzie używali wyłącznie stereokopii, otrzymał pokój z odrębną łazienka, wreszcie zezwolono mu na wcześniejszy o dwa lata wybór żony) i Thomas zaczął z wolna godzić się z rzeczywistością. Wówczas odkrył, że równoległe światy istnieją naprawdę.

Zdarzyło się to niespełna rok temu, w trakcie prób ze skonstruowanym przez niego nowym modelem chronolentu — urządzenia spowolniającego superprędkie zjawiska fizyczne. Testowany aparat działał prawidłowo, wzorcowa reakcja przebiegała bez zakłóceń, gdy nagle w komorze ogniskującej pojawił się jakiś obcy przedmiot. Thomas zamierzał już zbeształ laboranta za niedbalstwo, kiedy ów okruch się poruszył. To było mikroskopijne zwierzątko! Wyłączył aparat i zwierzątko zniknęło z ekranu monitora. Znikł również wzorzec reakcji.

Thomas zrazu myślał, że mu się to wszystko przywidziało, ale zapis kontrolny przekonał go o realności zjawiska. Musiało nastąpić jakieś zwarcie w obwodach chronolentu, bo sprawny przyrząd nie mógł się tak zachowywać.

Reszta to już tylko szczegóły techniczne. Nie warto opisywać, jak Thomas szukał dodatkowego, nie przewidzianego schematem połączenia, jak je odnalazł, a potem usuwał i znów wprowadzał… Wystarczy powiedzieć, że po czterech dniach potrafił wyławiać z równoległych czasoprzestrzeni drobne przedmioty i niewielkie zwierzątka. Początkowo łączność była jednokierunkowa i dopiero po paru tygodniach nauczył się odsyłać z powrotem obce ciała materialne

i eksportować cząstki własnego świata. Ale był na właściwej drodze i nareszcie mógł myśleć o rzeczywistej ucieczce. Teraz była to już wyłącznie kwestia wielkości urządzenia. Przez szereg miesięcy gromadził materiały konstrukcyjne i magazynował energię. Później budował i regulował chronotransporter. Ostatniej nocy wymknął się z domu i udał do laboratorium. Tam nacisnął klawisz wyłącznika czasowego i zatrzasnął za sobą klapę komory. Po minucie wyłącznik zwarł styki, a po godzinie ekipa remontowa, szukająca spięcia w sieci energetycznej, które pozbawiło prądu cały okręg administracyjny, znalazła nas obu i psa w zatrzaśniętej kabinie chronotransportera. Thomas został natychmiast przesłuchany i przyznał się do wszystkiego. Zakłócił Równowagę, został więc skazany na likwidację. Ponieważ jednak mój organizm roił się od bakterii groźnych dla całej planety, a transplantacja świadomości nie jest żadnym problemem, wymieniono nam ciała. Dlatego mogłem oglądać „własną" egzekucję. Rudego odizolowano, ale po kwarantannie wróci do mnie.

— Nie rozumiem jednego — powiedziałem, gdy Ann skończyła. — Skoro Thomas chciał uciec z waszego świata, to czemu ja się tu znalazłem? — Jo pomylił bieguny zasilania.

Krzysztof W. Malinowski
TRANSFORMACJA

Przymknął oczy, żeby lepiej słyszeć.

Było cicho. Nie nadchodzili jeszcze… Rozsiadł się wygodniej. Wystarczy… Potrzebne mu było przecież tylko kilka chwil, żeby skończyć…

Począł szybko pisać dalej. Coraz szybciej. Żeby tylko skończyć. Zawsze się denerwował, kiedy zbliżał się środek dnia. Dnia?…

TAMCI zawsze przychodzili o tej porze — WYPUKŁY i ten drugi, z twarzą jak beczka. Nienawidził ICH — zabierali mu zawsze wszystko, co zrobił. Przeszukiwali biurko, łóżko, a nawet jego… Schodzili z góry, z owalnych drzwi, zawieszonych pod nieforemną kopułą sufitu i od razu zmierzali ku niemu okropnymi, rozkołysanymi krokami. I rośli… Rośli mu w oczach…

Dawniej próbował uciekać przed NIMI, zaszywać się gdzieś. Ale rychło zauważył, że odnajdują go bez trudu. Nie próbowali go nawet ścigać, kiedy rzucał się z rozpaczą po tym dziwnym pomieszczeniu, które za każdym razem nieoczekiwanie pochylało ku niemu swe wielolistne ściany po to tylko, by za chwilę otworzyć przed nim jakieś ułudne, gardlaste przejście, donikąd nie prowadzące… Czekali wtedy ze spokojem, aż się zmęczy, upadnie gdzieś wreszcie zrezygnowany, z rozpaczliwie zaciśniętymi w dłoniach kilkoma kartkami papieru…

Nie. Teraz już nie ucieka. Postanowił je chować. Tak, by nie mogli znaleźć, żeby myśleli, że nic nie zrobił, niczego jeszcze nie wyliczył…

Znów przerwał na chwilę i zmrużył oczy. Jeszcze trwała cisza. Więc byle szybko…

Równanie rozwiązywało się gładko. Widział wyraźnie przed oczyma te trzy wielkie, masywne kule. Gwiazdy. Albo czarne dziury… Kwazary?

Nie, to nie było ważne. Ważne, że to one rozdymały czarną pustkę Kosmosu. Przestrzeń, straszliwie wykrzywiona grawitacją kuł, rozbiegała się w nieskończoność, tam dopiero z wolna się prostując, wygładzając jakby. Wystarczało to tylko zapisać; gdyby miał więcej książek, materiałów…

ONI nie mieli pojęcia, czego mu trzeba. Wszystko, co mu dali, było nie do użytku — pokracznie, nienormalnie skonstruowane — te zdegenerowane meble, ściany o fantasmagorycznych kształtach, zdeformowany owal drzwi, zawisłych gdzieś u powały, co zbiegała się z obu końców pomieszczenia z łagodną krzywizną podłogi. Wszystko to mieniło się gamą wyrafinowanych kształtów… Idą!!

Zerwał się z fotela, w pośpiechu zgarniając arkusze papieru. Zebrał je wszystkie i w panice rzucił się przed siebie, by rozpaczliwie, jak co dzień, poszukać jakiegoś schowka, szpary choćby, w której mógłby je skryć przed NIMI. Biegł na przeciwległy kraniec pomieszczenia, nie zważając już na ruchliwe ściany, zbiegające się przed nim nieoczekiwanie i w ostatniej prawie chwili na powrót rozstępujące… Biegł tam, gdzie schodziły się miękkie gładkie wypukłości ścian, powały i podłogi. Nie. Nie było szczeliny, fałdy nawet, w którą mógłby wcisnąć kilka zmiętych kartek.

Koniec.

Osunął się skulony, wciśnięty w chłodną powierzchnią i czekał, czując, jak ściana delikatnie obejmuje z dwóch stron jego ramiona. Teraz już wyraźnie słyszał stłumiony przedtem odgłos kroków. Było ich wielu. Wiedział, że nadchodzili dziesiątkami całymi i stali — tam, za tymi drzwiami. Ale wchodziło zawsze DWÓCH.

Spojrzał spode łba w górę. Owal zamienił się nagle w czarną dziurę… „Czarną dziurę”… „czarną dziurę”… Słowa kołatały się w głowie w takt pulsującego owalu…

Weszli — najpierw WYPUKŁY, potem ten drugi — BECZKOWATY. Patrzył, jak TAMCI powoli, nie spiesząc się wcale schodzili ku niemu, rozmawiając chyba o czymś. WYPUKŁY podszedł do biurka i zanurzył rękę w blacie. Potem odwrócił się do BECZKOWATEGO, obaj ruszyli w kierunku Gravesa. WYPUKŁY zbliżył się i Graves dojrzał nagle tuż przed sobą, przed samymi oczyma ogromną pięciopalczastą gwiazdę. TAMTEN coś powiedział, ale przecież Graves nie rozumiał. Jak miał IM tłumaczyć, że nie pojmuje, że nie wie, czego od niego chcą?! Zaczął krzyczeć, żeby mu dali spokój, że nie da, nie odda IM! Chce spokoju, książek, chce, żeby mu pozwolili spokojnie pracować!..

WYPUKŁY nie słuchał. Złapał go za ramię i wydarł z ręki pogniecione arkusze papieru.

Graves, skulony, cofnął z obrzydzeniem rękę i patrzył, skamieniały z przerażenia, jak TAMTEN tymi dziwnymi, wężowymi ruchami rąk przerzuca zapisane kartki, mówiąc coś do BECZKOWATEGO. Potem obaj odwrócili się i odeszli w górę…

Rozpaczliwie, z całej siły uderzył głową o ścianę. Stłumiony skowyt wściekłości, bólu i bezradności zarazem, zagłuszył trzask zamykanych drzwi…

* * *

Lubił zmierzch. Przynosił ze sobą spokój — ONI nigdy się o tej porze nie pojawiali. Mógł wtedy spokojnie pracować, to była jego jedyna TU rozrywka. Nie wolno mu było wychodzić — strzegli go

nieustannie. Parę razy próbował ICH przechytrzyć, wyjść tam, pod górę i odewrzeć te przedziwne drzwi, co wielokształtnym obrazem mieniły mu się przed oczyma, kiedy się do nich zbliżał; wszelkie jednak próby zawsze spełzały na niczym. Pozostawało mu tylko okno — wielkie liliaste okno, z tym wiecznie jednakowym, zadartym ku górze i niczym nie wypełnionym horyzontem. Był zawsze taki mglisty, zadymiony — nawet w pogodne dni. Na szczęście wieczorami powietrze było świeższe, a spokój i cisza pozwalały pracować…

Spojrzał zamyślony w okno. Gdyby nie TAMCI, zrobiłby o wiele więcej. Ale ONI bezustannie wydzierali mu jakieś fragmenty obliczeń, musiał je potem nierzadko odtwarzać, czasem w całości. Myślał nad ogólną teorią transformacji dla nieliniowych równań pola. Wiele już mu się udało zrobić… Równania, przy odpowiednich przekształceniach, nawet w obecności silnych centrów grawitacyjnych można było rozwiązywać coraz łatwiej; wystarczyło tylko znaleźć odpowiednie, trafnie dobrane układy współrzędnych krzywoliniowych. No i przeprowadzić transformację…

Znów zamyślił się nad swoim równaniem, ale świadomość tego, że kiedy nastąpi dzień, ONI znów przed nim staną, że znów wydrą mu z rąk jego papiery — wszystko, co przez noc wymyślił — nie dawała mu spokoju. Już widział ICH przed oczyma, słyszał bełkotliwe, niezrozumiałe dlań frazy, wyrzucane opuchłymi, jakby nabrzmiałymi i wykrzywionymi w nieustannym grymasie, wargami…

Trzeba było coś zadecydować. I to już, zaraz! TAMCI byli chytrzy, przebieglejsi, niż sądził na początku. A przecież od razu wiedział — od pierwszej ICH wizyty — że mają jakiś ukryty cel, że nie na nim IM zależy… Na razie był IM potrzebny, musieli go tolerować; ale mogła przecież nadejść chwila…

Nienawidził ICH.

Dwoma palcami ręki zaczął odmierzać maleńkie kroczki na pustej kartce papieru. Krok — sylaba… Nie… na… wi… dził. Cztery kroki-sylaby… Zawędrował palcami na brzeg kartki i wyciągnięty do następnego kroku palec zawisł nad brzegiem stronicy. Potem, po chwili wahania jakby, palce niezdecydowanie zawróciły i znów poczęły odmierzać równe kroki, kierując się ku środkowi arkusza.

Patrzył w skupieniu na spacer, palców. Mógłby ICH tego nauczyć… Nauczyć?! Nie! Niczego ICH uczyć nie będzie! Na to tylko czekają, czyhają na wszystko, co wymyśli! Jak sępy!!

Mógłby pisać szyfrem… Albo w innym języku… Zaraz — w innym języku? Jeżeli TAMCI czytali jego prace, musieli rozumieć i język, w którym pisał… Robił przecież niezbędne komentarze! Zresztą, jeżeli nawet nie rozumieli od razu, to mieli dość okazji, żeby się z nim zapoznać. Czego więc chcą?

Tego się spodziewał, właśnie tego… Wie już, co zrobi! Musi się na

to zdobyć! Nie będzie pracować!! Będzie myśleć, rozważać, ale nie będzie nic pisać. Ani słowa! Ani jednej formuły!! Musi zobaczyć, co ONI uczynią, nie zastając jednego nawet zapisanego arkusza. Z pewnością będą chcieli… ba!.. będą musieli poznać przyczynę, i wtedy on — Graves — wreszcie się dowie…

Palce, zamarłe na chwilę, znów ruszyły w wędrówką po białej, wydętej powierzchni papieru…

Leżał nieruchomo, wpatrując się przed siebie niczego nie dostrzegającymi oczyma. Czekał… Czekał jak co dzień, aż przyjdą TAMCI. Będą szukać, mamrotać coś po swojemu. Ale tym razem nic nie znajda… Nic!!

Wyjął rękę spod głowy. Palce znów podjęły swój ulubiony spacer — tym razem po błękitnej materii kombinezonu. Uprzytomnił sobie, jak ONI — pewni siebie, obojętni — szukają papierów na biurku, przekonani, że złamali go już, zniewolili…

Zaczął się śmiać. Cicho najpierw, a po chwili w głos, na całe gardło. Ależ będzie miał frajdę, kiedy WYPUKŁY zapuści w biurko tę swoją giętką, żmijastą łapę i pocznie przerzucać papiery… Specjalnie pełno ich tam narozkładał. Potem, kiedy nic nie znajdą, zwrócą się do niego. Obaj — WYPUKŁY i BECZKOWATY — będą go zapewne obszukiwać. To jasne. Będą myśleć, że wreszcie udało mu się skutecznie ukryć przed NIMI wyniki. Że muszą go szczególnie dokładnie zrewidować…

Owszem, pozwoli IM się przeszukać, cały… Wzdrygnął się na tę myśl z obrzydzeniem. Zacisnął pięści — nie! Niech węszą! Niech go nawet szarpią, obłapiają tymi nienawistnymi pięciopalcymi mackami, bełkocząc coś do siebie. Odnosił czasem wrażenie, iż wie, o co IM chodzi — było w tych dźwiękach coś znajomego…

Wytrzyma to wszystko, niech go diabli, że wytrzyma! Nagle uniósł głowę. Są!

Doszedł go ten charakterystyczny odgłos. Znał go już na pamięć, bezbłędnie odróżniał od wszystkich innych…

Niespokojnie przewrócił się na drugi bok i przez chwilę wsłuchiwał w nasilający się dźwięk. Potem nagłym ruchem znów się odwrócił i przymknął oczy.

Nie! Musi widzieć — od samego początku widzieć! — co robią…

Zerwał się i pobiegł w górę, pod okno. Tu go zastaną! Słyszał, jak otwierają się drzwi. Potem obejrzał się. TAMCI, jak zwykle, podeszli od razu do biurka. BECZKOWATY nie szukał nawet długo — rozejrzał się tylko i skierował kroki ku Gravesowi. Podniósł mu w górę ręce i począł przeszukiwać. Robił to coraz gwałtowniej, brutalniej… Wreszcie powiedział coś do WYPUKŁEGO. Wtedy zbliżył się TAMTEN i zaczął od nowa, starannie rewidować Gravesa. Szybko się jednak widać upewnili, że nie ma przy sobie niczego. Graves stał, wyprężony,

resztkami sił znosząc obmierzły dotyk WYPUKŁEGO. Wreszcie odepchnęli go, aż się zatoczył. Nie mógł już dłużej — rzucił się przed siebie i zaszył w końcu pomieszczenia. Najdalej, jak tylko mógł, od NICH.

ONI zaś, krok po kroku, poczęli sumiennie przeszukiwać pokój. Nie było zresztą specjalnie gdzie szukać. Już dawno usunęli z pomieszczenia wszystko, co mogło tu być zbyteczne. Oprócz łóżka i biurka, zostały tu jedynie nagie, rozdęte ściany…

Czekał… Wiedział, że to jeszcze nie koniec, że ONI tak szybko nie rezygnują. Wreszcie WYPUKŁY znów zbliżył się do Gravesa i wymamrotał coś. Graves kątem oka obserwował, jak za WYPUKŁYM wyrastała olbrzymia sylwetka BECZKOWATEGO. Pozornie nie zwracał na NICH uwagi, spode łba jedynie spozierając, jak tuż przed jego oczami wije się wielka, różowa łapa WYPUKŁEGO…

Nagle WYPUKŁY schwycił Gravesa za ramiona i począł nim trząść ze straszną siłą. Gravesowi zdawało się przez chwilę, że straci przytomność — tak było to straszne i nieoczekiwane…

Przeraził się… Tak, bał się potwornie, jak zaszczute, osaczone zwierzę… Czego ONI się spodziewali?! Co chcieli z nim zrobić?

BECZKOWATY uczynił krok do przodu i Graves zdał sobie sprawę, że jeśli i ON weźmie się za niego, to już nie wytrzyma. Nie da rady. TAMCI z pewnością zatłuką go — spodziewał się już tego od dawna, domyślał się, ale nie wierzył… Na pewno… na pewno postanowili go zamęczyć. Bo przecież, jeśli już nie jest IM potrzebny?…

Zaczął krzyczeć, strasznie krzyczeć wkładając w to cały wysiłek ściśniętego strachem gardła. Pokazywał IM na migi, że po prostu nic nie zrobił, że nie liczył, ale dziś jeszcze się zabierze, nadrobi stracony czas. Czuł, jak od wysiłku nabrzmiewa mu głowa, pęcznieje… Zaraz będzie wielka jak balon… Jak u NICH! Tak!! Teraz rozumie!.. Z pewnością już ma TAKĄ głowę… BALONIASTĄ!!

Przerażony wyciągnął przed siebie ręce i chciał je obejrzeć — czy się aby nie wiją, czy nie są już TAKIE…

Ale nie pozwolili mu nawet spojrzeć. WYPUKŁY złapał go za ręce i począł ciągnąć ku sobie, w górę. Nie! Graves IM nie pozwoli! Nie chce! Obieca IM. Będzie pracować — niech go tylko nie zabierają, nie chce, aby go tak bez sensu, głupio ukatrupili… Woli już być TAKI!

Nie zważali na niego. Szarpnął się mocniej i ostatkiem sił wyrwał się IM, pędząc przed siebie. Chciał dobiec do uchylonych drzwi, co wabiły tam, w górze. Ale nagle poczuł, że złapali go za nogi. Upadł, waląc z całej siły BANIĄ o podłogę… Tak, była na pewno taka sama, jak u NICH…

— Precz!!.. Łajdawce!! Smierciarze!!..

Wył ochryple, zawodzącym, dławionym przez skurcze głosem. I

nagle ujrzał, jak czarna plama drzwi rozjaśnia się powoli zielonkawym światłem — potem jeszcze jaśniejszym, wpadającym w błękit… Wreszcie obraz zmętniał, zatarł się w oczach, zlewając się jakby z tą jednolitą, matowolepką masą, która i jego — Gravesa — zaczęła z wolna pochłaniać…

* * *

Nie chciało mu się otwierać oczu — tak miłe było to światło, zapalające pod powiekami tęczowe kręgi, szybko rosnące do niewyobrażalnych rozmiarów, by wtem, znienacka, nieuchwytnie całkiem, przygasnąć do punktu i ruszyć ponownie zadziwiającą feerią barw.

Spał?

Uniósł wreszcie powieki i spojrzał przed siebie. Sufit… Biały… Lampa… — wzrok powoli wędrował do granicy sufitu i ścian. Musiał lekko pochylić głowę, wspartą na poduszce, by zajrzeć niżej. „Dlaczego to wszystko jest tak cholernie białe?… Jak… Szpital!”…

Wsparł się na łokciach i wtedy dopiero zauważył, że do prawej, odrętwiałej nieco ręki, ma coś przymocowane. Kroplówka! A więc miał wypadek…

Rozejrzał się z zainteresowaniem: szafka też biała; jakieś słoiki, instrumenty, gumki, rurki… Statywy z matowymi butlami. I dzwonek na ściance wysokiego, białego stolika.

„Okay… Zobaczymy, co to wszystko znaczy”.

Nacisnął guziczek i ułożył głowę na poduszce. Szumiało mu nieco pod dachem. Musiał nieźle oberwać…

Odczekał dłuższą chwilę, zanim usłyszał za sobą szelest otwieranych drzwi. Ktoś wszedł. Obejrzał się — wysoki, młody jeszcze mężczyzna w białym lekarskim kitlu.

Graves spojrzał na niego i spróbował się uśmiechnąć. Potem z niespodziewanym trudem wyszeptał:

— Gdzie… Gdzie jestem?

Mężczyzna zbliżył się, spojrzał przelotnie na kroplówkę i odparł spokojnie:

— Proszę nic nie mówić, Graves. Jeszcze parę dni i wszystkiego się pan dowie. Teraz powinien pan trochę pospać.

Graves chciał zaoponować, ale brakło mu siły. Patrzył, jak tamten wziął ze stolika przy łóżku jakąś ampułkę, sprawnie odpiłował jej szyjkę, a potem z błyszczącej metalowej kasety wyjął strzykawkę i napełnił ją do połowy opalizującym płynem. Wypchał ze strzykawki resztki powietrza i nachylił się nad Gravesem.

Ten poczuł po chwili słabe ukłucie, a potem miłe uczucie senności

opanowało ciało, ściągnąwszy w dół powieki, pod którymi na powrót zapłonęły tęczowe kręgi…

* * *

Villard zapalił papierosa i spojrzał na siedzącego przed nim człowieka.

Uśmiechnął się.

Graves pomyślał, że ten facet ma wyjątkowo wredny wyraz twarzy. Chociaż na pierwszy rzut oka nie robił złego wrażenia. Miał pociągłą zamyśloną twarz, skryta prawie do połowy za wielkimi, oprawnymi w metal szkłami… I dłonie — o smukłych, ruchliwych palcach, bez przerwy podejmujących coś z biurka. Nieprzyjemne wrażenie przychodziło dopiero po chwili, kiedy raz i drugi dawało się zauważyć to jego nieustanne podenerwowanie, nieprzerwane ucieczki oczu, kiedy rzucało się na niego spojrzenie. I grymas — trudny do nazwania grymas, wykrzywiający twarz, gdy próbował się uśmiechnąć…

— Więc? — odezwał się wreszcie Graves.

— Tak… — wycedził wolno Villard i nagle, jakby podjąwszy jakąś decyzję, stuknął otwartą dłonią w blat biurka. Potem podniósł się z fotela i podszedł do siedzącego z drugiej strony Gravesa. Patrzył na niego przez chwilę, wsadziwszy obie ręce do kieszeni.

— Widzi pan… — podjął — …sprawa jest, że tak powiem, cienka… Oczywiście, jak sądzę, jest pan już świadom niezwykłości sytuacji. O ile wiem, przygotowywano już pana do tego, uprzedzając, że przeżył pan… hm… amnezję… To znaczy, częściową amnezję… — poprawił się pospiesznie — która i do dziś nie ustąpiła jeszcze zupełnie…

Graves skinął głową. Tak, coś mu o tym przebąkiwano.

— Pan, zdaje się, nie wie jeszcze, kim jestem… — zapytał nagle tamten. — Moje nazwisko: Villard… Pierre Paul Villard.

Graves zerwał się na równe nogi:

— Kto?! Villard? Ten od teorii pola?!

Wszystkiego się spodziewał, ale nie spotkania z tym człowiekiem. Villard! Legendarny, genialny fizyk-teoretyk, rozwiązujący najbardziej zawiłe problemy fizyki matematycznej, a w szczególności nieliniowej teorii pól grawitacyjnych…

Villard zrozumiał widać zaskoczenie tamtego, bo dodał:

— Rozumiem pana chyba… Owszem, to ja jestem tym Villardem. Czyżby to pana krępowało?

Graves odezwał się osłupiały: — Więc to pan ogłosił pracę… Tamten przerwał mu gwałtownym gestem dłoni.

— Nie jestem fizykiem. W każdym razie w tym sensie, w jakim zwykło się to rozumieć. Jestem profesorem psychiatrii…

— Psychiatrii?! — wykrzyknął Graves, ponownie podrywając się z fotela.

— Spokojnie, panie Graves… Ja jestem psychiatrą, ale zapewniam pana, że ma to bezpośredni związek z fizyką. Zastanawiał się pan czasem, dlaczego fizycy mają takie kłopoty z teorią pola? Z równaniami Einsteina dla silnych centrów grawitacyjnych?

Graves wzruszył ramionami.

— Mnie się pan pyta? Sam pan powinien wiedzieć najlepiej. Jestem gorszym fizykiem od pana…

Villard uśmiechnął się.

— Mówiłem już panu… A zresztą… — machnął ręką. — Niech pan nie będzie taki skromny, Graves. Ostatecznie to pana uważa się za jeden z najbardziej obiecujących umysłów młodego pokolenia. No więc?

Graves postanowił nie oponować. Temu facetowi wyraźnie udzieliło się coś od jego pacjentów. Siląc się na spokój odpowiedział:

— Więc sądzę, że to wyobraźnia… Zawodzi wyobraźnia przestrzenna. Ostatecznie trudno sobie przecież wyobrazić najprostsze nawet zakrzywione przestrzenie, kiedy ilość ich wymiarów przekracza dwa… A co dopiero deformacje dla przestrzeni wielowymiarowych — i to z reguły deformacje nieregularne…

— Właśnie — przytaknął tamten, kiwając ze zrozumieniem głową. — O to właśnie nam chodzi. I w tym się specjalizuję…

— W czym? — zapytał Graves, nie bardzo rozumiejąc, do czego Villard zmierza.

— W wyrabianiu wyobraźni przestrzennej…

— Czy pan czasem nie…

Tamten jednak ostro przerwał Gravesowi.

— Niech pan nie próbuje ironii, Graves. To się może okazać dla pana niezdrowe… — zawiesił na chwilę głos, by ukryta w słowach groźba dotarła do Gravesa. Potem podjął:

— …Ale ja panu wyjaśnię. Nie zdawałem sobie sprawy, że proces paraamnetyczny postąpił u pana aż tak daleko; powinien już pan rozumieć w czym rzecz… Zajmuję się schizofrenia, a ściślej: kilkoma wybranymi jej aspektami. Między innymi zaburzeniami percepcji przestrzeni. Jak pan zapewne wie, zaburzenia wyobraźni przestrzennej — a właściwie percepcji, bo wyobraźnia jest tu przecież produktem wtórnym, nabytym niejako — są jednym z charakterystycznych symptomów schizofrenii. Wystarczy sobie obejrzeć rysunki schizofreników. Postanowiłem to wykorzystać. Doszedłem do wniosku, iż niektórzy schizofrenicy, u których zaburzenia tego typu dominowały, powinni sobie całkiem nieźle radzić z problemami

nieliniowej teorii pola. Oczywiście, przy wystarczającej znajomości aparatu matematycznego i braku innych, uniemożliwiających pracę zaburzeń…

Graves przerwał mu:

— Ale co ja, do cholery, mam z tym wszystkim wspólnego?

— Wiele, bardzo wiele, proszę pana. — Villard był nad podziw spokojny. — Widzi pan… Był pan pierwszym, że tak powiem, obiektem experimentum crucis… Musiałem sprawdzić, jak taka praca idzie ludziom, nie tylko wyuczonym naprędce, już po zapadnięciu na schizofrenię, matematyki i fizyki, ale i ludziom nawykłym do teorii fizycznej. Kiedy da im się do ręki to, czym dysponują prawdziwi schizofrenicy — wspaniałą wyobraźnię przestrzenną. Villard uśmiechnął się. — No i nie zawiodłem się… Pańskie rezultaty były wręcz niewiarygodne, zadziwiły świat…

Graves czuł, jak na czoło występują mu kropelki chłodnego potu.

— Jak to… Co to znaczy prawdziwi schizofrenicy?

— Dobrze pan to rozumie, Graves. Bo pan przecież nie był schizofrenikiem. No, ale w tym była moja głowa. Wie pan — medycyna w tym względzie nieźle sobie radzi już od paru lat. Dysponujemy całą gamą środków psychodelicznych. Ludzie, jak dotąd, robili z nich fatalny użytek…

Graves, bezradnym jakby gestem, wyciągnął przed siebie ręce…

— To niemożliwe… Ja… nigdy bym się na coś takiego nie zgodził…

Tamten zmarszczył brwi.

— Toteż nie stawialiśmy nawet pana przed takim dylematem. Jak pan już zapewne zauważył, nie umiałby pan nawet powiedzieć, skąd się pan tu wziął. Swoją drogą — ożywił się nagle Villard — …nie mogliśmy się z panem w żaden sposób porozumieć. Ta pańska obsesja… No, ale to już pewnie pana nie interesuje…

Przerwał na chwilę i podszedł do biurka.

— Więc tak: proponuję panu teraz podpisanie papierka. To jest oświadczenie, że poddał się pan dobrowolnemu leczeniu w naszej klinice… Ze stanów depresyjnych — to choroba wszystkich naukowców… A potem mój kierowca odwiezie pana na lotnisko. Będzie pan w domu za pół dnia. Okay?

Graves podniósł się powoli.

— Villard… Pan chyba nie jest przy zdrowych zmysłach. Myśli pan, że puszczę panu płazem te nieludzkie eksperymenty? Na co pan liczy?

Ton odpowiedzi Villarda zmroził go. Tamten spokojnie, nie podnosząc ani odrobinę głosu, odpowiedział:

— Niech pan nie będzie dzieckiem, Graves. Niech pan się zastanowi, co byłby mi pan w stanie udowodnić? Co pan pamięta? Czy

doprawdy sądzi pan, że nie przemyślałem tego do końca? Powinien mi pan być wdzięczny, że w ogóle daję panu szansę wydostania się stąd… Jako pierwszemu! Niech pan lepiej podpisze ten papierek. Chyba że…

Uważnie patrzył, jak Graves, załamany nagle, podszedł do biurka i wziął do ręki długopis.

Kiedy wreszcie, przeczytawszy kilkakrotnie oświadczenie, złożył na nim podpis i skierował się ku wyjściu, Villard oderwał się od parapetu i rzucił za nim:

— A niech się pan nadmiernie nie dziwi, kiedy będą pana witać z fanfarami. Ma pan teraz za sobą kilka świetnych artykułów w „Mathematical Physics”…

Janusz A. Zajdel
TOWARZYSZ PODRÓŻY

Pociąg ruszył powoli, z ociąganiem jakby. Spojrzałem w okno. Wzdłuż peronu, jakieś dziesięć metrów za ostatnim wagonem, biegł spóźniony pasażer.

Był to pociąg dalekobieżny, z wagonami, których drzwi nie zamykały się automatycznie. Dzięki temu biegnący człowiek miał szansę. Lokomotywa rozpędzała się wolno. Spóźnialski pasażer wlókł sporą i na oko ciężką walizkę, która obijała mu nogi. Przerzucony przez ramię płaszcz przeciwdeszczowy rozwiał mu się i plątał pod nogami. Stojąc w oknie przedostatniego wagonu obserwowałem całą scenę z zainteresowaniem kibica sportowego. Peron prawie się już kończył, pociąg przyspieszył, biegnący nie dawał jednak za wygraną. Musiało mu bardzo zależeć na tym właśnie pociągu. Tuż przed słupkiem z tablicą: „Przejście zabronione" udało mu się dopaść ostatniego pomostu. Postawił walizkę na stopniu, otarł czoło wierzchem dłoni i otworzył drzwi wagonu.

Zamknąłem okno i usiadłem w pustym przedziale. Po chwili za szybą dzielącą mnie od korytarza ukazała się twarz nieznajomego. Zajrzał, wahał się chwilę, wreszcie otworzył drzwi i cichym głosem spytał:

— Pozwoli pan…?

— Proszę bardzo — odpowiedziałem obojętnie.

— Pociąg taki pusty — zaczął tonem usprawiedliwienia, lokując walizkę na półce. — Bardzo nie lubię podróżować samotnie. To przykre nie mieć do kogo ust otworzyć przez całą drogę.

— Owszem… — odburknąłem niezbyt zadowolony, bo nade wszystko nie lubię mówić, gdy nie mam na to ochoty, a sądząc ze słów nieznajomego, zanosiło się na przymusową pogawędkę.

Postanowiłem — jak zwykle zresztą w podobnych sytuacjach — że będę spał z głową ukrytą pod wiszącym w kącie płaszczem. Usadowiłem się wygodnie i zamknąłem oczy.

Słyszałem, jak mój towarzysz podróży lokuje się na miejscu naprzeciw mnie. Szeleścił przez chwilę papierami. Nie potrafiłem powstrzymać się od wyjrzenia spod płaszcza. Na stoliku, zamiast spodziewanych jajek na twardo i kanapek w zatłuszczonym pergaminie, zobaczyłem plik zapisanych odręcznie arkuszy. Na pierwszy rzut oka wyglądały na jakąś pracę matematyczną.

Nieznajomy, pochylony, przeglądał je z uwagą, znacząc coś ołówkiem na marginesach. Był w średnim wieku, miał dość niskie czoło, nad którym rozsypywały się bujne, szpakowate włosy.

Podniósł oczy i uśmiechnął się z zakłopotaniem.

— Widzę, że nie może pan zasnąć — powiedział. — Może światło przeszkadza?

— Nie, proszę się nie przejmować. Proszę czytać, nie chce mi się właściwie spać… A pan, jak widzę, zajmuje się matematyką?

— Nno… właściwie tak… — zmieszał się nieco. — Może raczej fizyką teoretyczną, teraz trudno te dziedziny ściśle rozgraniczyć, szczególnie w niektórych specjalnościach… Pan może…?

— Owszem, trochę — uśmiechnąłem się. — O tyle, o ile jest mi to potrzebne w moim zawodzie. Pracuję w IBK, w biurze konstrukcyjnym.

— Naprawdę? — wykrzyknął z ożywieniem, jakby go ta wiadomość niezmiernie uradowała. — Pan pracuje w Instytucie Badań Kosmicznych? A to dopiero zbieg okoliczności! Właśnie tam jadę! Proszę sobie wyobrazić, że dziś zakończyłem pracę nad kapitalną teorią, która pozostaje w ścisłym związku z badaniami Instytutu… Przepraszam, nie przedstawiłem się dotychczas… Jerzy Ferenc, magister fizyki.

— Robert Melis, inżynier-kosmik — przedstawiłem się i ja, ściskając wyciągniętą ku mnie dłoń i usiłując bezskutecznie powiązać usłyszane nazwisko z którąś ze znanych mi publikacji fachowych.

— Otóż, jak powiedziałem, moja teoria daje wprost fantastyczne możliwości w zakresie podróży kosmicznych…

— Może coś z dziedziny napędów fotonowych? — zapytałem z zainteresowaniem, gdyż to właśnie było tematem mojej ostatniej pracy teoretycznej.

Zaprzeczył energicznym ruchem głowy.

— Nie, nie! Zupełnie coś innego, nowego. Inne podejście… Moja teoria dotyczy Metody Kontaktu Hiperprzestrzennego i opiera się na pewnym interesującym acz nie docenionym dotąd zjawisku topologicznym. Czy orientuje się pan nieco w topologii?

— Przyznam się, że poza definicją i kilkoma pojęciami niewiele wiem o tej gałęzi matematyki. Pan rozumie: specjalizacja! — powiedziałem tonem usprawiedliwienia.

— Rozumiem… Ale to nic nie szkodzi. Postaram się, o ile to możliwe, wyjaśnić poglądowo, o co chodzi.

Przymknął oczy i podparł czoło dłonią, namyślając się widocznie, od czego zacząć.

— Czy wie pan, co to jest „wstęga Möbiusa”? — zapytał po chwili, rzucając na mnie bystre spojrzenie. — Nie wie pan, prawda, pan nie zna topologii…

Przerwał i sięgnął do swoich papierów. Odszukał czystą kartkę, potem zdjął walizkę z półki i wydobytą stamtąd żyletką odciął z brzegu arkusza wąski pasek, długi na jakieś dwadzieścia pięć

centymetrów.

— Jeśli ten pasek skleimy w ten sposób — pokazywał — to otrzymamy po prostu zwykły pierścień czy raczej boczną powierzchnię bardzo niskiego walca; jeśli natomiast jedną z krawędzi przed sklejeniem odwrócimy „na drugą stronę", czyli skręcimy o 180 stopni, o, tak — skręcił taśmę o pół obrotu — i teraz dopiero spoimy brzegi, to otrzymamy właśnie wstęgę Mobiusa. Proszę zauważyć, że taka wstęga posiada tylko jedną powierzchnię, jedną stronę…

— Jak to? — spytałem ze zdumieniem, nie bardzo rozumiejąc, co ma na myśli. — Przecież papier ma dwie strony?!

— Papier owszem… — odpowiedział cierpliwie. — Ale proszę sobie wyobrazić, założyć, że jest on nieskończenie cienki jak abstrakcyjny twór geometryczny, który nazywamy płaszczyzną…

— To niczego nie zmieni! — oponowałem. — Zawsze będą dwie strony, zawsze można spojrzeć na to od tej lub od tamtej strony…

— Tu nie chodzi o to, z której strony się patrzy… — uśmiechnął się Ferenc. — Nie mam, niestety, kleju…

— Powinienem gdzieś mieć podgumowaną taśmę do oklejania rysunków technicznych — powiedziałem, szukając po kieszeniach. — O, jest, proszę!

— Świetnie — ucieszył się Ferenc, sklejając końce paska. — A teraz proszę wziąć ołówek i przejechać nim po taśmie, poczynając od dowolnego punktu, zawsze równolegle do obu brzegów papieru, nie przekraczając żadnego z nich.

— Rzeczywiście! — zdziwiłem się, stwierdziwszy, że ołówek powrócił dokładnie tam, skąd wyruszył. — To zadziwiające: obszedłem obie strony papieru! Kreska ciągnie się po obu stronach taśmy…

— Po jednej stronie, proszę pana. Drugiej strony taśma nie posiada!

— Na to wygląda… — odparłem niepewnie.

Ferenc, z zadowoleniem prestidigitatora, któremu udał się efektowny trik, spoglądał na mnie z ukosa, bawiąc się moim zdumieniem.

— Widzi pan zatem, że zupełnie możliwe jest skonstruowanie powierzchni jednostronnej. Co by pan teraz powiedział, gdybym zaproponował następujący model Wszechświata: żyjemy na takiej właśnie „powierzchni jednostronnej"; aby dostać się do punktu maksymalnie odległego, czyli popularnie mówiąc na „drugi koniec" Wszechświata, musimy odbyć długą podróż wzdłuż taśmy. A przecież w rezultacie znajdziemy się jakby w tym samym punkcie, bo od punktu wyjścia oddzielać nas będzie jedynie papier, o którym wszak założyliśmy, że jest nieskończenie cienki. Tak więc praktycznie znajdziemy się znów w tym samym miejscu! Wszechświat niejako

„zazębia się” sam ze sobą, a każdy jego punkt ma podwójne znaczenie, znaczenie dwóch punktów tej samej powierzchni jednostronnej! Aby znaleźć się „na drugim końcu” Wszechświata, wystarczy tylko „przebić” nieskończenie cienką łupinę…

— Więc w praktyce… znajdujemy się w dwóch miejscach równocześnie?

— O nie! To znaczy… tak, ale tylko wirtualnie. Realny Wszechświat nie jest przecież matematyczną abstrakcją… Nieskończenie cienką łupinę należałoby fizycznie interpretować raczej jako coś analogicznego do „łuski magnetycznej” w sensie elektrodynamicznym… To oczywiście przenośnia, bo tu chodzi o coś zgoła innego… Ale model jest dobry: taka „łuska” ma pewien moment dipolowy, określoną polaryzację… Rozumie pan? Aby dokonać zwarcia hiperprzestrzennego, to znaczy, aby przeskoczyć do punktu sprzężonego z danym, do tego „po drugiej stronie”, należy jakby zmienić polaryzację obiektu na przeciwną. To nie jest, oczywiście, takie przejrzyste. Model, który panu przedstawiłem, dotyczy jedynie dwuwymiarowej przestrzeni, podczas gdy nasz Wszechświat jest trójwymiarowy, jeśli oczywiście pozostawimy na boku kwestię czasu i rozpatrujemy problem quasi — statycznie.

Uogólnienie powierzchni Möbiusa na przestrzeń, którą kiedyś, być może, nazywać się będzie „przestrzenią Ferenca”, nie przedstawia jednak tak beznadziejnego problemu teoretycznego, jak mogłoby się zdawać na pierwszy rzut oka. Zrobiłem to i powiem panu, że wnioski, jakie stąd wysnułem, pozostają w zaskakującej zgodności z ogólną teorią względności i termodynamiką probabilistyczną. Natomiast praktyczne rozwiązanie metody kontaktu hiperprzestrzennego przysporzyło mi sporo kłopotów, z których jednak udało mi się wybrnąć w sposób nadspodziewanie prosty…

— I sądzi pan, że… człowiek… mógłby tą metodą przenieść się w odległe rejony Wszechświata?

— Bez wątpienia mógłby! Tylko, niestety, nie zawsze jest to bezpieczne… Nie wiadomo przecież tak od razu, co znajduje się tam, „po drugiej stronie”, jeśli tak można obrazowo powiedzieć o jednostronnym obszarze. Ryzykant, który odważyłby się na tego rodzaju wyprawę, mógłby źle skończyć…

Spojrzałem na niego pytająco. Uśmiechnął się blado.

— Niech pan nie myśli, że to ryzyko dyskwalifikuje praktyczne zastosowanie mojego odkrycia! Należy sobie przede wszystkim zdać sprawę z rodzaju niebezpieczeństwa: otóż niech pan sobie wyobrazi, że w miejscu, które odpowiada punktowi pańskiego startu, w punkcie „ferencowsko-sprzężonym” z danym, znajduje się np. jakaś chmura pyłu kosmicznego albo, co gorsza, jądro jakiejś galaktyki czy po prostu gwiazda! Nie wie pan o tym a priori, podróż staje się podróżą w

nieznane, a więc rzeczą nader niebezpieczną. Istnieje jednak, jak się okazało, sposób rozpoznania warunków panujących w punkcie sprzężonym, za pomocą sondowania hiperprzestrzennego…

Ferenc zamilkł i zamyślił się. Po chwili milczenia przypomniał sobie widocznie o moim istnieniu i powiedział jakby z zażenowaniem:

— Przepraszam pana… Myślałem właśnie o moim ostatnim eksperymencie.

— Z sondowaniem? — podchwyciłem zaciekawiony.

— Coś w tym rodzaju. W każdym razie to ważny element umożliwiający zastosowanie mego odkrycia. Polega na transplantacji spolaryzowanych dipoli magnetycznych… ach, przepraszam, zaczynam mówić językiem, którego pan zapewne nie rozumie… ale wybaczy mi pan, wszystko to jest nawet dla mnie tak niesamowicie skomplikowane, że trudno posłużyć się prostym językiem, by to przekazać. Chwilami sam nie mogę uwierzyć w realność całej historii… Wie pan, sam boję się, naprawdę boję się skutków swego dzieła! Bo proszę sobie wyobrazić, że spowoduje ono całkowity przewrót, rewolucję w komunikacji międzygalaktycznej. Cóż powiedzą na to specjaliści od rakiet relatywistycznych, tacy jak pan na przykład, którzy całe niemal życie poświęcili na skonstruowanie pojazdu umożliwiającego osiągnięcie jak najdalszych okolic Wszechświata. A po zastosowaniu mojej metody — jakże prostej w swej istocie i łatwej stosunkowo w eksploatacji — osiąga się najdalszy z możliwych punktów Wszechświata, i to w czasie nieskończenie krótkim! Doprawdy waham się, czy mam opublikować moje prace… Jadę właśnie do Birhoffa, którego pan niewątpliwie zna, to przecież obecnie największy autorytet w dziedzinie podróży międzygwiezdnych. Ale jakże ubogie są dotychczasowe osiągnięcia na tym polu: kilkanaście mniej lub bardziej rozsądnych prac teoretycznych, reszta — to plewy… Ani jednego praktycznego rozwiązania, żadnej udanej konstrukcji! A przy tym nie zanosi się na istotny postęp w ciągu najbliższych dziesiątków lat… Po prostu ślepy zaułek. Klasyczne metody, sposób myślenia sprzed pół wieku. Czy mogę dać im wszystkim do ręki to, czego szukają od wielu dziesięcioleci inną metodą i bez większej nadziei znalezienia? Obawiam się, że mogą potraktować mnie jak szaleńca, fanatyka czy maniaka… Dlatego zależy mi bardzo na pańskiej opinii o tym moim… szaleństwie.

— Sądzę — powiedziałem powoli — że zbyt mało wiem o całej sprawie, by wyrokować o słuszności pańskiej metody…

— Toteż nie chodzi mi wcale o pańskie zdanie o tej metodzie… — przerwał mi niecierpliwie — …bez wątpienia dobrej i skutecznej, jestem o tym przekonany. Chodzi o rzecz bardziej ogólną, o… konsekwencje jej rozpowszechnienia. Jak już wspominałem, prostota jej jest zaskakująca w porównaniu z matematycznym gąszczem, jaki

do niej prowadzi. Niemal każdy we własnym zakresie, bez skomplikowanej i kosztownej aparatury, za pomocą czegoś, co nazwać by można „mostkiem" lub raczej „kładką hiperprzestrzenną", mógłby przenieść się tam w dowolnej chwili i z dowolnego miejsca!

— Powiedział pan przecież, że taka wyprawa kryje w sobie poważne niebezpieczeństwo! Nie wiadomo, dokąd się trafi, jaki „antypunkt" odpowiada naszej Ziemi!

— Nie wiadomo było jeszcze do wczoraj. Mój wczorajszy eksperyment wykazał rzecz niewiarygodną! Proszę sobie wyobrazić, że naszej Ziemi odpowiada antypunkt, w którym znajduje się… planeta, i to zamieszkała przez istoty rozumne! Ich cywilizacja jest o wiele starsza i lepiej rozwinięta od naszej. Wyniki moich son — dowań są bardzo ubogie i fragmentaryczne, ale to, o czym mówię, stwierdziłem ponad wszelką wątpliwość. Nie jestem w stanie dać odpowiedzi na wiele jeszcze pytań, które nasuwają się mi, podobnie zresztą jak i panu, w tej chwili… A pierwsze i najważniejsze z nich, na które nie potrafi pan sobie odpowiedzieć, brzmi: „Czy ten człowiek jest wariatem, a może tylko nieszkodliwym maniakiem?". Chodzi tu oczywiście o mnie!

Treść moich myśli odczytał tak trafnie, że nie zdobyłem się nawet na grzecznościowe zaprzeczenie. Widocznie nie miał mi tego za złe, bo po chwili ciągnął dalej:

— Tym niemniej faktem jest istnienie tej planety, a fakt: ten tłumaczy wiele nie wyjaśnionych dotąd zjawisk, które nie mieściły się w ramach naszych pojęć naukowych. Wystarczy założyć, /e istoty zamieszkujące ten sprzężony z naszym świat znają już od dość dawna metodę kontaktu hiperprzestrzennego… Założenie takie podważa co prawda moje pierwszeństwo w tej dziedzinie nauki, daje jednak w efekcie tak niebywale wnioski, że warto, doprawdy, poświęcić prymat… Wystarczy wspomnieć, że w prosty sposób pozwala to wyjaśnić zagadkę zaginionych kultur starożytności, jak i problem „latających talerzy"! Wszystko to da się wytłumaczyć ingerencją istot, których istnienie potrafię już dziś wykazać… Czy teraz pojmuje pan całą doniosłość mojego odkrycia?

— Jeśli to prawda — powiedziałem oszołomiony — to publikacja pańskich prac może grozić… masowymi wycieczkami do tamtego świata, a nie wiadomo, czy jego mieszkańcy życzą tego sobie!

Spojrzał jakoś dziwnie i skurczył się w kącie przedziału.

— Więc i pan… tak sądzi?

— O ile kontakt jest tak dostępny i łatwy dla każdego…

— Tak, tak… Niestety tak jest… I dlatego przechowuję moje prace w ścisłej tajemnicy, wynalazłem nawet specjalną symbolikę matematyczną, której nikt oprócz mnie nie jest w stanie rozszyfrować… Te notatki — wskazał na plik papierów — zapisane są

tą właśnie symboliką. Resztę materiałów zniszczyłem przed wyjazdem z domu. Ostrożność nigdy nie zawadzi. Tak więc jestem jedynym człowiekiem, który zna tajemnicę…

Przestał mówić, spojrzenie przygasło mu, twarz poszarzała jakby. W sposób zupełnie nieokreślony machnął ręką, mruknął coś do siebie i zgarnął papiery do kartonowej teczki, której tasiemki zawiązał starannie na kokardkę. Teczkę wsunął niedbale na półkę, gdzie leżała jego walizka. Założył ręce w tył i stał przez chwilę na wprost ciemnego okna, za którym przemykały pojedyncze światełka mijanych sygnałów.

„Człowiek, Który Przedziurawił Przestrzeń" — nazwałem go sobie w myślach, nie wiedząc wciąż, jak mam traktować jego wywody. W określeniu tym było coś z Wellsa, coś z na — wpół ironicznych, na wpół groźnych opowieści przy kominku…

Ferenc zaczął nagle przechadzać się w ograniczonej przestrzeni między ławkami przedziału. Z rękami założonymi do tyłu, z głową opuszczoną dreptał tam i z powrotem szybkimi, nerwowymi kroczkami. Czasem zagłębiał długie palce w opadających włosach, przystawał znieruchomiały, by po chwili ruszyć znowu w tę wahadłową przechadzkę. Machinalnie wydobył z kieszeni paczkę papierosów i nie częstując mnie, zapalił.

Nagłe szarpnięcie hamującego pociągu wgniotło mnie w materac kanapy. Zdołałem zauważyć, jak Ferenc usiłuje złapać się półki i wali się na stolik, uderzając głową w ścianę. Drugie szarpnięcie rzuciło mną w bok. Głowa trafiła w szybę, dzielącą przedział od korytarza…

Nade mną pochylała się biała postać. Po chwili dopiero rozpoznałem rysy twarzy młodej pielęgniarki.

— Już wszystko w porządku! — powiedziała uspokajająco i łagodnie. — Czy boli pana?

— Trochę, głowa i… Ale można wytrzymać… Co się stało?

— Katastrofa kolejowa… Przypomina pan sobie, że jechał pan pociągiem?

— Tak… To pamiętam… — powiedziałem, myśląc z wysiłkiem. — Ze mną w przedziale jechał pewien pan… Co z nim? Czy wyszedł z tego cało?

Twarz pielęgniarki przybrała wyraz zakłopotania.

— Czy to był ktoś z pana bliskich?

— Nie… Tylko przygodny towarzysz podróży. Czy wyszedł z tego cało?

— Niestety! Muszę pana zmartwić. On umarł. W pół godziny po przewiezieniu do szpitala. Wstrząs mózgu… Przed śmiercią odzyskał na chwilę przytomność, a potem bredził okropnie. O jakimś… hiperkontakcie, o teczce, walizce… Ale niech pan leży! Nie wolno się

poruszać, ma pan zszytą skórę na głowie! — Ostatnie słowa były spowodowane moim gwałtownym poruszeniem.

— Siostro! — zawołałem, — Gdzie jest ta walizka?

— Pańskie rzeczy są w depozycie, proszę nie martwić się o nie!

— Nie, nie! Jego walizka! Gdzie ona jest?

— Ależ… — oczy pielęgniarki wyokrągliło zdziwienie — on nie miał żadnej walizki! W przedziale była tylko pańska, brązowa, z przyczepioną wizytówką… Wiem to na pewno, bo weszłam tam zaraz za lekarzem, gdy tylko udało się otworzyć przedział. Wszystko zabraliśmy do karetki razem z wami!

— Więc nie ma… tej walizki… — powiedziałem słabo, czując zawrót głowy. — To oni, oni ukradli… te… notatki… Hiperprzestrzennie ukradli, żeby nikt… — Znów bezwiednie uniosłem głowę z poduszki.

Opadłem na posłanie, bo w oczach mi poszarzało. Zamknąłem je i zobaczyłem wyraźnie twarz Ferenca. Po chwili obraz ten rozmazał się, przybierając kształt wstęgi Möbiusa. Wkrótce i to widziadło rozpłynęło się w majaczeniach gorączkowego snu…

1962 r.

Wiktor Żwikiewicz
INSTAR OMNIUM

Słońce, wokół którego krążyła planeta, znajdowało się w okolicy kosmosu niezbyt przyjemnej nawet dla obytych z próżnią. Płonęło za brzegiem „dziury w niebie" która rozpełzła się pustką pięciuset sześciennych parseków wciąż jeszcze wymiataną przez słoneczny wiatr, lecz przed skrajem pyłowej chmury z jednej strony zasłaniającej całkowicie gwiazdy.

Pierwszy samodzielny lot i od razu — planeta. Starzy kosmiczni włóczędzy ze Zwiadu nie potrafią ukryć wzruszenia, gdy altimetr odmierza odległość do powierzchni nowo odkrytego świata, więc cóż dopiero mówić, gdy trafia się zdatna do życia planeta w pierwszym samodzielnym locie? Doświadczony zwiadowca wie, że albo coś znajdzie, albo nie. Jeszcze bardziej doświadczony ma pewność, że choćby stawał na głowie lub na złamanie karku przelatywał wzdłuż i wszerz pół Galaktyki, to i tak na nic godnego uwagi nie trafi. Wreszcie adept ostatniego roku Szkoły Zwiadu wierzy niezachwianie w oczekujące go na każdym kroku supercywilizacje, mroczne tyranie kosmicznego średniowiecza albo koczujące z gwiazdy na gwiazdę stada rakietopodobnych potworów, z którymi trzeba staczać nieustanne boje.

Oczywiście, czasem i pośród praktykantów trafi się zgorzkniały sceptyk, lecz Bado do takich nie należał. Jego rakieta zamknęła drugą spiralę i weszła w korytarz spadku wiodącego wprost na wyznaczone przez pilota lądowisko. Bado wybrał płaską równinę, kilka kilometrów od wschodniego terminatora, gdzie spostrzegł zielone pasmo podobne do obserwowanego ze znacznej wysokości ziemskiego lasu. Uruchomił jeszcze zespół grawideceleracji, spojrzał po raz ostatni w stronę ciemnej mgławicy i… zobaczył drugą rakietę.

„Przecież w Komisji Przydziałowej zapewniano, że nigdy tu jeszcze nikogo nie było — pomyślał z irytacją. — Czyżby ci jajogłowi biurokraci doszli do wniosku, że taka planetka wystarczy dla dwóch praktykantów?"

Zastanawiał się, jak postąpić w tej sytuacji, lecz ostatecznie postanowił ignorować nieoczekiwanego, a zgoła niepożądanego współuczestnika przyszłych odkryć.

Tymczasem rakieta wytraciła orbitalną prędkość i poczęła opadać w dół. Ze zdziwieniem stwierdził, że drugi statek dokonuje analogicznych manewrów i bezczelnie szykuje się do lądowania w pobliżu wybranego przez Bado miejsca. Chciał już włączyć radiostację i porządnie wyzwać natręta, lecz tym zamiarom przeszkodził silny

wstrząs. Rakieta dla złagodzenia spadku plunęła z dysz ostatnią porcją grawitonów i pozostawiwszy za sobą wszystkie słoje atmosfery — wylądowała.

Nie włączając wygaszonych podczas lądowania ekranów zaczął od razu wkładać lekki skafander.

„Jak niespodzianka, to niespodzianka — pomyślał. — Na ekranie wszystko wygląda nienaturalnie".

Analizator biologiczny podał skład atmosfery, z którego jasno wynikała bezcelowość używania tlenowego aparatu. Zrzucił więc ciężkie butle, odkręcił silikonowy hełm i nacisnął taster zwalniający klapy śluzy. Rakietowy wyciąg postawił go wprost na ziemi.

Podejrzliwie wciągnął nosem powietrze. Było przyjemnie chłodnawe. Odetchnął pełną piersią, aż zakręciło mu w nosie, i kichnął potężnie.

„Powitanie raczej prozaiczne — pomyślał. — Chociaż… salwa honorowa była".

Rozejrzał się szybko. Na południe, na wschód, na północ… Od zachodu widok przesłaniał korpus rakiety, więc kucnął starając się dojrzeć coś pod przywartymi prawie do ziemi wylotami dysz. Na zachodzie wszystko było takie samo, jak gdzie indziej, to znaczy nic ciekawego.

Przed statkiem rozciągała się zwykła, podobna do ziemskiej łączka. Trawa była jakby lekko przystrzyżona, wszędzie równiutka i tylko białe główki niby-dmuchawców sterczały nieco wyżej, niczym golfowe piłeczki, które podskoczyły odbite od ziemi i zawisły w powietrzu, zapominając, że trzeba opaść z powrotem. Słychać było brzęczenie niby-pszczół i zawzięte pobzykiwanie kolorowych muszek nad sercami rozsianych na każdym kroku kwiatów. Nieznaczne powiewy wiatru ledwie poruszały przejrzyste powietrze. „Sielanka!" — Bado skrzywił się z dezaprobatą.

Niepewnie przestąpił z nogi na nogę, poprawił rzemienie plecaka i zapobiegliwie wziętego z rakiety blastera i… znowu zobaczył tamtą rakietę.

Stała spokojnie, prawie niewidoczna na tle bliskiego lasu. U jej podnóża też ktoś stał, patrząc na Bada, tyle że zwrócony twarzą pod słońce, musiał osłaniać oczy ręką. Skafander miał tej samej barwy, co Bado, więc był to niewątpliwie któryś z chłopców ze Szkoły Zwiadu.

Bado chciał się odwrócić i odejść w inną stronę, lecz ponieważ wszędzie wkoło ciągnęła się ta sama trawiasta równina, a jedynym ciekawym obiektem badań mógł być tylko las, postanowił iść mimo wszystko w tamtym kierunku. Niespodziewanie chłopak, który wyszedł mu kilka kroków na spotkanie, wydał się dość sympatyczny. Miał mniej więcej ten sam wzrost, co Bado, choć wiekiem mu chyba ustępował. Natomiast wyczuć można było od pierwszego wejrzenia, że

duszę ma bratnią, gdyż broń nosił niedbale przewieszoną gdzieś za plecami, a wokół szyi zakręcił jaskrawą chustę, pod brodą splecioną jeszcze w fantazyjny supeł, z którego rozwiązaniem dałby sobie radę jeden chyba Aleksander Macedoński. W oczach igrał mu wesoły chochlik, a zadarty, upstrzony piegami nos marszczył się zabawnie, gdy podwinięte wargi w przyjacielskim uśmiechu obnażyły rząd białych zębów. Miary wszystkiego dopełnił pierwszy jego gest, gdy bez wielkich ceregieli podszedł do Bada i szerokim, swobodnym ruchem podał mu dłoń.

— Nazywam się Stok — powiedział.

Bado otworzył usta i tak pozostał z półotwartymi wargami, jak zamieniona kiedyś podobno w słup soli żona Lota tyle że przez zaskoczenie, a nie z nadmiernej ciekawości.

Potrzebował dobrej chwili na zrozumienie tak prostego faktu, że chłopak zwrócił się do niego od razu na telepatii.

— Jestem Bado — przedstawił się wreszcie w ten sam sposób.

Powoli ochłonął z zaskoczenia. Bado był w swej istocie leniem największym z możliwych i o niebo przekładał porozumiewanie się telepatyczne nad zwykłe zdzieranie gardła. Dlatego spotkanie kogoś, kto miał w tej materii podobne zapatrywania, wprawiło go nieomal w zachwyt. Uznał to za niepomiernie szczęśliwe zrządzenie losu i już bez jakichkolwiek obiekcji pogodził się z myślą, że będzie musiał zadowolić się tylko połową zasług w odkrywaniu tajemnic tej planety.

— A więc spotkaliśmy się — powiedział.

— Początkowo niezbyt się chyba z tego cieszyłeś? — Stok spojrzał spode łba.

— A ty?

Roześmieli się i zgodnie ruszyli w stronę lasu.

— Na którym jesteś roku? — zapytał Bado.

— Na trzecim — odparł Stok.

Bado z wyższością, niemal protekcjonalnie, poklepał go po ramieniu.

— Za dwa lata będziesz miał taką samą rangę jak ja obecnie.

— Ee… — Stok wcisnął ręce w kieszenie skafandra. Ranga rangą, a głowa głową…

— Też racja, ale najmądrzejsze głowy oglądałem w muzeum. Wspaniałe popiersia…

Stok skrzywił się z politowaniem i chciał zauważyć, że na pierwszy lot zezwolono mu już na trzecim roku Szkoły, lecz właśnie weszli między pierwsze drzewa i niezwykłość ich kształtów przykuła uwagę obydwu zwiadowców.

Nie można było określić wieku tych drzew, gdyż wyglądały zupełnie jednakowo. Nawet odstępy między rozdętymi u dołu pniami sprawiały wrażenie dobrze utrzymanego ogródka. Drzewa były

podobne do wazonów z ceramiki jakie Bado pamiętał z domu swojej babci. Wyrastały z ziemi napęczniałymi bulwami, stopniowo zwężając się i dopiero przy samym wierzchołku rozrastając w gęstą koronę pomarszczonych liści. Zastanawiał całkowity brak różnorodności leśnego poszycia. Wolną przestrzeń między pniami pokrywał puszysty dywan żółtawego mchu.

— Ciekaw jestem, czy rozwinęły się tutaj jakieś wyższe organizmy? — powiedział Bado. — Zaczynam w to wątpić. Dotąd widziałem tylko ziółka na łące i te drzewa… Jeśli nie liczyć oczywiście muszek, ale tego paskudztwa pełno na wszystkich planetach.

— Pewnie, że jedynie muszki — potwierdził Stok. — Według Ildentena topologia biosfery tego rodzaju planet nie wykazuje zaawansowania ewolucji form świata zwierzęcego. — Ildenten może się mylić…

Bado nie miał zielonego pojęcia, kto to taki ten Ildenten i mimo rozpaczliwych wysiłków nie potrafił przypomnieć sobie nawet najmniejszej o nim wzmianki w tej garstce podręczników i działach mnemoteki, które musiał przewertować aby jako tako zaliczać semestry. Na wszelki wypadek postanowił nie zgłębiać w obecności Stoka niuansów systematyki gatunków istot planetarnych i ograniczyć się w podobnych sytuacjach do sceptycznych uwag. Tym jednak razem musiał udzielić lekcji młodszemu koledze.

— Dotychczas istnieje kilka teorii w pełni tłumaczących czasoprzestrzenną konfigurację rozkładu zarówno psychozoików, jak i biogenezy niższego rzędu na planetach słońc pojedynczych. Teorie te tłumaczą wszystko dokładnie lecz wykluczają się nawzajem. Dlatego też Ildenten może twierdzić swoje, a ja mogę być stronnikiem Kardem. Ortodromiczna komplikacja momentów ewolucyjnych z pragmatycznym określeniem rachunku prawdopodobieństwa wykazuje niezbicie heteromorficzną naturę samoorganizacji materii nieożywionej. Dlatego możemy mieć nadzieję…

Bado wpakował w ten wykład jeden ze wspaniale wykutych cytatów z „Naturwissenschaften” Kardem, którego notabene sam nie dość rozumiał, i z ulgą stwierdził, że to poskutkowało. Sprawdziła się stara maksyma, że człowiek woli trzymać się z daleka od tego, co zbyt mądrze dla niego wygląda. Stok szybko zmienił temat.

— Niech diabli wezmą te wszystkie mądrości — powiedział. — Można sobie pogratulować że dostało się samodzielną robotę i przestały nad tobą wisieć wścibskie nosy jajogłowych. Po paru latach nieustannego „nie wiesz, nie umiesz, musisz się podciągnąć” nadarza się wreszcie okazja ruszyć nie tylko tym, ale i tym.

Stok najpierw puknął się rozwartą dłonią w czoło, a następnie zgiął rękę w łokciu, aż biceps naprężył się wypełniając prawie cały rękaw skafandra.

Badowi spodobała się jego szczerość.

— Pewnie — przytaknął. — Po ciągłym wałkowaniu formułek najprostszy wzór może okazać się niestrawny. Trzeba zmieniać klimat…

— I menu — dumał Stok.

Zagłębili się już porządnie w środek lasu, a drzewa jak stały w jednakowych odstępach, tak i nie kwapiły się jakoś dostarczyć im urozmaicenia w monotonnej wędrówce.

Szli więc ramię w ramię plotąc najprzeróżniejsze głupstwa i co chwilę wybuchając głośnym śmiechem, gdy któremuś udał się jakiś żart. Niezmiernie rzadko zdarza się, by dwóch młodych ludzi tak przypadło sobie do gustu. I to tym bardziej, że przypadek zetknął ich w niezbyt sprzyjających ku temu okolicznościach. Bado błogosławił już nawet los, który jakże w porę zesłał mu towarzysza. Musiał przyznać, że w przeciwnym razie samotny zwiad znużyłby go i zmęczył bardzo szybko.

— Wiesz co? Mam tego dość — powiedział Stok. — Tutaj nie ma czego szukać. Już lepiej zrobić kilka krótkich przelotów, rozejrzeć się z góry, a gdy nic ciekawego naprawdę nie będzie, dorobić raport i adieu…

— Zobaczymy — powiedział Bado. — Ale masz rację, wleźliśmy już porządnie w ten las i przydałby się odpoczynek.

To mówiąc odpiął z pleców małą torbę i cisnął pistolet pod pień najbliższego drzewa.

— Panowie i panie, proszę na śniadanie — powiedział poważnie.

Rozłożyli się na szorstkim mchu. Bado ostentacyjnie wyciągnął z kieszeni pudełko odżywczych pastylek, wysypał parę na dłoń i robiąc bohaterską minę przełknął jedną. Była smakowicie mdła i chociaż naprawdę włożył wiele wysiłku w utrzymanie na twarzy powagi, to jednak nie potrafił powstrzymać się od skrzywienia warg. Pocieszył go dopiero grymas na twarzy Stoka, który z nie mniejszym poświęceniem wpakował do ust aż trzy pastylki za jednym zamachem.

Chwilę siedzieli nie patrząc na siebie, ale wreszcie zmarkotniały trochę Stok zebrał się na odwagę, zrobił wielce niewinną minę i zapytał:

— Wiesz co, Bado? Powinniśmy chyba wykonać kilka obserwacji przewidzianych harmonogramem zajęć. No… zmierzyć dokładnie ciążenie, określić pole magnetyczne, natężenie promieniowania i w ogóle… Chyba wziąłeś aparaturę? Widziałem, że dźwigasz spory plecak.

Bado od razu pojął, w czym rzecz.

— Oczywiście, ale lądowaliśmy oddzielnie i każdy liczył na siebie, więc i ty masz torbę nie mniejszą od mojej… Patrzyli na siebie wciąż jeszcze niezdecydowani. Wreszcie Bado przysunął do siebie

plecak i zaczął go powoli otwierać. Torba zaopatrzona była w takie mnóstwo zamków, klamer i zatrzasków, że Bado zawsze mógł jeszcze się wycofać. Jednak, jak się można było spodziewać, ostrożności okazały się zbędne. Stok nie wytrzymał i parsknął śmiechem.

— Byłem pewien, że pasujemy do siebie jak ulał!

— Jeżeli na dodatek okaże się, że mamy podobny gust w doborze menu…

— To cały świat stoi otworem przed taką parą!

Już bez żadnych skrupułów powyciągali z plecaków mięsne konserwy i plastykowe torebki pełne przemyconych na pokład rakiety specjałów. Stok nie bez dumy postawił na mchu potężny termos i rozlał w kubki coś, o czym z uporem twierdził, że jest tylko herbatą, chociaż Bado mógł przysiąc, że już sam zapach tej herbaty dziwnym sposobem kojarzy mu się z Jamajką.

Opychali się więc smakołykami, przez żaden instruktaż nie przewidzianymi w jadłospisie praktykantów Szkoły Zwiadu, i choć nie przystało to potencjalnym wygom kosmicznym nie czuli z tego powodu specjalnych wyrzutów sumienia. Ze skrajnych możliwości — być kosmicznym wilkiem, któremu wystarczą pastylki, i nie być nim, lecz za to mieć pełny żołądek — wybrali zgodnie to drugie.

Kiedy z zaimprowizowanej uczty Lucullusa pozostały żałosne ostatki, zmęczeni, czy to przebytą drogą, czy też nadmiernym przybytkiem kalorii, wyciągnęli się w cieniu liściastej korony podobnego do afrykańskiego baobabu drzewa i oddali się przyjemnej drzemce.

Jasne słońce przesuwało się powoli nad lasem, bez trudu przenikając skroś ustawionych pionowo liści i sięgając, zdawałoby się, do najbardziej niedostępnych głębin lasu. Drzewa tylko na skraju leśnego obszaru były zielone, a w miarę oddalania się od jego krańca jakby dojrzewały nabierając stopniowo żółtych i pomarańczowych tonów, aby w miejscu, gdzie legli dwaj zwiadowcy, mienić się dosłownie płomienistymi jęzorami na przemian żółtej i czerwonej kory. Było to tym bardziej kontrastowe, że wyższe partie drzew odzyskiwały zieloną barwę, a na wierzchołku liście miały nawet odcień zielonkawego błękitu. Słońce stanęło wreszcie w zenicie, prawie pionowo nad ich głowami, i poprzez prześwity listowia spłynęło gorącem na twarze śpiących.

Pierwszy obudził się Bado. Z przyzwyczajenia rozejrzał się niespokojnie, ale wokoło panował niczym nie zmącony spokój.

Dla odświeżenia ciała podskoczył, zrobił kilka przysiadów i szerokich zamachów ramionami. Następnie pozbierał rozrzucone na beżowym mchu papierki, torebki i próżne tubki, wyrwał zwarty płat darni i zagrzebał wszystko w sypkim piasku.

Kiedy skończył te zajęcia, spojrzał na przyjaciela. Stok leżał

wyciągnięty, z błogim zadowoleniem malującym się na twarzy.

Bado zaczął kalkulować, ile miał szans na spotkanie człowieka o tak podobnej psychice, że telepatyczne porozumiewanie się z nim nie sprawiało najmniejszego kłopotu. Na Ziemi znał jedynie parę osób, z którymi rozmawiając nie musiał mleć językiem. Szansa na spotkanie kogoś takiego w kosmosie była tak nieprawdopodobnie nikła, że szybko zaprzestał prób cyfrowego jej określenia. Już chciał szturchnięciem w bok obudzić Stoka, gdy przypadkowo zatrzymał wzrok na jego broni.

Blaster miał wąską, metalicznie błyszczącą kolbę i gruszkowato zakończoną lufę, w której nie było jednak żadnego otworu, a ze zgrubiałego końca sterczał cienki, rubinowy kolec. Bado nigdy w życiu nie widział czegoś podobnego.

Nie namyślając się długo, podniósł z ziemi broń. Pozornie pozbawiona była spustu, jednak w pewnym miejscu zauważył mały otwór. Na wszelki wypadek skierował blaster w stronę jednego z drzew, po czym wetknął w otwór palec i nacisnął znajdujący się w środku występ.

Z rubinowej igły zerwała się bezbarwna, matowa kropla i popłynęła w kierunku drzewa. Zanim się do niego zbliżyła, drzewo po prostu zniknęło. Stało się to chyba w momencie, gdy nacisnął spust, natomiast kiedy kropla dotarła na miejsce, gdzie tylko co stoi pomarańczowy pień, nastąpił krótki trzask, jakby pękło szklane naczynie. Dopiero po kilku chwilach Bado spostrzegł, że zniknęło nie jedno, lecz kilka sąsiednich drzew.

Nie kontrolowałem rozrzutu — pomyślał.

Jeszcze raz spojrzał na Stoka. Jego zdziwienie sięgnęło szczytu, gdy uważniej przypatrzył się naszywkom, jakie Stok nosił na skafandrze. Były zupełnie niepodobne do jakichkolwiek znaków noszonych we Flocie Galaktycznej. Bado przyskoczył do leżącego i potrząsnął nim.

— Stok! Obudź się!

Stok otworzył oczy i uśmiechnął się sennie. Attai-dala-ufana — powiedział podnosząc się.

— Cooo?! — zawołał Bado.

— Tuna-sa-do-rodon — odparł Stok i zmarszczył czoło z wyraźną irytacją.

Bado chwycił się nagle za głowę. Pojął, że przez zapomnienie cały czas posługują się zwykłą mową.

— Skąd ty jesteś?

Tym razem przekazał pytanie telepatycznie i tą samą drogą rzeczywiście otrzymał zrozumiałą odpowiedź.

— Czyś ty zwariował, Bado? Jak to, skąd?

Bado skoczył po swój blaster i trzymając go w jednej ręce, a w

drugiej pistolet Stoka, pokazał broń przyjacielowi.

Stok wytrzeszczył oczy. Ich źrenice rozszerzyły się do granic możliwości, pozostawiając tylko wąskie otoczki piwnych tęczówek.

— Skąd to masz? — zapytał. — Jakiś nowy typ?

— Który? — spytał Bado.

— No oczywiście ten — Stok wskazał blaster należący do Bada.

— Fiuu… — Bado gwizdnął przeciągle. — A co o tym powiesz?

To mówiąc położył obydwa pistolety i dotknął palcem naszywek skafandra. Teraz zauważył już więcej różniących ich szczegółów. Na przykład buty Stoka łączyły się ze skafandrem płynnie, bez jakichkolwiek złączy, podczas gdy jego własne miały przy wysokich cholewach szew próżniowej przyssawki.

Stok spróbował się uśmiechnąć.

— Tak… — powiedział. — Swoją drogą za spostrzegawczość dwója… Dla obydwóch.

Bado udał obojętność i tylko wzruszył ramionami. Pomyślał, że to wszystko chyba przez telepatię. Ma to do siebie, że nie jest obarczona słownym szyfrowaniem pojęć i może się nią posługiwać w rozmowie Chińczyk z Australijczykiem, Eskimos z Europejczykiem, a nawet… Właśnie. Czysta informacja jest jednakowa w każdym punkcie kosmosu. Bado pochylił się, chcąc podnieść z ziemi nieostrożnie pozostawione tam przed chwilą oba pistolety, lecz Stok był równie szybki. Każdy pochwycił swoją broń.

Stali teraz naprzeciwko siebie i pilnie śledzili swoje ruchy. Stok marszczył piegowaty nos, a Bado wciąż pogwizdywał przez zęby.

— Już południe — odezwał się wreszcie Stok.

— Uhm… późno.

— Trzeba sprawdzić stabilizację rakiety.

— Tak, łąka… grunt mógł być podmokły.

— Sądzisz?

— Ciekawy las — bez związku odparł Bado, ale żaden nie zauważył tego nawet. — Jakie kolory.

— A mech też jakiś dziwny — podchwycił Stok. — Czasami jakby się poruszał.

Bado zrobił niby przypadkowy krok wstecz. O mały włos nie potknął się o własny plecak, lecz udał, że go nie dostrzega. Jednak moment nieuwagi z jego strony wystarczył, aby Stok znalazł się już przy jednym z drzew, gdzie udając, że się rozgląda, wyraźnie oczy ciągle wlepiał w Bada.

— Ciekawy las — mruknął Bado i też zbliżył się do napuchłego u dołu pnia.

— Tar-don-to… — usłyszał jeszcze i jednym susem skoczył za drzewo.

Chwilę stał zaczajony, gotowy do błyskawicznej reakcji na oznakę

zbliżania się nieznanej istoty, lecz w lesie panowała cisza. Kilkakrotnie wydało mu się, że słyszy szmer skradających się kroków. Gdzieś zaszeleściły poruszone gałęzie. Kroki oddaliły się. Zacisnął palce na rękojeści blastera, nabrał w płuca haust przesyconego tlenem powietrza i pobiegł przed siebie.

Starał się zatoczyć szerokie półkole i wyjść z lasu wprost na swój statek. Na szczęście odległości między poszczególnymi pniami były duże i mógł rozwinąć całą szybkość. Sadził więc wyciągniętym kłusem mając nadzieję, że jako były średniodystansowiec zdoła wyrównać szanse ich obu, zachwiane przez to, że jego rakieta stała jednak dalej od lasu. Po części mu się to udało, w każdym bądź razie, gdy wypadł spomiędzy drzew, tamtego jeszcze nie było. Pomknął prosto jak strzelił do wznoszącej się na szeroko rozstawionych amortyzatorach rakiety. Po drodze płoszył z kwiatów roje brzęczących owadów i rozbijał w lotne obłoczki kłębki puchu podobne do ziemskich dmuchawców.

Kiedy dotarł wreszcie do rakiety i odwrócił na chwilę głowę, zobaczył, jak zamyka się klapa włazu na statku stojącym bliżej lasu. Wskoczył na pomost rakietowego wyciągu i po chwili był już pod osłoną pancerza rakiety. Szybko dostał się do kabiny nawigacyjnej i całym ciałem upadł na klawisze pulpitu. Łokciem wcisnął taster uruchamiający system obrony, uderzeniem kciuka włączył ekran zewnętrznego śledzenia i osunął się na fotel pilota. Nareszcie mógł odetchnąć.

Tymczasem jego statek jakby ożył na nowo. Silniki zaczęły pulsować, przygotowane do natychmiastowej zmiany pozycji w wypadku ataku. Równocześnie system obrony rozwinął na kilkadziesiąt metrów ekrany anihilacyjne i podał do kabiny sygnał gotowości przejścia do działań zaczepnych. Bado otarł z czoła perliste krople potu i naprowadził zewnętrzne kamery na obcy statek. Tajemnicza rakieta również stała nieruchomo jak szary, stalowy obelisk. Ale były to tylko pozory martwoty. Bado wiedział, że „tamten” też czeka.

Przybliżył twarz do ekranu. Nad łąką polatywały jeszcze białe pyłki, a w trawie widać było wyraźne ślady, które pozostawił przybiegając z lasu.

Otworzył znajdującą się tuż nad pulpitem szafkę z przedmiotami pierwszej pomocy na wypadek nieprzewidzianych komplikacji zwiadu i wyciągnął z niej kilka opasłych tomów. Zaczął niecierpliwie przerzucać stronice. Na grzbietach książek złociły się tłustym drukiem wybite tytuły: „Intelligent Life in Space”, „Mietodika nałażdienija swiazi s suszczestwami drugowo intiellekta” oraz „Lyncos, Desing of a Language for Cosmic Intercourse”. Bado miał nadzieję, że zdoła naprawić popełnione dotąd błędy.

„Można teraz rozpocząć próbę nawiązania kontaktu” pomyślał.

I miał rację. Teraz już można było. Instrukcja Pierwszego Kontaktu mówi wyraźnie o zachowaniu maksymalnej ostrożności przy nawiązywaniu stosunków z przedstawicielami wysoko postawionych galaktycznych cywilizacji. Przede wszystkim ostrożność. Kto ich tam wie, jacy oni są?

FAKTY, HIPOTEZY. ZAGADKI

Bolesław Baranowski
ZAGADKI KSIĘŻYCA

Gdy spojrzymy na Księżyc przez teleskop, mamy w pierwszej chwili wrażenie chaotycznego nagromadzenia pierścieniowych gór-kraterów, dziwacznych fałdów powierzchni, szczelin i grzbietów ciągnących się bezładnymi odnogami w różne strony. Słowem w rozmieszczeniu tych wszystkich obiektów nie widać na pierwszy rzut oka żadnego ładu ni prawidłowości.

Wszelako na Księżycu istnieją też utwory regularne. Niektóre z nich znano już dawniej, inne odkryto ostatnio. Nawet najbardziej na Księżycu rozpowszechnione twory-kratery i góry pierścieniowe — mają regularne, niemal koliste kształty.

Następnym przykładem może być tzw. „Prosta Ściana", którą można zobaczyć przez amatorski teleskop średniej wielkości. „Ściana" stanowi gigantyczny łagodny stopień o długości ponad 100 km i wysokości około 300 m. Leży ona w pobliżu środka tarczy Księżyca, toteż widać ją niemal w planie.

„Dolina Alpejska" także jest znana od dawna. Jakby olbrzymi nóż przeciął w poprzek masyw Alp Księżycowych. Długość tego „cięcia" wynosi 130 km, a największa szerokość nie sięga nawet 10 km. Wzdłuż dna doliny ciągnie się kręta szczelina, bardzo podobna do koryta wyschniętej rzeki.

Na Księżycu są również „kopuły". To wybrzuszenia skorupy — wypukłości okrągłe, owalne lub mniej regularne. Mają wysokość setek metrów, a średnicą kilkukilometrową. Niektóre mają pośrodku niewielki kraterek. Jak celnie to określił czeski astronom J. Sadil, przypominają one nie pęknięte pęcherze na powierzchni wrzącej kaszy. Z grupy takich „pęcherzy" składa się jedyny w swoim rodzaju twór, w którym wał kopuł otacza prostokątny niemal „dziedziniec".

Po sfotografowaniu po raz pierwszy przez radziecką stację kosmiczną „Łuna 3" odwrotnej strony Księżyca i późniejszym uzupełnieniu naszych wiadomości przez inne stacje radzieckie i amerykańskie astronomowie uzyskali nowy, niezmiernie interesujący materiał do badań. Nasunęła się możliwość zbadania peryferyjnych okolic widocznej półkuli Księżyca. Przy obserwacji z Ziemi bowiem perspektywa silnie zniekształca szczegóły tych okolic. Na przykład grzbiety otaczające Morze Wschodnie wydają się wydłużone, w istocie jednak są to pierścieniowe, koncentryczne łańcuchy górskie.

W niektórych formach prawidłowość występuje tak dobitnie, że się da wyrazić matematycznie.

Okazało się np., że w niektórych łańcuszkach kraterów

księżycowych przy przechodzeniu od jednego krateru do sąsiedniego powierzchnia krateru zmniejsza się mniej więcej dwukrotnie. Odstępy między środkami kraterów też się zmieniają regularnie, przy czym środki te leżą na łuku okręgu lub na bardzo zbliżonej do niego krzywej. Czasem powierzchnia kraterów maleje nie dwukrotnie, lecz czterokrotnie. Są łańcuszki całkowicie lub częściowo złożone z równych pod względem powierzchni kraterów, ale wtedy i odległości między ich środkami są równe. Jeden z takich łańcuszków leży jak naszyjnik na dnie ogromnego „cyrku" Clavius w południowej części tarczy Księżyca. Inny, złożony z regularnie rozmieszczonych i równych wielkością kraterów, znajduje się na północ od Zatoki Tęcz.

Na Księżycu są też kratery o dwóch wałach. Stosunek powierzchni ograniczonych wewnętrznym i zewnętrznym wałem wynosi 1:2 albo 1:4. Przykładem może być niewielki bezimienny krater w rejonie Oceanu Burz.

Jakie przyczyny zrodziły prawidłowości struktury powierzchni Księżyca? Na pewno procesy „wulkaniczne", uskoki, pęknięcia skorupy i uderzenia meteorytów oraz większych ciał niebieskich. Istnieją rozmaite hipotezy dotyczące ukształtowania rzeźby powierzchni Księżyca. Nie należy jednak powstania regularnych obiektów przypisywać działalności jakichś istot żywych. Przecież i na naszej Ziemi bardzo dużo jest regularnych, nawet geometrycznie prawidłowych form naturalnych.

* * *

Zdjęcia fotograficzne powierzchni Księżyca, przekazane przez radziecką stację naukową „Łuna 9", obiegły cały świat. Ciekawe jest, że pomiędzy seansami łączności z 4 i 5 lutego 1966 stacja przypadkowo przesunęła się w kierunku poziomym o 5–6 cm. W związku z tym przy jednoczesnym oglądaniu tych samych obiektów, uchwyconych w różnych czasach, powstaje obraz stereoskopowy.

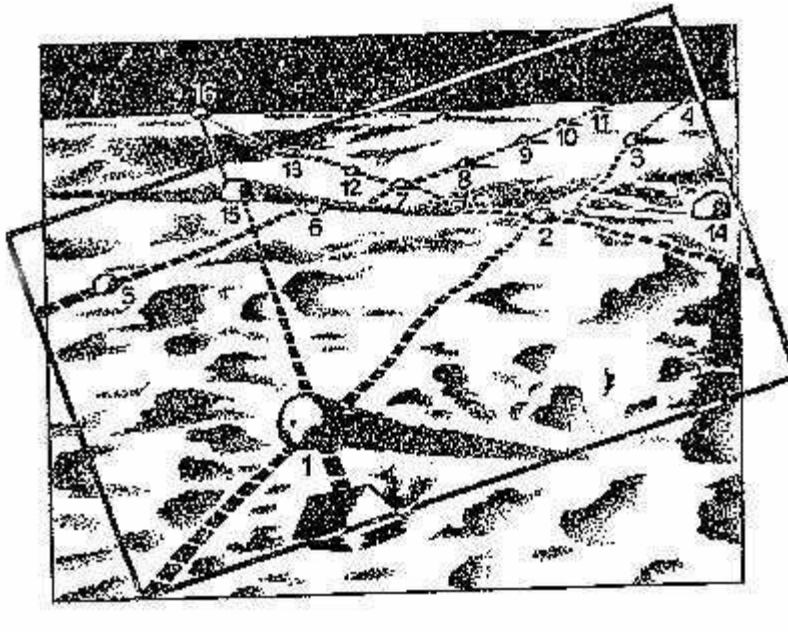

Zdjęcia sprowadzono do jednej skali i odwrócono tak, aby horyzont Księżyca pokrywał się z horyzontem naszego widzenia. Przy nałożeniu zdjęć całe pole widzenia daje niezły obraz stereoskopowy.

Mając przed sobą obraz przestrzenny można w tym fragmencie krajobrazu księżycowego dostrzec ciekawe rzeczy. Opis najlepiej oprzeć na załączonym schemacie, gdzie głazy opatrzono numerami.

Wrażenie uzyskuje się takie, jakby się stało na pagórku, za którym znajduje się parów, a dalej jeszcze jeden pagórek i znowu parów. Po lewej strome oba zagłębienia się schodzą tworząc większe zapadlisko o łagodnych zboczach.

Okazuje się, że kamienie l, 2, 3 i 4 leżą na jednej prostej w takim sensie, w jakim mówimy o liniowym rozstawieniu słupów telegraficznych w nierównym terenie. Kamienie te mają wielkie płaskie powierzchnie jednakowo zwrócone ku Słońcu. Na pierwszym od góry znajduje się twór o kształcie lejka obramowanego nieregularnymi płatkami. Odnosi się wrażenie, jak gdyby kamień był pusty, a lejek — otworem w jego pokrywie. Uwzględniając rozmieszczenie przestrzenne obiektów i naturalne zmniejszenie odstępów zgodni.? z prawami perspektywy, można twierdzić, że odległości między kamieniami l, 2, 3, 4 są jednakowe! Ponadto same kamienie mają jednakowe wymiary (jeśli uwzględnimy, że drugi z nich leży na zboczu parowu). W pobliżu nie ma żadnego wzniesienia, z którego kamienie mogłyby się stoczyć i przypadkowo rozsypać w ten sposób.

Kamienie 5-11 także rozmieszczone są wzdłuż linii prostej,

równoległej do pierwszej, a kamienie 2, 7, 12 i 13 leżą na prostej przecinającej te równoległe pod kątem 60°. W jednej linii ułożone są również kamienie l, 15, 16. Wreszcie jeszcze jeden interesujący szczegół: kamienie l, 14 i 15 tworzą trójkąt równoboczny.

Obiekty widoczne na tym fragmencie krajobrazu rozmieszczone są więc według określonych zasad geometrycznych. Linie proste i kąty utrzymane są niezależnie od złożonej rzeźby terenu, jak gdyby zrobił to ktoś posługując się triangulacją.

Zdjęcie zrobione 21 listopada 1986 z wysokości 48 km naci powierzchnią naszego naturalnego satelity i przekazane na Ziemie przez aparaturę amerykańskiej stacji „Lunar Orbiter 2" przedstawia równinną okolicę w rejonie Morza Pokoju na północny wschód od środka tarczy Księżyca. Na zdjęciu widoczne są znane koła kraterów. Ale poszczególne partie zdjęcia przecinają ostro zakończone cienie. Największy z nich mógłby rzucić na grunt wysoki, monumentalny obelisk. Mniejsze (wszystkich razem jest osiem) rzucają obiekty regularnego stożkowatego kształtu zbliżone wymiarami do wielkiej choinki. Obiekty te zdumiewają tym bardziej, że rozmieszczone są na stosunkowo niewielkiej powierzchni 163 m x 225 m.

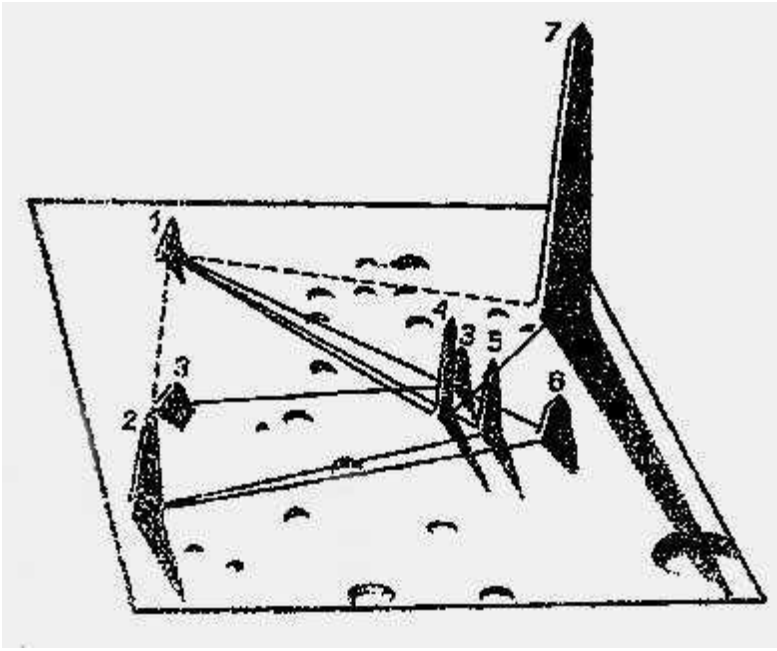

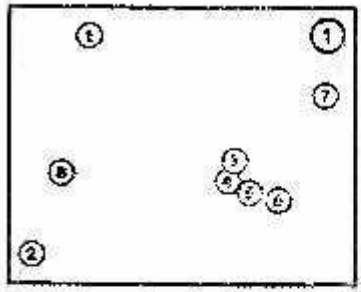
1
7
8
2
3
4
5
6

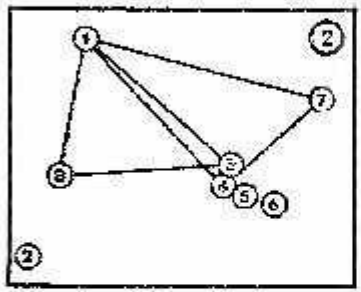
2
1
7
8
2
3
4
5
6

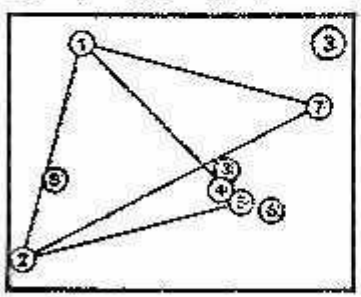
3
1
7
8
2
3
4
5
6

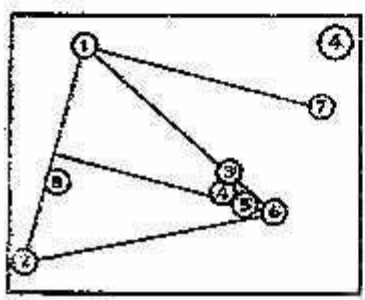
4
1
7
8
2
3
4
5
6

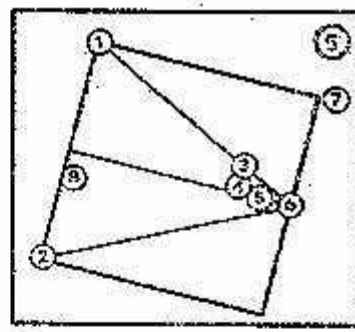
5
1
7
8
2
3
4
5
6

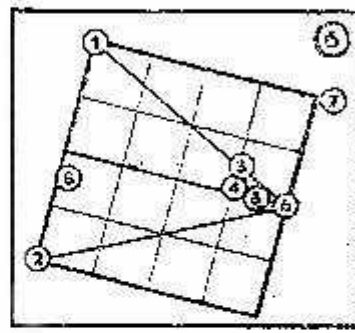
5
1
7
8
2
3
4
5
6

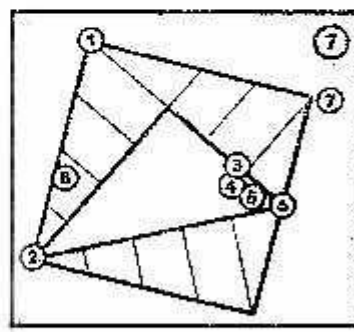
7
1
7
8
2
3
4
5
6

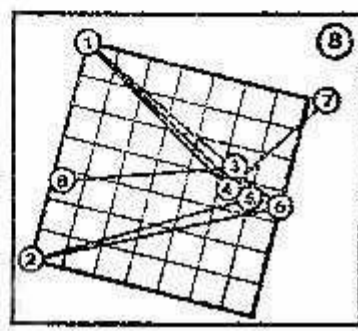
8
1
7
8
2
3
4
5
6

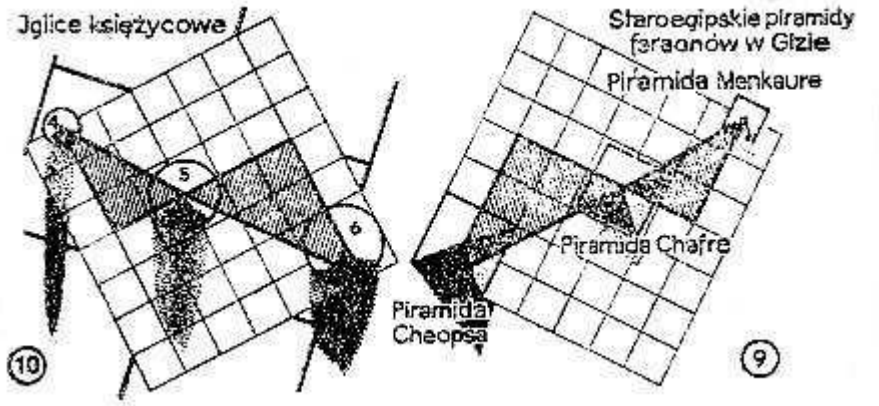

Nie będziemy odgadywać pochodzenia ośmiu ostro zakończonych iglic, jakkolwiek zainteresowali się nimi nawet archeolodzy. Dokonali jedynie geometrycznej analizy rozmieszczenia niezwykłych obiektów. Przebieg analizy ilustrują schematy l-10.

1. Ogólny plan rozmieszczenia obiektów, które ponumerowano od l do 8.

2. Iglice l, 4, 7 wyznaczają trójkąt prostokątny, a iglice 3, 8 — ostrokątny o jednym kącie 45°.

3. Obiekty 2, l, 7 wyznaczają trójkąt prostokątny; obiekty 1,2,5 — równoboczny.

4. Trójkąt równoramienny wyznaczają wierzchołki 1,6,2. Symetralna przeprowadzona z wierzchołka 6 przechodzi przez środek obiektu 5.

5. Korzystając z kąta prostego wyznaczonego przez iglic 7, 1, 2 zbudowano kwadrat o boku równym odległości między 1 i 2.

6. Wielki kwadrat podzielono na 16 małych.

7. Korzystając z punktów podziału na bokach wielkiego kwadratu, podzielono całą jego powierzchnię na serię trójkątów prostokątnych o stosunku przyprostokątnych 1:2. Pośrodku powstał trójkąt egipski o stosunku boków 3:4:5.

8. Ten sam obszar rozplanowany według staroegipskiego systemu „abaku", tzn. stołu podzielonego na 49 kwadratów.

Ciekawe jest to, że plan rozmieszczenia obiektów księżycowych 4, 5, 6 pokrywa się z planem rozmieszczenia piramid egipskich, zbudowanych przez faraonów Cheopsa, Chafre i Menkaure w Gizie — przedmieściu Kairu. Środki tych iglic w systemie „abaku" rozmieszczone są (z dokładnością zwierciadlanego odbicia) tak samo jak wierzchołki trzech olbrzymich budowli egipskich. Na dwóch ostatnich schematach widzimy jednakowe trójkąty egipskie, choć jeden (9) wyraża prawo piramid, a drugi (10) wzajemne położenie iglic na Księżycu. Przypadkowa zbieżność? Być może… Ale czy nie za

dużo przypadków?

Według artykułów M. Szemiakina, S. Iwanowa i A. Briuchonienki oraz A. Abramowa z czasopisma „Tiechnika mołodioży" 1969, nr 5

Przełożył i opracował Bolesław Baranowski.

Andrzej Trepka
GNIAZDA ŻYCIA POZA ZIEMIĄ

Utrzymywanie, iż tylko Ziemia jest piastunką życia — byłoby równie bezsensowne jak twierdzenie, że na wielkim obsianym polu mógł wyróść tylko jeden jedyny kłos pszenicy.

Metrodor z Chios, IV w. p.n.e.

Egzobiologia przestała być sztuką dla sztuki. Okno na Wszechświat, które na oścież rozwarli pionierzy astronautyki, stawia zagadnienie: gdzie i jakie życie spotkamy poza Ziemią? — w czołówce najdonioślejszych pytań epoki.

Opracowujemy metody nawiązania kontaktu radiowego z pozaziemskimi cywilizacjami, ślemy kierunkowe „porcje informacji" ku wytypowanym gwiazdom — licząc, że na okrążających je planetach mogą się rozwijać psychozoa. Aby nie rozpraszać sił polowaniem na chybił trafił wśród niezliczonych gwiazd Galaktyki — konieczna jest analiza, w jakich środowiskach możemy w ogóle spodziewać się życia.

Coraz częściej astronomowie, omawiając klimat innych planet, ferują ewentualność istnienia tam „życia, jakie znamy", „życia typu ziemskiego". Stąd pytanie: czym więc jest życie? Formą istnienia ciał białkowych? Na Ziemi — tak. Gdzie indziej — tylko w wypadku odwrócenia tej definicji; białkiem musielibyśmy wówczas nazwać każdy związek chemiczny tak skomplikowany, że potrafi zrodzić życie, kierować jego metabolizmem oraz wyłonić z siebie substancję spełniającą funkcję matrycy dziedziczności — jak u nas DNA. Przekonywającą definicję dał Isaac Asimov w książce „Life and Energy" (Doubleday, 1962 r.): „Żywy organizm odznacza się zdolnością wytwarzania czasowego i miejscowego spadku entropii za pomocą reakcji katalizowanych enzymatycznie".

Nie budzi naszego zdziwienia ani różnorodność form życia na Ziemi, ani rozmaitość środowisk, w których ono występuje. Oswoiliśmy się również z tym, że wymarłe gatunki fauny i flory różniły się wyglądem od dzisiejszych. Gdyby nas jednak zrodziła przyroda Marsa, gdzie brak jest otwartych zbiorników wodnych, trudno byłoby nam wyobrazić sobie ryby — zdumiewające stwory opatrzone w skrzela i zdolne oddychać tlenem rozpuszczonym w wodzie. Tak samo przed wynalezieniem mikroskopu nikt nie

podejrzewał istnienia bakterii; nawet potem, przez dwieście lat, wydawały się czymś tak dziwacznym, że pasowało do nich przeświadczenie o samorództwie.

Przypuśćmy na chwilę, że jesteśmy mieszkańcami Plutona i bronimy się jak tylko umiemy przed upałami równikowych stref, gdzie Słońce rozpraża powierzchnię globu aż do 250° mrozu (!), przy której nasz płyn ustrojowy — wodór, wrze i uśmierca organizm. Czy wówczas byłby dla nas do pomyślenia świat bujnego życia na Ziemi — planecie zabójczego żaru Słońca, grzejącego tam 1600 razy mocniej?

Kosmicznym cudzoziemcom nasz klimat wyda się potwornie gorący albo przerażająco zimny. Zależy kto nas odwiedzi.

W rozważaniach egzobiologicznych szczególnie ważne są dwa czynniki: chemizm życia oraz temperatura otoczenia. Są one ściśle ze sobą związane. Nasze wyobrażenia o życiu łączymy z koloidami. Przy takim założeniu — pierwiastek lub związek chemiczny, na którym ten koloid się opiera, musi być płynny przynajmniej w obrębie organizmu. Wykluczone jest życie zwierzęcia (na Ziemi) wówczas, gdy woda w jego tkankach zamieni się w lód albo w parę. Stałocieplność ssaków i ptaków umożliwia im wprawdzie przebywanie na mrozie — ale w ustroju żywym woda pozostaje cieczą, więc nic się nie zmienia.

Rozpowszechnił się pogląd, że woda to jakaś substancja wyjątkowa. Dopatrywano się w niej cudownego panaceum życia. Tymczasem jest odwrotnie: otóż życie powstałe w wodzie musiało się przystosować do jej właściwości.

Na Ziemi woda stanowi warunek niezbędny dla powstania i rozwoju życia. Potocznie przypisuje się tę rolę tlenowi. To opinia uproszczona. Scenerią narodzin życia była atmosfera pozbawiona tlenu; dopiero reakcje przemiany materii drobnoustrojów wyzwoliły ten gaz. Wiele ‘mikroorganizmów może obyć się bez tlenu; dla niektórych (anaeroby) jest on wręcz trujący. Natomiast żadna forma ziemskiego życia nie zniesie zupełnie braku wilgoci.

Woda wprawdzie stanowi tylko tło życia, ale tło niezastąpione (wciąż mowa o biosferze Ziemi). Osocze naszej krwi jest prawie nie do odróżnienia od wody morskiej — w której powstały najwcześniejsze praorganizmy. Może to być bardziej ogólna prawidłowość: płyn ustrojowy opiera się na tej substancji, z której wystartowało życie.

Dlaczego u nas nieodzowna jest do życia właśnie woda? P Współczesna biologia odpowiada bez wahań: dlatego, że przy temperaturach panujących na Ziemi żadna inna ciecz nie nadaje się lepiej do tego celu. Nadto ziemskie oceany są wypełnione wodą, a nie amoniakiem bądź ropą naftową. Życie powstaje w tym, czego jest pod dostatkiem.

Z braku kryteriów porównawczych, problem środowisk, w jakich życie może się rozwijać, jest polem naukowych spekulacji. Nie są one

jednak jałowe. Zwłaszcza osiągnięcia biochemii, odkrycie roli kwasów nukleinowych jako kodu dziedziczności i pewne pojęcie o samoorganizacji na najniższym, molekularnym szczeblu — pozwalają ekstrapolować modele życia białkowego na inne, hipotetyczne struktury, zespolone ze specyfiką przyrody rozmaitych planet.

Jak wszystko, co nie jest dostatecznie uściślone — wizje królestw życia przechodzą różne mody. Kilkanaście lat temu okrzyknięto krzem pierwiastkiem „innego" życia. Usiłowano nawet zastępować nim węgiel, w ogóle rugując ten ostatni z tak pomyślanych organizmów — co jest ryzykowne. Ostatnio przyszła moda na amoniak. Zaroiło się od publikacji wykazujących, że skoro Mars jest martwą pustynią (w związku z coraz mniej zachęcającymi wynikami badań tamtejszych warunków), Wenus także (zbyt gorąco) w planetach-olbrzymach.

W ten sposób zajrzano — moim zdaniem wyrywkowo — do dwóch „okienek" temperaturowych, wybierając związki chemiczne mogące służyć dostosowanym do nich formom życia.

Da się stworzyć obraz odwrotny: pewnego ciągu, od temperatur niskich ku wysokim, poprzerywanego „okienkami azoicznymi". Każde z nich stanowi „strefę cienia", w której zimniejszy płyn już wyparował, a cieplejszy jeszcze nie roztajał. Zresztą nie muszą to być regiony całkowicie martwe: mogą na nie zachodzić, przynajmniej częściowo lub w ograniczonym stopniu, formy życia sąsiadujące z nimi. Np. najbliższa naszemu środowisku „strefa cienia" rozciąga się od 0 °C (punkt marznięcia wody) do -33 °C (punkt wrzenia amoniaku). Jednak ziemskie życie wytrzymuje ten przedział bądź w stanie anabiozy, bądź nawet aktywnie (ssaki i ptaki). Życiu ze środowiska amoniakalnego przypuszczalnie trudniej byłoby sięgnąć wzwyż, tak jak białkowcy nie przekraczają pułapu wrzenia wody. Prawdopodobnie natomiast istoty amoniakalne, wytworzywszy stałocieplność, dobrze znosiłyby właściwe sobie „mrozy" poczynając od -78 °C (zestalanie się amoniaku) — być może aż do dna „strefy cienia", tj. -162 °C (punkt wrzenia metanu).

Współczesna nauka nie jest w stanie podać rozpiętości granic, w jakich życie potrafi prosperować. Nie umiemy ustosunkować się do takich ekstremów fantastycznych wizji, jak organizmy falowe, polowe, żyjące obłoki pyłu kosmicznego itp. Twierdzenie, że one istnieją, jest na pewno nienaukowe. Ale tak samo nieuzasadnione byłoby stawianie tamy możliwościom przyrody — bo znamy je w sposób niepełny i przymierzamy do warunków współbrzmiących z naszym światem. Najłatwiejsze wydaje się określenie temperatur, w których życie „już" albo „jeszcze" jest do pomyślenia. Mamy tu przynajmniej jakiś punkt zaczepienia, choć tylko z jednego krańca drogi: to zero bezwzględne — bariera nieprzekraczalna, bo dopiero począwszy od niej zaczyna się ruch cząsteczek, a więc ciepło.

Zakres temperatur możliwych, lub realnie istniejących, jest kolosalny. Pobieżne spojrzenie sugeruje, że teoretycznie górną granicę stanowi skrajne zbliżenie się intensywności ruchu termicznego elementarnych cząstek do prędkości światła. Ponieważ jednak w fizyce Einsteinowskiej masa ciała wzrasta przy prędkościach relatywistycznych, zmierzając ku nieskończoności — nie istnieje szczyt gorąca. Praktycznie zaś, taką granicą jest 6 miliardów stopni. Skoro wnętrze gwiazdy osiągnie tę temperaturę, wybucha ono jako Supernowa.

Stojąc na gruncie życia choćby o tyle zbliżonego do ziemskiego, że mają je warunkować koloidalne struktury — nie możemy wspinać się ku szaleństwom gwiezdnych żarów, gdzie nie tylko nie utrzymają się żadne związki chemiczne, ale nawet atomy zmieniają swój „ubiór" miliony razy na sekundę. Przy takim założeniu pułap scenerii życia nie powinien przekroczyć kilkuset stopni Celsjusza.

Poniższa tabela prezentuje najbardziej prawdopodobne płynne osnowy życia w przytoczonym zakresie temperaturowym:

L.p.
pierwiastek lub związek chem.
temp. topnienia pod ciśn. 1 atm.
temp. parowania pod ciśn. 1 atm.
rozpiętość temperatur stanu ciekłego
1.
wodór
— 259
— 253
6
2.
metan
— 183
— 162
21
3.
amoniak
— 78
— 33
45
4.
woda
0
+100
100
5.

siarka
+ 113
+445
332

Warto zwrócić uwagę, że w dowolnie wybranej temperaturze tylko jedna z tych pięciu substancji będzie cieczą.

Wkraczając w coraz cieplejsze regiony — rozszerza się przedział pozostawania danego ciała w stanie płynnym. Gdy sięgniemy jeszcze gorętszego pułapu, ten zakres procentowo zmów zacznie maleć. Zbyt pochopne byłoby jednak wnioskowanie, iż życie powinno osiągnąć pełnię swej bujności w siarce, na drugim miejscu w wodzie, a zimniejsze ciecze są mniej przydatne do tego celu. Niezależnie od innych subtelności, nieraz jeszcze nie odkrytych — wszelkie reakcje w niskich temperaturach przebiegają powolnie, co łagodzi te dysproporcje. Trzeba zauważyć, że na planetach zimnych (typu Plutona) — wahania temperatur, dobowe i roczne, są bez porównania mniejsze niż na globach silnie nagrzewanych przez swoją gwiazdę-słońce.

Nasuwa się pytanie: dlaczego pięć substancji wyróżniłem spośród wielu innych, które w omawianym przedziale temperatur także występują jako ciecze?

Zacznijmy od dolnej granicy. Wydaje się logiczne, że przy zerze absolutnym wszystko stwardnieje z kretesem. Tymczasem wyjątek stanowi hel: pod ciśnieniem atmosferycznym wprawdzie skrapla się przy 4,2° K, ale w ogóle się nie zestala. Chociaż w uproszczeniu podaje się, że przy zerze bezwzględnym ustaje wszelki ruch termiczny — mechanika kwantowa uzasadnia istnienie tam szczątkowego ruchu atomów. To wystarczy, aby utrzymać hel w stanie ciekłym.

Czy mógłby on stanowić ten najniższy, najzimniejszy poziom życia? Nie. Gazy szlachetne trzeba tu wykluczyć. Wprawdzie w 1962 r. udowodniono, że krypton, ksenon i radon ulegają pewnym reakcjom chemicznym ale to w naszym przypadku jest bez znaczenia.

Zbyt dużo miejsca zajęłyby rozważania, dlaczego powstanie życia opartego na innych pierwiastkach, bądź związkach chemicznych, jest niemożliwe lub bardzo wątpliwe. Poprzestanę ma uzasadnieniu, że w „recepturze życia" te pięć substancji dobrze pasuje na płyn ustrojowy.

Mimo tak różnorodnej panoramy hipotetycznych biosfer, jakie prezentuję — nie wykraczam poza struktury oparte na węglu. Szczególna właściwość kreuje go bowiem na najznakomitszą osnowę tkanek organizmów żywych: zdolność sczepiania długich atomowych łańcuchów i pierścieni, dzięki czemu mogą powstawać takie cząsteczki-olbrzymy jak białka, składające się nawet z milionów atomów. Pod tym względem najbardziej podobnymi pierwiastkami są

bór i krzem, które nie rokują wielkich nadziei na podstawowe tworzywo komórek pozbawionych węgla (bór nigdzie nie występuje dość obficie, o krzemie zaś będzie jeszcze mowa).

Cztery pierwsze pozycje w tabeli (wodór, metan, amoniak i woda) mogą być tłem dla życia opartego na związkach tego typu, jakie występują w tkankach ziemskich żywych organizmów — chociaż z istotnymi modyfikacjami.

Istnieje wzgląd, który nakazuje zaliczyć do jednej wspólnej grupy struktury odpowiednie dla życia w środowisku wodoru i metanu, a do drugiej — w amoniaku oraz w wodzie. Chodzi o to, że woda reprezentuje substancje polarne — ładunki elektryczne w jej cząsteczkach są rozłożone niesymetrycznie. Polarny jest również amoniak, a niepolarne — metan i wodór.

Ciecze polarne rozpuszczają wyłącznie inne ciała polarne i odwrotnie. Dlatego w wodzie (i w amoniaku) rozpuszczają się białka, kwasy nukleinowe, także cukier, sól — ale nie lipidy (tłuszcze i oleje). Te rozpuszczają się za to w wodorze i w metanie.

Przystańmy w miejscu tabeli, gdzie czujemy się na swoim podwórku: w królestwie wody. Potem zejdziemy w mroźniejsze regiony, a na zakończenie przyjrzymy się krainom świecącego żaru.

W państwie wody — „życie jest formą istnienia ciał białkowych", jak to stwierdził Engels. Przez nadchodzące stulecia chyba niczego nie dorzucimy do tego poglądu: zbyt gruntownie znamy chemizm różnorodnych procesów realnych w środowisku wodnym, aby się nagle okazało, że mogą tam powstawać jakieś wielkocząsteczkowe koloidy nie oparte na kombinacjach węgla z wodorem, tlenem i azotem. Wprawdzie z dwudziestu aminokwasów dałoby się stworzyć znacznie więcej rodzajów odrębnych białek niż ilość atomów w obszarze Wszechświata dostępnym naszym obserwacjom. Wyobraźmy też sobie bogatą kolekcję nieznanych odmian aminokwasów. Będą to wciąż jednak białka w ścisłym tego słowa znaczeniu.

Współczesne badania biochemiczne nie znajdują podstaw do przypuszczeń, że amoniak mniej nadaje się na płyn ustrojowy aniżeli woda. Zdaniem wybitnego autorytetu egzobiologii, radzieckiego astronoma J.S. Szkłowskiego — „w oparciu o amoniak można zbudować analogony «zwykłych» aminokwasów, a następnie dowolnie złożone odpowiedniki wszystkich możliwych związków białkowych". Dalej Szkłowski stwierdza bez niedomówień: „Zupełnie prawdopodobne jest występowanie «amoniakalnych» analogonów kwasów nukleinowych, puryn i pirydyn. Całkiem możliwe są też «amoniakalne» analogony DNA i RNA z właściwym dla nich kodem dziedziczności." („Wszechświat, życie, myśl", PWN 1965, str. 241). Woda tylko dlatego wydaje się nam sposobniejsza do tej roli — bo życie „wodne" znamy, „amoniakalne" zaś pozostanie hipotezą do

czasu odkrycia go na Jowiszu lub gdzie indziej.

W środowisku amoniakalnym, odpowiednikiem utleniania jest przyłączanie jonów azotowych lub azotowo-wodorowych, a końcowym produktem przemiany materii — amoniak i cyjan (zamiast wody i dwutlenku węgla). A więc organizmy amoniakalne, o ile istnieją — piją amoniak i oddychają azotem. Reakcje życiowe bynajmniej nie muszą się opierać na spalaniu tlenu.

Tlen i azot decydują o polarności cząsteczki białka. Stąd przewaga azotu w „białku amoniakalnym" niczego nie zmienia: pozostaje ono w dalszym ciągu polarne i rozpuszcza się w amoniaku.

Schodząc niżej po szczeblach zimna, kandydatem na płyn ustrojowy jest metan, a dolnym kresem wszelkich możliwości — wodór.

Rozważania o życiu w metanie lub wodorze już na początku natrafiają na zasadniczą trudność: obie te ciecze są niepolarne.

W kręgu znanych nam substancji, odgrywających istotną rolę w ciele zwierząt i roślin, niepolarne są lipidy. Czy one mogą stanowić fundamentalny budulec żyjących układów, zastępując białka i kwasy nukleinowe? Wydaje się, że tak. Dysponujemy empirycznym dowodem, że w pewnych wypadkach osiągają wyjątkową złożoność: w ludzkim mózgu występują tłuszczowe cząsteczki-olbrzymy, których rola dotąd nie została wyjaśniona.

Ta szansa jest zasługą zawartości atomów węgla, zawsze skorych do tworzenia dowolnie długich łańcuchów. Póki nie stwierdzimy, że gdzieś w Kosmosie kwitnie życie oparte na innym pierwiastku, mamy prawo nazywać węgiel jedynym swoistym „eliksirem życia". To nie jest ciasny krąg możliwości: umiejętność łączenia się atomów węgla z innymi atomami w skomplikowane związki organiczne sprawia, że białka, jakie znamy, są zapewne tylko jednym z wariantów — próbka dostosowaną do fizykochemicznych warunków planet typu Ziemi.

Dosięgliśmy prawie dna zimna. Nawet w tak szokującym otoczeniu, o życiu mogą decydować substancje zupełnie swojskie, zbliżone do znanych nam tłuszczów.

W miarę tego, jak przenosimy się w strefy gorąca — portret zatraca znajome rysy. To dlatego, że koloidy ziemskich organizmów ulegają szybkiemu rozpadowi już we wrzącej wodzie.

Umówiliśmy się w tych rozważaniach, by ograniczyć poszukiwania form życia do związków węgla. Trzeba pomyśleć, jakie kombinacje jego atomów z innymi pierwiastkami dadzą struktury dostatecznie trwałe w wysokich temperaturach, by nie ulec zniszczeniu, zarazem wystarczająco nietrwałe dla nieustannego przebiegu metabolizmu.

Na globach gorących związki wodoru musiały się rozpaść, a on sam ulotnić w przestrzenie międzyplanetarne. Tymczasem zastąpienie

wodoru natrafia na poważną trudność: jego atom jest najmniejszy ze wszystkich. To sprawia, że każdy łańcuch węglowy, dowolnie skomplikowany, może się ciasno otoczyć atomami wodoru.

Temu zadaniu podoła jeszcze tylko jeden pierwiastek: fluor. Od dawna o tym wiedziano, ale w tamtych czasach egzobiologią (jeszcze bezimienną) zarządzali fantaści, a uczeni niechętnie eksperymentowali z fluorem, gdyż odstręczała jego wybuchowa aktywność. Chemie fluoru opracowano dopiero podczas drugiej wojny światowej w związku z badaniami nad sześciofluorkiem uranu, nieodzownym przy produkcji bomb atomowych.

Wtedy poznano grupę węglofluorów pod wieloma względami przypominających węglowodory. Daleko im do przejawiania „elastyczności" i uniwersalności białek. Nie wynika to z „gorszych" właściwości fluoru, tylko z zadań, jakie chemia fluoroorganiczna stawia przed sobą. Podobne do nich takie związki wodoroorganiczne jak polietylen czy polistyren także nie naprowadziłyby przybyszów z obcych nam warunków biochemicznych na myśl, że istnieją połączenia węgla z wodorem przydatne dla konstruowania żywych organizmów.

Fluoroproteiny (tak chyba nazwiemy dotąd nie poznane „białka fluorowe") w ziemskich temperaturach przejawiałyby znikomą aktywność. Natomiast na planetach typu Wenus przypuszczalnie byłyby zdolne podtrzymywać procesy życiowe nie gorzej niż białka w naszym kręgu biosferycznym.

Inną możliwością jest wprzęgnięcie w służbę „gorącego" życia atomów krzemu. Jak wspomniałem, przed kilkunastu laty modne było fantazjowanie o krzemoorganicznych potworach z Merkurego (wtedy Wenus wydawała się dla nich zbyt zimna). „Białko krzemowe" na ogół wyobrażano sobie jako wielkocząsteczkowe związki, w których węgiel został zastąpiony krzemem.

Ponieważ krzem jest czterowartościowy (tak samo jak węgiel), rzeczywiście łączy się on z wodorem dając silany, które tworzą długie łańcuchy w obrębie skał i znoszą temperaturę czerwonego żaru. Atomy krzemu występują tam na przemian z atomami tlenu i są obudowane ze wszystkich stron atomami wodoru. Jednak te związki wydają się mieć strukturę za mało subtelną, aby ewoluując w jakichkolwiek warunkach zdołały osiągnąć szczebel życia.

Warto rozważyć efekt zastąpienia atomami krzemu dwóch spośród czterech obecnych w tym łańcuchu atomów tlenu, z przyczepionymi tak samo atomami wodoru: otrzymamy silikony, odgrywające coraz donioślejszą rolę w przemyśle tworzyw sztucznych.

Właśnie tu można poszukiwać wielkiej szansy krzemu. Wydaje się, że na planetach gorących silikony, raz powstałe, w ciągu miliardów lat potrafią tak skomplikować swoją budowę, aby spełnić

rolę, jaka na Ziemi przypadła białku. Jeśli krzem jest gdzieś we Wszechświecie budulcem życia, to chyba nie zamiast węgla, lecz w połączeniu z nim.

Nasuwa się jeszcze inny obraz. A gdyby wprowadzić pewną korekturę: atomy wodoru zastąpić atomami fluoru? Przyroda mogła zrealizować takie zadanie. Jest ono logiczne z dwóch względów: w klimacie gorących światów brakuje wodoru, a ponadto fluor daje większą plastyczność takim strukturom.

Pominęliśmy dotąd sprawę płynu ustrojowego domniemanych organizmów węglofluorowych, silikonowych bądź fluorosilikonowych. W czym to gorące życie się kąpie — dosłownie i w przenośni?

Wśród cieczy pasujących do węglofluorowych koloidów, na pierwszy plan wysuwa się siarka. Aktywna, w ilościach śladowych wchodząca w skład ziemskich organizmów, może być tłem życia tam, gdzie poprzednio omówione ciecze zamieniły się w gaz. Płynna już nieznacznie powyżej punktu wrzenia wody — pozostaje nią w trzystustopniowym przedziale rozpiętości, mogąc towarzyszyć takim roztopionym metalom, jak ołów i cynk. W skwarze planet typu Wenus powinna być jednym z dominujących pierwiastków. Na pospolitość siarki we Wszechświecie wskazuje jej udział w meteorytach: np. chondryty węglowe zawierają przeważnie od 6 do 14 % siarczku żelaza, a jest tam także siarka w stanie wolnym oraz związana w postaci siarczanów i węglowodorów.

Struktury silikonowe bądź fluorosilikonowe — w których również siarka musi występować w pokaźnych ilościach mogą pływać w olejach krzemoorganicznych o własnościach odpowiednich dla życia bytującego w wysokich temperaturach, nawet przekraczających punkt wrzenia siarki (445 °C). Czy dotarliśmy do kresu temperatur dogodnych dla rozwoju życia? Chyba nie. Jednak sięgając wzwyż, tracimy mocny grunt pod stopami. Rozważania stają się coraz bardziej niepewne, drogi wyboru coraz mniej jednoznaczne, widnokrąg rozszerza się i przesłania go mgła fantazji. Możemy być przekonani, że jeśli istnieje gdziekolwiek życie w temperaturze 255 stopni mrozu — to pływa ono w wodorze; w naszych warunkach prawie na pewno jedyną jego szansę stanowią białka zanurzone w wodzie. Natomiast, o ile jakieś istoty bytują w 600 stopniach upału, możliwości jest wiele i wszystkie wydają się nam mocno wątpliwe — zapewne dlatego, że dotychczas nie przeprowadza się odpowiednich badań laboratoryjnych. Byłyby to w ścisłym znaczeniu eksperymenty egzobiochemiczne, a ta gałąź wiedzy dopiero oczekuje swoich narodzin.

notes

1

Przełożył Lech Jęczmyk

2

Somerset House — siedziba archiwum londyńskiego

3

Chodzi o termojądrowy salut powitalny